

SCOTT SMITH

PROSTY PLAN

JAN KRAŚKO (PRZEŁOŻYL Z ANGIELSKIEGO)

SCAN-DAL

Moim rodzicom, oraz - ze szczególnym podziękowaniem - Alice Quinn, Gailowi

Hochmanowi, Victorii Wilson i Elizabeth Hill.

Nikt nie wybiera zła dlatego, że jest złem; człowiek myli je ze szczęściem, z dobrem,

którego szuka.

Mary Wollstonecraft

Rozdział 1

Rodzice zginęli w wypadku samochodowym rok po moim ślubie. Pewnej sobotniej nocy chcieli wjechać na autostradę I-75 i zderzyli się czołowo z wielką ciężarówką przewożącą bydło. Ojciec poniósł śmierć na miejscu, gdyż dach zmiażdżonego samochodu ściał mu głowę. Matka cudem ocalała. Zabrano ją do szpitala miejskiego w Delphii, gdzie ze złamanym kręgosłupem i z poharatanymi, zalanymi krwią wnętrznościami - serce uparcie pulsowało - żyła jeszcze półtora dnia.

Kierowca ciężarówki wyszedł z wypadku z paroma niegroźnymi sińcami. Ciężarówka zapaliła się i doszczętnie spłonęła wraz z bydłem, więc gdy matka umarła, wniósł do sądu sprawę o odszkodowanie, którym miała być farma rodziców. Sprawę co prawda wygrał, lecz materialnego zadośćuczynienia za poniesione straty nie otrzymał: farma, wraz ze wszystkimi budynkami i ziemią, była obciążona hipoteką, a w chwili śmierci ojciec stał na krawędzi bankructwa.

Sara, moja żona, miała swoją ulubioną teorię. Twierdziła mianowicie, że ojciec popełnił samobójstwo, nie mogąc znieść zenującej i upokarzającej myśli o stale rosnących długach. Spierałem się z nią, jednak bez wielkiego przekonania. Gdy patrzę na to z perspektywy lat, wydaje mi się, że poczynił ku temu pewne przygotowania. Tydzień przed wypadkiem przyjechał do mnie półciężarówką wyładowaną meblami. Nie mieliśmy ich gdzie postawić, zresztą na nic by się nam nie przydały, tylko zagracyłyby dom. Ale bardzo nalegał, mówił, że jeśli ich nie weźmiemy, pojedzie prosto na wysypisko śmieci i wszystkie wyrzuci. W końcu się zgodziłem i mebel po meblu znieśliśmy je do piwnicy. Prosto od nas udał się do mojego brata, Jakuba, i podarował mu półciężarówkę.

No i zostawił testament. W pierwszej klauzuli nakazywał Jakubowi i mnie, żebyśmy złożyli uroczystą przysięgę, że raz w roku, w dniu urodzin ojca, będziemy odwiedzać jego grób.

Następne klauzule tworzyły skomplikowany, dziwaczny i trochę niesamowity dokument, zawierający kilkadziesiąt stron; ojciec wędrował po pokojach naszego starego domu i rozdzielał wszystkie znajdujące się w nich przedmioty bez względu na ich wielkość, przeznaczenie czy wartość: komplet do golenia, szczotka i podniszczona Biblia - dla Jakuba; zepsuty mikser, buty robocze i przycisk do papieru z czarnego kamienia w kształcie wrony -

dla mnie. Bezsensowny wysiłek, próżny trud. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, musieliśmy natychmiast spieniężyć, żeby choć częściowo pokryć jego długi, a rzeczy bezwartościowe? Cóż po nich? Farmę, dom naszego dzieciństwa, też musieliśmy sprzedać. Kupił ją sąsiad. Przyłączył ziemię do swego gospodarstwa, które wchłonęło ją niczym gigantyczna ameba, zburzył dom, zasypał piwnicę i zasiał na tym miejscu soję.

Nigdy, nawet w dzieciństwie, nie byłem z bratem w dobrej komitywie, a w miarę upływu lat stawaliśmy się sobie coraz bardziej obcy. W chwili wypadku nie łączyło nas praktycznie nic poza faktem, że mieliśmy tych samych rodziców. Ich nagła śmierć nie wpłynęła na polepszenie wzajemnych stosunków.

Jakub, trzy lata ode mnie starszy, nie skończył szkoły średniej i mieszkał samotnie w małym mieszkaniu nad sklepem żelaznym w Ashenville - w osadzie na skrzyżowaniu podrzędnych dróg oznaczonym żółtym, dzień i noc migającym światłem, w miasteczku-wsi, jakich pełno w północnym Ohio. Latem pracował na budowie, zimą był bezrobotny i żył z zasiłku.

Natomiast ja skończyłem college - pierwszy z naszej rodziny - a potem dostałem się na uniwersytet w Toledo, gdzie zdobyłem dyplom magistra ekonomii i zarządzania. Ożeniłem się z Sara, koleżanką ze studiów, i przeprowadziliśmy się do Delphii, niecałe pięćdziesiąt kilometrów od Toledo. Tam na przedmieściu kupiliśmy dom, skromny i typowy: ciemnozielona oblicówka z aluminium, czarne okiennice, garaż na dwa samochody, telewizja kablowa, kuchenka mikrofalowa. Wieczorami czytałem „Ostrze Toledo”, popołudniówkę, która z cichym plaśnięciem lądowała co wieczór przed naszymi drzwiami. Rano jechałem do Ashenville, gdzie pracowałem jako główny księgowy i zastępca kierownika magazynu paszowego Raikleya.

Jakub i ja... Nie, nie czuliśmy do siebie żadnych animozji, urazy ani niechęci. Po prostu byliśmy sobą skrupowani, nie wiedzieliśmy, o czym rozmawiać, i rzadko próbowaliśmy to ukryć. Wychodząc z pracy, niejednokrotnie widziałem, jak ucieka przede mną do bramy i za każdym razem miałem ból odczuwał wielką ulgę.

Jedyną więzią, jaka łączyła nas po śmierci rodziców, była przysięga złożona ojcu. Co roku w dniu jego urodzin jechaliśmy na cmentarz i staliśmy nad grobem w nabrzmiałej, niezręcznej ciszy, czekając, aż któryś z nas da znak, że czas minął, że wypełniliśmy zobowiązanie, że pora się pożegnać i wrócić do swojego życia. Te popołudnia, czasami wieczory, były dość przygnębiające i prawdopodobnie zrezygnowalibyśmy z nich już po pierwszym razie, gdyby nie to, że obaj baliśmy się nieokreślonej kary, a może zemsty z za grobu za złamanie uroczystego przyrzeczenia.

Ojciec urodził się trzydziestego pierwszego grudnia, ostatniego dnia roku, więc nasze cmentarne wyprawy -jak każde wydarzenie w okresie świątecznym - miały w sobie coś z rytuału: traktowaliśmy je jak ostatnią przeszkodę dzielącą nas od nowego roku. I w miarę upływu lat stały się praktycznie jedynym momentem, kiedy dochodziło między nami do dłuższej rozmowy. Nadrabiając zaległości, opowiadaliśmy o naszym życiu, wspominaliśmy rodziców albo dzieciństwo, składaliśmy sobie mgliste obietnice, że będziemy widywać się częściej. A potem wychodziliśmy z cmentarza z poczuciem w miarę bezboleśnie spełnionego, choć nieprzyjemnego, obowiązku. Trwało to siedem lat.

Ósmego roku, 31 grudnia 1987, Jakub przyjechał po mnie swoją półciężarówką. Spóźnił się i zamiast o trzeciej zajechał przed dom o wpół do czwartej, w dodatku towarzyszył mu jego przyjaciel Lou i pies. Byli na rybach - zimą łowili prawie codziennie - i przed wizytą na cmentarzu mieliśmy podrzucić Lou do Ashenville.

Nigdy nie przepadałem za Lou, a on chyba nie przepadał za mną. Nazywał mnie „panem księgowym”, a wypowiadał te słowa z ironiczną pogardą, dając mi do zrozumienia, że powinienem wstydzić się swojej pracy, jej konwencjonalności i nijakości oraz stabilizacji finansowej, jaką zapewniała. Dziwnie mnie onieśmiała, chociaż nie wiedziałem, dlaczego. Nie, na pewno nie chodziło o jego fizyczną obecność. Lou był niskim, lekko łysiejącym czterdziestopięcioletnim blondynem z zaczątkami brzucha. Włosy miał bardzo cienkie i rzadkie - prześwitywała spod nich skóra głowy, różowawa i jakby spękana - a zęby krzywe, co sprawiało, że wyglądał nieco komicznie, jak marna, dwuwymiarowa karykatura twardziela z przygodowych książek dla młodzieży, jak stary bokser, uliczny bandzior albo zbiegły więzień.

Gdy ruszyłem w ich stronę, Lou wysiadł, żeby się ze mną przywitać, ale głównie chodziło mu o to, żebym musiał siedzieć pośrodku, między nim a Jakubem.

- Sie masz, Hank - rzekł, szczerząc zęby w uśmiechu.

Siedzący za kierownicą Jakub też się do mnie uśmiechnął. Mery Beth, jego pies, przerośnięty kundel z dominującymi cechami owczarka niemieckiego przemieszanego z labradorem, leżał z tyłu, na skrzyni. Pies był samcem, ale Jakub nazwał go imieniem dziewczyny, z którą chodził w szkole średniej - pierwszej i jedynej dziewczyny w jego życiu - i zawsze mówił o nim „ona”, jakby chciał ukryć jego prawdziwą płć.

Wsiadłem, za mną Lou, po czym Jakub włączył bieg wsteczny i wyjechaliśmy na ulicę.

Mieszkałem na przedmieściu, w Fort Ottowa, w małej dzielnicy, a właściwie w poddzielnicy Delphii; jej nazwa miała upamiętniać bohaterstwo i poświęcenie mieszkańców

granicznej placówki wojskowej; zamierzali tu na śmierć tuż przed wybuchem wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Domy zbudowano na ziemi uprawnej, na bezlitośnie płaskim, równym terenie, który próbowano sztucznie urozmaicić: drogi tworzyły zakola wokół wymagowanych przeszkód, a ludzie sypali na podwórzach wielkie kopce przypominające starożytne kurhany grzebalne i obsadzali je rozłożystymi krzewami. Wszystkie domy na mojej ulicy były maleńkie i stały w rzędzie, jeden przy drugim. Pośrednik handlu nieruchomościami nazywał je domami dla rozpoczynających wspólne życie albo domami spokojnej starości, zależnie od wieku klienta, bo zamieszkiwali je młodożeńcy wstępujący na pierwsze szczeble kariery zawodowej i emeryci, którzy pokonali już szczeble ostatnie: ci pierwsi planowali dzieci i pięli się do góry, chcąc jak najszybciej przeprowadzić się do lepszej dzielnicy, ci ostatni przejadali oszczędności całego życia, zapadali na zdrowiu i czekali, aż dorosłe już dzieci wyślą ich do domu starców. Fort Ottowa: stacja pośrednia, pierwszy i ostatni szczebel drabiny.

Oczywiście Sara i ja należeliśmy do tych pierwszych. Założyliśmy konto w banku - nasze oczko w głowie - i regularnie oszczędzaliśmy w nadziei, że pewnego dnia zrobimy pierwszy krok i wyjedziemy z Delphii, by piąć się coraz wyżej i wyżej. Przynajmniej taki mieliśmy plan.

Minęliśmy granice osiedla, skręciliśmy na zachód; zygzakowate uliczki, zbite grupki jednopiętrowych domków z łukowatymi podjazdami, huśtawkami, ogrodowymi stołami i krzeselkami zostały daleko w tyle. Drogi stały się prostsze i dużo węższe. Miejscami zawiewał je śnieg, tworząc na poboczach długie, cienkie, wężowate zasy. Odległości między domami były coraz większe, bo tutaj nie rozdzielały ich maleńkie trawniczki, lecz wielkie połacie łąk i pól. Drzewa też zniknęły. Horyzont poszerzył się, krajobraz był monotony i posepny. Wjechaliśmy na szarobiałe pustkowie, mijając po drodze coraz mniej samochodów.

Przejażdżka nie należała do wygodnych ani przyjemnych. Półciężarówka Jakuba miała jedenaście lat i nie było w niej chyba ani jednej części, która by na to nie wskazywała. Kiedyś pokrywała ją warstwa jasnoczerwonego lakieru, ulubionego koloru mojego brata, ale czerwień najpierw wypłowiwała, a później nie wiadomo dlaczego ściemniała, przybierając kolor starego burgunda. Burty były pokryte parchami rdzy, amortyzatory dobite, chłodnica uszkodzona, tylne okno wybite i zastąpione plastikową płachtą, radio zepsute, wycieraczki zerwane, a w podłodze ziała dziura wielkości piłki do baseballa. Przez dziurę wpadał do środka strumień lodowatego powietrza i rozdymał prawą nogawkę moich spodni.

Jakub i Lou rozmawiali o pogodzie: o wietrze, o utrzymującej się fali mrozów, o śniegu, który teraz nie padał, ale który na pewno wkrótce spadnie, o tym, że dokładnie rok

temu, akurat w sylwestra, padał deszcz. Ja słuchałem i milczałem. O ile w obecności samego Jakuba odczuwałem niezręczne skrępowanie, o tyle w obecności brata i jego kumpla Lou zawsze byłem zażenowany i wyobcowany. Mieli swój prywatny, aż agresywnie prywatny, sposób porozumiewania się. Mówili językiem zakodowanym, intymnym i pełnym tajemniczych niedomówień, a ich żarty i dowcipy były nie tyle głupie co mętne, dziecinnie naiwne i szkolne. Lou mówił „krawat”, silnie akcentując pierwszą sylabę, na co Jakub krakał jak wrona, i obaj skręcali się ze śmiechu. Wprawiali mnie w zakłopotanie, traciłem orientację i cały czas miałem wrażenie, że się ze mnie nabijają.

Minęliśmy zamrznięty staw, na którym roilo się od śmigających na łyżwach dzieci ubranych w jaskrawe kurtki. W oddali wykwitły niewyraźne plamki starych, zniszczonych stodół. Ten widok zawsze mnie zaskakiwał: od domu dzieliło mnie ledwie dziesięć minut drogi, a tu wokół pola, łąki i farmy.

Przed Ashenville skręciliśmy na południe. Otarłszy się o przedmieścia, pojechaliśmy prosto i zostawiając miasto za horyzontem, dotarliśmy do stanowej autostrady numer siedemnaście. Autostradą trafiliśmy jak po sznurku do Burnt Road, a ta poprowadziła nas na północ, do Anders Park Road, którą przecinał długi betonowy most na Anders Creek. Na jego poręczach leżała gruba warstwa puszystego śniegu, co sprawiało, że wyglądał jak z bożonarodzeniowej bajki, jak most z czarodziejskiego piernika ozdobionego bielutkim lukrem.

Za mostem po prawej stronie drogi rozciągał się park imienia Andersa, coś w rodzaju rezerwatu przyrody, nad którym pieczę sprawowały władze okręgowe. Miał kształt kwadratu o ponad trzykilometrowych bokach z oczkiem stawu dokładnie pośrodku. Latem staw otaczały starannie przystrzyżone trawniki – miejsce idealne na piknik; przyjeżdżały tu chmary wycieczkowiczów z Toledo: jedli, pili, dzieci puszczały latawce, rzucały do siebie latającymi talerzami.

Właścicielem tych terenów był niegdyś Bernard C. Anders, samochodowy magnat z Detroit. Kupił tę ziemię w latach dwudziestych i wybudował na niej wielką rezydencję letnią, której zmurszałe fundamenty wciąż można oglądać nad stawem. Zmarł podczas wielkiego kryzysu, a posiadłość przeszła na żonę. Wprowadziła się do domu i nie zważając na srogie zimy mieszkała w nim przez czterdzieści lat; opuściła rezydencję dopiero tuż przed śmiercią. Nie miała z Andersem dzieci, postanowiła więc oddać ziemię pod opiekę władz okręgu, wszakże pod warunkiem, że powstanie tu rezerwat przyrody imienia jej męża. Jak na rezerwat czy park wypoczynkowy miejsce było dość niezwykle, przypominało bowiem samotną wyspę otoczoną polaciami rozległych pól. Władze okręgu jednak szybko to sobie skalkulowały,

podliczyły ulgi podatkowe związane z założeniem oraz prowadzeniem rezerwatu i skwapliwie warunek zaakceptowały. Dom zburzono, ustawiono stoły, wytyczono trasy wycieczkowe i w ten oto sposób powstał rezerwat przyrody imienia Andersa.

Niecałe dwa kilometry za mostem, mniej więcej w połowie południowego obrzeża parku, drogę przeciął nam lis.

Wszystko zdarzyło się w mgnieniu oka. Po lewej stronie dostrzegłem jakiś ruch, rudą błyskawicę śmigającą po zaśnieżonym polu. Zanim zdążyłem skupić na niej wzrok, zanim dotarło do mnie, że to wielki, czerwonawy lis, zwinny i zdrowy, że w zaciśniętych szczękach dźwiga martwego kurczaka, zanim to wszystko zarejestrowałem - zwierzę było już na drodze, mknąc przez nią tuż przy ziemi, spięte i najeżone, jakby chciało stamtąd zbiec w nadziei, że człowiek go nie zauważy.

Jakub wbił nogą pedał hamulca. Samochód wpadł w poślizg, zarzucił tyłem w lewo, przednim zderzakiem zahaczył o bryły zlodowaciałego śniegu na poboczu i rozorał je z głośnym, metalicznym zgrzytem. Dobiegł nas brzękliwy odgłos pękającego szkła - reflektor poszedł w drzazgi; półciężarówka grzmotnęła w coś i zastygła bez ruchu. Siła uderzenia cisnęła nas do przodu, a przez plastikową płachtę zasłaniającą tylne okno do szoferki wpadł przerażony pies. Wpadł - czułem na karku muśnięcie jego zimnej sierści - w panice przekoziółkował, rozpaczliwie wierzgnął łapami, zniknął w wyrwanej przez siebie dziurze, wskoczył z powrotem na skrzynię, jednym susem przesadził burtę i pognął za lisem w stronę lasu. Pierwszy odezwał się Jakub:

- Kurwa mać! - mruknął cicho, Lou zachichotał i otworzył drzwi. Wysiedliśmy i obe-
szliśmy samochód. Uszkodzeniu uległ tylko reflektor; stanęliśmy przed maską i przez chwilę
patrzyliśmy na sterczące z niego odłamki szkła, Jakub próbował przywołać psa.

- Mary Beth! - wrzasnął, a potem przenikliwie zagwizdał.

Gdy tak staliśmy, doszedłem do wniosku, że nikt nie wzięłby nas za braci. Jakub był podobny do ojca, ja do matki - różnica była ogromna. Mam brązowe włosy i brązowe oczy, jestem średniej budowy ciała i średniego wzrostu. Jakub mierzył kilkanaście centymetrów więcej, miał niebieskie oczy i włosy koloru piasku. I był gruby, bardzo, ale to baaardzo gruby, tak gruby, że wyglądał jak przejaskrawiona karykatura nienasyconego żarłoka. Miał też wielkie dłonie, wielkie stopy, wielkie zęby, ziemistobłądą cerę i nosił grube - jakżeby inaczej! - okulary.

Usłyszeliśmy ujadanie psa. Wyraźnie się od nas oddalało.

- Mary Beth! - wrzasnął Jakub. W miejscu, gdzie staliśmy, rósł gęsty las - klony, dęby, jawory, buki - lecz poszycie było względnie rzadkie i niskie. Na śniegu widniały tropy lisa:

wijąc się między drzewami, znikwały w oddali. Równoległe do nich wiodły tropy Mary Beth, trochę ciemniejsze i głębsze, niczym ślady pozostawione przez hokejowy krążek. Teren był idealnie płaski.

Ujadanie psa cichło z sekundy na sekundę.

Po drugiej stromej drodze rozciągało się wygładzone śniegiem pole. Tam również widniały tropy. Biegły prościutko jak strzelił - wyglądało na to, że lis uciekał zamaskowaną śniegiem bruzdą - przecinały pole i ginęły hen, na horyzoncie. W oddali, na wschodzie, dostrzegłem mgliste sylwetki zabudowań farmy Dwighta Pedersona: kępkę drzew, ciemnoczerwoną stodołę, dwa silosy na zboże i piętrowy dom, w rzeczywistości jasnoniebieski, lecz na tle śnieżnego krajobrazu szarawy i brzydki.

- To był kurczak Pedersona - skonstatowałem. Lou kiwnął głową.

- Zwędził go, skurkowaniec. I to w biały dzień.

Jakub zagwizdał na Mary Beth. Po chwili odnieśliśmy wrażenie, że pies przestał uciekać. Ujadanie ani się nie oddalało, ani zbliżało, nie było ani głośniejsze, ani cichsze. Nadśluchiwaaliśmy, przekrzywiwszy głowy w stronę lasu. Pochłodziło - od pola zaciął ostry wiatr - i miałem ochotę wrócić do szoferki,

- Zawołaj jeszcze raz - poradziłem.

Ale Jakub nie zwracał na mnie uwagi. Patrzył na Lou.

- Zapędziła go na drzewo - mruknął. Lou wcisnął ręce do kieszeni białej wojskowej panterki; kupił ją z demobilu.

- Na to wygląda.

- Nie przyjdzie. Będziemy musieli po nią pójść - dodał Jakub.

Lou kiwnął głową, wyjął z kieszeni wełnianą czapkę i okrył nią różowawą łysinę.

- Spróbuj jeszcze raz, może wróci - powiedziałem. Znowu mnie zignorował, więc zawołałem sam.

-Mary Beth! - W mroźnym powietrzu mój głos zabrzmiał żałośnie cicho.

- Nie wróci - burknął Lou.

Jakub poczłapał do samochodu i otworzył drzwi od strony kierowcy.

- Nie musisz iść, Hank - powiedział. - Jak chcesz, możesz tu poczekać.

Nie miałem ani czapki, ani ciepłych butów - nie planowałem wyprawy przez zaśnieżone pola - ale wiedziałem, że i Jakub, i Lou chcą, żebym został w samochodzie, żebym czekał na nich jak ułomny staruszek, i czułem, że idąc między drzewami, będą się ze mnie nabijać, że kiedy wrócą, zadreczą mnie głupimi docinkami.

Dlatego wbrew własnej woli powiedziałem:

- Nie. Pójdę z wami.

Jakub zajął do szoferki, nachylił się, chwilę macał za fotelem i wychynął z wozu z myśliwską strzelbą w rękę. Z małego kartonowego pudełka wyjął nabój, wsunął go do komory, trzasnął zamkiem i odstawił pudełko za fotel.

- Nie ma powodu. - Robił wszystko, żeby mnie zniechęcić. - Zmarzniesz, i tyle.

Kącikiem oka widziałem, że Lou posyła mu szelmowski uśmiech.

- Po kiego ci ta strzelba? - spytałem.

Jakub wzruszył ramionami. Przytulił broń do piersi i postawił kołnierz kurtki, tak że zakrywał mu uszy. Kurtka była jaskrawoczerwona i jak wszystkie jego ubrania co najmniej o numer za ciasna.

- To rezerwat - dodałem. - Tu nie wolno polować.

Jakub uśmiechnął się.

- Wezmę rekompensatę - odrzekł. - Lisi ogon za stłuczony reflektor. - Zerknął na Lou.

- Zabieram tylko jeden nabój, jak wielki biały myśliwy. Uważasz, że tak będzie w porządku?

- Jak najbarrrdziej - odparł tamten, zawijając czubek języka i przeciągając drugą sylabę ostatniego słowa, na skutek czego skrzekliwie zaterkotało.

Wybuchnęli śmiechem. Jakub wszedł niezdarnie na wysokie pobocze pokryte zwałami ubitego śniegu, zachwiał się, jakby miał runąć na drogę, odzyskał równowagę i powłócząc nogami, ruszył między drzewa. Rozchichotany Lou poszedł za nim, zostawiając mnie samego.

Stałem na pustej drodze i wahałem się, rozdierany dwoma grzechami: lenistwa i dumy. Zwyciężyła duma oraz myśl o docinkach Lou. Z niejakim obrzydzeniem - i wstrętem do samego siebie - wspiąłem się na wysokie pobocze i spieszenie ruszyłem przez śnieg, żeby nie stracić ich z oczu.

W lesie śnieg był głęboki. Zapadałem się w nim po kolana, w dodatku pod gładką, błyszczącą warstwą czyhały różne zasadzki, takie jak pnie powalonych drzew, gałęzie, dziury i pniaki, dlatego wędrówka była o wiele uciążliwsza, niż przypuszczałem. Prowadził Lou. Szedł zwinnie i chyżo, pędził między drzewami jak ścigany szczur. Szedłem krok w krok za nim, a daleko z tyłu sapał Jakub. Twarz miał mocno zaczerwienioną, niewiele jaśniejszą od kurtki, i widać było, że z trudem wlecze swe cielsko przez grząski śnieg.

Ujadanie psa wprawdzie nie milkło, ale wcale nie było głośniejsze.

Szliśmy tak mniej więcej kwadrans. I nagle ściana drzew się skończyła, a teren gwałtownie opadł, tworząc rozległą, płytką nieckę, jakby miliony lat temu uderzył w to miejsce wielki meteoryt i odcisnął w ziemi swój ślad. W poprzek niecki rosły karłowate,

schorowane jabłonie - resztki sadu Bernarda Andersa.

Przystanęliśmy z Lou na krawędzi niecki, żeby poczekać na Jakuba. Nie rozmawialiśmy; brakowało nam tchu. Jakub krzyknął do nas spomiędzy drzew i wybuchnął śmiechem, lecz ani Lou, ani ja nie zrozumieliśmy, o co mu chodzi. Zlustrowałem sad w poszukiwaniu psa i odnalazłem jego trop. Znikał między jabłoniami.

- Nie ma go tu - oznajmiłem.

Lou nadśluchiwał chwilę. Ujadanie było stłumione i odległe.

- Fakt - przyznał - tu go nie ma.

Zatoczyłem wzrokiem koło, wnikliwie obserwując całą nieckę, horyzont i las za plecami. Pustkowie. Jediną żywą istotą, jaką zauważyłem, był Jakub brnący desperacko przez śnieg. Dzielilo go od nas tylko pięćdziesiąt metrów, ale szedł żałośnie wolno. Kurtkę miał rozpiętą i nawet z tej odległości słyszałem jego pełne udręki sapanie. Strzelbą posługiwał się jak laską: ścisnął ją za lufę, kolbę wbijał w śnieg i stapał niczym niezdarna czapla. Zostawił za sobą szerokie pasmo głębokich, splątanych śladów i wyglądało to tak, jakby ktoś włókł go przez las, jakby z kimś przez całą drogę walczył, zaciekle wierzgając nogami.

Gdy do nas dotarł, był zlany potem tak obficie, że skóra dosłownie mu parowała. Lou i ja staliśmy patrząc, jak próbuje złapać oddech.

- Chryste - wychrypiał. - Szkoda, że nie zabraliśmy nic do picia. - Zdjął okulary, potarł je o kurtkę i spojrzał pod nogi, jakby miał nadzieję, że znajdzie tam dzbanek wody.

Lou podniósł rękę, niczym czarodziej zakreślił nią wielki łuk, zbliżył ją do prawego boku, strzelił palcami i wyciągnął z kieszeni puszkę piwa. Otworzył ją, spił pianę i z uśmiechem podał puszkę Jakubowi.

- Zawsze przygotowany - powiedział.

Jakub pociągnął dwa tęgie łyki, robiąc między nimi przerwę dla zaczerpnięcia tchu. Kiedy skończył, zwrócił puszkę Lou. Ten odchylił do tyłu głowę, przytknął puszkę do ust i zaczął pić. Pił długo i powoli, a jabłko Adama chodziło mu tam i z powrotem niczym tłok w cylindrze silnika. Potem chciał poczęstować mnie. To był budweiser; czułem charakterystyczny, słodkawy zapach.

Pokręciłem głową. Dygotałem z zimna. Mięśnie nóg drżały i gwałtownie pulsowały. Wędrownka przez zaśnieżony las wycisnęła ze mnie siódme poty, ale długo czekaliśmy na Jakuba i wilgotna skóra oddawała ciepło jak sprawna chłodnica.

- No co ty? - namawiał Lou. - Łyknij sobie. Piwo ci nie zaszkodzi.

- Nie, dzięki. Nie chce mi się pić.

- Chce ci się, chce. Spływasz potem, przecież widzę.

Miałem zamiar odmówić powtórnie, tym razem bardziej stanowczo, ale przerwał nam Jakub.

- To samolot? - spytał.

Lou i ja odruchowo spojrzeliśmy w niebo, przeszukując wzrokiem chmury i nadstawiając ucha, by wyłować z ciszy monotony warkot silników, i dopiero po dłuższej chwili zauważyliśmy, że Jakub wskazuje ręką resztki sadu Andersa. Powędrowaliśmy spojrzeniem w tamtym kierunku i rzeczywiście pośrodku niecki, między rzędami karłowatych jabłoni, dostrzegliśmy zamaskowane śniegiem wybrzuszenie skrywające maleńką jednosilnikową awionetkę.

Lou i ja dotarliśmy do niej pierwsi.

Samolot spoczywał płasko na brzuchu. Wyglądało to tak, jakby z nieba wychynęła gigantyczna ręka, wetknęła go pod gałęzie drzew i zasypała śniegiem. Zdumiewające było to, że nie zauważyliśmy prawie żadnych uszkodzeń ani zniszczeń. Owszem, łopaty śmigła były wygięte i zniekształcone, lewe skrzydło lekko zadarte i odgięte do tyłu, na skutek czego w poszyciu kadłuba powstała mała dziura, lecz wokół samolotu nie dostrzegliśmy najmniejszych śladów katastrofy: ani połamanych drzew, ani głębokich, czarnych wyrw w ziemi, które wskazywałyby miejsce upadku i trasę, jaką maszyna pokonała siłą rozpędu.

Obeszliśmy wrak, ale nie zbliżyliśmy się do niego na tyle, by móc go dotknąć. Samolot był zaskakująco mały, nie większy od półciężarówki Jakuba, i sprawiał wrażenie zadziwiająco kruchego, zbyt kruchego i delikatnego, żeby dźwignąć i utrzymać w powietrzu człowieka.

Do sadu wczłapał niezdarnie Jakub. Śnieg był tu znacznie głębszy niż w lesie i z daleka odnosiło się wrażenie, że brat brnie ku nam na kolanach. Wciąż dobiegało nas sporadyczne, stłumione odległością ujadanie Mary Beth.

- Jezus Maria - szepnął Lou. - Spójrz tylko na te ptaszki.

Początkowo ich nie zauważyłem - znieruchomiały, zamarły na gałęziach drzew - lecz w chwili, gdy je spostrzegłem, odniosłem wrażenie, że osaczają nas ze wszystkich stron. Były dosłownie wszędzie, wypełniały cały sad: całe setki, może nawet tysiące czarnych wron wczepionych nieruchomo w ciemne, nagie gałęzie jabłoni.

Lou zrobił śniegową pigułę i cisnął nią w ptaki. Trzy wrony zerwały się do lotu, niespiesznie zatoczyły krąg nad samolotem i cicho zatrzepotały skrzydłami, wylądowały na sąsiednim drzewie. Jedna z nich donośnie zakrakęła. Ściany płytkiej niecki odpowiedziały posępnym echem.

- Trochę tu straszno, kurwa... - wymamrotał Lou, dygocząc z zimna.

Nadszedł Jakub, sapiąc i dysząc jak stara lokomotywa. Kurtkę miał wciąż rozpiętą, a zza paska wystawała mu poła koszuli. Przystanął, odetchnął i spytał:

- Jest tam kto?

Nie odpowiedzieliśmy. Szczerze mówiąc, nawet o tym nie pomyślałem, ale rzeczywiście w środku ktoś musiał być: najpewniej pilot, w dodatku martwy. Przeszedł mnie zimny dreszcz. Patrzyłem na samolot. Lou znowu cisnął we wrony śniegową pigułą.

- Nie sprawdziliście? - spytał Jakub.

Podał strzelbę Lou i poczłapał do awionetki. Tuż za uszkodzonym skrzydłem były drzwi. Chwycił za klamkę i szarpnął. Metalicznie zazgrzytało, zapiszczało, drzwi uchyliły się na dziesięć, piętnaście centymetrów i znieruchomiały. Jakub spróbował jeszcze raz: szarpnął ze wszystkich sił i szpara między drzwiami a kadłubem poszerzyła się najwyżej o dwa centymetry. Chwycił za krawędź obiema rękami i pociągnął tak mocno, że samolot zachwiał się i zakołysał, zrzucając z kadłuba śniegową czapę i odsłaniając srebrzysto lśniący metal poszycia. Drzwi ani drgnęły.

Jego śmiałe poczynania natchnęły mnie odwagą. Podeszedłem bliżej i zajrzałem do środka przez odsłoniętą szybę kabiny, ale nie dostrzegłem absolutnie nic. Pleksiglas był popękany, a pajęczynę mikroskopijnych pęknięć, tworzącą skomplikowane desenie, pokrywała gruba warstwa lodu.

Jakub nadal walczył z drzwiami. W końcu uległ. Oddychał szybko i ciężko, jak po długim biegu.

Lou stał nieco dalej. Ze strzelbą brata ułożoną na zgięciu łokcia, wyglądał jak wartownik albo strażnik.

- Zakleszczyły się - skonstatował. Chyba z ulgą. Jakub zajrzał przez szczelinę do kabiny, ale zaraz cofnął głowę.

- No i? - spytał Lou. Brat wzruszył ramionami.

- Za ciemno, nic nie widać. Jeden z was będzie musiał tam wejść i sprawdzić. - Zdjął okulary i otarł ręką spoconą twarz.

- Hank jest najdrobniejszy - odrzekł szybko Lou.

- Najłatwiej się przecisnąć. - Puścił do Jakuba oko, a mnie obdarzył łajdackim uśmiechem.

- Ja? Uważasz, że jestem drobniejszy od ciebie?

Poklepał się po niewielkim, ale już widocznym brzuchu. _ Jesteś najchudszy, tylko to się liczy.

Spojrzałem na Jakuba, szukając u niego pomocy, ale natychmiast stwierdziłem, że mi

jej nie udzieli. Wciągnawszy tłuste policzki, szczyrzył zęby w wyzywającym uśmiechu.

- Co ty na to, Jakub? - spytał Lou. – Dobrze mówię? Brat parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał.

- Ty chyba rzeczywiście nie przejdiesz, Lou - odrzekł. - Nie z tym kałdunem. - I obaj spojrzeli na mnie.

- To nie ma sensu. Po cholere tam zaglądać? - spytałem.

Lou rozciągnął usta w paskudnym uśmiechu.

Załopotały ptasie skrzydła. Kilka wron wbiło się w powietrze i przysiadło na sąsiednim drzewie. Miałem wrażenie, że całe stado uważnie nas obserwuje.

- Lepiej odnajdźmy psa - dodałem - wróćmy do miasta i zameldujmy komu trzeba.

- Masz pietra, Hank? - spytał Lou i przelożył strzelbę na drugie ramię.

Tkwiałem w potrzasku. To idiotyczne przedstawienie mierziło mnie i odpychało. W zakamarkach umysłu odezwał się mój własny głos i wyraźnie słyszałem, jak analizuje sytuację, jak stwierdza, że mam odruchy nastolatka, że zamierzam zrobić coś głupiego, coś zupełnie bezsensownego tylko po to, by dowieść odwagi dwóm mężczyznom, których nie darzyłem najmniejszym szacunkiem. Głos mówił i mówił, tłumaczył rzecz racjonalnie i spokojnie, wyluszczał argumenty, a ja słuchałem, ze wszystkim się zgadzałem i rozsierdzony zmierzałem w stronę półotwartych drzwi awionetki.

Jakub cofnął się, zrobił mi miejsce. Wetknąłem głowę do kabiny i odczekałem, aż oczy przywykną do mroku.

W środku samolot robił wrażenie jeszcze mniejszego. Powietrze było tam chyba trochę łagodniejsze i na pewno dużo wilgotniejsze niż na zewnątrz. Jak w cieplarni, pomyślałem. Ogarnęło mnie dziwne, a może raczej niesamowite uczucie. Przez niewielkie rozdarcie w poszyciu kadłuba wpadała do środka cieniutka struga światła. Przecinała ciemne wnętrze kabiny niczym promień dogorywającej latarki, rysując na przeciwległej burcie mały półksiężyc. Tylna część kabiny tonęła w aksamitnym mroku, ale wyglądało na to, że jest zupełnie pusta, że podłoga zwęża się ku ogonowi, a burty schodzą ku sobie. Niedaleko za progiem leżała wielka płócienna torba. Gdybym wyciągnął rękę, mógłbym ją chwycić i wydostać.

W przedniej części kabiny stały dwa fotele, szarawe w nikłym świetle sączącym się zza oblodzonej szyby. Jeden był pusty, ale w drugim ujrzałem bezwładne ciało mężczyzny z głową na desce rozdzielczej.

Cofnąłem się o krok.

- Widać go.

Wbili we mnie wzrok. - Trup? - spytał Jakub.

Wzruszyłem ramionami.

- Od wtorku nie padało. Musi tu leżeć co najmniej od dwóch dni.

- Sprawdź, może jeszcze żyje - powiedział Lou. Nie chciałem wracać do samolotu.

Uważałem, że to głupie, że nie powinni mnie do tego zmuszać.

- Chodźmy po psa - odrzekłem niecierpliwie. Lou znowu wyszczerzył zęby.

- Chyba powinniśmy sprawdzić.

- Daj spokój. Przecież to bzdura. Minęły dwa dni, jak mógł przeżyć?

- Dwa dni to niedługo - zauważył Jakub. - Słyszałem o ludziach, którzy wytrzymywali całe tygodnie.

- Zwłaszcza na zimnie - dodał zgodnie Lou. - To jak przechowywanie żarcia w lodówce.

Czekałem, aż puści do brata oko, ale nie, tym razem do niego nie mrugnął.

- Co za sprawa? - zachęcał Jakub. - Wejdiesz do środka, sprawdzisz i po krzyku.

Zmarszczyłem czoło wiedząc, że znowu przyparli mnie do muru. Zajrzałem do kabiny.

- Mógłbyś przynajmniej odskrobać szybę - mruknąłem do Jakuba.

Wydał z siebie długie, teatralne westchnienie, dając popis przed Lou, nie przede mną, ale poczłapał w stronę śmigła.

Zacząłem przeciskać się przez szparę między drzwiami a burtą. Obróciłem się na bok, wsunąłem do środka głowę i ramiona, lecz gdy przysła kolej na pierś, drzwi ścisnęły mnie niczym żelazne kleszcze. Chciałem się wycofać, lecz natychmiast stwierdziłem, że nic z tego: zaczepiłem o coś kurtką i koszulą. Piły mnie pod pachami, podwinęły się, odsłaniając plecy i wystawiając je na podmuchy zimnego wiatru.

Szybę przesłoniła ciemna sylwetka Jakuba. Słyszałem, jak zeskrobuje z niej lód i czekałem, aż w kabinie trochę pojaśnieje. Nie pojaśniało. Jakub zaczął walić w szybę pięścią. W pustej kabinie zadudniło głucho, stłumione echo. Przypominało bicie wielkiego serca.

Wziąłem głęboki oddech, wypuściłem powietrze i szarpnąłem się do przodu. Zelzał uchwyt żelaznych kleszczy, które teraz ścisnęły mi brzuch na wysokości pępka. Już miałem spróbować jeszcze raz myśląc, że następne szarpnięcie wystarczy, że wpelnzę do kabiny, zerknę na martwego pilota i czym prędzej stamtąd wyjdę, gdy wtem zauważyłem dziwną rzecz. Ciało pilota drgnęło, poruszyło się. Głowa spoczywająca na desce rozdzielczej podskakiwała i kiwała się na boki.

- Hej tam - szepnąłem. - Kolego, żyjesz? - Mój głos odbił się echem od metalowych

ścian poszycia.

Jakub walił ręką w szybę. Łup-łup. Łup-łup. Łup-łup.

Grzmotnąłem pięścią w burzę.

-Lou! . Słyszałem, jak podchodzi bliżej.

- Co? Łup-łup. Łup-łup. Łup-łup. To Jakub. To tylko Jakub. Głowa pilota znieruchomiała i straciłem pewność siebie. Spróbowałem wpełznąć głębiej.

Jakub przestał walić w szybę.

- Powiedz mu, że nie mogę tego cholerstwa odskrobać! - wrzasnął.

- On utknął! - odkrzyknął rozradowany Lou.

- Spójrz, utknął jak korek w butelce.

Poczułem, że obejmuje mnie powyżej pasa, że wbija palce w obnażone ciało, by mnie boleśnie poślaskać. Kopnąłem prawą nogą, chybiłem, tracąc grunt pod lewą, ale nie upadłem, bo przytrzymały mnie drzwi. Ryknęli śmiechem. Słyszałem ich jak z oddali. Śmiech był stłumiony, bezdźwięczny i pusty.

- Teraz ty! - zachęcał Jakuba Lou. - Teraz ty!

Szarpnąłem się i odepchnąłem ze wszystkich sił, nie wiedząc nawet, czy chcę wejść do samolotu, czy z niego wyjść, pragnąłem tylko uciec, uwolnić się z koszmarne uścisku, więc kopałem nogami śnieg, rozkołysałem samolot jak huśtawkę, gdy nagle w przedniej części kabiny dostrzegłem jakiś ruch.

Początkowo nie wiedziałem, co to jest. Znowu odniosłem wrażenie, że głowa pilota drga, że lekko się chwieje i raptem coś spod niej wystrzeliło, coś wzbilo się w powietrze i rozpaczliwie załomotało w spleknaną szybę. Sekundę później uświadomiłem sobie, że nie załomotało, a raczej zatrzepotało. To był ptak, wielka czarna wrona, pewnie jedna z tych, które obsiadły skarłowaciałe jabłonie.

Oderwała się od szyby, przysiadła na oparciu fotela i zaczęła poruszać łebkiem. Jakby nim kiwała: w przód i w tył, w przód i w tył. Ostrożnie, bezszelestnie spróbowałem wpełznąć rakiem w szczelinę i uciec z kabiny, ale w tej samej chwili wrona zerwała się do lotu: grzmotnęła w szybę, odbiła się od niej i runęła prosto na mnie.

Zamarłem. Zastygłem bez ruchu jak zahipnotyzowany, po prostu patrzyłem, i dopiero w ostatnim momencie, gdy już, już miała na mnie wpaść, wtuliłem głowę w ramiona.

Trafiła w sam środek czoła. Chyba dziobem, bo uderzyła mocno, boleśnie. Usłyszałem swój krzyk - krótki, urwany i przeszywający jak psi skowyt. Szarpnąłem się do tyłu, potem do przodu i uwolniony z pułapki wpadłem do kabiny. Wylądowałem na płóciennej torbie i nawet nie próbowałem wstać.

Wrona zawróciła, znowu grzmotnęła w szybę, znowu się od niej odbiła, poleciała w stronę odetkanych już drzwi, ale w ostatniej chwili skręciła w prawo i śmignęła ku wystrzępionej dziurze w poszyciu kadłuba. Usiadła tam, chwilę siedziała, potem wetknęła łeb w otwór i niczym czarny szczur czmychnęła na wolność.

Słyszałem, jak Lou wybucha śmiechem.

- Kurwa mać! - zawołał. - Wrona! Pierdolona wrona! Widziałeś?

Dotknąłem ręką czoła. Palilo mnie trochę, a gdy spojrzałem na rękawiczkę, stwierdziłem, że jest pobrudzona krwią. Odsunąłem płócienną torbę - była ciężka, wypełniona twardymi, kanciastymi przedmiotami, jakby książkami - i usiadłem na podłodze. Wąska smuga światła wpadającego przez półotwarte drzwi przecinała mi nogi.

Do środka zajrzał Jakub. W kabinie pociemniało.

- Widziałeś ją? - spytał. - Widziałeś tę wronę? Dostrzegałem tylko zarys jego głowy, ale wiedziałem, że się uśmiecha.

- Dziobnęła mnie.

- Dziobnęła cię? - Chyba nie uwierzył. Odczekał

chwilę, potem się cofnął. - Ta kurwa go dziobnęła, słyszałeś?

Lou zachichotał. Jakub znowu wetknął głowę do środka.

- Nic ci nie jest?

Nie odpowiedziałem. Byłem na nich zły, czułem, że do niczego by nie doszło, gdyby nie zmusili mnie do penetracji wraka. Kucnąłem i zacząłem przesuwac się w stronę foteli. Zza burty dobiegł mnie ledwo słyszalny głos Lou:

- Myślisz, że ptaki przenoszą wściekliwość albo jakieś inne świństwo?

Jakub milczał.

Pilot miał na sobie dzinsy i flanelową koszulę. Był niskim drobnym mężczyzną w wieku dwudziestu paru lat. Poklepałem go po ramieniu. - Żyjesz? - szepnąłem.

Ręce zwisały mu po bokach, czubki palców muskały podłogę. Dłonie miał spuchnięte, nieprawdopodobnie wielkie i rozdęte, jak nadmuchane rękawiczki chirurgiczne, a paluchy lekko zakrzywione. Rękawy koszuli były podwinięte i widziałem włosy na jego przedramionach, poskręcane i czarne na tle upiornie bladej skóry. Chwyciłem go za ramię i odciągnąłem do tyłu. Opadł ciężko na oparcie fotela, a wtedy, przerażony widokiem jego twarzy, podskoczyłem, waląc głową w niski sufit kabiny.

Wrona wydziobała mu oczy. Wyjadła je, tak że pochyliwszy lekko głowę, patrzył na mnie czarnymi oczodołami. Ciało wokół nich było rozszarpane i nadjedzone. Spomiędzy ochłapów prześwitywała naga kość policzkowa, blada w nikłym świetle i przezroczyta jak

plastik. Pod nosem zakrzepł mu krwawy sople. Zakrzepł i zwisał, sięgając dolnej szczęki.

Odstąpiłem o krok, walcząc z gwałtownymi mdłościami. Mimo to coś mnie do niego ciągnęło. Coś dziwnego, ciekawość, nie ciekawość, może nawet coś jeszcze silniejszego, bo nagle odczułem absurdalną chęć zdjęcia rękawiczek i dotknięcia jego twarzy. Było to pragnienie potężne, przemożne i chorobliwe, ale nie wiedziałem, jak je nazwać, bałem się go, więc usiłowałem je zdusić, zdławić w sobie: znowu cofnąłem się o krok, potem o jeszcze jeden i następny, a gdy zrobiłem krok czwarty, pragnienie minęło, ustępując miejsca niepohamowanej odrazie. Wracałem do drzwi, a pilot śledził mnie pustymi oczodołami. Z tej odległości wydawało się, że ma błagalny wyraz twarzy, błagalny i żalony, jak szop. Jakub wciąż stał tuż za drzwiami.

- Co ty tam, kurwa, robisz? - spytał. Nie odpowiedziałem. Pulsowało mi w skroniach. Potknąłem się o płócienną torbę, przystanąłem, zrobiłem niezdarny obrót wokół własnej osi i kopnąłem torbę w stronę wyjścia. Była zdumiewająco ciężka, jakby pełna ziemi, i jej niespodziewany ciężar przyprawił mnie o nową falę szarpiających mdłości, jeszcze silniejszych niż te, które zaatakowały mnie przy zwłokach pilota.

- Co się stało? - spytał Jakub.

Szedłem ku niemu przykurczony, sunąc przed sobą torbę. Głowa brata zniknęła.

Gdy dotarłem do drzwi, napałem na nie ramieniem i wykorzystując ciężar ciała oraz to, że zamiast ciągnąć, mogłem je teraz pchać, zdołałem poszerzyć szparę o siedem, osiem centymetrów. Lou i Jakub obserwowali mnie, a na ich twarzach rysowało się wyraźne zaciekawienie przemieszane z rozbawieniem i strachem. Dzień był jaśniejszy niż przedtem, ale wiedziałem, że to tylko oczy płatają mi figle. Przecisnąłem torbę przez szparę, wychynałem za nią i z trudem wyszedłem na śnieg.

- Krwawisz - zauważył Jakub. Odruchowo podniósł rękę do czoła i spojrzał na Lou. - Naprawdę go dziobnęła.

Lou otaksował mnie spojrzeniem. Czulem, że na lewą brew ścieka mi strumyczek dziwnie zimnej krwi.

- Wydziobała mu oczy - powiedziałem. Patrzyli na mnie nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Ta wrona - dodałem. - Usiadła mu na kolanach i wyjadła oczy.

Jakub wykrzywił twarz. Lou zerknął na mnie sceptycznie.

- Widać czaszkę - mówiłem - nagą kość. - Przykucnąłem, zgarnąłem trochę śniegu i przyłożyłem go do czoła. Zapiękło.

Wiatr przybrał na sile i jabłonie w sadzie Andersa zaczęły się chwiać i potrząsywać.

Siedzące na gałęziach wrony musiały od czasu do czasu trzepotać skrzydłami, żeby nie stracić równowagi. Światło dnia bladło, a wraz ze światłem odchodziły resztki ciepła. Było coraz mroźniej.

Oderwałem rękę od czoła i spojrzałem na brązowawy od krwi śnieg. Zdjąłem rękawiczkę i dotknąłem palcem skaleczenia. Rana była zimna i dość bolesna. Opuszkami palców wyczułem rosnący guz, jakby ktoś zaszył mi pod skórę szklaną kulkę do gry albo maleńkie jajko.

Lou przykucnął nad płócienną torbę. Była mocno zasznurowana i musiał zdjąć rękawice, żeby rozsupłać węzeł. Obserwowaliśmy z Jakubem, jak się do tego zabiera. Po chwili go rozwiązał i otworzył torbę.

Gdy zajrzał do środka, wyraz jego twarzy przeszedł całą gamę gwałtownych zmian. Najpierw chyba był zdumiony, a może oszołomiony, bo wybałuszywszy oczy, lekko podniósł brwi i próbował skupić wzrok na tym, co widzi. Zaraz potem twarz mu spurpurowiała z podniecenia i rozbawienia, a usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, odsłaniając krzywe zęby. Obserwując go, czułem, że nie chcę wiedzieć, co torba zawiera.

Wsadził do środka rękę i dotknął tego czegoś z wahaniem, z jakim dotyka się węża, który może w każdej chwili ugryźć.

- O rzesz kurwa mać... - wyszeptał. Jakub przyczłapał bliżej.

- Co? - spytał.

Wiedziałem, że torba jest bardzo ciężka i nagle ogarnęło mnie paralizujące przeczucie, że są w niej zwłoki. Całe albo poćwiartowane.

- To pieniądze - oświadczył Lou, spoglądając z uśmiechem na Jakuba. - Spójrz. - Przechylił ku niemu torbę.

Jakub kucnął, zmrużył oczy i rozdziawił usta. Ja też zajrzałem. Torba była wypełniona pieniędzmi, paczkami pieniędzy oklejonymi cienkimi papierowymi banderolami.

- Same setki - skonstatował Lou. - Studolarowe banknoty. - Wyjął jeden plik i podniósł go na wysokość twarzy.

- Nie dotykaj tego - ostrzegłem go wstając. - Zostawisz odciski palców.

Zerknął na mnie z goryczą, ale wrzucił pieniądze do torby i nałożył rękawiczki.

- Jak myślisz, ile tu może być? - spytał Jakub. Obaj spojrzeli na mnie, gdyż uznali, że jako pan księgowy powinienem się na tym znać.

Otaksowałem torbę spojrzeniem, próbując odgadnąć, ile paczek mogłoby w nią wejść.

- Dziesięć tysięcy w paczce... Pewnie około trzech milionów dolarów - odrzekłem bez zastanowienia. Jeszcze nie zdążyłem zamknąć ust, gdy dotarło do mnie, że to przecież

kompletny absurd, że sam w to nie wierzę.

Lou podniósł inną paczkę.

- Nie dotykaj tego - ostrzegłem ponownie.

- Przecież mam rękawiczki.

- Ci z policji będą chcieli zdjąć odciski palców. Możesz je zatrześć.

Zmarszczył czoło, ale wrzucił pieniądze do torby.

- Są prawdziwe? - spytał Jakub. - To prawdziwy szmal?

- Nie bądź głupi - odrzekł Lou. - Jasne, że prawdziwy.

Jakub puścił tę uwagę mimo uszu.

. - Hank, myślisz, że to forsa tych, co handlują prochami?

Pokręciłem głową i machnąłem ręką w stronę torby.

- Chyba nie. To pieniądze z banku. Paczki studolarowych banknotów. Sto banknotów w paczce i banderolka. Tak je tam sortują.

Nagle po drugiej stronie sadu ujrzeliśmy Mary Beth. Pies szedł powoli przez śnieg w stronę samolotu. Sprawiał wrażenie zdegustowanego i zawiedzionego, że nie pomogliśmy mu upolować lisa. Patrzyliśmy, jak ku nam zmierza, ale żaden z nas nie skomentował faktu, że pies nareszcie wrócił. Jedna z wron rozczapierzyła skrzydła i ostrzegawczo zakrakała, krótko i skrzekliwie. W czystym mroźnym powietrzu jej drapieżny krzyk zabrzmiał jak dźwięk trąbki.

- Obłąd - wymamrotałem. - Facet musiał obrabować bank. Jakub z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Trzy miliony dolców...

Pies nadbiegł od strony śmigła. Zamerdał ogonem i obdarzył nas zmęczonym, smutnym spojrzeniem. Jakub przykucnął i machinalnie poklepał go po łbie.

Lou podniósł głowę.

- Pewnie chcesz o tym zameldować - ni to spytał, ni stwierdził.

Popatrzyłem na niego zaszokowany. Do tej chwili nawet nie pomyślałem, że mamy jakiś wybór.

- A co? Chciałbyś to sobie przywłaszczyć?

Lou zerknął na Jakuba, szukając u niego wsparcia, i znowu przeszył mnie wzrokiem.

- Dlaczego nie mielibyśmy zatrzymać sobie po paczce, a resztę zwrócić? Dziesięć kawałków dla każdego. Kupa szmalu.

- Po pierwsze dlatego, że to kradzież. Lou był tak zniesmaczony, że aż prychnął.

- Kradzież? Niby kogo byśmy okradli? - Spojrzał w stronę samolotu. - Jego? Jemu

forsa już niepotrzebna.

- To bardzo dużo pieniędzy - tłumaczyłem. - Ktoś wie, że zginęły i na pewno ich szuka.

- Chcesz powiedzieć, że gdybym wziął jedną paczkę, to byś mnie wsypał? - Wyjął z torby plik owiniętych banderolą banknotów i wyciągnął do mnie rękę, jakby chciał mi te pieniądze podarować.

- Nie musiałbym, Lou. Ten, kto tej torby szuka, dobrze wie, ile w niej jest. Gdybyśmy zwrócili mniej, gdybyś zwinął paczkę i zaczął szastać w miasteczku studolarowymi banknotami, szybko by zrozumiał, co się tu wydarzyło.

Lou machnął ręką.

- Kicham na to. Chętnie zaryzykuję. - Spoglądał to na mnie, to na Jakuba i szczyrzył do nas zęby. Jakub rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

Zmarszczyłem brwi.

- Nie bądź durniem, Lou.

Lou wciąż się uśmiechał. Wsunął paczkę pieniędzy do kieszeni, wyjął z torby drugą i podał ją Jakubowi. Brat wziął pieniądze, ale wyglądało na to, że nie bardzo wie, co z nimi zrobić. Przycupnął na śniegu ze strzelbą w jednej ręce, z dziesięcioma tysiącami dolarów w drugiej i wyczekująco patrzył na mnie. U jego stóp tarzał się pies.

- Nie, chyba byś mnie nie wsypał, Hank - powiedział Lou. - Tym bardziej własnego brata, he?

- Podrzucić mnie do najbliższego telefonu, to zobaczysz.

- Naprawdę byś mnie przypurował? - spytał.

Chciałem strzelić palcami, ale byłem w rękawiczkach i nic z tego nie wyszło.

- W trymiga.

- Ale dlaczego? Przecież nikomu nie zrobilibyśmy krzywdy. Jakub wciąż siedział w kucki z pieniędzmi w ręku.

- Zostaw to, Jakub - powiedziałem. Nie zareagował.

- Ty to co innego - mówił dalej Lou. - Ty masz robotę w magazynie. My z Jakubem jesteśmy bez pracy. Ta forsa dużo dla nas znaczy, Hank.

Głos mu się załamał i Lou zaskowytał jak zbity pies. Nagle poczułem olśniewający smak władzy: zdałem sobie sprawę, że dynamika całego układu uległa gwałtownej zmianie, że mam ich w garści, że teraz ja dyktuję warunki. Tak, to ode mnie zależał ewentualny podział łupu, to ja miałem zdecydować, co się stanie z pieniędzmi. Pozwoliłem sobie na lekki uśmieszek.

- Lou, nawet gdybym zrezygnował ze swego udziału, to i tak wpakowałbyś mnie w kłopoty. Schrzanilibyś coś, dopadliby cię i uznali mnie za współnika.

Jakub chciał wstać, ale zmienił zdanie i znowu przykucnął.

- A może weźmy wszystko? - spytał, spoglądając to na mnie, to na Lou.

- Wszystko? - powtórzyłem. Myśl była tak niedorzeczna, że zacząłem się śmiać, ale zaraz przestałem, bo rozbolało mnie zranione czoło. Wykrzywiłem twarz i ostrożnie pomacałem palcami guz. Skaleczenie lekko krwawiło.

- Wszystko - odrzekł. - Weźmiemy torbę, trupa zostawimy w kabinie i jakby nigdy nie wrócimy do domu.

Lou kiwnął energicznie głową, zachwycony pomysłem.

- Jasne, jakby nas tu w ogóle nie było. Szmal podzielimy na trzy części, i szafa gra.

- Zgarnęliby nas, jak tylko zaczęlibyśmy wydawać pieniądze - odparowałem. - Wyobraź sobie: chodzimy po miasteczku i szastamy studolarowymi banknotami.

Jakub wzruszył ramionami.

- Moglibyśmy trochę odczekać, potem wyjechać z miasta i zacząć nowe życie gdzie indziej.

- Melon na głowę - wyliczył Lou. - Pomyśl, Hank. Cały melon.

Westchnąłem.

- Lou, taki numer nigdy nie przejdzie. Zrobisz coś głupiego i natychmiast cię złapią. Wystarczy jeden fałszywy krok, i po herbacie.

- Hank, czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? - spytał niecierpliwie Jakub. - To tak, jakby tych pieniędzy w ogóle nie było, jakby nie istniały. Nikt o nich nie wie. Nikt oprócz nas.

- To trzy miliony dolarów, Jakub. Skądś wyparowały. Chyba nie chcesz powiedzieć, że nikt nie będzie ich szukał?

- Gdyby ktoś ich szukał, na pewno byśmy o tym słyszeli, nie? Mówiliby o tym w dzienniku.

- To szmal z przemytu narkotyków - spekulował Lou. - Lewe pieniądze. Rząd o nich nie wie. Nikt o nich nie wie.

- Przecież nie można... - zacząłem, ale Lou nie pozwolił mi dokończyć.

- Chryste, Hank, spójrz tylko na tę forszę. Leży przed tobą i aż się prosi, żeby ją wziąć. To jak amerykański sen, a ty chcesz tak po prostu odejść?

- Na amerykański sen się haruje, Lou - skont-rowałem. - Nie można go ukraść.

- W takim razie to coś lepszego niż amerykański sen.

- Właściwie z jakiego powodu mielibyśmy te pieniądze zwracać? - spytał Jakub. - Gdybyśmy je wzięli, nic by się nie stało. Przecież nikogo byśmy nie skrzywdzili, nikt by o tym nie wiedział.

- Kradzież to dla ciebie mało? - odrzekłem.

- To nie jest kradzież - powiedział z determinacją.

- To tak jak znalezienie skarbu, jak znalezienie kufra ze złotem.

W tym, co mówił, było trochę sensu, mimo to cały czas miałem wrażenie, że coś przeoczyliśmy. Pies żałośnie zaskomlał i Jakub pogłaskał go, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. Wrony siedziały cicho na gałęziach drzew, zziębnięte i nastroszone niczym miniaturowe sępy. Szybko zapadał zmrok. - Jak pragnę zdrowia, Hank - powiedział Lou.

- Chcesz przesrać taką okazję?

Milczałem. Ciągłe się wahałem, miałem wątpliwości. Chociaż bawiło mnie poczucie władzy i świadomość, że Lou i Jakub są ode mnie zależni, chociaż ciągnęło mnie, żeby odmówić, nie chciałem powiedzieć czegoś, czego bym później żałował. I zupełnie odruchowo, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, zacząłem szukać sposobu na przywłaszczenie pieniędzy. Wszystkich pieniędzy. Na przywłaszczenie trzech milionów dolarów. I nagle, jak w bajce, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wpadłem na znakomity pomysł; wylął mi się w głowie bardzo prosty plan, dzięki któremu moglibyśmy wziąć pieniądze bez strachu, że wpadniemy. Przecież wystarczyło przetrzymać torbę, ukryć ją do czasu, aż ktoś znajdzie wrak samolotu. Wcześniej czy później ktoś musi go znaleźć. Jeśli sprawa będzie czysta, myślałem, jeśli ani w prasie, ani w telewizji nikt nie wspomni słowem, że z kabiny zniknęły trzy miliony dolarów żywą gotówką, podzielimy pieniądze na trzy części i każdy pójdzie swoją drogą. Jeżeli natomiast okaże się, że ktoś o pieniądzach wie, po prostu je spalę. Jedyne obciążającymi nas dowodami byłaby torba i jej zawartość. Miałbym ich w garści, Jakuba i Lou, trzymałbym ich w szachu do ostatniej chwili. I w ostatniej chwili mógłbym pozbyć się wszystkich dowodów winy.

Patrząc wstecz na późniejsze wydarzenia, dochodzę do wniosku, że zastraszająca łatwość i szybkość, z jaką podjąłem decyzję o wkroczeniu na tę koszmarną drogę, sam fakt, że postanowiłem na nią wkroczyć, był czystym szaleństwem. Tak, bo trwało to najwyżej dwadzieścia sekund, ledwie jedną trzecią minuty. Przez jedną trzecią minuty całkowicie panowałem nad sytuacją, byłem panem ich losu i losu własnego, władcą absolutnym decydującym o dalszym życiu Jakuba i Lou i o przeznaczeniu leżących przede mną pieniędzy. Mimo to zupełnie nie zdawałem sobie z tego sprawy, straciłem zdolność przewidywania i nie wiedziałem, że za kilka sekund zdecyduję o pierwszym z długiej serii wydarzeń, które miały

radykałnie odmienić nasze życie. W swej głębokiej niewiedzy wybór, jakiego dokonałem, wydawał się prosty i nieskomplikowany: jeśli zrezygnuję, zrobię krok nieodwołalny - przekażę torbę szeryfowi i sen pryśnie. Teraz. Zaraz. Natomiast mój plan pozwoliłby mi odłożyć decyzję do chwili uzyskania konkretniejszych informacji. Owszem, to też pewien krok, ale krok bynajmniej nie ostateczny.

- Dobrze - powiedziałem. - Włóżcie pieniądze do torby.

Nie drgnęli.

- Bierzemy wszystko? - spytał Lou.

- Ja biorę wszystko.

Jakub na chwilę oniemiał.

- Ty? Jak to?

- Zrobimy tak. Zabiorę pieniądze i przetrzymam je przez pół roku. Jeśli przez ten czas nikt nie będzie ich szukał, podzielimy całość na trzy części.

Patrzyli na mnie i długo trwało, zanim to do nich dotarło.

- Dlaczego akurat ty? - spytał Lou.

- Bo u mnie będą najbezpieczniejsze. Bo mam rodzinę i pracę. Bo mam najwięcej do stracenia.

- Dlaczego nie podzielić wszystkiego już teraz? Każdy przypilnowałby własnej doli, i po krzyku. Pokręciłem głową.

- Zrobimy, jak powiedziałem. Jeżeli nie przyjmiecie moich warunków, oddam torbę szeryfowi. Macie wybór.

- Nie ufasz nam? - spytał Jakub.

- Nie - odrzekłem. - Chyba nie.

Wzruszył ramionami, ale nic nie odpowiedział.

- Gwarantuję, że odkryją ten wrak znacznie wcześniej, przed upływem pół roku - mruknął Lou. - Przyjdzie wiosna i ktoś go znajdzie.

- I bardzo dobrze. Wtedy będziemy wiedzieli na pewno, czy ktoś tych pieniędzy szuka. - A jeśli szuka? - spytał Jakub.

- To je spalę. Podzielimy pieniądze tylko wtedy, gdy zyskamy absolutną pewność, że nic nam nie grozi. Przy pierwszych oznakach kłopotów natychmiast pozbędę się torby.

- Spalisz ją? - burknął z odrazą Lou.

- Tak. Torbę i banknoty. Wszyściutkie, do ostatniego.

Milczeli. I oni, i ja patrzyliśmy na płócienną torbę.

- I nikomu ani słowa. - Zerknąłem na Lou. - Nawet Nancy.

Nancy była dziewczyną Lou. Pracowała w salonie piękności w Sylvania. Mieszkali razem.

- Kiedyś będę musiał babie powiedzieć, nie? Jak jej wytłumaczę ten nagły przypływ gotówki?

- Powiesz dopiero wtedy, gdy uznamy, że można pieniądze zatrzymać, nie wcześniej. Jasne?

- W takim razie ty nie możesz powiedzieć Sarze - odrzekł.

Kiwnąłem głową, uznając to za rzecz oczywistą.

- Będziemy żyli normalnie, jakby nigdy nic. Proszę was tylko o jedno: żebyście wytrzymali pół roku. Pieniądze na was zaczekają. Przechowam je i zaczekają.

Zapadła cisza. Jakub i Lou myśleli.

_ No to jak? Idziecie na to? - Popatrzyłem na Lou, potem na brata. Lou łypnął na mnie spode łba. Był chyba zły. Jakub wzruszył ramionami, zawahał się, kiwnął głową i wrzucił pieniądze do torby.

- A ty, Lou? - spytałem.

Nie poruszył się. Obserwowaliśmy go z Jakubem i czekaliśmy. W końcu wykrzywił twarz i z wyraźnym bólem wsunął rękę do kieszeni. Wyjął pieniądze, patrzył na nie przez chwilę i bardzo powoli włożył do torby.

- Dobra, ale najpierw musimy wszystko przeliczyć - warknął.

Uśmiechnąłem się do niego, i to jak, od ucha do ucha. Rozbawiło mnie, że mi nie ufa.

- Oczywiście - odparłem. - Dobry pomysł.

Rozdział 2

Robiło się coraz ciemniej, więc postanowiliśmy przeliczyć pieniądze w samochodzie. Gdy ruszyliśmy w kierunku drogi, Jakub i Lou zaczęli snuć dalekosiężne plany. Znaleźliśmy fortunę, więc Jakub chciał kupić skuter śnieżny, wielki telewizor z wielkim ekranem i wielką łódź rybacką, którą zamierzał nazwać „Ukryty Skarb”. Natomiast Lou chciał zainwestować w papiery wartościowe, na co przeznaczył połowę doli. Za drugą połowę miał kupić dom na Florydzie. Oczywiście dom nadmorski, taki z tarasem, basenem i z pływającym barkiem. Słuchałem tego i cały czas chciałem ich przestrzec, uświadomić im, że na dobrą sprawę jeszcze tych pieniędzy nie mamy, ale nie wiadomo dlaczego milczałem.

Torbę dzwigałem z Lou. Szliśmy obok siebie, trzymając ją za rogi, a ponieważ była ciężka, człapaliśmy powoli, tak że Jakub mógł za nami nadążyć. Przez całą drogę brat gadał jak nakręcony. Czulem, że jest podekscytowany jak małe dziecko. Podniecenie biło z niego jak ostry zapach. Było tak silne, że prawie namacalne.

Gdy słońce zaszło, temperatura zaczęła gwałtownie spadać i śnieg pokrył się cieniutką warstewką lodu, którą z trzaskiem łamaliśmy przy każdym stąpieniu. Między drzewami panował już gęsty mrok. Gałęzie wyskakiwały z ciemności, znieacka atakowały twarze, zmuszając nas do ciągłych uników i odskoków, tak że wyglądaliśmy jak trójka bokserów na zimowym treningu.

Dotarcie do drogi zajęło nam prawie pół godziny. Gdy doszliśmy do samochodu, Jakub schował strzelbę za fotel kierowcy i zaczął szukać latarki, tymczasem Lou i ja wysypaliśmy pieniądze na skrzynię. Byliśmy chyba trochę oszołomieni liczbą oklejonych banderolami paczek, zahipnotyzowani widokiem tak wielkiego bogactwa, i pewnie dlatego zauważyliśmy samochód szeryfa dopiero wtedy, gdy prawie do nas dojeżdżał. Może gdybyśmy dostrzegli go wcześniej, gdybyśmy wyłowili z ciemności światła na horyzoncie, dwa żółtawe, zbliżające się z wolna punkciki, może wtedy postąpiłbym inaczej. Miałbym czas jeszcze raz to wszystko dokładnie przemyśleć, mógłbym staranniej rozważyć swój wybór, a wówczas kto wie, może rozpoznawszy charakterystyczne światła na dachu, postanowiłbym opowiedzieć szeryfowi Jenkinsowi o samolocie w sadzie Andersa. Pokazałbym mu pieniądze, wyjaśniłbym, że mieliśmy zamiar skontaktować się z nim przez radio, wręczyłbym mu torbę jak na srebrnej tacy i już wtedy, tam, na tej drodze, skończyłbym z tym wszystkim raz na zawsze, umożliwiając nam ucieczkę z piekła, które niebawem miało się rozpętać.

Jednak stało się inaczej: półcieżarówkę Jenkinsa zauważyliśmy dopiero wówczas, gdy

była najwyżej dwieście metrów od nas. Najpierw ją usłyszeliśmy, bo dobiegł nas warkot silnika i skrzypienie opon w zamarzniętych koleinach. Poderwaliśmy głowy jednocześnie, Lou i ja. Ułamek sekundy później zza fotela wychynął Jakub.

- Kurwa mać! - mruknął.

Nie namyślając się ani chwili, działając instynktownie niczym pies zakopujący w ziemi łakomy kąsek, zatrzaskałem drzwi. Paczki pieniędzy potoczyły się głucho po metalowej podłodze. Pustą torbę cisnęliśmy w kąt, więc szybko ją podniosłem i narzuciłem na stertę banknotów, żeby jak najdokładniej je zakryć.

- Przejdź do szoferki i siadaj koło Jakuba - szepnąłem. - I ani słowa. Ja z nim pogadam.

Lou pochylił głowę, zaszurał nogami i runął na fotel.

Samochód szeryfa był już przed nami, już przystawał po drugiej stronie drogi, już słyszeliśmy pisk hamulców. Jenkins odchylił się na siedzeniu, żeby opuścić boczną szybę, a wtedy ruszyłem mu na spotkanie.

Tak naprawdę to Carl Jenkins nie był wcale szeryfem, chociaż wszyscy go tak nazywali. Szeryf pracuje dla okręgu, tymczasem Carl pracował wyłącznie dla miasta. Był jedynym policjantem w Ashenville i sprawował tę funkcję prawie od czterdziestu lat. Ludzie ochrzcili go mianem szeryfa z braku lepszego tytułu urzędowego.

- Kogo ja widzę! Toż to Hank Mitchell! - powiedział roześmiany od ucha do ucha, jakby przejeżdżał tamtędy z nadzieją, że mnie spotka.

Zbyt dobrze Carla nie znałem; kłanialiśmy się sobie, i tyle, ale zawsze odnosiłem wrażenie, że wita mnie ze szczerą sympatią. Myślę, że inni mieli podobne odczucia, nawet ludzie zupełnie obcy, bo wszystkich zaskakiwał promiennym uśmiechem i rozbrajającą, niczym nie zakamuflowaną dobrocią, a może raczej dobroduszością.

Był mężczyzną niskim, dużo niższym ode mnie. Twarz miał idealnie okrągłą z szerokim, błyszczącym czołem i niewielkimi, zaciśniętymi ustami. Roztaczał wokoło aurę nienagannej poprawności i elegancji: mundur wzorowo odprasowany, paznokcie równo przycięte, gęste siwe włosy gładko zaczesane i starannie rozdzielone przedziałkiem. Często się uśmiechał i zawsze bił od niego czysty, świeży zapach, słodkawa mieszanina aromatycznego talku do pielęgnacji ciała i pasty do butów.

Przystanąłem metr przed jego samochodem.

- Kłopoty z silnikiem? - spytał.

- Nie - odrzekłem - z psem. - Nie wiedzieć czemu, zachowywałem niezwykle spokojny. Myśl o pieniądzech wtoczyłem w najgłębsze zakamarki mózgu i czułem, po prostu czułem,

że Carl nie wysiadzie z samochodu i nie napyta nas o biedę.

Opowiedziałem mu o lisie.

- Zapędził go na drzewo? - spytał.

- Chyba tak, ale zanim przeszliśmy sto metrów, był już z powrotem.

Wyraźnie zatroskany, przypatrywał mi się znad krawędzi na wpół opuszczonej szyby.

- Co z twoim czołem?

Dotknąłem palcami guza i machnąłem ręką w stronę lasu.

- Wpadłem na gałąź. - Była to pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy.

Patrzył na mnie jeszcze kilka sekund, potem przeniósł wzrok na Jakuba i Lou. Pomachali do niego, gdy nadjechał, ale teraz obaj siedzieli w szoferce. Głowa przy głowie, twarz przy twarzy - widziałem, że gadają jak najęci, że coś cichcem knują. Podekscytowany Lou wymachiwał rękami, Jakub pilnie słuchał i potakiwał. Pies siedział mu na kolanach i spoglądał na nas przez okno.

- Pili? - spytał cicho Carl.

- Jeszcze nie. Byliśmy z Jakubem na cmentarzu.

- Na cmentarzu?

Kiwnąłem głową.

- Odwiedziliśmy grób rodziców. Dziś ostatni dzień roku. Nasz dzień.

Bardzo się ożywił. Wyglądało na to, że pomysł przypadł mu do gustu.

- Jeździecie na cmentarz w sylwestra?

- Wziąłem wolny dzień.

Wyciągnął rękę i pstryknął przełącznikiem, podkreślając ogrzewanie. Z szoferki buchnął ciepły, mrukliwy szum.

- Jakub ciągle bez pracy?

- Szuka - skłamałem. Ilekroć ktoś zaczynał mówić o pracy mojego brata, zawsze odczuwałem głębokie zażenowanie. Tak było i wtedy.

- A Lou? Pracuje?

- Nie. Chyba nie.

Carl pokręcił ze smutkiem głową i znowu spojrział w ich stronę.

- Szkoda, co? Dwóch dorosłych mężczyzn, obaj chętni do roboty. Ach, ta nasza Ameryka... - Urwał, pograżając się w głębokiej zadumie.

Westchnąłem.

- No tak, powinniśmy chyba...

- Lou trenował kiedyś drużynę baseballową - przerwał mi Carl. - W Michigan, na

obozie dla chłopców. Niezły był, zwłaszcza w polu, między drugą a trzecią bazą. Wiedziałeś o tym?

- Nie. Jakoś nie słyszałem.

- Tak, patrząc na niego, nigdy byś nie zgadł. Ale kiedyś...

Jakub pchnął drzwi. Zaskrzypiały. Carl zamilkł. Obserwowaliśmy, jak mój brat wysiada niezdarnie z samochodu i rusza w naszą stronę.

- Się masz, Jakub - powitał go Jenkins. - Już zaczynałem myśleć, że mnie unikasz.

Jakub uśmiechnął się nieśmiało. Ilekroć musiał rozmawiać z kimś, kto reprezentował jakąkolwiek władzę, zawsze się tak uśmiechał. Jak tylko zobaczyłem tę jego minę, od razu wiedziałem, skąd ją znam: z dzieciństwa. Wyglądał tak samo, gdy nauczyciel wzywał go do tablicy.

- Nie, było mi zimno - odrzekł.

Wsiadłem do samochodu, żeby się trochę ogrzać.

- Hank mówi, że byliście dzisiaj na grobach. Jakub zerknął na mnie i z lekkim wahaniem kiwnął głową.

- To dobrze - powiedział Carl.

- Bardzo dobrze.

Mam nadzieję, że moje dzieciaki też będą mnie odwiedzać, gdy odejdę.

- Tato nam kazał - chlapnął Jakub. - W testamencie nam kazał... Ale Carl chyba go nie słyszał.

- Pamiętam waszego ojca... - zaczął, ale pewnie zmienił zdanie, bo nagle urwał, jakby nie do końca przekonany, czy to nasz ojciec mu się przypomniał, czy może inny zmarły mieszkaniec Ashenville. Pokręcił głową. - Dobry był z niego człowiek. Wyjątkowo dobry człowiek.

Ani Jakub, ani ja nie znaleźliśmy na to stosownej odpowiedzi. Nastąpiła cisza, którą przerwał w końcu Jakub.

- Mówiłeś Carlowi o tym samolocie? Spojrzałem na niego zaszokowany. Dołeczki w pulchnych policzkach, usta rozciągnięte w szerokim uśmiechu, zęby wyszczerzone - obleciał mnie strach, że jeszcze trochę i puści do mnie oko.

- O czym? - spytał Jenkins, spoglądając to na Jakuba, to na mnie.

- We wtorek jechaliśmy z Hankiem tym samym odcinkiem drogi i słyszeliśmy coś dziwnego. Brzmiało to jak warkot samolotu z uszkodzonym silnikiem.

- Samolot? Tutaj? Brat kiwnął głową.

- Padał gęsty śnieg, a jak pada, kiepsko słyhać, ale wydawało się nam, że samolot ma

kłopoty, bo silnik wyraźnie przerywał, Carl gapił się na Jakuba z uniesionymi brwiami i czekał. Próbowałem coś wymyślić, żeby czym prędzej zmienić temat rozmowy, ale nic z tego nie wyszło, bo w głowie miałem zupełny mętlik. Po prostu stałem tam wściekły jak wszyscy diabli i modliłem się, żeby brat zamknął gębę.

- Nie mieliście żadnego meldunku o zaginionym samolocie? - spytał Jakub.

- Nie... - odrzekł Carl i znacząco zawiesił głos, jakby chciał nam pokazać, że głęboko myśli i że słowa Jakuba traktuje z należytą powagą. - Nic takiego do mnie nie dotarło. - Zerknął na mnie. - Słyszeliście tylko warkot silnika? Nic więcej? Żadnego wybuchu, huku? Nic?

Pokręciłem głową, choć kosztowało mnie to wiele wysiłku. - W takim razie mogliście słyszeć wszystko i nic - skostatował. - Warkot motocykla, skutera śnieżnego, piły mechanicznej. - Machnął ręką na południowy wschód, w kierunku zaśnieżonych pól. - Może to Dwight majstrował przy jakiejś maszynerii.

Odwróciliśmy się, by spojrzeć w stronę farmy Pedersona. W oknach na parterze paliły się światła, ale stodołę i resztę zabudowań skrywała ciemność.

- Jak dostaniesz jakiś meldunek - powiedział Jakub z tym swoim błazeńskim uśmiechem na twarzy - zadzwoń do nas, to pokażemy ci, gdzie to było.

- Gdyby coś się stało, już bym o tym wiedział - odrzekł Jenkins. - Samoloty nie spadają codziennie, a jak już spadają, to ktoś o tym melduje, prawda?

Spojrzałem na zegarek, chcąc skończyć rozmowę, zanim Jakub znowu z czymś wyskoczy.

- Już po piątej, Carl. Pewnie spieszysz się do domu. Pokręcił głową i westchnął.

- Nie, mam nocną służbę. Sylwester, Nowy Rok, zabawa... Muszę przypilnować, żeby nie prowadzili po pijanemu. - Zmierzył wzrokiem Jakuba. - Ty chyba nie będziesz?

Brat spoważniał.

- Nie. O mnie nie musisz się martwić. Jenkins patrzył na niego bez słowa, jakby czekając, aż Jakub coś doda. Potem spojrzał na mnie.

- Jak tam Sara? - spytał. - Niedługo będzie rodzić,

- Pod koniec stycznia. - Żona spodziewała się pierwszego dziecka. Była w ósmym miesiącu.

- Życz jej ode mnie szczęśliwego Nowego Roku.

Zaczął podkrecać szybę. - I powiedz Lou, żeby następnym razem nie był taki wstydlivy. Przecież nie gryzę.

Gdy ruszył, wsiedliśmy do samochodu. Pojechał na zachód, oddalając się od

Ashenville.

- Jedź - szepnąłem do Jakuba. - Tylko nie za nim. Podjedź kawałek w stronę miasta.

Jakub uruchomił silnik. Droga była wąska i chwilę trwało, zanim zawrócił.

- Tylko powoli. - Bałem się, że jak zacznie pędzić, wiatr zdmuchnie ze skrzyni paczki z pieniędzmi.

Przez dłuższy czas milczeliśmy. Samochód nabierał szybkości. Dopiero gdy przejeżdżaliśmy przez most na Anders Creek, spytałem:

- Czyj to pomysł? - Pochyliłem się do przodu, żeby widzieć ich obu. - Któremu z was odbiło?

Lou siedział pośrodku z psem na kolanach. Obejmował go mocno i tulił do piersi. Nie odpowiedzieli. Ani jeden, ani drugi.

- Tobie, Lou? - Miałem zamiar przepytac ich spokojnie i rzeczowo, żeby uświadomili sobie, jakie niebezpieczeństwo nam zagraża, ale głos mnie zdradził i wściekle warknąłem.

Lou wzruszył ramionami.

- Razem na to wpadliśmy.

- Ale po jaką cholere? Po co z tym wyskoczyliście?

- Żeby sprawdzić, czy nikt tego samolotu nie szuka - odrzekł Jakub. Powiedział to z wyraźną nutką triumfu w głosie, jakby myślał, że udało mu się mnie przechytrzyć. - Ale nie tylko o to nam szło, bo teraz, jak ktoś zacznie go szukać, Carl od razu do nas zadzwoni, dzięki czemu unikniemy zaskoczenia.

- Jakub, pół godziny temu postanowiłeś zwinąć trzy miliony dolarów, tak? I co robisz? Natychmiast pędzisz do szeryfa, żeby go na tę okoliczność przesłuchać. Nie wydaje ci się, że to trochę głupie?

- Wiemy już, że nikt tej forsy nie szuka - odparł.

- Gdybyśmy nie spytali Jenkinsa, guzik byśmy wiedzieli.

- To było głupie, Jakub, beznadziejnie głupie. Jeśli znajdą samolot, a wcześniej czy później na pewno go znajdą, jeżeli stwierdzą, że z kabiny zniknęło trzy miliony dolarów, Carl będzie wiedział, kogo podejrzewać.

- W tym cała rzecz, nie kapujesz? Przecież gdybyśmy ten szmal świsnęli, to chyba nie wspominalibyśmy o tym szeryfowi, nie?

- Obiecuj, że już nigdy nie wykręcisz takiego numeru.

Uśmiechnął się chytrze.

- Nie rozumiesz, Hank? Nie widzisz, że to piekielnie sprytna zagrywka? To, że spytaliśmy go o ten samolot, stawia nas po jego stronie.

- Ryzykowaliście. To było głupie.

- Ale się opłaciło. Wiemy już, że...

- To nie zabawa, Jakub. Popełniliśmy przestępstwo. Za to, co dzisiaj zrobiliśmy, możemy pójść siedzieć.

- Daj spokój, Hank - mruknął Lou. - Nawet jak byśmy wpadli, to i tak nie wsadzą nas za to do pierdła. Nie jesteśmy kryminalistami, mamy czyste konto. Na naszym miejscu każdy postąpiłby tak samo.

- Twierdzisz, że to nie przestępstwo?

- Twierdzę, że nie wsadziliby nas za to do kicia. Nawet gdyby nas skazali, dostalibyśmy wyrok w zawieszeniu.

- Zwłaszcza, że nie wydaliśmy jeszcze ani centa - zauważył Jakub. - Myślę, że...

- Myśl sobie co chcesz, do ciężkiej cholery! - Byłem tak wściekły, że prawie krzyknąłem. - Jeśli dojdę do wniosku, że niepotrzebnie ryzykujecie, że narażacie nas na niebezpieczeństwo, natychmiast spalę pieniądze. - łypnąłem na nich spode łba. - Jasne?

Nie odpowiedzieli.

- Nie zamierzam iść do więzienia tylko dlatego, że dwóch idiotów ma godne idiotów pomysły.

Gapili się na mnie wstrząśnięci tym nagłym wybuchem gniewu. Pies zaskamlał cichutko w ramionach Lou. Spojrzałem w okno. Jechaliśmy Burnt Road, na południe. Wokoło były tylko pola.

Wzięłem głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Po prostu chcę, żebyście zachowali maksymalną ostrożność, nic więcej.

Lou milczał. Patrzyłem w ciemność za oknem, ale czułem, że uśmiecha się do Jakuba.

- Stań tutaj - burknąłem. - Przeliczmy pieniądze.

Zjechał na pobocze i wysiedliśmy. Ciemność. Mróz. Byliśmy jakieś pięć kilometrów na zachód od miasta. Po obu stronach drogi rozciągały się zaśnieżone pola. Wokoło pustka. Żadnych domostw, żadnych świateł. Gdyby zmierzał ku nam jakiś samochód, dostrzegliśmy go z odległości co najmniej kilometra.

Jakub i Lou liczyli, ja stałem za nimi z latarką. Pies został w szoferce i zasnął w fotelu. Układali pieniądze w sterty, po dziesięć paczek w każdej. Liczenie ciągnęło się w nieskończoność. Cały czas zachowywałem czujność, zerkając to na nich, to na rosnące sterty pieniędzy, to na odległy horyzont.

Noc była bardzo cicha i spokojna. Na pustych polach gwizdał wiatr, czasami dobiegało nas skrzypienie śniegu osiadającego na poboczach. A z półciężarówki dochodził

uporczywy, monotony szelest, niczym szelest kart rozdawanych w kasynie: to Jakub i Lou układali kolejne sterty pieniędzy.

Gdy skończyli, przeliczyliśmy wszystkie. Było ich czterdzieści cztery. Czterdzieści cztery sterty ułożone wzdłuż burty półciężarówki. Cztery miliony czterysta tysięcy dolarów.

Długo trwało, zanim to do nas dotarło. Staliśmy i gapiliśmy się na pieniądze. Lou przeliczył sterty jeszcze raz, dotykając każdej czubkiem palca.

- Ile wypada na głowę? - spytał Jakub. Musiałem chwilę pomyśleć.

- Prawie półtora miliona.

Oszołomieni, zamilkliśmy ze wzrokiem wbitym w cztery miliony czterysta tysięcy dolarów.

- Trzeba to spakować - powiedziałem w końcu.

Drżąc z zimna, podałem bratu torbę. Zaczęli wrzucać do niej pieniądze. Stałem i patrzyłem, jak torba powoli pęcznieje.

Gdy spakowali wszystko, zaniósłem ją do szoferki.

Lou mieszkał po drugiej stronie miasta, na południowy zachód od Ashenville, więc najpierw podrzuciliśmy jego. Robiło się coraz zimniej i na brzegach przedniej szyby wykwitły lodowe kwiaty. Porwana płachta zasłaniająca tylne okno łopotała na wietrze i szoferkę omiatał pulsujący strumień mroźnego powietrza. Pies leżał z tyłu, tuż za nami i dyszał mi prosto w ucho. Płócienna torba wypchana milionami dolarów spoczywała na podłodze. Ścisnąłem ją kolanami i przytrzymałem ręką, żeby się nie otworzyła.

Gdy dotarliśmy na miejsce, spojrzałem na zegarek. Za kwadrans siódma.

Na podjeździe stał samochód Nancy, a na górze paliło się światło. Lou mieszkał w wielkim, starym i bardzo już zniszczonym domu; powiadano, że to jeden z najstarszych domów w całym okręgu. Wynajmowali go z Nancy od Sonny'ego Majora, którego dziadek był niegdyś właścicielem wszystkich okolicznych pól. Siał zboże, sadił kapustę i przed kryzysem należał do wyższych warstw tamtejszego ziemiaństwa. Po kryzysie wszystko zaczęło się sypać. Z biegiem lat ojciec Sonny'ego sprzedał prawie całą ziemię, oprócz dwóch wąskich działek wzdłuż drogi. Na jednej z nich stał dom, natomiast na drugiej, dużo mniejszej, położonej niecały kilometr na południe od domu, Sonny ustawił swój mały, przerdzewiały barakowóz ledwie o rzut kamienia od domu swego dzieciństwa. Mieszkał w nim zupełnie sam. Uważał się za stolarza, ale żył głównie z czynszu od Lou i Nancy.

Jakub zaparkował na podjeździe, ale nie wyłączył silnika. Lou wysiadł. Przed zamknięciem drzwi jakby się zawahał.

- Tak sobie myślę... - zaczął z uśmiechem. - Nie moglibyśmy wziąć chociaż po jednej

paczce? Trzeba by to jakoś oblać, a z forszą krucho.

Przysunąłem się do drzwi, ściskając torbę kolanami. Do szoferki wskoczył pies; jego sierść pachniała zimnem i świeżością. Otrząsnął się, usiadł w fotelu i położył łeb na ramieniu Jakuba. Brat objął go za szyję.

- Zapomnij o pieniądzach, Lou - odrzekłem. Wytarł ręką nos.

- To znaczy?

- To znaczy, że przez następne pół roku nic się w twoim życiu nie zmieni.

Jakub poklepał Mary Beth po boku. Głucho zadudniło. Wokół domu rosły kępy drzew, wielkich i grubych, z szarymi gałęziami strzelającymi w czarne zimowe niebo. Gałęzie poruszały się lekko na wietrze, cicho potrząskiwały. Barakowóz na sąsiedniej działce tonął w mroku. Sonny'ego nie było w domu.

- Hank, proszę tylko o... - zaczął Lou, ale pokręciłem głową.

- Nie słuchasz mnie, Lou. Nie proś, to nic nie pomoże.

Wychyliłem się i zatrzęsnałem drzwiami.

Patrzył na mnie przez chwilę, potem wymienili z Jakubem szybkie spojrzenia i Lou ruszył niespiesznie w stronę domu.

Jazda zajęła nam czterdzieści minut, gdyż mieszkałem po drugiej stronie miasta. Prawie przez cały czas milczeliśmy, pogrążeni we własnych myślach.

Próbowałem odtworzyć naszą rozmowę z Carlem Jenkinsem. Skłamałem mu. Tak jest, zelgałem, a kłamstwo przeszło mi przez usta tak łatwo i naturalnie, jakbym nic innego w życiu nie robił. Byłem zdumiony. Dotąd nie umiałem kłamać i rzadko to robiłem. Nawet w dzieciństwie. Brakowało mi pewności siebie, niezbędnego opanowania i spokoju, dlatego zawsze wpadałem albo się załamywałem i wyznawałem prawdę. Jednak kiedy odtworzyłem w myśli rozmowę z Carlem, nie znalazłem w niej ani jednego słabego punktu, ani jednego błędu czy niespójności. Fakt, Jakub przeszarżował, ale po głębszym zastanowieniu uświadomiłem sobie, że to, co powiedział, nie było wcale takie głupie, jak początkowo sądziłem. Przeciwnie, na dobrą sprawę mogło nam nawet pomóc.

O pieniądzach prawie nie myślałem. Nie uważałem się jeszcze za ich właściciela. Nie, bo kwota była zbyt wielka, żebym mógł w pełni uzmysłwić sobie jej znaczenie. Półtora miliona dolarów! Abstrakcja, nic więcej, czysta abstrakcja.

Świadomość bezprawia. Tak, dotarła do mnie już wtedy, to fakt - chłodne, nieco próżne uczucie zakłócanie falami potwornego strachu przed wpadką - ale jej źródłem była głównie moja obłudna rozmowa z Carlem, a nie kradzież jako taka czy też ilość skradzionych pieniędzy.

Jakub otworzył schowek na rękawiczki i wyjął z niego czekoladowy baton. Prowadził i jadł. Pies siedział obok niego. Postawił uszy i z uwagą go obserwował. Byliśmy już na autostradzie stanowej numer siedemnaście i zbliżaliśmy się do przedmieść Delphii. Na poboczach wykwitało coraz więcej drzew, mijaliśmy coraz więcej domów i coraz więcej samochodów. Jakub musiał zwolnić. Byłem prawie w domu.

I raptem, w krótkotrwałym, aczkolwiek gwałtownym przypiływie paniki, pomyślałem sobie, że jeśli kiedykolwiek wpadniemy, to na pewno przez Lou.

- Lou wychłapie wszystko Nancy, prawda? - spytałem.

- A ty powiesz Sarze?

- Obiecałem, że nie.

Brat wzruszył ramionami i wbił zęby w baton.

- Lou też obiecał.

Skonsternowany, a może przerażony, zmarszczyłem czoło. Wiedziałem, że powiem Sarze o pieniądzach, jak tylko wrócę do domu - nie wyobrażałem sobie, że mógłbym postąpić inaczej - i świadomość, że o tym wiem, potwierdziła moje zastrzeżenia w stosunku do Lou. Oczywiście, Lou powie Nancy i jedno z nich wszystko spieprzy.

Odchyliłem lusterko, żeby obejrzeć ranę na czole - Jakub zapalił światło - i dotknąłem guza. Był gładki i twardy jak mały kamień. Pokrywała go lśniąca, napięta skóra, ale w miarę krzepnięcia krwi wypływającej z uszkodzonej tkanki skóra pod nim i nad nim przybierała chorobliwy, ciemnoszkarłatny odcień. Pośliniłem kciuk w rękawiczce i spróbowałem pobieźnie oczyścić skaleczenie.

- Ciekawe, skąd wiedziała, że on tam jest? - spytał Jakub.

- Wrona? Kiwnął głową.

- One są jak sępy. Po prostu wiedzą.

- Nie. Sępy człowieka obserwują. Widzą, jak pełźnie przez pustynię. Czują, że facet umiera, bo jeśli pełźnie albo leży, to znaczy, że umiera, nie? A tamten przekreślił się w kabinie, nie mogły go widzieć.

- Może go zwęszyła.

- Wrony nie mają węchu. Zresztą, na takim mrozie trup nie śmierdzi.

- Nie mam pojęcia, Jakub. Po prostu wiedziała, i tyle. Znowu kiwnął głową. Trzy razy, szybko i stanowczo.

- Otóż to. Moje słowa, moje słowa... - Odgryzł kawałek batona, a resztkę podsunął psu. Mary Beth kłapnęła zębami i błyskawicznie połknął smakołyk.

Kiedy zajechaliśmy przed dom, siedziałem chwilę bez ruchu, gapiąc się w przednią

szybę. Na ganku paliła się lampa, oświetlając lśniąco od lodu gałęzie pobliskich drzew. Zasłony w saloniku były zaciągnięte, z komina szedł dym.

- Idziecie gdzieś dzisiaj z Lou? - spytałem. - Na jakiś ubaw?

W szoferce było zimno. Z moich ust i z pyska Mary Beth buchały kłęby pary. Gwiazd nie widziałem. Niebo zasnuwały ciemne chmury.

- Chyba tak.

- Nancy też idzie?

- Jak zechce, to pójdzie.

- Dacie w gaz?

- Słuchaj, Hank. Niesłusznie uwziąłeś się na Lou. Można mu zaufać. On chce tych pieniędzy tak samo jak ty, może nawet bardziej. Dlatego będzie trzymał język za zębami i nikomu nie wychlapie.

- Nie twierdzę, że wychlapie. Chcesz mu ufać, to sobie ufaj. Wiem tylko, że z niego patałach i pijak.

- Chryste, Hank...

- Nie, wysłuchaj mnie do końca, Jakub. - Zaczekałem, aż na mnie spojrzysz. - Proszę cię, żebyś wziął za niego odpowiedzialność.

Objął psa.

- Co znaczy: wziął odpowiedzialność?

- To znaczy, że jeśli Lou coś schrzani, to będzie twoja wina.

Jakub odwrócił głowę i spojrzał w szybę. W oknach sąsiednich domów, przed nami i za nami, paliły się jaskrawe światła. Ludzie dojadali kolację, brali prysznic, przebierali się, szykowali do uroczystego powitania Nowego Roku.

- A kto weźmie odpowiedzialność za mnie? - spytał.

- Ja. Odpowiadam za was obu. - Uśmiechnąłem się do niego. - Będę opiekunem swego brata.

Zabrzmiało to jak żart, choć wcale nie żartowałem. W dzieciństwie ojciec ciągle nam powtarzał, że musimy o siebie wzajemnie dbać, że brat musi polegać tylko na bracie, na nikim innym. „Rodzina - mawiał, rodzina. Do tego się wszystko sprowadza: do więzów krwi”. Lecz ani Jakub, ani ja nie przyswoiliśmy sobie jego nauk i już jako mali chłopcy sprawialiśmy sobie zawód.

Jakub był gruby, szkolni koledzy bezlitośnie z niego drwili, więc ciągle wdawał się w bójki. Wiedziałem, że powinienem mu pomóc, że powinienem przyjść z odsieczą, ale nie miałem pojęcia, jak to zrobić. Byłem wątki, niski, drobny, nawet za drobny jak na swój wiek -

ot, takie kościste chuchro. Dlatego stałem z innymi w zwartym kręgu wokół Jakuba i jego katów, obserwując w absolutnej ciszy, jak się nad nim znęcają. Przybywało nam lat, ale ukształtowany w dzieciństwie wzorzec zachowania nie uległ najmniejszej zmianie: Jakub zbierał ciągi, a ja - ten niewładny, bezwartościowy i wiecznie zażenowany - byłem tylko postronnym obserwatorem.

Wyciągnąłem rękę ponad łbem psa i dałem Jakubowi lekkiego kuksańca w ramię. Niezręczny, wymuszony gest braterskiej zażyłości. Poczułem się głupio.

- Ja zaopiekuję się tobą - powiedziałem - ty mną.

Milczał. Patrzył, jak otwieram drzwi, jak wyciągam z szoferki torbę, jak z wysiłkiem zarzucam ją sobie na ramię. Gdy omijając głębszy śnieg ruszyłem ostrożnie do domu, wyjechał na ulicę.

Wszedłem cicho, ustawiłem torbę na dnie szafy w przedpokoju i narzuciłem na nią kurtkę.

Po lewej i po prawej stronie przedpokoju były rozsuwane drzwi. Te po prawej prowadziły do jadalni, te po lewej - do saloniku. I jedne, i drugie były zamknięte. Drzwi do jadalni otwieraliśmy bardzo rzadko, tylko wtedy, gdy mieliśmy gości; z reguły jadalnię w kuchni. Natomiast drzwi do saloniku zamykaliśmy tylko wówczas, gdy paliliśmy w kominku.

W głębi, po lewej stronie przedpokoju, biegły schody, a po prawej - długi, wąski korytarz. Schody prowadziły na piętro, korytarz do kuchni od podwórza. I schody, i korytarz tonęły w ciemności.

Otworzyłem drzwi do saloniku.

Sara. Siedziała w fotelu przy kominku i czytała. Gdy wszedłem, podniosła wzrok: wysoka, drobnokoścista blondynka o długich do ramion włosach i dużych brązowych oczach. Usta miała delikatnie pomalowane na jasnoróżowo, włosy ściągnięte do tyłu, spięte wsuwką. Dzięki szmince i tej małej wsuwce wyglądała bezbrinnie i bardzo młodo. Miała na sobie aksamitny szlafrok, wielki jak namiot, z jej inicjałami wyhaftowanymi nad sercem niebieską nitką, a jego fałdy znakomicie maskowały wydęty brzuch, dlatego można było odnieść wrażenie, że Sara trzyma na kolanach zwykłą poduszkę. Na stoliku obok stał talerz z kuku-rydzianymi płatkami.

Zauważyła, że na niego patrzę.

- Zgłodniałam - powiedziała. - Nie byłam pewna, kiedy wrócisz.

Podszedłem bliżej, żeby pocałować ją w czoło, ale kiedy się nachyliłem, wykrzyknęła: „Och!”, chwyciła mnie za rękę, wsunęła ją pod szlafrok i położyła sobie na brzuchu. Uśmiechnęła się marzycielsko.

- Czujesz?

Kiwnąłem głową. Dziecko kopało. Nieregularnie, jak kołaczące chaotycznie serce: dwa silne kopnięcia, jedno stonowane, łagodniejsze. Nie chciałem jej tam dotykać, ale mnie zmuszała. Nie cierpiałem tego. Ilekroć kazała mi to robić, zawsze czułem się nieswojo, bo wiedziałem, że tam, w brzuchu Sary, siedzi coś żywego, coś, co pożerają od środka jak wielki pasożyt. Zabrałem rękę, uśmiechnąłem się z przymusem.

- Zjesz coś? - spytała. - Mogę zrobić omlet. - Machnęła ręką w stronę otwartych drzwi do kuchni. Pokręciłem głową.

- Nie, nie jestem głodny. Usiadłem w fotelu po drugiej stronie kominka. Zastanawiałem się, jak powiedzieć jej o pieniądzach, jaki sposób będzie najlepszy, i nagle uświadomiłem sobie, że Sara może tego nie zaaprobować, a nawet zmusić mnie do zwrócenia znaleziska. Ta myśl doprowadziła mnie do bardzo niepokojącego odkrycia: po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, jak bardzo tych pieniędzy pragnę. W towarzystwie Jakuba i Lou to ja byłem tym, który groził zaniechaniem realizacji planu, co podsycalo iluzję, że los pieniędzy interesuje mnie w niewielkim stopniu: miałem je zatrzymać, ale tylko pod określonymi i ściśle przestrzeganymi warunkami. Gdy sytuacja się odwróciła, gdy zaistniała teoretyczna możliwość, że zostanę zmuszony do zwrotu milionowej fortuny, natychmiast zrozumiałem, jak sztuczne to były warunki. Tak, pragnąłem tych pieniędzy, pragnąłem ich do tego stopnia, że gotów byłem zrobić niemal wszystko, żeby je tylko zatrzymać.

Sara siedziała z książką na kolanach, z ręką na brzuchu i z rozmarzonym wyrazem twarzy. Powoli wracała do rzeczywistości.

- No i jak poszło? - spytała.

- Dobrze - odrzekłem zamyślony.

- Cały czas byliście na cmentarzu?

Nie odpowiedziałem. Gdyby nie światło lampki na stoliku obok fotela i ogień w kominku, salonik tonąłby w aksamitnej ciemności. Na kominku stał mały, stary zegar, na podłodze przed paleniskiem leżała niedźwiedzia skóra; i zegar, i skórę dostaliśmy w prezencie ślubnym od moich rodziców. Skóra była sztuczna i wyglądała tak, jakby zdarto ją z bajkowego niedźwiedzia: miał idealnie ukształtowane oczy ze szkła oraz idealne zęby z białego plastiku. Na przeciwległej ścianie wisiało lustro oprawione w drewnianą ramę. Odbijało się w nim wnętrze saloniku, tak że spojrzawszy w lewo, widziałem siebie i Sarę przy kominku. Nagle pochylila się ku mnie.

- Co ci się stało w czoło?

Odruchowo dotknąłem guza.

- Uderzyłem się.

- Uderzyłeś się? O co?

- Saro, przedstawię ci pewną... hipotetyczną sytuację, dobrze? Zagramy w taką grę.

Odłożyła książkę na stolik grzbietem do góry i wzięła talerz z płatkami.

- Dobrze.

- Rzecz dotyczy moralności - zagaiłem. Zjadła łyżkę płatków i otarła usta wierzchem dłoni, zostawiając na niej ślad różowej szminki.

- Założmy, że idziesz na spacer i znajdujesz torbę pełną pieniędzy.

- Ile ich jest?

Udałem, że się zastanawiam.

- Cztery miliony dolarów.

Kiwnęła głową.

- Zatrzymałaś te pieniądze, czy byś je zwróciła?

- Oczywiście to nie moje pieniądze, tak? Należą do kogoś innego?

- Naturalnie.

- W takim razie gdybym je zatrzymała, dopuściłabym się kradzieży?

Wzruszyłem ramionami. Nie w tym kierunku próbowałem ją pchnąć.

Nie myślała dłużej niż sekundę.

- Zwróciłabym je.

- Zwróciłabyś cztery miliony dolarów?

- Oczywiście. Chryste, co bym zrobiła z czterema milionami? Wyobrażasz sobie, że pewnego dnia przynoszę do domu taką górę pieniędzy? - Roześmiała się i z głośnym siorbnięciem zjadła następną łyżkę płatków.

- Nie wiesz, co byś z nimi zrobiła? Pomyśl tylko. Mogłabyś zacząć zupełnie nowe życie.

- To byłaby kradzież, Hank. Złapałoby mnie.

- A gdybyś wiedziała, tak na sto procent, że cię nie złapią?

- Jakim cudem?

- Powiedzmy, że nikt tych pieniędzy nie szuka.

- Ale jak wytłumaczyłabym ludziom nagłą zmianę stylu życia? Zaczęliby zadawać pytania. Skąd te wszystkie stroje, ta biżuteria, te futra z norek, za co te wycieczki na Karaiby?

- Przeprowadziłabyś się. Pojechałabyś gdzieś, gdzie nikt cię nie zna.

Pokręciła głową.

- Ciągle bałabym się, że mnie złapią. Nie mogłabym spać. - Zaczęła oglądać swoje

paznokcie. Były pomalowane na czerwono.

Jasna czerwień. Jak kurtka Jakuba, pomyślałem.

Starła z ręki szminkę.

- Nie, na pewno bym je zwróciła.

Milczałem. Sara podniosła talerz do ust i zaczęła sączyć mleko. Obserwowała mnie.

- A ty byś je wziął? - spytała z twarzą częściowo przesłoniętą talerzem.

Wzruszyłem ramionami. Pochyliłem się i rozwiązałem sznurowadła.

Odstawiła talerz na stolik.

- Wygląda na to, że znalezienie czterech milionów dolarów to straszny kłopot.

- Powiedzmy, że wpadka jest niemożliwa, że jakoś to załatwiłaś. - Przeciąłem ręką powietrze. - Koniec. Kropka. Nie złapią cię, to się po prostu nie zdarzy.

Zmarszczyła czoło.

- Czyje to pieniądze?

- Co znaczy czyje? Twoje.

- Ale komu je ukradłam?

- Facetowi handlującemu prochami. Gangsterowi, który obrabował bank.

- Gdyby zgubił je gangster, pieniądze należałyby do banku.

- No dobra. W takim razie zgubił je facet szmuglujący narkotyki.

- Hank, po prostu chcesz, żebym powiedziała „tak”.

- Ale czy to nie do pomyslenia?

- No cóż, w pewnych sytuacjach dobrze bym się zastanowiła, to na pewno. A potem...

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć. Miałem nadzieję, że rozmowa potoczy się zupełnie inaczej.

Zerknęła na mnie.

- Dlaczego mnie o to pytasz? I nagle doszedłem do wniosku, że popełniłem błąd taktyczny. Uświadomiłem sobie, że teoretycznie rzecz biorąc, ja też nie przywłaszczyłbym sobie tych pieniędzy. Wstałem i ruszyłem w stronę korytarza.

- Dokąd idziesz? - spytała. Pomachałem jej ręką.

- Zaczekaj.

Otworzyłem szafę, wyjąłem spod kurtki płócienną torbę i przy wlokłem ją po wyłożonej klepką podłodze do saloniku.

Sara wróciła do swojej książki, ale kiedy zobaczyła mnie z torbą, natychmiast przestała czytać.

- Co to...? - Skonsternowana urwała.

Zataszczyłem torbę do kominka, rozwiązałem ją, dźwignąłem z podłogi i dramatycznym gestem opróżniłem u stóp Sary.

Pieniądze utworzyły wielki, nieregularny stos, bo paczki ześlizgiwały się na niedźwiedzią skórę.

Sara była zaszokowana. Nie odrywając oczu od zielonkawej sterty, odłożyła książkę na stolik. Rozdziawiła usta, ale nic nie powiedziała. Stałem przed nią, ściskając w ręku pustą torbę.

- To nie sen - szepnąłem.

Patrzyła i patrzyła. Twarz miała boleśnie wykrzywioną, jakby ktoś uderzył ją nagle w pierś.

- Spokojnie, Saro, tylko spokojnie.

Nachyliłem się, ale miast zacząć pakować pieniądze, dotknąłem ich opuszkami palców. Banknoty były chłodnawe i wehniście miękkie, jak ubranie. Stare, używane, z lekko wystrzępionymi krawędziami. Pomyślałem o rękach, przez które musiały przechodzić, zanim trafiły do moich, o tysiącach ludzi, do których kiedyś należały, o portfelach, portmonetkach, torebkach i sejfach, gdzie spoczywały, nim znalazły się tutaj, w wielkiej stercie przed kominkiem w moim saloniku.

- Wziąłeś to z magazynu? - spytała.

- Nie. Znalazłem.

- Przecież do kogoś należą. Ktoś musi ich szukać. Pokręciłem głową.

- Nikt ich nie szuka.

Chyba mnie nie słyszała.

- Cztery miliony dolarów?

- Cztery czterysta.

- Znaleźliście je z Jakubem?

Kiwnąłem głową.

Zmarszczyła czoło.

- Gdzie?

Opowiedziałem jej o lisie, o Mary Beth, o wyprawie przez zaśnieżony park i o samolocie w sadzie Andersa. Gdy doszedłem do momentu, kiedy zaatakowała mnie wrona, Sara spojrzała ze współczuciem na moje czoło, ale nic nie powiedziała.

Kiedy skończyłem, przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wziąłem ze sterty paczkę banknotów. Chciałem, żeby Sara jej dotknęła, żeby zważyła w ręku tę niewielką, zbitą i twardą cegiełkę pieniędzy, ale odmówiła.

- Chcecie je zatrzymać, prawda? Westchnąłem.

- Chyba tak. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy je zwracać.

Milczała. Nagle wsunęła rękę pod szlafrok i wyraźnie skonsternowana spojrzała na swój brzuch. Dziecko znowu zaczęło kopać.

- Saro, jeśli je zatrzymamy, do końca życia nie będziemy musieli martwić się o pieniądze.

- Nie musimy się o nie martwić. Przecież masz pracę. Po co nam tyle pieniędzy?

Patrzyłem na ogień i myślałem. Ogień przygasał, płomienie dogorywały pośród zwęglonego drewna. Wstałem i dorzuciłem polano.

Oczywiście miała rację: nie mogliśmy twierdzić - w przeciwieństwie do Jakuba, do Lou i do moich rodziców, gdyby tego dożyli i siedzieli razem z nami - że jesteśmy biedakami, że potrzebujemy pieniędzy, że bez pieniędzy pomrzemy. Nie, nasze życie nie było walką o przetrwanie. Należeliśmy do klas średnich, mocno zapuściliśmy w nich korzenie, więc nie martwiliśmy się o pieniądze na jedzenie, na opłacenie rachunków, na wykształcenie dzieci, nie - martwiliśmy się, czy zdołamy zaoszczędzić na większy dom, na nowocześniejsze i bardziej wyrafinowane wyposażenie, na lepszy samochód. Ale fakt, że nie potrzebowaliśmy pieniędzy, wcale nie oznaczał, że nie mogliśmy ich pragnąć czy też dostrzec w nich korzyści zupełnie innego rodzaju. Nie oznaczał również tego, że mielibyśmy zrezygnować z nich bez walki.

Poszedłem do college'u, żeby zostać prawnikiem. Miałem kiepskie stopnie i zamiast prawnikiem zostałem księgowym w swoim rodzinnym mieście, w tym samym mieście, w którym spędziłem dzieciństwo przysięgając sobie, że pewnego dnia stąd ucieknę. Zaakceptowałem to, przystałem na znacznie mniej, niż planowałem osiągnąć, i wmówiłem sobie, że to wystarczy. Ale nie wystarczyło i dopiero wtedy to zrozumiałem. Życie Sary, moje życie, nasze wspólne życie było obramowane granicami, które nakazywały nam robić to, co robiliśmy, jeździć tam, dokąd jeździliśmy, a sterta pieniędzy leżąca u naszych stóp dokładnie nam te granice wytyczała, podświetlała je, ukazując całą trywialność naszych aspiracji i dążeń, nijakość naszych marzeń. I oferowała nam znacznie więcej. Spróbowałem przekazać to Sarze.

- W pracy daleko nie zajdę - zacząłem, dźgając polano pogrzebaczem. - Pewnego dnia Tom Butler umrze albo przejdzie na emeryturę, wtedy zostanę kierownikiem. Ale Tom jest niewiele starszy ode mnie, więc awansuję nieprędko, a kiedy to nastąpi, będę już starcem.

Myślałem o tym od kilku lat, od kilku lat zagłębiałem się w szarą, przygnębiającą przyszłość, ale nigdy dotąd nie wypowiedziałem tego na głos i ze zdumieniem słuchałem

swych własnych słów. Dziwne, jakby wypowiedział je ktoś inny; musiałem na chwilę zamilknąć, żeby ich sens do mnie dotarł.

Sara też milczała, kiwnęła tylko głową. Twarz miała bez wyrazu i wtedy przeżyłem drugi szok, bo nagle uświadomiłem sobie, że Sara wcale nie jest zaskoczona. Nie, wiedziała o tym równie dobrze jak ja, rozumiała, że w magazynie kariery nie zrobię. Czekałem, że coś powie, że jakoś zaprotestuje, ale nie - wciąż milczała.

- Pomyśl tylko, jaką przyszłość moglibyśmy zapewnić dziecku - szepnąłem. - Jak byśmy je zabezpieczyli, jakie przywileje by zyskało.

Zerknąłem na nią przez ramię. Nie patrzyła na mnie. Patrzyła na pieniądze. Pogrzebałem w palenisku.

- To niczyje pieniądze, Saro. Nikt o nich nie wie. Jeśli tylko zechcemy, będą nasze.

- Ale to kradzież, Hank. Jak cię złapią, pójdiesz siedzieć.

- Zatrzymując je, nikogo nie krzywdzimy. Bo czym jest przestępstwo? Cudzą krzywdą. Pokręciła głową.

- Złamalibyśmy prawo, a łamiąc prawo, popełnilibyśmy przestępstwo. Nie ma znaczenia, czy kogoś krzywdzisz, czy nie, aresztowaliby cię tak czy inaczej. Nie chcę zostać samotną matką tylko dlatego, że zrobiłeś głupstwo i wylądowałeś w więzieniu.

- Moglibyśmy wykorzystać te miliony dla szlachetnych celów, moglibyśmy zrobić coś dobrego. - Zaczynałem się płatać. Pragnąłem tych pieniędzy i chciałem, żeby Sara też ich pragnęła.

Westchnęła, jakby z niesmakiem. Podniosła głos. Zaczynała wpadać w złość.

- Nie obchodzi mnie, czy to postęp moralny, czy nie. Po prostu boję się wpadki. Bo wpadka i więzienie, to życie, to namacalna rzeczywistość. Reszta to tylko słowa. Powtarzam: jak cię złapią, pójdiesz siedzieć. Gdyby ryzyko nie istniało, pozwoliłabym ci te pieniądze zatrzymać. Ale nie pozwolę.

Drgnąłem i znieruchomiałem przy palenisku. Zamurowało mnie. Od samego początku zakładałem, że jedyny opór, jaki napotkam z jej strony, będzie wynikał z pobudek moralnych. Nastrój miałem fatalny, a może raczej fatalistyczny - wiedziałem, że nie ma sensu kłócić się o coś tak ulotnego jak moralność - i raptem stwierdziłem, że to nie to, że sprawa jest dużo prostsza. Sara chciała zatrzymać pieniądze, ale bała się wpadki. Chryste, przecież powinienem był o tym wiedzieć. Sara to przede wszystkim pragmatyczka - to w niej najbardziej kochałem - a jako pragmatyczka największą uwagę zwracała na podstawowe aspekty spraw, jakie musiała załatwiać, na aspekty najpraktyczniejsze. Tak więc uznała, że decyzja o przywłaszczeniu sobie pieniędzy zależy od spełnienia dwóch prostych warunków.

Warunek pierwszy - który właściwie już spełniłem - to pewność, że naszym postępkami nikogo nie skrzywdzimy. Warunek drugi to uniknięcie kłopotów i ewentualnej wpadki. Cała reszta, jak sama powiedziała, to tylko słowa zamazujące sedno problemu. Przedstawiłem jej swój plan.

- Saro, jedynym dowodem przestępstwa są te pieniądze. Jeżeli ktoś zacznie ich szukać, spalimy je, i koniec.

Ściągnęła usta. Sondowałem wzrokiem jej twarz i wiedziałem, że zdobyłem cenny punkt.

- Nie ma w tym żadnego ryzyka - dodałem. - Będziemy całkowicie panować nad sytuacją.

- Ryzyko jest zawsze, Hank.

- A co byś zrobiła, gdybyś miała absolutną pewność, że go nie ma? Nie odpowiedziała, więc przystąpiłem do natarcia. ?

- Powiedz, zatrzymałabyś pieniądze?

- Ślady, Hank - odrzekła. - Zdążyliście zostawić mnóstwo śladów.

- Śladów? Jakich?

- Zwyczajnych, choćby tych na śniegu. Prowadzą od drogi do samolotu i z powrotem, prawda?

- Jutro ma padać - skontrolowałem triumfalnie.

- Do wieczora znikną. Ni to kiwnęła głową, ni to wzruszyła ramionami.

- Dotykałeś pilota.

Zmarszczyłem czoło, bo w tym samym momencie przypomniał mi się Jakub pytający Carla o samolot. I znowu zmieniłem zdanie uznając, że postąpił głupio.

- Jeśli z jakiegoś powodu zaczną was podejrzewać - mówiła dalej Sara - szybko zwęszą, że tam byliście. Wystarczy jeden włos, gdzie tam! jedna torebka włosowa albo centymetrowej długości nitka z twojej kurtki. Uniosłem rękę.

- Na Boga, dlaczego mieliby podejrzewać akurat mnie?

Odpowiedziała natychmiast, chociaż nie musiała nic mówić, bo wiedziałem, z czym wyskoczy.

- Przez Jakuba i Lou.

- Jakub jest w porządku - odrzekłem, niezupełnie w to wierząc. - Zrobi, co każe.

- A Lou?

- Dopóki mamy pieniądze, trzymamy go w garści. Zawsze możemy zagrozić, że wszystko spalimy.

- A jak już dostanie swoją część?

- W tym całe ryzyko. Będziemy musieli jakoś to znieść. Zamyślona zmarszczyła czoło.

- To chyba niewielka cena - zauważyłem. Wciąż milczała.

- Saro, przecież zawsze możemy tę forsę spalić, odczekać do ostatniej chwili i spalić. Głupio byłoby tak od razu zrezygnować, zwłaszcza że nic złego się jeszcze nie stało.

Nie odpowiedziała, ale czułem, że zaraz podejmie decyzję. Oparłem pogrzebacz o stojak, wróciłem do fotela i przykucnąłem nad pieniędzmi. Nie patrzyła na mnie. Oglądała swoje ręce.

- Musisz tam pójść i zostawić część pieniędzy - oświadczyła. Nie wiedziałem, o co jej chodzi.

- Zostawić część pieniędzy? - powtórzyłem.

- Tak, tylko część. Będziesz musiał wyjść wczesnym rankiem, żeby śnieg zdążył zasypać ślady.

- A resztę... zatrzymujemy? - spytałem, czując na karku podniecające mrowienie.

Kiwnęła głową.

- Pięćset tysięcy zwrócimy, resztę zatrzymamy. Kiedy znajdą samolot, dojdą do wniosku, że nikogo tam nie było.

- Pięćset tysięcy? To kupa pieniędzy.

- Dokładnie tyle zwrócimy.

- Saro, to przecież pół miliona dolarów.

Znowu kiwnęła głową.

- Tym sposobem każdy z was dostanie po równo.

- Gdybyśmy zwrócili dwieście tysięcy, też by było po równo.

- To za mało. Pół miliona pasuje idealnie. Nikt nie zostawia tylu pieniędzy. Dzięki temu unikniemy podejrzeń.

- Nie wiem, czy...

Nie pozwoliła mi dokończyć.

- Pół miliona albo zwracamy wszystko co do centa. Spojrzałem na nią zaskoczony stanowczością, z jaką wypowiedziała te słowa.

- Wpadniemy przez zachłanność, Hank. Rozwazałem to chwilę.

- Dobra - odrzekłem. - Niech będzie pół miliona.

Odliczyłem pięćdziesiąt paczek. Zrobiłem to natychmiast, tam, na miejscu, jakbym się bał, że zmieni zdanie. Ułożyłem je w stertę u jej stóp niczym ofiarę przed ołtarzem, a resztę

spakowałem do płóciennej torby. Wypełnioną po brzegi mocno zawiązałem i uśmiechnąłem się do Sary.

- Zadowolona? - spytałem. - Szczęśliwa? Machnęła ręką, jakby opędzała się od natrętnej muchy.

- Możemy wpaść, Hank. Tylko to jest ważne. Pokręciłem głową, nachyliłem się nad torbą i wziąłem Sarę za rękę.

- Nie, nie wpadniemy.

Spojrzała na mnie ze ściągniętymi ustami.

- Przrzekasz, że spalisz je, jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli?

- Przrzekam. - Wskazałem kominek. - Spalę je tam, w tym kominku.

Torbę schowałem pod naszym łóżkiem. Wepchnąłem ją głęboko, pod samą ścianę, i zastawiłem dwiema pustymi walizkami, żeby nic nie było widać.

Siedzieliśmy do późna, oglądając noworoczny program telewizyjny. Gdy orkiestra zagrała Auld Lang Syne, Sara zaczęła śpiewać, głosem wysokim i drżącym, lecz aż niepokojąco pięknym. Piliśmy musujący jabłecznik - bezalkoholowy, ze względu na dziecko - a z pierwszym uderzeniem zegara trąciliśmy się kieliszkami, życząc sobie wszystkiego najlepszego w Nowym Roku.

Przed snem kochaliśmy się, łagodnie i powoli. Przykucnęła nade mną, opierając wielki brzuch na moim brzuchu i zaczęła mnie ujeżdżać. Jej olbrzymie, ciężkie i napęczniałe piersi kołysały się w ciemności tuż nad moją twarzą, więc objąłem je ostrożnie i ścisnąłem palcami sutki, aż jęknęła, cichutko i głęboko, aż wydała z siebie gardłowy, zwierzęcy skowyt. Słyszając ten odgłos, pomyślałem o kołyszącym się w niej dziecku, zamkniętym w wodnym kokonie, o tym, że niedługo przyjdzie na świat i ta myśl wydała mi się tak bardzo podniecająca, tak niesamowicie erotyczna, że wstrząsnął mnie rozkoszny dreszcz.

Potem Sara odpoczywała, leżąc obok mnie na plecach, z moją ręką na rozdętym brzuchu. Leżeliśmy pod kocami. Przytuliłem się do niej całym ciałem. W pokoju było zimno. Mróz malował na szybach lodowe kwiaty.

Wsluchiwałem się w jej oddech próbując dociec, czy już zasnęła. Oddychała powoli i równo, co by oznaczało, że śpi, lecz była wyraźnie spięta, jakby ona też usilnie nadśluchiwała albo na coś czekała. Musnąłem ją pieszczotliwie po brzuchu. Leciutko, samymi czubkami palców. Nie zareagowała.

Powoli zaczynałem zasypiać, myśląc o torbie pieniędzy pod łóżkiem i o martwym pilocie w ciemnej kabinie samolotu spoczywającego pośród jabłoni nawiedzonych przez stada wron, gdy wtem Sara odwróciła głowę i coś wyszeptała.

- Co? - mruknąłem, wracając z krainy snu.

- Powinniśmy je spalić, prawda?

Podparłem się łokciem i spojrzałem na nią przez mrok. Zamrugiała.

- Taki numer nigdy nie przejdzie, Hank.

Wysunąłem rękę spod koca i odgarnąłem włosy z jej twarzy. Skórę miała tak bardzo bladą, że niemal świecąca.

- Przejdzie, Saro, zobaczysz. Wiemy, co robić, to najważniejsze.

Pokręciła głową.

- Nie, Hank. Jesteśmy normalnymi ludźmi. Ani zbyt przebiegłymi, ani zbyt bystrymi.

- Przekonasz się, Saro. - Poglaskałem ją po twarzy, a gdy zamknęła oczy, wcisnąłem głowę w Jasiak, chłonąc ciepło bijące z jej ciała. - Nie wpadniemy.

Nie wiem, czy naprawdę wierzyłem, że jesteśmy nietykalni. Tak, z pewnością zdawałem sobie sprawę przynajmniej z niektórych niebezpieczeństw czyhających na drodze, którą świadomie obraliśmy. Przecież był Jakub, był Lou, był Carl Jenkins, był samolot, były setki innych jeszcze nie znanych zagrożeń, przez które mogliśmy wpaść. W głębi serca musiałem odczuwać prymitywny strach wynikający z samego faktu popełnienia przestępstwa. Bo nie dostrzegając mrocznego cienia kary wiszącej nad moim czynem, zrobiłem coś, nad czym się nigdy dotąd nawet nie zastanawiałem, coś, co wykraczało poza moje życiowe doświadczenia, bez możliwości uchwycenia istoty postępu jako takiego. Lecz patrząc wstecz, nie przypuszczam, żeby tego rodzaju myśli były wtedy równie ważne jak dzisiaj. Nie, sądzę, że czułem się szczęśliwy i bezpieczny. Wkraczaliśmy w nowy rok. Skończyłem trzydzieści lat, byłem zadowolony z małżeństwa, niebawem miało przyjść na świat nasze pierwsze dziecko. Przed chwilą skończyliśmy się kochać, leżeliśmy przytuleni „na łyżeczkę”, a pod nami, ukryta niczym skarb, którym przecież była, spoczywała torba: cztery miliony czterysta tysięcy dolarów w używanych banknotach. Jak dotąd, wszystko szło względnie gładko i życie uśmiechało się do nas uśmiechem pełnym nowych obietnic. Spoglądając na tę chwilę z perspektywy lat, mogę powiedzieć, że osiągnąłem wtedy swoje apogeum, punkt, od którego prowadziła tylko jedna droga, droga na szczyt; lecz był to jednocześnie moment, od którego wszystko zaczęło się psuć. Nie sądzę, bym mógł wówczas przypuszczać, że kiedyś dosięgnie nas kara: nasz postępek wydawał się zbyt trywialny, nasze szczęście zbyt wielkie.

Sara długo milczała. Nagle chwyciła mnie za rękę i znowu położyła ją sobie na brzuchu.

- Obiecaj - zażądała stanowczo. - Obiecaj! Uniosłem głowę i szepnąłem jej do ucha:

- Nigdy nas nie złapią. Obiecuję. Potem zasnęliśmy.

Rozdział 3

Obudziłem się koło ósmej rano. Sara już wstała; słyszałem, jak bierze prysznic w łazience. Zwinięty pod ciepłymi kocami, jeszcze trochę śpiący, wsłuchiwałem się w buczenie i popiskiwanie rur.

Rury w domu rodziców wydawały podobne dźwięki, ilekroć odkręciło się kran. Gdy byliśmy małymi dziećmi, Jakub powiedział mi, że w ścianach są uwięzione duchy, że buczą tak i jęczą, bo chcą się stamtąd wydostać, a ja mu uwierzyłem.

Pewnej nocy matka i ojciec wrócili do domu pijani i zaczęli tańczyć w kuchni. Miałem wtedy sześć, może siedem lat. Obudzony hałasem, zszedłem na dół w chwili, gdy spleceni ramionami rodzice wpadli na krzesło i wraz z krzesłem runęli na podłogę. Ojciec grzotnął głową w ścianę i wybił w niej dziurę wielkości pięści. Przerażony, ze zmierzwionymi od snu włosami, wbiegłem do kuchni ze zmiętą gazetą w rękę i zacząłem zatykać tę nieszczęsną dziurę, żeby nie uciekły przez nią duchy. Na widok chudego, znerwicowanego dzieciaka w pizamie, rozpaczliwie latającego pękniętą ścianę, matka i ojciec wybuchnęli histerycznym śmiechem. Pamiętam, że byłem zażenowany i zawstydzony, i to bardzo. Lecz nie wtedy, gdy myślałem o nich tego ranka, wtedy nie odczuwałem goryczy. Ogarnęła mnie za to dziwna nostalgia i tęsknota. Tak, zdałem sobie sprawę, że za nimi tęsknię i leżąc skulony pod ciepłymi kocami, ni to na jawie, ni

we śnie, wyobraziłem sobie, że jakimś cudem zajęli miejsce moje i Sary: matka, młoda, energiczna i w ciąży, bierze w łazience prysznic, podczas gdy ojciec leży w przyciemnionym pokoju, spoglądając na żaluzje w oknach i wsłuchując się w jęk rur buczących w ścianie za głową.

Właśnie tak o nich zawsze myślałem, a przynajmniej próbowałem: jak o ludziach młodych - w naszym wieku - jak o trzydziestolatkach rozpoczynających wspólne życie. Oczywiście więcej w tym było wyobraźni niż prawdziwych wspomnień. Urodziłem się na długo przed tym, kiedy rodzice zaczęli mieć kłopoty, więc wspomnienia, te prawdziwe, te, które napływały nieproszone, same z siebie, dotyczyły okresu znacznie późniejszego, gdy ojciec i matka byli już starsi, za dużo pili, a farma popadła w długi.

Kiedy widziałem ojca po raz ostatni, był pijany. Pewnego ranka zadzwonił do mnie do biura i zawstydzony, a może zakłopotany, poprosił mnie, bym do niego wpadł i przejrzał rachunki. Chętnie się zgodziłem i choć sam byłem trochę zażenowany, to mile mnie polechtał, bo nigdy dotąd nie prosił mnie o pomoc.

Wieczorem, prosto z pracy, pojechałem na farmę. Ojciec miał za kuchnią mały gabinet i tam, na składanym stoliku do kart, którego używał jako biurka, spędziłem pięćdziesiąt minut, rozwikłując jego finanse. Wydatki i przychody zapisywał w olbrzymiej, oprawionej w skórę księdze. Było w niej mnóstwo pospiesznie naskrobanych cyfr i liczb w koślawych, zachodzących na siebie kolumnach i rzędach, pełno skomplikowanych obliczeń nagryzmołonych nieczytelnie na marginesach. Pisał starym piórem maczanym w atramencie, więc gdy popełnił błąd - a stwierdziłem, że zdarzało mu się to nader często - nie mógł danej cyfry czy liczby wymazać i musiał ją przekreślać. Lecz mimo panującego w księdze chaosu, natychmiast spostrzegłem, że rodzicom groziła utrata farmy.

Wiedziałem, że mają kłopoty, wiedziałem o tym od tak dawna, jak tylko sięgałem pamięcią, ale nigdy nie wyobrażałem sobie, że sprawy mogły zajść tak daleko. Byli zadłużeni dosłownie wszędzie i u każdego: od dawna nie płacili rachunków za prąd, za telefon i za wodę, zalegali ze składkami ubezpieczeniowymi, z podatkami, mieli długi w zakładzie opieki zdrowotnej, nie płacili za reperację i konserwację kombajnu, za paliwo, za nawozy sztuczne; na szczęście nie hodowali bydła, bo na pewno mieliby długi i u Raikleya. Jednak były to tylko rachunki, rachunki co prawda wysokie, ale rodzice by je kiedyś spłacili. Z powodu niezapłaconych rachunków farmy się nie traci - można ją stracić na skutek długów zaciągniętych w banku, gdyż bank po prostu ją zajmie, a właśnie bankowi ojciec był winien najwięcej. Zapożyczył się, źle zainwestował - pieniądze przepadły. Obciążył hipoteką dom, potem ziemię i za kilka tygodni mógł stracić wszystko.

Zanim cokolwiek powiedziałem, długo pracowałem w milczeniu, układając liczby w logiczny ciąg kolumn, oddzielając aktywa od pasywów, sumując to, co było do zsumowania. Ojciec siedział za mną na taborecie i zaglądał mi przez ramię. Byli już po kolacji, więc pił whisky ze szklanki do soku owocowego. Zostawił otwarte drzwi i z kuchni dobiegało pobrzękiwanie naczyń - matka zmywała.

W końcu odłożyłem ołówek, obróciłem głowę i spojrzałem na ojca. Uśmiechnął się. Był mężczyzną wielkim i przysadzistym. Miał okazały brzuch, jasne, rzadkie włosy - zaczynał jużłysieć - i małe, bładoniebieskie oczy, które leciutko łzawiły, ilekroć za dużo wypił.

- No i? - spytał.

- Zajmą ci farmę - oznajmiłem. - Nie przypuszczam, żeby czekali dłużej niż do końca roku.

Z jego twarzy wyczytałem, że się tego spodziewał. Tak, dobrze o tym wiedział, bank musiał grozić mu od miesięcy, ale sądzę, że tliła się w nim iskierka nadziei, że poprosił mnie

o pomoc myśląc, iż znajdę jakieś wyjście, jakiś prawny kruczek, coś, czego jako człowiek niewykształcony i nie obeznany z zawiłościami księgowości dostrzec nie umiał.

Wstał, podszedł do drzwi, zamknął je i znowu usiadł na taborecie.

- Co możemy zrobić? - spytał.

Podniosłem rękę.

- Nie wiem, czy można cokolwiek zrobić. Za późno.

Zmarszczył czoło i chwilę to trawił.

- Liczyłeś to wszystko i wyliczałeś, dodawałeś i odejmowałeś, i nic? Nie potrafisz znaleźć żadnego wyjścia?

- Tato, macie olbrzymie długi. W żaden sposób ich nie spłacicie, a jeśli tego nie zrobicie, bank zabierze wam dom i ziemię.;

- Nie, farmy im nie oddam.

- Byłeś w banku? Rozmawiałeś z nimi? Może...

- Bankierzy - prychnął ojciec. - Myślisz, że oddam bankierom dom i ziemię?

Wtedy zdałem sobie sprawę, że jest pijany, może nie zalany, ale na pewno czuł alkohol we krwi, czuł, jak krąży w żyłach, ciepły i usypiający niczym środek nasenny, który osłabia zdolność percepcji i opóźnia reakcje.

- Nie masz wyboru, tato. Machnął ręką.

- Mam, mam - wychrypiał. Znowu wstał i postawił szklanę na taborecie. - Patrzysz w tę księgę i widzisz tylko cyferki, a cyferki to jeszcze nie wszystko.

- Tato, będziesz musiał...

Pokręcił głową.

- Ja nic nie muszę, Hank.

Zamilkłem.

- Idę spać - oświadczył. - Siedziałem do późna, bo myślałem, że znajdziesz na nich jakiś sposób.

Wyszedłem za nim. Chciałem go jakoś pocieszyć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Wiedziałem, że będą musieli uporać się z całą masą spraw, a przede wszystkim ze znalezieniem nowego domu albo mieszkania, lecz nie mogłem podjąć tego tematu - był moim ojcem i obraziłbym go, służąc radą.

Matka skończyła zmywać naczynia i wycierała kuchenną ladę. Chyba czekała, aż skończymy, bo skoro tylko zobaczyła, że wychodzimy z gabinetu, rzuciła gąbkę i ruszyła w naszą stronę. Ojciec minął ją bez słowa, kierując się do schodów, a ja poszedłem za nim.

Chwyliła mnie za rękaw.

- Nie, Hank - szepnęła. - Przejdzie mu. Musi się trochę przespać, i tyle.

Wzięła mnie za łokieć i pociągnęła do frontowych drzwi. Była kobietą niską i drobną, lecz bardzo silną i zawsze umiała zmusić mnie do posłuszeństwa. Teraz chciała, żebym zostawił ich samych i wrócił do domu.

W sieni przystanęliśmy, żeby chwilę porozmawiać. Mżył deszcz, było zimno. Gdy matka zapaliła światło na ganku, wszystko zalśniło mokrym blaskiem.

- Wiesz? - spytałem.

Kiwnęła głową.

- Zastanawialiście się, co robić?

- Jakoś sobie poradzimy - odrzekła spokojnie.

Jej opanowanie i to, że ojciec tak pochopnie odrzucił moją pomoc, sprawiło, że nagle ogarnęła mnie panika. Wyglądało na to, że ani ona, ani on nie zdają sobie sprawy z ogromu swych kłopotów.

- Mamo, jest naprawdę kiepsko. Musimy...

- Wszystko będzie dobrze, Hank. Jakoś przetrwamy.

- Weźmiemy pożyczkę, damy wam parę tysięcy. Mógłbym pogadać z kimś z banku...

Pokręciła głową.

- Nie, Hank. Twój ojciec i ja będziemy musieli z kilku rzeczy zrezygnować, to wszystko. Stać nas na to. Nie musisz się martwić. - Uśmiechnęła się, nadstawiła policzek.

Pocałowałem ją i otworzyłem wewnętrzne drzwi. Czulem, że nie chce o tym rozmawiać, że nie pozwolą sobie pomóc. Odsyłała mnie do domu.

- Pada, jedź ostrożnie. Jest ślisko.

Pobiegłem przez deszcz do samochodu. Gdy wsiadłem, światło na ganku zgasło.

Nazajutrz zadzwoniłem do ojca z pracy. Chciałem, żeby przyjechał do miasta i wpadł ze mną do banku na rozmowę z dyrektorem, ale odmówił. Podziękował mi za troskę, dodał, że gdyby potrzebował pomocy, to by o nią poprosił, i odłożył słuchawkę.

Wtedy rozmawiałem z nim ostatni raz. Dwa dni później już nie żył.

Sara zakręciła prysznic i raptem - jakby moje własne „ja” chciało przerwać nagłą ciszę - z zakamarków mózgu dobiegł mnie szept: zapomniałeś pójść na cmentarz, Hank.

Był pierwszy dzień nowego roku, co oznaczało, że nie byliśmy tam z Jakubem przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni. Chwilę rozważałem istotę oraz wagę tego spostrzeżenia i doszedłem do wniosku, że kryjąca się za naszym rytuałem myśl - pamięć o rodzicach jako taka i sama w sobie - jest ważniejsza niż odwiedziny na cmentarzu. Nie dostrzegałem absolutnie nic, co zyskaliśmy, jeżdżąc tam rok w rok. Poza tym chodziło tylko o jeden dzień i

równie dobrze mogliśmy pojechać na groby dwadzieścia cztery godziny później, niż obiecaliśmy ojcu. Byłem pewien, że zważywszy okoliczności, stary przebaczyłby nam tę opieszałość.

Lecz jednocześnie uświadomiłem sobie, że waga naszych wizyt wypływa z faktu surowego przestrzegania ich regularności i punktualności: ten jeden jedyny dzień w roku musieliśmy zarezerwować na cmentarne odwiedziny, musieliśmy go sobie wydzielić i pokonując wszelkie zewnętrzne przeszkody, poświęcić go na uczczenie pamięci rodziców. Na tej stosunkowo małej niedogodności zasadzała się cała istota oraz wymowa naszych wizyt. Nowy Rok był granicą, nieprzekraczalnym terminem, który właśnie przekroczyliśmy.

Zacząłem się zastanawiać nad sposobami odpokutowania za grzech, ale wszystkie sprowadzały się do zwiększenia liczby wizyt w bieżącym roku. Doszedłem do dwunastu - co oznaczało, że musielibyśmy jeździć na groby co miesiąc - gdy z łazienki wyszła Sara.

Jeśli nie liczyć żółtego ręcznika kąpielowego na głowie, była zupełnie naga. Piersi miała tak bardzo rozrośnięte, tak nabrzmiałe i pełne, że przy jej drobnej budowie ciała wyglądały komicznie, jak sprośny rysunek dojrzewającego chłopca. Sutki były jaskrawoszkarłatne niczym dwie kostropate skazy na mlecznobiałej skórze, a brzuch wielki i obwisły, tak że gdy szła, musiała podtrzymywać go obiema rękami jak olbrzymią paczkę. Wyglądała niedołącznie i słoniowate. Resztki dawnego wdzięku dostrzegałem w niej tylko wtedy, gdy wypoczywała, bo wypoczywając podtrzymywała ośmiomiesięczne brzemię z dziwną majestaty-cznością, ze zwierzęcą wprost elegancją. Patrzyłem, jak kołysząc się niezdarnie, podchodzi do okien, jak podciąga żaluzje.

Do pokoju wpadło szarawe światło dnia. Niebo było zimne i zachmurzone, drzewa czarne i nagie.

Miałem w półprzymknięte oczy; spojrzała na mnie, ale chyba nie wiedziała, że już nie śpię. Zdjęła z głowy ręcznik, pochyliła się i zaczęła wycierać włosy. Obserwowałem ją na tle zimowego nieba za oknem.

- Zapomnieliśmy pojechać na cmentarz - mruknąłem.

Zaskoczona, znieruchomiała i poderwała wzrok, ale się nie wyprostowała. Potem wróciła do przerwanej czynności. Wycierała włosy mocno i szybko, z takim wigorem, że słyszałem, jak chropowaty materiał szoruje skórę. Skończywszy, wyprostowała się i owinęła piersi ręcznikiem.

- Możecie pojechać dzisiaj - odrzekła. - Gdy stamtąd wrócisz.

Podeszła do łóżka i usiadła tyłem do mnie. Nogi miała rozkraczone, brzuch podtrzymywała rękami. Też usiadłem, żeby ją lepiej widzieć. Zerknęła przez ramię i nagle

zasłoniła dłonią usta.

- Chryste, cały jesteś zakrwawiony!, Dotknąłem ręką czoła. Guz prawie zniknął, ale wyczułem w tym miejscu wielki strup, nieregularny placek zakrzepłej krwi.

- Musiałem krwawić w nocy.

- Boli?

Pokręciłem głową, obmacując brzegi rany.

- Nie. Jakby nic tam nie było.

Sara milczała.

- Pomyśl tylko, że mogła trafić mnie w oko.

Otakowała spojrzeniem moje czoło, lecz po wyrazie jej twarzy odgadłem, że myśli o czymś innym.

- Trzeba powiedzieć Jakubowi, że jedziesz do samolotu. Może nawet powinieneś go z sobą zabrać.

- Po co?

- Bo tak by było z pewnością. Brakowałoby tylko, żeby Jakub albo Lou przejeżdżali przez park i zobaczyli twój samochód. Pomyśleliby, że coś knujesz, że chcesz ich wykiwać.

- Nic nie zobaczą. Zdążę obrócić, zanim zwloką się z łóżka.

- Chodzi tylko o zachowanie ostrożności, Hank. Od tej chwili musimy być bardzo ostrożni. Musimy cały czas myśleć i przewidywać., Rozważałem to chwilę i, nie do końca przekonany, kiwnąłem głową. Sondowała mnie wzrokiem, jakby myślała, że zacznę się z nią wyklócać. Gdy zrezygnowałem, wsunęła rękę pod koc i ścisnęła mnie za nogę.

- Ale o tym, że zostawisz w samolocie pół miliona dolarów, jemu nie powiemy. Będziesz musiał ukryć pieniądze pod kurtką i wejść do kabiny sam.

- Chcesz powiedzieć, że gdyby o tym wiedział, to byjeukradł?

- Kto wie. Jakub jest tylko człowiekiem, a to reakcja naturalna, bardzo ludzka. Albo wychłapałby wszystko Lou. A Lou na pewno by je świsnął. - Odgarnęła kosmyk włosów. Były mokre i sprawiały wrażenie ciemniejszych, prawie brązowych. - Nie, nie mogą o tym wiedzieć. Zamartwilibyśmy się na śmierć. A tak będziemy bezpieczni.

Pomasowała mi stopę.

- Dobrze?

Kiwnąłem głową.

- Dobrze.

Uśmiechnięta nachyliła się nade mną i cmoknęła mnie w czubek nosa. Poczulem zapach szamponu, chyba cytrynowego, i pocałowałem ją w usta.

Wszedłem do łazienki, a Sara narzuciła wielki, ciemnozielony szlafrok i zniknęła na dole, żeby przygotować śniadanie.

Odkręciłem kran i czekając, aż popłynie gorąca woda, podszedłem do lustra, żeby obejrzeć skaleczenie. Dokładnie pośrodku czoła widniało małe wgłębienie, nie większe niż blizna po trądziku. Wokół wgłębienia zaschła krew - zakrzepła spiralnie, nadając rance wygląd tarczy strzelniczej z wyraźnie zaznaczoną „dziesiątką”

Gapiałem się na swoje odbicie, aż lustro zaszło parą. Potem starłem kciukiem trochę krwi i zrzuciłem piżamę. Byłem wypluty i lekko zamroczony, jakby moje ciało instynktownie wyczuło, że jest Nowy Rok i automatycznie przyjęło, że muszę mieć kaca.

Szykując się do wejścia pod prysznic, zauważyłem, że w łazience nie ma ręczników. Gdy otworzyłem drzwi, żeby je przynieść, zobaczyłem w sypialni Sarę. Przykucnęła koło łóżka tyłem do mnie. U jej stóp leżała pusta torba, a na dywanie walały się paczki banknotów.

Usłyszała, że wszedłem i zerknęła na mnie przez ramię z grzesznym uśmiechem na twarzy. Widząc ten uśmiech, poczułem, że coś we mnie drga, że cisną mi się do głowy dziwaczne podejrzenia, leciutkie niczym dreszczyk. Wiedziałem, że są zupełnie nieuzasadnione, wiedziałem, że to tylko zaskoczenie wywołane jej nieoczekiwaną obecnością w sypialni i widokiem pieniędzy na podłodze - przecież myślałem, że jest na dole, w kuchni - i natychmiast zdałem sobie sprawę, że swymi podświadomymi oskarżeniami w jakiś sposób ją krzywdzę.

- Szukam ręcznika.

Znieruchomiałem w progu łazienki. Byłem nagi i głupio się czułem, bo nie lubiłem chodzić po domu bez ubrania, nawet przy Sarze. Moje ciało, jego fizyczność, przestrzeń, jaką zajmowało, i kolor skóry wprawiały mnie w zażenowanie. Inaczej Sara. W letnie upały lubiła chodzić nago.

- Och, Hank, przepraszam. Właśnie miałam ci je przynieść. - Nie wstała.

I w jednej, i w drugiej ręce trzymała paczkę pieniędzy. Zrobiłem krok w stronę korytarza, ale przystanąłem.

- Co ty robisz? - spytałem. Ruchem głowy wskazała pustą torbę.

- Chciałam się upewnić, czy nie idą w kolejności.

- W kolejności?

- Gdyby zrabowano je z banku, numery seryjne szłyby kolejno. Musielibyśmy wszystko spalić.

- No i co? Wzruszyła ramionami.

- Nie, to używane banknoty. Spojrzałem na paczki pieniędzy. Były ułożone w rów-

niutkie sterty po pięć w każdej.

- Pomożesz mi to spakować? - spytałem.

- Nie, liczę - mruknęła.

- Liczysz? Kiwnęła głową.

- Już to zrobiliśmy. Przeliczyliśmy wszystko z Jakubem i Lou. Westchnęła.

- Chciałam przeliczyć sama. Nie mogę uwierzyć, że to aż tyle pieniędzy.

Gdy wyszedłem z łazienki, Sara była już na dole, w kuchni; słyszałem, jak pobrzękuje naczyńiami. Przykucnąłem przy łóżku, odsunąłem jedną z pustych walizek i sprawdziłem, czy torba jest na miejscu. Była. Tkwiła głęboko, przy samej ścianie, dokładnie tak, jak ją poprzedniego dnia ułożyłem.

Zastawiłem ją walizką, szybko się ubrałem i zbiegłem na śniadanie.

Po śniadaniu zadzwoniłem do Jakuba i oznajmiłem mu, że musimy wrócić do samolotu.

- Do samolotu? Po cholere? - Był na wpół przytomny, chyba jeszcze spał.

- Musimy sprawdzić, czy nic tam nie zostawiliśmy. - Rozmawiałem z aparatu w kuchni. Sara siedziała za stołem, robiła na drutach sweterek dla dziecka i przysłuchiwała się rozmowie. Obok niej leżały odliczone wieczorem pieniądze.

- Niby co mogliśmy zostawić? - spytał Jakub. Wyobraziłem sobie, jak leży w tej swojej norze, w ubraniu, w którym wrócił z noworocznej balangi, gruby i nie ogolony. Brudne koce skopane i zmiętoszone u stóp łóżka, zaciągnięte zasłony, śmierdzący piwskim pokój...

- Nie zachowaliśmy ostrożności, Jakub. Musimy wrócić i dokładnie przeszukać okolicę.

- Myślisz, że coś zostawiliśmy?

- Lou zostawił puszkę po piwie.

- Puskę po piwie? - powtórzył, zmęczony i zirytowany.

- Dotykałem pilota. Trzeba go posadzić, jak siedział.

Westchnął.

- No i krwawiłem. Musimy sprawdzić, czy na podłodze nie ma krwi.

- Krwawiłeś? Ty?

- Z czoła. To dla nich ważny ślad. Badanie krwi może dużo ustalić. Krew jest gorsza niż odciski palców.

- Chryste, Hank, przecież nikt nie zauważy paru kropel krwi.

- Nie możemy ryzykować.

- Nie mam ochoty wlec się przez ten cholerny...

- Pojedziemy tam, Jakub - warknąłem. - Nie pozwolę, żeby przez twoje lenistwo wszystko szlag trafił, jasne? - Powiedziałem to z większą złością, niż zamierzałem, co wywarło natychmiastowy wpływ i na niego, i na Sarę: Jakub zamilkł, a przestraszona Sara gwałtownie podniosła głowę.

Posłałem jej uspokajający uśmiech i wróciła do swoich drutów.

- Przyjadę po ciebie - powiedziałem do Jakuba.

- W drodze powrotnej możemy wpaść na cmentarz.

Wydał z siebie długi gardłowy pomruk, który stopniowo przeszedł w coś, co zabrzmiało jak:

- Dobra!

- Za godzinę.

- Zadzwoń po Lou?

Chwilę to rozważałem, obserwując Sarę śmigającą drutami nad małym żółtym sweterkiem. Nie miałem ochoty spędzać przedpołudnia z Lou, zwłaszcza z Lou skacowanym.

- Nie - odrzekłem. - Nie musi z nami iść.

- Ale mogę mu powiedzieć, tak?

- Oczywiście. Jesteśmy współnikami. Głupie sekrety to ostatnia rzecz, jakiej nam teraz potrzeba.

Nie wiedziałem, jak ukryć pieniądze w taki sposób, żeby Jakub ich nie zauważył. Było tego pięćdziesiąt paczek - to tak, jakbym próbował ukryć pod ubraniem pięćdziesiąt małych książeczek. Wypchaliśmy wszystkie kieszenie, powtykaliśmy pieniądze do rękawów, do skarpetek i za pasek spodni, skutkiem czego zacząłem w niektórych miejscach podejrzanie puchnąć i ciężko obwisać, a kilku paczek i tak nie dało się zmieścić.

- Nic z tego nie będzie - skonstatowałem zrezygnowany i sfrustrowany.

Wciąż byliśmy w kuchni. Miałem na sobie kurtkę i cały ściekałem potem. Paczki pieniędzy powtykane we wszystkie zakamarki ubrania sprawiały, że poruszałem się ociężale, kanciasto i niezdarnie niczym prymitywny robot. Oboje byliśmy w rękawiczkach.

Sara stanęła metr dalej i otaksowała mnie spojrzeniem. Po wyrazie jej twarzy odgadłem, że nie podoba się jej to, co widzi.

- A może zapakować wszystko do torby?

- Do torby? Przecież nie mogę zabrać torby. Co bym powiedział Jakubowi? - Rozpiąłem kurtkę i zza pazuchy wypadły mi trzy paczki. Pac-pac-pac - jedna po drugiej pacnęły na podłogę. Sara przykucnęła, żeby je podnieść. - Nie, spróbujmy przełożyć więcej

na pierś.

Puściła tę uwagę mimo uszu.

- Już wiem - powiedziała. Odwróciła się na pięcie i energicznym krokiem wyszła z kuchni.

Czekałem na nią, stojąc niczym rozdęty strach na wróble ze sterczącymi ramionami. Niebawem wróciła z niewielkim plecaczkiem w ręku.

- Nosidełko dla dziecka - powiedziała i uniosła plecaczek na wysokość oczu. Był zrobiony ze szkarłatnego nylonu i ozdobiony z przodu obrazkiem dinozaura. Wyglądało na to, że jest z niego bardzo zadowolona. - Zobaczyłam je w katalogu, zamówiłam i przysłali.

Zdjąłem kurtkę. Nałożyłem nosidełko i poluzowaliśmy paski, tak że opadło mi na brzuch. Sara włożyła pieniądze do plastikowej torby na śmieci - żebyśmy mogli je łatwiej i szybciej wyjąć, gdy wejdę do kabiny samolotu - po czym wepchnęła torbę do plecaczka. Nałożyłem i zapiąłem kurtkę. Miałem dość okazały kałdun, lecz obszerna kurtka całkiem dobrze go maskowała.

- Trochę przytyłeś - skostatowała, klepiąc mnie po brzuchu. - Ale Jakub to ostatnia osoba, która zwróci na to uwagę.

- Wyglądam jak w ciąży - odrzekłem. - Wyglądam jak ty.

Asheiwille to małe, brzydkie miasteczko, w rzeczy samej dwie ulice: Main Street i Tyler Street, przecinające się pod kątem prostym. Na skrzyżowaniu migało żółte światło ostrzegawcze, a na czterech rogach wznosiły się budynki czterech najistotniejszych dla miasta instytucji: ratusz, magazyn paszowy Raikleya, kościół episkopalny Świętego Judy i bank miejski. Wokół nich, po obu stronach Main Street i Tyler Street, rozciągała się pozostała część miasta, mieszanina parterowych i piętrowych budynków w różnych stylach: poczta, ochotnicza straż pożarna, maleńki sklepik spożywczy, stacja benzynowa, apteka, jadłodajnia, sklep z artykułami żelaznymi, automatyczna pralnia, dwie knajpy, sklep myśliwski i pizzeria.

Wszystkie budynki cechowała szarawa jednolitość, monotonia i nijakość, uniwersalna dezintegracja, przytłaczająca i przygnębiająca. Ze ścian obłaziła farba i zwisała z nich wielkimi płatami jak kora ze zranionego drzewa. Framugi okien popękały ze starości, a na parapetach między szybami leżały pożółkłe gazety. Nadwątlone okiennice trzaskały na wietrze, rynny były koślawe i powyginane, a dachy upstrzone czarnymi, ziejącymi dziurami po dachówkach zdmuchniętych przez wicher. Biedne miasteczko, miasteczko-osada, prowincjonalne i wiejskie, które swój najlepszy okres przeżywało sześćdziesiąt lat temu, dziesięć lat przed wielkim kryzysem; miejscina, która - wedle spisów ludności - od roku 1930 regularnie traciła mieszkańców, i która niczym rozlazła pijawka, schorowana, wycieńczona i

umierająca, przywarła do otaczających ją pól, wysysając z nich resztki życiodajnej energii.

O wpół do dziesiątej zaparkowałem przed sklepem żelaznym, nad którym mieszkał Jakub. W mieście było cicho, spokojnie i pusto. Nikłe światło sączące się zza chmur nadawało mu wyblakły i obolały wygląd, jakby ono też, jak wielu jego mieszkańców, miało potężnego kaca i wchodziło w nowy rok chwiejnie i z suchym, lepkiem niesmakiem w ustach. Z lamp ulicznych zwisały resztki bożonarodzeniowych dekoracji, zielone, czerwone i białe świecidelka: papierowe bałwany, Święte Mikołaje, renifery, gwiazdki i gwiazdeczki, a wszystkie stare, sparciałe i sfatygowane jak zakurzone graty na wyprzedaży w prowincjonalnej dziurze.

Jakub czekał na ulicy z Mary Beth, opierając się o słupek parkometru. Ulżyło mi, gdy go zobaczyłem, bo to znaczyło, że nie będę musiał wchodzić na górę i oglądać mieszkania, czego nie cierpiałem. Jego nora zawsze mnie przytłaczała i przygnębiała, odbierałem ją jako symbol upadku materialnego, czym w rzeczywistości była. Jakub mieszkał jak nędzarz: brud, zniszczone, połamane meble, żółtawe światło z nagiej żarówki, walające się resztki jedzenia z pizzerii. Myśl, że mój brat tam przesiaduje, je i śpi, napelniała mnie mieszaniną sprzecznych uczuć: współczucia, żalu i pogardy.

Kilka razy próbowałem mu pomóc, ale nic z tego nie wyszło. Ostatnim razem chciałem to zrobić przed siedmiu laty, zaraz po wypadku rodziców. Zaproponowałem mu pracę kierowcy wozu dostawczego u Raikleya; miałby być zatrudniony na pół etatu. W czasach naszego dzieciństwa u Raikley'a pracował jako kierowca niedorozwinięty przyglup, powolny olbrzym o mongoidalnej twarzy i wysokim, piskliwym głosem, odmieniec, z którym nie można się było dogadać, bo ciągle chichotał i potrząsał głową. Od tamtych czasów upłynęły lata i zupełnie o nim zapomniałem. Ja zapomniałem, ale Jakub pamiętał. Był urażony i obrażony, wściekł się na mnie jak nigdy przedtem. Przez chwilę myślałem, że mnie uderzy.

- Chciałem ci tylko pomóc - wymamrotałem.

- Pomóc? - prychnął szyderczo. - Daj mi spokój, Hank, dobra? Chcesz pomóc, to się ode mnie odpiardol.

Co też skwapliwie uczyniłem.

Jakub wepchnął Mary Beth na tylne siedzenie samochodu i ciężko dysząc rozdziawionymi ustami, jakby dopiero co wbiegł na szczyt wysokich schodów, usiadł obok mnie. W rękę ścisnął plastikowy kubek z kawą i gdy tylko zamknął drzwi, wyciągnął z kieszeni coś owiniętego w zatłuszczony papier. Była to kanapka z sadzonym jajkiem, obficie zlane keczupem; natychmiast zaczął ją jeść.

Wyjechałem na drogę, oceniając jego stan fizyczny i duchowy. Miał na sobie tę swoją kurtkę, a jej czerwień, intensywna i jaskrawa, podkreślała znużenie bijące z jego wymizerowanej twarzy. Był nie ogolony. Nie umył też głowy i nie pocesał włosów. Okulary miał upstrzone plackami brudu.

- Wychodziliście wczoraj z Lou? - spytałem, czując doskwierający ucisk nosidełka opadającego na brzuch jak wielka piłka. Kurtka wznosiła się nad nim i fałdowała, dotykając kierownicy. Było oczywiste, że coś tam mam, tak absurdalnie oczywiste, że cały czas kusilo mnie, by zerknąć w dół.

Jakub kiwnął głową z ustami pełnymi grzanki, jajka

- Dobrze się bawiliście?

Znowu kiwnął głową i otarł usta wierzchem dłoni.

- Gdzie byliście?

Przelknął głośno i upił łyk kawy z kubka. Zauważyłem, że kawa nie paruje - była zupełnie zimna. Na myśl o tłustej kanapce i zimnej kawie zrobiło mi się niedobrze.

- W Pałacu - mlasnął. - W Metamorze.

- Ty, Lou i Nancy?

Po raz trzeci kiwnął głową i przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Pies przysiadł na zadzie, wysunął łeb i ułożył go na oparciu przedniego siedzenia, przy ramieniu Jakuba. Minęliśmy granice miasta, kierując się na zachód. Nieco dalej, na polu przy drodze, stała ciemnobrązowa szopa z zapadniętym dachem, stara i pochylona, a za nią kilka czarno-białych krów. Dzień był cichy i szarawy, ani szczególnie zimny, ani ciepły, bo słupek rtęci w termometrze zastygł tuż poniżej zera. Gdyby miał padać śnieg, jak zapowiadano, byłaby chlapa.

Odchrząknąłem, chcąc coś powiedzieć, ale zmieniłem zdanie i milczałem. Jakub skończył kanapkę. Zwinął papier w kulkę i rzucił go na deskę rozdzielczą. Zerknąłem na nią z obrzydzeniem.

Zamierzałem go o coś spytać, ale wyczułem, że źle by to odebrał. Długo zwlekałem, jednak w końcu z siebie wyrzuciłem.

- Lou powiedział Nancy?

Wzruszył ramionami.

- Daj mu spokój.

Próbowałem wyczytać coś z jego twarzy, ale odwrócił głowę i lekko przygarbiony, gapił się ponuro na przesuujące się za oknem pola.

Zahamowałem i zjechałem na pobocze. Pies spadł z siedzenia i runął na podłogę

między fotelami.

- Powiedział jej, tak?

Staliśmy w pobliżu miejsca, gdzie dzień wcześniej liczyliśmy pieniądze. W okolicy nie było ani domów, ani samochodów, ani nawet drzew. Nic tylko płaskie, zaśnieżone pola.

Odwrócił się do mnie. Twarz miał zmęczoną i pociętą zmarszczkami.

- Jak pragnę zdrowia, Hank. Jedźmy już i załatwmy, co mamy do załatwienia.

Szarpnąłem dźwignią ręcznego hamulca. Pies wdrapał się na tylne siedzenie i zaskomlał. Nie zwracaliśmy na niego uwagi.

- Przecież kiedyś musi jej o tym powiedzieć, nie? - mruknął. - No bo jak się ma przed nią wytłumaczyć z takiej forsy?

- To znaczy, że Nancy już wie? - Zacerpnąłem tchu. W moim głosie pobrzmiwała nutka paniki, dobrze ją słyszałem.

- A ty? - spytał. - Chcesz mi wmówić, że nie powiedziałeś Sarze?

- Nie powiedziałem.

Sondował mnie wzrokiem, jakby myślał, że zaraz pęknę i wyznam prawdę.

- No więc jak? Powiedział jej czy nie?

Łypał na mnie spođe łba i wyglądało na to, że nad czymś deliberuje, ale musiał się chyba rozmyślić, bo znowu spojrział w okno.

- Nie wiem - burknął.

Czekałem. Oczywiście, że Lou jej powiedział, myślałem. Tak samo jak ja powiedziałem Sarze. I Jakub o tym wie. Rozważałem znaczenie tego faktu. Jakub skłamał mnie, ja skłamałem Jakubowi i obaj wiedzieliśmy, że łżemy jak najęci. Przez moment wydawało mi się to tak zabawne, że pozwoliłem sobie na lekki uśmiech. Jakub machnął ręką w stronę horyzontu.

- Ruszaj - mruknął zmęczonym głosem. - Chcę to mieć za sobą.

Do parku Andersa zbliżaliśmy się z tego samego kierunku co poprzedniego dnia, minąwszy niski betonowy most na Anders Creek i farmę Dwighta Pedersona na południowym skraju leśnego parku. Na podjeździe przed domem Pedersonów siedział pies, wielki collie, i obszczekał nas dźwięcznym, głębokim basem. Mary Beth mu odszczekała, wysoko i przenikliwie, co nas wystraszyło, po czym postawił ogon i długo obserwował przeciwnika znikającego za tylnym oknem.

Zaparkowałem w głębokich koleinach, które poprzedniego wieczoru wyryły w śniegu koła samochodu Jakuba, i wyłączyłem silnik. Ślady naszej bytności w parku Andersa mnie przeraziły. Odchodziły od drogi i tworząc zryty, nieregularny szlak, ginęły w lesie. Każdy,

kto tamtędy przejeżdżał, musiał je natychmiast zauważyć. Po lewej stronie, na zaśnieżonym polu przy farmie Pedersona, widniały tropy lisa: łańcuszek maleńkich, czarnych kropeczek, długi, prościutki, precyzyjnie ułożony. Śledziłem go wzrokiem.

- Chcesz tu zostawić samochód? - spytał Jakub. - Tak na otwartej przestrzeni?

Zastanowiłem się. Naturalnie miał rację, ale innego wyjścia nie znalazłem.

- A widzisz tu jakąś kryjówkę?

- Moglibyśmy wjechać z drugiej strony, główną bramą.

Pokręciłem głową. Już się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że to kiepski pomysł. Wyłożyłem swoje argumenty, jeden po drugim.

- Brama będzie zamknięta, a droga wewnętrzna zavalona głębokim śniegiem. Jeśli nie pójdziemy po wczorajszych śladach, możemy zabłądzić i w życiu tam nie trafimy.

Jakub spojrział na odległy most.

- Jak na patelni - burknął. - Trochę to ryzykowne.

- Wczoraj zostawiliśmy tu twoją półciężarówkę.

- Wczoraj nie wiedzieliśmy, co jest w tym lesie.

- Wszystko będzie dobrze, Jakub. Obrócimy raz dwa. Tam i z powrotem,

- Może lepiej dać sobie spokój, co?

Zauważyłem, że jest zlany potem, ostro cuchnącym, jak przejrzały owoc. Miał kaca. Nie, to nie samochód go martwił. Martwiła go perspektywa wyprawy do parku.

- Za dużo wczoraj wypiełeś, co? Schlałeś się?

Udał, że nie słyszał pytania. Otarł twarz rękawem kurtki. Na materiale została ciemna, wilgotna plama.

- Wczoraj moja ciężarówka, dzisiaj twój samochód - wychrypiał. - Ludzie coś wyniuchają.

Rozpiąłem pas, chcąc wysiąść, i poczułem, jak ciężkie, napęczniałe nosidełko uciska mi brzuch. Nagle uświadomiłem sobie, że jeśli Jakub zostanie, będzie mi dużo łatwiej. Rzuciłem na niego okiem. Na policzku miał rozsmarowany keczup.

- Zrobimy tak - oznajmiłem. - Zostaniesz tutaj. Pójdę, rozejrzę się, usunę ślady i wrócę tak szybko, jak się tylko da. Jeżeli ktoś będzie tędy przejeżdżał, udawaj, że naprawiasz samochód.

- A jeśli ten ktoś zechce mi pomóc?

- To z nim pogadasz.

- O czym? O czym, kurwa, mam z nim gadać?! - zapiszczał. Nie wiedziałem, czy ze zmęczenia, czy ze złości.

- Powiesz, że wszystko gra, że już naprawiłeś.

Wskazał ręką las.

- A te ślady?

- Zabiorę Mary Beth. Jak zaczną wypytywać, powiesz, że pies ci uciekł, i że poszedłem z Lou go szukać.

- Jak ktoś się napatoczy, będziemy mieli kłopoty, zobaczysz. Znajdą ten samolot i przypomną sobie, że się tu kręciliśmy.

- Jakub, zanim go znajdą, będzie wiosna, a na wiosnę nikt już nie będzie pamiętał, że tu byliśmy.

- A jak znowu przyjedzie szeryf? Zmarszczyłem czoło, próbując jak najszybciej zapomnieć o Carlu Jenkinsie.

- Nie przyjedzie - odrzekłem z przesadną pewnością siebie. - Wczoraj miał nocną służbę. Gwarantuję, że jeszcze śpi.

- A jak nie śpi?

- Chryste, jeśli będzie tędy przejeżdżał, powiedz mu, że coś zgubiliśmy. Powiedz, że zgubiłem w lesie czapkę i poszedłem jej szukać.

- Wczoraj wrzeszczałeś, że niepotrzebnie ryzykowałem. A co robisz dzisiaj? To jeszcze większe ryzyko.

- Ale ryzyko konieczne, Jakub. To duża różnica.

- Nie widzę tu żadnej konieczności. Wzruszyłem ramionami, udając obojętność.

- Jeśli chcesz, możemy te pieniądze spalić choćby zaraz. Nie będę musiał tam leżeć.

- Nie chcę ich palić. Chcę stąd odjechać.

- Jakub, ja idę. Możesz tu zostać na straży albo pójść ze mną. Długo milczał, szukając wyjścia. Nie znalazł żadnego.

- Zostanę - burknął.

Nacisnąłem głębiej wełnianą czapkę, ciemnoniebieską jak moja kurtka i rękawice. Potem wyjąłem kluczyki ze stacyjki i włożyłem je do kieszeni.

Gdy ruszyłem w stronę lasu, pies wyprzedził mnie, zniknął między drzewami, by po chwili przygalopować z powrotem, pobrzękując metalowymi znaczkami na obroży i otrzepując się ze śniegu. Obiegł mnie kilka razy, zataczając ciasne kółka i znowu pognął przed siebie. Szedłem za nim. Powietrze było rześkie, trzeźwiące i dodające wigoru. Czulem się dobrze.

Po kwadransie dotarłem na skraj sadu; przystanąłem, by zlustrować wzrokiem okolicę. Samolot tkwił pośrodku płytkiej niecki, błyszcząc między gałęziami jabłoni jak

wypolerowane srebro. Nasze ślady, czarne, głębokie dziury, otaczały go ze wszystkich stron.

Powiał wiatr, wypełniając szumiący las delikatną wilgocią i obietnicą nadciągających opadów śniegu. Spojrzałem w niebo. Było pokryte chmurami, ciemnoszarymi i niespiesznie pełznącymi.

Wrony wciąż tam siedziały. Z krawędzi niecki ich nie widziałem, ale kiedy ruszyłem w dół, nagle otoczyły mnie ze wszystkich stron. Przelatywały z drzewa na drzewo, bezustannie kracząc, jakby się o coś wykłócały.

Podtrzymując rękami nosidełko, stanąłem przy wraku. Pies przybiegł za mną.

Drzwi samolotu były uchylone, jak je poprzedniego dnia zostawiliśmy. Na śniegu dostrzegłem długi, płytki ślad, który zrobiła ciężka płócienna torba, gdy ją wypchnąłem. Mary Beth okrążył samolot, wężąc powietrze.

Wetknąłem głowę do kabiny, odczekałem, aż oczy przywykną do panującego tam półmroku, po czym wcisnąłem się do środka. Spieszyłem się, bo cały czas myślałem o Jakubie sterczącym na pustej drodze i o wszystkich związanych z tym niebezpieczeństwach, gdy nagle uderzyła mnie znajoma fala nienaturalnie ciepłego powietrza, znajoma cisza, ociężyły bezruch, i natychmiast przypomniałem sobie o wronie.

Przykucnąłem na podłodze w miejscu, gdzie znalazłem torbę z pieniędzmi, zaparłem się ręką o burtę, żeby utrzymać równowagę i spojrzałem na pilota.

Siedział w fotelu dokładnie tak, jak go zostawiłem poprzedniego dnia. Z rozłożonymi jak na krzyżu rękami, z odchyloną do tyłu głową, patrzył pustymi oczodołami w stronę ogona samolotu. Miał ten sam żalobny wyraz twarzy, a białe kości sterczące wokół wydziobanych oczu sprawiały, że wyglądał jak smutny błazen. Z nosa wciąż zwisał mu krwawy soplek poniżej otwartych ust, z których wystawał czubek języka, spuchniętego i czarnego.

Otwartą dłonią trzasnąłem w poszycie kadłuba.

- Hej! - krzyknąłem. - Uciekaj stąd!

Zadudniło głuche echo. Wsłuchiwałem się w nie i czekałem. Pies podbiegł do drzwi i zaczął głośno węszyć. Zaskomlał cichutko, ale łba do środka nie wetknął. W kabinie nie zauważyłem żadnego ruchu.

- Hej! - wrzasnąłem jeszcze raz i tupnąłem nogą.

Cisza. Odczekałem jeszcze chwilę, ale nic się nie stało. Zadowolony, że jestem jedyną żywą istotą na pokładzie, wstałem i omiotłem wzrokiem podłogę w poszukiwaniu śladów krwi. Nie znalazłem nic podejrzanego, więc rozpinając po drodze kurtkę, ruszyłem powoli w stronę pilota.

Lekko pochylony przystanąłem tuż za nim, żeby zastanowić się, gdzie podrzucić

pieniądze. Początkowo zamierzałem zostawić je na fotelu drugiego pilota, ale zdałem sobie sprawę, że wyglądałoby to nienaturalnie - podczas katastrofy musiałyby przecież spaść. Tak, trzeba je wepchnąć pod nogi martwego pilota, pomyślałem, wcisnąć do dziobu maszyny, i to jak najgłębiej.

Wyjąłem pieniądze z plecaczka, rękawicami przetarłem torbę, żeby usunąć z niej odciski palców, przykucnąłem i ułożyłem ją na podłodze. Przepchnąłem torbę między fotelami, potem koło butów martwego pilota, aż oparła się o coś twardego i nieustępliwego. Plecy miałem złane potem, zimnym i lepkiem, musiałem wstrzymać oddech, co przyprawiło mnie o zawroty głowy.

Stwierdziwszy, że torba dalej nie wejdzie, wstałem, chwyciłem pilota za ramiona i pchnąłem go delikatnie do przodu. Dał się pochylić z zadziwiającą łatwością, ale w ostatniej chwili, gdy już, już miałem go puścić, głowa mu gwałtownie opadła i grzmotnęła w deskę rozdzielczą z donośnym plaśnięciem przypominającym odgłos, jaki wydaje kij baseballowy uderzający piłkę. Krwawy soplek pękł i roztrzaskał się na podłodze.

Głęboko odetchnąłem, zrobiłem krok do tyłu, wyprostowałem się, dotykając czapką metalowego sufitu i zastygłem bez ruchu. Nie mogłem wyjść, jeszcze nie. Musiałem wszystko dokładnie przeanalizować. Ślady krwi? Szukałem. Pieniądze? Zostawiłem. Pilot? Siedzi jak trzeba. Nic tu po mnie.

Zapiąłem kurtkę, zawróciłem do drzwi i raptem zamarłem. Przed progiem siedziały dwie wrony. Siedziały i czujnie mnie obserwowały. Dziwne, ale zanim się jeszcze odwróciłem, wiedziałem, że tam będą, bo ich obraz - dwa mroczne cienie czyhające w głębi samolotu - mignął mi przed oczyma wyobraźni. Dziwne i niesamowite - jakbym stworzył je myślą.

Patrzyłem na nie. Ani drgnęły.

Zamachałem rękami.

- A sio! - krzyknąłem. - Precz!

Jedna z nich cofnęła się o parę centymetrów. Druga tkwiła nieruchomo w miejscu.

Powoli, bardzo powoli zrobiłem krok naprzód. Ta tchórzliwsza czmychnęła do drzwi. Przysiadła w progu i połyskując piórami lśniącymi od wpadającego do kabiny światła, zerknęła na mnie. Odważniejsza groźnie rozczapierzyła skrzydła, jakby chciała mnie postraszyć, i przekrzywiła łeb: najpierw w lewo, potem w prawo. Raptem wyciągnęła szyję i wojowniczo zakrakała. Odpowiedziało jej stłumione echo. Gdy przebrzmiało, ptak opuścił skrzydła i ostrożnie postąpił krok w moim kierunku.

- Paszła won! - ryknąłem.

Wrona siedząca bliżej drzwi zakrakała skrzekliwie i wyskoczyła za próg. Słyszałem, jak zamachała skrzydłami i odleciała. Lecz ta wojownicza po prostu tam siedziała, przekrzywiając łebek i łypiąc na mnie jednym, potem drugim okiem.

Ruszyłem ku niej, tupiąc w podłogę.

Ptak cofnął się niezdarnie do drzwi i znowu rozczapierzył skrzydła.

Obserwowałem go i czekałem.

- Wychodzę - powiedziałem jak idiota i szurając nogami, zrobiłem dwa kroki w kierunku drzwi.

Wrona ustąpiła pola, odskakując z uniesionymi skrzydłami w mrok panujący w ogonie samolotu. Musiałem iść przygarbiony, z pochylonymi ramionami. Głośno tupałem i szurałem butami.

Gdy dotarłem do drzwi, obróciłem się, żeby wyjść tyłem, nie spuszczać wrony z oka. Jeszcze bardziej rozczapierzyła skrzydła i znowu przekrzywiła łeb, pilnie mnie obserwując.

- Wychodzę - powtórzyłem, przeciskając się na zewnątrz.

Świat wydał mi się dużo jaśniejszy niż poprzedniego wieczoru. Stałem przy drzwiach i napałem na nie całym ciałem. Zatrzasnęły się ze zgrzytliwym piskiem.

Mary Beth zniknęła. Odnalazłem wzrokiem jego ślady - prowadziły w kierunku drogi. Zawołałem go dwa razy bez wielkiej nadziei, że do mnie przybiegnie i zrezygnowałem z dalszego nawoływania, zakładając, że wrócił do Jakuba.

Wspinając się na łagodne zbocze, uświadomiłem sobie, że sad jest jakby trochę inny, że oprócz iluzorycznej jasności dnia zaszła w nim jakaś zmiana, ale jej istotę zrozumiałem dopiero wtedy, gdy dotarłem do krawędzi niecki. Słyszałem warkot silnika, niski, monotony i jękliwy pomruk, który wisiał w powietrzu jak brzęczenie roju pszczół. Dochodził od strony drogi. To był skuter śnieżny.

Przystanąłem spięty, wsłuchując się weń, próbując ustalić, co to właściwie oznacza. Wiatr przycichł, zrobiło się nieco cieplej, a gdy zerknąłem w niebo, stwierdziłem, że obłoki, miast gęstnieć i pęcznieć od zapowiadanego śniegu, zaczynają ustępować miejsca błękitowi. Na południu niebo było już prawie czyste.

Warkot skutera śnieżnego, choć wciąż odległy i przytłumiony, powoli przybierał na sile. W sadzie pokrakiwały do siebie wrony.

Po raz ostatni spojrzałem na samolot lśniący matowo na dnie płytkiej kotliny, odwróciłem się i pobiegłem w kierunku drogi.

Biegając wyteżałem słuch, ale warkotu skutera nie słyszałem, gdyż zagłuszało go moje

sapanie, szelest rękawów, którymi pocierałem o kurtkę, chrzęst butów w głębokim śniegu i wiatr wiejący zza śmigających obok drzew. Śnieg był mokry i grząski, buty ciężkie i szybko się zmęczyłem. Po kilku minutach, mniej więcej w połowie drogi, zwolniłem. Kiedy przestałem biec, znowu usłyszałem warkot silnika. Był już blisko. Dochodził chyba z prawej strony, zza drzew, które przesłaniały mi widok. Słyszałem też ujadanie Mary Beth. Przeszedłem z dwadzieścia metrów, żeby uspokoić rozkołataną serce, wziąłem głęboki oddech i znowu ruszyłem biegiem.

Najpierw zobaczyłem samochód, moje ciemnozielone kombi stojące na poboczu drogi. Wychyńło zza drzew, zmaterializowało się jak cień. Przed samochodem, niczym wielki czerwony drogowskaz, stał mój brat. Obok niego zobaczyłem mężczyznę znacznie niższego, a pod nim, dokładniej mówiąc między jego nogami, dostrzegłem skuter śnieżny, którego silnik pracował na jałowym biegu, wypluwając przez rurę wydechową gęste kłęby jasnoszarego dymu.

Mężczyzna był drobny i stary, ubrany w pomarańczową kurtkę myśliwską. Dwight Pederson - rozpoznałem go od razu. Z ramienia zwisała mu strzelba.

Rozpoznawszy w intruzie Pedersona, natychmiast zwolniłem. Do drogi miałem jeszcze około trzydziestu metrów, lecz momentalnie uświadomiłem sobie, że ryzyko, na jakie naraził nas Jakub, wdając się w rozmowę ze starcem, przerodzi się w prawdziwe niebezpieczeństwo, jeśli wypadnę z lasu jak wariat i pobiegnę ku nim na złamanie karku. Nie, musiałem iść powoli, musiałem reagować, miast działać. Włożyłem ręce do kieszeni i niespiesznie klucząc między drzewami, próbowałem przybrać pozę człowieka spokojnego, opanowanego i beztróskiego.

Pederson dostrzegł mnie pierwszy. Spojrzał w moim kierunku, jakby się chciał upewnić, kogo widzi, a potem lekko uniósł rękę w geście powitania. Odmachałem mu wesoło, z uśmiechem. Jakub coś do niego mówił. Mówił szybko, gorączkowo, nie słyszałem co, ale odniosłem wrażenie, że się ze starcem sprzecza. Potrząsał głową, rozcinał rękami powietrze, a gdy Pederson mnie zauważył, przestraszony Jakub rzucił okiem w kierunku lasu, ale mówić nie przestał. Dwight chyba go nie słuchał. Dodał gazu, mruknął coś i ruchem głowy wskazał zaśnieżone pobocze.

To, co zdarzyło się później, trwało ledwie kilka sekund.

Jakub zrobił krok w stronę Pedersona, odchylił się nieco, wziął potężny zamach i zadał starcowi silny cios w skroń. Pederson runął na bok, na skraj pobocza. Runął - strzelba spadła mu z ramienia - i zastygł w absolutnym bezruchu, z lewą nogą na siedzeniu skutera. Jakub pośliznął się, stracił równowagę, wpadł na nieszczęsny skuter i przeokołkowawszy

przez kierownicę, wylądował na leżącym starcu.

Pies zaczął czekać.

Brat próbował zwlec się ze swojej ofiary. Podczas upadku zgubił w śniegu rękawice, nie mógł wstać. Zgubił też okulary i wciąż leżąc, macał rękami po śniegu, dopóki ich nie znalazł. Nałożył je, znowu zaczął się gramolić, w końcu zdołał przykłęknąć. Przykłęknąwszy, znieruchomiał odpoczywając, a potem z wprost nieludzkim wysiłkiem dźwignął się i wyprostował.

Silnik skutera nie zgasł i wciąż dudnił, głęboko i rytmicznie. Pies stojący dotąd z boku, przytruchtał ostrożnie do Jakuba i powoli, z wyraźnym wahaniem, pomerdał ogonem.

Jakub stał jak sparaliżowany. Dotknął ręką twarzy, spojrzał na rękawiczkę i przytknął ją do nosa.

Patrzyłem na to wszystko przerażony i ani drgnąłem. Jakby wmurowało mnie w ziemię. Upłynęło kilka sekund, a ja w dalszym ciągu nie potrafiłem otrząsnąć się z szoku. Zrobiłem chwiejny krok w kierunku drogi.

Raptem Jakub odchylił się do tyłu i kopnął Pedersona. Kopnął go dwa razy, z całej siły, w pierś i w głowę. Potem znowu znieruchomiał. Zasłonił ręką dolną część twarzy i spojrzał na mnie.

Pies ujadł.

- Boże, Jakub... - szepnąłem do siebie i puściłem się biegiem.

Biegłem przez śnieg, do brata.

Stał, zakrywając rękawiczką usta i nos. Patrzył, jak ku niemu pędzę.

Silnik skutera zaczął kichać i prychać, grożąc zalaniem świec, więc gdy wbiegłem na drogę, natychmiast go wyłączyłem.

Jakub płakał. Ostatni raz widziałem go płaczącego w dzieciństwie i długo trwało, zanim dotarło do mnie, że brat naprawdę płacze. Nie było w tym nic gwałtownego czy dramatycznego, bo nie łkał ani nie szlochał, tylko po prostu ronił łzy. Ściekały mu po policzkach wąskimi strumyczkami, a on nic - stał nieruchomo, oddychając może trochę szybciej niż zwykle, drżąc i niepewnie, jakby z wahaniem. Z nosa leciała mu krew - musiał go sobie rozkwasić podczas upadku - więc ścisnął nozdrza dwoma palcami.

Spojrzałem na starca. Leżał na boku, z lewą nogą na siedzeniu skutera. Miał na sobie dzinsy i czarne gumowce. Pomarańczowa kurtka podwinęła się na plecach, tak że widziałem jego pas, gruby i ciemnobrązowy, a nad pasem fragment ciepłej bielizny. Cios Jakuba zrzucił mu z głowy czapkę, odsłaniając długie, szarawe i tłuste włosy. Prawie całą twarz miał zasłoniętą pomarańczowym szalikiem. Tuż nad lewym uchem, tam, gdzie trafił go kopniak

brata, widniało bladoczerwone zadrapanie, wokół którego zaczynał tworzyć się siniak.

Mary Beth przestał czekać. Podeszedł bliżej, obwąchał buty Jakuba i odszedł na środek drogi.

Ukucnąłem nad ciałem Pedersona. Zdjąłem rękawiczkę i przytknąłem mu dłoń do ust. Nie oddychał. Nałożyłem rękawiczkę i wstałem.

- On nie żyje, Jakub. Zabiłeś go.

- Tropił tego lisa - wyjąkał. - Lis dusił mu kurczaki. Potarłem twarz ręką. Nie wiedziałem, co robić.

- Jezus Maria, Jakub. Jak mogłeś?

- Pojechałby prosto do samolotu. Od razu by go znalazł.

- To już koniec - powiedziałem czując, że ogarnia mnie złość. - Wszystko zepsułeś.

Spojrzeliliśmy na Pedersona.

- Pójdziesz za to do więzienia - skonstatowałem. Zerknął na mnie przestraszony. Okulary miał mokre od śniegu.

- Musiałem to zrobić. - Pociągnął nosem. - Złapaliby nas, złapaliby nas jak nic.

Oczy mu błyszczały, rozlatane i maleńkie na tle pulchnej, szerokiej twarzy. Policzki miał mokre od łez. Był skonsternowany i przerażony, a gdy to sobie uświadomiłem, złość mi natychmiast przeszła pod naporem fali współczucia. Mój starszy brat... Zdałem sobie sprawę, że mogę go uratować, że mogę wyciągnąć go z kłopotów, że ratując jego, uratuję przy okazji siebie.

Rzuciłem okiem na drogę, za siebie i przed siebie. Pusto.

- Ktoś tędy przejeżdżał? - spytałem. - Widziałeś jakieś samochody?

Chyba mnie nie zrozumiał. Oderwał dłoń od nosa i wytarł policzki. Nad górną wargą miał rozsmarowaną krew; wyglądało to tak, jakby przykleił sobie komiczne wąsy.

- Samochody? - powtórzył.

Niecierpliwym gestem ręki wskazałem drogę.

- Samochody. Przejeżdżały jakieś, kiedy mnie nie było?

Wbił wzrok w przestrzeń. Myślał chwilę i pokręcił głową.

- Nie. - I znowu zasłonił sobie pół twarzy.

Spojrzałem w kierunku farmy Pedersonów. Dom stał daleko, ledwo go było widać. Zdawało mi się, że z komina bije w niebo smużka dymu, ale mogłem się mylić. Koleiny wyżłobione w śniegu przez płozy skutera biegły środkiem pola równoległe do tropów lisa.

- Co teraz? - spytał Jakub. Wciąż jeszcze płakał i żeby to ukryć, odwrócił się i spojrzał na Mary Beth. Pies siedział pośrodku drogi.

- Upozorujemy wypadek - oświadczyłem nagle. - Zabierzemy go stąd i sfingujemy wypadek. Przerażony zastrzygł nieprzytomnie oczyma.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałem. - Zobaczysz, wywinimy się z tego.

Widziałem, że ogarnia go panika, lecz z jakiegoś powodu, miast umierać ze strachu jak on, odzyskałem spokój. Tak, byłem pewny siebie i opanowany.

- Pójdą po śladach - wydukał. - Przyjadą tutaj, zobaczą nasze ślady i znajdą samolot.

- Nie. Nadciąga burza. - Wskazałem ręką niebo, które wbrew temu, co mówiłem, robiło się coraz czystsze. Nie zrażony parłem naprzód. - W każdej chwili może zacząć sypać, śnieg wszystko przykryje.

Zmarszczył czoło, jakby chciał zaprzeczyć, ale nie powiedział nic. Przytknął do twarzy rękawiczkę i zobaczyłem, że jest cała utyłana krwią.

- Ubrudziłeś go krwią?

- Krwią?

Przykucnąłem obok Pedersona i obejrzałem jego ubranie. Na ramieniu kurtki zauważyłem ciemnobrązową plamę. Zgarnąłem garść śniegu i zacząłem ją pocierać. Niewiele pomogło.

Jakub obserwował mnie z wyrazem rezygnacji na twarzy.

- Nic z tego, Hank - wychrypiał. - Wpadniemy. Nie zważając na jego słowa, dalej wycierałem plamę.

- Jest mała - mruknąłem. - Nikt jej nie zauważy. Oderwał palce od nosa i spojrzał na zakrwawioną rękawiczkę.

- Mówiłeś, że to gorsze niż odciski palców - wybełkotał chrapliwie.

- Uspokój się - rzuciłem stanowczo. Wstałem i dotknąłem jego ramienia. - Weź się w garść. Jeśli zachowamy spokój, wyjdziemy z tego cało.

- Ja go zabiłem, Hank.

- Fakt, zabiłeś go, ale to się już nie odstanie. Teraz musimy coś zrobić. Musimy coś wymyślić, żebyś nie wpadł, jasne?

Zamknął oczy. Znowu ścisnął palcami nos.

Zdałem sobie sprawę, że trzeba go natychmiast rozruszać. Wyjąłem z kieszeni kluczyki.

- Zabieraj psa i jedź na most. - Machnąłem ręką w kierunku mostu na Anders Creek. - Tam się spotkamy.

Zdezorientowany zatrzepotał powiekami.

- Na moście?

Kiwnąłem głową.

- Zawiozę go tam skuterem. Zepchniemy zwłoki do wody. Będzie wyglądało na wypadek.

- Nic z tego nie wyjdzie, Hank.

- Wyjdzie. Jak się postaramy, to wyjdzie.

- Co by robił na moście?

- Jakub - odrzekłem - pakuję się w to dla ciebie, prawda? Musisz mi zaufać. Wszystko będzie dobrze.

Podąłem mu kluczyki. Patrzył na nie chwilę, potem je wziął.

- Pojadę przez park - dodałem. - Jak najdalej od drogi. Dojedziesz do mostu przede mną, ale się nie zatrzymuj, kapujesz? Pojedź dalej i zawróć. Nie chcę, żeby ktoś zobaczył, jak tam sterczysz.

Milczał.

- Jakub, zrozumiałeś mnie?

Wziął głęboki oddech, powoli wypuścił powietrze i jeszcze raz wytarł policzki. Kluczyki zabrzączały mu w dłoni.

- Chyba się nam nie uda - szepnął.

- Uda się. Jedź! Pokręcił głową.

- O tylu rzeczach trzeba by pomyśleć. Tyle rzeczy mogło nam umknąć...

- Jakich rzeczy?

- Takich, których nie zauważyliśmy, takich, o których nie mamy nawet pojęcia.

Coraz bardziej się niecierpliwiłem. Czas uciekał. W każdej chwili na horyzoncie mógł pojawić się zmierzający ku nam samochód. Gdyby ktoś nas zobaczył, wszystko by przepadło. Wziąłem Jakuba za łokieć i pociągnąłem do samochodu. Czułem, że gdybym zdołał go jakoś rozruszać, wszystko byłoby dobrze. Weszliśmy na drogę. Pies wstał, przeciągnął się leniwie.

- Nic nie przeoczyliśmy. - Próbowałem dodać mu otuchy uśmiechem, lecz czułem, że wypadło to mizernie, jakbym go o coś błagał.

Pchnąłem go lekko.

- Zaufaj mi, Jakub!

Najwyżej dziesięć sekund po jego odjeździe, gdy odwracałem się, żeby dźwignąć zwłoki ze śniegu i ułożyć je na skuterze, Pederson wydał z siebie długi, pełen udręki jęk.

Jeszcze żył.

Zaszokowany odkryciem, znieruchomiałem. W głowie miałem kompletną pustkę. Pederson wierzgnął, noga zsunęła mu się z siedzenia skutera i z ciężkim tupnięciem legła na

śniegu. Szybko zerknąłem na drogę. Moje kombi z Jakubem za kierownicą już zniknęło.

Starzec wymamrotał coś przez szalik i zacisnął dłoń.

Stałem pochylony i gorączkowo myślałem. Z przerażającą jasnością uświadomiłem sobie, że doszedłem do rozstaju dróg. Na końcu jednej dostrzegłem rozwiązanie szybkie, niemal natychmiastowe: musiałbym wsadzić Pedersona na skuter, zawieźć go do domu i zadzwonić do Carla Jenkinsa. Wezwałbym go, opowiedziałbym mu wszystko po kolei i zwróciłbym pieniądze. Gdybym to zrobił, gdybym postąpił uczciwie i gdyby starzec jakimś cudem przeżył, miałbym duże szanse na uniknięcie więzienia. Ja tak, ale nie Jakub. Carl wysłałby kogoś na most, aresztowałby mojego brata i oskarżył go o napad z pobiciem albo o usiłowanie morderstwa. Jakub poszedłby siedzieć i siedziałby długo, bardzo długo. Naturalnie, pieniądze by przepadły.

Ale istniała jeszcze druga droga, na którą, praktycznie rzecz biorąc, już wkroczyłem. Tak, byłem w stanie uratować i brata, i pieniądze. I chyba właśnie dlatego zdecydowałem się na to drugie rozwiązanie: bo czułem, że jest realne, bo nie opuszczało mnie przekonanie, że nie wpadniemy. Przecież z tego samego powodu wziąłem pieniądze, z tego samego powodu zrobiłem później to, co zrobiłem. Jeden uczynek, wystarczył jeden zły uczynek i mogłem wszystko naprawić.

Pederson jęknął. Wyglądało na to, że próbuje podnieść głowę.

- Chcę... - Powiedział to słowo całkiem wyraźnie, ale zdania nie dokończył. Znowu zacisnął dłoń.

Przykucnąłem nad nim okrakiem. Żłudny widok: patrząc na nas z daleka, postronny obserwator mógłby uznać, że próbuję starcowi pomóc.

Oczy miał zamknięte, a dolną część twarzy szczelnie owiniętą szalikiem.

Gdy brat go zaatakował, wszystko zdarzyło się tak szybko, że przyjąłem to jak rzecz naturalną, całkowicie przewidywalną. Owszem, byłem zaskoczony, ale wcale nie zaszokowany, przynajmniej w pierwszej chwili. I od razu to zaakceptowałem. Powiedziałem sobie tak: Jakub go zabił. W tamtym momencie po prostu uznałem, że Pederson nie żyje. To samo wmawiałem sobie, pochylając się nad jego ciałem. On już nie żyje. On już nie żyje. On już nie żyje...

Początkowo chciałem go uderzyć jak Jakub, przy czym za cel obrałem sobie gardło, bo nie wiedzieć czemu uznałem, że gardło jest miejscem szczególnie wrażliwym. Lecz spojrzawszy na jego szyję, zobaczyłem jaskrawopomarańczowy szalik i zmieniłem zdanie.

Jeszcze raz zlustrowałem wzrokiem drogę, żeby sprawdzić, czy nikt nie nadjeżdża, nachyliłem się, podciągnąłem lekko szalik i przytknąłem go mocno do ust starca. Drugą ręką

ściskałem mu nos.

Gdy patrzę na to z perspektywy lat, dochodzę do wniosku, że powinienem był mieć wtedy skrupuły czy wyrzuty sumienia, natrafić na jakąś psychiczną barierę, która pokrzyżowałaby mi plany i nie pozwoliłaby mi go zabić. Tak, powinno ogarnąć mnie przerażenie, co najmniej przerażenie, albo atawistyczna odraza, powinienem był mieć świadomość, że to czyn zły, powszechnie potępiany nie tylko dlatego, że tak uważa społeczeństwo, którego jestem członkiem, ale i dlatego, że było to zwykłe morderstwo, prymitywna zbrodnia. Ale nic takiego nie odczuwałem. I może nie ma w tym nic dziwnego, może tego rodzaju nagłe olśnienia zdarzają się tylko w romantycznych opowieściach, może tylko w literaturze bohater staje na symbolicznym rozstaju dróg i waha się, którą wybrać. W życiu przełomowe znaczenie takich chwil prawie zawsze umyka zupełnie niepostrzeżenie, jak w moim przypadku, i człowiek uświadamia je sobie dopiero później, gdy ocenia wydarzenie z perspektywy czasu, gdy nie przesłaniają go szczegóły w tym koszmarnym momencie ważniejsze: miękkość szalika, którym go dusiłem, obawa, czy nie ściskam mu za mocno nosa, czy nie uszkodzę nozdrzy i nie zostawię śladów, które mogliby wykryć podczas sekcji zwłok.

Nie, nie czułem się podle. Byłem zdenerwowany i przerażony, nic więcej.

Uległ prawie bez walki. Raz poruszył ręką, zamiótł nią śnieg, jakby chciał coś wytrzeć, to wszystko. Oczu nie otworzył. Nie wydał z siebie żadnego odgłosu, nie jęknął, nie miał drgawek. Mimo to długo nie zmniejszałem nacisku. Przejaśniło się. Zza obłoków wychyliło słońce i grzało mnie w plecy. Po skraju zaśnieżonego pola wzdłuż drogi sunął cień wielkiej chmury. Siedząc go wzrokiem, zacząłem liczyć. Liczyłem powoli, niespiesznie i równo, skupiając się na wyimaginowanym brzmieniu poszczególnych cyfr. Gdy doliczyłem do dwustu, zabrałem rękę, zdjąłem rękawiczkę i ostrożnie zbadałem mu puls.

Nie wyczułem nic.

Gdy droga zniknęła za horyzontem, skręciłem na wschód. Mniej więcej minutę później dotarłem do stawu. Był skuty grubym lodem. Na brzegach stały porzrzucone na chybił trafił stoliki. Wszystko przykrywał śnieg.

Za stawem las zgęstniał i musiałem ciągle posuwać się zygzakiem, omijając pnie drzew i splątane krzaki. Gałęzie czepiały się kurtki, jakby chciały mnie zatrzymać, a może powstrzymać.

Zwłoki Pedersona spoczywały przede mną. Rozkraczyłem mu nogi, wsadziłem go na skuter i opadł głową na bak. Póležał, jak martwy pilot w samolocie. Żeby utrzymać kierownicę, musiałem mocno do niego przywrzeć.

Próbowałem myśleć tylko o szczegółach mojego planu, o niczym więcej. Nie

chciałem analizować tego, co się już stało, bo czułem, że to niebezpieczne. Wiedziałem, że jeśli to zrobię, ogarnie mnie trwoga i mogę stracić dotychczasową pewność siebie, że najlepszym, najbezpieczniejszym wyjściem jest przeć naprzód, ciągle naprzód, bo tam dostrzegałem szansę odmiany i ratunku.

Most będzie odśnieżony i wysypany solą, myślałem. To pewne jak w banku. Ale po jego obu stronach zostanie gruby zwał śniegu. Gdyby Pederson chciał pokonać most, nie uszkadzając płóz swojego pojazdu, musiałby wjechać na jeden ze zwałów - zwałów sięgających poręczy barierki biegnącej wzdłuż mostu i wystarczająco szerokich, żeby zmieścić się na nich skuter.

Ludzie będą się zastanawiać, co tam robił, dlaczego w ogóle tamtędy jechał, ale nie, nie znajdą podstaw do podejrzeń. Ot, jeszcze jedna nie wyjaśniona tajemnica.

Wzrusza ramionami, z niedowierzaniem pokiwiają głowa, i tyle. Chyba że samolot zostanie odnaleziony, zanim spadnie śnieg. Wtedy dowody będą jednoznaczne: koleiny wyżłobione przez płozy skutera, tropy prowadzące do parku Andersa, ślady walki na poboczu drogi.

Spojrzałem w niebo. Wciąż się przejaśniało, chmury ustępowały z przerażającą szybkością. Mknąłem pod połacią błękitu, w słońcu bijącym przez gałęzie drzew. Powietrze było zimne i rześkie, a te obłoki, które jeszcze pozostały, białe i leciutkie, nie zapowiadały opadów śniegu.

Im bliżej było granicy parku i mostu leżącego tuż za nią, tym więcej wysiłku kosztowało mnie utrzymanie pełnej koncentracji. Starłem się skupić na szczegółach mojego planu, lecz coraz częściej nachodziły mnie inne myśli i odczucia. Trup Pedersona wsparty o mój brzuch i pierś. Jego głowa. Czułem zapach płukanki, a może brylantyny, którą wysmarował sobie włosy. Ciało miał twarde i jędrne, w dotyku wcale nie przypominało zeszywniałych zwłok. Jakbym wioził kogoś żywego.

Kiedy tylko pomyślałem, że Dwight nie żyje, że go zabiłem, że pozbawiłem go życia własnymi rękami, serce załomotało mi ciężko i skoczyło do gardła. Uświadomiłem sobie, że przekroczyłem pewną granicę, że zrobiłem coś obrzydliwego i odpychającego, choć nigdy nie przypuszczałem, że jestem do tego zdolny. Chryste, przecież odebrałem komuś życie...

Ta myśl poraziła mój umysł z taką mocą, że zacząłem miotać się jak w gorączce, szukać usprawiedliwienia, sam sobie zaprzeczać, tłumaczyć, wyjaśniać i tylko dzięki niezwykłemu wysiłkowi woli zdołałem odzyskać względne opanowanie. Odciałem się od tego wszystkiego, wlałem do swojej skorupy jak ślimak i umysłowi nakazałem skupienie: myślałem wyłącznie o tym, co miałem zrobić w ciągu najbliższego kwadransa.

Jechałem wzdłuż wschodniej granicy parku. Podtrzymywałem ramionami ciało Pedersona, prowadziłem skuter między drzewami i prawie namacalnie czułem, jak jedna połowa mózgu analizuje szczegóły planu, myśląc o moście, o Jakubie i o szeryfie, podczas gdy druga rozpaczliwie próbuje zwalczyć dziwne i śmiertelnie niebezpieczne wrażenie usidlenia, makabrycznej nieuchronności losu, przekonanie, że ten jeden jedyny czyn odmieni moje dotychczasowe życie, że próbując ratować brata, skazałem na potępienie i jego, i siebie.

Południowo-wschodni róg parku graniczył z mostem na Anders Creek.

Zatrzymałem się na krawędzi lasu i zlustrowałem wzrokiem okolice, żeby sprawdzić, czy nikt nie nadjeżdża. Rzeczka miała w tym miejscu mniej więcej piętnaście metrów szerokości. Była skuta lodem pokrytym cienką warstwą śniegu. Farma Pedersonów leżała za mną. Natomiast za rzeczką rozciągały się pola puste aż po horyzont. Jakub jeszcze nie przyjechał.

Dodałem gazu. Silnik zawarczał. Ruszyłem wzdłuż drogi. Spojrzałem na wschód, potem na zachód. Nie dostrzegłem żadnych samochodów. Zza ściany lasu wychynęła farma Pedersonów. Nie przypuszczałem, że będzie tak blisko. Wyraźnie dostrzegałem okna, zobaczyłem psa, wielkiego collie siedzącego na ganku. Gdyby ktoś tam stał i patrzył na drogę, musiałby mnie zauważyć.

Skierowałem maszynę na spiętrzony zwał śniegu i ostrożnie manewrując kierownicą, dobrnąłem na środek mostu. Tafla lodu była trzy metry niżej. Poręcz barierki biegnącej wzdłuż mostu pokrywał śnieg.

Chwyliłem rękę starego i zacisnąłem ją na pokrętło przepustnicy. Potem przesunąłem go trochę do tyłu, stopy oparłem na podnózkach, zarzuciłem mu strzelbę na ramię, czapkę nacisnąłem na czoło i mocniej zawiązałem szalik. Silnik zaczął się dławić, więc dodałem gazu.

Jeszcze raz potoczyłem wokoło wzrokiem. Pusto. Ani samochodów, ani ludzi. Pies Pedersona wciąż siedział na ganku. Oczywiście nie mogłem wiedzieć, czy ktoś nie obserwuje mnie z okna, mimo to rzuciłem na nie okiem: odbijały się w nich nagie gałęzie drzew otaczających dom. Skręciłem kierownicę i pchnąłem skuter, aż półzawisł nad lodem, balansując na krawędzi śnieżnej skarpy.

Próbowałem jeszcze raz wszystko przeanalizować, sprawdzić, czy o czymś nie zapomniałem. Zamknąłem oczy, lecz mózg odmówił współpracy. W głowie miałem kompletną pustkę.

Collie szczeknął. Tylko raz.

Cofnąłem się na drogę, zapałem stopami o wystający krawężnik i pchnąłem skuter.

Zsunął się w dół z zadziwiającą lekkością. Sekundę wcześniej jeszcze tam był i raptem znikł. Uderzył w lód z potwornym łoskotem. Silnik natychmiast zgasł.

Wszedłem na zwał.

Skuter musiał przekreślić się w powietrzu, bo wylądował na Pedersonie, przygniatając go swoim ciężarem. Lód pękł, ale się nie zapadł - wokół zwłok i maszyny powstało płytkie, nieckowate zagłębienie. Powoli wypełniała je woda, zatapiając i skuter, i Pedersona. Spadła mu czapka i jego siwawe włosy unosiły się w lodowatej wodzie niczym pęk rozplecionych sznurków. Ale szalik wciąż przywierał do twarzy jak szczelny knebel. Skuter przygniótł mu jedną rękę. Druga była odrzucona na bok, jakby starzec umarł, próbując zrzucić z siebie miazdzące brzemie.

Kilka minut później nadjechał od wschodu Jakub. Wyhamował, wskoczyłem do samochodu. Gdy odjeżdżaliśmy, spojrzałem za siebie, na most. Ciało Pedersona było stamtąd ledwo widoczne i przypominało pomarańczowa plamkę na białym, zaśnieżonym lodzie.

Drugi raz tego dnia przejeżdżaliśmy obok jego farmy. Collie znowu zaszczekał, lecz tym razem Mary Beth zwinięty w kłębek na tylnym siedzeniu nie zareagował. Miałem rację: z komina biła w niebo smużka dymu, co oznaczało, że żona starego siedzi w saloniku i grzejąc się przy ogniu, czeka na powrót męża. Ścisnęło mnie w piersi.

Gdy mijaliśmy miejsce, gdzie lis przebiegł nam drogę, Jakub gwałtownie wciągnął powietrze.

- Jezus Maria... - wymamrotał.

Spojrzałem w okno. Ślady, wszędzie ślady: moje, Jakuba, Lou, tropy psa, tropy lisa. W zbitym śniegu na poboczu, tam, gdzie brat zaparkował swoją półciężarówkę, ziała wielka wyrwa, a drogę przecinały koleiny wyżłobione przez płozy skutera. Nie, nie sposób było tego nie zauważyć. Znikające w głębi lasu ślady zbiegały się ku sobie, tworząc wielką strzałę, która wskazywała sad Andersa, gdzie spoczywał wrak samolotu.

Jakub znowu zaczął płakać. Płakał cicho, cichuteńko. Po policzkach spływały mu łzy, wargi lekko drżały.

Usiłowałem nad sobą zapanować i mówić bardzo spokojnie.

- Wszystko będzie dobrze, Jakub. Niedługo spadnie śnieg. Jak tylko spadnie, ślady znikną.

Nie odpowiedział. Zaczął wydawać z siebie krótkie, urwane i zduszone odgłosy, jakby dostał czkawki.

- Przestań. Idzie jak po maśle. Wywiniemy się z tego.

Otarł policzki. Pies wyciągnął łeb i w geście pocieszenia chciał zlizać mu łzy z

twarży, ale brat go odepchnął.

- Wszystko gra - powtórzyłem. - Wybrniemy z tego. Oby tylko zaczęło padać. Głęboko odetchnął. I kiwnął głową.

- Nie możesz tak reagować, Jakub. Wpadniemy tylko wtedy, gdy któryś z nas rozklei się i pęknie. Za wszelką cenę musimy zachować spokój.

Znowu kiwnął głową. Oczy miał zaczerwienione i podpuchnięte.

- Musimy nad sobą panować - dodałem.

- Jestem po prostu zmęczony, Hank - wychrypiał ledwo słyszalnym szeptem. Spojrzał w okno, szybko zamrugał. Z nosa krew przestała mu lecieć, ale nie stał ciemnobrązowej smugi na górnej wardze; wyglądał jak gruby Charlie Chaplin.

- Późno położyłem się spać i jestem zmęczony, to dlatego...

Kazałem Jakubowi objechać park i do miasta wracaliśmy Taft Road, wzdłuż północnej granicy lasu.

Od strony północnej park wyglądał dokładnie tak samo jak od południowej. Rósł tam tylko las: jawory, klony, buki, trochę świerków i sosen; od czasu do czasu między pniami drzew prześwitywała krzywa brzoza. Niektóre sosny były wciąż przyprószone śniegiem z wtorkowej burzy. Tu i ówdzie dostrzegałem ptaki skaczące po nagich gałęziach, lecz zwierząt nie widziałem żadnych: ani dzikich królików, ani jeleni, ani szopów, ani nawet lisów. Ilekroć pomyślałem, że tam, w odległym sadzie, leży samolot z trupem pilota i torbą pieniędzy na pokładzie, że w lodowatych wodach Anderson Creek po drugiej stronie parku spoczywają zwłoki Dwighta Pedersona, którego własnoręcznie udusiłem, ogarniało mnie dziwne uczucie.

Nigdy nie przypuszczałem, że Jakub i ja jesteśmy zdolni do przemocy. Owszem, w szkole mój brat często wdawał się w bójki, ale tylko wtedy, gdy złośliwi koledzy przyparli go do muru, gdy nie miał wyboru i musiał odpowiedzieć ciosem na cios. Nie należał do krasomówców, nie umiał razić słowem, więc raził rękami i nogami, lecz rezultaty były równie żałosne. Nie potrafił walczyć, nigdy nie zdołał wykrzesać z siebie choćby pozornej chęci sprawienia przeciwnikowi bólu: bez względu na to, jak wielka przepelniała go wściekłość, zawsze się powstrzymywał, zawsze unikał bezpośredniego starcia, jakby się bał zranić walczącego z nim chłopaka, dlatego oznaki dławiącej go furii były jeszcze bardziej groteskowe, a styl walki jeszcze zabawniejszy, żywcem przeniesiony z niemego filmu. Niezdarnie wymachiwał rękami, jakby pływał, nigdy nie zaciskał pięści, łzy ściekały mu po policzkach, a tamci śmiali się z niego, drwili i wyzywali.

Temperament odziedziczyliśmy po ojcu, zatwardziałym pacyfście, który nie chciał nawet hodować krów - ani krów, ani świń, ani drobiu - bo nie zniósłby myśli, że prędzej czy

później będą musiały pójść pod nóż. Mimo to zabiliśmy z bratem człowieka.

W Ashenville Jakub zatrzymał samochód przed sklepem żelaznym. Zaciągnął hamulec, ale silnika nie wyłączył.

Nowy Rok - prawie wszystkie sklepy były zamknięte. Tu i ówdzie przemykali nieliczni przechodnie spieszący dokądś w sobie tylko wiadomych sprawach. Szli szybko, skuleni i przygarbieni, by czym prędzej schronić się przed zimnem. Zerwał się wiatr i zamiatał jezdnię, ciskając wokoło strzępami papierów i gazet. Niebo było idealnie czyste. W oknach sklepu żelaznego tańczyły promienie słońca, a chodnik skrzył się miliardami refleksów światła. Do miasta zawitał piękny zimowy dzień.

Jakub nie wysiadł. Pustyni wzrokiem patrzył przed siebie, jakby nie wiedział, gdzie jest. Czubkami palców pomacał krawędź nosa.

- Chyba złamany - mruknął.

- Nie - odparłem. - Trochę krwawi, i tyle. Wciąż sprawiał wrażenie przerażonego, wstrząśniętego i zaczynał mnie martwić. Nie chciałem zostawiać go w takim stanie. Sięgnąłem do stacyjki i przekręciłem kluczyk. Silnik zgasł.

- Wiesz, o czym pomyślałem, gdy go uderzyłeś? Milczał pochłonięty badaniem stanu swego nosa.

- Przypomniało mi się, jak walczyłeś z Rodneyem Sample'em. - Klepnąłem się w czoło. - Miałem taki przeblask, wiesz, zobaczyłem, jak stoisz przed nim, jak bierzesz zamach i jak obaj padacie na ziemię.

Nie odpowiedział.

- Ile miałeś wtedy lat? Pamiętasz? Spojrzał na mnie zdezorientowany. Zdążył nałożyć rękawiczki i zauważyłem, że prawa jest czarna od krwi; na palcu wskazującym zaschła odrobina żółtka z kanapki.

- Z Rodneyem Sample'em?

- Na wuefie, nie pamiętasz? Przyłożyłeś mu i upadliście.

Kiwnął głową, ale na tym się skończyło. Zerknął na rękawiczki, zauważył resztkę jajka, podniósł rękę do ust, zlizął żółtko i wytarł rękawiczkę w spodnie.

- Teraz siedzimy w tym po szyję, co? - spytał.

- Owszem - przyznałem - siedzimy.

- Chryste... - westchnął i przez chwilę wyglądało na to, że zaraz wybuchnie płaczem.

Objął się w pół, zaczął się kiwać i drapać w łokcie.

- Spokojnie, Jakub, trzymaj twarz! Co się stało, to się nie odstanie.

Pokręcił głową.

- Zamordowałem go, Hank. Zrobią sekcję zwłok i odkryją prawdę.

- Nie - odrzekłem, ale chyba mnie nie usłyszał.

- Spokojnie. Łatwo ci mówić. To nie ty go zabiłeś, to nie ciebie wyślą do więzienia. -

Ciężko dyszał, chwycił powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

- Nie zabiłeś go - powiedziałem ku swemu własnemu zaskoczeniu. Wpadł w panikę, przerażał mnie, próbowałem go uspokoić.

Zerknął na mnie skonsternowany.

Natychmiast zdałem sobie sprawę, że wcale nie chcę mu tego powiedzieć. Usiłowałem zrejterować.

- Obaj go zabiliśmy. - Odwróciłem głowę i spojrzałem na ulicę z nadzieją, że nie będzie drażył tematu. Nic z tego.

- Co znaczy „obaj”? - spytał.

Wykrzesalem z siebie coś na kształt uśmiechu.

- Nic.

- Powiedziałeś, że go nie zabiłem. Patrzyłem na brata, próbując go rozgryźć. Już w dzieciństwie wiedziałem, że nie można na nim polegać - wiecznie się spóźniał, ciągle o czymś zapominał, przez lenistwo i obskurantyzm zawodził na całej linii - więc instynkt nakazywał mi zachowanie daleko idącej powściągliwości. Z drugiej strony był moim bratem i chciałem, tak, bardzo chciałem mu zaufać. I chociaż czułem, że kryje się w tym poważne niebezpieczeństwo, w zdradzie tajemnicy dostrzegłem również pewne korzyści. Wyciągnąłem go z tarapatów i chyba wiedział, że ma u mnie dług.

- Kiedy odjeżdżałeś, Pederson jeszcze żył - wyznałem. - Zdałem sobie z tego sprawę, gdy chciałem go podnieść. Ciebie już wtedy nie było.

- To znaczy, że go... nie zabiłem? - spytał. Pokręciłem głową.

- Uduśliłem go szalikiem.

Długo trwało, zanim to do niego dotarło. Pochylił nisko głowę, dzięki czemu zyskał trzy albo cztery dodatkowe podbródki, i wbił wzrok w kolana.

- Dlaczego?

Zaskoczył mnie tym pytaniem. Przyjrzałem się mu uważnie, próbując ustalić, co pchnęło mnie do zbrodni.

- Zrobiłem to dla ciebie, Jakub. Żeby cię ratować.

Zamknął oczy.

- Niepotrzebnie. Powinieneś był ratować jego.

- Chryste, Jakub, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Powiedziałem, że zrobiłem to dla

ciebie, że chciałem cię ratować.

- Mnie? Gdybyś uratował jego, cała sprawa ograniczyłaby się do pobicia. Moglibyśmy zwrócić pieniądze i nie byłoby źle. A tak jest... morderstwo.

- Dokończyłem tylko to, co zacząłeś. Zrobiliśmy to razem, ty i ja. Gdybyś starego nie uderzył, nie musiałbym go dusić.

To go uciszyło. Zdjął okulary, potarł nimi o kurtkę i nałożył je na nos.

- Wpadniemy - skonstatował.

- Nie, Jakub, nie wpadniemy. Zrobiliśmy, co zrobiliśmy, ale wyjdziemy z tego suchą stopą. Owszem, możemy wpaść. Jeśli się załamiesz i zaczniesz zwracać na siebie uwagę, wpadniemy na pewno.

- Nie załamie się.

- W takim razie nie wpadniemy.

Wzruszył ramionami, jakby chciał odpowiedzieć: „Pożyjemy, zobaczymy”, i zaczęliśmy obserwować małego wyrostka jadącego na rowerze. Pedalował samym środkiem ulicy, walcząc z wiatrem. Na twarzy miał czarną kominiarzkę: wyglądał jak groźny terrorysta.

- Powiemy Lou? - spytał Jakub.

- Nie.

- Dlaczego?

Gdy zadał to pytanie, poczułem, jak coś się we mnie przemieszcza i ciężko osiada na miejscu. Nie wiadomo skąd przyszło mi do głowy słowo „wspólnik” i chyba po raz pierwszy w życiu zrozumiałem, co tak naprawdę oznacza. Bo „wspólnik” to słowo potężne, słowo, które ludzi nieodwołalnie łączy. Popełniliśmy z Jakubem zbrodnię i od tej chwili nasze losy miały się z sobą nierozzerwalnie splatać. To, że nasz czyn bardziej przeraził brata niż mnie, nie miało najmniejszego znaczenia. Dzierżyliśmy równą władzę, on i ja, bo ja miałem w ręku jego, a on mnie. I nawet jeśli był zbyt wstrząśnięty, żeby to od razu zrozumieć, wiedziałem, że niebawem szok minie, a wtedy Jakub zrozumie na pewno.

Spojrzałem na niego. . - A dlaczego mielibyśmy cokolwiek mówić?

- Chyba powinien wiedzieć.

- To ciężkie przestępstwo, Jakub. To zbrodnia, za którą moglibyśmy zapłacić dożywotnim więzieniem.

Znowu zamknął oczy.

- Przyrzeknij, że mu nie powiesz.

Zawahał się, wbił wzrok w rękawiczki, wzruszył ramionami.

- Jak chcesz..

- Nie, przyrzeknij.

Westchnął i ponad moja głową spojrział za okno. Po drugiej stronie ulicy stała jego półciężarówka.

- Przyrzekam. Nic mu nie powiem. Potem zamilkliśmy. Przez chwilę wyglądało na to, że chce wysiąść, ale zmienił zdanie.

- Gdzie schowałeś pieniądze? - spytał. Obrzuciłem go ostrym spojrzeniem.

- W garażu - skłamałem.

- W garażu?

- Pomyślałem sobie, że jak schowam w domu, Sara od razu je znajdzie.

Kiwnął głową i odczekał kilka sekund, jakby chciał coś dodać. Potem sięgnął do klamki i otworzył drzwi. Mary Beth zerwał się na równe nogi.

- Zapomnieliśmy wstąpić na cmentarz - powiedziałem.

Spojrzał na mnie zmęczony i wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu.

- Chcesz tam jechać? Teraz?

Pokręciłem głową.

- Nie. Po prostu stwierdzam, że zapomnieliśmy. Zrobił lekceważący gest ręką.

- To chyba najmniejsze zmartwienie, co?

Nie czekał, aż odpowiem. Dźwignął się ciężko, wysiadł, zagwizdał na psa, a kiedy Mary Beth przeskoczył na przednie siedzenie i wypadł na chodnik, zatrzasnął drzwi.

Usłyszała, jak wchodzę, i zawołała mnie na górę. Była w sypialni. Opuściła żaluzje, przygasiła światło, upięła włosy w kok na czubku głowy, weszła pod koce i leżąc na plecach, sposobila się do drzemki.

Usiadłem na brzegu łóżka i zacząłem recytować sprawozdanie z porannych wydarzeń. Zacząłem od początku i umiejętnie budując napięcie, postanowiłem, że punkt kulminacyjny, czyli spotkanie z Pedersonem, zachowam na sam koniec, by eksplodował niczym bomba z opóźnionym zapłonem. Sara przewróciła się na bok, zamknęła oczy i podciągnęła koc pod brodę. Nie reagowała na moje słowa. Po prostu leżała z ustami zastygłymi w sennym uśmiechu, tak że nie byłem pewien, czy mnie w ogóle słucha.

Lecz gdy zacząłem opisywać moje wyjście z samolotu, uniosła głowę i otworzyła oczy.

- A puszka? - spytała nagle. Zaskoczyła mnie.

- Jaka puszka?

- Po piwie. Lou pił piwo.

Puszka po piwie. Zupełnie o niej zapomniałem. Chciałem jej poszukać zaraz po

wyjściu z samolotu, ale przez te wrony zupełnie straciłem głowę.

- Nie znalazłem jej - odrzekłem powściągliwie.

- W ogóle szukałeś?

Zwlekałem odrobinę za długo i już nie musiałem kłamać.

- Zapomniałeś - skonstatowała oskarżycielsko.

- Nie widziałem jej. W pobliżu samolotu jej nie było.

Usiadła.

- Jeżeli ją znajdą, będą mieli dowód, że ktoś tam był.

- Saro, to tylko zwykła puszka po piwie. Nikt jej nie zauważy.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na mnie i widziałem, że ogarnia ją coraz większa złość: mocno zacisnęła usta i w szczególny sposób zmarszczyła brwi, aż zadrgała jej skóra na czole.

- Pomyślą, że leży tam od zeszłego lata - dodałem. - Że zostawił ją ktoś, kto zbierał jabłka w sadzie.

- Przeprowadzą testy i ustalą, od jak dawna tam leży. Potrafią to zrobić. Na podstawie stopnia zardzewienia.

- Daj spokój. Nie będą zawracać sobie głowy badaniem przerdzewiałej puszki. - Ubódł mnie ton jej głosu. Dawła mi do zrozumienia, że popełniłem ciężki, wprost niewybaczalny błąd. Uznała, że zachowałem się jak głupiec.

- Znajdą na niej odciski palców Lou.

- Był w rękawiczkach - odrzekłem, wyteżając pamięć, żeby sobie przypomnieć, czy to prawda. - Saro, to tylko puszka, zwykła puszka leżąca w lesie. Nikt nie zwróci na nią uwagi.

- Nikt oprócz nich, Hank. Jeśli nabiorą choćby najmniejszych podejrzeń, że z samolotu zginęły pieniądze, przeszukają każdy centymetr kwadratowy sadu. I jeśli znajdą tę puszkę, jeśli stwierdzą, że są na niej odciski palców Lou, przyjdą do nas jak po nitce do kłębka.

Rozważałem to chwilę. Byłem urażony jej złością i miałem ochotę odpowiedzieć ciosem na cios. Wiedziałem, że wszystko przejawia, lecz jednocześnie czułem, że jej obawy nie są bezpodstawne. Zostawiliśmy ślad: choć niewielki i nie rzucający się w oczy, to potencjalnie niebezpieczny, bo mógł stanowić dowód naszej obecności na miejscu przestępstwa.

- Równie dobrze możemy te pieniądze od razu spalić - oświadczyła.

- Daj spokój. Zamknęła oczy i pokręciła głową.

- Nie spalimy ich, Saro.

Zamilkła i nadąsana wygładziła koc na brzuchu.

Widząc jej minę, nagle zdałem sobie sprawę, że nie, nie powiem jej o Pedersonie. Moja wewnętrzna decyzja zaskoczyła mnie i poraziła. Nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic, zawsze wszystko sobie mówiliśmy. Mimo to wiedziałem, że jej nie powiem, przynajmniej nie tam, nie w owej chwili. Może kiedyś, w dalekiej przyszłości, za dziesięć, za dwadzieścia lat, gdy będziemy żyli szczęśliwie i dostatnio, gdy mój czyn w jakiś sposób usprawiedliwi to nowe życie - może wtedy. Tak, wtedy opowiem jej, jak uratowałem nas przed wypadką, jak wziąłem na swoje barki wynikające z tego brzemie, wtedy wytłumaczę jej, że pragnąłem uchronić ją przed krzywdą, ją i nasze nie narodzone dziecko. Będzie zaszokowana moją odwagą, tym, że przez tyle lat milczałem jak grób, i wszystko mi wybaczy.

Ale tak naprawdę chodziło o to, że nie wiedziałem, co o mnie pomyśli. Bałem się tego. Jej osąd mnie przerażał.

- Twoje czoło wygląda lepiej - szepnęła, nie podnosząc wzroku. Zabrzmiało to jak wymówka. , Dotknąłem skaleczenia.

- Już nie boli - odrzekłem.

Siedzieliśmy w milczeniu. Sara opadła na poduszkę i przysunęła się bliżej. Nie patrzyłem na nią. Czekałem, aż mnie przeprosi. Gdyby to zrobiła, może wyznałbym jej prawdę już wtedy, ale czekałem na próżno. W końcu zrezygnowałem.

- Opowiadaj dalej - szepnęła.

- To już koniec. Zatrzasnąłem drzwi, wróciłem przez las do samochodu i przyjechaliśmy do domu.

Minęło popołudnie, a śnieg jak na złość nie padał. Chodziłem nerwowo po domu, niespokojnie zerkałem w okno, co godzinę włączałem radio i wysłuchiwałem prognozy pogody. Zapowiadali opady śniegu, miejscami obfite - miało sypać od południa do późnego wieczora - lecz do kolacji nie było widać ani jednej chmurki, a gdy słońce w końcu zaszło, niebo zalał ocean jarzących się lodowatym blaskiem gwiazd, migotliwych i rozmruganych.

Wydarzeniem dnia w lokalnych środkach masowego przekazu była śmierć Pedersona. Przed kolacją oglądaliśmy z Sara telewizję. Pokazali most; zdjęcia robili po południu. Skuter śnieżny wciąż leżał na lodzie podtopionym wodą, obok skutera pływała czapka, ale zwłoki starego już zabrano. Wzdłuż brzegu strumienia widniały liczne ślady stóp, więc łatwo mogłem wyobrazić sobie to zamieszanie, panikę, ten pośpiech, z jakim ściągano z lodu ciało, tę iluzoryczną nadzieję, że Pederson może jeszcze żyć.

Spiker powiedział, że zwłoki znaleziono w południe; zauważył je kierowca samochodu przejeżdżającego mostem. W komunikacie nie padło ani jedno słowo na temat

próby sfigowania wypadku czy odkrycia czegoś podejrzanego. W tle, na poboczu drogi, stał samochód szeryfa z migającymi na dachu światłami. Obok samochodu zobaczyłem Carla Jenkinsa pograżonego w rozmowie ze szczupłym, wysokim mężczyzną w jasnozielonej kurtce, może z tym anonimowym kierowcą. Daleko z tyłu, w samym rogu ekranu, dostrzegłem dom Pedersonów. Na podjeździe parkowały trzy albo cztery samochody przyjaciół starego, którzy przyjechali pocieszyć wdowę.

Sara nie skomentowała wydarzenia. Powiedziała tylko: „Smutne. I to w Nowy Rok”. Chyba nie zdawała sobie sprawy, że tuż za mostem zaczyna się park Andersa.

Poszedłem spać bardzo przygnębiony.

Zabiłem człowieka. Ta myśl powracała do mnie, ilekroć wspominałem wydarzenia minionego dnia. Odebrałem komuś życie. W głębi serca czułem się tym samym człowiekiem, lecz umysł mówił co innego. Byłem mordercą.

Dreńczył mnie również mój nowy układ z Sara. Nie wyznałem jej prawdy. Po raz pierwszy rozdzieliło nas kłamstwo, i to kłamstwo dużego kalibru. Zrozumiałem, że w miarę upływu czasu coraz trudniej będzie mi jej o tym powiedzieć. Tak, fantazjowałem, że zdradzę jej tajemnicę za dwadzieścia lat, ale wiedziałem, że to utopia. Każda chwila spędzona z nią w kłamstwie była kontynuacją i jeszcze silniejszym potwierdzeniem pierwotnego łgarstwa.

Tamtej nocy zasnąłem z ręką na jej brzuchu. Gdyby dziecko zaczęło kopać, wyczułbym to przez sen. Lecz ostatnie przed zaśnięciem myśli nie dotyczyły ani dziecka, ani Sary, ani nawet pieniędzy. Nie, myślałem o Jakubie. Zamknąłem oczy i zobaczyłem, jak ogarnięty paniką stoi nad ciałem Pedersona przekonany, że go zabił, i oddychając coraz wolniej, zapadając w półsen, poczułem, jak zalewa mnie fala ciepłego współczucia, żalości i litości, fala odczuć, jakich doświadczyłem, widząc łzy spływające po jego policzkach. Lecz nie tylko bratu współczułem, nie tylko jego było mi żal - współczułem samemu sobie, jeszcze nie narodzonemu dziecku, Pedersonowi i jego żonie. Współczułem im wszystkim. Ich wszystkich było mi żal.

Wstał ranek. Po świetle zalewającym sypialnię poznałem, że pada śnieg. Na dworze panował szary, przyćmiony półmrok, cichy i jakby lekko rozedrgany. Wysunąłem się z łóżka, stanąłem przy oknie. Z nieba spływały olbrzymie płatki mokrego śniegu - krążyły w powietrzu, wirowały i przyklejały się do wszystkiego, co tylko musnęły. Musiało padać całą noc. Koleiny na podjeździe zniknęły, gałęzie drzew ugiwały się pod ciężarem puszystych czap. Jak okiem sięgnąć, cały świat tonął w bieli. Śnieg zasypał go, ukrył i pogrzebał.

Rozdział 4

Moje biuro mieściło się w prawym rogu magazynu Raikleya, tak że jego okna wychodziły dokładnie na południe, na kościół episkopalny Świętego Judy po drugiej stronie ulicy. W środę szóstego stycznia siedziałem za biurkiem, jedząc pączka posypanego cukrem pudrem i zapijając go letnią kawą, gdy nagle spostrzegłem, że bocznymi drzwiami kościoła wychodzi garstka ubranych na czarno ludzi. Przeszli powoli przez wysypany żwirem parking, minęli otwartą z łańcucha bramę maleńkiego cmentarza i przystanęli czterdzieści metrów dalej, przy czarnej wyrwie świeżo wykopanego grobu.

Oglądałem pogrzeb Dwighta Pedersona.

Łącznie ze srebrzystym karawanem przy bramie, na parkingu stało sześć samochodów. Niewielu starego odprowadzało; należał do samotników i miał mało przyjaciół. Dostrzegłem jego żonę, Ruth. Szła w stronę grobu podtrzymywana przez księdza, drobnego człowieczka z pochylonymi ramionami i z Biblią przyciśniętą do piersi. Z okna widziałem tylko część grobu, bo resztę zasłaniał kościół. Żałobnicy ustawili się wokół mogiły.

Zadzwonił dzwon.

Skończyłem pączka, wziąłem kubek z kawą i podszedłem do okna. Od cmentarza dzieliło mnie co najmniej sto metrów i z tej odległości nie mogłem ich rozpoznać. Niektórzy stali za kościołem, inni mieli pochylone głowy, jeszcze inni postawili kołnierze palt i kurtek, tak że nie widziałem ich twarzy. Wyglądali jak obcy, choć wiedziałem, że znam większość z nich. Byli to ludzie, których codziennie mijałem na ulicy, ludzie, o których opowiadano historie i historyjki, o których plotkowano, z których żartowano.

Pochylili głowy, następnie podnieśli je, by wypowiedzieć chórem krótką modlitwę i znowu je pochylić. Ruth stała tyłem do mnie. Nie podniosła głowy jak inni. Stała przygarbiona i chyba płakała. Księdza stamtąd nie widziałem.

Sterczałem przy oknie do końca ceremonii. Gdy ludzie zaczęli wychodzić na parking, obserwowałem ich, cichutko licząc. Naliczyłem siedemnastu, łącznie z kierowcą karawanu i księdzem. Poświęcili ranek, by oddać cześć pamięci Dwighta Pedersona i wyrazić ból, jaki odczuwali po jego śmierci. Wierzyli, że zginął tragicznie i przypadkowo, że zmarł przygnieciony skuterem śnieżnym pod piętnastocentymetrową warstwą wody, że mimo złamanej nogi, mimo dwóch złamanych żeber i pękniętej czaszki próbował zerwać z twarzy wełniany szalik, który dusił go jak knebel. Na próżno.

Tylko Jakub i ja znaliśmy prawdę.

Wiedziałem, że od tej chwili będzie mi łatwiej. Upłynie tydzień, miesiąc i dręczący niepokój powoli ustąpi. Pederson spoczywał w grobie, groźba wykrycia czegoś podejrzanego podczas sekcji zwłok minęła, samolot leżał pod śniegiem, ślady wokół wraku zniknęły na zawsze.

Lecz chyba największą ulgę sprawiło mi to, że wciąż uważałem się za człowieka dobrego. Przypuszczałem, że wydarzenia na skraju parku Andersa odmienia mnie, wpłyną na mój charakter i osobowość, że dręczyć mnie będą wyrzuty sumienia oraz poczucie winy, że ta horrendalna zbrodnia wypali w mej duszy nieusuwalne piętno. Lecz nic takiego się nie stało, nie odczuwałem żadnej zmiany. Śmierć Pedersona oddziaływała na mnie tak samo jak pieniądze wykradzione z samolotu: problem istniał tylko wtedy, gdy o nim myślałem, i znikał, gdy zaczynałem myśleć o czymś innym. Nie, na życie codzienne nie miał najmniejszego wpływu, chyba że sam go wywlekałem. Tak więc cała rzecz polegała na tym, żeby w ogóle do niego nie wracać.

Żyłem w głębokim przekonaniu, że to, co zrobiłem w Nowy Rok, było anomalią. Doszedłem do wniosku, że pchnęły mnie do tego nienormalne okoliczności, okoliczności ekstremalne, nad którymi nie byłem w stanie zapanować, a gdy to sobie uświadomiłem, mój postępek stał się bardziej zrozumiały, wytłumaczalny, a nawet wybaczalny.

Lecz czy naprawdę taki był? Jeśli dręczył mnie wtedy niepokój, to niepokój ten nie wynikał ze strachu przed wpadką, nie miał nic wspólnego z pieniędzmi czy ze wspomnieniem zbrodni. Nie, chodziło o Sarę: o to, czy zrozumie kierujące mną motywy.

Od okna ciągnęło chłodem. Parapet i framuga były oklejone od zewnątrz plastikową uszczelką, ale taśma pękła i trzepotała na wietrze jak proporzec. Obserwowałem żałobników rozmawiających na parkingu przed kościołem. Otoczyli kręgiem Ruth Pederson i jeden po drugim obejmowali ją i ściskali. Gdy skończyli, wsiedli do samochodów, wyjechali z parkingu i ruszyli powoli główną ulicą, kierując się ku zachodniej granicy miasta.

Jechali do Pedersonów. Wyobraziłem sobie, jak tam będzie. Siedząc wokół wielkiego drewnianego stołu w kuchni, zjedzą lunch: potrawkę z kurczęcia, fasolową sałatkę, frytki. Potem wypiją coś ciepłego, herbatę, kawę albo czekoladę w plastikowych kubkach, a na deser będą mieli galaretkę owocową, ciasto i czekoladowe herbatniki. Ruth zrzuci czarną suknię, nałoży na siebie coś weselszego, usiądzie u szczytu stołu, by doglądać, żeby jedzącym i pijącym niczego nie brakowało. Goście zaczną ją zagadywać, cichutko i spokojnie, jak przystało na nieutulonych w bólu żałobników, a ona będzie się do nich uśmiechać. Później wszyscy pomogą jej sprzątnąć ze stołu, zmyć naczynia, ustawić je w szafkach, w których nigdy nie stały. A gdy zapadnie wieczór, gdy czerwone słońce zniknie za parkiem Andersa,

jeden po drugim wymkną się z domu, by wrócić do własnego życia, i Ruth Pederson zostanie sama w pustym, mrocznym domu.

Widziałem ją oczyma duszy, widziałem, jak siedzi nagle osamotniona, jak próbuje znaleźć jakieś zajęcie. Ale goście już wyszli, a ich dobre intencje, uczynność i szczerą troskliwość sprawiły, że Ruth nie ma nic do roboty i może się tylko pogрузić w nieukojonym żalu. Wiedziałem, że wyobrażając sobie to wszystko, powinienem odczuwać wyrzuty sumienia, że powinno mnie dręczyć poczucie winy, lecz nie, poza swego rodzaju abstrakcyjnym wczuciem się w sytuację, odległym i stłumionym, nic takiego nie odczuwałem. Odebrałem jej męża - nigdy nie sądziłem, że będę mógł z tą myślą żyć. A jednak żyłem.

Opuściłem żaluzje, dopiłem kawę, pusty kubek wrzuciłem do kosza na śmieci. Potem usiadłem za biurkiem, zapaliłem lampkę, wyciągnąłem z kieszeni długopis i wziąłem się do pracy.

Tego samego wieczoru wracając do domu, zatoczyłem wielki krąg, bo chciałem przejechać koło parku Andersa. Długo kluczyłem, ale w końcu, jadąc od zachodu, dotarłem do jego południowego brzegu. Zapadał zmrok, więc włączyłem światła drogowe i zmiierzając powoli w kierunku miasta, zlustrowałem pobocze drogi w poszukiwaniu śladów naszej bytności. Nie było żadnych. Wszystkie zniknęły pod grubą warstwą puchu. Śnieg zatarł nawet głęboką wyrwę w miejscu, gdzie Jakub zatrzymał swój wóz.

Przejeżdżając w pobliżu farmy Pedersonów, w oknach domu zobaczyłem światła. Na ganku siedział collie. Tym razem nie zaszczekał, tylko postawił uszy. Patrząc w moją stronę, obracał powoli łeb i śledził wzrokiem samotny samochód zmiierzający w kierunku mostu na Anders Creek.

Minął tydzień. Dwa razy rozmawiałem z Jakubem przez telefon, ale go nie widziałem. Rozmawialiśmy krótko, za każdym razem tylko o Pedersonie, zapewniając się wzajemnie o skuteczności naszych przedsięwzięć. Z Lou nie rozmawiałem wcale, nawet przez telefon.

W czwartek po południu do biura wpadła Sara. Twarz miała zaczerwienioną z zimna, sprawiała wrażenie rozsierdzonej, i była dziwnie ruchliwa - strzelała oczyma to tu, to tam, dotykała rękami to włosów, to czoła, to znów ubrania - co z kolei oznaczało, że zdarzyło się coś złego. Szybko wstałem, wyszedłem z za biurka i pomogłem jej zdjąć palto. Miała na sobie sukienkę ciężową z taniego materiału ozdobioną flotyllą maleńkich żaglówek pływających po bładoniebieskim morzu. Sukienka zakrywała jej rozdęty brzuch, mimo to nie mogłem oderwać od niego oczu: przypominał gigantyczny owoc. W brzuchu było dziecko. Ta myśl porażała mnie, ilekroć na Sarę patrzyłem. Od tamtej chwili, od Nowego Roku.

Opadła ciężko na fotel obok biurka, gdzie zwykle siadywali klienci, którzy przychodzili prosić o przedłużenie kredytu na zakup paszy. Włosy miała upięte wokół głowy, usta pomalowane ciemnoczerwoną szminką.

- Lou powiedział Nancy - oznajmiła.

Zamknąłem drzwi i usiadłem za biurkiem.

- Spotkałam ją w spożywczym - mówiła. - Wstąpiłam po sos jabłkowy. Stoję, grzebię w torebce, bo wrzuciłam tam kupon z gazety, a ona podchodzi do mnie z tyłu i pyta, po co sobie zawracam głowę.

- Tym kuponem?

- Kuponem. I dodała, że nie muszę oszczędzać, bo mamy przecież nasz prezent gwiazdkowy.

Zmarszczyłem brwi i rozczapierzyłem palce na blacie.

- Wychlapała to w obecności kasjerki, głośno i wyraźnie, jakby mówiła o pogodzie.

- Co ty na to?

- Nic. Udałam, że nie rozumiem, o co jej chodzi.

- To dobrze.

- Ale ona wie, Hank. I domyśla się, że ja też wiem.

- Przecież nie mogliśmy oczekiwać, że Lou będzie trzymał język za zębami, prawda?

- Trzeba te pieniądze spalić, Hank.

- Tłumaczę ci tylko, że prędzej czy później musiała się o tym dowiedzieć.

- Zrobiliśmy błąd. Przyznaj, że to był błąd. Teraz siedzimy w tym po samą szyję.

- Przesadzasz.- Chciałem wziąć ją za rękę, ale nie pozwoliła. Patrzyłem na nią zza biurka. - Daj spokój, Saro. Niepotrzebnie...

- Nie, Hank, czuję, że wpadniemy. Trzeba to spalić.

- Nie możemy.

- Czy ty nic nie rozumiesz? Nie widzisz, że wszystko wymyka się nam z rąk? Dopóki wiedzieliśmy o tym tylko my, ty, ja, Lou i Jakub, wszystko było dobrze. Teraz doszła Nancy, wkrótce dojdzie ktoś następny. Grono wtajemniczonych będzie się ciągle rozrastało, aż wszyscy wpadniemy.

- Nie spalimy tych pieniędzy, nie możemy - powtórzyłem.

- Mieszkamy w małym miasteczku, Hank, długo to nie potrwa. Musimy zapobiec wpadce, dopóki jeszcze jesteśmy w stanie.

- Saro - odrzekłem powoli - to nie takie proste, jak sądzisz.

Chciała zaprzeczyć, ale musiała chyba wyczytać coś z mojej twarzy, bo spytała:

- Co znaczy: nie takie proste?

- Pamiętasz, tydzień temu oglądaliśmy dziennik. Podawali wiadomość o śmierci Dwighta Pedersona, tego starca, który spadł z mostu ze skuterem śnieżnym.

Kiwnęła głową.

- W Nowy Rok? Tak, pamiętam.

- To nie był wypadek, Saro.

Spojrzała na mnie nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Pederson widział nas w parku, Jakuba i mnie. Zabiliśmy go.

Poczułem, jak spada mi z ramion olbrzymi ciężar. Choć tego nie planowałem, wyznałem jej prawdę, zrzuciłem z siebie nieznośne brzemie.

Sara milczała, próbując to pojąć.

- Zabiliście go?

Miała bardzo dziwny wyraz twarzy. Nie było to przerażenie, czego najbardziej się bałem, lecz raczej zwykły strach - lęk zaprawiony domieszką bezgranicznego zdziwienia - pod którym wyczułem napęczniałe ziarenko dezaprobaty, gotowe zakiełkować i pęknąć pod wpływem następnych wiadomości. Widząc to, zawahałem się i niewiele myśląc, znowu zacząłem kłamać.

- Jakub go zabił. - Zdumiony własnymi słowami, brnąłem dalej. - Uderzył go, a kiedy stary spadł ze skutera, kopnął go w głowę. Zawieźliśmy go na most i upozorowaliśmy wypadek.

Moje wyznanie legło między nami jak martwy noworodek na zasłanym papierami biurku.

- Jezus Maria... - wyszeptała.

Oglądałem swoje ręce.

- Dlaczego go nie powstrzymałeś? - Nie była oburzona, nie. Czułem, że zadała to pytanie z czystej ciekawości. Mimo to nie miałem pojęcia, jak jej odpowiedzieć.

- Nie mogłeś?

Pokręciłem głową.

- Wszystko zdarzyło się bardzo szybko. Uderzył, kopnął, i koniec.

Spojrzałem jej w oczy i z ulgą stwierdziłem, że są spokojne. Nie widziałem w nich ani przerażenia, ani żalu, tylko konsternację. Po prostu nie rozumiała, co się stało.

- Tropił lisa - wyjaśniłem. - Gdyby Jakub go nie zabił, znalazłby samolot i zobaczył nasze ślady. Rozważała to chwilę.

- Jest jeszcze czas. Możemy je spalić.

Nie, nie zamierzałem niczego palić. Dla tych pieniędzy zabiłem człowieka i gdybyśmy mieli je spalić, oznaczałoby to, że zabiłem nadaremnie. Byłaby to zbrodnia bezsensowna i niewybaczalna. Rozumiałem to, lecz wyznać jej tego nie mogłem. Nachmurzony objąłem wzrokiem blat biurka i przeturlałem po nim ukryty w dłoni długopis.

- Nie - odrzekłem. - Nie spalimy ich.

- Złapią nas, Hank, to nasza ostatnia szansa.

Podniosła głos, więc odruchowo spojrzałem na drzwi i przyłożyłem palec do ust.

- Jeżeli je spalimy - szepnęła - Jakub z tego wyjdzie. Nie znajdą żadnego motywu, nie odkryją żadnego związku między nami a Pedersonem. Ale jeśli będziemy zwlekać, to w końcu wpadniemy, a wtedy Carl wszystko sobie skojarzy.

- Na razie nic nam nie grozi - odparłem spokojnie.

- Jeśli stwierdzimy, że robi się niebezpiecznie, zdążymy je spalić. Pieniądze to jedyny dowód, że popełniliśmy przestępstwo.

- Ale teraz nie chodzi już o kradzież, Hank, teraz chodzi o morderstwo.

- Wiemy o tym tylko my, Saro. My i Jakub. To nasza tajemnica. Nikt inny nie ma powodu, żeby cokolwiek podejrzewać.

- Wpadniemy, zobaczysz. - Oparła się o zagłówek fotela i splotła ręce na brzuchu.

- Nie - odrzekłem stanowczo, choć wcale nie byłem o tym przekonany. - Nie wpadniemy. Nikt inny się o tym nie dowie. Ani o Pedersonie, ani o pieniądzach.

Nie odpowiedziała. Wyglądało na to, że jest bliska płaczu, ale czułem, że przynajmniej na jakiś czas ją powstrzymałem. Zaakceptowała fakty, postanowiła odczekać i zobaczyć, co będzie dalej. Obszedłem biurko, dotknąłem jej włosów, nachyliłem się i mocno ją przytuliłem. Wypadło to trochę niezdarnie, bo półleżała w fotelu i rozdzielał nas jej brzuch, tak że by ją przytulić, musiałem przywrzeć udami do podłokietnika, mimo to mój gest dał pożądany efekt. Oparła mi głowę na ramieniu i objęła mnie za szyję.

Zadzwoił telefon. Po piątym dzwonku zamilkł.

- Przyrzekłem ci, Saro, prawda? Przyrzekłem, że nie dopuszczę do wpadki.

Poczułem, że kiwa głową.

- I nie dopuszczę - szepnąłem. - Porozmawiam z Lou o Nancy. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Trzeba to przeczekać i wszystko będzie dobrze.

Tego samego wieczoru, tuż przed zamknięciem magazynu, dobiegł mnie zza ściany głos Jakuba wyklócającego się o coś z kasjerką. Szybko wstałem i otworzyłem drzwi.

Przy kasie stał Jakub w zapiętej pod szyję kurtce. Patrzył błagalnie na Cheryl Williams, przysadzistą, wyszminekowaną kobiecinę, która pracowała u Raikleya na pół etatu.

Cheryl kręciła przecząco głową.

- Przykro mi, panie Mitchell - mówiła - ale nie mogę. Musi pan pójść do banku po drugiej stronie ulicy.

- Daj spokój, Cheryl - prosił Jakub - przecież bank jest już zamknięty.

- W takim razie będzie pan musiał poczekać do rana.

- Nie mogę czekać do rana - odrzekł, podnosząc głos. - Potrzebuję ich teraz.

W jego postawie, w sposobie ustawienia nóg i samych stóp dźwigających ciężar wielkiego cielska było coś dziwnego i nienaturalnego. I nagle uświadomiłem sobie z całą mocą, że Jakub jest tego wlany.

Cheryl nie zdążyła odpowiedzieć, bo ją uprzedziłem.

- Jakub - wycedziłem.

Oboje odwrócili się w moją stronę, a na ich twarzach dostrzegłem identyczny wyraz ulgi.

Brat pomachał czekiem przed oczyma kasjerki.

- Cheryl nie chce mi go zrealizować.

- Nie jesteśmy bankiem - odparłem. - Nie realizujemy czeków.

Cheryl, która wróciła do podliczania dziennego utargu, uśmiechnęła się leciutko.

- Hank... - zaczął brat, ale nie dopuściłem go do słowa.

- Wejdz do biura.

Gdy znalazł się w środku, zaniknąłem drzwi.

- Siadaj.

Usiadł w tym samym fotelu, w którym przed południem siedziała Sara. Mebel zatrzęszczał pod ciężarem jego ciała.

Stałem przy oknie i podciągnąłem żaluzje. Słońce już prawie zaszło. W miasteczku zapalały się światła. Kościół i cmentarz tonęły w ciemności.

- Piłeś - stwierdziłem, nie odwracając głowy. Usłyszałem, jak poruszył się niespokojnie w fotelu.

- Co znaczy: piłem?

- Dokładnie to, co znaczy. Śmierdzisz wódką. Nie ma jeszcze piątej, a ty jesteś już pijany.

- Obaliłem tylko dwa piwka, Hank. Nie jestem wlany.

Odwróciłem się i oparłem o parapet. Jakub musiał wykonać niezdamny półobrót, żeby na mnie spojrzeć. Był skonfundowany i speszony, jak uczeń w gabinecie dyrektora.

- To nieodpowiedzialne. .

- Potrzebuję pieniędzy, Hank. I to jeszcze dzisiaj.

- Jesteś gorszy niż Lou.

- Daj spokój. To tylko dwa piwa.

- Nancy już wie. Powiedział jej, tak?

Jakub westchnął.

- Odpowiedz, do cholery!

- Czepiłeś się go jak rzep...

- Chcę znać prawdę.

- Skąd mam wiedzieć, czy jej powiedział?

- A jak myślisz?

Zmarszczył czoło i jeszcze głębiej zapadł się w fotelu. Nie patrzył na mnie.

- To jego dziewczyna - mruknął w końcu. - Razem mieszkają.

- To znaczy, że jej powiedział, tak?

- Gdyby Lou spytał mnie, czy powiedziałeś Sarze...

- A spytał?

- Jak pragnę zdrowia, Hank. Nie rozumiesz, że mogę się tylko domyślać? Tak naprawdę to nic nie wiem.

- Nie pytam, co wiesz. Pytam cię, co o tym sądzisz.

- No przecież mówię: Nancy to jego dziewczyna.

- To znaczy, że jej powiedział?

- Chyba tak.

- Pamiętasz, co ustaliliśmy? Miałeś być za niego odpowiedzialny. Milczał.

- Jeśli Lou coś spieprzy, uznam, że to twoja wina.

- On nie jest...

- Spalę pieniądze, Jakub. Jeśli dojdę do wniosku, że zawaliliście, że coś nam przez was zagraża, natychmiast spalę forszę i całą winę zrzucę na ciebie.

Gapił się na swój czek.

- Lepiej przemów mu do rozumu, Jakub, i to szybko. Powiedz mu, że odpowiada za Nancy, tak samo jak ty odpowiadasz za niego.

Zamyślony podniósł wzrok. Głośno wessał powietrze i czubkiem języka powiódł po zębach, jakby chciał je oczyścić z resztek jedzenia. Jego niskie, szerokie czoło było pokryte krostami. Skórę miał tłustą; błyszczała w świetle lampki.

- Jak łańcuch pokarmowy, co? - spytał.

- Jaki łańcuch? Uśmiechnął się nieznacznie.

- Lou odpowiada za Nancy, ja za Lou, a ty za mnie.

Po krótkim namyśle kiwnąłem głową. - W takim razie - podsumował - odpowiadasz za nas wszystkich.

Nie wiedziałem, co mu na to rzec, więc wróciłem za biurko i usiadłem.

- Ile chciałeś skasować? - spytałem.

Spojrzał na czek. Znowu był w rękawiczkach.

- Czterdzieści siedem dolarów.

Zabrałem mu czek.

- Od kogo?

- Od Sonny'ego Majora. Sprzedałem mu wiertarkę z kompletem wiertel.

Obejrzałem czek i podałem mu go wraz z długopisem.

- Podpisz.

Gdy podpisał, wyjąłem z portfela dwie dwudziestki i dziesiątkę. Wręczyłem mu pieniądze, on zwrócił mi czek.

- Jesteś mi winien trzy dolary. Włożył pieniądze do kieszeni i wyglądało na to, że chce wstać. Ale nie, nie wstał. Zerknął na moje czoło i spytał:

- Jak twoja rana? Dotknąłem skaleczenia. Pod palcami wyczułem maleńki strupek.

- Zagoiła się.

Zamilkł.

- A twój nos?

Zmarszczył go i wziął głęboki oddech.

- Chyba dobrze.

Siedzieliśmy w milczeniu. Już miałem wstać i odprowadzić go do drzwi, gdy wtem spytał:

- Pamiętasz, jak tato złamał nos? Czyż mógłbym o tym zapomnieć? Gdy miałem siedem lat, ojciec zamówił składany wiatrak z katalogu, żeby nawodnić jedno z pól. Prawie skończył go montować i stał na drabinie, dociskając ostatnią śrubę, gdy nagły powiew wiatru obrócił wielkie aluminiowe skrzydła. Ojciec oberwał w twarz i spadł. Matka widziała to wszystko z domu, a ponieważ stary, miast natychmiast wstać i wrócić do roboty, leżał przez chwilę na plecach, ściskając rękami głowę, zadzwoniła do miasteczka po pomoc. W Ashenville szpitala nie było, więc przyjechała straż pożarna, a ponieważ służyli w niej tylko ochotnicy, na farmie zaroilo się od przyjaciół i znajomych ojca. Nabijali się z niego przez długie lata, a stary nigdy nie wybaczył matce, że naraziła go na taki dyshonor.

- Wiatrak jeszcze tam stoi - powiedział Jakub. - Widać go z drogi.

- To pewnie jedyna zbudowana przez niego rzecz, która jako tako działa.

Uśmiechnął się - nieudolność w majsterkowaniu była stałym tematem rodzinnych żartów z ojca - ale gdy zaczął mówić, w jego żalobnym głosie usłyszałem nutkę głębokiego żalu i poczucia straty.

- Szkoda, że już ich nie ma - wyszeptał.

Spojrzałem na niego i nagle - jakbym jednym szarpnięciem rozsunał zasłony w oknie - z całą wyrazistością dostrzegłem głębię dręczącej go samotności.

Jakub był bliżej rodziców niż ja. Mieszkał z nimi jeszcze na rok przed wypadkiem, a nawet kiedy się wyprowadził, spędzał na farmie większość czasu: pracowali, rozmawiali, oglądali razem telewizję. Farma była jego azylem, miejscem, dokąd mógł uciec przed światem. Ja miałem Sarę i dziecko, to nic, że jeszcze nie narodzone, tymczasem jego rodzina już odeszła. Nie miał nikogo.

Próbowałem go jakoś pocieszyć. Chciałem wyciągnąć do niego rękę, dodać otuchy, lecz nie znalazłem odpowiednich słów. Chryste, nie wiedziałem, jak rozmawiać z własnym bratem.

I to on przerwał ciszę.

- To znaczy, że zrzucisz winę na mnie?

Ogarnięty nagłą paniką, która błyskawicznie zabiła współczucie, jakim go darzyłem, zanim się odezwał, uświadomiłem sobie, że jeśli chcę mieć Jakuba w garści, muszę zagrozić mu czymś konkretnym, bo pojęcie winy jest dla niego zbyt abstrakcyjne. Rozwiązanie znalazłem natychmiast. Wybór nasuwał się sam, bo byłem pewien, że tylko tym mogę go porządnie nastraszyć.

- Jeśli wpadniemy przez Lou - odrzekłem - opowiem policji o Pedersonie. Powiem, że go zamordowałeś, że pomogłem ci tylko zatrzeć ślady.

Gapił się na mnie nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Powiem, że próbowałem cię powstrzymać, ale mnie odepchnąłeś i zabiłeś go.

Jakub robił wrażenie szczerze zdumionego. Ba! Nawet zaszokowanego. Długo szukał słów.

- Hank, przecież to ty go... zabiłeś. Wzruszyłem ramionami i podniosłem ręce.

- Po prostu skłamię, i tyle. Jeśli wpadniemy przez Lou, ty za to zapłacisz.

Bolesnie wykrzywił twarz. Ciekło mu z nosa, więc wytarł go w rękawiczkę, a rękawiczkę - w spodnie.

- Nie chcę za niego odpowiadać - burknął.

- Taka była umowa. Tak uzgodniliśmy.

Pokręcił głową. Znieruchomiał, ale zwały tłuszczu pod podbródkiem, białe i marmurkowane, trzęsły się jeszcze przez dobrych kilka sekund.

- Nie mam na niego wpływu.

- Musisz z nim pogadać, Jakub.

- Pogadać? - spytał, nagle rozdrażniony. - Gadanie go nie powstrzyma.

- To mu zagroź.

- Czym? Mam mu powiedzieć, że go zbiję? Że spalę mu chałupę? - Prychnął oburzony, a może rozgoryczony. - Zagroź mu! Dobre sobie!

Zamilkliśmy. Zza ściany dobiegały głosy pracowników szykujących się do wyjścia.

- Nie chcę za niego odpowiadać - powtórzył.

- No to mamy problem.

Kiwnął głową.

- W takim razie lepiej tę forszę od razu spalić - zasugerowałem. - Co ty na to?

Nie miałem zamiaru nic palić, blefowałem, ale Jakub nie zareagował. Wbił wzrok w blat biurka i zmarszczył czoło. Widać było, że próbuje myśleć.

- Lou nic nie schrzani - mruknął. - Nie wpadniemy.

- Oczywiście, że nie, bo ty do tego nie dopuścisz. Pograżony w myślach, chyba mnie nie słyszał. W końcu podniósł głowę.

- A jeśli uznamy, że nam zagraża, zawsze może mieć wypadek.

- Wypadek?

- Jak Pederson.

- Chcesz powiedzieć, że go... zabijemy? - spytałem przerażony. Zastrygł oczyma i znowu wbił wzrok w blat biurka.

- Chryste, Jakub, przecież to twój najlepszy przyjaciel. Chyba nie mówisz poważnie.

Nie odpowiedział.

- Jakub Mitchell, słynny morderca. Boże!

- Przestań, Hank. Chciałem tylko...

- Zaciukać go? Udusić? Poderżnąć mu gardło? - szydziłem, podnosząc głos jak on. - „Zawsze może mieć wypadek”. Za kogo ty się właściwie uważasz? Za gangstera?

Łypnął na mnie spode łba.

- Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę - mruknąłem.

Naburmuszony, ciężko westchnął. - Niby jak to chciałeś zrobić? Miałeś jakiś plan?

- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy upozorować wypadek samochodowy.

- Ach, wypadek samochodowy. Błyskotliwe, naprawdę błyskotliwe. A konkretniej?

Wzruszył ramionami.

- Pewnie zamierzałeś wsadzić go do samochodu i zepchnąć z mostu na Anders Creek, co?

Chciał coś powiedzieć, ale nie dałem mu dojść do słowa.

- Z Pedersonem mieliśmy dużo szczęścia, Jakub. Wszystko działało na naszą korzyść. Ale to się już nie powtórzy.

- Myślałem tylko...

- Ty nie myślisz. Ty wcale nie myślisz, w tym problem. Przeciwnie, wykazujesz bezdenną głupotę. Pamiętasz, jak wtedy zareagowałeś? Tam, na drodze? Płakałeś, Jakub, roniliśmy łzy jak małe dziecko. Chcesz przez to przechodzić jeszcze raz?

Milczał.

- Spójrz w okno - powiedziałem - na drugą stronę ulicy. Widzisz cmentarz?

Spojrzał, ale nic nie zobaczył, bo na dworze było już zupełnie ciemno; w szybach odbijało się wnętrze biura.

- W zeszłym tygodniu pochowali tam niejakiego Dwighta Pedersona. Leży w grobie przez ciebie, przez to, że jesteś zachłanny i spanikowałeś. No i jak się teraz czujesz?

Przeszywałem go wzrokiem dopóty, dopóki nie spojrzał mi w oczy.

- Gdybym tego nie zrobił - wyszeptał - stary znalazłby samolot.

- A niechby znalazł! Popatrzył na mnie zdumiony.

- To ty go zabiłeś. Mogłeś go uratować, a nie uratowałeś.

- Zabiłem go, żeby ratować ciebie, Jakub. Sprawa była prosta: albo on, albo ty.

Wybrałem ciebie, ale... - Znacząco zawiesiłem głos. - Chyba popełniłem błąd.

Nie wiedział, jak na to zareagować, i gapił się na mnie z tym samym wyrazem twarzy.

- Ale drugi raz błędu nie popełnię - dodałem.

- Nie, po prostu cię wydam.

- Nie mogę brać za niego odpowiedzialności - szepnął.

- Pogadaj z nim. Powiedz mu, że jeśli coś schrzani, spalę pieniądze.

Spuścił oczy i wtedy po raz pierwszy zauważyłem, że na czubku głowy zaczyna łyścieć. Zdumiało mnie to i przeraziło. Gdyby zrzucił trochę wagi, wyglądałby dokładnie jak nasz ojciec na kilka dni przed wypadkiem. Był pokonany, zбитy jak pies.

- Szkoda, że nie możemy podzielić forsy już dzisiaj - mruknął. - Podzielić i zwiąć.

- Nie tak się umawialiśmy, Jakub.

- Wiem. - Westchnął. - Mówię tylko, że szkoda.

Nazajutrz był piątek. Podczas kolacji Sara spytała, czy rozmawiałem z Lou.

- Jakub ma z nim pogadać - odrzekłem.

Jedliśmy spaghetti i Sara właśnie brała dokładkę.

- Jakub? - łyżka zastygła w powietrzu, nitki makaronu zadyndały nad talerzem. - Jakub? - powtórzyła. - Miała na sobie ciemnoniebieską sukienkę i w jaskrawo oświetlonej kuchni wyglądała blado i anemicznie.

- Jakub.

- Nie powinienes zrobić tego sam?

- Uznałem, że on załatwi to lepiej. Lou go posłucha. Mnie nie.

Nałożyła na talerz porcję makaronu i odstawiła miskę na środek stołu.

- Jesteś pewien, że Jakub zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji?

- Trochę go postraszyłem.

Zerknęła na mnie znad talerza.

- Czym?

- Zagroziłem mu, że jeśli wpadniemy przez Lou, to opowiem szeryfowi o Pedersonie.

- No i?

- Na początku trochę panikowałem, ale chyba podziałało. - Uśmiechnąłem się lekko. - Sugerował nawet, żeby go zabić.

Nie zrobiło to na niej wielkiego wrażenia.

- Kogo? Lou? Jak?

- Co jak?

- Jak go chciał zabić?

- Zamierzał upozorować wypadek samochodowy. Zmarszczyła brwi. Wzięła widelec, nakręciła nań makaron, wsunęła go do ust, przeżuła, przełknęła.

- Nie powinniśmy mu grozić.

- W sumie to nawet mu nie groziłem. Próbowałem go tylko obudzić.

Pokręciła głową.

- Jeśli sugerował spisek przeciwko Lou, równie dobrze może spiskować z Lou przeciwko nam.

- Jakub nie będzie nic knuł. A na pewno nie przeciwko nam - odrzekłem, jakby już sama myśl była absurdalna.

- Skąd ta pewność?

- Bo Jakub jest moim bratem, Saro. To się chyba trochę liczy, nie uważasz?

- Tak, ale kto jest mu bliższy: ty czy Lou? Lou jest dla niego lepszym bratem niż ty.

Fakt, miała rację.

- Chcesz powiedzieć, że Jakub mógłby mnie dla tych pieniędzy zabić?

- Mówię tylko, żeby mu nie grozić. Twoje groźby pchną go w ramiona Lou. Oni nie mają rodzin jak ty. Mogą tu przyjść, zastrzelić cię, zabrać pieniądze i uciec.

- Pieniądze są ukryte. Nie wiedzą gdzie.

- Założmy, że przychodzą, przystawiają ci spluwę do głowy i każą oddać forszę.

Powiesz, gdzie jest?

- Nigdy tego nie zrobią.

- No to założmy, że grożą rewolwerem mnie, nie tobie. - Poklepała się po brzuchu. - Że dźgają mnie lufą tutaj.

Międliłem makaron widelcem.

- Kto? Jakub? Nie wyobrażam sobie tego. Ty chyba też nie.

- A mogłeś sobie wyobrazić, że zamorduje Pedersona?

Nie odpowiedziałem. Otwierała się przede mną następna furka. Ciągnęło mnie do niej, wzywała mnie i zapraszała, więc się zawahałem. Wystarczyło powiedzieć tylko kilka słów, wystarczyło ułożyć krótkie zdanie oznajmujące. Co najmniej przez pół minuty patrzyłem na Sarę, rozpaczliwie analizując wszystkie możliwe konsekwencje, zarówno te wynikające z przyznania się do winy, jak i te, które mnie przed mówieniem powstrzymywały, lecz w żaden sposób nie mogłem ich sprecyzować, tak że w końcu strzeliłem na oślep.

- Mogłeś? - powtórzyła.

- Jakub go nie zabił. - Powiedziałem to i, jak poprzedniego dnia w biurze, poczułem, że mi ulżyło.

Wierciłem się niespokojnie na krześle, sondując ją wzrokiem.

Lecz twarz miała bez wyrazu.

- Mówiłeś, że...

Pokręciłem głową.

- Uderzył go i Pederson stracił przytomność. Myśleliśmy, że nie żyje, ale kiedy chciałem go podnieść i posadzić na skuterze, jęknął i musiałem go dobić.

- To znaczy... zabić? - spytała.

- Tak, zabiłem go. - I znowu ogarnęła mnie fala ulgi. - Zabiłem Pedersona.

Nachyliła się ku mnie.

- Jak?

- Udusiłem go. Szalikiem.

Zaszokowana, czubkami palców dotknęła podbródka i na krótką chwilę straciła panowanie nad mięśniami twarzy, tak że widziałem, jak moje słowa powoli do niej docierają.

Była zdumiona, zaskoczona, przestraszona, a gdy na mnie spojrzała, w jej oczach dostrzegłem coś w rodzaju odrazy, która legła między nami niczym ostry miecz. Tak, robiła wrażenie przerażonej, ale trwało to tylko moment, bo strach natychmiast minął - zacisnęła powieki i jej twarz odzyskała normalny wygląd.

- Dlaczego nie Jakub? - spytała.

- Jakuba już nie było. Wysłałem go na most. Miał na mnie czekać.

- Byłeś sam?

Kiwnąłem głową.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? Z trudem wydukałem szczerą odpowiedź:

- Bo nie chciałem cię... przestraszyć.

- Przestraszyć?

- Zdenerwować.

Zamilkła. O czymś myślała, coś tam sobie rozważała, układała fakty, dopasowywała je do nowego scenariusza. I nagle ogarnęła mnie panika, bo wyglądało to tak, jakby udając spokój i opanowanie, coś przede mną ukrywała.

- No i? - spytałem.

Rzuciła na mnie okiem, ale twarz miała jak z kamienia. Najwyraźniej myślała o czymś innym.

- No i co?

- Jesteś zdenerwowana? Przestraszona? Zaczęła coś mówić, ale urwała. Skupiła się, szukała słów. W końcu wykrztusiła:

- Stało się.

- I tyle?

- Oczywiście nie chciałabym, żeby do tego doszło, ale trudno, stało się. Mogę zrozumieć, dlaczego to zrobiłeś.

- Ale wolałabyś, żebym tego nie zrobił, prawda?

- Sama nie wiem. - Pokręciła głową. - Stracilibyśmy pieniądze. Aresztowaliby Jakuba. Sondowałem wzrokiem jej twarz w poszukiwaniu konkretnych oznak zrozumienia.

- Gdybyś była na moim miejscu, postąpiłabyś tak samo? - spytałem.

- Hank, jak mogłabym...

- Chcę tylko wiedzieć, czy to możliwe.

Znowu zamknęła oczy. Wyobrażała sobie, że pochyla się nad ciałem Pedersona? Że zatyka mu usta szalikiem? Nie wiedziałem.

- Może - szepnęła w końcu. - Może i tak.

Nie mogłem w to uwierzyć, nie chciałem, jednak coś mi mówiło, że wyznała prawdę. Zabiłaby go tak samo jak ja. Przecież jeszcze niedawno nie wyobrażałem sobie, że Jakub mógłby Pedersona uderzyć, a potem kopnąć go w głowę i w pierś. A ja? Czyż mógłbym sobie wyobrazić, że będę w stanie udusić szalikiem starego człowieka? Nie, oczywiście, że nie.

Uświadomiłem sobie ze zgrozą, że nie tylko nie potrafię przewidzieć reakcji tych, z którymi stykałem się na co dzień, ale i swoich własnych. Zły znak.

Wskazywał, że bez mapy i kompasu weszliśmy na obce terytorium, że zblądziliśmy.

- Jakub o tym wie? - spytała.

- Wie. Powiedziałem mu.

Aż podskoczyła.

- Dlaczego?

- Wyglądało na to, że może w każdej chwili pęknąć. Płakał, spazmował. Pomyślałem sobie, że jak rozłożymy winę na dwóch, będzie mu łatwiej.

- Wykorzysta to przeciwko tobie.

- Przeciwko mnie? W jaki sposób? Ten z nas, który wpadnie w szambo, pociągnie za sobą drugiego.

- Zobaczysz. Pójdzie z tym do Lou, zwłaszcza jeśli zaczniesz mu grozić, i razem coś uknują.

- To paranoja, Saro.

- Mamy swoją tajemnicę i nie zdradziliśmy jej Jakubowi, prawda?

Kiwnąłem głową.

- Wy, ty i twój brat, trzymacie coś w tajemnicy przed Lou, tak? Kiwnąłem głową po raz drugi.

- W takim razie jak możesz twierdzić, że Jakub i Lou nie trzymają czegoś w tajemnicy przed nami? Nie znalazłem na to odpowiedzi.

Późnym wieczorem, gdzieś koło jedenastej, zadzwoniła z Miami Millie, macocha Sary. Rodzice Sary już nie żyli, tak samo jak moi. Matka zmarła, gdy Sara była małą dziewczynką, ojciec - zaraz po naszym ślubie.

Ojciec ożenił się ponownie, gdy Sara miała kilkanaście lat, ale Millie, nowa żona, nie przepadała za pasierbicą, pasierbica zaś nie darzyła sympatią macochy. Ostatni raz widziały się na pogrzebie mojego teścia. Raz w miesiącu rozmawiały przez telefon. Te comiesięczne rozmowy były swego rodzaju rytuałem, w którym uczestniczyły bynajmniej nie z chęci rozmowy, lecz z poczucia rodzinnego obowiązku.

Sara wychowywała się w południowym Ohio, o rzut kamieniem od Kentucky. W

szpitalu, gdzie umierała na białaczkę jej matka, pracowała Millie; była pielęgniarką. I właśnie w szpitalu poznała ojca Sary, a swego przyszłego męża. Pochodziła z Zachodniej Wirginii, ale ponieważ dziesięć lat spędziła w Miami, mówiła z lekkim południowym akcentem, którym zarażała Sarę, ilekroć z sobą rozmawiały.

Ich rozmowy telefoniczne miały formę długich, na przemian wygłaszanych monologów: Millie opowiadała o światowym życiu grona swoich znajomych, narzekała na postępującą degrengoladę Miami, a w szczególności osiedla, w którym mieszkała, i nieodmiennie kończyła pozbawioną związku anegdotą z życia ojca Sary. Natomiast Sara opowiadała o swojej ciąży, o mnie, o falach zimna nawiedzających Ohio, o tym, co przeczytała ostatnio w gazecie albo obejrzała w telewizji. Nigdy się o nic nawzajem nie wypytywały, nie próbowały nawiązać prawdziwego kontaktu. Po prostu wygłaszały swoje monologi, a po dwudziestu minutach, jakby uzgodniły przedtem limit czasu, mówiły sobie do widzenia i odkładały słuchawki.

Tamtego wieczoru Millie zatelefonowała, gdy szliśmy z Sara do łóżka. Kiedy zdałem sobie sprawę, kto dzwoni, szepnąłem żonie, że schodzę coś przegryźć. Nie lubiłem przebywać w pokoju, gdy rozmawiała przez telefon; czułem się, jakbym podsłuchiwał.

W kuchni wypilem trochę mleka i zrobiłem sobie kanapkę z żółtym serem. Nie zapaliwszy światła, stałem przy ladzie i jadłem. Przez okno - ledwie dziesięć metrów dalej, zaraz za wąziutkim trawniczkiem - widziałem dom sąsiadów, lustrzane odbicie naszego: wszystko takie samo, tylko z odwrotnej strony. W sypialni na górze grał telewizor; szyby mrugały niebieskawo, jakby padało na nie światło odbite od powierzchni wody w basenie.

Stałem w ciemności kilka minut, jedząc kanapkę i analizując ostatnią rozmowę z Sara. Jej spokojna reakcja na moje wyznanie przyniosła mi wielką ulgę, ulgę niepomierną. Bałem się, że mój czyn ją przerazi, że potraktuje mnie jak psychopatę, jak potwora, lecz nie, nic takiego się nie stało. Dopiero tam, w kuchni, zdałem sobie sprawę, że nie miałem powodu do obaw, ponieważ zbrodnia - tak przynajmniej uważałem - nie zabiła we mnie człowieka, o czym i Sara, i ja dobrze wiedzieliśmy. Przecież jedna anomalia nie mogła zaważyć na naszej małżeńskiej przeszłości. Oczywiście, Sara musiała przeżyć szok - co natychmiast zauważyłem - musiała odczuć nagły strach i odrazę, lecz po kilku sekundach, jak zawsze pragmatyczna, doszła do siebie i pogodziła się z faktami. „Stało się”, powiedziała i już parla naprzód, już myślała o przyszłości, bo przeszłość minęła, bo przeszłość nie wróci. Źródłem jej niepokoju były troski natury praktycznej: Jakub wiedział o mojej zbrodni i martwiła się, że ten fakt wpłynie na układ między nim, nami i Lou. Tak, była niewzruszona jak skała. Stojąc w ciemnej kuchni, uświadomiłem sobie, że nawet jeśli wszystko inne zawiedzie, to nie kto

inny tylko właśnie Sara przeprowadzi nas przez morze kłopotów.

Ekran telewizora u sąsiadów rozbłysnął, zgasł i dom pogrążył się w mroku. Wstawiłem pustą szklankę do zlewu.

Idąc schodami na górę, zauważyłem, że drzwi do jadalni są lekko uchylone. Zapaliłem światło i zajrzałem do środka. Na drewnianym stole leżały porzucane papiery, czasopisma i broszury.

Z sypialni dobiegał mnie głos Sary rozmawiającej przez telefon, cichy i stłumiony, jakby mówiła do siebie. Otworzyłem drzwi na oścież i przekroczyłem próg.

Do stołu podszedłem z podświadomym wahaniem, jakbym bał się, że żona może mnie usłyszeć. Powiodłem wzrokiem po blacie. Leżało tam mnóstwo broszur, co najmniej trzydzieści, może nawet więcej: reklamówek biur podróży ze zdjęciami pięknie opalonych dziewczyn w kolorowych bikini, rodzin szusujących na nartach lub jeżdżących konno, mężczyzn na kortach tenisowych i polach golfowych, stołów zastawionych półmiskami tropikalnych owoców. „Witajcie w Belizie!”, krzyczały. „Paryż wiosną!”, „Kreta, wyspa bogów!”, „Pożegłuj z nami przez Pacyfik!”, „Nepal - kraina zapomniana przez czas!” Wszystkie były błyszczące i gładziutkie, ze wszystkich uśmiechały się do mnie piękne twarze, wszystkie napisy zakończono wykrzyknikami. Czasopisma - „Podróżnik”, „Wyspy”, „Karaiby”, „Globtroter” - wyglądały identycznie, tyle że były większe.

Na brzegu stołu leżał otwarty notatnik z zapiskami Sary. Na górze strony widniało słowo „Podróże”, a pod nim była lista miast i krajów rozrzuconych po całej kuli ziemskiej i starannie ponumerowanych, najwyraźniej wedle preferencji. Na pierwszym miejscu figurował Rzym, na drugim Australia. Sąsiednią stronę zajmowała lista z nagłówkiem: „Czego się muszę nauczyć”. Sara chciała żeglować, jeździć na nartach, nurkować z akwalungiem, jeździć konno... Lista była bardzo długa, sięgała końca strony.

Z drzeniem serca zdałem sobie sprawę, że mam przed sobą dokładny spis życzeń mojej żony, spis marzeń, które chciała spełnić dzięki skradzionym pieniądzą. Przesunąłem wzrokiem w górę i w dół najpierw jednej, potem drugiej strony: Szwajcaria, Meksyk, Antigua, Moskwa, Nowy Jork, Chile, Londyn, Indie, Hybrydy... Tenis, francuski, windsurfing, jazda na nartach wodnych, niemiecki, historia sztuki, golf... Listy nie miały końca, zawierały nazwy miejsc, o których ani razu przy mnie nie wspomniała, ambicje i plany, których nigdy mi nie zdradziła.

Już od naszego pierwszego spotkania uważałem, że jest dużo pewniejsza siebie i bardziej zdecydowana niż ja. To ona umówiła się ze mną na pierwszą randkę, nie ja z nią; to z jej inicjatywy doszło między nami do pierwszego zbliżenia seksualnego i to ona zapropono-

wała zaręczyny. To ona wybrała datę ślubu (17 kwietnia), to ona zaplanowała nasz miodowy miesiąc (dziesięciodniową wycieczkę do Naples na Florydzie) i zdecydowała, kiedy począć dziecko. Wydawało się, że zawsze zdobywała to, czego chciała. Lecz gdy stałem w jadalni, patrząc na te wszystkie czasopisma i broszury, zdałem sobie sprawę, że się myliłem, że pod fasadą zdecydowania i pewności siebie muszą leżeć olbrzymie pokłady rozczarowania.

Sara zrobiła magisterium na wydziale petrochemii uniwersytetu w Toledo. Kiedy ją poznałem, zamierzała wyjechać do Teksasu, zdobyć dobrze płatną pracę w przemyśle naftowym i jak najwięcej zaoszczędzić, żeby pewnego dnia kupić sobie ranczo, „kawał ziemi”, jak mówiła, z końmi i ze stadem bydła, które chciała oznakować własnym inicjałem: literą „S” na tle serca. Zamiast tego wyszła za mnie za mąż. Na ostatnim roku studiów zaproponowano mi pracę w Ashenville, w magazynie paszowym, i nagle, nie mając możliwości prawdziwego wyboru, znalazła się w Delphii. W północno-zachodnim Ohio magister petrochemii ciekawego zajęcia nie znajdzie, więc wzięła pół etatu w miejskiej bibliotece. Pracę traktowała bardzo serio, zawsze szukała w niej najlepszych stron, mimo to musiała ją wykonywać z pewnym żalem, gdyż ilekroć spojrziała za siebie, na lata studenckie pełne wspaniałych planów, zapewne dochodziła do wniosku, że jej życie ma niewiele wspólnego z tym, jakie sobie wymarzyła. Małżeństwo było dla niej swego rodzaju ofiarą, lecz nigdy nie narzekała, tak że jej poświęcenie uznałem za rzecz naturalną, nawet nieuniknioną. I dopiero teraz, po latach, stwierdziłem, jak wielką przeżyła tragedię.

I oto nagle zarysowała się przed nią perspektywa odmiany: znalazłem pieniądze i znowu mogła zacząć marzyć, sporządzać długie listy życzeń, kartkować czasopisma, planować nowe życie. Nadzieje i pragnienia, obietnice, które, jak na pewno uważała, może teraz spełnić - to wszystko było wspaniałe, lecz zarazem straszliwie smutne, zdałem sobie bowiem sprawę, że znaleźliśmy się w pułapce, że przekroczyliśmy pewną granicę i że nie mamy już odwrotu. Pchnąwszy nas w krainę marzeń, pieniądze obrzydziły nam dotychczasowe życie. Moja praca u Raikleya, nasz dom z aluminiowym szalunkiem, nasze miasteczko - patrzyliśmy na to wszystko z góry, jak patrzy się na posepną przeszłość. Zanim zostaliśmy milionerami, była naszą terażniejszością, szarą, skarłowaciałą i smutną, i gdybyśmy spalili pieniądze, musielibyśmy do niej wrócić, jakby nie stało się nic ważnego. Wracalibyśmy do starego życia, zerknąwszy nań z dystansu, ujrzawszy je takim, jakim naprawdę było: bezwartościowym i ponurym. A to by nas zupełnie dobiło.

- Hank? - zawołała z góry Sara. - Kochanie? - Skończyła rozmawiać.

- Już idę! - krzyknąłem.

Zgasilem światło i cicho zamknąłem za sobą drzwi.

W sobotę po południu, gdy kończyliśmy z Sara lunch, zadzwonił dzwonek do drzwi. Przyszedł Jakub. Czekał na ganku, ku memu zdziwieniu ubrany w szare flanelowe spodnie i skórzane buty. Od pogrzebu rodziców widywałem go tylko w dżinsach albo w roboczych spodniach koloru khaki, dlatego trochę mnie zaskoczył swoim wyglądem. Ba, nawet zdumiał, i dlatego chwilę trwało, zanim dostrzegłem u niego jeszcze drastyczniejszą odmianę: Jakub był u fryzjera. Obciął się na wojskowego jeża, włosy miał króciuteńkie, na skutek czego głowę mu rozděło tak, że unosiła się nad ramionami niczym za mocno napompowany balon.

Stał w progu i obserwował mnie wyczekująco. Uśmiechnąłem się do niego. Chociaż spodnie miał wyraźnie za ciasne, chociaż brąz butów klócił się z błękitem skarpetek, brat sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, zadowolonego ze swego wyglądu, a nieczęsto mu się to zdarzało. Poczulem, że ogarnia mnie fala braterskiego ciepła i nagle zapragnąłem go pochwalić.

- Byłeś u fryzjera - skonstatowałem.

Wykrzywił twarz w nieśmiałym uśmiechu i dotknął włosów.

- Dziś rano.

Zażenowany, nie przestając się uśmiechać, odwrócił wzrok. Po drugiej stronie ulicy dzieciak sąsiadów grzmocił tenisową piłką o drzwi garażu. Walił w nią kijem hokejowym, a ponieważ była mokra, zostawiała na drzwiach ślady. Mary Beth obserwował go z półciężarówki.

- Masz czas pogadać? - spytał Jakub.

- Jasne. - Otworzyłem szerzej drzwi. - Jadłeś lunch? Mogę ci zrobić kanapkę.

Ponad moim ramieniem zerknął w głąb korytarza. W obecności Sary - tak samo jak w obecności wszystkich kobiet - był zawsze nieśmiały, więc ilekroć zastawał ją w domu, unikał wchodzenia do środka.

- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy się trochę przejechać.

- Nie możemy pogadać tutaj?

- Nie, bo widzisz, chodzi o te pieniądze - szepnął.

Wyszedłem na ganek, zamykając za sobą drzwi.

- Stało się coś? - spytałem.

- Nie, nic.

- Coś w związku z Pedersonem?

Pokręcił głową.

- Chcę ci coś pokazać. To niespodzianka.

- Niespodzianka?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Spodoba ci się. Mam niezły pomysł.

Pomyślałem chwilę i pchnąłem drzwi.

- Zaczekaj, wezmę kurtkę.

Gdy wsiedliśmy do półciężarówki, spytałem, co jest grane, ale nie chciał powiedzieć.

- To niedaleko - odrzekł. - Muszę ci to pokazać.

Pojechaliśmy na zachód, w stronę Ashenville. Początkowo myślałem, że wiezie mnie do parku Andersa, lecz miast skrócić w prawo, skrociliśmy w lewo, na Burnt Road, i ruszyliśmy na południe. Dzień był zimny i słoneczny. Śnieg na polach miał lodową skorupkę i gdziekolwiek spojrziałem, lśnił niczym brylanty. Dopiero gdy dotarliśmy na miejsce, gdy skrociliśmy na drogę, która przed laty wiodła do podjazdu przed domem, zdałem sobie sprawę, dokąd mnie przywiózł.

Półciężarówka powoli wyhamowała.

Nie byłem tu od lat i doznałem prawdziwego szoku widząc, jak niewiele pozostało z tego, co niegdyś nazywaliśmy naszym rodzinnym domem. Sam dom oraz stodoła i wszystkie przybudówki zostały rozebrane i wywiezione, a piwnice wypełnione ziemią. Stare, rozłożyste drzewa, które niegdyś tworzyły wokół podwórza olbrzymi krąg, zostały wycięte i sprzedane na budulec. Jedynym znakiem, że kiedyś mieszkała tu nasza rodzina, był lekko już pochylony wiatrak ojca stojący kilkaset metrów dalej.

- Często tu przyjeżdżasz? - spytałem.

Wzruszył ramionami..

- Czasami.

Patrzył w kierunku miejsca, gdzie niegdyś stał nasz dom. Widać stąd było co najmniej na półtora kilometra, ale krajobraz nie należał do urozmaiconych. Wszędzie pokryte śniegiem pola, płaskie i monotonne, tak że nie sposób było zawiesić na czymś oko. Pustka i bezkres. Jak zimowe niebo.

- Chcesz wysiąść? - spytał.

Nie chciałem, ale wyglądało na to, że on bardzo chce, więc odrzekłem:

- Jasne! - I otworzyłem drzwi.

Szliśmy przez pole po wymyślonej linii, wzdłuż której - tak przynajmniej uważaliśmy - biegł niegdyś podjazd wysypany żwirem. Mary Beth pędził przodem, zapadając się w śniegu po brzuch, od czasu do czasu przywarowując, żeby zbadać nosem coś, czego my, ludzie, nie dostrzegaliśmy. Przystanęliśmy mniej więcej sto metrów od drogi, w miejscu, gdzie kiedyś stał nasz dom. Niewykluczone, że źle wyliczyliśmy odległość, bo nie

znaleźliśmy tam żadnego punktu odniesienia. Szukaliśmy, ale nie mogliśmy nic wypatrzeć - nic, dosłownie nic, ani obmurza paleniska, ani resztek pompy, ani nawet zagłębienia w ziemi, które wskazywałyoby, że niegdyś była tu piwnica. Został kawał zaśnieżonego pola, nic więcej. Daleko po lewej stronie stał wiatrak, mocno zniszczony i samotny. Od północy wiał leciutki wiatr, a kiedy przybierał na sile, skrzydła wiatraka obracały się powoli. Skrzypiały przy tym jak stary fotel na biegunach. Dźwięk dochodził do nas z sekundowym opóźnieniem, więc ilekroć odwracaliśmy głowy, widzieliśmy tylko zastygły bez ruchu szkielet.

Jakub próbował ustalić, gdzie co stało: stodoła, szopa na traktor, pojemniki na zboże, metalowa buda, w której ojciec przechowywał ziarno. Kręcił się jak bąk, wyciągając rękę to tu, to tam. Buty miał mokre od śniegu.

- Jakub - spytałem w końcu - po co mnie tutaj przywiozłeś?

Zażenowany obdarzył mnie nieśmiałym uśmiechem.

- Zdecydowałem, co zrobię z pieniędzmi.

- No więc, co z nimi zrobisz?.

- Chcę odkupić farmę.

- Naszą farmę? Kiwnął głową.

- Odbuduję dom, stodołę. Wszystko będzie jak dawniej.

- To niemożliwe, Jakub - odrzekłem przerażony. - Musimy stąd wyjechać.

Pies kopał w śniegu u naszych stóp i Jakub obserwował go w milczeniu. Nagle spojrzał na mnie i spytał:

- Ale dokąd, Hank? Dokąd? Wy to co innego. Ty masz Sarę, Lou ma Nancy. Ja nie mam nikogo. Chcesz, żebym wsiadł do samochodu i tak po prostu wyjechał? Sam?

- Jakub, nie możesz odkupić farmy. Ludzie zaczęliby pytać, skąd wzięłeś pieniądze.

- Moglibyśmy skłamać, powiedzieć, że Sara dostała spadek. Tu nie znają jej rodziny. Powiedziałbym, że przed wyjazdem odkupiliście farmę i kazaliście mi ją prowadzić.

Gapilem się na puste pola, na nasze ślady biegnące krzywo ku drodze i próbowałem wyobrazić sobie, jak mój brat odbudowuje dom, stawia płoty, sieje zboże. Nie wierzyłem, by kiedykolwiek mogło do tego dojść.

- Myślałem, że się ucieszysz - szepnął. - Przecież to nasz dom. Odbudowałbym go.

Zmarszczyłem brwi. Ucieszyć się? Daleko mi było do radości. Uciekałem od tej farmy przez całe życie. Zapamiętałem ją jako miejsce, gdzie wszystko się psuło i rozpadało, gdzie nic nie działało tak, jak działać powinno. Nawet wtedy stałem tam, patrzyłem na puste pole, gdzie niegdyś wznosił się mój rodzinny dom i czułem, że ogarnia mnie odraza przemieszana z poczuciem rozpaczliwej beznadziejności. Nie, nie zdarzyło się tu nic dobrego. Nigdy.

- To nie takie proste, Jakub. Zdajesz sobie z tego sprawę? Farmy się nie kupuje, farmę się tworzy. Trzeba znać się na maszynach rolniczych, na ziarnie, na nawozach sztucznych i środkach owadobójczych, na irygacji i nawodnianiu pól, na pogodzie, na podatkach. Ty się na tym nie znasz. Skończyłbyś jak ojciec.

Kiedy to powiedziałem, zdałem sobie sprawę, że potraktowałem go za szorstko. Już po sposobie, w jaki stał, mogłem stwierdzić, że go uraziłem. Głowę wtulił w mocno pochylone ramiona, ręce włożył głęboko do kieszeni spodni, unikał mojego wzroku.

- Miałem ją odziedziczyć - szepnął. - Tato mi obiecał.

Wciąż było mi wstyd. Ojciec chciał, żeby jeden z nas został farmerem, drugi prawnikiem. Ponieważ lepiej mi szło w szkole, posłał mnie do college'u. Lecz ani Jakub, ani ja nie spełniliśmy jego marzeń. Tak, zawiedliśmy go na całej linii.

- Proszę cię o pomoc - mruknął. - Dotąd nigdy cię o nic nie prosiłem, ale teraz proszę. Pomóż mi odzyskać farmę.

Nie odpowiedziałem. Nie chciałem, żeby otrzymawszy swoją dołę, został w Ashenville - nic dobrego by z tego nie wyszło - ale nie miałem pojęcia, jak mu to wytłumaczyć.

- Nie proszę o pieniądze - mówił. - Chcę tylko, żebyś rozpowiedział w mieście, że Sara dostała spadek.

- Nawet nie wiesz, czy Muller by ją odsprzedał.

- Dałbym mu tyle, że by odsprzedał.

- Nie możesz kupić innej farmy? Gdzieś na zachodzie, gdzie nikt nas nie zna?

Pokręcił głową.

- Nie o to chodzi. Chcę kupić tę farmę. Chcę mieszkać, gdzie dorastaliśmy.

- A jeśli odmówię? Rozważał to moment i wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Chyba będę musiał wymyślić coś innego.

- Jakub, nie widzisz, że to niebezpieczne? Że jeśli tu zostaniesz, narazisz nas wszystkich na poważne ryzyko? Najpewniejszy sposób to po prostu stąd zniknąć.

- Nie mogę wyjechać, Hank - odparł. - Nie mam dokąd.

- Przed tobą cały świat, Jakub. Możesz wyjechać gdzie chcesz.

- Nie chcę wyjeżdżać. Chcę zostać tutaj. - Tupnął nogą w śnieg. - Tutaj, Hank, w swoim domu.

Milczeliśmy chyba z minutę. Znowu powiał wiatr i odruchowo spojrzeliśmy w kierunku wiatraka, ale skrzydła ani drgnęły. Zbierałem się na odwagę, żeby mu odmówić, żeby powiedzieć: nic z tego, gdy nagle - jakby mnie wyczuł - podsunął mi rozwiązanie

kompromisowe.

- Nie musisz decydować w tej chwili, Hank. Obiecay tylko, że to sobie przemyślisz.

- Dobrze - odrzekłem, ciesząc się z możliwości tymczasowego odwrotu. - Przemyślę.

Dopiero gdy otwierałem furtkę - podrzucił mnie do domu - uświadomiłem sobie, dlaczego tak się ubrał i ściał włosy. Chciał mi zaimponować, chciał wyglądać na człowieka dojrzałego i odpowiedzialnego, by udowodnić, że jeśli tylko dam mu szansę, będzie tak samo dorosły jak ja. Wyobraziłem sobie, jak siedząc w swojej ciasnej, brudnej norze pastuje i poleruje buty, jak wbija się w niewygodne spodnie, jak zaciska pas, jak wkłada skarpetki, by stanąć przed lustrem w łazience i ocenić rezultat swoich poczynań. I nagle ogarnęło mnie poczucie straszliwej beznadziejności naszego życia, Jakuba i mojego, nagle zdałem sobie sprawę, jak bardzo jesteśmy sobie obcy. Sposepniałem do tego stopnia, że chciałem mu tę farmę kupić.

Wiedziałem, że nigdy jej nie kupimy, ani on, ani ja, choć szczerze tego pragnąłem. Gdy później rozmawialiśmy o tym z Sara, podzieliła moje zdanie.

- Jakub musi wyjechać, Hank. Nie może zostać. Absolutnie. - Siedzieliśmy przy kominku. Sara znowu robiła na drutach. Ona mówiła, druty miarowo pobrzękiwały i brzmiało to tak, jakby nadawała alfabetem Morse'a. - Musisz mu to wytłumaczyć.

- Wiem. Ale tam nie mogłem. Powiem mu w poniedziałek.

Pokręciła głową.

- Nie mów, dopóki nie musisz.

- Dlaczego?

- Im więcej upłynie czasu, tym mniejszą wagę będzie do tego przykładał.

Doskonale ją rozumiałem. Bała się Jakuba zrazić, zantagonizować, pchnąć go w łapy Lou. Chciałem zaprotestować, chciałem jej wytłumaczyć, że nie ma powodu się go bać, bo to ostatecznie mój brat, człowiek, któremu można zaufać. Ale natychmiast stwierdziłem, że jej nie przekonam - nie miałem konkretnych i obiektywnych argumentów, którymi mógłbym udowodnić jego wierność. Dlatego powiedziałem tylko:

- Szkoda, że nie mogę mu tej farmy kupić... Druty przestały pobrzękiwać i wyczułem, że Sara na mnie zerka.

- Hank, Jakub nie może zostać - powtórzyła. - To tak, jakbyśmy zostawili za sobą olbrzymi ślad.

- Wiem. Mówię tylko, że chciałbym mu jakoś pomóc.

- To każ mu wyjechać. Tym mu na pewno pomożesz.

- Ale co on będzie robił, Sara? Myślałaś o tym? On nie ma dokąd pójść.

- Dostanie milion dolarów. Będzie mógł pójść dokąd zechce.

- Byle nie na swoją farmę.

- Zgadza się. Byle nie na swoją farmę. I znowu zaczęła poruszać drutami.

- Zawsze podle się wobec niego czułem, nawet gdy byliśmy mali. Jakbym ciągle sprawiał mu zawód.

- On też przez te wszystkie lata niewiele dla ciebie zrobił.

Machnąłem ręką. Nie rozumiała, o czym mówię.

- Kiedyś mi imponował - wyznałem. - Do chwili, gdy poszedłem do szkoły i zobaczyłem, jak dzieciaki go dręcą, bo był gruby. Wtedy zacząłem się wstydzić, że jest moim bratem, zacząłem nim pogardzać i Jakub o tym wiedział. Wyczuł, że coś się zmieniło.

Klik-klik-klik - klikały druty.

- To normalne - skostatowała. - Byłeś małym chłopcem.

Pokręciłem głową.

- To nie to. Jakub był nieśmiałym i znerwicowanym dzieckiem...

- I wyrósł na nieśmiałego i znerwicowanego mężczyznę.

Nachmurzyłem czoło. Próbowałem wytłumaczyć jej, co do niego czułem, sprawić, by choć po części zrozumiała rozpacz, jaką odczuwałem po wizycie na rodzinnej farmie.

- Wiesz, że się moczył? - spytałem. Uśmiechnęła się sztucznie.

- Jakub?

- W siódmej klasie zaczął tracić kontrolę nad pęcherzem. Moczył się co noc. Trwało to całą zimę, do późnej wiosny. Mama nastawiała budzik, żeby na czas ściągnąć go z łóżka i zaprowadzić do ubikacji, ale to nie skutkowało.

Kilik-klik-klik. Jakby mnie nie słuchała.

- Na wiosnę chlapnąłem o tym kumplowi i niebawem wiedzieli już wszyscy, cała szkoła.

- Jakub się wściekł?

- Nie. Wstydził się i to było jeszcze gorsze. Nawet nie powiedział o tym rodzicom, dzięki czemu unikałem kłopotów. - Urwałem zamyślony. - To była najokrutniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

- Od tamtego czasu upłynęło wiele lat, Hank. Założę się, że już dawno o wszystkim zapomniał.

Niepotrzebnie jej o tym wspomniałem. Nie wyszło, nie przekazałem Sarze tego, co chciałem. A chciałem jej powiedzieć, że pragnę bratu pomóc, że pragnę zrobić dla niego coś dobrego, coś, co uczyni jego życie lepszym, niż było.

- Nieważne, co pamięta - odrzekłem.

Tej samej nocy obudził mnie cichy, miarowy warkot samochodu na podjeździe. Sara leżała na plecach obok mnie, oddychając głęboko i spokojnie. Bładozielonkawa poświata bijąca z cyferblatu elektronicznego budzika spływała na nocny stolik i na łóżko, osiadając na jej rozdętym, okrytym kocami brzuchu. Poza tym w sypialni było zupełnie ciemno.

Dochodziła za kwadrans pierwsza. Silnik samochodu pomrukujący na podjeździe zgasł.

Wyśliznąłem się z łóżka i ostrożnie podszedłem do okna. Niebo było czyste. Dokładnie naprzeciwko domu wisiał bladożółty, niemal biały półksiężyc. Między gałęziami drzew świeciły gwiazdy, jaskrawe i wyraźne niczym punkciki na czarnym aksamicie. Spojrzałem w dół. Na podjeździe, zwrócony maską w stronę domu, stał samochód Lou.

Zerknąłem na Sarę - wciąż spała, oddychając równo i cicho - przeszedłem na palcach przez pokój i wymknąłem się na korytarz.

Gdy schodziłem na dół, z podjazdu dobiegło mnie metaliczne skrzypienie powoli otwieranych drzwi. Kilka sekund później zaskrzypiały znowu, by zatrzasnąć się z cichym, stłumionym plaśnięciem.

Wyjrzałem przez wąskie okienko. Lou. Szedł bardzo ostrożnie. Miał na sobie białą panterkę i powłóczył nogami jak pijany. Nie byłem pewien, ale wydawało mi się, że w samochodzie ktoś siedzi. Lou skręcił do garażu.

Garaż - niewielka przybudówka - był po lewej stronie domu. Nie widziałem go stamtąd i po chwili Lou zniknął mi z oczu.

Nie trzymałem w domu broni. Pomyślałem o kuchennym nożu, bo tylko to przyszło mi do głowy, ale nie chciałem odchodzić od okienka w drzwiach.

Długo nie wracał. Garaż był otwarty, mógł wejść do środka, lecz nic by tam nie znalazł, a w każdym razie nic, co chciałby ukraść. Tak, w samochodzie ktoś na niego czekał, na pewno. Jeden, może nawet dwóch kolesiów...

W domu panowała głęboka cisza. Głośne tykanie kominkowego zegara w salonie akcentowało ją i wydłużało.

Chciałem zapalić światło, bo światło by ich odstraszyło, ale nie zrobiłem tego. Stałem na bosaka i drżąc z zimna - byłem tylko w piżamie - wyglądałem przez okienko. Czekałem na powrót Lou.

W końcu się pokazał, ale miast skręcić do samochodu, ruszył w stronę ganku.

Zesztywniałem, cofnąłem się dwa kroki w głąb korytarza.

Lou wszedł na ganek i zadudnił buciorami o drewnianą podłogę. Łup-łup-łup -

zabrzmiało to jak uderzenie w bęben. Ostrożnie poruszył klamką, chcąc otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz. Potem zapukał. Bardzo cicho, gdyż nie zdjął rękawiczek.

Ani drgnąłem.

Zapukał znowu, tym razem głośniejsze, bo uderzył pięścią, więc, pamiętając o śpiącej Sarze, przekręciłem klucz w zamku.

Uchyliłem drzwi na kilka centymetrów i wyjrzałem.

- Co ty tu robisz, Lou? - szepnąłem. Wyszczrzył swoje krzywe, zjedzone próchnicą zęby i oczy mu rozblęły.

- Pan księgowy! - odrzekł, udając zdziwienie. Zmarszczyłem czoło. Zareagował natychmiast: spoważniał i obrzucił mnie trzeźwiejszym spojrzeniem.

- Hank - powiedział - przyszedłem podjąć troszkę... gotówki. - I nie mogąc się powstrzymać, nagle zachichotał. Otarł usta rękawiczką. Jego oddech cuchnął alkoholem.

- Wracaj do domu, Lou. Wsiądź do samochodu i wracaj. - Przez szparę w drzwiach wpadał do środka strumień lodowatego powietrza, zalewając moje bose stopy i szczypiąc je aż do bólu.

- Zimno tu - odrzekł. - Zaproś mnie do środka.

Przywarł do futryny, a gdy się odruchowo cofnąłem, wszedł do korytarza i z rozlazłym uśmiechem na twarzy zamknął za sobą drzwi.

- Zdecydowałem, że najwyższy czas podzielić szmal. Chcę swoją dolę, Hank. - Zatarł ręce i rozejrzał się wokoło, jakby oczekiwał, że tuż za progiem znajdzie płócienną torbę wypchaną pieniędzmi.

- Pieniądzy tu nie ma, Lou.

- Są w garażu?

- Nawet gdyby tam były, to i tak bym ci ich nie dał.

Najeżył się.

- Ty je tylko przechowujesz - syknął oburzony - co wcale nie znaczy, że są twoje. Część z nich należy do mnie. - Dźgnął się palcem w pierś.

- Zawarliśmy układ, Lou - odrzekłem stanowczo. Puścił tę uwagę mimo uszu. Pochylił się na bok i spojrzał w stronę kuchni.

- Są w banku?

- Oczywiście, że nie. Ukryłem je.

- Potrzebuję trochę gotówki, Hank. I to teraz.

- Jedynym sposobem na zdobycie gotówki jest przestrzeganie warunków umowy.

- Panie księgowy - rzekł głosem łagodnym i przymilnym - bądź pan człowiekiem.

- Kto jest w samochodzie?
- W samochodzie?
- Ktoś na ciebie czeka. - Machnąłem ręką w stronę drzwi.
- Nikogo tam nie ma. Jestem sam.
- Lou, widziałem kogoś w samochodzie. To Nancy? Uśmiechnął się nieznacznie.
- Obserwowałeś mnie? - Najwyraźniej uznał, że to bardzo śmieszne, bo znowu wyszczerzył zęby.
- Nancy i kto jeszcze? Jakub?
Pokręcił głową.
- Nie, tylko Nancy. - Chyba źle mi z oczu patrzyło, bo uśmiechnął się jak dziecko przyłapano na małym kłamstewku. - Nancy i Sonny.
- Sonny Major? - Byłem zdziwiony. Nie wiedziałem, że są przyjaciółmi. Wzruszył ramionami.
- Przyjechał po forszę za czynsz, no i zaprosiliśmy go na małą wódkę. - Łypnął na mnie spođe łba. - Dlatego potrzebuję szmalu, panie księgowy. Muszę mu postawić kielicha.
- Opowiedziałeś im o samolocie?
Prychnął z oburzenia.
- Jasne, że nie. Powiedziałem, że wiesz mi trochę szmalu.
Milczałem. Dom się osiadał i cicho potrzaskiwał w ciemności.
- Proszę tylko o to, co mi się słusznie należy, nie? - Kiwał się w przód i w tył. Patrzyłem na niego i czułem, że coraz bardziej mnie wkurza. Chciałem, żeby wyszedł. Żeby wyszedł natychmiast.
- Nie musisz mi dawać wszystkiego - dodał. - Jedna paczka wystarczy. Po resztę przyjdę później.
- Jeśli poprosisz mnie o to jeszcze raz - odparłem powoli, wyraźnie i bardzo spokojnie - jutro rano spalę wszystko, do ostatniego banknotu. Jasne?
Zaświecił zębami.
- Blefujesz - szepnął. - Blefujesz.
- Poproś, to się przekonasz.
Prychnął szyderczo.
- Znam pewien sekrecik, panie księgowy. Jakub zdradził mi pewien sekrecik...
Przeszyłem go wzrokiem.
- Wiem, co przydarzyło się niejakiemu Pedersonowi.
Zmroziło mnie, zeszytniałem. Ale tylko na chwilę. Zachowałem zdumiewający

spokój. Myślałem szybko, rozważałem jedną możliwość po drugiej, lecz ani twarzą, ani ciałem nie dałem po sobie nic poznać. Jakub wygadał mu o Pedersonie. Oszołomiło mnie to. Czego jak czego, ale tego się nie spodziewałem.

- Pedersonowi?

Teraz uśmiechał się już od ucha do ucha.

- Zabiliście go, panie księgowy. Ty i Jakub.

- Za dużo pijesz, Lou. Nie wiesz, co mówisz. Pokręcił głową, nie przestając się uśmiechać.

- Nie pozwolę ci spalić pieniędzy. To tak, jakbyś ukradł mój szmal. Jeśli to zrobisz, zacznę sypać.

Zegar na kominku wybił godzinę, dźwięcznie i donośnie. Punkt pierwsza. Gdy uderzenie zegara przebrzmiało, w korytarzu zrobiło się jeszcze ciemniej i ciszej.

Przytknąłem rękę do piersi Lou, dokładnie pośrodku. Niezbyt mocno. Jakbym się o niego oparł. Spojrzeliśmy na nią, i on, i ja.

- Wracaj do domu - szepnąłem.

Znowu pokręcił głową.

- Muszę mieć te pieniądze, Hank.

Podszedłem do szafy, wymacałem kurtkę, wyciągnąłem z kieszeni portfel. Odliczyłem dwie dwudziestki. Ledwo na nie spojrział.

- Chcę całą paczkę - mruknął.

- Tych pieniędzy tu nie ma, Lou. Ukryłem je poza domem.

- Gdzie?

Pomachałem mu przed nosem banknotami.

- Bierz!

- Chcę swoją dolę, Hank.

- Dostaniesz ją latem, jak uzgodniliśmy.

- Nie. Teraz.

- Nie słuchasz mnie, Lou. Nie mogę ci dać pieniędzy, bo ich tu nie ma.

- W takim razie wrócę rano. Pójdziemy po nie razem.

- Nie tak się umawialiśmy.

- Byłoby kiepsko, gdyby ktoś wysłał do szeryfa krótki liścik sugerujący, że śmierć Dwighta Pedersona jest cokolwiek podejrzana, nie sądzisz?

Obrzuciłem go zimnym spojrzeniem. Naszła mnie nieodparta chęć sprawienia mu bólu. Chciałem mu przyłożyć, grzmotnąć go pięścią, wbić mu w gardło te jego zepsute i

powykrzywiane zęby. Chciałem skrócić mu kark.

- Bierz, co ci daję - powtórzyłem.

- Jechał, jechał i nagle spadł z mostu? - spytał drwiąco. - Ot, tak sobie? I ty w to wierzysz? - Puścił do mnie oko. - Przypadkiem tamtędy nie przejeżdżaliście? To było w Nowy Rok, z samego rana.

- Nie zrobiłbyś tego.

- Nie mam wyboru, Hank, przyparli mnie do muru. Spłukałem się, a jestem komuś winny.

- Gdybyś nas sypnął, nie dostałbyś złamanego centa.

- Nie mogę czekać do lata. Potrzebuję szmalu teraz, dzisiaj.

- Weź dwie dwudziestki. - Wyciągnąłem do niego rękę z pieniędzmi.

Pokręcił głową.

- Przyjadę rano. Musisz mi dać co najmniej paczkę. Na chwilę ogarnęła mnie panika. Ale tylko na chwilę, bo nagle znalazłem wyjście z sytuacji.

- To dzień drogi stąd. Zanim Sara nie urodzi, nie mogę wyjechać z miasta. Zawahał się nie wiedząc, czy mi uwierzyć.

- Dzień drogi stąd?

- Ukryłem je w magazynie w Michigan.

- Po jaką cholere aż w Michigan?

- Nie chciałem trzymać ich w pobliżu. Na wypadek, gdyby zaczęli nas podejrzewać.

Chciałem ukryć je jak najdalej stąd.

Widziałem, że usilnie nad tym deliberuje.

- Kiedy twoja rodzi? - spytał.

- Za dwa tygodnie.

- I wtedy pojedziemy?

- Pojedziemy. - Pragnąłem tylko jednego: żeby sobie poszedł.

- Obiecujesz?

Kiwnąłem głową.

- I wszystko podzielimy?

- Podzielimy. Na razie weź to.

Spojrzał na pieniądze. Wziął je, wepchnął do kieszeni kurtki i obdarzył mnie paskudnym uśmiechem.

- Przepraszam, że cię obudziłem.

Zrobił dwa niezdarne kroki w stronę wyjścia. Otworzyłem drzwi, a kiedy wyszedł na

ganek, natychmiast je zamknąłem i przekręciłem klucz w zamku.

Obserwowałem go przez okienko. Przystanął na schodach, wyjął z kieszeni banknoty, niespiesznie je obejrzał i chwiejnym zygzakiem ruszył przez podjazd do samochodu.

Gdy otworzył drzwi, pod sufitem rozbłysło światło i wtedy zobaczyłem dwoje pasażerów. Z przedniego siedzenia uśmiechała się do niego Nancy. Na tylnym dostrzegłem sylwetkę mężczyzny. Początkowo sądziłem, że to Sonny Major, ale ułamek sekundy później, gdy Lou zamknął drzwi i światło zgasło, ogarnęły mnie wątpliwości. Sonny Major był mężczyzną drobnym, o wiele niższym niż Lou, natomiast człowiek siedzący z tyłu sprawiał wrażenie masywnego, nawet olbrzymiego. Wyglądał jak Jakub.

Samochód wyjechał powoli z podjazdu. Lou zapalił reflektory dopiero na ulicy. Stałem przy drzwiach czując, jak stopy lodowacieją mi na zimnej podłodze, i czekałem, aż warkot silnika umilknie w oddali. Po chwili dom pogrzyżył się w ciszy.

Co robić? - myślałem. - Co robić? Nic nie przychodziło mi do głowy. Uświadomiłem sobie tylko jedno: sytuacja wymknęła się spod kontroli. Miałem kłopoty, poważne kłopoty, wyglądało na to, że jestem w kropce.

Gdy odwróciłem się, żeby wrócić do sypialni, zobaczyłem Sarę. Owinięta białym aksamitnym szlafrokiem, stała w mroku na szczycie schodów i niczym duch patrzyła na mnie.

Zaczęliśmy rozmawiać już tam, na schodach. Podeszedłem do niej i usiedliśmy na przedostatnim stopniu jak dwoje dzieci.

- Słyszałaś? - spytałem.

Położyła mi rękę na kolanie.

- Słyszałam.

- Wszystko?

- Tak.

- Jakub powiedział Lou o Pedersonie.

Ścisnęła mnie za kolano. Przykryłem ręką jej dłoń.

- Co chcesz zrobić? - spytała.

Wzruszyłem ramionami.

- Nic.

- Nic?

- Pieniędzy mu nie dam. Musi swoje odczekać. Odchyliła głowę. Czulem, że patrzy mi w twarz. Spojrzałem na frontowe drzwi.

- Nie, Hank. - Nie podniosła głosu, mimo to zabrzmiała w nim natarczywa nutka. - Jeśli nie dasz mu pieniędzy, wygada szeryfowi o Pedersonie.

- No to mu je dam.

- Nie możesz. Natychmiast przez niego wpadniemy. Zacznie szastać setkami i zwróci na siebie uwagę.

- Dobrze, w takim razie nie dam. Trzeba przyjąć, że blefuje.

- A jeśli nie?

Sfrustrowany, podniosłem głos:

- Saro, są tylko dwa wyjścia. Nic innego nie możemy zrobić.

- Jest trzecie: spalić pieniądze.

- Nie mogę. Lou nas sypnie. Skończy się na tym, że oskarżą mnie o morderstwo.

- Zrzucić winę na Jakuba. Jeżeli zwrócisz pieniądze i obiecasz zeznawać przeciwko niemu, wezmą cię na koronnego świadka i o nic nie oskarżą.

- Nie mogę mu tego zrobić.

- Spójrz tylko, co on zrobił tobie. To jego wina.

- Nie, Saro, przecież to mój brat.

Zaczęła oddychać szybciej i płycej. Ścisnąłem ją za rękę.

- Nie przypuszczam, żeby Lou chciał sypnąć - powiedziałem. - Myślę, że jeśli się uprzemy, zaczeka do lata.

- A jeśli nie?

- Wtedy będziemy mieli kłopoty. W tym całe ryzyko.

- Przecież nie możesz siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż cię sypnie.

- A co mam robić? Chcesz, żebym go zabił? Żebym zorganizował maleńki wypadek?

Według planu Jakuba?

Zmarszczyła brwi.

- Bzdura. Mówię tylko, że trzeba coś zrobić. Musimy mu zagrozić.

- Zagrozić?

- Tu chodzi o władzę, Hank, o panowanie nad sytuacją. Trzymaliśmy go w garści, bo mamy pieniądze, a teraz on trzyma w garści nas. Musimy wymyślić jakiś sposób na odzyskanie przewagi.

- Jak mu zagrozimy, będzie jeszcze gorzej. To jak podbijanie stawki w pokerze. Lou dorzuci następny szton, i po herbacie.

- Chcesz się poddać?

Zabrałem rękę i przetarłem twarz. Dom pogrążył się w absolutnej ciszy, jakby nas podsłuchiwał.

- Chcę zrobić to, co ustaliliśmy - odrzekłem. - Chcę odczekać do lata.

- Ale on wygada, Hank.

- Nic by przez to nie zyskał. Dobrze o tym wie. Gdybyśmy wylądowali w więzieniu, pieniądze by przepadły.

- I tak wszystko wygada. Z przekory, żeby ci zrobić na złość, nie rozumiesz? Wygada, bo nie chcesz słuchać jego rozkazów.

Zamknąłem oczy. Ze zmęczenia rozbolały mnie wszystkie mięśnie. Chciałem wrócić do łóżka.

- Nie, ty chyba nie rozumiesz, że to naprawdę poważna sprawa.

- Chodźmy spać, Saro.

Nie ruszyła się z miejsca.

- Lou trzyma cię teraz w garści. Musisz robić, co każe.

- Nadal mam pieniądze. Lou nie wie, gdzie są.

- Ale twoja przewaga wypływała stąd, że mogłeś je w każdej chwili spalić. Teraz już nie możesz.

- Nie powinienem był mówić Jakubowi.

- Znasz Lou. Bez wahania wykorzysta to przeciwko tobie.

- Nie wierzę, żeby mógł coś takiego zrobić.

- Nawet jeśli odczekamy, nawet jeśli podzielimy pieniądze latem, to i tak będzie miał na ciebie haka. Minie pięć, dziesięć lat, wyda wszystko co do centa i zacznie cię szukać. Zaszantażuje nas, pośle cię do więzienia.

Milczałem. Nie myślałem o Lou. Myślałem o Jakubie.

Sara znowu wzięła mnie za rękę.

- Nie możesz mu na to pozwolić. Musisz odzyskać panowanie nad sytuacją.

- Przecież nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Mówisz, żeby mu zagrozić, ale czym? Nic na niego nie mamy.

Teraz z kolei ona zamilkła.

- Wpadłaś na jakiś pomysł? - spytałem. - Masz jakiś plan?

Przeszyła mnie wzrokiem i przez chwilę myślałem, że każe mi go zabić. Ale nie, tylko pokręciła głową.

- Nie - mruknęła.

Chciałem wstać i wrócić do sypialni, gdy nagle chwyciła mnie za rękę i przyłożyła ją do swego brzucha. Dziecko kopało. Pod skórą dłoni czułem coś mrocznego i tajemniczego, czułem miękkie ciepło bijące z jej ciała. Trwało to ledwie kilka sekund.

- Wszystko będzie dobrze - szepnąłem, gdy dziecko się uspokoiło. - Zaufaj mi. Jakoś

to przeżyjemy.

Tak mówią ludzie usidleni, ludzie tkwiący w potrzasku; zdałem sobie z tego sprawę, jak tylko otworzyłem usta. Niemal tymi samymi słowami zegnała mnie matka, kiedy widziałem ją ostatni raz. Było w tym coś fałszywego i odważnego zarazem, jakbym zamknął oczy i zatkał sobie uszy, jakbym próbował zbagatelizować grożące nam niebezpieczeństwo. Zły znak. Kierowany wewnętrznym przymusem, chciałem jej o tym powiedzieć, ale po sposobie, w jaki przyciskała moją dłoń do brzucha, po kurczowym, natarczywym uścisku jej ręki zrozumiałem, że Sara o tym wie. Wpadliśmy w kłopoty. Zaczęliśmy tę grę z tupetem i z naiwną pewnością siebie, a teraz, bezradni i rozgoryczeni, przegrywaliśmy pierwszą rundę.

- Boję się, Hank - szepnęła.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzyłem i tym razem poczułem się głupio. Lecz cóż innego mogłem jej powiedzieć?

Nazajutrz rano wstałem wcześniej niż zwykle. Ubrałem się w holu, a zęby wymyłem na dole, żeby nie budzić Sary. W kuchni zaparzyłem kawę i sącząc ją niespiesznie, przejrzałem gazetę z poprzedniego dnia.

Potem pojechałem do Jakuba.

Zaparkowałem naprzeciwko sklepu żelaznego, za jego półciężarówką. Ranek był piękny, zimny, rześki i bezchmurny, a miasto sprawiało wrażenie czystego i zadbanego: pasiasta markiza sklepu spożywczego, żywa i kolorowa, srebrzyste słupki parkometrów, flaga trzepocząca na dachu ratusza. Było stosunkowo wcześnie, dochodziła ósma, lecz Ashenville już się obudziło. Ludzie wychodzili z domów, dokądś spieszyli, skądś wracali, niosąc pod pachami zwinięte gazety, a w rękach kubki z parującą kawą. Zdawało się, że wszyscy się do siebie uśmiechają.

Jakub jeszcze spał, jak przypuszczałem. Załomotałem w drzwi, odczekałem chwilę, znowu załomotałem i dopiero wtedy dobiegło mnie człapanie jego kroków. W końcu uchylił drzwi, zobaczył mnie i wyglądało na to, że mój widok nie bardzo go cieszy. Stał, opierając się o klamkę i głęboko rozczarowany mrużył oczy w blasku światła bijącego z korytarza. Potem mruknął coś, co zabrzmiało jak „Sie masz”, odwrócił się i chwiejnym krokiem poczłapał w głąb swojej mrocznej nory.

Wszedłem do środka i zamknąłem drzwi. Oczy przywykły do ciemności dopiero po kilku sekundach. Mieszkanie było ciasne, duszne i przytłaczające. Składało się z jednego kwadratowego pokoiku z nagą podłogą. Po lewej stronie - drzwi do maleńkiej łazienki. Tuż obok - sześćdziesięciocentymetrowej głębokości wnęka w ścianie służąca Jakubowi za kuchnię. Po prawej stronie stało łóżko, stół, dwa krzesła, stara, zapadnięta wersalka i

telewizor. Na wersalce walały się brudne ubrania. Na podłodze - butelki po piwie.

Cuchnęło ubóstwem. Gdy byłem tu pierwszy raz, zrobiło mi się niedobrze.

Brat opadł na łóżko brzuchem do góry. Sprężyny jęknęły pod jego ciężarem. Miał na sobie kalesony i podkoszulek. Kalesony przylegały groteskowo do miękkich, grubych ud, a podkoszulek odsłaniał dobrych dziesięć centymetrów skóry na brzuchu. Była biała, pomarszczona i obscenicznie sflaczała. Nagle zapragnąłem, żeby okrył się kocem.

Podkreśliłem żaluzje w dwóch oknach, dzięki czemu do nory wpadło trochę światła. Jakub zamknął oczy. Powietrze było gęste od kurzu, którego drobinki szybowwały w ukośnych promieniach słońca niczym płatki śniegu. Chciałem usiąść, ale zerknąwszy z odrazą na wersalkę, zmieniłem zamiar. Oparłem się o parapet i skrzyżowałem ręce na piersi.

- Co robiłeś dzisiaj w nocy? - spytałem.

W nogach łóżka warował Mary Beth. Postawił ucho i obserwował mnie jednym okiem.

Natomiast Jakub miał oczy zamknięte. Wzruszył ramionami i odrzekł: A nic. - Głos miał chrapliwy z niewyspania.

- Wychodziłeś gdzieś?

Znowu wzruszył ramionami.

- Z Lou?

- Nie. - Zakaszłał i odchrząknął. - Jestem przeziębiony. Nigdzie nie wychodziłem.

- Widziałem Lou. Jakub naciągnął na siebie koc i nie otwierając oczu, przewrócił się na bok.

- Przyjechał do mnie - dodałem. - Do domu. Wreszcie otworzył oczy.

- No i?

- Była z nim Nancy i ktoś jeszcze. Myślałem, że ty. Nie odpowiedział.

- Byłeś tam? W samochodzie?

- Przecież ci mówiłem. - Zabrzmiało to tak, jakby chciał, żebym się od niego odczepił.

- Nie widziałem go. Jestem chory.

- Nie kręcisz? Podparł się łokciem.

- Daj spokój, Hank. Dlaczego miałbym kręcić?

- Był tam Sonny?

- Sonny?

- Sonny Major. To on siedział w samochodzie?

- Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? - Opadł na poduszkę, ale ochota na sen zdecydowanie mu przeszła. Po jego głosie poznałem, że nareszcie się obudził.

- Są przyjaciółmi?
- No jasne. Sonny wynajmuje mu chałupę.
- Często razem wychodzą?
- Nie wiem - wychrypiał zmęczony. - Czemu mieliby nie wychodzić?
- Sonny wie o pieniądzach?
- O pieniądzach?
- Tak, o pieniądzach! - wrzasnąłem rozwścieczony.

- Lou mu o nich powiedział? Ktoś zastukał w ścianę. Obaj zamarliśmy. Po chwili Jakub usiadł na łóżku, spuścił nogi na podłogę i oparł łokcie na kolanach. Patrzyłem na jego bosa stopy. Ich wielkość zawsze mnie szokowała. Wyglądem przypominały dwa czerwonawe, oskubane z piór kurczaki.

- Spokojnie, Hank, odpręż się, wyluzuj. Dostajesz paranoi. Oprócz nas, Sary i Nancy nikt o niczym...

- Sara nie wie.

Spojrzał na mnie i znowu wzruszył ramionami.

- W takim razie oprócz nas i Nancy.

Pies zląkł z łóżka, przeciągnął się, podreptał do łazienki, zniknął za drzwiami i zaczął chleptać wodę z muszli klozetowej. Milczeliśmy, dopóki nie skończył.

- Zabiłem go dla twojego dobra, Jakub. Drgnął, wyprostował się.

- Co?

- Zabiłem go dla twojego dobra.

- Kurwa mać, dlaczego to ciągle powtarzasz? I właściwie co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że ja dla ciebie ryzykowałem, a ty odwracasz się do mnie plecami. Zdradziłeś mnie, Jakub.

- Ja? Ciebie?!

- Powiedziałaś Lou, gdzie ukryłem pieniądze.

- Co cię, kurwa, dzisiaj napadło, Hank?

- Wiedział, że są w garażu.

Zamilkł. Pies wyszedł z łazienki, postukując pazurami w podłogę.

- Nie zabroniłeś, to powiedziałem - wymamrotał Jakub.

- O Pedersonie też mu powiedziałeś - dodałem cicho i bardzo spokojnie.

- Nie...

- Zdradziłeś mnie, braciszku. Przyrzekłeś, że nie powiesz.

- Nic mu nie powiedziałem. Strzelał na oślep, podpuścił cię. Mnie też.

- Jakim cudem mógł się czegoś takiego domyślić?

- Opowiedziałem mu o naszej wycieczce do samolotu. Właśnie oglądał dziennik i spytał: „Zabiliście go?”

- Zaprzeczyłeś?

Spuścił wzrok.

- Nie powiedziałem mu.

- Ale nie zaprzeczyłeś, tak?

- On się domyślił, Hank - odrzekł niecierpliwie. - Po prostu domyślił się, i tyle.

- No to pięknie, bo teraz mnie szantażuje.

- Szantażuje cię?

- Chce swoją dolę. Teraz. Zaraz. Jeśli odmówię, zacznie sypać.

Dumał chwilę.

- No i co? Dasz mu szmal?

- Nie mogę. Zacząłby szastać setkami po całym mieście. Równie dobrze mógłby od razu pójść do Jenkinsa.

- Naprawdę myślisz, że by nas przypuconował?

- A ty?

Zmarszczył czoło.

- Nie wiem. Chyba nie. Wszystko przez to, że zaczął ostatnio grać i krucho stoi z forszą.

- Grać? Hazardowo?

Kiwnął głową.

- Gdzie? - Nie wiadomo dlaczego myśl, że Lou jest nałogowym hazardzistą, wydała mi się absurdalna.

- W Toledo, na wyścigach. Trochę przegrał.

- Ile?

Wzruszył ramionami.

- Trochę. Nie wiem dokładnie ile.

Potarłem rękami twarz.

- Cholera - mruknąłem i spojrzałem w okno. Na parapecie siedział nastroszony gołąb. Postukałem w szybę i odleciał, błysnąwszy w słońcu skrzydłami.

- Czy ty rozumiesz, co się dzieje, Jakub?

Milczał.

- Lou może nas wpakować do więzienia.

- Lou nie...

- I nie mamy na niego żadnego haka. Przedtem mogliśmy mu zagrozić spaleniem pieniędzy, ale już nie możemy. Jeśli je spalimy, wszystko wygada.

- Przecież nigdy byś ich nie spalił, Hank. Niecierpliwie machnąłem ręką.

- Wiesz, w czym tkwi cały problem? W tym, że ty mu ufasz. Jest twoim najlepszym przyjacielem, więc myślisz, że cię nie zdradzi.

- Jak pragnę zdrowia, Hank, Lou nigdy by...

- Nie zachowujesz dystansu, oceniasz go bardzo subiektywnie i nie wiesz, jaki jest naprawdę.

- A ty pewnie wiesz, co? To może mi powiesz? Może mnie oświecisz?

- Mogę ci tylko...

Nie pozwolił mi dokończyć.

- Lou jest moim najlepszym przyjacielem, Hank. - Był zły, podniósł głos. - Nic o nim nie wiesz. Kilka razy widziałeś go wlanego i myślisz, że już go znasz. Ucho od śledzia. To dla ciebie obcy człowiek.

Popatrzyłem mu w oczy.

- Możesz zagwarantować, że nas nie wsypie?

- Jak to zagwarantować?

- Przyznasz się na piśmie do zabójstwa Dwighta Pedersona? Zeznasz, że zamordowałeś go sam? Dasz mi ten dokument na przechowanie?

Struchlał.

- Przyznać się na piśmie? Po co?

- Żebym mógł to pokazać policji, jeśli Lou nas wyda.

Odebrało mu mowę. Moja propozycja go przeraziła i o to mi właśnie chodziło. Tak naprawdę wcale nie chciałem, żeby cokolwiek pisał. Próbowałem go tylko nastraszyć, wytrącić ze stanu błogiego samozadowolenia.

- To twoja wina, Jakub, to przez ciebie siedzimy w tym bagnie. To ty mu powiedziałeś.

Odczekałem chwilę, ale ponieważ wciąż milczał, znowu spojrzałem w okno.

- Lou chce ode mnie coś, czego mu nie mogę dać. Jeśli odmówię, pójdzie na policję. I pośle nas za kratki.

- Przestań, Hank. To przez ciebie wpadniemy. Tak, przez ciebie. Dostajesz zajoba, ciągle się tym gryziesz, ciągle...

- Przyszedłem do ciebie, żeby ustalić, po czyjej stronie, Jakub.

- Jak to po czyjej stronie?

- Musisz wybierać.

- Jestem po niczyjej stronie. Obaj gadacie o tych stronach...

- Lou też kazał ci wybierać?

Zignorował pytanie.

- Jestem i po twojej, i po jego stronie, jasne? Musimy trzymać się razem. Taki był plan.

- Ale gdybyś miał wybierać...

- Nie zamierzam nic wybierać.

- Mimo to chciałbym wiedzieć, Jakub: jesteś po mojej czy po jego stronie?

Wciąż patrzyłem w okno, ale czułem, że jest skonsternowany, spanikowany. Poruszył się niespokojnie na łóżku. Łóżko zatrzeszczało.

- Jestem...

- Wybieraj, Jakub.

Nie odpowiadał co najmniej przez dziesięć sekund. Wstrzymałem oddech i czekałem odwrócony do niego tyłem.

- Wybrałbym ciebie, Hank - odrzekł wreszcie. - Jesteś moim bratem.

Oparłem się czołem o szybę. Szkło było zimne, szczypało mnie w skórę. Na ulicy, dokładnie pod oknem, jakiś starzec upuścił gazetę i porwał ją wiatr. Mijająca go para pomogła mu ją zbierać. Rozmawiali chwilę. Starzec kiwał głową, dziarsko i energicznie. Zaczęli się żegnać. Widziałem jego usta. „Dziękuję”, mówiły. „Dziękuję”.

Mary Beth ziewnął i usłyszałem, jak brat klepie go po brzuchu.

- Pamiętaj, Jakub. - Szyba zaparowała od mojego oddechu. - Cokolwiek by się działo, zawsze o tym pamiętaj!

We wtorek po południu ktoś zapukał do drzwi gabinetu. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, drzwi się uchylily i wychynęła zza nich głowa Lou. Wyszczerył do mnie zęby, krzywe, żółtawe i ostre, jak zęby szczura.

- Sie masz, panie księgowy. - Wszedł do środka, zamknął drzwi, podszedł do biurka, ale nie usiadł. Był w białej kurtce i w roboczych buciorach. Twarz miał zaróżowioną z zimna.

O tej chwili marzyłem od trzech dni, lecz gdy w końcu nadeszła, nie odczuwałem ani strachu, ani złości. Po prostu ogarnęło mnie znużenie.

Westchnąłem wiedząc, że przyszedł po coś, czego nie mogłem mu dać.

- Czego chcesz?

- Pieniądzy, Hank.

Tylko tyle. Nie groził, nie wspomniał ani o Pedersonie, ani o Jakubie, lecz czułem, że nie wypowiedziane słowa wiszą w powietrzu jak intensywny zapach.

- Już ci mówiłem...

Przerwał mi niecierpliwym machnięciem ręki.

- Nie o to chodzi. Chcę cię prosić o pożyczkę.

- O pożyczkę?

- Zwrócę, jak tylko podzielimy szmal.

Zmarszczyłem brwi.

- Ile?

- Dwa tysiące. - Chciał się do mnie uśmiechnąć, lecz natychmiast wyczuł, że to kiepski pomysł, i się powstrzymał.

- Dwa tysiące dolarów?

Poważnie skinął głową.

- Po co ci tyle pieniędzy?

- Mam długi.

- Wisisz komuś dwa tysiące dolarów? Komu? Nie odpowiedział.

- Ta forsa jest mi naprawdę potrzebna, Hank. To poważna sprawa.

- Spłukałeś się na wyścigach? Drgnął zaskoczony, że znam jego sekret, ale po chwili wykrzesał z siebie krzywy uśmiech.

- Mam od groma długów.

- Przegrałeś dwa tysiące?

Pokręcił głową.

- Trochę więcej. - Puścił do mnie oko. - Te dwa patyki to tylko zaliczka, dowód dobrej woli, kapujesz? Żeby tamci zaczekali, aż dostanę swoją dołę.

- Ile przegrałeś?

- Na razie wystarczą mi dwa tysiące.

- Chcę wiedzieć, ile przegrałeś.

Znowu pokręcił głową.

- To chyba nie pański interes, panie księgowy, co nie? - Stał naprzeciwko biurka z rękami w kieszeniach kurtki.

- Nie noszę przy sobie takich pieniędzy - odrzekłem. - Z szuflady też ich nie wyciągnę.

- Po drugiej stronie ulicy jest bank.

- Nie! Muszę mieć trochę czasu. Przyjdź pod koniec dnia.

Po jego wyjściu poszedłem do banku i podjąłem dwa tysiące dolarów z naszego małżeńskiego konta. Przyniosłem pieniądze do biura, wsadziłem je do koperty, kopertę zakleiliśmy i wrzuciłem do szuflady.

Usiłowałem pracować, ale dzień miałem z głowy; nie potrafiłem się na niczym skoncentrować. Rysowałem coś machinalnie na marginesach listów, przeczytałem magazyn myśliwski zapominalskiego klienta.

Zdawałem sobie sprawę, że jeśli dam mu tę kopertę, będę musiał podzielić pieniądze z samolotu - tylko w ten sposób mógłby zwrócić dług. Doskonale to rozumiałem, lecz próbowałem przed sobą udawać, że nie o to w tym wszystkim chodzi. Wmówiłem sobie, że za te dwa tysiące dolarów kupię potrzebny mi czas. Byłem przekonany, że musi istnieć jakieś wyjście, że na pewno bym je znalazł, gdybym tylko mógł spokojnie się skupić. Tak, musiałem pomyśleć. Musiałem ten problem dokładnie przeanalizować.

Lou przyszedł przed piątą. Zapukał do drzwi i znowu wszedł, nim zdążyłem go zaprosić.

- Masz? - Wyglądało na to, że bardzo się spieszy, więc zareagowałem z celową opieszałością.

Powoli otworzyłem szufladę, wyjąłem kopertę i położyłem ją na krawędzi biurka.

Podszedł bliżej, wziął kopertę, rozerwał ją niecierpliwie i poruszając wargami, zaczął liczyć banknoty. Policzywszy, uśmiechnął się do mnie.

- Dzięki, Hank. Jestem ci wdzięczny - powiedział, jakbym pożyczał mu pieniądze dobrowolnie.

- Dostaniesz więcej, Lou.

Przeliczył wszystko jeszcze raz. Odniosłem wrażenie, że coś tam sobie kalkuluje.

- Kiedy Sara rodzi? - spytał.

- Dwudziestego czwartego.

Twarz mu pojaśniała.

- W przyszłym tygodniu?

- W niedzielę.

- I pojedziemy po pieniądze?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie od razu. Będę musiał odczekać kilka dni, aż wszystko się uspokoi. Poza tym w grę wchodzi tylko weekend. Nie mogę zrywać się z pracy.

Ruszył do drzwi.

- Zadzwonisz?

- Tak. - Westchnąłem. - Zadzwonię.

Sarze o tym nie powiedziałem.

Upływał dzień za dniem. Nadeszła niedziela dwudziestego czwartego. Nadeszła i minęła. Przez ten czas nie rozmawiałem ani z Jakubem, ani z Lou, nawet ich nie widziałem. Sara gadała bez przerwy o porodzie. Ani razu nie wspomniała o Lou czy o Nancy.

Nocami leżałem w łóżku i liczyłem ludzi, którzy znali naszą tajemnicę. Analizowałem ich słabe strony, wyobrażałem sobie, jak to by było, gdyby mnie sypnęli, gdyby próbowali mnie oszukać, obrabować czy w jakikolwiek inny sposób zranić. Zaczęli mi się nawet śnić: Lou tłukł mnie wałkiem do ciasta, Jakub dźgał nożem i widelcem, chcąc pożreć mnie żywcem, Nancy całowała Sarę, szepecząc jej do ucha: „Otruj go. Otruj go. Otruj go”.

Budziłem się w środku nocy i wyobrażałem sobie puszkę po piwie, którą Lou zostawił na skraju sadu w parku Andersa. Oczyma duszy widziałem, jak znajduje ją agent FBI, jak ją podnosi - w gumowych rękawiczkach, oczywiście - jak wrzuca puszkę do plastikowej torebki, by odesłać ją do laboratorium. Albo myślałem o Carlu: siedział w swoim biurze w Ashenville i czekał, aż ktoś odkryje wrak, by następnie skojarzyć doniesienie Jakuba - to o spadającym samolocie - z tragiczną śmiercią Pedersona pod mostem na Anders Greek.

Zrobiliby ekshumację zwłok, wykopaliby je, pokroiliby na kawałki, dokładnie zbadali, i koniec.

Dziwne, ale nic takiego się nie stało. Pieniądze leżały spokojnie w torbie pod łóżkiem. Nikt mnie o nic nie podejrzewał. Nikt przeciwko mnie nie spiskował. Lou mnie nie nachodził. I stopniowo przywykłem do tego nowego życia. Zdałem sobie sprawę, że ciągły lęk to nic takiego, że można go znieść. Wiedziałem też, że strach długo nie potrwa. Lada dzień miało urodzić się nasze dziecko. Wtedy stawię czoło Lou, Wtedy sprawdzę, kto kogo przetrzyma. Na wiosnę znajdą wrak samolotu. Kilka miesięcy później podzielimy łup i wyjedziemy z miasta.

I wszystko się skończy.

Wczesnym rankiem dwudziestego ósmego stycznia, tuż przed moim wyjściem do pracy, Sara dostała skurczów. Zawiozłem ją do szpitala położonego po drugiej stronie miasta, ledwie o kwadrans drogi od naszego domu, i czternaście minut po szóstej tego samego wieczoru urodziła dziewczynkę.

Rozdział 5

Cztery dni później przywiozłem je do domu, Sarę i dziecko. Dziecko było zdrowe i różowiutkie. Ważyło cztery kilogramy, miało kilka podbródków i ramiona zakończone pulchniutkimi dłońmi.

W drodze do domu postanowiliśmy nazwać córkę Amanda, po babce Sary ze strony ojca.

Byłem przerażony, że podczas krótkiej nieobecności Sary tak bardzo zapaściłem dom. Żenowało mnie, że będąc sam, nie zdołałem utrzymać go w czystości. W zlewie piętrzył się stos brudnych naczyń, we wszystkich pokojach wałały się gazety, odpływ wanny był zatkany kłakiem mokrych włosów.

Od razu zaprowadziłem je na górę, do sypialni. Amandę położyłem do kołyski przy oknie. Sara obserwowała mnie z łóżka. Dziecko leżało w tej samej kołysce, którą podrzucił nam ojciec na tydzień przed wypadkiem. Przed laty leżeliśmy w niej my, ja i Jakub; ojciec zrobił ją własnoręcznie.

Zszedłem na dół, żeby przygotować Sarze herbatę i grzanekę. Przyniosłem wszystko na tacy. Żona jadła i rozmawialiśmy. Oczywiście o Amandzie: o tym, jak płacze, gdy jest głodna, o tym, jak wierzga nóżką, gdy połaskotać ją w stopę, o przejrystym błękitcie jej oczu. Rozmawialiśmy też o szpitalu: o złośliwej pielęgniarce z nocnej zmiany, której buty wydawały piszcząco-chlupoczące odgłosy, gdy wędrowała ciemnymi korytarzami, o pielęgniarce ze zmiany dziennej, która unikała wymawiania imienia Sary, bo koszmarnie sepłeniła, o lekarzu ze szparą między przednimi zębami, który brał Amandę za chłopca.

Sara mówiła, ja stałem przy kołysce i obserwowałem śpiące dziecko. Amanda leżała na plecach, z główką zwróconą w stronę okna i z mocno zaciśniętymi powiekami, jakby patrzyła w niebo. Jej małe piąstki spoczywały przy ramionach. Nie poruszała się. Cały czas miałem ochotę jej dotknąć i sprawdzić, czy nie umarła.

Sara wypła herbatę i zjadła grzanekę. Wciąż gadała i gadała, jakby przez te cztery dni nie robiła nic innego, tylko układała szczegółowy plan sprawozdania z pobytu w szpitalu. Uśmiechałem się, potakiwałem, zachęcałem do mówienia, gdy nagle urwała.

- Czy to Jakub? - spytała.

Wyjrzałem przez okno.

Na podjazd wtaczała się rozklekotana półciężarówka mojego brata.

Powitałem go w drzwiach i zaprosiłem do środka, ale nie miał czasu. Przyniósł

prezent dla dziecka, coś owiniętego w różową bibułę. Wręczył mi to szybko i z wyraźnym zażenowaniem.

- To pluszowy miś - wyjaśnił.

Nawet nie wyłączył silnika. Mary Beth obserwował nas z przedniego siedzenia. Zaszczekał na mnie i grzmotnął nosem w szybę, zostawiając na niej moką, rozmazaną plamę.

- Wejź, zobaczysz małą - powiedziałem. - Tylko na chwilę. Leży na górze.

Pokręcił głową, zrobił krok do tyłu, jakby się bał, że wciągnę go za próg, i stanął na samej krawędzi pierwszego stopnia schodów prowadzących na ganek.

- Nie, może kiedy indziej. Nie chcę sprawiać kłopotu Sarze.

- To żaden kłopot, chodź. - Przełożyłem misia z ręki do ręki.

Jakub znowu pokręcił głową i zapadła niezręczna cisza, bo nie wiedział, co powiedzieć na pożegnanie.

- Wybraliście już imię? - spytał w końcu.

- Tak. Amanda.

- Ładne.

- Po babce Sary. Po łacinie znaczy „warta miłości”.

- Naprawdę ładne. Podoba mi się.

- Na pewno nie chcesz wejść na górę?

- Nie, innym razem. - Zszedł ze schodów, lecz nagle przystanął. - Hank - wyjąkał - chciałem... chciałem... - Urwał i zerknął w kierunku półciężarówki.

- No?

- Mógłbyś mi pożyczyć trochę forsy?

Zmarszczyłem czoło i znowu przełożyłem misia z ręki do ręki.

- Ile?

Wsunął ręce do kieszeni i zaczął oglądać czubki swoich butów.

- Tak ze sto pięćdziesiąt...

- Sto pięćdziesiąt dolarów?

Kiwnął głową.

- Po co ci tyle pieniędzy, Jakub?

- Muszę zapłacić czynsz. Zasilek dostanę dopiero w przyszłym tygodniu, a tak długo nie mogę czekać.

- Kiedy oddasz?

Wzruszył ramionami.

- Miałem nadzieję, że zwrócę ci, jak dostanę swoją dołę.

- Czy ty w ogóle próbujesz znaleźć jakąś robotę? To pytanie trochę go zaskoczyło.

- Nie.

- Nawet nie szukasz, prawda? - Nie zdołałem zapanować nad głosem i zabrzmiało to tak, jakbym go potępiał.

- A po co? - Zniżył głos do szeptu. - Lou powiedział, że zgodziłeś się na wcześniejszy podział.

Wbiłem wzrok w jego pierś, rozważając, co odpowiedzieć. Doszedłem do wniosku, że prawdy mu nie zdradzę, bo natychmiast poleciałby z tym do Lou, a na rozmowę z jego przyjacielem nie byłem jeszcze przygotowany. Z drugiej strony, gdybym zełgał, nie mógłbym odmówić pożyczki. Półciężarówka warczała i prychała na podjeździe, wyrzucając kłęby niebieskawego dymu. Sąsiednie domy były tak ciche i spokojne, że robiły wrażenie opuszczonych. Był dzień wywozu śmieci i wzdłuż krawężnika stał rząd plastikowych pojemników.

- Zaczekaj - powiedziałem. - Książeczkę czekową mam na górze.

Podczas gdy stałem przy toalecie, wypisując czek dla Jakuba, Sara rozpakowywała prezent. Dziecko spało w kołysce.

- Używany - szepnęła z nutką oburzenia w głosie.

Podszedłem bliżej i spojrzałem na pluszowego misia. Na pierwszy rzut oka nic na to nie wskazywało - nie brakowało mu oka, nie był ani poplamiony, ani porwany, z dziur nie wystawały kłaki brudnej waty - lecz nie ulegało wątpliwości, że ma jakiś dziwnie zmiętoszony wygląd. Faktycznie, miś był stary, używany. Miał ciemnobrązowe, niemal czarne futerko, a z pleców sterczał mosiężny kluczyk.

Sara przekreśliła go kilka razy. Z piersi misia zabrzmiała cicha muzyka, a męski głos zaintonował:

Frere Jacques, Frere Jacques

Dormez-vous? Dormez-vous?"

Gdy to usłyszałem, od razu zrozumiałem, dlaczego zabawka sprawia wrażenie używanej.

- To jego miś - skonstatowałem.

- Jakuba?

- Ma go od dziecka.

Głos był płaski, stłumiony grubym futerkiem, przez co dochodził jakby z oddali.

Frere Jacques, Frere Jacques,

Dormez-vous? Dormez-vous?

Sonnez les matines. Sonnez les matines.

Ding, dang, dong. Ding, dang, dong.

Sara jeszcze raz otaksowała misia krytycznym spojrzeniem. Muzyka powoli cichła - każdy dźwięk wydłużał się, jakby miał być ostatnim - lecz nie milkła.

- W sumie to bardzo miło z jego strony, nie sądzisz? - Powąchała zabawkę.

Wziąłem różową bibułę i wepchnąłem ją do kosza na śmiecie przy łóżku.

- Ciekawe, gdzie go przez te wszystkie lata trzymał.

- Wejdzie na górę?

- Nie - odrzekłem, idąc do drzwi. - Spiesz się. Sara nakręciła misia jeszcze raz.

- Dla kogo ten czek?

- Dla Jakuba - rzuciłem przez ramię, wychodząc na korytarz.

- Chce pożyczyć?

Nie odpowiedziałem.

Gdy wracałem, Amanda się rozplakała. Zaczęła cichutko - brzmiało to jak coś między kaszlem a szczebiotaniem pisklaka - lecz gdy wszedłem do sypialni, nagle - jakby sterowana klamką w drzwiach, która szybko przekręciłem - rozbeczała się na cały regulator.

Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do łóżka. Gdy ją podnosiłem, zesztyniała jak kołek, jej twarzyczka spurpurowiała i Amanda ryknęła tak głośno, jakby zaraz miała eksplodować. Wciąż mnie dziwiło, że jest taka ciężka; nie przypuszczałem, że dziecko może tyle ważyć. Poza tym była jakaś taka jakby napompowana wodą. Głowę miała olbrzymią i okrągłą; zdawało się, że stanowi pół ciała.

Sara wyciągnęła do mnie ręce i z bolesnym wyrazem twarzy wzięła ode mnie dziecko.

- Ciii - szepnęła. - Ciiicho, Amando, ciiicho.

Pluszowy miś siedział zwrócony pyszczkiem do szczytu łóżka i wyciągał do nich swoje małe czarne łapki, jakby i on chciał pocieszyć płaczącego oseska. Sara ułożyła dziecko na zgięciu łokcia, wolną ręką rozpięła piżamę i odsłoniła lewą pierś.

Odwróciłem się, podszedłem do kołyski i wyjrzałem przez okno. Widok żony karmiącej Amandę był dla mnie krepujący. To, że dziecko wysysa z niej życiodajny płyn, wydawało mi się koszarne, nienaturalne i przerażające; przywodziło na myśl tłustą pijawkę.

Patrzyłem na pusty podjazd. Ciężarówka Jakuba już zniknęła. Dzień był piękny i spokojny, niczym zimowa pocztówka. Lód lśnił w słońcu jak brylanty, na bielutkim śniegu kładły się grube cienie drzew. Rynna na garażu ugięła się pod ciężarem sopli i postanowiłem sobie, że je przy najbliższej okazji strącę.

Przeniosłem wzrok wyżej i na samym szczycie garażu dostrzegłem czarną sylwetkę sporego ptaka. Moja ręka odruchowo powędrowała do czoła.

- Na dachu siedzi wrona - mruknąłem.

Sara nie odpowiedziała. Rozmasowałem skórę nad brwiami. Była idealnie gładka, rana nie zostawiła najmniejszej blizny. Dziecko zawzięcie ssało pierś, posapując przy tym i cmokając.

Żona odezwała się mniej więcej po minucie.

- Hank?

Obserwowałem wronę. Skakała po zaśnieżonym szczycie dachu: tam i z powrotem, tam i z powrotem.

- Tak?

- W szpitalu obmyśliłam plan.

- Plan?

- Dzięki któremu Lou nic nie wygada.

Odwróciłem się. Mój obramowany słońcem cień legł na podłodze jak cień olbrzyma z głową tak monstrualnie rozdętą, że przypominała gigantyczną dynię.

Sara pochylała się nad dzieckiem. Wysoko uniesione brwi, rozszerzone nozdrza, rozchylone usta, odsłonięte zęby - uśmiechała się do małej sztucznym uśmiechem. Amanda nie zwracała na matkę najmniejszej uwagi i z uporem maniaka pompowała w siebie mleko. Sara zerknęła na mnie i natychmiast spowaźniała.

- Jest trochę głupawy, ale jeśli dobrze to rozegramy, może wypalić.

Usiadłem w nogach łóżka. Sara spuściła oczy i czubkami palców pogładziła dziecko po policzku.

- Tak, tak - szepnęła. - Jesteśmy małą, głodną dziewczynką, prawda?

Cmok-cmok-cmok - zacmokała w odpowiedzi Amanda.

- No to mów - zachęciłem.

- Lou musi przyznać się do zabójstwa Pedersona, a ty to musisz nagrać.

Wytrzeszczyłem oczy.

- O czym ty mówisz?

- O moim planie. Tym sposobem zamkniemy mu usta. - Uśmiechnęła się do mnie bardzo z siebie zadowolona.

- To ma być śmieszne?

- Oczywiście, że nie - odrzekła zdziwiona.

- Dlaczego miałby przyznawać się do czegoś, czego nie zrobił?

- Zaprosicie go z Jakubem na wódkę. Potem zawieziecie go do domu i zaczniecie żartować, udawać, że jesteście na policji i przyznajecie się do morderstwa.

Będziecie to robić kolejno, najpierw ty, potem Jakub, na końcu Lou. Wtedy włączysz magnetofon i go nagrasz.

Założyłem, że w tym, co powiedziała, musi tkwić jakaś logika i przez chwilę próbowałem się jej doszukać.

- To szaleństwo - skonstatowałem w końcu. - Nie ma cudów, takie coś nigdy nie wypali.

- Jakub ci pomoże. W tym cała rzecz, nie rozumiesz? Jeśli Jakub go zachęci, Lou na to pójdzie.

- Nawet jeśli pójdzie, w co bardzo wątpię, nic by to nie zmieniło. Kto by w tę bzdurę uwierzył?

- Nieważne. Grunt, że zdobylibyśmy coś, czym można go postraszyć. Nagrasz go, puścisz mu taśmę, a wtedy na pewno nie sypnie.

Amanda przestała ssać. Sara wzięła ze stolika kuchenny ręcznik, zarzuciła go sobie na ramię, przytuliła dziecko tak, by mu się odbiło. Pierś zasłoniła połą piżamy, ale się nie zapięła.

Tę piżamę dałem jej na gwiazdkę; Sara miała wtedy sporawy brzuch, dlatego dotąd jej nie nosiła. Biała flanela w maleńkie zielone kwiatki; kupiłem ją w Toledo, doskonale to pamiętałem. Pamiętałem, jak w wigilię wkładałem ją do pudełka, jak nazajutrz rano je otwierała, jak przykładła piżamę do wzdętego brzucha, ale zdawało się, że od tamtego czasu upłynęły całe wieki. Tak, od tamtych chwil tak bardzo się od siebie oddaliliśmy, tyle się wydarzyło - zełgałem, ukradłem, zamordowałem człowieka - że przeszłość, tak bliska w sensie czasowym, stała się przeszłością odległą i kompletnie nieodwracalną. Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że od tamtego momentu dzieli nas prawdziwa przepaść, że my, Sara i ja, rozpakowujący prezenty pod choinką przy płonącym kominku i my, knujący plany szantażu, by nastraszyć Lou i zmusić go do milczenia, to dwoje zupełnie innych ludzi. Pokonaliśmy tę przepaść powoli, nie jednym skokiem, lecz malutkimi, prawie niedostrzegalnymi kroczkami, tak że nie zauważyliśmy nawet, jak wielką pokonaliśmy odległość przepętliliśmy ją, w ogóle się przy tym nie zmieniając.

- Lou musi zrozumieć, że możecie go z Jakubem oskarżyć o morderstwo równie łatwo, jak on może oskarżyć o morderstwo ciebie. Jeśli dojdzie do wniosku, że Jakub stanie po twojej stronie, nie zaryzykuje, nie zechce wciągać w to policji.

- To idiotyczne - mruknąłem.

Zerknęła na mnie znad dziecka.

- Chyba nie szkodzi spróbować, prawda?

- Jakub mi nie pomoże.

- To go zmusz. Bez niego nic nie wyjdzie.

- Miałby zdradzić swego najlepszego przyjaciela?

- Jesteś jego bratem, Hank. Zrobi to, jeśli wytłumaczysz mu, że sprawa jest naprawdę ważna. Postrasż go, niech zacznie bać się Lou jak my. - Odgarnęła włosy z czoła. Oczy miała zapadnięte, mocno podkrążone, jak podbite. Była bardzo niewyspana. - Podział pieniędzy nic nie zmieni. Lou będzie nas dręczył do końca życia. On musi się nas bać jak my jego, rozumiesz? Inaczej nie da nam spokoju.

- I twierdzisz, że jak go nagram, to zacznie się nas bać?

- Na pewno.

Długo milczałem. Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby Lou przyznał się do zabójstwa Pedersona, nawet żartem.

- Powinniśmy przynajmniej spróbować, nie sądzisz? - nalegała. - Nic przez to nie tracimy.

Oczywiście miała rację, mogliśmy przynajmniej spróbować. Nie przypuszczałem tylko, bo i jakim cudem, że jej prosty plan doprowadzi do tego, do czego doprowadził. Nie dostrzegałem żadnego ryzyka: jeśli wszystko wypali, myślałem, będziemy uratowani. Jeśli nie, zaczniemy od początku.

- No dobra - odrzekłem. - Pogadam z Jakubem. Może zdołam go namówić.

Nazajutrz wzięłem wolne, żeby pomóc Sarze przy dziecku.

Po południu, gdy obie się zdrzemnęły, pojechałem do Toledo i kupiłem magnetofon. Powiedziałem sprzedawcy, że w drodze do pracy często dyktuję służbowe listy, dlatego potrzebuję czegoś małego i nieskomplikowanego. Polecił mi magnetofon nie większy niż talia kart. Idealnie mieścił się w kieszeni koszuli - gdzie był prawie niewidoczny - i miał bardzo duży przycisk nagrywania, tak że mogłem go wyczuć przez materiał i wcisnąć bez konieczności wyjmowania całego urządzenia.

Gdy wróciłem do domu, Sara i Amanda jeszcze spały. Zajrzałem do nich, potem wszedłem do łazienki, gdzie przed lustrem przećwiczyłem włączanie i wyłączanie magnetofonu. Powolnym, niedbałym gestem powtórzyłem te czynności co najmniej dziesięć razy: prawa ręka na piersi, jakbym się drapał, otwarta dłoń przytrzymuje urządzenie w kieszeni, podczas gdy palec wskazujący wciska guzik nagrywania. Szło mi całkiem nieźle. Byłem pewien, że Lou nic nie zauważy.

Później, kiedy Sara się obudziła, wypróbowałem tę sztuczkę na niej. Obserwowała mnie, leżąc z Amanda w ramionach.

- Co kupisz sobie najpierw? - spytałem, drapiąc się w pierś i włączając magnetofon. - Jak już podzielimy pieniądze.

Zagryzła wargi. Myślała. W głębokiej ciszy mruczenie dochodzące z kieszeni koszuli było ledwo słyszalne.

- Butelkę szampana - odrzekła. - Dobrego szampana. Wypijemy, lekko się wstawimy, a potem będziemy kochać się na pieniądzach.

- Na pieniądzach?

- Tak jest - potwierdziła z uśmiechem. - Rozłożymy je na podłodze. Zrobimy sobie łóżko za milion dolarów.

Wyjąłem z kieszeni magnetofon i przewinałem taśmę.

- Spójrz, co kupiłem. - Podałem urządzenie Sarze.

- Działa?

- Wciśnij guzik odtwarzania.

Odszukała odpowiedni przycisk.

- „Butelkę szampana” - powiedział jej głos, a poszczególne słowa brzmiały zadziwiająco wyraźnie. - „Dobrego szampana. Wypijemy, lekko się wstawimy...”

W czwartek wieczorem, koło wpół do szóstej, zatelefonowałem z biura do Jakuba i zaproponowałem wizytę na cmentarzu, żeby wypełnić zobowiązanie względem ducha naszego ojca. Początkowo nie chciał iść, twierdząc, że jest zajęty, ale jakoś go namówiłem. Uzgodniliśmy, że spotkamy się za kwadrans szósta przed magazynem Raikleya.

Gdy wyszedłem na ulicę, już na mnie czekał. Przyszedł z psem i sprawiał wrażenie jeszcze bardziej spalonego niż zwykle. Twarz miał nalaną i napuchniętą, kurtkę tak bardzo opiętą, że nie mógł opuścić rąk i sterczały mu na boki jak ręce za mocno wypchanej lalki.

Słońce już zaszło, zapadła ciemność. Na chodniku, w regularnych odstępach wytyczonych przez uliczne lampy, tworzyły się nagle kręgi żółtawego światła. Jeźdźcą z rzadka przejeżdżały samochody, a przed apteką stała grupka rozgadanych i roześmianych nastolatków. Poza tym, w mieście panował spokój i cisza.

Przecieliśmy ulicę i weszliśmy na parking przed kościołem Świętego Judy. Pod butami zatrzeszczał żwir. Mary Beth pobiegł w stronę cmentarza.

- Myślałem o pieniądzach - wyznał Jakub - i wiesz co? One chyba były nam pisane.

- Pisane? - powtórzyłem.

Kiwnął głową. Jadł czekoladowy baton w aluminiowej folii. Szedł i odgryzał wielkie

kawały, tak że chwilę trwało, nim odpowiedział, bo przedtem musiał wszystko przeżuć i przełknąć.

- Tak wiele spraw mogło potoczyć się zupełnie inaczej - wyjaśnił. - Gdyby to był czysty przypadek, nigdy by do tego nie doszło. Jakbyśmy zostali wybrani.

Uśmiechnąłem się. Wybrani. Cóż za romantyczna koncepcja!

- Jakich spraw? - spytałem.

- Różnych. - Zaczął wyliczać na palcach. - Gdyby samolot przeleciał jeszcze kilometr, rozbiłby się na otwartej przestrzeni i ludzie by go od razu znaleźli. Gdyby lis nie przeciął nam drogi, nie grzotnęlibyśmy w śnieg na poboczu. Gdybyśmy nie grzotnęli w śnieg na poboczu, Mary Beth nie wyskoczyłby z wozu i nie pogoniłby za lisem. Gdyby go nie pogonił, to byśmy wcale nie wysiadali z szoferki, a tak musieliśmy wysiąść. Gdyby lis pobiegł inną trasą, nie znaleźlibyśmy wraku. Gdybyś sprawdził, co z pilotem i od razu wylazł z kabiny nie zabierając torby, wrócilibyśmy do miasta i opowiedzieli o wszystkim szeryfowi, nie mając pojęcia o pieniądzach. I tak dalej, i tak dalej.

Przystanęliśmy koło cmentarnej bramy, jakbyśmy się wahali: iść dalej czy zawrócić. Brama służyła wyłącznie jako ozdoba, bo cmentarz był nie ogrodzony. Mary Beth wachał przez chwilę jeden ze słupów, szybko zadarł nogę, zszedł ze ścieżki i potruchtał w głąb cmentarza.

- Ale dlaczego twierdzisz, że pieniądze były nam pisane?

Uważałem, że to raczej kwestia szczęścia i już samo sprawozdanie z przebiegu dotychczasowych wydarzeń trochę mnie przeraziło. Dręczyła mnie myśl, że wszystko się kiedyś wyrówna: jeśli to tylko dzięki szczęściu pokonywaliśmy trudności, wcześniej czy później szczęście musiało nas opuścić.

- Naprawdę tego nie widzisz? Przecież nie wygląda to na przypadek, ale tak, jakby ktoś tym wszystkim kierował, jakby istniał jakiś odgórnie ułożony plan, wedle którego postępujemy.

- Plan? Może boski? - spytałem z uśmiechem, wskazując kościół.

Wzruszył ramionami.

- Czemu nie?

- A Pederson? On też był częścią tego wspaniałego planu?

Energicznie kiwnął głową.

- Gdyby nadjechał o każdej innej porze, znalazłby wrak. I nasze ślady. Już dawno byśmy wpadli.

- Ale po co w ogóle przyjeżdżał? Gdybyś to ty był autorem tego planu, nie pominąłbyś

go w swoich kalkulacjach?

Myślał nad tym, dojadając baton. Dokładnie wylizał folię, zwinął ją w kulkę i cisnął w śnieg.

- Może będzie miało to wpływ na coś, co się jeszcze nie wydarzyło - odrzekł. - Na coś, o czym jeszcze nie wiemy.

Nie odpowiedziałem. Nigdy dotąd nie filozofowałem i nie byłem pewien, do czego zmierza.

- Głowę daję, że nawet teraz realizujemy ten plan - dodał. - Zdarzenia toczą się jedno za drugim, wedle ustalonego porządku, wszystko do siebie pasuje, jak w układance, i wszystko dobrze się skończy.

Rozciągnął usta w uśmiechu. Wyglądało na to, że jest w wyjątkowo dobrym humorze, co mnie z jakiegoś powodu irytowało. Wprost tryskał samozadowoleniem, nie mając zielonego pojęcia, jak poważne osaczają nas kłopoty.

- A więc jesteś szczęśliwy, że znaleźliśmy te pieniądze?

Moje pytanie wyraźnie go skonsternowało. Doszukiwał się w nim jakiegoś podstępu.

- A ty nie?

- Pytałem ciebie.

Myślał chwilę, potem skinął głową.

- Oczywiście - odrzekł poważnie. - Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Dlaczego?

Tym razem odpowiedział natychmiast, jakby często się nad tym zastanawiał.

- Bo teraz mogę odkupić farmę.

Zerknął na mnie niepewnie, czekając, jak zareaguję, lecz zachowałem kamienną twarz i milczałem. Za kilka minut miałem go prosić, żeby zdradził swojego jedyne przyjaciela i doszedłem do wniosku, że to nie najlepszy moment na poinformowanie go, iż musi pozostać w Ashenville.

- I mogę założyć rodzinę - dodał. - Przedtem nie mogłem. Muszę znaleźć kogoś takiego jak Sara i...

- Jak Sara? - przerwałem mu zdumiony.

- Tak, kogoś agresywnego. Ty też kogoś takiego potrzebowałeś. Byłeś zbyt nieśmiały, żeby szukać, więc ona znalazła ciebie.

Jego słowa mnie zaszokowały, jednocześnie uświadomiłem sobie, że to prawda. Kiwnąłem głową, zachęcając go do mówienia.

- Gdybym nie miał pieniędzy, nikt by mnie nie znalazł. - Poklepał się po brzuchu. -

Gruby i biedny Jakub, rozumiesz? Zestarzałbym się w samotności. Ale teraz jestem bogaty, a to zasadnicza różnica, bo teraz ktoś mnie zechce, choćby dla pieniędzy.

- Chcesz, żeby ktoś pokochał cię tylko dla pieniędzy?

- Ja nigdy nikogo nie miałem, Hank - odrzekł poważnie. - Nigdy. Dlatego wszystko mi jedno, czy ktoś będzie ze mną dla pieniędzy, czy z jakiegoś innego powodu. Nie jestem dumny.

Oparłem się o bramę, badając wzrokiem jego twarz. Była spokojna i bardzo poważna. W jego głosie nie słyszałem ani udawanej skromności, ani wisielczego humoru, ani masochistycznej autoironii. Mówił prawdę, szczerą i bolesną, odartą z wszelkich osłonek. To było życie według Jakuba Mitchella.

Nie wiedziałem, jak zareagować. Przez długą chwilę patrzyłem zażenowany na jego wielkie buciory.

- A co się stało z Mary Beth? - spytałem. Poprawił okulary i ponad moim ramieniem spojrzał w głąb cmentarza.

- Jest tam.

- Umarła?

- Jak to umarła? Przed chwilą tu...

- Nie chodzi mi o psa. Pytam o Mary Beth Shackleton z naszej szkoły.

Zmarszczył brwi.

- Chyba wyszła za męża. Mówią, że wyjechała do Indiany.

- Podobałeś się jej, mimo że nie miałaś pieniędzy, prawda?

Parsknął śmiechem i pokręcił głową.

- Nigdy ci tego nie mówiłem, Hank, bo za bardzo się wstydziłem. - Odwrócił wzrok i spojrzał w ciemność za cmentarną bramą. - Chodziła ze mną dla żartu. Założyła się z psiapsiółkami. Zrzuciły się i zaproponowały jej stówę, jeśli będzie ze mną chodzić przez miesiąc. No i chodziła.

- Wiedziałeś o tym?

- Wszyscy wiedzieli.

- I poszedłeś na to?

- Nie było tak źle. Jasne, pograła nie fair, ale zrobiła to w miły sposób. Nigdy się nie całowaliśmy ani nie dotykaliśmy, za to dużo spacerowaliśmy, rozmawialiśmy, a kiedy upłynął miesiąc, dalej mówiła mi cześć, chociaż wcale nie musiała.

Zaszokował mnie.

- I jej imieniem nazwałeś psa?

- Podobało mi się - odrzekł z dziwnym uśmiechem.

Cała rzecz była tak absurdalna, że aż wstydliva. Bardzo mu współczułem.

Gdzieś w mieście zatrafił samochód i zamilkliśmy, nadstawiając ucha. Noc była bardzo cicha. Pies wyszedł z cmentarza i usiadł przy bramie.

- Mam trzydzieści trzy lata - wyznał Jakub - i nigdy w życiu nie pocałowałem kobiety. To chyba nie w porządku, Hank.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- A więc jeśli moje bogactwo to odmieni, będę się tylko cieszył. I wszystko mi jedno, czy to dzięki pieniądзом, czy nie.

Jakub powiedział za dużo i obaj to wyczuliśmy. Niezręczne milczenie wisiało między nami jak mgła, tak gęsta, że prawie nic nie było przez nią widać.

Otworzyłem bramę i weszliśmy na cmentarz. Mary Beth pobiegł przodem.

- Trochę tu straszno, co nie? - spytał Jakub przesadnie głośno i dziarsko; przypominał mi buldozer próbujący zepchnąć w przepaść olbrzymią hańdę zażenowania. Wydał z siebie piskliwy jęk, niczym duch, a potem wybuchnął śmiechem, krótkim i urywanym, obracając to w żart.

Ale miał rację, rzeczywiście było trochę straszno: ciemny, pusty kościół, gwiazdy ukryte pod zwałami chmur, nad horyzontem, gdzie czatował księżyc - mdława poświata. Musiał nam wystarczyć nikły blask, a raczej poblask bijący od strony miasta, który wsiąkał w cmentarz i rozmywał się w nim do tego stopnia, że nie rzucaliśmy nawet cienia. Ciemność między grobami była tak zupełna, tak nasyciona, że przypominała gęsta ciecz, wodę, jezioro, w którym się pogrążyliśmy. Mary Beth zniknęła i tylko dzięki pobrzękiwaniu metalowych znaczków na obroży wiedzieliśmy, że tam w ogóle jest.

Groby rodziców odnaleźliśmy na wyczucie, bo widzieć ich nie mogliśmy. Pochowano ich pośrodku cmentarza, na prawo od ścieżki. Weszliśmy w śnieg i stanęliśmy przy mogile. Leżeli we wspólnym grobie, pod zwykłą granitową płytą. Na płycie były wyryte słowa:

JAKUB HANSEL

MITCHELL

31 grudnia 1927 - 2 grudnia 1980

JOSEPHINE MCDONNELL

MITCHELL

5 maja 1930 - 4 grudnia 1980

Podwójna jest nasza żałoba

Poniżej wmurowano dwie puste, wypolerowane piaskiem płytki - dwa wolne miejsca,

dla Jakuba i dla mnie; przed śmiercią ojciec wykupił cztery kwatery, by mieć pewność, że pewnego dnia wszyscy się spotkamy.

Znieruchomiałem wpatrzony w granitową płytę, lecz nie myślałem o rodzicach, nie wspominałem, jakimi byli za życia, ani nie bolałem nad ich stratą. Nie, myślałem o Jakubie. Szukałem sposobu na przekonanie go, żeby dopomógł mi podejść Lou. To dlatego zaciągnąłem go na cmentarz: chciałem mu przypomnieć, że łączą nas braterskie więzy.

Odczekałem kilka minut. Cisza narastała. Miałem na sobie kurtkę, garnitur i krawat, mimo to szczypał mnie mróz, a wiatr wciskał się w nogawki spodni niczym lodowata łapa, szorstka i nachalna, jakby chciała zepchnąć mnie do grobu. Strzelałem oczyma w różne strony, zerkając to na granitową płytę, to na czarną sylwetkę kościoła, to na Jakuba stojącego obok w przyciasnych džinsach, milczącego, masywnego i nieporuszonego niczym wielki czerwony Budda. Zastanawiałem się, o czym tak myśli zastygły w absolutnym bezruchu. Może o rodzicach? Albo o Mary Beth Shackleton? O niezbadanych wyrokach losu? O niespodziewanym darze, jaki mu ten los zesłał? O wrotach do świetlanej przyszłości, które otworzyły się przed nim dopiero teraz, w chwili, gdy przeżył już tyle lat? A może w ogóle o niczym nie myślał?

- Brakuje ci ich? - spytałem. Odpowiedział powoli, jakby wracał do rzeczywistości z głębokiego snu.

- Kogo?

- Mamy i taty.

Chwilę myślał. Przesząpił z nogi na nogę i śnieg zaskrzypiał mu pod butami.

- Tak. - Głos miał płaski i szczery. - Czasami. Milczałem, więc spróbował wytłumaczyć to dokładniej.

- Brakuje mi domu. Kolacji co sobotę, pogaduszek, gry w karty, szklaneczki przed telewizorem. I brakuje mi rozmowy z tatą. On słuchał, kiedy mówiłem. Teraz już nikt mnie nie słucha.

Nie wiedziałem, czy skończył, czy nie, więc stałem koło niego, gapiąc się w niebo i czekałem, aż coś doda. Na zachodzie, wysoko nad kościelną wieżą, dostrzegłem mrugające światełka pozycyjne dwóch samolotów, które wolno się do siebie zbliżały. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby miały na siebie wpaść, lecz nie, to było tylko złudzenie - minęły się bezpiecznie, rozdzielone kilometrami przestworzy.

- Tato by zrozumiał, dlaczego to robimy - powiedział Jakub. - On znał wagę pieniądza. „Tylko pieniądz się liczy, mawiał. Pieniądz to krew życia, to podstawa szczęścia”.

Spojrzał na mnie.

- Pamiętasz?

- Tylko pod koniec - odrzekłem. - Kiedy zaczęli popadać w długi i tracić farmę.

- W kółko to powtarzał i wydawało mi się to tak oczywiste, że nawet go nie słuchałem. Dopiero niedawno zacząłem coś z tego rozumieć. Sądziłem, że miał na myśli pieniądze na jedzenie, bo trzeba coś jeść, pieniądze na ubranie, bo trzeba czymś się okryć, ale to nieprawda. Próbował mi wytłumaczyć, że bez pieniędzy nie można być szczęśliwym. I nie chodziło mu o kilka dolarów, żeby starczyło na życie, nie. Chodziło mu o dużą forszę, o prawdziwe bogactwo.

- Przecież nie byli bogaci - zauważyłem.

- I nigdy nie byli szczęśliwi.

- Nigdy?

- Nigdy. Zwłaszcza tato.

Spróbowałem odszukać w pamięci obraz uszczęśliwionego ojca, ale nie zdołałem. Owszem, często się śmiał, ale był to śmiech pijacki, płytki, chichotliwy i absurdalny. Tak, tylko takim go pamiętałem.

- Pieniądze powoli się kończyły, a oni pograżali się w coraz większym smutku - mówił dalej Jakub. - Wreszcie, kiedy nie mieli już nic, popełnili samobójstwo.

Spojrzałem na niego zdumiony. Samobójstwo - ulubiona teoryjka Sary. Nigdy nie słyszałem, żeby mój brat poważnie ją rozważał.

- Co ty gadasz? Byli pijani, wpadli na ciężarówkę. Pokręcił głową.

- Dzień przedtem zadzwoniła do mnie matka. Chciała mi powiedzieć dobranoc. Była pijana i kazała mi obiecać, że kiedyś się ożenię, że nie pójdę do grobu, nie zaznawszy życia z własną rodziną.

Zamilkł. Czekałem, ale nic nie mówił.

- No i?

- Nie rozumiesz? Nigdy przedtem do mnie nie dzwoniła. To był pierwszy i jedyny raz. To tato zawsze do mnie telefonował. Zadzwoniła, bo już wiedziała, bo już ułożyli plan i zdała sobie sprawę, że już nigdy mnie nie zobaczy.

Szybko to sobie przeanalizowałem, doszukując się jakichś niespójności. Nie, nie chciałem mu wierzyć.

- Gdyby to było samobójstwo, popełniliby je inaczej. Chryste, przecież nie staranowaliby ciężarówki.

Lecz Jakub najwyraźniej dokładnie to sobie przemyślał, bo pytanie wcale go nie zaskoczyło.

- Musieli zrobić to tak, żeby wyglądało na wypadek. Tato wiedział, że bez pieniędzy z polisy ubezpieczeniowej długów nie spłacimy. Innego sposobu nie było. Zastawił farmę, nie zostało im nic cennego oprócz własnego życia.

- Jakub, przecież mogli zabić tego kierowcę. Dlaczego nie wjechali na drzewo?

- To by mogło wyglądać na samobójstwo, nie chcieli ryzykować.

Wyobraziłem sobie rodziców siedzących w ciemności przy wjeździe na autostradę. Siedzą w samochodzie, czekają na światła reflektorów. Światła się ukazują, ojciec włącza jedynkę, dodaje gazu. Zapewnienia o miłości, pospieszne słowa, ostatnie słowa, ostatnie pożegnania ginące w przeraźliwym pisku hamulców tuż przed zderzeniem. Przeciwstawiłem temu obrazowi obraz inny, obraz, który przechowywałem w wyobraźni od siedmiu lat: jadą pijani, roześmiani, z radia płynie skoczna muzyka. Szyby opuszczone, do samochodu wpada strumień zimnego powietrza, stwarzając złudne poczucie trzeźwości. Dają się ponieść tej złudzie do ostatniej chwili, do chwili nieodwracalnej, gdy wylania się przed nimi olbrzymia, gigantyczna ciężarówka, gdy jej masywne cielsko przytłacza ich, górując nad maską samochodu. Zastanawiałem się, co mi bardziej odpowiada - czyn świadomy czy nieświadomy - lecz nie mogłem zaakceptować ani tego, ani tego. Obie wersje były zbyt żalosne, zbyt smutne. Nie wiedziałem, którą wybrać.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi wcześniej? - spytałem. Odpowiedzi szukał kilka sekund.

- Nie przypuszczałem, że chcesz wiedzieć. Miał rację. Bo w sumie nie chciałem. Nie, nie chciałem rozbierać tego na kawałki, decydować, analizować, rozdrapywać szczegółu po szczególe i ustalać, jak to właściwie jest: wierzę mu czy nie? Zaląła mnie fala sprzecznych z sobą emocji: odczuwałem zazdrość, że matka zadzwoniła do niego, nie do mnie, zdziwienie, że tyle lat milczał, smutek, bo możliwe było, że brak pieniędzy pchnął naszych rodziców, dobrych, ciężko pracujących ludzi, do czynu tak rozpaczliwie beznadziejnego - żeby uratować przed długami siebie i swoje dzieci, poświęcili własne życie i narazili na niebezpieczeństwo zupełnie obcego człowieka.

Było zimno. Jakub zaczął przytupywać. Czuję, że chce już wracać.

- Jakub?

Odwrócił się do mnie i spojrzał mi w twarz.

- No?

Mary Beth pobrzękiwał w ciemności jak maleńki duszek owinięty łańcuchami.

- Sara wie o pieniądzach. Po wizycie Lou musiałem jej powiedzieć.

- Nie ma sprawy - odrzekł. - Sara jest chyba najpewniejsza z nas wszystkich.

- Widzisz, rzecz w tym, że ona boi się Lou. Boi się, że możemy przez niego wpaść, pójść do więzienia za... Pedersona. - Machnąłem ręką w stronę grobu starca. Jakub śledził mój ruch.

- Lou jest w porządku - odparł. - Po prostu chce wiedzieć, że na pewno dostanie swoją dolę. Jak mu ją dasz, zostawi cię w spokoju.

- Nie dam mu pieniędzy, Jakub. Rozmawiałem o tym z Sara i doszliśmy do wniosku, że nie powinienem.

Patrzył na mnie przez kilka sekund, rozważając płynące z tego implikacje.

- W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak poczekać i sprawdzić, czy nie blefuje.

- Nie. Nie będziemy czekać. Trzeba go uprzedzić. Zerknął na mnie pytająco.

- To znaczy?

Opowiedziałem mu o planie Sary. Skulony z zimna, z rękami głęboko w kieszeniach, wysłuchał mnie do samego końca.

Potem spytał:

- Po co mi to mówisz?

- Potrzebuję twojej pomocy, Jakub. Bez ciebie nic nie wypali. Pogrzebał butem w śniegu.

- Chyba nie chcę tego robić. Lou nam nie zagraża.

- Zagraża. I zawsze będzie zagrażał.

- Nie wierzę, żeby...

- Nie, najpierw dobrze się zastanów. Nawet gdybym podzielił pieniądze i dał mu jego dolę, nic by to nie zmieniło. Morderstwo nie ulega przedawnieniu. Za dziesięć lat, gdy już wszystko przegra i przepije, odnajdzie cię i zaszantażuje.

Nie odpowiedział.

- Chcesz z tym żyć? - spytałem. - Chcesz czekać, aż do ciebie przyjdzie i zażąda pieniędzy? Chcesz zdychać z niepokoju?

- On by tego nie zrobił.

- On już to zrobił, Jakub. Był u mnie dwa razy i dwa razy chciał pieniędzy. Nie dopuszczę do tego, żeby przyszedł po raz trzeci.

Z ciemności wychynął Mary Beth. Podbiegł do nas, merdając ogonem i szybko sapiąc, jakby ścigał jakieś zwierzę. Skoczył radośnie na Jakuba, ale brat go odepchnął.

- Dałem ci szansę - mówiłem dalej. - Miałeś być za niego odpowiedzialny, ale wymknął ci się z rąk. Teraz moja kolej.

- Winisz mnie za to?

- To od ciebie dowiedział się o Pedersonie, prawda? Przez ciebie wpadliśmy w bagno.

- Nic mu nie powiedziałem.

Wyglądało na to, że bardzo chce, bym mu uwierzył, ale nie zareagowałem.

- Jeśli to w ogóle czyjaś wina, to już raczej twoja - dodał z goryczą. - To ty zacząłeś zachowywać się podejrzanie i to właśnie twoja podejrzliwość zepsuła nasze układy. Lou zachowuje się, jak tego od początku oczekiwales.

Z napięcia w jego głosie wywnioskowałem, że czuje się urażony.

- O nic cię nie obwiniam, Jakubie. W ogóle nie twierdzę, że to czyjaś wina. Po prostu stało się i musimy ten problem w jakiś sposób rozgryźć. - Uśmiechnąłem się do niego. - Może i to jest nam pisane.

Nachmurzony wbił wzrok w granitową płytę przykrywającą grób rodziców.

- Albo coś zrobimy, albo spalę pieniądze.

- Nie spalisz ich, Hank. To tylko puste groźby. Oczywiście miał rację, więc kiwnąłem głową.

- W sumie to żadna sprawa, Jakub. Przecież nie proszę cię, żebyś go zabił, prawda?

Nie odpowiedział. Postawił kołnierz kurtki, tak że zakrywał mu dolną połowę twarzy i spojrzał przez parking na ulicę. Poszedłem za jego wzrokiem. Widziałem stamtąd magazyn Raikleya i okno mojego biura. Widziałem ratusz, pocztę, sklep spożywczy. Wszędzie panował spokój i cisza.

- Musisz mi pomóc, Jakub.

- Nie mogę go oszukać. Nigdy by mi tego nie wybaczył.

- Lou będzie pijany. Nie będzie pamiętał, jak to się stało. - W tym samym momencie zdałem sobie sprawę, że wreszcie znalazłem na niego haka. To nie sama myśl o zdradzie przyjaciela go dręczyła, nie. Dręczyło go to, że Lou się o tym dowie. - Jeśli chcesz, możesz udawać, że jesteś zaskoczony - dodałem szybko, przypierając go do muru - że nic nie wiedziałeś o magnetofonie. Możesz udawać, że plan był wyłącznie mój, że podpuściłem was obu.

Chwilę to trawił.

- Ale tylko mu zagrozimy, tak? - spytał. - I nigdy tej taśmy nie wykorzystamy?

- Nie. Zrobimy to tylko po to, żeby nas nie sypnął.

- Widziałem, że się wije, więc czym prędzej dorzuciłem argument przeważający szalę.

- Powiedziałeś, że gdyby przyszło co do czego i musiałbyś wybierać, wybrałbyś mnie. Milczał.

- Chwila wyboru właśnie nadeszła, Jakub. No więc, jak będzie? Dotrzymasz słowa?

Patrzył na mnie i długo nie odpowiadał. Pies tarzał się w śniegu u jego stóp, lecz nie zwracaliśmy na niego uwagi. Jakub objął się wół i spojrzał na grób rodziców. Mój wzrok zdążył już przywyknąć do ciemności, tak że widziałem jego oczy za szklami okularów. Brat sprawiał wrażenie przemarzniętego i zdenerwowanego. W końcu kiwnął głową.

Żeby dodać mu otuchy, spróbowałem wymyślić coś pogrzącającego.

- Może przyszedłbyś do nas na kolację? - spytałem zaskoczony własną propozycją. - Sara robi łażanki.

- Nawet teraz nie jestem pewien, czy zaprosiłem go z litości, czy ze strachu, że wróci samotnie do tej swojej nory i zadzwoni do Lou, by go ostrzec.

Wciąż stał ze wzrokiem wbitym w granitowy nagrobek. Widziałem, jakie procesy w nim zachodzą: stopniowo ogarniała go bierność, wrodzony mechanizm walki ze stresem, i czułem, że jeśli tylko zdołam o ten mechanizm odpowiednio zadbać, Jakub zrobi co każe.

Postąpiłem krok w stronę parkingu. Mary Beth wstał, postawił uszy i zaczął tłuc ogonem w nogawki spodni brata.

- Chodź - namawiałem. - Sara gotuje według przepisu mamy. Będzie jak dawniej. - Położyłem mu rękę na ramieniu i obróciłem go w stronę ścieżki.

Gdy przyjechaliśmy do domu, Sara krzątała się w kuchni.

- Jakub przyszedł na kolację! - zawołałem od progu.

Wychyliła się zza drzwi, żeby nam pomachać. Miała na sobie fartuch i metalową łopatkę w ręku. Jakub, gruby i nieśmiały, odmachał jej, ale zrobił to o sekundę za późno, bo Sara zniknęła już w kuchni.

Zaprowadziłem go na górę. Mary Beth poszedł za nami. W sypialni było ciemno, bo Sara zaciągnęła story. Zapaliwszy światło, zobaczyłem, że łóżko jest nie posłane; choć Sara dochodziła do siebie zadziwiająco szybko, wciąż była bardzo zmęczona i prawie cały miniony tydzień przeleżała ze śpiącą u boku Amandą.

Zamknąłem drzwi, pchnąłem Jakuba w stronę nocnego stolika, usadziłem go po mojej stronie łóżka, podniosłem telefon, ostrożnie rozplatałem sznur i postawiłem aparat na jego kolanach.

- Dzwon do Lou!

Wbił wzrok w telefon. Telefon był stary, z czarnego ebonitu i miał obracaną tarczę. Odniosłem wrażenie, że Jakub nie ma ochoty go dotykać.

- Teraz? - spytał.

Usiadłem kilkadziesiąt centymetrów od niego, twarzą do okna. Z kuchni dochodził

słaby odgłos pobrzękiwania garnkami. Mary Beth łaził wokoło i węszył. Najpierw obwąchał łazienkę, później kołyskę. Kiedy podszedł do nas i wetknął łeb pod łóżko, odepchnąłem go nogą.

- To nasza kołyska - powiedziałem. - Tato ją zbudował.

Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

- I co mu mam powiedzieć?

- Powiedz, że jutro wieczorem zapraszam was na wódkę, żeby uczcić narodziny Amandy. Powiedz, że stawiam.

- A jak spyta o pieniądze?

Zastanowiłem się.

- To mu powiesz, że zgodziłem się na wcześniejszy podział - odrzekłem sądząc, że taka odpowiedź osłabi czujność Lou. - Powiedz, że wybierzemy się po nie w przyszłym tygodniu.

Jakub poruszył się niespokojnie na łóżku, a gdy telefon zachybotał, przytrzymał go ręką.

- Myślałeś już o farmie?

Nie chciałem rozmawiać o farmie, nie w tym momencie. Mary Beth wskoczył na łóżko, zwinął się w kłębek za plecami Jakuba i położył łeb na mojej poduszce.

- Jeszcze nie - odrzekłem.

- Miałem nadzieję, że do tej pory zdążysz podjąć decyzję.

Nagle zdałem sobie sprawę, że Jakub próbuje wciągnąć mnie w pułapkę, że farma ma być ceną za zdradę Lou. Na podłodze przy łóżku leżał pluszowy miś i żeby wypełnić ciszę - celowo zwlekałem z odpowiedzią - podniosłem go i nakręciłem. Miś zaśpiewał. Zaciekawiony pies podniósł łeb.

- Jakub, czyżbyś chciał mnie zaszantażować? Obrzucił mnie zdumionym wzrokiem.

- To znaczy?

- Chcesz przez to powiedzieć, że jeśli nie obiecuję ci tej farmy, to mi nie pomożesz?

Myślał chwilę.

- Chyba tak.

Miś śpiewał:

Dormez-vous ? Dormez-vous ?

Sonnez les matines. Sonnez les matines...

- Ja zrobię coś dla ciebie, ty zrobisz coś dla mnie - dodał. - To chyba w porządku, nie uważasz?

- Tak - szepnąłem. - Chyba tak.

- Pomożesz mi ją odkupić? - spytał.

Miś śpiewał coraz wolniej. Odczekałem, aż zamilknie, aż w sypialni zapadnie głucha cisza, a wtedy - zupełnie świadomy faktu, że składam obietnicę, której nie zamierzam dotrzymać - kiwnąłem głową.

- Zrobię o co mnie tylko poprosisz, Jakub.

Gdy podawaliśmy z Sara do stołu - łazanki z sałatką i czosnkowy chleb - Jakub przeprosił nas i wyszedł do ubikacji. Odprowadziłem go wzrokiem. Ubikacja była w głębi korytarza, pod schodami i patrzyłem za nim, aż zniknął w środku.

- Pójdzie na to? - szepnęła Sara, pokazując nożem w tamtą stronę.

Staliśmy przy stole: ona kroїła chleb, ja rozlewałem wino do dwóch kieliszków; Sarze nałamałem soku jabłkowego, bo karmiła i nie mogła pić alkoholu.

- Przed chwilą do niego dzwonił się - odrzekłem. - Mamy go zabrać jutro o siódmej.

- Słyszałaś, jak rozmawiali?

- Siedziałem tuż obok.

- Jesteś pewien, że nie dał mu żadnego cynku?

- Nie. Powiedział dokładnie to, co mu kazałem.

- I nie miał żadnych oporów?

Zawahałem się. Zerknęła na mnie znad krawalnicy.

- Wymógł na mnie obietnicę. Mam mu pomóc w odkupieniu farmy.

- Farmy twojego ojca?

Kiwnąłem głową.

- Myślałam, że już to uzgodniliśmy...

- Nie zostawił mi żadnego wyboru, Saro. Inaczej palcem by nie kiwnął.

Zaszumiała woda w muszli klozetowej. Spojrzeliśmy w stronę ubikacji.

- Ale tak naprawdę to chyba nie pozwolisz mu zostać? - spytała Sara.

Jakub wyszedł na korytarz. Odwróciłem się i niosąc karafkę do lodówki, rzuciłem przez ramię:

- Nie. Oczywiście, że nie.

Amanda spała w saloniku, w podróźnej kołysce. Zanim zaczęliśmy jeść, Sara przyniosła ją do kuchni i pokazała Jakubowi. Nie wiedział, jak się zachować. Spłoszował, kiedy kazała mu wziąć ją na ręce i trzymał dziecko, jakby ktoś je oblał czymś, co mogłoby mu ubrudzić koszulę. Gdy ją podniósł, Amanda zaczęła popłakiwać, więc Sara musiała ją uspokoić i zanieść z powrotem do saloniku.

- Jest taka maleńka - wymamrotał, jakby zupełnie tego nie oczekiwał.

I tyle. Nic więcej nie powiedział.

To była bardzo specyficzna kolacja. Początkowo wydawało się, że tylko Sara zdoła przeżyć ten wieczór we względnie dobrym humorze. Wyglądała pięknie i uwodzicielsko, i chyba była tego świadoma. Jej ciało zaczynało już odzyskiwać dawną jędrność i chociaż musiała być bardzo zmęczona - od powrotu ze szpitala dziecko przesypiało non stop najwyżej cztery godziny - tryskała zdrowiem i energią. Kiedy jedliśmy, pocierała stopą moją łydkę.

Jakub, zdeprymowany jej obecnością, koncentrował się na jedzeniu. Jadł szybko i zachłannie, z czołem zroszonym kropelkami potu. Zażenowanie było z niego jak trujący wyziew i po jakimś czasie stało się zaraźliwe. Straciłem kontenans, nie wiedziałem, o czym z nim rozmawiać, dokładnie przemyślałem odpowiedzi na pytania jego i Sary, w związku z czym były nienaturalnie lapidarne i przesadnie formalne, jakbym wpadł w złość i chciał to za wszelką cenę ukryć.

Wieczór mogło uratować tylko wino. Sara wyczuła to pierwsza, bo gdy Jakub albo ja opróżnialiśmy kieliszek, natychmiast wstawiała, żeby nam dolać. Nigdy dużo nie piłem - alkohol zwalnia wszelkie hamulce, niepostrzeżenie stępią czujność, czego nie lubię - lecz tamtego wieczoru trunek podziałał jak trzeba: był środkiem tonującym, uspokajającym i umożliwiającym nawiązanie kontaktu. Im więcej piłem, tym łatwiej przychodziła mi rozmowa z bratem, a im więcej on pił, tym swobodniej rozmawiał z Sara.

Stan upojenia alkoholowego nappełnił mnie niespodziewanymi nadziejami na przyszłość. Było to odczucie w dosłownym sensie fizyczne i przypominało miłe ciepło płynące z piersi - pamiętam, pomyślałem wtedy, że z serca - i rozlewające się po całym ciele, aż po czubki palców u rąk i nóg. Zawsze uważałem, że mnie i Jakuba dzieli mur nie do przebiccia i zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście tak jest. Kto wie, myślałem, może da się go jeszcze odzyskać, wciągnąć w moje życie rodzinne, znaleźć dla niego miejsce w sercu. Siedział naprzeciwko mnie, mówił coś do Sary, niemal z nią flirtował, ale nieśmiało, jak nastolatek z nauczycielką, i widok ten nappełnił mnie miłością dla nich obojga, natchnął mnie niewysłowionym pragnieniem spełnienia jego marzeń. Zdecydowałem, że pomogę mu kupić kawał ziemi gdzieś na zachodzie, w Kansas albo w Missouri, że pomogę mu tę ziemię zagospodarować, zbudować na niej dom na wzór domu naszego dzieciństwa, że będzie to dom, do którego zawsze będziemy mogli wrócić, Sara, Amanda i ja, wrócić do niego po latach podróży po całym świecie, że zastąpi nam dom prawdziwy, że będziemy wyjeżdżać i stale do niego wracać z podarkami dla Jakuba i jego rodziny.

Patrzyłem na nich, widziałem, jak żartują, jak się śmieją i chociaż zdawałem sobie

sprawę, że jestem pijany, nie potrafiłem wyzbyć się uporczywej wiary w realność naszych planów, niezachwianego przekonania, że wszystko będzie dobrze.

Pod koniec kolacji Amanda zaczęła płakać. Sara zaniósła ją na górę, bo nadeszła pora karmienia, tymczasem ja stanąłem przy zlewie, żeby pozmywać naczynia. Kiedy wróciła, uśpiwszy dziecko, prawie kończyłem. Jakub znowu poszedł do ubikacji.

Postanowiliśmy, że resztę wieczoru spędzimy na grze w „Monopol”. Podczas gdy wycierałem gąbką kuchenną ladę, Sara rozkładała na stole planszę. Pod koniec kolacji przestałem pić i wino zaczynało mnie obezwładniać, krępować ruchy niczym przyciężki płaszcz, tak że wszystko, co robiłem, kosztowało mnie znacznie więcej wysiłku niż zazwyczaj. Miałem ochotę pójść na górę i uwalić się na łóżko.

Skończywszy wycierać ladę, wróciłem do stołu. Sara dzieliła pieniądze. Najpierw rozdała piątki, potem dziesiątki, dwudziestki i pięćdziesiątki. Gdy doszła do setek, zerknęła na mnie z psotnym uśmiechem.

- Wiesz, co powinniśmy zrobić? - spytała,

- Co?

Wskazała palcem tackę z pieniędzmi.

- Powinniśmy użyć prawdziwych setek.

- Prawdziwych setek? - Byłem tak zmęczony, że nie zrozumiałem, o co jej chodzi.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Moglibyśmy przynieść jedną paczkę.

Przeszyłem ją wzrokiem. Myśl o wydobyciu pieniędzy z ukrycia napawała mnie namacalnym poczuciem niebezpieczeństwa, irracjonalną mieszaniną paniki i strachu. Pokręciłem głową.

- Daj spokój, Hank. Będzie zabawniej.

- Nie - odparłem. - Nie chcę.

- Ale dlaczego?

- Nie powinniśmy ryzykować.

- Ryzykować? A gdzie tu widzisz ryzyko? Wykorzystamy je do gry, i tyle.

- Nie chcę ich ruszać - odrzekłem. - To przyniesie nam pecha.

- Nie bądź niemądry. Kiedy będziesz miał okazję zagrać w „Monopol” prawdziwymi setkami?

Zamierzałem coś odpowiedzieć, ale przerwał mi głos Jakuba; wrócił z ubikacji, czego ani Sara, ani ja nie zauważyliśmy.

- Ukryliście pieniądze w domu? - spytał. Stał w progu kuchni, sprawiając wrażenie

zmęczonego i przejeźdzonego.

Nachmurzony spojrziałem na Sarę. - Tylko część - odrzekła. - Kilka paczek.

Jakub przyczłapał do krzesła.

- No to może byśmy nimi zegrali?

Sara zamilkła i naląła mu kieliszek wina. Czekali na moją odpowiedź. I cóż im mogłem odpowiedzieć? Wzbraniać się? Niby dlaczego? Z powodu niejasnych przeczuć, że to błąd, że powinniśmy narzucić sobie rygorystyczną dyscyplinę i obchodzić się z tymi pieniędzmi jak z niebezpieczną bombą albo z rewolwerem, jak z czymś groźnym i zdradliwym? Nie umiałbym im tego wytłumaczyć, a nawet gdybym spróbował, zabrzmiałoby to beznadziejnie głupio. Powiedzieliby, że to tylko gra, zabawa, że kiedy skończymy, wszystkie banknoty wrócą na swoje miejsce.

- No dobrze - westchnąłem, rozwalając się na krzesle. Sara pobiegła na górę po paczkę setek.

Jakub grał pieskiem, Sara kapeluszem, ja - samochodem wyścigowym. Podniecenie świadomością, że gramy prawdziwymi studolarowymi banknotami, minęło zadziwiająco szybko i po kilkunastu minutach traktowaliśmy je jak kolorowe fałszywki, jak prostokątne kawałki zwykłego papieru, może trochę większe, trochę grubsze od tych, którymi graliśmy zazwyczaj, ale nic poza tym. Używaliśmy ich do zawierania wyimaginowanych transakcji, co je w jakiś sposób zubożało, pozbawiało prawdziwej wartości, tak że przestały być realnymi pieniędzmi.

Gra trwała kilka godzin i gdy skończyliśmy, dochodziła północ. Zbankrutowałem. Sara i Jakub zgodzili się na remis, chociaż brat mógłby wygrać. Miał więcej nieruchomości, więcej domów i hoteli i piętrzył się przed nim o wiele większy stos zmietoszonych pieniędzy. Zanimby się tego wszystkiego wyżył, upłynęłoby sporo czasu.

Złożyłem planszę, wrzuciłem do pudełka plastikowe domki i hotele, tymczasem Sara poukładała pieniądze i zaniósła je na górę.

Domyślałem się, że Jakub jest pijany, ale nie wiedziałem jak bardzo. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy wstał. Dźwignął się z krzesła, zrobił dwa chwiejne kroki w stronę lady i ogarnięty nagłą paniką, wyciągnął przed siebie sztywne ręce. Wyglądał jak gruba, niezdarna marionetka, jak kukła wleczonej przez kuchnię na niewidzialnych sznurkach. Położył na ladzie swoją wielką dłoń i przygwoździł ją wzrokiem, jakby się bał, że gdy odwróci głowę, lada mu umknie. I zachichotał.

- Może byś tu zanocował? - spytałem.

Rzucił okiem na stół, na krzesła, potem na zmywarkę do naczyń, na zlew i na

kuchenkę.

- Tutaj? - wybełkotał.

- Na górze, w pokoju gościnnym.

Zmarszczył brwi. Nigdy dotąd u nas nie nocował, nigdy, choć mieszkaliśmy w tym samym mieście od wielu lat, i wyglądało na to, że ta perspektywa bardzo go denerwuje. Chciał coś powiedzieć, ale nie dałem mu dojść do słowa.

- W tym stanie nie możesz prowadzić. Jesteś za bardzo wlany.

- A co na to Sara? - wyszeptał głośno, zerkając w stronę korytarza.

- Nie będzie miała nic przeciwko temu.

Pomogłem mu wejść na górę, czując się przy jego potężnym cielsku jak małe dziecko. Pchałem tę rozlazłą masę i popychałem, próbując nią jakoś sterować. Lazł po schodach i od czasu do czasu wydawał z siebie krótki, urywany chichot.

Ulokowałem go w pokoju gościnnym, naprzeciwko naszej sypialni. Usiadł na łóżku i zaczął gmerać przy guzikach koszuli. Ukucnąłem przed nim i rozwiązałem mu buty. Mary Beth przyszedł za nami. Obwąchał wszystkie meble, potem wskoczył na łóżko i zwinął się w ciasny, zbity kłębek.

Zdjąłem mu te jego buciory i podniosłem głowę. Zdumiony Jakub patrzył na wezłowie łóżka.

- Wszystko w porządku - mruknąłem. - Idziesz lulu.

- To moje łóżko.

- Tak jest. Dzisiaj będziesz w nim spał.

- To moje łóżko - powtórzył natarczywie. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć wezłowia i wtedy zrozumiałem. Chodziło mu o to, że sypiał w tym łóżku jako dziecko.

- Zgadza się - potwierdziłem. - Tato przywiózł je nam tuż przed śmiercią.

Potoczył wkoło mętym wzrokiem, ale poza łóżkiem nie dostrzegł w pokoju nic, co by w dzieciństwie należało do niego.

- Wymieniliśmy materac - dodałem. - Tamten się przetarł.

Chyba mnie nie zrozumiał.

- Teraz stoi w pokoju gościnnym - wymruczał.

Gapił się chwilę na wezłowie, potem dźwignął nogi i runął na plecy. Łóżko zakołysało się jak łódka. Pies podniósł łeb i obrzucił nas niezadowolonym spojrzeniem. Jakub zamknął oczy. Zasnął natychmiast i po kilku sekundach już chrapał. Policzki mu obwisły i rozdziawił usta tak szeroko, że widziałem jego zęby. Sprawiały wrażenie za dużych, za szerokich i za grubych.

- Śpisz? - szepnąłem.

Nie odpowiedział. Wstałem, żeby zdjąć mu okulary. Ściągnąłem mu je z uszu i położyłem na nocnym stoliku przy łóżku. Bez okularów wyglądał dużo starzej, o wiele, o bardzo wiele lat starzej. Nachyliłem się i lekko pocałowałem go w czoło.

Z sypialni po drugiej stronie korytarza dobiegł mnie płacz dziecka.

Jakub zatrzepotał powiekami i otworzył oczy.

- Judaszowy pocałunek - szepnął chrapliwie.

Pokręciłem głową.

- Nie. Po prostu mówię ci dobranoc. Próbował skupić na mnie wzrok, ale nie zdołał.

- We łbie mi się kręci - burknął.

- Zaraz przestanie. Musisz to przeczekać.

Uśmiechnął się, zdławił w sobie chichot i nagle spoważniał.

- Pocałowałaś mnie na dobranoc? - wybełkotał.

- Tak.

Zamrugnął szybko i kiwnął głową.

- To dobranoc - mruknął.

Gdy zamknął oczy, wyśliznąłem się cicho z pokoju.

Sara właśnie się kładła. Dziecko było już spokojne i cicho gulgocząc, zasypiało w kołysce.

Ułożone w równy plik pieniądze leżały na mojej szafce. Przebrawszy się w piżamę, wziąłem je i powiedziałem:

- To było głupie. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. Popatrzyła na mnie z łóżka. Robiła wrażenie zaskoczonej i urażonej.

- Myślałam, że będzie zabawniej. - Włosy miała upięte w kok, jak nauczycielka. Jeśli nie liczyć majtek, była naga.

- Mieliliśmy ich nie tykać, tak się umówiliśmy - dodałem.

- Ale dobrze się bawiłeś. Przyznaj, że było fajnie. Pokręciłem głową.

- Właśnie w ten sposób możemy wpaść. Przez idiotyczne zabawy.

.- Przecież z domu ich nie wyniosłam.

- Obiecuj, że więcej ich nie tkniemy. Nigdy. Dopiero, gdy stąd wyjedziemy.

Naburmuszyła się. Na pewno uważała, że potraktowałem ją zbyt ostro, ale nic mnie to nie obchodziło.

- Obiecujesz? - spytałem.

Wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz.

Usiadłem na łóżku i zacząłem liczyć pieniądze, ale wciąż byłem lekko pijany i ciągle się myliłem.

- Nie ukradł - szepnęła. - Sprawdzałam.

Zmroziło mnie, cały zeszywniałem. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, po co chciałem przeliczyć banknoty.

Leżeliśmy, czekaliśmy na sen, od czasu do czasu do siebie szeptaliśmy.

- Jak myślisz, co z nim będzie? - spytała.

- Z Jakubem?

Poruszyła głowę. Leżeliśmy na plecach. Wszystkie światła były pogaszone, Amanda spała w kołysce. Sara już mi chyba wybaczyła.

- Może kupi sobie farmę - odrzekłem.

Natychmiast zeszywniała.

- Ale chyba nie tę? Tej farmy nie może kupić. Hank, jeśli Jakub tu zostanie...

- Nie miałem na myśli farmy ojca, tylko po prostu farmę, jakąś farmę. Gdzieś na zachodzie. Może w Kansas albo w Missouri. Moglibyśmy mu pomóc.

Jeszcze nie skończyłem mówić, gdy zdałem sobie sprawę, że nigdy do tego nie dojdzie. Wino tchnęło we mnie nadzieję, ale zdażyłem już trochę wytrzeźwieć i widziałem rzeczy takimi, jakimi naprawdę były. Jakub nie znał się na rolnictwie i szansę na zostanie farmerem miał równie wielkie jak szansę na zostanie astronautą albo gwiazdą rocka. On tylko śnił, marzył jak małe dziecko, podejmował naiwne próby zanegowania własnej nieudolności i przedstawienia siebie w korzystniejszym świetle.

- Może będzie podróżował - rzuciłem, ale tego też nie mogłem sobie wyobrazić. Mój brat wsiadający i wysiadający z samolotu, mój brat taszczący przez lotnisko ciężkie walizy, mój brat w ekskluzywnym hotelu. Bzdura. Zupełnie do tego obrazu nie pasował.

- Nie wiem, co zrobi, ale na pewno będzie mu lepiej niż teraz, nie sądzisz? - spytałem.

Przekręciłem się na bok, zarzucając nogę na nogi Sary.

- Oczywiście - odrzekła. - Przecież dostanie milion trzysta tysięcy dolarów. Czy może mu być gorzej?

- Ale co on z tym milionem zrobi?

- Po prostu go wyda. Po to wymyślono pieniądze.

- Na co wyda?

- Na co tylko zechce. Kupi sobie ładny samochód, dom nad morzem, modne ubrania, będzie jadał w drogich restauracjach, pojedzie na egzotyczne wakacje...

- Saro, on nikogo nie ma, on jest sam jak palec. Przecież nie wyda na siebie miliona dolarów. Pieszczotliwie musnęła moją twarz.

- Na pewno kogoś znajdzie, Hank. Zobaczysz, że kogoś znajdzie.

Byłem zmęczony i chciałem jej wierzyć, ale wiedziałem, że się myli. Żadne pieniądze takich spraw nie zmieniają. Owszem, fortuna czyni człowieka bogatszym, ale na tym koniec. Jakub do końca życia pozostanie takim, jakim był: nieszczęśliwym, nieśmiałym grubasem.

Dłoń Sary - mroczny cień nad moją głową - nadal pieściła moją twarz, więc zamknąłem oczy.

- Każdy dostanie to, na co zasługuje - szepnęła.

Przed świtem obudził mnie odgłos szurania nogami. Ktoś chodził po domu. Momentalnie wytrzeźwiałem i podparłem się łokciem. Sara siedziała obok mnie i karmiła Amandę. Okna smagał lodowaty wiatr. Brzęczały szyby.

- Ktoś jest w domu - powiedziałem.

- Ciiicho - szepnęła, nie odrywając wzroku od dziecka. Wolną ręką pogładziła mnie po ramieniu. - To tylko Jakub. Poszedł do ubikacji.

Nastawiłem uszu. Ściany potrzaskiwały pod naporem wiatru. Amanda cichutko mruczała, ssąc pierś matki. Opadłem na poduszkę. Po chwili usłyszałem jego ciężkie kroki: wracał na górę. Gdy się kładł, głośno jęknął.

- Widzisz? - szepnęła. - Wszystko w porządku. Nie zabrała ręki, dopóki nie zasnąłem.

Rozdział 6

Kilka minut po siódmej zabraliśmy Lou i pojechaliśmy do Ashenylle, do „Wranglera”.

„Wrangler” to jedna z dwóch knajp w mieście; były do siebie podobne jak dwie krople wody. Lata temu miała wystrój jak z westernu, ale z dawnej świetności pozostała tylko nazwa i upstrzona napisami czaszka jelenia z wielkimi rogami, zawieszona nad drzwiami. Wnętrze było kiszkowate, długie, wąskie i ciemne. Wzdłuż ściany po jednej stronie biegła barowa lada, wzdłuż drugiej - rząd stolików odseparowanych przepierzeniami. Z tyłu, za charakterystycznymi drzwiami jak z kowbojskiego saloonu, była duża sala. Stał tam bilardowy stół, kilka automatów do gry i zepsuta szafa grająca.

Gdy przyjechaliśmy, w knajpie panował względny spokój. Przy barze ślęczała garstka samotnych gości sączących piwo. Niektórzy z nich musieli znać Lou, bo uśmiechnęli się do niego na powitanie. Jeden stolik był zajęty: siedział przy nim chłopak z dziewczyną. Nachyleni ku sobie, szeptali coś zawzięcie, jakby się kłócili, nie chcąc wzniecać głośnej awantury.

Weszliśmy do sali za barem. Jakub i Lou postanowili zagrać w bilard, tymczasem ja poszedłem po drinki. Dla Lou wziąłem whisky z piwem, dla Jakuba samo piwo, dla siebie piwo imbirowe.

Jakub przegrał i postawiłem im następną kolejkę. Obracałem tak ze trzy razy, zanim pojawili się nowi amatorzy bilarda i musieliśmy zrezygnować z dalszej gry. Wróciliśmy do sali barowej i usiedliśmy przy wolnym stoliku za przepierzeniem. Minęła ósma i we „Wranglerze” robiło się coraz tłoczniej.

Stawiałem im i stawiałem. Lou spytał, co piję, więc odpowiedziałem, że whisky z wodą sodową, na co parsknął śmiechem, nazywając to trunkiem księgowych. Chciał mi postawić tequilę, ale uśmiechnąłem się i odmówiłem.

Obserwowałem, jak się upija. Interesujące zajęcie. Jego twarz przybrała kolor głębokiego szkarłatu, oczy mu łzawiły, źrenice powoli znikwały, przyćmione coraz intensywniejszym szklistym połyskiem. Między rundkami wychodził do ubikacji, a koło dziewiątej wylazła z niego cała złośliwość, cała obłuda i hipokryzja - Lou odsłonił swoje prawdziwe oblicze. Coraz częściej zapominał, że to ja stawiam: zaczął nazywać mnie panem księgowym, puszczał do Jakuba oko, szydził, chichotał, by nagle poklepać mnie po ramieniu, jakbyśmy znowu byli trójką najlepszych kumpli, bandą zżytych spiskowców albo gangiem

złodziei-dżentelmenów.

Ilekcio stawiałem nową kolejkę, wznosił toast, za każdym razem ten sam:

- Za naszą małą panienkę! - mówił. - Niech Bóg ją błogosławi.

Magnetofon miałem w kieszeni i co jakiś czas drapałem się w pierś. Robiłem to obsesyjnie, jakbym nosił tam jakiś talizman, jakbym dotykał go na szczęście.

Piliśmy tak ponad godzinę. W pewnej chwili popatrzyłem na Lou i spytałem:

- Naprawdę przypuconalbyś nas szeryfowi, gdybym nie zgodził się na podział forsy?

Byliśmy sami, bo dałem Jakobowi swój portfel i wysłałem go do baru po następną kolejkę. Lou spuścił głowę i chwilę rozważał pytanie.

- Potrzebuję pieniędzy, Hank - odrzekł poważnie.

- Nie możesz zaczekać do lata?

- Nie. Potrzebuję ich teraz.

- Przecież to tylko pięć miesięcy. Nie wytrzymasz pięciu miesięcy?

Sięgnął przez stół po kufel Jakuba i upił łyk. W kuflu niewiele zostało, ale resztek nie wychleptał. Wykrzywił usta w nikłym uśmiechu.

- Mówiłem ci, że mam długi?

Kiwnąłem głową.

- Widzisz, rzecz w tym, że nadszarpnąłem oszczędności Nancy.

- Mocno?

- Było tak. Wiedziałem, że mogę sobie pozwolić na przegraną, bo miałem dostać szmal z tego samolotu, więc zaryzykowałem i postawiłem kupę forsy, licząc na fuksa. Pomyślałem sobie, że nawet jak przegram, to wszystko będzie w porządku, nie? - Zachichotał, krótko i nerwowo. - Ale fuks nie przyszedł i forsa przepadła.

- To znaczy ile przepadło? - napierałem.

- Siedemnaście tysięcy dolarów. Trochę ponad siedemnaście tysięcy. Cały spadek po jej matce.

To mnie oszołomiło i uciszyło. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że można postawić na konia tyle pieniędzy. Patrzyłem, jak dopija resztkę piwa z kufla Jakuba.

- Jesteśmy bez grosza, Hank. Nie zostało nam nic. Dopóki nie dostanę swojej doli, nie będziemy mieli ani na jedzenie, ani na ubranie, ani na czynsz.

- A więc byś nas przypuconal, tak?

- Potrzebuję pieniędzy. Bo to nie fair, Hank. Trzymasz ten szmalec i trzymasz, a samolotu jak nikt nie szukał, tak nie szuka.

- Chcę wiedzieć, czy byś nas sypnął - powtórzyłem, nachylając się ku niemu przez

stół. Wyszczrzył do mnie swoje żółte zęby.

- Gdybym powiedział, że nie, mógłbyś nie dotrzymać słowa...

- Jakiego słowa?

- Obiecałeś, że niedługo podzielimy pieniądze. Zamilkłem.

- Te pieniądze są mi naprawdę potrzebne, Hank. Bez pieniędzy nie dam rady.

- A co byś zrobił, gdybyś nie wiedział o Pedersonie? Lou zasznurował usta.

- Chyba zacząłbym cię błagać - odrzekł. Myślał chwilę i kiwnął głową. - Tak, padłbym przed tobą na kolana i zacząłbym cię błagać.

Bar pękał w szwach, pulsował głosami i śmiechem. W powietrzu wisiały kłęby papierosowego dymu, mieszając się z kwaśnymi oparami piwa. Po drugiej stronie sali widziałem Jakuba, który stał przy ladzie i płacił za drinki.

- Myślisz, że bym coś wyprosił? - spytał Lou.

Spróbowałem wyobrazić sobie, jak przede mną klęka, jak błaga mnie o pieniądze i uznałem, że obraz ten jest bardziej ponury i o wiele groźniejszy niż myśl o szantażu. Tak, bo miast do zwykłego strachu, odwoływał się do cech, które nazywałem cnotami - do litości, miłosierdzia, współczucia - i gdybym mu odmówił, osądziłbym nie jego, lecz samego siebie. Uświadomiłem sobie, że Lou najpewniej to zrobi, gdy zagrozę mu wykorzystaniem taśmy, i perspektywa wyimaginowanego spotkania sprawiła, że nagle ogarnęło mnie posępne zmęczenie.

- Nie - odrzekłem. - Chyba nie.

- W takim razie wychodzi na to, że Pederson mnie uratował, co?

Jakub już wracał, więc nie odpowiedziałem. Odsunąłem puste szklanki i kufle na brzeg stołu i oznajmiłem:

- Następna rundka, panowie.

Lou wyciągnął rękę i dotknął mojego nadgarstka. Przed chwilą trzymał kufel Jakuba i opuszki palców miał jeszcze zimne.

- Muszę mieć te pieniądze, Hank - wyszeptał szybko. - Naprawdę. Rozumiesz mnie, prawda? Nie ma w tym nic osobistego.

Patrzyłem na jego rękę. Ścisnęła mnie niczym imadło i musiałem zwalczyć w sobie pokusę, by się wyszarpnąć.

- Tak - odparłem, bo cóż mnie to kosztowało? - Rozumiem cię, Lou.

O wpół do dziesiątej wstał i ruszył chwiejnie do ubikacji. Obserwowałem go, dopóki nie znalazł się poza zasięgiem głosu. Wtedy zerknąłem na Jakuba.

- Poznasz, kiedy się solidnie wleje?

Jakub był zasmarkany. Leciało mu z nosa, górną wargę miał moką i błyszczącą od wycieranych rękawem glutów.

- Chyba tak.

- Chcę, żeby się porządnie uchlał, żeby przestał logicznie myśleć, ale żeby nie bełkotał, rozumiesz?

Jakub pociągnął łyk piwa. Okulary mu zaparowały, ale nawet tego nie zauważył.

- Jak zaczniesz bełkotać, wstaniesz i powiesz, że chcesz jechać do niego, że w samochodzie mamy butelkę whisky.

- Wiesz, ciągle nie jestem pewien, czy...

Uciszyłem go dotknięciem ręki. Z ubikacji wyszedł Lou. Zatoczył się, potknął o stół przy barze, a kiedy siedzący na stołku mężczyzna zerknął na niego przez ramię, Lou oskarżył go głośno o umyślne podstawienie nogi.

- Myślisz, że to zabawne? - spytał. - Za kogo ty się uważasz, co? Za jakiegoś komika?

Mężczyzna, młody, brodaty, znacznie od Lou wyższy i dwa razy potężniejszy, patrzył na niego z wyraźnym zdumieniem.

- Co jest zabawne? - spytał. Był zbyt zaskoczony, żeby wpaść w złość. Lou podciągnął pas.

- Podstawianie nogi facetom wychodzącym z kibla. Takie wredne, chytne sztuczki, żeby się trochę z nich ponabijać.

Brodacz odwrócił się na stołku twarzą do Lou. W barze zaległa cisza.

- Siadaj, Lou - rzucił ktoś siedzący przy pobliskim stoliku. - On cię zabije.

Ten i ów zachichotał.

Lou potoczył wzrokiem po sali.

- Podstaw mi nogę - powiedział. - Mogłem upaść i rozwalić se łeb. - Wycelował palcem w młodego brodacza. - Miałbyś radochę, co nie? Miałbyś ubaw po pachy.

Brodacz nie odpowiedział. Patrzył na palec Lou i milczał.

- Chcesz mieć radochę? - spytał Lou. - No to chodź, zabawimy się. No, chodź!

- Posłuchaj, kolego - odrzekł brodacz - chyba wypięs o jeden...

- Nie jestem twoim kolegą.

Brodacz zszedł ze stołka. Jakub natychmiast wstał.

Biorąc pod uwagę jego zwalistość oraz fakt, że był nieźle wlany, przemknął przez salę z zadziwiającą zwinnością. Stał przy Lou i położył mu rękę na ramieniu. Lou odwrócił się i twarz mu się momentalnie rozpromieniła.

- Ty jesteś moim kolegą - powiedział do brata. Spojrzał na barmana i wrzasnął: - To

jest Kuba! On jest moim kolegą! On jest moim kumplem! - Machnął ręką w moją stronę. - On też jest moim kumplem!

Jakub przeprowadził go przez salę. Zamówiłem następną kolejkę.

O jedenastej Jakub wstał i zaproponował, żebyśmy zmienili lokal i pojechali do Lou.

Mary Beth czekał w szoferce. Sprawiał wrażenie przemarzniętego i odrzuconego. Nie chciał przejść na skrzynię, więc Jakub musiał go podnieść i siłą przecisnąć przez dziurę w plastikowej płachcie zasłaniającej wybite okno. Pies zaskamlał, ale w końcu przeszedł. Lou wysikał się pod ścianą knajpy. Sikał długo, z cichym, jednostajnym sykiem.

Siadłem za kierownicą. Po południu kupiłem butelkę whisky i uruchomiwszy silnik, kazałem Jakubowi ją wyjąć i podarować Lou. Lou chętnie ją przyjął.

Była jedna z najmroźniejszych nocy roku: bezchmurne niebo, tuż nad horyzontem sierp wschodzącego księżyca, a nad księżycem migotliwa poświata gwiazd zawieszonych na czarnym aksamicie bezkresnej pustki, jaskrawych i błyszczących niczym brylanty. Droga do Ashenville była pusta i w świetle bijącym z jedyne go reflektora półciężarówki Jakuba - z lewego, bo prawy od dawna nie działał - dużo węższa niż w rzeczywistości. Do szoferki wpadał porywisty wiatr. Chłostał nam twarze, szarpał ubranie, miotał plastikową płachtą w różne strony, wywijał nią niczym wielkim pejczem.

Gdy dojeżdżaliśmy na miejsce, zgasilem reflektor, żeby nie obudzić Nancy. Zaparkowałem na podjeździe.

- No i co? - mruknął Jakub wychyliwszy się nieco, żeby na mnie spojrzeć. Siedział po prawej stronie Lou, który półzwisiał, zapierając się ręką o deskę rozdzielczą samochodu.

- Wejźmy do środka - zaproponowałem. - Nie zapomnij o butelce.

- Tak jest - poparł mnie Lou. - Nie zapomnij o flaszcze. - Klepnął mnie w kolano. - Wiesz co, stary? Jesteś w porządku. Naprawdę w porządku. Wcale nie jesteś taki zły.

Wysiedliśmy, zostawiając psa w szoferce i przecięliśmy podjazd. Weszliśmy z Jakubem do saloniku i usiedliśmy na sofie, podczas gdy Lou znowu wyszedł do ubikacji. Nie zamknął drzwi, więc słyszeliśmy, jak oddaje moc. Sikał i sikał, wydawało się, że nigdy nie skończy.

Do saloniku schodziło się po niskim stopniu tuż przy drzwiach. Pokój był szeroki, ale jakby przykrótki, z ciemnozielonym dywanem pośrodku. Stały w nim dwa miękkie fotele, czarna skórzana sofa, stary telewizor i długi, niski stolik do kawy, zavalony czasopismami. W sumie było tu trochę ładniej, niż myślałem. Ale tylko trochę.

Wyszedłszy z ubikacji, Lou poczłapał do kuchni, żeby przynieść szklanki. Gdy je przyniósł, Jakub rozlał whisky. Wypiliśmy. Nie przywykłem do mocnych alkoholi, zwłaszcza

do alkoholi nie rozcieńczonych wodą, więc paliło mnie w gardle. Zapach whisky przypomniat mi ojca całującego mnie na dobranoc: jego pochyloną głowę ukazującą się nagle nad łóżkiem, jego usta wycelowane w moje czoło, zbliżające się doń, lecz tak naprawdę nigdy go nie całujące. Może bał się mnie obudzić? Czasami nie otwierałem oczu, a wtedy jedyną oznaką obecności ojca był słodki zapach alkoholu w jego oddechu, cichutkie skrzywienie podłogi, kiedy pochylony zbliżał się do mnie i kiedy wychodził na palcach z sypialni.

Lou siedział w fotelu po drugiej stronie stolika. Wyglądało na to, że nie mają ochoty rozmawiać, ani on, ani Jakub, natomiast ja miałem, tyle że nie potrafiłem sensownie zacząć.

Zerkałem na brata, dając mu do zrozumienia, żeby mi pomógł, ale Jakub nie reagował. Oczy miał podpuchnięte od alkoholu, głowę opuszczoną, jakby zasypiał.

Siedzieliśmy tak przez dobrych kilka minut. Nagle Lou zarechotał i spytał Jakuba, jak się nazywa kaleki pływak, taki bez rąk i nóg.

- Bob - odrzekł Jakub i obaj ryknęli gromkim śmiechem.

Zacząli gadać o Bobie, o facecie, którego nie znałem. Był przyjacielem Lou i rok wcześniej, pracując na budowie, stracił w wypadku ramię; wrzucał do rębarki drewno i wciągnęło mu rękę. Rozważali, czy to jego czy nie jego wina. Lou twierdził, że jego, bo został kaleką przez własną nieostrożność i głupotę, ale Jakub się z nim nie zgadzał. Bob pracował teraz w sklepie z częściami samochodowymi. Powiedział Lou, że jego ramię ważyło cztery i pół kilo, bo dokładnie o tyle mniej ważył po wypadku.

Siedziałem, sącząc spokojnie whisky i co jakiś czas dotykałem palcami magnetofonu ukrytego w kieszeni koszuli. Wyglądało na to, że Jakub i Lou o mnie zapomnieli, bo gadali i gadali, jakby mnie tam w ogóle nie było. Po raz pierwszy miałem okazję usłyszeć, jak z sobą rozmawiają, sprawdzić, na czym polega ich przyjaźń, i muszę przyznać, że było to doświadczenie jedyne w swoim rodzaju. Z ich dialogu wychwytywałem coś - może burkliwość czy raczej chrapliwość pytań, długie oczekiwanie na odpowiedź? - co przypominało mi rozmowy, jakie prowadził ojciec ze swoimi przyjaciółmi. Zawsze wyobrażałem sobie, że tak rozmawiają prawdziwi mężczyźni, że właśnie tak powinni rozmawiać, i nagle ujrzałem Jakuba w zupełnie innym świetle i chyba po raz pierwszy w życiu wydał mi się dojrzały, bardziej męski ode mnie.

Kiedy odstawiłem pustą szklanekę, brat dolał mi whisky.

Zacząli się kłócić o nazwę Diabelskiego Jeziora, gdzie często jeździli na ryby. Jakub utrzymywał, że jezioro ma kształt rogatego łba, ale Lou mu nie wierzył.

Alkohol buzował we mnie gorącą strugą, a kiedy to zauważyłem, kiedy się ocknąłem, wstrząsnął mną gwałtowny dreszcz. Jakbym usłyszał przeraźliwe dzwonicie na alarm,

przenikliwy sygnał ostrzegawczy, bo wiedziałem, że jeśli się upiję, zawalę na całego. Musiałem myśleć trzeźwo, musiałem precyzyjnie dobierać słowa, musiałem działać dokładnie według planu.

Odstawiłem szklanekę na stolik i skupiłem myśli, próbując znaleźć sposób na włączenie się do rozmowy.

Szukałem odpowiedniego pytania, stwierdzenia, choćby jednego słowa, delikatnego i subtelnego, które skierowałoby konwersację na temat Pedersona i pieniędzy. Szukałem i szukałem, wyteżądałem umysł, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Z maniackalnym uporem wracałem myślą do Boba, który stracił ramię, i jak idiota zastanawiałem się, ile by ważyło moje, gdybym je sobie odrąbał, gdybym położył je sobie na kolanach. W końcu zdesperowany palnąłem:

- A gdybym tak się przyznał?

Powiedziałem to głośno, prawie krzyknąłem, czym zaskoczyłem Lou, Jakuba i siebie samego. Popatrzyli na mnie zdumieni.

- Przyznał się? - powtórzył z uśmiechem Lou. Był pijany i pewnie myślał, że ja też jestem na niezłym gazie.

- Możecie to sobie wyobrazić? - wybełkotałem. - Że się przyznaję?,

- Do czego?

- Jak to do czego? Do kradzieży szmalu i zamordowania Pedersona.

Ciągle się do mnie uśmiechał.

- Chcesz się przyznać, Hank?

Pokręciłem głową.

- Nie. Chcę wiedzieć, czy możecie sobie wyobrazić, jak to robię, jak się przyznaję.

- No jasne - odrzekł. - Pewnie.

- A ty? - spytałem Jakuba. Póллеżał obok mnie, oglądając swoje ręce.

- Chyba tak. - Powiedział to szybko i piskliwie.

- No to jak bym to zrobił?

Brat obrzucił mnie błagalnym spojrzeniem. Nie, nie chciał odpowiadać.

- Po prostu - wyręczył go Lou. - Poszedłbyś do szeryfa, a przy okazji doniósłbyś na nas, żeby spojrzeli na ciebie łaskawszym okiem.

- Ale co bym mu powiedział?

- Prawdę. Że udusiłeś go szalikiem.

Siedzący na sofie Jakub zeszytniał. To, że Lou wiedział o szaliku, mogło oznaczać tylko jedno: brat zdradził mu, w jaki sposób zamordowałem Pedersona. Na początku Lou

mógł się tego tylko domyślać, ale Jakub widocznie nie wytrzymał i opowiedział mu całą historię z najdrobniejszymi detalami. Odnotowałem to sobie i zachowałem w pamięci. Ten problem mogłem załatwić później.

- Tak? - mruknąłem. - No to udaj, że jesteś mną. Jakub będzie szeryfem. Przychodzisz do jego biura, żeby się przyznać.

Otakował mnie podejrzliwym spojrzeniem.

- Mam udawać, że jestem tobą? Po cholere?

- Chcę się przekonać, jak dobrze mnie znasz, czy wiesz, co bym powiedział.

- Już ci mówiłem. Powiedziałbyś, że udusiłeś go szalikiem.

- Nie tak. Masz być mną, kapujesz? Zagraj jak aktor na scenie.

- Śmiało, Lou, wal - zachęcał go Jakub. Zerknął na mnie i nerwowo zachichotał. - Odegraj rolę pana księgowego.

Lou wyszczerzył zęby, pociągnął ze szklaneczki i wstał. Udał, że puka do drzwi.

- Panie Jenkins! - zawołał. - Szeryfie Jenkins, jest pan tam? - Podniósł głos, zapiszczał niepewnie, jak zdenerwowane dziecko.

- Tak? - odpowiedział Jakub głębokim, władcym barytonem.

- To ja, Hank Mitchell. Muszę coś panu powiedzieć.

- Wejdz, Hank - zadudnił Jakub. - Siadaj.

Lou otworzył nie istniejące drzwi, przez chwilę drobił w miejscu, uśmiechając się jak kretyn, potem usiadł na brzeżku fotela, złączył skromnie nogi, a ręce położył na kolanach.

- Chodzi o Dwighta Pedersona, panie szeryfie - zaczął.

Podrapałem się nerwowo w pierś. Nacisnąłem przycisk nagrywania i taśma ruszyła z cichutkim szumem.

- Słucham, Hank.

- Widzi pan, to nie był wypadek.

- Nie rozumiem...

Lou rozejrzał się nerwowo po pokoju i szepnął:

- Zabiłem go.

Nastąpiła chwila ciszy, bo czekał na odpowiedź Jakuba. Brat miał nadzieję - tak przynajmniej myślę - że zadowoli mnie to krótkie „Zabiłem go” i że w tym miejscu przerwę przedstawienie, ale potrzebowałem czegoś więcej. Lou musiał opisać, jak to zrobił.

- Zabiłeś Dwighta Pedersona? - spytał w końcu Jakub, udając zaszokowanego. Lou kiwnął głową.

- Udusiłem go jego własnym szalikiem, a ciało zepchnąłem z mostu do Anders Greek.

Żeby wyglądało na wypadek.

Jakub zamilkł. Ze sposobu, w jaki siedział, wywnioskowałem, że nie powie nic więcej, więc wyłączyłem magnetofon. Uznałem, że wyciągnęliśmy z Lou to, co chcieliśmy z niego wyciągnąć: jeśli jakiegokolwiek nagranie mogło zmusić Lou do spolegliwego milczenia, moja taśma na pewno go do tego zmusi.

- Dobra - powiedziałem - wystarczy. Lou potrząsnął głową.

- Czekaj, dodam jeszcze, że chcesz zeznawać przeciwko nam. - Machnął ręką w stronę Jakuba. - Dalej, Kuba, zadawaj pytania.

Brat nie zareagował. Sięgnął po szklanekę, upił duży łyk whisky i wytarł rękawem usta. Wyjąłem z kieszeni magnetofon i przewinałem taśmę.

- Co to jest? - spytał Lou.

- Magnetofon - odrzekłem. Taśma się przewinęła i urządzenie cichutko pstryknęło.

- Magnetofon? - powtórzył brat, udając skonsternowanego.

Wcisnąłem guzik odtwarzania, podkręciłem głośność i postawiłem magnetofon na stoliku. Najpierw rozległ się syk, a kilka sekund później z głośniczka zabrzmiał głos Jakuba:

„Słucham, Hank”.

„Widzi pan, to nie był wypadek” - odpowiedział mu głos Lou.

„Nie rozumiem...”

„Zabiłem go”.

„Zabiłeś Dwighta Pedersona?”

„Uduśiłem go jego własnym szalikiem, a ciało zepchnąłem z mostu do Anders Creek.

Żeby wyglądało na wypadek”.

Wcisnąłem przycisk i przewinałem taśmę.

- Nagrałeś nas? - spytał Jakub.

- Co ty, kurwa, robisz, Hank? - mruknął Lou.

- Mam tu twoje przyznanie się do winy - odrzekłem z uśmiechem. - Opisujesz w nim, w jaki sposób zamordowałeś Dwighta Pedersona.

Gapił się na mnie oszołomiony.

- Przecież to ty, udawałem, że jestem tobą...

Pochyliłem się, po raz drugi wcisnąłem przycisk i po raz drugi odtworzyłem nagraną rozmowę. Patrzyliśmy na gadające pudełeczko i słuchaliśmy. Później pstryknąłem guzikiem zatrzymywania taśmy i spytałem:

- To chyba twój głos, Lou, nie mój, prawda?

Nie odpowiedział. Był mocno pijany, mimo to resztki zachowanej świadomości

mówiły mu, że powinien mieć do mnie pretensję. Ale o co? Tego już - a raczej jeszcze - nie wiedział.

- Pieniądze podzielimy latem, Lou, nie wcześniej - oznajmiłem.

Wyglądało na to, że jest autentycznie zdumiony moimi słowami.

- Przecież powiedziałeś, że w przyszłym tygodniu.

Pokręciłem głową.

- Nic z tego. Podzielimy je dopiero wtedy, gdy znajdą samolot. Zgodnie z pierwotnym planem.

- Hank, ja tej forsy potrzebuję teraz. - Spojrzał na Jakuba, szukając u niego pomocy, ale Jakub milczał wbijając wzrok w magnetofon, jakby jeszcze nie otrząsnął się z szoku, że urządzenie w ogóle tam jest.

- Sypnę - wyszeptał Lou. - Jak Boga kocham, powiem szeryfowi o Pedersonie. - I chyba dopiero w tym momencie zrozumiał, dlaczego go nagrałem. Obdarzył mnie szyderczym uśmiechem. - Nikt ci nie uwierzy. Przecież słyhać, że to tylko wygłupy.

- Lou, załóżmy, że jutro pójdziemy do szeryfa Jenkinsa, ty i ja, i załóżmy, że zaczniemy się wzajemnie oskarżać o zabójstwo starego Pedersona. Jak myślisz, komu szeryf uwierzy? Tobie czy mnie?

Milczał, więc odpowiedziałem za niego.

- Uwierzy mnie, Lou, mnie. I dobrze o tym wiesz.

- A zesz ty... - Pochylił się do przodu, żeby chwycić magnetofon, ale uprzedziłem go i schowałem urządzenie do kieszeni.

- Nic nie powiesz, Lou. Nikomu.

Wstał. Wyglądało na to, że chce obejść stół i mnie dopaść, więc szybko wstałem. Tak naprawdę to nic mi nie groziło - był ode mnie niższy, w dodatku pijany - lecz perspektywa wymiany ciosów trochę mnie przestraszyła i zdecydowałem, że jeśli przyjdzie co do czego, natychmiast dam nogę: przebiegnę przez salonik, otworzę drzwi i zniknę na dworze. Zdobyłem to, po co tu przyjechałem, i pragnąłem tylko jednego: jak najprędzej wrócić do domu.

Lou łypnął na mnie z drugiej strony stolika i dał znak Jakubowi.

- Trzymaj go, Kuba! - warknął.

Brat drgnął, zsunął się z sofy.

- Kogo? - wykrztusił nieprzytomnie.

- Usiądź, Lou - powiedziałem.

- Na co czekasz, Kuba? Pomóż mi.

W salonie zaległa nabrzmiała cisza, bo obaj czekali na reakcję mojego brata.

Jakub skurczył się, skulił i niczym żółw wciągnął głowę między ramiona. Nadszedł moment, który gnębił go przez cały wieczór, chwila, kiedy musiał w konkretny sposób wesprzeć któregoś z nas, Lou albo mnie, kiedy musiał dokonać publicznego wyboru.

- Hank nie chce zrobić ci krzywdy, Lou - wyszeptał z żalną nieśmiałością. - Chodziło mu tylko o to, żebyś ty nie skrzywdził jego.

Lou aż zamrugał ze zdumienia.

- Że co?

- Jeśli na niego nie doniesiesz, Hank jej nie wykorzysta. To chyba w porządku, co nie?

Jego słowa były jak maleńkie kuleczki śrutu: tryskały z ust Jakuba i wbijały się w skórę Lou, piekąc go i raniąc. Zachwiał się lekko, przybrał obojętny wyraz twarzy.

- Jesteście w zмовie, co? - spytał. Jakub zamilkł.

- Daj spokój - odrzekłem. - Usiądźmy, pogadajmy. Nadal jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

- Wrobiliście mnie - wychrypiał. - Obaj. - Cały zeszywniał. Na jego szyi zadrgały mięśnie, których nigdy dotąd nie zauważyłem. - I to gdzie, kurwa! W moim własnym domu. - Zacisnął pięści, zastrzygł oczami, jakby chciał coś albo kogoś uderzyć. - Udaj, że jesteś mną - wybełkotał, naśladując mój głos. Spojrzał na Jakuba. - Jakub będzie szeryfem - prychnął.

- Ja nic... - wymamrotał brat, ale Lou nie pozwolił mu dokończyć.

- Nie kłam, Kuba. - Powiedział to nieco ciszej, głosem człowieka urażonego i zdradzonego. - Tylko pogarszasz sytuację.

- Może Hank ma rację? - szepnął Jakub. - Może lepiej poczekać, aż znajdą samolot?

- Wiedziałaś?

- Wytrzymasz, Lou, dasz radę. Pomogę ci, zobaczysz. Pożyczę...

- Pomożesz mi?! Ty?! - Lou prawie się uśmiechnął. - Co ty, kurwa, pierdolisz? Jak mi możesz pomóc?

- Posłuchaj, Lou - wtrąciłem. - Jakub nic nie wiedział. To był mój pomysł.

Nawet nie raczył na mnie spojrzeć. Przeszył wzrokiem mojego brata i wycelował w niego palec.

- Gadaj - wycodził. - Gadaj prawdę. Jakub oblizał wargi. Zerknął na swoją szklankę, ale szklanka była pusta. Odstawił ją na stolik.

- Obiecał, że pomoże odkupić moją farmę.

- Twoją farmę? O czym ty, kurwa, mówisz?

- Farmę mojego ojca.

- Zmusiłem go do tego - wtrąciłem szybko. - Powiedziałem, że nie odkupi tej farmy, chyba że pomoże mi cię podejść.

I tym razem mnie zignorował. Jakbym przestał istnieć.

- A więc wiedziałeś? - spytał Jakuba. Brat kiwnął głową.

- Wiedziałem.

Niespiesznie, gestem podniosłym, nawet majestatycznym, Lou wskazał drzwi. Wyrzucił nas z domu niczym król skazujący na banicję dwóch zdrajców.

- Precz! - rozkazał.

Dokładnie o to mi chodziło. Pomyślałem sobie, że jeśli zdążymy wyjść, jeśli zdążymy wsiąść do samochodu i odjechać, zanim któryś z nas wypowie słowa, których rano gorzko pożałuje, wszystko będzie dobrze.

- Chodź, Jakub - powiedziałem, ale brat ani drgnął. Całą uwagę skoncentrował na Lou. Pochylił się ku niemu w niemym, błagalnym geście.

- Nie rozumiesz, że... - szepnął, lecz Lou nie pozwolił mu dokończyć.

- Precz z mojego domu! - krzyknął. Na szyi znowu zagrały mu powrozy mięśni.

Wziąłem z sofy swoją kurtkę.

- Idziemy, Jakub.

Brat się nie poruszył, więc Lou zaczął wrzeszczeć.

- Won! - Tupnął nogą. - Won stąd! Ale już!

- Lou?

Zastygliśmy bez ruchu, zamarliśmy. To była Nancy. Obudziliśmy ją. Jej głos dochodził z góry i brzmiało to tak, jakby przemówił do nas sufit domu.

- Jakub! - warknąłem rozkazująco i tym razem wstał.

- Lou? - zawołała wyraźnie rozsierdzona Nancy. - Co tam się dzieje?

Lou cofnął się, wyszedł z saloniku i stanął przy drzwiach, u stóp schodów.

- Podpuścili mnie! - krzyknął.

- Rano idę do pracy. Nie możecie tak wrzeszczeć.

- Oszukali mnie, kazali mi się przyznać!

- Co?

- Nie dadzą nam pieniędzy!

Nancy nic z tego nie rozumiała.

- Dlaczego nie pójdziecie do Jakuba?

Lou stał tam przez kilka sekund, chwiejąc się lekko. Nagle, podjąwszy jakąś decyzję, ruszył korytarzem w stronę ubikacji. Nałożyliśmy kurtki. Szybko podszedłem do drzwi, Jakub

za mną. Chciałem uciec, zanim Lou wróci.

- Lou? - To znowu Nancy.

Otworzyłem drzwi i właśnie miałem wyjść na dwór, gdy wtem z lewej strony dobiegł mnie jakiś hałas. To był Lou. Nie poszedł do ubikacji, jak myślałem - poszedł do garażu i wrócił ze strzelbą. Niósł ją, wciskając naboje do magazynka.

- On ma broń - szepnął Jakub. Pchnął mnie w plecy, żebym wyszedł na ganek, a kiedy nie ruszyłem się z miejsca, minął mnie i wyskoczył za próg. Na podjeździe zaczął biec.

Stałem i patrzyłem na Lou. Drzwi do garażu zostawił otwarte, więc wyglądało to tak, jakby wychynął z czarnej otchłani niczym troll z mrocznego leża. Byłem pewien, że zdołam go jakoś uspokoić.

- Co ty wyprawiasz, Lou? - spytałem. Zachowywał się głupio, jak skrzywdzone dziecko w napadzie niepohamowanej złości.

Nancy znowu go zawołała. Jej głos brzmiał sennie, jakby lada chwila miała zasnąć.

- Lou?

Nie zwracał na to uwagi. Przystanął półtora metra ode mnie, podniósł strzelbę i wycelował w moją pierś.

- Dawaj taśmę - zażądał.

Pokręciłem głową.

- Odłóż broń, pogadamy.

Słyszałem, jak Jakub otwiera drzwi szoferki. Chwila ciszy, po czym je zatrzasnął. Pamiętam, pomyślałem wtedy, że mnie zostawia. Tak, zostawiał mnie, uciekał. Czekałem tylko na zgrzytliwy warkot silnika, na chrzęst opon rozgniatających żwir na podjeździe. Czekałem, lecz się nie doczekałem. Zamiast tego usłyszałem ciężki tupot jego buciorów: wracał do mnie, a kiedy spojrzałem przez ramię, zobaczyłem, że biegnie ze strzelbą w wyciągniętych przed siebie rękach. Wracał, żeby mnie bronić. Mój starszy brat. Po tylu latach.

Wszystko było nie tak, tak bardzo nie tak, że w pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć w realność tego, co się dzieje. Przed oczyma stanął mi widok małego Jakuba bawiącego się w wojsko, w tej sytuacji widok zupełnie absurdalny: wybiega z ukrycia na łące, na skraju łąki przystaje z wahaniem, jak prawdziwy żołnierz, potem kieruje się w stronę domu, sapiąc z wysiłku jak lokomotywa. W rękach ściska pistolet maszynowy z plastiku, na głowie ma hełm, prawdziwy, od wujka, który walczył w drugiej wojnie światowej. Hełm jest o wiele za duży, więc to opada mu na oczy, to zsuwa się na kark, a Jakub ciągle go poprawia. Wciąż biegnie, chce mnie dopaść, bo to przecież chłopięca zabawa w wojnę. Dokładnie tak samo wyglądał Lou tam, na podjeździe przed gankiem: był poważny, lecz poważny komicznie, jakbyśmy się

tylko bawili.

Na jego widok, na widok strzelby w jego rękach, ogarnęło mnie przerażenie. Przerażenie fizyczne, namacalne, promieniujące elektrycznością, którą czułem w opuszkach palców. Spróbowałem powstrzymać go gestem ręki; przystanął na podjeździe sześć metrów za moimi plecami. Słyszałem jak dyszy, jak sapie w ciemności. Obróciłem głowę i spojrzałem na Lou, usiłując wypełnić sobą całe drzwi. Nie mogłem pozwolić, żeby zobaczył Jakuba, bo gdyby go dostrzegł, gdyby stanęli naprzeciwko siebie z bronią w rękę, straciłbym panowanie nad sytuacją, a wtedy mogłoby zdarzyć się wszystko.

- Oddaj taśmę, Hank - powtórzył Lou. Głos miał zdumiewająco spokojny, co wskazywało, że tli się w nim iskierka samokontroli, a to z kolei momentalnie natchnęło mnie otuchą i wiarą w pomyślne zakończenie konfliktu.

- Lou - zaproponowałem - może pogadamy o tym rano? Rano będziemy spokojniejsi, na pewno coś uradzimy.

Pokręcił głową.

- Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie oddasz taśmy.

- Hank? - zawołał z podjazdu Jakub. - Wszystko w porządku, Hank?

- Zaczekaj w samochodzie, Jakub.

Lou wyciągnął szyję, żeby go zobaczyć, ale zasłoniłem mu widok. Zrobiłem krok do tyłu i zamykając za sobą drzwi, wyszedłem na ganek. Chciałem ich rozdzielić, utrzymać na dystans, lecz Lou źle mnie zrozumiał. Myślał, że próbuję uciec, że się go boję, co dodało mu pewności siebie. Dopadł drzwi, chwycił za krawędź prawą ręką, szarpnął, otworzył je na oścież i zaczął wywijać strzelbę przed moimi oczyma.

- Powiedziałem, że nie wyjdiesz stąd, dopóki...

- Zostaw go! - krzyknął Jakub.

Zaskoczony Lou zamarł i obaj odwróciliśmy się, by spojrzeć na mojego brata. Stał, przyciskając kolbę strzelby do ramienia i celował w głowę swego przyjaciela.

- Przestań! - warknąłem. - Wracaj do samochodu.

Jakub ani drgnął. Mierzył wzrokiem Lou, Lou mierzył jego. Zepchnęli mnie na pobocze, byłem tylko rekwizytem w ich prywatnej tragedii.

- Chcesz mnie zastrzelić, Kuba? - spytał Lou i nagle obaj zaczęli na siebie wrzeszczeć, przekrzykiwać jeden drugiego. Jakub chciał, żeby Lou dał mi święty spokój, żeby odłożył broń, krzyczał, że nie chce zrobić mu krzywdy. Lou wyrzaskiwał coś o przyjaźni, o tym, że bardzo potrzebuje pieniędzy, wyrzucał mu, że go oszukaliśmy, że podeszliśmy go w jego własnym domu, groził, że jeśli nie oddam taśmy, to mnie zabije.

- Ciiicho - powtarzałem błagalnie - ciiicho. - Ale nie zwracali na mnie uwagi.

Kiedy tak na siebie krzyczeli, zobaczyłem, że w jednym z okien na górze zapaliło się światło. Zadarłem głowę z nadzieją, że ujrzę w nim Nancy, że jej głos - niczym głos anielicy przemawiającej do nas z niebios uciszy ich, położy kres temu szaleństwu, że pod jego wpływem odłożą broń. Ale nie, nie otworzyła okna - otworzyła drzwi sypialni, wyszła na korytarz i przystanąła u szczytu schodów.

- Lou?

Nie widziałem jej, lecz po głosie mogłem sobie wyobrazić, jak wygląda: była najpewniej rozespana, zdezorientowana, włosy miała potargane, zmierzwione i zmatowiałe, oczy podpuchnięte.

Lou natychmiast zamilkł, a kiedy zamilkł, Jakub też przestał wrzeszczeć. W uszach dzwoniło mi od krzyku.

Zdawało się, że noc zaczyna osiadać wokół nas niczym małe, delikatne płatki śniegu.

Nancy zeszła kilka stopni w dół. Tuż pod górną belką futryny dostrzegłem jej stopę, bosą i bardzo małą.

- Co się tu dzieje?

Lou miał jaskrawoczerwoną twarz i rozszerzone nozdrza, z trudem chwycił oddech. Celował w sam środek mojej piersi, ale na mnie nie patrzył. Patrzył na Jakuba.

- Ty zasrańcu! - syknął. - Ty gnoju pierdolony!

- Przeniósł wzrok na mnie. - I ty. Udawaliście, że jesteście moimi przyjaciółmi. - Podniósł strzelbę, wymierzył w moją twarz. - Powinienem rozpieprzyć ci za to łeb, ty chuju!

- Daj spokój, Lou - odparłem, panując nad głosem.

- Przecież możemy to jeszcze omówić.

Nie wierzyłem, że do mnie strzeli, nie, myślałem, że to tylko pogrożki, poszczekiwanie dużego, ale w sumie niegroźnego psa. Obecność Nancy była bardzo korzystna, bo wiedziałem, że gdybyśmy jej tylko pozwolili, zażegnałaby niebezpieczeństwo. Tak, jeszcze kilka sekund, myślałem, i Lou opuści broń. Nancy zaciągnie go do sypialni i wszystko się skończy.

Nancy zeszła jeszcze niżej, bo teraz widziałem już obie stopy i kawałek białej łydki.

- Odłóż strzelbę, kochanie. - Łagodność jej głosu podziałała na mnie jak balsam. Odprężyłem się i wyluzowałem.

Ale Lou potrząsnął głową.

- Wracaj do łóżka! - Przeładował strzelbę i znowu wymierzył w moją twarz. - Zastrzelę tych sukinsynów jak...

Nie dokończył. Na podjeździe huknęło, niebieskawo błysnęło, coś syknęło tuż nad moim lewym ramieniem. Odruchowo zamknąłem oczy, przykucnąłem i usłyszałem, jak strzelba Lou klekoce na drewnianej podłodze.

Podniosłem głowę. Lou zniknął.

Upłynęła najwyżej sekunda, nim Nancy zaczęła krzyczeć. Zdążyłem jeszcze usłyszeć leciutkie westchnienie wiatru między nagimi gałęziami drzew, lecz nie zdążyło na dobre ucichnąć, gdy buchnął ten straszny krzyk. Wypełnił cały dom, napierał, atakował ściany i dach.

- Neeeeeeee! - wrzeszczała. Wrzeszczała długo, bardzo długo, dopóki nie zbrakło jej tchu, więc nabrała powietrza i zaczęła znowu: - Neeeeeeee!

I już wiedziałem, co się stało. Domyśliłem się tego po absolutnym bezruchu za moimi plecami, po niewysłowionym koszmarze, który ten bezruch zapowiadał.

Mój brat zastrzelił Lou.

Zrobiłem krok do przodu, wszedłem do środka i wtedy go zobaczyłem. Leżał na plecach, tuż za progiem. Kula trafiła go w czoło, kilka centymetrów nad okiem. Otwór na czole był niewielki, ale na podłodze zebrała się spora kałuża krwi, ściekającej do saloniku, więc dziura w potylicy musiała być znacznie większa. Twarz miał zupełnie bez wyrazu, niemal spokojną. Rozchylone usta, odsłonięte zęby, głowa lekko odchylona do tyłu - wyglądał, jakby zaraz miał kichnąć. Prawą rękę odrzucił na bok, lewą zasłonił serce. Strzelba leżała u jego boku.

Oczywiście już nie żył. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości: Jakub go zabił. No i tak, pomyślałem. Ile to trwało? Sekundę? Dwie? Dwie sekundy i koniec. Teraz wszystko się wyda, na światło dzienne wyjdą wszystkie nasze tajemnice, nasze przestępstwa i zbrodnie. Nie daliśmy rady. Nie zapanowaliśmy nad sytuacją.

Nancy schodziła ze schodów bardzo powoli, stopień po stopniu. Była kobietą dużą, tęgawą, masywniejszą niż Lou. Włosy sięgające ramion ufarbowała na pomarańczowo i dlatego rzucały się w oczy. Wzrok utkwiała w ciele Lou, usta zasłoniła ręką. Podchodziła do niego jak zahipnotyzowana, jak w transie. Patrzyłem na nią i wydawało mi się, że widzę wszystko z pewnej odległości, że oglądam ją zza grubej tafli szkła.

- O mój Boże... - Powiedziała to ze zdwojoną prędkością, tak że trzy słowa zlały się w jedno. I w kółko je powtarzała: - O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże...

Miała na sobie podkoszulek z klubowym godłem „tygrysów” z Detroit. Był bardzo długi, zakrywał jej uda. Pod materiałem widziałem piersi, wielkie i ciężkie. Kołysały się, gdy szła.

Zerknąłem w stronę drzwi. Jakub wciąż stał na podjeździe, niczym kamienna rzeźba. Spoglądał na ganek, jakby czekał, aż Lou wstanie.

Nancy zeszła na dół. Ukucnęła, w tej pozycji niezdarnie dotarła do drzwi i pochyliła się nad zwłokami Lou. Nie dotknęła ich. Wciąż zasłaniała ręką usta i ten widok wyzwolił we mnie żal i współczucie. Zrobiłem krok do przodu, wyciągnąłem ramiona, żeby ją objąć, przytulić, ale zobaczyła mnie, zerwała się na równe nogi i odskoczyła w stronę saloniku.

- Nie dotykaj mnie - fuknęła. Nogi miała jak słupy, jak grubo ciosane kolumny z białego marmuru. Zaczęła cicho popłakiwać. Po obu stronach nosa spłynęły szybko dwie łzy, jakby urządziły sobie wyścig.

Chciałem jej powiedzieć coś kojącego, coś pocieszającego, lecz zdołałem wymyślić jedynie bezsensowne kłamstwo.

- Wszystko w porządku, Nancy, wszystko w porządku...

Nie zareagowała. Patrzyła w stronę drzwi, a gdy poszedłem za jej wzrokiem, zobaczyłem w progu Jakuba, który stał tam z twarzą sklepowego manekina, czule tuląc do piersi strzelbę.

- Dlaczego? - spytała Nancy.

Musiał odchrząknąć, zanim odpowiedział.

- Chciał zastrzelić Hankę.

Głos brata wyrwał mnie z odrętwienia. Zacząłem gorączkowo myśleć, a myśli, roztrzępote niczym ogarnięte trwogą motyle, powoli obrastały pełną świadomością. Doszedłem do wniosku, że jeśli będziemy z sobą współpracować, zdołamy coś z tego koszmaru ocalić. Tak, mogliśmy ocalić... pieniądze. Wszystko zależało od tego, czy dojdziemy do porozumienia i zgodzimy się spojrzeć na pewne sprawy w określony sposób.

- Nikogo nie chciał zastrzelić - odparła. Patrzyła na Lou. Kałuża krwi na podłodze robiła się coraz większa.

- Nancy - powiedziałem - wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Jakoś z tego wybrniemy. - Próbowałem ją uspokoić.

- Zabiłeś go - skostatowała z niedowierzaniem. Wycelowała palec w Jakuba. - Ty go zabiłeś! Brat milczał. I wciąż tulił do piersi strzelbę. Obszedłem kałużę krwi. Chciałem podejść do Nancy.

- Wezwiemy policję - tłumaczyłem. - Powiemy, że Jakub działał w samoobronie.

Spojrzała w moją stronę, ale nie patrzyła na mnie. I chyba nie rozumiała, o czym mówię.

- Powiemy, że Lou był pijany, że dostał szału, że chciał zastrzelić Jakuba...

- Lou nikogo nie chciał zastrzelić - powtórzyła z uporem.

- Nancy - dodałem - wciąż mamy pieniądze, możemy je ocalić...

Jakbym trzasnął ją w twarz.

- Skurwysyny - syknęła. - Zabiliście go dla pieniędzy, tak?

- Ciiicho... - Zrobiłem łagodny gest ręką, chcąc ją uspokoić, ale wykrzywiła wściekle twarz i ruszyła na mnie z zaciśniętymi pięściami. Zacząłem się cofać.

- Myślicie, że pozwolę wam te pieniądze zatrzymać? - warknęła. - Sukinsyny, parszywcy...

Wycofywałem się do drzwi, za zwłoki Lou, do miejsca, gdzie stał Jakub, a ona szła, wrzeszczała, wyzywała mnie, krzyczała o pieniądzach. Mijając ciało Lou, potknęła się o strzelbę i kopnęła ją bosą stopą. Strzelba zaklekotała metalicznie, sunąc po drewnianej klepce, i wszyscy wbiliśmy w nią wzrok.

Nancy przystanęła, znieruchomiała nagle zamyślona, zaczęła się po nią schylać.

Skoczyłem do przodu. Nie, broń Boże nie chciałem jej grozić, chciałem ją tylko wyprzedzić. Chwyciliśmy broń oboje, ona i ja. Nastąpiła krótka szamotanina. Strzelba była czarna, wysmarowana tłustym smarem i zaskakująco ciężka. Pchnąłem, szarpnąłem, znowu pchnąłem i Nancy wypuściła ją z rąk. Zatoczyła się do tyłu, upadła na schody, zasłoniła rękami głowę i zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

Doznałem szoku. Chryste, bała się mnie, myślała, że chcę ją zastrzelić.

- Nancy... - Przykucnąłem, żeby położyć broń na podłodze. - Nancy, uspokój się, nic ci nie zrobię. Zaczęła czołgać się po schodach na górę.

- Zaczekaj - prosiłem. - Zaczekaj...

Ale Nancy mnie nie słyszała. Stopień po stopniu posuwała się coraz wyżej i wyżej, więc ruszyłem za nią ze strzelbą w ręku.

- Nie - szepnęła. - Nie...

- Nancy, chcę tylko porozmawiać, nic więcej.

Dotarła na szczyt schodów, wstała, skręciła w prawo i puściła się biegiem. Przeskoczyłem kilka ostatnich stopni i pognałem za nią. Sypialnia była na samym końcu korytarza. Otwarte drzwi, w środku światło. Dostrzegłem krawędź łóżka.

- Zaczekaj! - krzyknąłem. - Nic ci nie zrobię!

Dopadła drzwi i próbowała je zatrzasnąć, lecz deptałem jej po piętach: napałem na nie ramieniem i silnie pchnąłem. Nancy cofnęła się.

Sypialnia była większa, niż tego oczekiwałem. Dokładnie naprzeciwko nas, przy samej ścianie, stało łóżko wodne. Po lewej stronie - dwa fotele i telewizor na stoliku. Za

fotelami zobaczyłem zamknięte drzwi; musiały prowadzić do łazienki. Po prawej, też przy samej ścianie - dwie olbrzymie komody i toaletka. I jeszcze jedno drzwi, otwarte - te prowadziły do dużej garderoby; wisiały w niej sukienki.

- Chcę tylko porozmawiać - szepnąłem. - Porozmawiamy?

Opadła na łóżko i niczym niezdarny krab zaczęła po nim pełznąć. Dobiegł mnie plusk wody. Materac rozkołysał się i ciężko zafalował.

Zdałem sobie sprawę, że śledzę jej ruchy lufą strzelby, więc czym prędzej broń przełożyłem do lewej ręki, a prawą uniosłem, by dać jej do zrozumienia, że nie mam zamiaru strzelać.

- Nancy...

- Zostaw mnie! - wrzasnęła. Dotarła do wezgłowia i utknęła jak w pułapce. Twarz miała mokrą od łez. Otarła ją wierzchem dłoni.

- Przrzekam, że nie zrobię ci krzywdy. Chcę tylko...

- Wynoś się! - załkała.

- Musimy wszystko starannie przemyśleć. Musimy się uspokoić i...

Nagle prawą rękę błyskawicznie wyciągnęła w stronę nocnego stolika. Myślałem, że sięga po słuchawkę telefonu, żeby wezwać policję, więc zrobiłem szybki krok do przodu, by jej to uniemożliwić. Ale nie, Nancy nie sięgała po telefon - sięgała do szufladki. Przestraszona otworzyła ją jednym szarpnięciem, wsunęła dłoń do środka i nie spuszczać ze mnie oczu, chwilę w niej macała. Z szufladki wypadła paczka chusteczek higienicznych. Pacnęła na podłogę, a zaraz za chusteczkami z szuflady wychynęła dłoń Nancy uzbrojona w mały czarny pistolet. Ścisnęła go za lufę.

- Nie - szepnąłem, cofając się do drzwi. - Nie rób tego, Nancy...

Zgięła ramię w łokciu, chwyciła pistolet za rękojeść, uniosła go i wycelowała w mój brzuch.

Mózg zaczął wysyłać do mięśni setki sprzecznych z sobą rozkazów, rozkazów niejasnych, zakłóconych, logicznych i nielogicznych: nakazywał szybki skok do przodu, ręką kazał wyrwać Nancy pistolet, nogom wmawiał, że najlepiej stamtąd uciec albo stanąć za drzwiami. Lecz ciało nie reagowało, ciało żyło własnym życiem. Ręce podniosły strzelbę i przyłożyły ją do ramienia. Palec wskazujący odnalazł zimny języczek spustu i bez wahania go pociągnął.

Broń wypaliła. Pocisk cisnął Nancy na wezgłowie łóżka. Z przebitego materaca wytrysnęła maleńka fontanna wody.

Znieruchomiałem zaszokowany. Cichy szmer opadającej na prześcieradło wody

przypominał odgłos towarzyszący oddawaniu moczu. Nancy przekreśliła się na bok, balansowała chwilę na krawędzi łóżka i z głuchym łomotem spadła na podłogę. Wszystko było we krwi: prześcieradło, poduszki, wezgłowie, ściana, podłoga.

- Hank? - zawołał z dołu Jakub. Głos miał przerażony, niepewny.

Nie odpowiedziałem. Mój umysł usiłował wchłonąć i przyswoić sobie to, co się stało. Zrobiłem krok do przodu, przykucnąłem, odłożyłem strzelbę.

- Nancy?

Wiedziałem, że nie żyje. Domyśliłem się tego po sposobie, w jaki spadła z łóżka, ale nadzieja była silniejsza i czekałem, aż Nancy mi odpowie; wydawało się, że to tylko niegroźny wypadek i chciałem jej to wytłumaczyć.

- Hank?

Wyteżyłem słuch. Jakub był na dole, u stóp schodów, ale jego głos dochodził mnie jak z oddali. Dziwne.

- Wszystko w porządku! - odrzyknąłem, zdając sobie sprawę, że to koszmarna bzdura.

- Co się stało?

Wstałem i obszedłem łóżko, żeby lepiej przyjrzeć się Nancy. Jej podkoszulek był upstrzony czarnymi plamami krwi. Gdy spadła, trochę się podwinął, tak że widziałem jej pośladki i uda. Błyszczały mokrawo od ściekającej z łóżka wody. Nancy ani drgnęła.

- Mam wejść na górę? - spytał Jakub.

- Zastrzeliłem ją! - odrzyknąłem.

- Co mówisz?

- Zastrzeliłem ją! Ona nie żyje!

Nie odpowiedział. Nadśluchiwałem jego kroków, ale nie, nie wszedł na schody.

- Jesteś tam?

- Tak - odrzekł.

- No to chodź tu.

Odczekał chwilę i zaczął wchodzić na górę. Przebity materac wciąż przeciekał. Wziąłem poduszkę i zakryłem nią dziurę. Na prześcieradle zaczęła zbierać się kałuża wody. W powietrzu unosił się odór moczu, kwaśny i ostry - Nancy straciła kontrolę nad pęcherzem. Mocz mieszał się z krwią i wodą na podłodze i wsiąkał w dywan.

W progu sypialni stanął Jakub.

- Miała pistolet - powiedziałem. - Chciała do mnie strzelić.

Kiwnął głową. Robił wszystko, żeby tylko nie spojrzeć na zwłoki. W ręku wciąż

ściskał strzelbę. Po jego wilgotnych i zaczerwienionych oczach poznałem, że na dole płakał, ale już przestał.

- Co teraz zrobimy? - spytał.

Tego nie wiedziałem. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że ją zabiłem. Tak, widziałem jej ciało, widziałem krew, czułem smród uryny, mimo to nie potrafiłem połączyć tego w logiczną całość i uznać, że to moje dzieło. Ot, przyłożyłem strzelbę do ramienia i pociągnąłem za spust. Tak proste, tak nieskomplikowane czynności miałyby doprowadzić do tej straszliwej jatki?

- Nie chciałem jej zabić - wyszeptalem. Dopiero teraz zerknął na zwłoki. Zrobił to szybko, płochliwie, i natychmiast uciekł wzrokiem w bok.

Okropnie pobladł. Spojrzał na łóżko, jakby zamierzał na nim usiąść, ale go powstrzymałem.

- Uważaj! Przecieka.

Znieruchomiał, przestąpił z nogi na nogę.

- Chyba powinniśmy do kogoś zadzwonić - mruknął.

- Zadzwonić?

- Do szeryfa albo do tych ze stanowej.

Odszukałem wzrokiem telefon. Stał na nocnym stoliku z wysuniętą szufladą. Przed stolikiem leżała Nancy. Włosy miała przemoczone, zbite w gęsty kołtun. Owijały jej szyję jak wąż. Tak, Jakub miał rację. Cały ten bałagan trzeba uprzątnąć, pomyślałem, a jedynymi ludźmi, którzy mogą to zrobić, są policjanci...

- Nie uwierzą w to - skonstatowałem.

- W co?

- Że zastrzeliliśmy ich w samoobronie.

- Nie - mruknął. - Nie uwierzą.

Ostrożnie obszedłem zwłoki Nancy i stanąłem przy nocnym stoliku.

- Powiemy im o pieniądzach? - spytał.

Milczałem. Nagle błysnął mi w głowie pewien pomysł: odkryłem sposób na kilkuminutowe opóźnienie ujawnienia naszych przestępstw i zbrodni.

- Zadzwonię do Sary - oznajmiłem. Chciałem dać mu do zrozumienia, że to krok rozsądny, bardzo racjonalny i powiedziałem to stanowczo, nawet rezolutnie, ale tak naprawdę nie było w tym żadnej logiki. Nie, po prostu chciałem z nią porozmawiać, chciałem opowiedzieć jej, co się stało i ostrzec ją przed burzą, która lada moment miała nas osaczyć.

Na wpuł oczekiwałem, że Jakub się sprzeciwi, ale nie, wcale nie zareagował, więc

podniosłem słuchawkę. Telefon był ciemnobrazowy, co uznałem za rzecz dziwnie pocieszającą, bo w biurze miałem identyczny, dokładnie w tym samym kolorze. Kiedy zacząłem wykręcać numer, brat poczłapał do drzwi. Patrzyłem za nim, dopóki nie zniknął w korytarzu.

- Nie martw się, Jakub! - zawołałem. - Wszystko będzie dobrze.

Nie odpowiedział.

Sara odebrała po trzecim dzwonku.

- Halo? - Była w kuchni, bo w tle słyszałem pomrukiwanie zmywarki do naczyń.

Czekała na mnie.

- To ja - zacząłem.

- Skąd dzwonisz?

- Od Lou.

- Nagrałeś?

- Saro, zastrzeliliśmy ich. Oboje nie żyją. Nastąpiła chwila ciszy, jak przerwa między kolejnymi nagraniami na płycie gramofonowej.

- Co ty mówisz, Hank?

Opowiedziałem jej wszystko. Wziąłem telefon i stanąłem po drugiej stronie łóżka, żeby odejść jak najdalej od zwłok Nancy. Spojrzałem w okno, w kierunku szosy, ale widziałem tylko półciężarówkę Jakuba na podjeździe, nic więcej. Świat tonął w ciemności.

- O mój Boże - wyszeptała Sara, gdy skończyłem. - O mój Boże... - Zabrzmiało to jak dalekie echo okrzyku Nancy.

Zamilkłem. Oddech miała płytki i urywany, myślałem, że zaraz wybuchnie płaczem.

- Co teraz zrobicie? - spytała w końcu.

- Zadzwoń na policję. Przyznamy się.

- Nie możesz tego zrobić. - Ogarnięta nagłą paniką, mówiła szybko i nerwowo, co przyprawiło mnie o dreszcz przerażenia. Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, po co do niej zatelefonowałem: żeby wzięła sprawy w swoje ręce, żeby zapanowała nad sytuacją i naprawiła to, co zepsułem - Sara, mój nieomylny doradca, moja opoka. Niestety, zawiodła mnie: była tak samo zszokowana i zatrwożona jak ja.

- Nie mam wyboru, Saro. Nie wywinimy się z tego, to za poważna sprawa.

- Nie możesz nas sypanąć, Hank.

- To ciebie nie dotyczy. Powiem, że nic nie wiedziałas.

- Mam to gdzieś. Chodzi o ciebie. Jeśli się przyznasz, pošlę cię do więzienia.

- Oni nie żyją, Saro, oboje. Nie da się tego ukryć.

- A może być tak... zaaranżował wypadek?

- Wypadek?

- Wypadek, jak z Pedersonem. Dlaczego nie? Może wypali.

Pomysł wydał mi się tak absurdalny, że mało brakowało i parsknąłbym śmiechem. Sara tonęła jak ja, a tonący brzytwy się chwyta.

- Chryste, nie rozumiesz, że ich zabiliśmy? Zastrzeliliśmy ich, wszędzie jest pełno krwi. Na ścianach, na łóżku, na podłodze...

- Strzeliłeś do niej z karabinu Lou, tak?

- Tak.

- W takim razie Lou mógł zabić Nancy, a Jakub zastrzelił Lou w samoobronie.

- Na miłość boską, dlaczego Lou miałby zabijać Nancy?

Nie odpowiedziała, ale wyraźnie czułem, że myśli, że główkuje - odbierałem to namacalnie, fizycznie, jak silne wibracje. Oczyma duszy widziałem, jak chodzi nerwowo po ciemnej kuchni ze słuchawką przyklejoną do policzka, z kablem owiniętym wokół zaciśniętej pięści. Powoli wracała do siebie, stopniowo odzyskiwała panowanie nad sobą i cały czas intensywnie szukała wyjścia z sytuacji.

- Może odkrył, że go zdradzała?

- Ale dlaczego miałby zastrzelić ją akurat dzisiaj? Przecież nie nakrył jej z gachem. Nancy była sama.

Nie odzywała się co najmniej przez dziesięć sekund, a potem nagle spytała:

- Czy Sonny słyszał strzały?

- Jaki Sonny?

- Sonny Major. Obudził się? Zapalił światło? Znowu spojrzałem w okno. Szosę okrywał mroczny całun. Przyczepa Sonny'ego tonęła w ciemności.

- Chyba nie.

- Musisz go tam ściągnąć.

- Ściągnąć? Co znaczy ściągnąć? - Nie miałem zielonego pojęcia, o czym mówi.

- Wszystko musi wyglądać tak, jakby Lou wrócił do domu i nakrył Nancy z Sonnym w łóżku.

Ledwo skończyła mówić, gdy ogarnęła mnie fala silnych mdłości. Tak, Sara znalazła wyjście i poszczególne części układanki zaczynały do siebie pasować. Nie licząc nas, Sonny był jedyną osobą, która wiedziała o pieniądzach. Gdybyśmy go zabili, zostalibyśmy tylko my i Jakub. To właśnie po to do niej zadzwoniłem, żeby rozwiązała problem nierozwiązywalny, lecz gdy stanęła na wysokości zadania, zrozumiałem, że takiego rozwiązania nie chcę.

- Nie mogę zabić Sonny'ego - szepnąłem. Kark spływał mi potem, czułem, jak kropelki potu wykwitają mi na łopatkach.

- Musisz. - Prosiła mnie, błagała. - To jedyny sposób, Hank.

- Chryste, przecież nie przywlokę go tutaj i nie zastrzelę jak psa. On nie ma z tym nic wspólnego.

- Poślą cię do więzienia. Obu, ciebie i Jakuba. Musicie się ratować.

- Nie mogę, Saro.

- Możesz. - Podniosła głos. - Musisz. To nasza jedyna szansa.

Otepiło mnie, sparaliżowało mi umysł, myśli miałem lepkie i oporne. Rozumiałem, o co jej chodzi: od dawna staliśmy na skraju przepaści, a zabijając Lou i Nancy, postąpiliśmy dwa kroki naprzód. Zawieszeni nad otchłanią, mogliśmy przystanąć, spaść i roztrzaskać się o dno albo zrobić krok trzeci, który zaprowadziłby nas tam, gdzie bezpiecznie: na drugi brzeg przepaści. Przeszło mi przez myśl - w sumie było to raczej pobożne życzenie niż myśl jako taka - że chyba wolałbym nie mieć żadnego wyboru. Przez krótką, króciutką chwilę wyobraziłem sobie, że przegraliśmy, że to już koniec. Proste, dobre uczucie. Wszystko ustalone, zdeterminowane, nie trzeba nic robić, nic wybierać - wystarczy tylko ulec, poddać się losowi.

Odczekałem, aż ulotne wrażenie minie i dokonałem wyboru.

- To podłość, Saro. To bestialstwo.

- Proszę, Hank - szepnęła. - Zrób to dla mnie.

- Nawet nie wiem, czy on jest w domu.

- Idź i sprawdź. Musisz przynajmniej sprawdzić.

- A co z Lou?

- Z Lou?

- Jak wytłumaczymy, że Jakub go zastrzelił? Odpowiedziała szybko, jednym tchem:

- Powiecie policji, że kiedy odjeżdżaliście, usłyszeliście wystrzał. Pomyśleliście, że Lou zaskoczył włamywacza, więc Jakub chwycił strzelbę i wróciliście pędem do domu. Kiedy dobiegaliście do ganku, Lou otworzył drzwi. Był pijany, rozwścieczony. Zobaczył, że pędzi na niego uzbrojony Jakub i złożył się do strzału. Wtedy Jakub zabił go w samoobronie.

- Zamilkła, a ponieważ ja też milczałem, szybko dodała: - Ale musicie się spieszyć, Hank. Czas ucieka. Ustala, kto zginął pierwszy, oni to potrafią, i jeśli będziecie zwlekać, wykryją prawdę.

Natarczywość i niecierpliwość bijąca z jej głosu była zaraźliwa. Serce zaczęło walić mi jak ciężkim młotem, w rękach i w głowie czułem pulsowanie krwi. Ruszyłem w stronę

nocnego stolika. Dywan był przesiąknięty krwią Nancy i żeby nie uwalać sobie butów, musiałem iść przy samej ścianie.

- Co z Jakubem? - spytała. - W porządku?

- Chyba tak. Trochę płakał, ale teraz jakoś to znosi.

- Gdzie on jest?

- Na dole. Chyba pije.

- Musisz z nim porozmawiać. Policja go przesłucha. Musisz mieć pewność, że wszystko dobrze rozumie, że się nie załamie, że nas nie sygnalizuje.

- Tak, pogadam z nim.

- To ważne, Hank. Jakub to najsłabsze ogniwo łańcucha. Jeśli pęknie, wylądujesz w więzieniu.

- Wiem. Zajmę się nim. Wszystkim się zajmę. Odłożyłem słuchawkę i zbiegłem na dół.

Siedział na sofie z pełną szklanką whisky w ręku. Miał rozpiętą kurtkę; strzelbę oparł o pierwszy stopień schodów. Przechodząc koło drzwi, zerknąłem na zwłoki Lou, żeby sprawdzić, czy ich nie ruszał, a potem szybko wszedłem do saloniku.

Na oparciu sofy zobaczyłem szlafrok, błękitny i jedwabisty. Podniosłem go i powąchałem. Pachniał słodkawo, perfumami i papierosowym dymem. Rozpiąłem kurtkę i wsunąłem go za pazuchę.

- Jada? - spytał Jakub.

- Kto?

- Policja.

- Jeszcze nie.

- Dzwoniłeś do nich?

Pokręciłem głową. Na stoliku do kawy leżała paczka marlboro. Obok niej - zapalniczka i szminka. Zgarnąłem to wszystko do kieszeni.

- Jadę po Sonny'ego - oznajmiłem. - Upozorujemy wypadek. Lou zastrzeli Nancy i Sonny'ego.

Zrozumiał dopiero po dłuższej chwili. Spojrzał na mnie, zmarszczył czoło, szklanka zatrzęsała mu się w dłoni.

- Sonny'ego też chcesz zabić?

- Musimy.

- Nie chcę.

- Albo go zabijemy, albo pójdziemy do więzienia.

To nasz wybór.

Milczał chwilę.

- Dlaczego nie możemy zwiać? Dlaczego nie możemy pojechać po Sarę, po dziecko i po pieniądze i dać nogę z miasta? Moglibyśmy wyjechać do Meksyku. Moglibyśmy...

- Złapaliby nas, Jakub. Wcześniej czy później na pewno by nas złapali. Jeśli chcemy z tego wybrnąć, pozostaje nam tylko jedno.

Czas uciekał. Coraz bardziej się denerwowałem, ogarniała mnie coraz większa panika. Zwłoki: niemal czułem, jak stygną, jak wycieka z nich krew, nieubłaganie określając chronologię wydarzeń, czas śmierci Nancy i Lou. Nie miałem ochoty na kłótnie z bratem, bo już podjąłem decyzję. Ruszyłem w stronę drzwi.

- Ja do więzienia iść nie zamierzam.

Wstał i myślałem, że pójdzie za mną.

- Nie możemy ich wszystkich tak po prostu pozabijać! - Wykrzyczał to głosem tak piskliwym i spiętym, że przystanąłem w pół kroku.

Spojrzałem mu w oczy.

- Wybronię cię, Jakub. Zobaczysz, jeśli tylko pozwolisz mi działać, spadniemy na cztery łapy.

Wykrzywił twarz w grymasie obłąkanego przerażenia.

- Nie. Musimy przestać, musimy...

- Jadę... - Nie dane mi było dokończyć.

- Chcę wyjechać. Chcę uciec.

- Posłuchaj, Jakub. - Nachyliłem się i ująłem go za rękaw. Trzymałem ten rękaw leciutko, leciuteńko, samymi opuszkami palców osłoniętych rękawiczką. Ot, muskałem fałdkę czerwonego nylonu, i tyle. W saloniku zapadła namacalna, pełna napięcia cisza.

- Opowiem ci, jak to będzie wyglądało. Wstrzymał oddech, popatrzył mi w oczy i momentalnie odwrócił wzrok. Zabrałem rękę.

' - Lou wraca do domu. Idzie na górę i w sypialni nakrywa Nancy z Sonnym. Nancy się go nie spodziewała, rozumiesz? Myślała, że Lou wróci znacznie później. Lou jest pijany. Dostaje szału, chwyta strzelbę i zabija ich oboje. My, ty i ja, właśnie odjeżdżamy. Słyszymy strzały, myślimy, że Lou zaskoczył włamywacza. Bierzesz strzelbę i biegniemy do domu. Lou otwiera drzwi. Jest wściekły, nie wie, co robi. Mierzy do nas, więc do niego strzelasz.

Jakub milczał. Nie byłem pewien, czy w ogóle rozumie, co do niego mówię.

- Trzyma się kupy, prawda? - spytałem. Nie odpowiedział.

- Wszystko wypali, zobaczysz. Obiecuję, że wypali. Ale musimy się spieszyć.

- Chcę, żeby było inaczej - szepnął. - Nie chcę zabijać Lou.
- Dobra. W takim razie powiemy, że to ja go zastrzeliłem. Wszystko jedno.
Znowu zapadła martwa cisza. Słyszałem, jak w kuchni cieknie z kranu.
- Mam tu zostać i czekać? - spytał. - Nic więcej? Kiwnąłem głową.
- Tylko nałóż rękawiczki. I umyj te szklanki.
- Sam go zastrzelisz?
- Tak - odrzekłem, idąc do drzwi. - Zastrzełę go sam.

Sonny mieszkał kilkaset metrów dalej, w maleńkiej przyczepie ustawionej na pustakach z żużla. Podwórze przed przyczepą było zawałone ośnieżonymi kozłami do rżnięcia drewna, a na burcie przyczepy widniał napis wymalowany wielkimi czarnymi literami: WYSOKA JAKOŚĆ, NISKIE CENY. Samochód Sonny'ego, stary przerdzewiały i mocno poobijany ford mustang, stał w wyrwie wyżłobionej w zwałach śniegu na poboczu drogi.

Zaparkowałem obok mustanga, ale nie wyłączyłem silnika. Mary Beth spał zwinięty na przednim siedzeniu; kiedy wysiadałem, raczył tylko podnieść łeb. Odgarniętą ze śniegu ścieżką podbiegłem do przyczepy i ostrożnie przekręciłem klamkę. Ustąpiła. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

Pochyliłem głowę i wszedłem do środka. Wnętrze tonęło w ciemności i musiałem odczekać chwilę, aż oczy przywykną do mroku. Nadśluchiwałem, starając się wyczuć w pobliżu jakiś ruch, ale nie zauważyłem nic podejrzanego.

Stałem w kuchni Sonny'ego. Dostrzegłem małą ladę, zlew, kuchenkę. Przy oknie stał stolik i trzy krzesła. Wszędzie było brudno, wszędzie panował bałagan, wszędzie cuchnęło zjełczalym tłuszczem i smażeniną. Rozpiąłem kurtkę i powoli, żeby nie narobić hałasu, wyjąłem zza pazuchy szlafrok Nancy, po czym rzuciłem go na oparcie krzesła. Papierosy i zapalniczkę położyłem na stoliku.

Ruszyłem przez kuchnię, kierując się do tylnej części przyczepy. Szedłem ostrożnie: badałem stopą grunt, przerzucałem ciężar ciała na wysuniętą nogę, zamierałem, wystawiałem do przodu drugą nogę, znowu badałem grunt i w ten sposób, cały czas nadśluchując, doszedłem do sąsiedniego pomieszczenia.

Za przepierzeniem było coś w rodzaju mikrosaloniku: sofa, stoliczek do kawy, telewizor. Wyjąłem szminkę i rzuciłem ją na sofę. Z miejsca, gdzie stałem, mogłem dostrzec fragment łóżka za otwartymi drzwiami. Leżał na nim Sonny. Pod szarawą białą prześcieradła widziałem zarys jego nóg.

Znieruchomiałem, wyteżyłem słuch i wyłowilem z ciszy szmer jego oddechu.

Oddychał równo i spokojnie. Nie chrapał, choć chwilami zdawało się, że zaraz zacznie. Spał, i to głęboko.

- Sonny! - zawołałem. Mój głos odbił się echem od ścian przyczepy. - Sonny!

Zza przepierzenia dobiegł mnie odgłos gwałtownego ruchu, szelest prześcieradeł pocierających o nagą skórę. Nogi Sonny'ego zniknęły. Zrobiłem krok w stronę sypialni.

- Sonny! - zawołałem jeszcze raz. - To ja, Hank Mitchell. Potrzebuję pomocy.

- Hank? - odpowiedział zaspany, trochę rozdrażniony, trochę wystraszony.

Zrobiłem następny krok. W sypialni zapłonęła lampa, a chwilę potem w progu stanął Sonny. Był mężczyzną drobnym, karłowatym i żyłastym. Przypominał małego gнома z brązowymi, sięgającymi ramion włosami. Nie licząc białych szortów, był nagi i w słabym świetle lampy jego skóra sprawiała wrażenie bladej, miękkiej, takiej, którą łatwo posiniaczyć.

- Jezus Maria, Hank - wychrypiał. - Mało w portki ze strachu nie narobiłem. - W prawym ręku trzymał śrubokręt. Ścisnął go jak nóż.

- Jakubowi coś się stało - wydyszałem. - Rzyga krwią.

Spojrzał na mnie nieprzytomnie.

- Piliśmy u Lou i nagle zaczął rzygać krwią.

- Krwią?

Kiwnąłem głową.

- Stracił przytomność.

- Chcesz, żebym wezwał karetkę?

- Nie, sam go zawiozę, będzie szybciej. Musisz mi pomóc przenieść go do samochodu.

Lou jest za bardzo wlany.

Sonny zamrugał, szybko i gwałtownie, jakby chciał rozpędzić łzy. Zerknął na śrubokręt i rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby go położyć. Nie, jeszcze się nie rozbudził.

- Sonny - powiedziałem z nutką udawanej paniki w głosie - musimy się spieszyć. On ma wewnętrzny krwotok.

Spojrzał na swoje gatki, wyraźnie zaskoczony ich widokiem.

- Muszę coś na siebie narzucić.

- Ja wracam. Przybiegnij, jak się ubierzesz.

Nie czekając na odpowiedź, pognałem do drzwi. Wypadłem na dwór, przeciąłem ścieżkę, wsiadłem do samochodu, wrzuciłem wsteczny i już miałem ruszać, gdy wtem zobaczyłem Mary Beth siedzącego pośrodku podwórza. Otworzyłem drzwi i wychyliłem się w ciemność.

- Chodź tu! - szepnąłem.

Pies postawił uszy.

- Chodź tu! - Zacmokałem na niego.

Mary Beth zamiótł ogonem śnieg.

- Wskakuj! No, wskakuj, kundlu! - błagałem.

Ani drgnął. Chciałem zagwizdać, ale spierzchły mi wargi. Pies patrzył na mnie i siedział bez ruchu.

Zawołałem go jeszcze raz, potem zatrzasnąłem drzwi i pomknąłem w kierunku szosy.

Gdy wróciłem, Jakub robił dokładnie to samo co w chwili, gdy go zostawiłem: siedział na skórzanej sofie i w gołych rękach trzymał szklanę z whisky.

Stałem w progu przez dobrych dziesięć sekund, nie wierząc własnym oczom. Nawet buty zdjął.

- Co ty, kurwa, wyczyniasz? - spytałem.

Zaskoczony, poderwał głowę.

- Co? - Nie słyszał, jak wszedłem.

- Miałeś umyć szklanki.

Podniósł szklaneczkę pod światło. Była na wpół pełna.

- Najpierw chciałem dokończyć...

- I kazałem ci nałożyć rękawiczki. Zostawiasz odciski palców.

Postawił szklanę na stoliku. Wytarł ręce w spodnie i rozejrzał się wokół w poszukiwaniu rękawiczek.

- Trzeba posprzątać - dodałem. - Jakby nas tu nie było, rozumiesz?

Znalazł rękawiczki w kieszeniach kurtki. Wyjął je i nałożył.

- Buty - mruknąłem.

Pochylił się.

- W rękawiczkach nie zawiążę sznurowadeł. Załamałem ręce.

- No to je zdejmij. Szybko, czas ucieka.

Zdjął rękawiczki, zasznurował buty i ponownie nałożył rękawiczki. Wstał, zebrał szklanki ze stolika i poczłapał w stronę kuchni.

- Gdzie ty leziesz? - spytałem.

Przystanął pośrodku salonu i zamrugął.

- Kazałeś mi umyć szklanki.

- Później. Zaraz tu będzie Sonny. - Podeszedłem do schodów i wziąłem strzelbę Lou. - Wiesz, gdzie trzyma naboje?

Tkwiał w miejscu ze szklankami w wyciągniętych przed siebie rękach.

- W garażu.

- Chodź! Pokażesz gdzie.

Szklanki cicho zabrzęczały. Odstawił je na stolik i ruszył za mną. Zaraz za drzwiami garażu była otwarta szafka, a w szafce stało kartonowe pudełko pełne naboju. Pokazał mi, jak załadować strzelbę. Magazynek mieścił tylko pięć sztuk amunicji i po każdym strzale broń należało przeładować. Przesypałem naboje do prawej kieszeni kurtki i wróciliśmy do saloniku.

Gdy stanęliśmy przy drzwiach na ganek, podniosłem z podłogi strzelbę brata.

- Trzymaj! - rozkazałem.

Jakub ani drgnął. Stał mniej więcej półtora metra od zwłok Lou i gapił się na broń. Nie bardzo wiedział, co robić.

- Mówiłeś, że ty go zastrzelisz.

Potrząsnąłem strzelbą.

- Chryste, weźmiesz go na muszkę, nic więcej. Przecież musimy go zabić ze strzelby Lou, nie z twojej.

Zawahał się. Wreszcie wyciągnął rękę i wziął broń. Uchyliłem drzwi i spojrzałem w kierunku przyczepy Sonny'ego. Była jasno oświetlona.

- Zaczekam na niego na ganku - powiedziałem. - Ty zostań tutaj. Jak usłyszysz, że rozmawiamy, wyjdź i wyceluj w niego. Nic nie mów i nie pozwól, żeby zajrzał do środka. Po prostu stój i trzymaj go na muszce.

Kiwnął głową.

Wszedłem na ganek i zamknąłem za sobą drzwi.

Upłynęła mniej więcej minuta, zanim usłyszałem, jak Sonny uruchamia silnik samochodu. Silnik zaskoczył za drugim razem, zapłonęły reflektory, samochód śmignął na szosę, zawrócił i pomknął w moją stronę. Sonny zaparkował koło garażu, przekręcił kluczyk w stacyjce, wysiadł i ruszył biegiem przez podjazd. Dotarł prawie do ganku, gdy zauważył, że na niego czekam.

- Gdzie on jest? - wydyszał.

Miał na sobie jasnobrązową kurtkę z wielkim futrzanym kapturem. Nie zdążył się poczesać. Zerknął na strzelbę w moich rękach i czubkami palców dotknął kącika łzawiących z zimna oczu. Wszedł na ganek. Ponieważ drzwi były zamknięte, dom wyglądał zupełnie normalnie, jakby nic się w nim nie stało.

- Musiałem... - Umilkł, bo usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi. W szparze ukazała

się twarz Jakuba. - Już wyzdrowiałeś? - spytał zaskoczony.

Brat nie odpowiedział. Przecisnął się na ganek, zamknął drzwi, uniósł strzelbę i wycelował w sam środek piersi Sonny'ego. Zszedłem na podjazd na wypadek, gdyby Sonny próbował wrócić do samochodu i uciec.

Major spojrział na broń w rękach Jakuba i przeniósł wzrok na mnie.

- Hank? - wysapał. Wciąż nie mógł złapać tchu. I znowu musnął palcami łzawiące oczy.

Wymierzyłem w jego brzuch. Strzelba ciążyła mi w rękach, a jej masywność dawała mi poczucie nieograniczonej mocy. Byłem silny, zwarty i gotowy, jak ktoś, kto ma za chwilę zabić. To szaleństwo, przemknęło mi przez myśl, to czyste szaleństwo i nagle uległem, nagle poddałem się losowi. Cały strach i zdenerwowanie minęły jak ręką odjął: czułem, że jestem zdolny do wszystkiego. Uśmiechnąłem się do Sonny'ego.

- Co jest, kurwa? - spytał. - Myślicie, że to zabawne?

- Zdejmij kurtkę - powiedziałem cicho i spokojnie. Nie zareagował.

- Zdejmij kurtkę, Sonny.

Spojrział na mnie, potem na Jakuba, potem znowu na mnie. Wykrzywił usta w półuśmiechu.

- To wcale nie jest śmieszne, Hank. Obudziliście mnie.

Zrobiłem krok do przodu i uniosłem strzelbę. Wylot lufy znalazł się na wysokości jego twarzy.

- Zdejmij kurtkę! - rozkazałem stanowczo.

Jego ręce odruchowo powędrowały do zatrzasku.

Nagle zamarły i opadły.

- Sonny - powiedziałem - to dla mnie bardzo ważne. Nie chcę zrobić ci krzywdy.

Jeszcze raz zerknął na Jakuba, po czym spojrział na wylot lufy.

- Obudziliście mnie - powtórzył. Znowu postąpiłem krok do przodu i przytknąłem mu lufę do czoła.

- Ściągaj kurtkę.

Cofnął się i przeszył mnie wzrokiem. Zachowałem kamienny wyraz twarzy i to na niego podziałało. Rozpiął kurtkę. Miał pod nią niebieską flanelową koszulę.

- Zabierz mu ją - rozkazałem Jakubowi.

Brat zszedł z ganku, wziął kurtkę, złożył ją starannie i przerzucił sobie przez ramię. Cały czas obserwowałem Sonny'ego.

- Teraz buty - mruknąłem.

Wahał się jakieś pięć sekund. Potem kucnął i zdjął buty. Był bez skarpetek. Stopy miał małe i kościste, jak małpa.

- Buty, Jakub!

Brat podniósł je z ziemi.

- Koszula, Sonny! - Major spróbował się rozeźmiać, ale nie zdołał.

- Daj spokój, Hank. Co za dużo, to niezdrowo. Zimno jest... - Objął się wpół i spojrzał na Jakuba. - Jakub? Brat odwrócił wzrok.

- Koszula, Sonny! - powtórzyłem.

Pokręcił głową.

- Przesoliłeś, Hank. To wcale nie jest śmieszne.

Zdzieliłem go w usta kolbą strzelby. Dziwna rzecz, bo wcale nie miałem takiego zamiaru, po prostu go grzmotnąłem, i tyle. A przecież nigdy w życiu nikogo nie uderzyłem. Zachwiał się, zrobił krok do tyłu, lecz ani nie upadł, ani nawet nie krzyknął. Tylko spojrzał na mnie tak jakoś nieprzytomnie.

- Co? Co? - wychrypiał.

Rozbiłem mu usta. Krwawiły. Przyłożył do nich rękę i zamknął oczy. Wydawało się, że nadal uważa to za kiepski żart. Gdy otworzył oczy, spojrzał na mnie, jakby myślał, że zaraz się uśmiechnę i powiem: „Wszystko w porządku, Sonny. To tylko tak, dla zabawy, żeby było śmieszniej”.

- Zdejmij koszulę! - szepnąłem.

Zdjął ją i upuścił na ziemię.

- Teraz spodnie!

- Nie, Hank, proszę...

Bez chwili namysłu uderzyłem go znowu, tym razem w skroń. Osunął się na jedno kolano. Klęczał przez kilka sekund, potem wstał.

- Spodnie, Sonny!

Popatrzył na Jakuba. Obaj mierzyliśmy w jego pierś.

Zdjął dzinsy.

- Szorty też!

Pokręcił głową.

- To już nie żarty, Hank. Przesadziliście, posunęliście się o krok za daleko. - Było mu zimno, cały się trząsał.

- Nic nie mów, Sonny. Powiesz słowo i znowu cię uderzę.

Zamilkł.

- Szorty! - powtórzyłem.

Ani drgnął.

Wycelowałem w jego twarz.

- Liczę do trzech. Kiedy powiem „trzy”, pociągnę za spust.

Znieruchomiał jak kamienna rzeźba.

- Raz...

Zerknął na Jakuba. Ręce drżały bratu tak mocno, że lufa strzelby dygotała, zataczając w powietrzu kółka.

- Dwa...

- Nie strzelisz do mnie, Hank - powiedział Sonny chrapliwie i niepewnie. Zawahałem się, lecz nie znalazłem innego wyjścia.

- Trzy.

Sonny zamarł.

Zacisnąłem ręce na kolbie i na przednim uchwycie strzelby i wymierzyłem w jego twarz.

- Nie chcę tego robić, Sonny. - Psuł mi cały plan. Patrzył na mnie i milczał. I z każdą sekundą odzyskiwał pewność siebie.

- Odłóż broń, Hank - szepnął.

I nagle mnie olśniło. Przecież równie dobrze mogłem zastrzelić go przed gankiem - był prawie nagi. Wyglądałoby jak trzeba: Lou ich nakrył, zastrzelił Nancy w łóżku, puścił się w pościg za Sonny'ym i dopadł go na dworze, przed gankiem. Tak, mogłem dowolnie kształtować rzeczywistość.

Dałem mu ostatnią szansę.

- Ściągaj szorty! - powtórzyłem, muskając palcem języczek spustu.

Obserwował mnie czujnie i widziałem, że powoli traci rezon. Oblizwał czarne wargi.

- O co tu chodzi, Hank?

- Wejź do środka, Jakub. - Nie chciałem, żeby krew Sonny'ego zaplamiła mu ubranie.

Odetchnąłem głęboko i wszedłem na ganek. Musiałem obejść Sonny'ego, stanąć twarzą do szosy i dopiero wtedy oddać strzał.

Jakub uchylił drzwi i wśliznął się do domu.

Sonny patrzył za nim przez chwilę i nagle - może za podszeptem intuicji - opuścił ręce i szybko zdjął szorty.

Nago wyglądał jak drobny chłopiec. Ramiona miał pochylone, kościste, pierś pozbawioną zarostu. Krocze zasłonił dżinsami. Po tym, jak stał, poznałem, że wreszcie uległ.

Przestał walczyć o panowanie nad sytuacją i kuląc się ze strachu, czekał na moje rozkazy.

- Rzuć to!

Upuścił spodnie i szorty. Jedną ręką zasłonił genitalia, drugą przytknął do ust. Z jego ustami było coraz gorzej. Policzki miał całe we krwi, krew kapłała mu na pierś.

- Spleć dłonie na karku.

Podniósł ręce, odsłaniając krocze. Wymierzyłem w jego pierś.

- Dobrze. Teraz obróć się i otwórz drzwi.

Obrócił się bardzo powoli. Przestąpiłem kupkę ubrania i lufą strzelby dźgnąłem go w kręgosłup. Zesztywniał. Pod dotykiem zimnego metalu zadrgały mu mięśnie pleców. Wyglądały jak naprężone powrozy, na których zaciśnięto kilka węzłów.

- Tylko nie spanikuj! - ostrzegłem. - Zachowaj spokój, a wszystko będzie dobrze.

Opuścił jedną rękę, przekręcił klamkę i pchnął drzwi.

Na ganku panowała ciemność, tak że widok jasno oświetlonego wnętrza miał w sobie coś surrealistycznego. Jakbyśmy wychodzili na scenę. Tuż za drzwiami leżał Lou. Głowę miał odrzuconą do tyłu i wydawało się, że zaraz wybuchnie śmiechem. Podłoga musiała być trochę zwichrowana, bo krew - ciemniejsza niż przedtem, niemal czarna, błyszcząca w świetle lampy - spływała do saloniku.

Drzwi rozwarły się na oścież i uderzyły w ścianę. Po prawej stronie stał Jakub z opuszczoną strzelbą; jej lufa celowała w trupa Lou. Twarz miał przerażoną. Patrzył na nas, czekając, co zrobimy.

Sonny najpierw znieruchomiał, głośno zaczerpnął tchu, a sekundę później odruchowo się cofnął, tak że strzelba drgnęła mi w dłoniach.

- Dalej, Sonny - powiedziałem. - Wchodź do środka!

Pchnąłem go lufą broni. Zrobił krok do przodu i bosą stopą dotknął klepek podłogi. W tej pozycji - jedna noga za progiem, druga na ganku - przystanął. Zaparł się jak muł, więc dźgnąłem go mocniej i raptem... zniknął. Jakub blokował drogę do garażu, drogę do saloniku blokowały zwłoki Lou, więc pozostawało mu tylko jedno: wbiegł na schody, pokonując po dwa stopnie na raz.

Pognałem za nim.

U szczytu schodów skręcił w prawo i popędziliśmy korytarzem w stronę sypialni. Nie mam pojęcia, co go tam ciągnęło, akurat tam, do miejsca, gdzie chciałem go zaprowadzić - może wiedział o pistolecie w szufladzie nocnego stolika, a może po prostu zobaczył światło sączące się zza uchylonych drzwi? Światło daje poczucie bezpieczeństwa, obiecuje schronienie, lecz gdy wpadł do sypialni, gdy zobaczył krew, wodę, gdy tuż za plecami

usłyszał dudnienie moich kroków, musiał przeżyć potworny szok. I chyba już wiedział - jeśli miał jeszcze jakieś wątpliwości, widząc trupa Lou - że zwałem go tam, by go zabić.

Silną rozpędu dotarł aż do stóp łóżka. Nie wiem, czy spojrział na zwłoki Nancy, bo tego nie widziałem, lecz przypuszczam, że musiał je zauważyć, musiał na nie zerknąć tuż przedtem, zanim odwrócił się do mnie i podniósł zaciśnięte pięści. Jego nagość sprawiała, że wyglądał dziko, jak jaskiniowiec. Z jego wykrzywionej twarzy biła straszliwa mieszanina przerażenia, rozjuszenia i konsternacji. Oba policzki miał umazane krwią. Stałem w progu, odcinając mu drogę ucieczki. Przeładowałem broń - ze strzelby wyleciała łuska naboju, którym zabiłem Nancy; upadła u moich stóp - i bez chwili namysłu wypaliłem mu w pierś.

Silne kopnięcie w ramię, głośny wystrzał i na koce trysnęła fontanna krwi. Aż zachlupotało.

Pocisk rzucił Sonny'ego na łóżko. Upadł z mokrym mlaskiem na materac - materac zafalował i na podłogę spłynęła struga wody. Sonny jeszcze żył, chociaż jego rozharatana pierś zmieniała się w białawą i różowoczerwoną masę. Wierzał nogami, próbował podnieść głowę. Patrzył na mnie, oczy wychodziły mu z orbit i wyglądało to tak, jakby nie miał tęczówek tylko same białka. Prawą rękę zaciskał na kocach, ściągając je do siebie.

Ponownie przeładowałem broń; łuska upadła na dywan. Zrobiłem krok do przodu i wymierzyłem w jego twarz. W chwili, gdy pociągnąłem za spust, zamknął oczy. Materac dosłownie eksplodował, zalewając wodą wezglowie i ścianę. Musiałem odskoczyć, żeby tryskająca fontanna nie zmoczyła mi ubrania.

Stojąc bezpiecznie w progu, dwa razy wypaliłem w sufit nad łóżkiem. Magazynek był pusty. Sięgnąłem do kieszeni, nabiłem strzelbę pięcioma nabojami i zacząłem strzelać na oślep po całej sypialni: w fotele po lewej stronie, w drzwi do łazienki, w lustro nad toaletką.

Sprawdziłem, czy nie obryzgałem się krwią, i jeszcze raz załadowałem broń.

Schodząc na dół, strzeliłem w sufit. Gdy dotarłem do stóp schodów, wycelowałem w salonik. Przestrzeliłem skórzaną sofę, następnym pociskiem rozwalilem telewizor, w końcu rozniosłem w drobny mak stolik do kawy i stojące na nim szklanki.

Ostatni nabój zachowałem.

Jakuba znalazłem w ubikacji. Siedział na zamkniętej klapie muszli klozetowej. Jego strzelba leżała na podłodze. Buty i kurtkę Sonny'ego trzymał na kolanach.

- W porządku - oznajmiłem, stając w progu.

- W porządku? - spytał, nie podnosząc głowy.

Wziąłem głęboki oddech. Trochę drżałem, czułem się jak po tęgim kielichu, z trudem nad sobą panowałem. Ogarnęło mnie niejasne podejrzenie, że mogę myśleć nielogicznie, że

coś przeoczyłem, więc spróbowałem zwolnić obroty, żeby trzeźwo kontrolować sytuację. Najtrudniejszy etap miałem za sobą. Reszta sprowadzała się tylko do wiarygodnego odegrania naszych ról.

- Już po wszystkim - powiedziałem.

- Nie żyje?

Kiwnąłem głową.

- Po co tyle razy strzelałeś?

Nie odpowiedziałem.

- Chodź, Jakub. Trzeba iść.

- Musiałeś tyle razy strzelać?

- Był wkurwiony, rozumiesz? Tak to ma wyglądać. Dostał szał, odbiło mu. - Otarłem twarz. Rękawiczki cuchnęły prochem. Zdałem sobie sprawę, że zanim wezwiemy policję, muszę ukryć je w samochodzie.

Z sufitu zaczęła ciec woda. Krople spadały na ceramiczną klapę muszli klozetowej, co brzmiało jak tykanie zegara. Woda z przestrelonego łóżka w sypialni - zdążyła przesiąknąć przez tynk.

Jakub zdjął okulary. Bez okularów robił wrażenie jeszcze bardziej roztrzęsionego. Policzki i zuchwę miał mocno zaczerwienione, błyszczące i nabrziałe, jakby zaatakowała go podagra, natomiast oczy - zapadnięte, zamglone i schorowane.

- Nie boisz się tego, co będzie później? - spytał.

- Później?

- Poczucia winy? Wyrzutów sumienia? Westchnąłem.

- Co się stało, to się nie odstanie, Jakub. Musieliśmy to zrobić i zrobiliśmy.

- Zastrzelełeś Sonny'ego - skonstatował z nagłym zdumieniem.

- Tak. Zastrzeliłem go.

- Z zimną krwią - dodał.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Próbowałem nie myśleć o tym, co zrobiliśmy, bo dobrze wiedziałem, że z takiej autopsychoanalizy nic dobrego nie wyjdzie. Jak dotąd miałem wygodne poczucie nieuchronności swoich czynów, jakbym obserwował siebie na jakimś filmie - akcja filmu bardzo mnie pochłaniała, lecz nie łudziłem się, że mam na nią jakikolwiek wpływ, choćby najmniejszy. Coś mi szeptało, że to przeznaczenie, więc wypuściłem wodze z rąk. Lecz teraz, gdy już było po wszystkim, Jakub zaczął zadawać pytania i sprowadził mnie na ziemię. Chciał, żebym spojrział za siebie, bym uświadomił sobie, że z sufitu cieknie woda wymieszana z krwią, że naprawdę cieknie, że to moje dzieło. Odpędziłem te myśli, a ich

miejsce zajęła nagle złość na brata za to, że siedzi na kiblu, gruby, smętny i bierny, i osądza mnie, podczas gdy to przez niego, przez to, że spanikował, przez jego pośpiech i głupotę wpadłem w pułapkę zbrodni.

- Do niczego by nie doszło, gdybyś nie zabił Lou - burknąłem.

Podniósł głowę i zszokowany zobaczyłem, że płacze. Po policzkach spływały mu łzy i ten widok nappełnił mnie żalnością: nie, nie powinienem był tego mówić.

- Uratowałem cię - wykrztusiłem zdławionym głosem.

Odwrócił głowę, chcąc ukryć twarz.

- Przestań, nie płacz, Jakub. Proszę.

Milczał. Trzęsły mu się ramiona. Jedną ręką zasłaniał oczy. Druga, ta, w której trzymał okulary, spoczywała na butach Sonny'ego.

- Nie możesz się teraz załamać. Musimy stawić czoło policji, dziennikarzom...

- Nic mi nie jest - sapnął.

- Musimy zachować spokój, Jakub.

- Po prostu... - Urwał, zabrakło mu słów. - Chodzi o to, że... że zabiłem Lou.

Przeszyłem go wzrokiem. Zaczynał mnie przerażać. Zrozumiałem, że jeśli nie zachowamy ostrożności, wszystko może się wydać.

- Musimy iść - szepnąłem. - Trzeba zawiadomić policję.

Zaczerpnął powietrza, wstrzymał oddech, potem nałożył okulary i z trudem wstał. Twarz miał mokrą od łez, drżał mu podbródek.

Wziąłem kurtkę i buty Sonny'ego i zaniósłem je do szafy w korytarzu. Przez salonik jakby burza przeszła. Stolik do kawy - roztrzaskany. Telewizor - pokancerowany, z dziurą zamiast kineskopu. Z sofy sterczały wielkie kłaki białej waty przypominające obłoki z dziecięcych rysunków.

Jakub zapomniał strzelby, więc musiałem po nią wrócić. Polazł za mną jak pies. Znowu zaczął płakać, a gdy to usłyszałem, żołądek podjechał mi do gardła, jakbym dostał zawrotu głowy i spadał z dachu wysokiego budynku.

Otworzyłem drzwi na ganek.

- Idź do samochodu i wezwij przez radio policję.

- Przez radio? - spytał rozkojarzony.

Zadrzałem. Jakub mnie nie słuchał, nie mógł się skoncentrować. W plecy złane lepkiem potem uderzył podmuch zimnego wiatru. Zapiąłem kurtkę. Tak samo jak rękawiczki, śmierdziała prochem.

- Udawaj przerażonego - powiedziałem. - Jakbym przed chwilą go zastrzelił,

rozumiesz? Pamiętaj, od razu przybiegłeś do samochodu, nie zdążyłeś sprawdzić, co się stało.

Znowu patrzył na zwłoki Lou.

- Nie mów za dużo. Powiedz, że doszło do strzelaniny, tylko tyle. Każ im wezwać karetkę i od razu przerwij połączenie.

Kiwnął głową, ale się nie ruszył. Z kącików oczu spływały mu łzy. Płynęły jedna za drugą i spadały na kurtkę, gdzie zostawiały ciemne, wilgotne plamy.

- Jakub!

Oderwał oczy od Lou, spojrział na mnie i wierzchem dłoni otarł policzki.

- Musimy zachować czujność. Musimy się pilnować, uważać na każde słowo. Znowu wziął głęboki oddech.

- Wiem. Nic mi nie jest. - Podszedł do drzwi. Gdy stanął w progu, dokładnie tam, gdzie w chwili śmierci stał Lou, zawołałem:

- Zapomniałeś strzelby!

Wziął ode mnie broń. Uświadomiłem sobie, że wciąż wiszę nad otchłanią. Tak, żeby dotrzeć bezpiecznie na drugi brzeg przepaści, musiałem wykonać krok czwarty.

Obserwując, jak idzie przez podjazd do samochodu, oparłem kolbę o udo i przeładowałem broń, wprowadzając do komory ostatni nabój.

Ponieważ był moim bratem, wybaczyłem mu, że powiedział Lou o Pedersonie i że osłaniał Sonny'ego utrzymując, iż tamtej nocy nie było go w samochodzie. Ale słabości wybaczyć mu nie mogłem. Dopiero w tym momencie uzmysłowiłem sobie, że jego słabość jest groźniejsza niż zachłanność i głupota Lou. Nie miałem złudzeń, nie miałem żadnych wątpliwości, że załamałby się już na pierwszym przesłuchaniu. Przyznałby się do wszystkiego i wydałby mnie policji. Nie, nie mogłem mu zaufać.

Gdy doszedł do końca podjazdu, zawołałem go. Byłem zmęczony, wyczerpany przeżyciami wieczoru, dzięki czemu poszło mi łatwiej.

- Jakub!

Odwrócił się. Stałem w drzwiach ze strzelbą Lou wycelowaną w jego pierś. i Chwilę trwało, zanim zrozumiał, co się dzieje.

- Przepraszam, Jakub.

Skonsternowany przekrzywił głowę niczym wielka papuga.

- Wierz mi, nie planowałem tego, ale muszę to zrobić.

Zdawało się, że zamarł, że, zбитy w sobie, cały zeszywniał. W końcu przejrzał na oczy.

- Nigdy bym cię nie wydał, Hank.

Pokręciłem głową.

- Nie, Jakub. Wszystko byś zepsuł. Wiem, że byś zepsuł. Nie mógłbyś żyć, mając na sumieniu ich śmierć.

- Hank - błagał - jestem twoim bratem...

Zacisnąłem dłoń na kolbie i lekko uniosłem lufę, mierząc mu w pierś. Ale nie wystrzeliłem. Czekałem. Nie to, żebym się wahał, nie - wiedziałem, że cofnąć się nie mogę, że praktycznie biorąc, jest już po wszystkim - po prostu miałem wrażenie, że o czymś zapomniałem, że przeoczyłem coś bardzo istotnego. Tak, musiało wydarzyć się coś jeszcze...

Nagle z ciemności wypadł Mary Beth. Obaj, Jakub i ja, aż podskoczyliśmy. Pies zabrzęczał metalowymi znaczkami na obroży, merdając ogonem, podbiegł do Jakuba i zaczął się do niego łąsić. Ponieważ pan go nie poklepał, Mary Beth ruszył w moją stronę.

Jakub spostrzegł, że zerkam na psa, szybko przyłożył strzelbę do ramienia i pociągnął za spust. Rozległ się metaliczny trzask iglicy uderzającej w opornik - komora nabożowa była pusta. Tkwił w niej tylko jeden nabój, nabój, który brat załadował w Nowy Rok, w dniu, gdy się to wszystko zaczęło, gdy wyruszyliśmy za lisem do lasu.

Na twarzy Jakuba zagościł smutny uśmiech. Nie jestem pewien, ale chyba wzruszył ramionami.

Wypaliłem mu prosto w pierś.

Nim zawiadomiłem policję, poszedłem za potrzebą. Ubikacja tonęła w wodzie. Sufit przeciekał już w kilku miejscach i woda ciurkała z niego nieprzerwanym strumyczkiem niczym miniaturowy prysznic. Tynk namókł i zbrązowił.

Zebrałem ubranie Sonny'ego, zaniósłem je do sypialni i rzuciłem do wody obok łóżka. Podniosłem pistolet, wytarłem go rękawem kurtki i schowałem do szuflady nocnego stolika.

Zszedłem na dół i pozostałe naboje wcisnąłem do kieszeni Lou. Strzelbę ułożyłem na podłodze, tuż przy nim. Wyraz jego twarzy nie uległ najmniejszej zmianie. Krew z kałuży pod głową cicho ściekała do saloniku i wsiąkała w dywan.

Sonny zostawił zapalone światło, więc musiałem podjechać do przyczepy, żeby je zgasić. Przy okazji powiesiłem szlafrok Nancy w szafie, a szminkę ustawiłem na umywalce.

Wracając do domu Lou, rozglądałem się za psem, ale, spłoszony wystrzałem, gdzieś przepadł.

Policję zawiadomiłem, stojąc na podjeździe. Mówiłem krótko, głosem człowieka ogarniętego paniką. Podałem im adres, powiedziałem, że doszło do strzelaniny, a pytania oficera dyżurnego zignorowałem.

- Mój brat... - załkałem i wyłączyłem nadajnik. Wiedziałem, że zabrzmiało to nieźle,

bardzo przekonująco, i nagle poczułem gwałtowny przypływ pewności siebie.

To wiarygodne, tłumaczyłem sobie, na pewno wypali.

Wyjąłem z kieszeni magnetofon i po raz ostatni odegrałem taśmę. Siedziałem w szoferce i słuchałem ich głosów wiedząc, że obaj nie żyją. Dziwne, niesamowite uczucie. Zatrzymałem taśmę, nim nagranie dobiegło końca, wszystko skasowałem i ukryłem magnetofon pod fotelem.

Przez jakiś czas po prostu siedziałem i czekałem. Potem wysiadłem i stanąłem na podjeździe. W chwili przybycia karetki chciałem być przy bracie, chciałem przy nim kucnąć i wziąć go w ramiona.

Wołałem psa, ale nie przyszedł. Kilka minut stałem przed domem, drżąc z zimna i nasłuchując pobrzękiwania metalowych plaketek na obroży Mary Beth. Rękawice ukryłem razem z magnetofonem i miałem nadzieję, że wiatr usunie z kurtki smród prochu.

Właśnie dostrzegłem czerwono-białe światła karetki migoczące na horyzoncie - były jeszcze daleko, ale szybko się zbliżały - gdy wtém Jakub chwycił mnie za kostkę u nogi. Chwycił i ścisnął, mocno, gwałtownie. Musiałem dwa razy szarpnąć, zanim się uwolniłem.

Z jego piersi wydobywało się gulgotanie, mlaskliwe i bardzo ciche. Gdy je usłyszałem, zdałem sobie sprawę, że brat wydaje te odgłosy od dłuższego czasu.

Stanąłem poza zasięgiem jego ręki i nachyliłem się. Kurtkę miał porwaną i czarną od krwi. Światła były coraz bliżej. Trzy samochody - jechały szybko, bez syren: dwa ze wschodu, jeden z południa.

Jakub próbował podnieść głowę, ale nie mógł. Szukał mnie oczyma. Zdołał skupić wzrok - trwało to sekundę, może dwie - potem oczy zasnuła mu mgła, lecz po chwili znowu spojrzał na mnie trzeźwo. Jego okulary leżały na śniegu.

Dobiegł mnie warkot silnika pędzącej karetki.

- Pomóż mi - wycharczał.

Powtórzył to jeszcze dwa razy.

Później stracił przytomność.

Rozdział 7

Kilka minut po ósmej następnego ranka siedziałem w pustym pokoju na pierwszym piętrze szpitala miejskiego w Delphii, oglądając siebie w telewizji.

Najpierw spiker czytał coś z kartki. Telewizor był zepsuty, więc nie słyszałem, co mówi, ale wiadomość musiała dotyczyć wydarzeń poprzedniej nocy, bo wyświetlili króciutką, najwyżej pięciosekundową migawkę pokazującą, jak wysiadam z policyjnego radiowozu i wchodzę do szpitala. Szedłem szybko, byłem przygarbiony, miałem nisko opuszczoną głowę. Wyglądałem inaczej niż zwykle i to dodało mi otuchy. Sprawiałem wrażenie człowieka wstrząśniętego, zszokowanego, takiego, jakim chcieli mnie widzieć ci z telewizji.

Potem wystąpiła kobieta, reporterka. Stała przed domem Lou i mówiła do mikrofonu. Miała na sobie długą, ciepłą kurtkę i grube, żółte rękawiczki narciarskie. Kiedy mówiła, jej brązowe włosy podrywały się z ramion i drżały na wietrze. Za nią, na podjeździe, parkowało kilka radiowozów. Śnieg był zryty koleinami i śladami opon samochodowych. Przez szeroko otwarte drzwi na ganku widziałem dwóch mężczyzn kucających w progu z aparatami fotograficznymi.

Kobieta mówiła krótko i cały czas miała bardzo poważną, zasmuconą twarz. Gdy skończyła, na ekranie znowu pojawił się spiker i wyglądało na to, że ją pociesza. Dziennik dobiegł końca.

Po dzienniku puścili reklamy, a po reklamach filmy rysunkowe dla dzieci: Elmer Fudd ścigał kaczora Duffy'ego. Odwróciłem wzrok.

Z Sara i Amandą siedzieliśmy w pokoju, który kiedyś musiał być czymś w rodzaju dwuosobowej separatki. Z jakichś powodów wyniesiono z niego meble: łóżka, stoliki nocne, wszystko. Jeśli nie liczyć dwóch składanych krzeseł, na których siedzieliśmy, w pomieszczeniu nie było dosłownie nic. Na jasnoniebieskiej podłodze dostrzegałem miejsce, gdzie stały łóżka, bo płytki były tam nieco ciemniejsze: dwa idealne prostokąty przy samej ścianie, niczym dwa ostre cienie. W ścianie wykuto tylko jedno małe okno. Kształtem i wielkością przypominało szczelinę strzelniczą w murze średniowiecznego zamku, jedną z tych, przez które łucznicy szli strzałami w nieprzyjaciół.

Telewizor stał na stelażu umocowanym na hakach wkręconych w sufit. Ilekroć spoglądałem w tamtą stronę, robiło mi się niedobrze, mimo to stwierdziłem, że nie potrafię oderwać wzroku od ekranu. Prócz Sary i Amandy, w separatce nie było nikogo, a na Sarę patrzeć nie chciałem. Wiedziałem, że gdy na nią spojrzę, natychmiast zacznę mówić, a w

szpitalu rozmawiać nie miałem ochoty.

Odosobniono nas w tym pokoju z uprzejmości, żeby zapewnić nam spokój i ciszę; w poczekalni czyhali reporterzy. Nie spałem ani minuty, od poprzedniego dnia nic nie jadłem. Byłem nie ogolony, brudny i sponiewierany.

FBI nie wezwano. Wszystko rozegrało się w biurze szeryfa okręgu Fulton. Rozmawiali ze mną dwie godziny i poszło mi całkiem nieźle. Byli normalnymi ludźmi, jak Carl Jenkins, i uznali - dokładnie tak, jak tego z Sara oczekiwaliśmy - że doszło do nieszczęśliwego wypadku: Lou wrócił do domu pijany, nakrył Sonny'ego z Nancy, chwycił broń i zabił ich; odjeżdżając usłyszeliśmy strzały, więc ruszyliśmy biegiem do ganku, a wtedy Lou otworzył drzwi, wymierzył i gruchnęły dwa wystrzały.

Zastępcy szeryfa potraktowali mnie nader łagodnie i uprzejmie, bardziej jak ofiarę niż podejrzanego, a moje zestresowanie wynikające z niepokoju, że brat może odzyskać przytomność, uznali za przejaw nieutulonego smutku.

Operowano go już trzecią godzinę.

Siedzieliśmy z Sara w separacie i czekaliśmy.

Ani ona, ani ja nie mieliśmy ochoty na rozmowę. Sara zajmowała się Amandą. Karmiła ją, zabawiała, coś do niej szeptała. Gdy dziecko przysypiało, zamykała oczy i półdrzemała na składanym krześle. Oglądałem niemy program telewizyjny: filmy rysunkowe, teleturniej, powtórkę jakiegoś serialu. Gdy wyświetlali reklamy, podchodziłem do okna i wyglądałem na szpitalny parking. Był wielki, niczym asfaltowe pole, ale samochody tłoczyły się tylko w pobliżu budynku, tak że skraj parkingu sprawiał wrażenie zaniedbanego i opuszczonego. Dalej ciągnęło się prawdziwe pole, rozległe i zasypane śniegiem. Gdy wiało, wiatr zdmuchiwał śnieżny pył na czarny asfalt, gdzie tworzyły się małe, półprzezroczyste fale, po czym ciskał nim w ścianę szpitala.

Czekaliśmy i czekaliśmy. Korytarzem wyłożonym terakotą przechodzili policjanci i pielęgniarki. Słyszając echo ich kroków, odruchowo zerkaliśmy w stronę drzwi, lecz jak dotąd nikt ich nie otworzył, nikt nam nic nie powiedział.

Gdy Amandą zaczynała płakać, Sara nuciła jej piosenkę i dziecko momentalnie cichło. Po jakimś czasie rozpoznałem tę melodię: Sara śpiewała „Frere Jacques”. Słuchałem jej i słuchałem i to Frere Jacques tak pięć do mnie przyczepiło, że nawet kiedy Sara przestawała nucić, wciąż brzmiało mi w uszach.

Kilka minut po jedenastej do pokoju wszedł jeden z zastępców szeryfa. Wstałem, żeby się z nim przywitać.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Sara posłała mu słaby uśmiech, skłoniła głowę i przytuliła

dziecko do piersi.

- Przepraszam, że przychodzę w takiej chwili... - zaczął i urwał, jakby zapomniał, po co przyszedł. Spojrzał na ekran telewizora - akurat wyświetlali reklamę toyoty - i zmarszczył czoło. Nie należał do grupy śledczych, z którymi rozmawiałem wcześniej. Jak na policjanta, wyglądał stanowczo za młodo. Mundur miał trochę za duży, czarne buty trochę za bardzo błyszczące, a fałda rozcinająca kapelusz z szerokim rondem była trochę za głęboka i zbyt dokładnie zagięta. Gdy marszczył czoło, marszczyła mu się cała twarz, młoda, idealnie okrągła, płaska, blada niczym księżyc i piegowata, jak twarz wiejskiego chłopaka.

- Przykro mi z powodu pańskiego brata - zaczął po raz drugi. Zerknął nieśmiało na Sarę, na dziecko i znowu spojrzał w stronę telewizora.

Czekałem, spięty i czujny.

- Widzi pan, złapaliśmy tego psa. Znaleźliśmy go na miejscu przestępstwa. - Odchrząknął, oderwał wzrok od ekranu telewizora i niepewnie popatrzył na mnie.

- Zastanawialiśmy się, czy zechce pan go wziąć.

Przestąpił z nogi na nogę. Jego czarne błyszczące buty zaskrzypiały.

- Jeśli nie - dodał szybko - jeśli nie chce pan zawracać sobie głowy, co doskonale rozumiem, jakiś czas możemy przetrzymać go w schronisku. - Znowu spojrzał na Sarę. - Dopóki wszystko się nie ułoży.

Zerknąłem na Sarę. Kiwnęła głową.

- Nie - odrzekłem. - Weźmiemy go.

Uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

- W takim razie podrzucę go państwu do domu. Uścisnęliśmy sobie ręce i wyszedł.

Czterdzieści minut później do separatki zajrzał doktor. Operacja dobiegła końca. Jakub był w stanie krytycznym i przewieziono go do sali intensywnej terapii.

Lekarz poinformował nas, że pocisk uszkodził bratu oba płuca, serce, aortę, trzy żebra, przeponę, przelyk, wątrobę i żołądek. Przyniósł nam schemat, na którym zaznaczył uszkodzone organy. Wymieniając ich nazwy, zakreślał je czerwonym długopisem.

- Zrobiliśmy, co w naszej mocy - zakończył.

Dawał Jakubowi minimalne szansę przeżycia: jedną na dziesięć.

Później, gdy znowu stałem przy oknie, Sara szepnęła:

- Dlaczego nie sprawdziłeś?

Po jej głosie poznałem, że jest bliska płaczu.

- Jeśli przeżyje...

- Ciiiicho. - Spojrzałem na drzwi.

Popatrzyliśmy na siebie w ciszy i odwróciłem się do okna.

Przed trzecią odwiedził nas inny lekarz. Jakby się podkradł, bo ani Sara, ani ja nie słyszeliśmy jego kroków: po prostu zmaterializował się w progu separatki jak duch. Wysoki, szczupły, przystojny, miał krótkie siwe włosy. Był w fartuchu. Pod fartuchem dostrzegłem jaskrawoczerwony, kłujący w oczy krawat; jego kolor kojarzył mi się z krwią.

- Nazywam się Reed - powiedział.

Uścisnął mi rękę, krótko i mocno. Mówił szybko, jakby się bał, że lada chwila mogą go wezwać i nie zdąży dokończyć tego, czego jeszcze nie zaczął.

- Pański brat odzyskał przytomność.

Poczułem, że pali mnie kark i szyja, że czerwienieje mi twarz. Nie spojrzałem na Sarę.

Poszedłem za nim, zostawiając ją z dzieckiem w separacie. Reed umiał chodzić szybko i efektywnie: wyciągał swoje długie nogi, tak że musiałem truchtać, by dotrzymać mu kroku. Korytarzem doszliśmy do wind, ale nie czekaliśmy ani chwili, bo drzwi rozsunęły się natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Reed wcisnął guzik piątego piętra, zadzwonił dzwonek i drzwi się zamknęły.

- Powiedział coś? - wysapałem lekko zdyszany; uznałem, że pytanie zabrzmiało podejrzenie, i szybko uciekłem wzrokiem w bok.

Reed obserwował numery pięter migające nad drzwiami. Ręce założył z tyłu, splótł dłonie.

- Niezupełnie - odrzekł. - Co chwilę traci przytomność, majaczy. Z bełkotu wyłowiliśmy tylko pańskie imię.

Zamknąłem oczy.

- W normalnych okolicznościach nie pozwoliłbym na odwiedziny - dodał - ale szczerze mówiąc, to chyba ostatnia okazja.

Drzwi się rozsunęły i wyszliśmy na korytarz piątego piętra. Światło było tu lekko przyćmione. Za dużym kontuarem naprzeciwko windy szeptała grupka pielęgniarek. Spojrzały w naszą stronę, ale patrzyły na Reeda, nie na mnie. Z pomieszczenia za nimi dochodziło popiskiwanie jakiejś aparatury.

Reed zamienił z nimi kilka słów, po czym wziął mnie za łokieć i poprowadził w lewo. Po drodze mijaliśmy liczne drzwi, ale chociaż były otwarte, nie zaglądałem do środka. Od razu poznałem, w której sali leży Jakub. Była na samym końcu korytarza, po lewej stronie. Przed drzwiami stał Carl Jenkins pogrążony w rozmowie z zastępcą szeryfa o twarzy wiejskiego chłopaka. Gdy wchodziliśmy do środka, obaj skinęli mi na powitanie.

Brat leżał tuż za drzwiami. Pod prześcieradłem wyglądał jak powalony olbrzym albo

martwy niedźwiedź, lecz jednocześnie sprawiał wrażenie zapadniętego w sobie, odsączonego z krwi, człowieka, z którego została tylko skorupa. Leżał zupełnie nieruchomo. Łóżko pokrywała płatanina rur, rurek i przewodów. Spływały na podłogę i dokądś biegły. Jakub był nimi dosłownie naszpikowany - przypominał marionetkę na sznurkach.

Podszedłem bliżej.

Przy łóżku stał sanitariusz, karłowaty i ciemnowłosy. Gmerał w płataninie rurek i nie zwracał na mnie uwagi. Na wózku za nim spoczywało wielkie pudło skomplikowanej maszyny z żółtym monitorem. Pudło miarowo popiskiwało.

Sala była duża. Miała kształt prostokąta i stało tam kilka innych łóżek zasłoniętych parawanami, tak że nie widziałem, czy są zajęte, czy nie.

Sanitariusz nosił rękawiczki z przezroczystej gumy. Dostrzegalem przez nie czarne i poskręcane włosy, przygniecione do skóry dłoni.

Reed stanął u stóp łóżka.

- Może pan zostać najwyżej minutę - oznajmił. Potem dał znak sanitariuszowi i zaczęli do siebie szeptać. Reed robił notatki.

Wstrzymawszy oddech, wziąłem Jakuba za rękę. Była zimna, ciężka i wilgotna niczym kawał mięsa. Jakby już do niego nie należała. Ogarnęło mnie obrzydzenie. Musiałem ją ścisnąć, bo inaczej nie wytrzymałbym tego.

Pod wpływem nacisku moich dłoni zatrzepotał powiekami. Otworzył oczy i sekundę później odnalazł mnie wzrokiem. I patrzył na mnie, wciąż na mnie patrzył, ani mrugnął. Z nosa sterczały mu dwie rurki. Twarz miał bladą, niemal zupełnie przezroczystą, jakby odpłynęła z niej cała krew. Na skroniach wystąpiły mu żyły. Czoło miał zroszone potem.

Patrzył tak na mnie chwilę i nagle - pewnie zupełnie bezwiednie - wykrzywił usta w uśmiechu. Ale nie był to jego normalny uśmiech, nie, bo Jakub, mój brat Jakub, nigdy się tak nie uśmiechał. Podwinął wargi, kąciki ust powędrowały do góry, na skutek czego wyglądał jak pies szczerzący kły. Natomiast oczami nie poruszył ani razu.

- Jestem tutaj, Jakub - wyszeptałem. - Jestem przy tobie.

Chciał odpowiedzieć, ale nie mógł. Zacharczał gardłowo, na co maszyna zareagowała wzmożonym popiskiwanym. Reed i sanitariusz przestali rozmawiać i zerknęli na Jakuba. Brat zamknął oczy. Popiskiwanie stopniowo powróciło do normy.

Trzymałem go za rękę minutę, najwyżej dwie. Potem lekarz kazał mi wyjść.

Reed został w sali z sanitariuszem, więc szedłem do windy sam. Carl Jenkins stał teraz w drugim końcu korytarza i rozmawiał z pielęgniarką. Wiejski chłopak gdzieś zniknął.

Gdy wsiadałem do windy, kącikiem oka zauważyłem, że Jenkins żegna się z

pielęgniarką i rusza w moją stronę. Bez namysłu wcisnąłem guzik zamykania drzwi. Nie zrobiłem tego ze strachu, lecz raczej z pragnienia samotności, ale natychmiast sobie uświadomiłem, że mogło to wyglądać jak ucieczka przestępcy chcącego uniknąć dalszych przesłuchań. Szybko dźgnąłem przycisk. Za późno - winda ruszyła, zjeżdżałem na parter.

Kiedy drzwi się rozsunęły, wysiadłem z kabiny i skręciłem w lewo. Przeszedłem najwyżej trzy metry, gdy zdałem sobie sprawę, że pomyliłem piętra. W pośpiechu nacisnąłem trzeci guzik od dołu i wylądowałem na oddziale położniczym; dobrze to miejsce pamiętałem, bo często odwiedzałem Sarę. Natychmiast zawróciłem, ale drzwi były już zamknięte - winda zdążyła odjechać.

Naprzeciwko drzwi mieściło się stanowisko pracy dyżurujących pielęgniarek: wielki, pomalowany na pomarańczowo kontuar w kształcie litery „L”, dokładnie taki sam jak na piątym piętrze. Siedziały za nim trzy pielęgniarki. Śledziły mnie wzrokiem od chwili, gdy wysiadłem z windy. Stałem tyłem do nich, zastanawiając się, czy wiedzą, kim jestem, czy widziały mnie w telewizji, czy słyszały plotki na mój temat. Wyobrażałem sobie, że doszukują się w mojej twarzy śladów smutku i szepczą: „To ten facet. Wczorajszej nocy postrzelili mu brata”.

Z korytarza po lewej stronie dobiegł mnie płacz dziecka.

Zadzwonił elektroniczny dzwonek i drzwi stanęły otworem. W kabinie ujrzałem Carla Jenkinsa. Czuję, że się czerwienię, ale spróbowałem zapanować nad głosem.

- Cześć, Carl - rzuciłem, wsiadając do windy. Twarz mu promieniała.

- Co ty tu robisz, Hank? Czyżbyś spodziewał się drugiego potomka?

Odwzajemniłem uśmiech, wcisnąłem przycisk pierwszego piętra i drzwi się zasunęły.

- Siła przyzwyczajenia - odrzekłem. - Często odwiedzałem Sarę i odruchowo nacisnąłem nie to, co chciałem.

Roześmiał się krótko, cicho i grzecznie. Potem spoważniał.

- Przykro mi, Hank - szepnął. - Naprawdę bardzo mi przykro. - Spuścił oczy i zaczął miętosić rondo kapelusza.

- Wiem.

- Jeśli mógłbym coś dla ciebie zrobić...

- To bardzo miło z twojej strony, Carl, dziękuję. Zadzwonił dzwonek. Dojechaliśmy na pierwsze piętro. Wysiadłem. Carl przytrzymał drzwi.

- Powiedział coś? Tam, w sali.

- Jakub?

Kiwnął głową.

- Nie. Nic.

Popatrzyłem w lewo i w prawo. Po prawej stronie zobaczyłem dwóch lekarzy rozmawiających półgłosem w głębi korytarza. Z lewej dobiegł mnie śmiech kobiety. Jenkins nie puszczał drzwi.

- Co wyście tam wczoraj robili? - spytał.

Zbadałem wzrokiem jego twarz. Podejrzewał coś? Zastępcy szeryfa zadali mi to samo pytanie i Carl przy tym był, słyszał moją odpowiedź. Drzwi chciały się zamknąć, ale przytrzymał je ramieniem.

- Opijaliśmy narodziny Amandy. Jakub mnie zaprosił.

Znowu kiwnął głową. Milczał i wyraźnie czekał, aż powiem coś więcej.

- Początkowo nie chciałem iść - mówiłem dalej - ale Jakub nalegał. Był bardzo podniecony, ucieszony, że został wujkiem. Bałem się go zranić. Drzwi znowu napały na przedramię Jenkinsa.

- Czy Lou powiedział coś, zanim do niego strzelił?

- Do Jakuba?

- Tak. Może przeklinał albo obrzucał go wyzwiskami?

- Nie. Po prostu otworzył drzwi, przyłożył strzelbę do ramienia i pociągnął za spust.

Lekarze, rozmawiający w głębi korytarza, pożegnali się i jeden z nich ruszył w naszą stronę. Jego buty piszczały na wyłożonej płytkami podłodze.

- Jedzie pan na dół? - spytał.

Carl wychylił się i kiwnął głową.

- A tamtego wieczora, kiedy widziałem was w parku Andersa? - spytał.

Serce zabiło mi szybciej. Miałem nadzieję, że zdążył zapomnieć o tamtym spotkaniu.

- Tamtego wieczora? - powtórzyłem.

- Tak. Co tam robiliście?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nic nie przychodziło mi do głowy i za Boga nie mogłem sobie przypomnieć, co mu wtedy mówiłem. Wyteżyłem pamięć, gorączkowo myślałem, zastanawiałem się, ale zmęczony umysł odmówił pomocy. Lekarz był tuż, tuż.

- To było w Nowy Rok... - wykrztusiłem, próbując zyskać na czasie. I utknąłem.

- Jechaliście na wódkę?

Wiedziałem, że coś jest nie tak, ale ponieważ ogarnął mnie kompletny bezwład myślowy, powoli skinąłem głową.

Lekarz minął mnie i wśliznął się do windy. Carl puścił drzwi.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebował, od razu dzwoń - rzucił. - Możesz liczyć na moją

pomoc, Hank.

Chociaż lekarze powiedzieli, że nic tam po mnie i że równie dobrze mogę wracać do domu, zostałem w szpitalu do wieczora. Jakub to odzyskiwał, to tracił przytomność, ale już nie pozwolono mi go zobaczyć. Rokowania były pesymistyczne.

O zmroku, gdzieś koło piątej, Amanda zaczęła płakać. Sara nakarmiła ją, śpiewała jej piosenki, chodziła z nią po pokoju, ale dziecko nie chciało się uspokoić. Płakało coraz głośniej i głośniej. Rozboliła mnie głowa, ogarnęło mnie coś w rodzaju klaustrofobii i poprosiłem Sarę, żeby zabrała małą do domu.

Zażądała, żebym wracał z nimi.

- Nic tu nie działasz, Hank. Sprawa jest poza naszym zasięgiem.

Amanda płakała i zawodziła tak głośno, że jej maleńka twarzączka poczerwieniała z wysiłku. Obserwując ją, próbowałem myśleć, ale nic nie wymyśliłem. Czułem się paskudnie, jakby coś wysliznęło mi się z rąk i na zawsze przepadło. Przygnieciony straszliwym brzemieniem niepowetowanej straty, kiwnąłem głową.

- Dobrze - szepnąłem. - Jedźmy do domu.

Wsiadałem do samochodu ze świadomością cudownego wyzwolenia. Cały dzień, minął cały dzień - cały dzień dławilem w sobie tajemnice, które mogłem zdradzić tylko Sarze.

Nadeszła chwila, kiedy mogłem jej wszystko opowiedzieć. Tak, przyjedziemy do domu, zrobimy coś do jedzenia i pójdziemy spać. A kiedy my będziemy jedli i spali, poharatane ciało Jakuba stoczy walkę o życie i zdecyduje o moim losie.

Sara włożyła dziecko do podróżnej kołyski przymocowanej pasami do tylnego siedzenia i siadła za kierownicą. Zmęczony, do cna skatowany, zwałem się obok niej. Bolały mnie wszystkie mięśnie, czułem mdłości. Słońce już zaszło. Niebo było granatowe, z każdą chwilą ciemniejsze. Jedna po drugiej, wschodziły pierwsze gwiazdy. Księżyc jeszcze nie wychynął.

Żeby nie zasnąć, oparłem się głową o lodowatą szybę, ale zacząłem mówić dopiero wtedy, gdy wyjechaliśmy z parkingu. Opowiedziałem Sarze wszystko: o popijawie we „Wranglerze”, o jeździe do domu Lou, o tym, jak go podeszliśmy i jak go nagrałem. Opowiedziałem jej, jak Lou poszedł po broń, jak brat go zastrzelił i o tym, jak zastrzeliłem Nancy. Opowiedziałem jej o wizycie w przyczepie Sonny'ego, o tym, jak kazałem mu się rozebrać, jak ścigałem go po schodach do sypialni.

Przechyliła głowę i uważnie słuchała. Od czasu do czasu potakiwała, dając mi do zrozumienia, że chłonie każde moje słowo. Kręciła kierownicą to w lewo, to w prawo, wioząc nas do domu.

Amanda nieustannie płakała.

Doszedłem do momentu, gdy Jakub się załamał, i zamilkłem. Zerknęła na mnie i leciutko, prawie niezauważalnie zmniejszyła gaz.

- Zaczął płakać - mówiłem - i zdałem sobie sprawę, że nie wytrzyma, że kiedy przyjedzie policja i dziennikarze, od razu się załamie i wszystko wygada.

Kiwnęła głową, jakby sama to odgadła.

- Nie mógł się pozbierać, nie umiał nad sobą zapanować, więc go zabiłem. Tak zdecydowałem i tak zrobiłem. Uważałem, że postępuję słusznie. Cały czas byłem o tym przekonany.

Czekając na jej odpowiedź, spojrzałem w okno. Mijaliśmy szkołę, miejscowy ogólniak, olbrzymi, nowoczesny, jaskrawo oświetlony budynek. Coś się tam działo, może zorganizowali potańcówkę albo koncert, bo na okrągłym podjeździe parkowało mnóstwo samochodów i wciąż zajeżdżały następne. Na chodniku stały grupki nastolatków ćmiących papierosy. Rodzice zmierzali tłumnie w stronę wielkich przeszklonych drzwi szkoły.

Sara milczała.

- Ale później - kontynuowałem - kiedy powiadomiłem przez radio policję i odkryłem, że Jakub żyje, zmroziło mnie. Nawet gdybym wiedział, jak go dobić, nie zrobiłbym tego.

Spojrzałem na nią.

- Nie chciałem, żeby umarł.

- A teraz?

Wzruszyłem ramionami.

- To mój brat. Zmuszałem się, żeby o tym zapomnieć, ale nie zdołałem. Świadomość, że zabijam własnego brata, zaskoczyła mnie i sparaliżowała.

Sara nie odpowiedziała.

Zamknąłem oczy, ulegając zmęczeniu. Słyszałem, jak Amanda łka i zawodzi, wsłuchiwałem się w monotony rytm kolejnych fal płaczu i powoli odpływałem w niebyt.

Kiedy otworzyłem oczy, wjeżdżaliśmy do Fortu Ottowa. Zza żywopłotu wyskoczyła trójka chłopców i ślizgając się na oblodzonym chodniku, obsypała samochód gradem śnieżek. W świetle reflektorów mieli żółte twarze. Wykrzykiwali coś, machali rękami i szybko zostali w tyle.

Sara zwolniła.

- Jeśli przeżyje, oboje skończymy w więzieniu - skostatowała.

- Chciałem dobrze - odrzekłem - ale nie mogłem się zdecydować, co jest dobre. Chciałem nas chronić, jednocześnie pragnąłem ocalić Jakuba. Chciałem i tego, i tego,

rozumiesz?

Spojrzałem na nią, ale twarz miała bez wyrazu.

- Musiałem wybierać. No i wybrałem.

Zniżyła głos do szeptu:

- Postąpiłeś słusznie, Hank.

- Tak myślisz?

- Gdyby się załamał, już by nas aresztowali.

- Uważasz, że by się załamał?

Chciałem, żeby powiedziała „tak”, potrzebowałem otuchy i wsparcia, ale mi go nie udzieliła. Odrzekła tylko:

- Znasz go, to twój brat. Skoro podejrzewałeś, że może się załamać, to pewnie by się załamał.

Spuściłem wzrok. Ręce mi się trzęsły. Spróbowałem nad nimi zapanować, ale mnie nie słuchały.

- Co było dalej? - spytała.

Chciała wiedzieć, więc jej opowiedziałem o tym, jak strzeliłem do Jakuba, o ponownej wizycie w przyczepie Sonny'ego, dokąd pojechałem, żeby zgasić światło, o tym, jak wezwałem policję, i jak brat chwycił mnie za kostkę u nogi. Gdy wjeżdżaliśmy na podjazd, opisywałem jej przebieg rozmowy z zastępcami szeryfa. Sara wprowadziła wóz do garażu i wyłączyła silnik, ale nie wysiedliśmy od razu. Robiło się coraz zimniej, a my siedzieliśmy w samochodzie, dopóki nie skończyłem.

Amanda wciąż płakała, teraz już chyba bardziej ze zmęczenia niż ze złości, więc wyjąłem ją z kołyski i podałem Sarze. Mówiłem, a ona obcałowywała dziecko i huśtała je na kolanach. Nic z tego - Amanda nie dała za wygraną.

Zrelacjonowałem jej przebieg odwiedzin w sali intensywnej terapii.

- Uśmiechnął się do mnie, jakby wszystko zrozumiał - powiedziałem, nie bardzo w to wierząc. Zerknąłem na nią, chcąc sprawdzić, jak na to zareagowała, ale właśnie próbowała rozbawić dziecko, strojąc śmieszne miny. - Jakby mi... wybaczył - dodałem.

- Był w szoku - odparła. - Pewnie nawet nie pamięta, co się stało.

- A potem? Będzie pamiętał?

Rozpaczliwie pragnąłem wierzyć, że nie, że o wszystkim zapomni i uczepliłem się tej myśli, jak tonący koła ratunkowego. Chciałem, żeby przeżył i zapomniał: o pieniądzach, o tym, że do niego strzeliłem, o tym, co było okrutne i złe.

- Nie wiem.

- Jeśli zaczniesz mówić, zostanie nam niewiele czasu. Przyjadą bez uprzedzenia.

Kiwnęła głową i pocałowała Amandę w czoło. Dziecko ciągle płakało, ale jakby ciszej, krótkimi atakami kwilącego łkania. Sara wyszeptwała jej imię.

- Trzeba wywieźć pieniądze z domu. - Powiedziałem to szybko, bo nic naglej paniki zszyla i ścisnęła pięć słów w jedno. - Trzeba je gdzieś zakopać albo...

- Ciiii - szepnęła uspokajająco Sara. - Wszystko będzie dobrze, Hank, zobaczysz.

- A może po prostu uciekniemy? - spytałem bez zastanowienia.

- Uciekniemy?

- Moglibyśmy się spakować, wziąć pieniądze i zniknąć.

Przeszyła mnie ostrym spojrzeniem.

- Ucieczka byłaby przyznaniem się do winy, Hank. Od razu by nas zgarnęli. Zrobiliśmy, co zrobiliśmy. Koniec. Kropka. Teraz musimy czekać z nadzieją, że wszystko dobrze się skończy.

Ulicą przejechał jakiś samochód; Sara obserwowała to we wstecznym lusterku.

- Lekarze twierdzą, że on umrze - dodała bardzo cicho i łagodnie.

- Ale ja nie chcę, żeby umarł. - Fakt, nie byłem całkiem szczery, ale pomyślałem, że poczuje się przez to lepiej.

Spojrzała mi w oczy.

- Hank, jestem pewna, że jeśli tylko zachowamy

ostrożność, jakoś to przetrwamy. Lecz ani przez chwilę, ani przez króciutką chwilę nie możemy się tym katować. To był wypadek, zwykły wypadek, nic więcej. Nie miałeś wyboru.

- Jakub to nie wypadek.

- Mylisz się. Moment, kiedy Lou chwycił broń, zapoczątkował całą serię wypadków.

Nie mieliśmy na nie żadnego wpływu, ani ty, ani ja. To nie nasza wina.

Musnęła ręką policzek Amandy i dziecko w końcu zasnęło. Zapadła głucha cisza. W ciszy wnętrza samochodu stało się jakby przestronniejsze.

- Tak, zrobiliśmy coś potwornego - mówiła Sara - ale to wcale nie znaczy, że jesteśmy źli, że nie mieliśmy prawa postąpić, jak postąpiliśmy. Musieliśmy się ratować. To była samoobrona: wszystko, co zrobiłeś, każdy strzał, który oddałeś.

Odgarnęła włosy z czoła i spojrzała na mnie wyczekująco.

Nagle zrozumiałem, że Sara ma rację. Właśnie to powinniśmy sobie wmawiać: że nasze czyny są zrozumiałe i wytłumaczalne, że możemy je sobie wybaczyć, że ich brutalność wynikała nie z naszych planów i pragnień, lecz z tego, że - bynajmniej nie z naszej winy - utkwiliśmy w pułapce. To był sposób, tak, to był sposób idealny: ujrzeć siebie w innym

światle, uznać, że nie jesteśmy sprawcami tragedii, i dołączyć do długiej listy jej ofiar. Inaczej nie dalibyśmy rady z tym żyć.

- Prawda? - szepnęła.

Spojrzałem na Amandę, na jej okrągłą główkę i pomyślałem: moje dziecko.

- Tak - odszepnąłem.

Właśnie wysiadaliśmy, gdy nagle cały garaż zalało jaskrawe światło reflektorów. Na podjazd wjechał jakiś samochód. Spojrzałem w tamtą stronę i zmrużyłem oczy.

- Policja - szepnęła Sara.

Wyczerpany przeżyciami, gwałtownie zadrzałem, ale jeśli w ogóle ogarnęła mnie wtedy panika, nie była to panika fizyczna, lecz czysto umysłowa. Z mrocznych zakamarków mózgu dobiegł mnie stłumiony szept: Jakub wszystko wygadał, przyjechali nas aresztować. Ta myśl tańczyła mi pod czaszką, trzepotała jak spłoszony ptak, mimo to nie obezwładniła mnie, nie sparaliżowała - dobijało mnie tylko zmęczenie, na nic więcej nie było mnie stać.

Reflektory zgasły i przed garażem wykwitła czarna sylwetka radiowozu. Otworzyły się drzwi.

Jęknąłem.

- Ciii... - szepnęła Sara. Wyciągnęła do mnie rękę. Położyła ją płasko na dachu samochodu i dodała: - Przyjechali zawiadomić cię, że umarł.

Myliła się.

Krok po kroku wycłapałem się na podjazd i przy radiowozie zobaczyłem zastępcę szeryfa o twarzy wiejskiego chłopaka.

Przywiózł nam psa.

Sara odgrzała resztkę łazanek. Jadłem przy kuchennym stole, a ona siedziała naprzeciwko mnie. Trochę łazanek dała psu, ale Mary Beth nie chciał jeść. Powąchał zawartość miski i cicho skamłając wyszedł z kuchni. Słyszeliśmy, jak chodzi po całym domu.

- Szuka Jakuba?

Spojrzała na mnie znad talerza.

- Ciii... - szepnęła. - Przestań.

Ledwo skubałem łazanki. Ich widok przypomniiał mi ostatnią kolację z bratem i raptem ogarnęło mnie... Nie, nie poczucie winy. Nie był to również smutek, lecz raczej niezwykle ciepło, fala intensywnego ciepła idąca z piersi i zalewająca całe ciało. Rozpłakałbym się, ale nie chciałem martwić Sary.

Wstała, żeby pozmywać naczynia.

Amanda znowu zaczęła płakać, ale nie zwracaliśmy na nią uwagi.

Wrócił Mary Beth. Wciąż cicho skamlał.

Spojrzałem na łazanki i podparłem się pod brodę. Gdy zacisnąłem powieki, ujrzałem przed sobą medyczny przekrój ciała Jakuba.

Sara puściła wodę do zlewu.

Przed oczyma wykwitły mi czerwone kręgi.

Ocknąłem się w sypialni, ciężki i obolały. Ciało miałem jak z ołowiu, jakby przyszyto je do materaca. Sara musiała zawlec mnie do łóżka, ale nie pamiętałem, kiedy i jak to zrobiła. Byłem nagi; moje ubranie leżało na krześle po drugiej stronie pokoju.

Po szarówce za oknem poznałem, że już świta. Nie miałem siły odwracać głowy, by spojrzeć na budzik. Nie, nie doznałem amnezji - doskonale pamiętałem wszystkie wydarzenia minionej nocy. Kiedy wystrzeliłem, kolba strzelby uraziła mnie w żebro i trochę mnie bolało. Wiedziałem, że znajdę tam siniak.

Powoli dotarło do mnie, że na dole dzwoni telefon. Słyszałem, jak Sara podnosi słuchawkę, jak z kimś rozmawia. Mówiła półgłosem, więc nic nie zrozumiałem.

Pies ciągle skamlał, lecz skamlanie dobiegało mnie z oddali, chyba z podwórza.

Zaczynałem ponownie zasypiać, ale obudziły mnie kroki na schodach. Półśpiąc, leciutko rozchyliłem powieki i patrzyłem, jak Sara wchodzi do sypialni.

Myślała, że śpię - poznałem to po sposobie jej poruszania się. Stała przy oknie, włożyła Amandę do kołyski, później podeszła do łóżka i zaczęła się niespiesznie rozbierać. Zza parawanu rzęs widziałem, jak odkrywa przede mną swe ciało: jak zdejmuje podkoszulek, stanik, skarpetki, dzinsy i majtki.

Piersi nabrzmiały jej mlekiem, ale zdążyła już schudnąć i ważyła niewiele więcej niż przed zajściem w ciążę. Ciało miała szczupłe, jędrne i piękne.

Amanda rozplakała się cichutko i melancholijnie, idąc w ślady psa skamlącego za oknem.

Sara rzuciła okiem w stronę kołyski, zawahała się, zdjęła klipsy i położyła je na nocnym stoliku. Klipsy delikatnie zabrzęczały.

Naga wśliznęła się pod koc. Przywarła do mnie, prawą nogę wepchnęła mi w krocze, objęła mnie za szyję. Leżałem nieruchomo. Skórę miała miękką, wypielegnowaną i pachnącą, więc poczułem się jeszcze bardziej nieświeżo. Cmoknęła mnie w policzek i przysunęła usta do mego ucha.

Wiedziałem, że zaraz coś powie, mimo to czekałem spięty, jakby szykowała mi niespodziankę.

- Umarł - szepnęła.

Rozdział 8

Zlokalizowanie naszego domu zajęło prasie i telewizji dokładnie trzydzieści sześć godzin. Może myśleli, że mieszkamy w Ashenville, nie w Delphii, a może, kierując się archaicznym poczuciem przyzwoitości, celowo zwlekali, niemniej w niedzielę nadciągnęli zwartą armią. Przyjechały wozy transmisyjne z Toledo - ze wszystkich stacji, z Kanału 11, 13 i 24 - a nawet wóz z Detroit, z ekipą Kanału 5. Przybyli dziennikarze z „Ostrza Toledo”, fotoreporterzy z Detroit reprezentujący dziennik „Wolna Prasa” oraz zgraja pismaków z Cleveland.

Byli zdumiewająco grzeczni. Nie pukali do drzwi, nie zaglądali do okien, nie dręczyli sąsiadów. Po prostu czekali, aż Sara albo ja wyjdziemy na podjazd, żeby dokąds pojechać, a wtedy tłoczyli się wokół samochodu pstrykając zdjęcia i wykrzykując pytania. Mijaliśmy ich z opuszczonymi głowami. Nie wiem, czego się po nas spodziewali.

Z dnia na dzień ich szeregi topniały. Najpierw - jeszcze tego samego dnia - odjechały ekipy telewizyjne, potem zaczęło ubywać dziennikarzy i reporterów, którzy wyjeżdżali w poszukiwaniu wiadomości ciekawszych i świeższych, a tydzień później podjazd przed domem zupełnie opustoszał; jedynymi śladami ich obecności był zryty butami śnieg oraz zmięte kubki po kawie i zatłuszczone papiery po kanapkach rozrzucone przy krawężniku.

Pogrzeby. Odbyły się szybko, jeden za drugim, i byliśmy na wszystkich: Nancy pochowano we wtorek, Sonny'ego w środę, Lou w sobotę, Jakuba w poniedziałek. Msze odprawiano w kościele Świętego Judy.

Środki masowego przekazu nie mogły przepuścić takiej gratki, skutkiem czego znowu oglądałem siebie w telewizji. Za każdym razem zdumiewało mnie, że tak wyglądam. Byłem smutny, poważny, porażony bólem - poważniejszy i bardziej dystygowany niż w rzeczywistości.

Jakub nie miał garnitur, więc musiałem mu go kupić, żeby mogli go ubrać do trumny. Początkowo uważałem, że garnitur do niego nie pasuje, bo nigdy się tak nie stroił, ale rezultat końcowy mnie zadowolił. W garniturze było mu do twarzy. Beżowy krawat, nakrochmalona chusteczka w butonierce - wyglądał dobrze i bardzo młodo.

Trumny brata nie otwierano - pozostałych też nie - lecz przed pogrzebem pozwolono mi go zobaczyć. Właściciel zakładu pogrzebowego odwalił kawał dobrej roboty, tak że nikt by się nie domyślił, jaką śmiercią Jakub zginął. Oczy miał zamknięte, nałożyli mu nawet okulary. Patrzyłem na niego chwilę, pocałowałem go w czoło i cofnąłem się o kilka kroków,

żeby młodzieniec z białym goździkiem w klapie marynarki mógł zaśrubować wieko trumny.

Na mszę za spokój duszy Jakuba Sara zabrała Amandę. Dziecko płakało przez cały czas, łkając cichutko w pierś matki. Chwilami wybuchowało głośnym, przerażającym zawodzeniem, którego echo niosło się przez cały kościół niczym krzyk potępieńca w lochach średniowiecznego zamczyska. Sara kołysała ją, tuliła, wosiła na kolanach, nuciła jej piosenki, coś do niej szeptała, lecz nic nie skutkowało - Amanda nie dawała się pocieszyć.

Kościół nie był nabyty, ale i nie pusty, chociaż żałobnicy nie należeli do przyjaciół Jakuba. Przyszli ci, którzy nas znali, którzy wiedzieli, że razem dorastaliśmy: klienci magazynu paszowego Raikleya albo po prostu ciekawscy. Jego jedynym przyjacielem był Lou, ale Lou już nie żył i czekał na Jakuba w świeżym grobie za kościołem.

Ksiądz poprosił mnie, żebym wygłosił mowę pogrzebową. Odmówiłem. Powiedziałem, że jeszcze nie doszedłem do siebie, że nie dałbym rady, że na pewno bym się załamał, co nie miało się z prawdą. Był bardzo wyrozumiały i wygłosił mowę sam. Brzmiała nader przekonująco, choć twierdził w niej, że doskonale Jakuba znał i zawsze uważał go za syna.

Po mszy poszliśmy na cmentarz, gdzie czekał otwarty grób, prostokątna dziura w zaśnieżonej ziemi.

Ksiądz powiedział: „Co Bóg daje, Bóg zabiera. Błogosławione imię Pana naszego”.

Gdy opuszczali trumnę, zaczął prószyć śnieg. Wrzuciłem do grobu garść twardej gliny; wylądowała na wieku z głuchym łoskotem. Jeden z reporterów uwiecznił ten moment na zdjęciu. Ukazało się w „Ostrzu Toledo” tego samego wieczora: ubrany w ciemne palto, stałem pochylony nad grobem o krok przed innymi żałobnikami, rzucałem garść ziemi, a wokoło tańczyły białe płatki śniegu. Wyglądało to jak fotografia z książki historycznej.

Później podeszła Sara z płaczącą Amandą na ramieniu i rzuciła na wieko trumny jedną różę.

Kiedy odchodziliśmy, odwróciłem się, żeby po raz ostatni spojrzeć na otwarty grób. Staruch siedzący w kabinie małej koparki już czekał, przygotowując maszynę do pracy. Kilkanaście metrów dalej zobaczyłem kobietę bawiącą się w chowanego z dwoma małutkimi chłopcami. Odbiegła kilka kroków, przykucnęła za wielkim marmurowym krzyżem, a rozchichotani chłopcy ruszyli za nią między nagrobkami, brnąc przez głęboki śnieg. Znaleźli matkę, krzyknęli wesoło, a ona wstała, żeby podbiec do innego nagrobka, lecz nagle spostrzegła, że ją obserwuję i zatrzymała się w pół kroku. Chłopcy zaczęli podskakiwać wokół niej, zanosząc się śmiechem.

Nie chciałem, by pomyślała, że jej zachowanie mnie obraża, więc pomachałem do niej

ukradkiem. Chłopcy zobaczyli mnie i radośnie odmachali, podnosząc rączki wysoko nad głowę, jak pasażerowie odpływającego statku, lecz matka szepnęła coś do nich i natychmiast przestali.

Za plecami wyczuwałem obecność Sary, słyszałem kwilenie Amandy wtulonej w jej ramiona, ale się nie odwróciłem. Zastygłem bez ruchu. Zamarłem.

Po raz pierwszy tego dnia byłem bliski płaczu. Nie wiem dlaczego. Może przez tych dwóch chłopców? Może przypominali mi Jakuba i mnie, kiedy byliśmy dziećmi? W każdym razie zadrżałem, w piersi mnie ścisnęło, w uszach zadzwoniło. Nie, nie odczuwałem smutku, nie miałem poczucia winy ani wyrzutów sumienia. Byłem po prostu skonsternowany, zbity z tropu, bo nagle uświadomiłem sobie, co zrobiłem, i zalała mnie fala druzgoczącego oszołomienia. Ujrzałem wszystkie swoje zbrodnie i przestępstwa i nie potrafiłem doszukać się w nich sensu. Były mi obce, nieprzeniknione, jakby popełnił je ktoś inny.

Sara dotknęła mnie i wróciłem do rzeczywistości.

- Hank? - szepnęła zatroskana.

Odwróciłem się powoli.

- Dobrze się czujesz?

Uśmiechała się do mnie. Miała na sobie długie palto z czarnej wełny, a szyję owinęła białym szalikiem. Była w zimowych botkach i w skórzanych rękawiczkach. Wyglądała naprawdę pięknie, porażająco pięknie.

Wzięła mnie pod rękę.

- Amandą marzniesz.

Kiwnąłem głową i niczym bezwolny, zgrzybiały starzec dałem się wyprowadzić z cmentarza.

Gdy wsiadaliśmy do samochodu, zawarczał silnik koparki.

Po pogrzebie świat sobie o nas przypominał. Ludzie zostawiali nam na progu garnki z jedzeniem, słoiki domowego dżemu, bochenki świeżutkiego chleba, termosy z zupą. Dzwonili do nas znajomi, koledzy z magazynu Raikleya składali nam kondolencje. Natomiast nieznajomi, ludzie poruszeni moją historią, zasypywali nas listami: cytowali fragmenty psalmów, radzili, jak przezwyciężyć smutek, dodawali otuchy, pocieszali. Wspaniałomyślność, hojność, spontaniczna troskliwość - to wszystko było doprawdy zdumiewające, lecz wywierało na mnie dziwnie niepokojący wpływ, gdyż dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że w naszym życiu, w życiu Sary i moim, wyraźnie czegoś brakuje: nie mieliśmy przyjaciół.

Nie wiedziałem, jak do tego doszło. Przecież w college'u mieliśmy przyjaciół,

zwłaszcza Sara, bo otaczała ją cała armia kolegów i koleżanek. Lecz gdy przeprowadziliśmy się do Delphii, kumple i przyjaciółki po prostu zniknęli, a nowych przyjaciół nie zawarliśmy. Nie, nie odczuwałem ich braku - nie czułem się samotny - byłem tylko trochę zaskoczony. Okazało się, że przez te wszystkie lata egzystowaliśmy w zamkniętym kręgu, całkowicie zaspokajając swoje potrzeby, że ani Sara, ani ja nie pragnęliśmy kontaktów ze światem zewnętrznym. Uznałem, że to zły znak, że to coś niezdrowego, nienormalnego. Wyobrażałem sobie, co by powiedzieli sąsiedzi, gdybyśmy wpadli. Nie byłiby zaszokowani, przeciwnie: powiedzieliby, że z nas dwoje samotników, że nie przepadaliliśmy za życiem towarzyskim, że nigdy nie prowadziliśmy otwartego domu i na pewno ukrywaliśmy jakieś ponure tajemnice. Często słyszy się, że najcięższe zbrodnie popełniają samotnicy, i fakt, że za takowych nas uznałem, podsunął mi dalsze wnioski. Może wcale nie jesteśmy zwykłymi ludźmi uwikłanymi w niezwykłą sytuację? Może tylko takich udajemy? Może sami do tej sytuacji doprowadziliśmy? Może jesteśmy za to wszystko odpowiedzialni? My, Sara i ja?

Nie bardzo w to wierzyłem, chyba nawet wcale. W każdej chwili mogłem przedstawić długi ciąg zdarzeń, którego kulminacją był pogrzeb Jakuba: potrafiłem logicznie wyjaśnić, dlaczego jedno nieuchronnie prowadziło do drugiego, dlaczego nie mieliśmy żadnego wyboru, żadnego punktu zaczepienia, żadnej szansy na to, by zawrócić z raz obranej drogi i naprawić wyrządzone zło. Zastrzeliłem Jakuba, bo załamał się po śmierci Sonny'ego, którego musiałem zabić, żeby znaleźć wiarygodny powód śmierci Nancy; a ją zastrzeliłem w samoobronie, bo chciała się na mnie zemścić za to, że Jakub zastrzelił Lou, który groził mi bronią, bo go paskudnie podszedłem, nagrywając na taśmę wyznanie dotyczące podejrzanej śmierci Dwighta Pedersona; to z kolei musiałem zrobić, ponieważ mnie szantażował, nie chcąc czekać na pieniądze do lata, do chwili, kiedy odkryją wrak samolotu w sadzie Andersa...

Mogłem tłumaczyć to sobie w nieskończoność: każde zdarzenie było dobrze umotywowane, więc zawsze znajdowałem usprawiedliwienie, dzięki któremu mogłem zrzucić z siebie odpowiedzialność za to, co się stało. Lecz już sam fakt, że odczuwałem potrzebę takiego tłumaczenia - robiłem to często, niemal obsesyjnie, powtarzałem to sobie niczym mantrę - bardzo mnie niepokoił. Powoli, prawie niezauważalnie, ogarniały mnie wątpliwości. Zaczynałem kwestionować motywy naszych postępów.

Tydzień po pogrzebie Jakuba zainteresowanie publiczne naszymi sprawami nagle osłabło.

W poniedziałek rano wróciłem do pracy i natychmiast Wpadłem w rutynę szarego dnia. Od czasu do czasu słyszałem, jak ludzie rozmawiają o tym, co się wydarzyło. W

rozmowach niezmiennie przewijały się słowa takie, jak „szokujące”, „potworne”, „bezsensowne”, lecz nie, nikt nic nie podejrzewał. Zwłaszcza mnie, bo ja byłem poza wszelkimi podejrzeniami: nie miałem motywu, tak że już sama wzmianka na ten temat była czymś okrutnym i nietaktownym. Jakkolwiek na to patrzeć, straciłem brata.

W przyczepie Sonny'ego Majora znaleźli szlafrok i szminkę Nancy. W telewizji widziałem wywiad z jedną z jej koleżanek z pracy, która twierdziła, że ów skrywany romans trwał dość długo. Nie wyjaśniła, dlaczego tak uważa, a reporterka wcale jej o to nie spytała - wystarczyło samo podejrzenie. Ludzie pamiętali, że tamtego dnia Lou był we „Wranglerze”, że pił, że miał paskudny humor, że zaczął jednego z gości, oskarżając go o podstawienie nogi. Pamiętali, że był zły, zadziorny i buńczuczny, jak typowy pijus gotowy w każdej chwili wpaść w furję. Kropką nad „i”, która ostatecznie uwiarygodniła prawdziwość mojej wersji wydarzeń, był artykuł w „Ostrzu Toledo” odsłaniający prawdziwe oblicze Lou-hazardzisty. Pisali, że miał olbrzymie długi, że jego życie legło w gruzach, że był jak chodząca bomba zegarowa, jak puszka Pandory.

Amanda rosła. Umiała już przekreślać się z brzuszka na plecy i z powrotem, co, jak twierdziła Sara, jest cechą dziecka nad wiek rozwiniętego. Żona wróciła do pracy w bibliotece w Delphii, gdzie dostała pół etatu. Zabierała z sobą Amandę, kładła ją na podłodze za kontuarem i spokojnie robiła swoje.

Powoli minął luty.

Sprzątanie mieszkania Jakuba odkładałem tak długo, jak się tylko dało. W końcu, gdzieś pod koniec miesiąca, właściciel domu przysłał mi zawiadomienie, że muszę to zrobić do pierwszego marca.

Zwlekałem do ostatniej chwili, do dwudziestego dziewiątego lutego. Był poniedziałek. Wyszedłem z pracy godzinę wcześniej i wstąpiłem do sklepu spożywczego po kilka starych kartonów. Kartony i grubą rolkę taśmy samoprzylepnej z biura przeniosłem na drugą stronę ulicy, gdzie nad sklepem żelaznym mieściło się mieszkanie brata.

Zastałem je dokładnie w takim samym stanie, w jakim widziałem je po raz ostatni. Tak samo cuchnęło, było obskurne i brudne jak przedtem. W powietrzu unosił się ten sam kurz, na podłodze wałały te same butelki po piwie, na łóżku leżał kłęb tych samych prześcieradeł, wystrzępionych i przetartych.

Zacząłem od ubrań, gdyż doszedłem do wniosku, że tak będzie najłatwiej. Nie składałem ich, tylko od razu wpychałem do kartonów. Ubrań nie było dużo - sześć par spodni: dżinsów i roboczych drelichów w kolorze khaki, sześć flanelowych koszul, jaskrawoczerwony golf, obszerna bluza z kapturem, kolekcja pstrokatych podkoszulków,

skarpetek i gacek. Na haku wisiał jeden jedyny krawat; niebieski, z haftowanym jeleniem. Znalazłem też dwie pary trampek, parę zimowych butów, kilka czapek, rękawice, czarną kominiarkę, kąpielówki, kilka kurtek na różne pory roku oraz szare spodnie i buty z brązowej skóry, które nosił tamtego ranka, gdy odwiedził mnie, prosząc o pomoc w kupnie farmy ojca. Wypełniałem kolejne pudła i znosiłem je do samochodu.

Skończywszy z ubraniami, wziąłem się do łazienki: spakowałem przybory toaletowe, ręcznik, maszynkę do golenia, plastikowy pistolet na wodę i stertę czasopism „Mad”. Z łazienki przeszedłem do kuchennej wnęki, by znaleźć w niej dwa garnki, patelnię, tacę pełną zdekompletowanych naczyń, cztery szklanki, sześć talerzy, wystrzępioną miotłę i pustą puszkę po jakimś środku czyszczącym. Wszystko było brudne, zatłuszczone i lepkie. Jedzenie: puszkę ravioli, pudełko płatków kukurydzianych, karton śmierdzącego mleka, nie tkniętą paczkę czekoladowych pączków, bochenek spleśniałego chleba, trzy plasterki żółtego sera i pomarszczone ze starości jabłko - wyrzuciłem.

Potem usunąłem z mieszkania wszystkie śmieci: butelki po piwie, stare gazety, papierki po cukierkach i batonach oraz puste torby po suchym żarciu dla psa. Następnie zająłem się łóżkiem. Ściągnąłem prześcieradła, stojące na stoliku radio z wmontowanym budzikiem owinąłem w kalesony i to wszystko wepchnąłem do kartonu. Poduszkę rzuciłem w stronę drzwi. Pachniała Jakubem.

Meble należały do właściciela mieszkania, więc kiedy spakowałem prześcieradła i poduszkę, uznałem, że zrobiłem swoje. Pozostał tylko kufer. Był to stary wojskowy kufer z czasów drugiej wojny światowej; Jakub dostał go od wuja-żołnierza na dziesiąte urodziny. Zamierzałem znieść go do samochodu bez otwierania, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. Zataszczyłem kufer na łóżko i dźwignąłem wieko.

Ku swemu zdziwieniu stwierdziłem, że w środku panuje wzorowy porządek. Po lewej stronie leżała sterta starannie złożonych prześcieradeł i ręczników kąpielowych. Należały do naszych rodziców. Natychmiast je rozpoznałem: błękitne, nieco wytarte ręczniki były ozdobione monogramami matki, a prześcieradła - maleńkimi różyczkami. Po prawej stronie kufra zobaczyłem czerwony przyborek do robótek ręcznych, starą Biblię, rękawicę baseballową, pudełko naboju do strzelby i maczetę. Maczeta należała kiedyś do tego samego wuja, który sprezentował bratu kufer; musiał ją kupić gdzieś na wyspach Pacyfiku. Była długa, miała grubą, lekko zakrzywioną klingę i rękojeść z jasnobrązowego drewna. Wyglądała paskudnie, prymitywnie i groźnie, jak eksponat w muzeum etnograficznym.

Pod maczetą leżała wielka, stara księga. Zaciekawiony wyjąłem ją z kufra i położyłem na brzegu łóżka. Słońce zdążyło już zejść i w mieszkaniu panował mrok.

Światło paliło się tylko w łazience, więc musiałem wyteńczyć wzrok, żeby odczytać tytuł wytłoczony złotymi czcionkami na zniszczonej okładce: „Rolnictwo od A do Z”.

Otworzyłem księgę i na pierwszej stronie zobaczyłem nazwisko ojca wykaligrafowane ołówkiem. Tuż pod nim Jakub naskrobał piórem swoje. Przypuszczałem, że jest to jeden z tych bezwartościowych drobiazgów, które ojciec zapisał bratu w testamencie, żaloszny substytut straconej farmy, lecz gdy zacząłem przerzucać kartki, stwierdziłem, że ta część spadku wiele dla Jakuba znaczyła.

Na wszystkich stronicach widniały liczne podkreślenia, a marginesy były upstrzone notatkami. Znalazłem tam rozdziały traktujące o irygacji i nawodnianiu pól uprawnych, o konserwacji maszyn rolniczych, o nawozach sztucznych, o rynku zbożowym, o ustawach podatkowych, o stawkach przewozowych, o rzeczach, których Jakub - tak przynajmniej uważałem - nigdy nie rozumiał.

Tymczasem on cały czas się uczył. Chciał zostać farmerem.

Wróciłem do początku księgi i sprawdziłem datę wydania. Wydano ją w roku 1936, ponad pięćdziesiąt lat temu. Ani słowem nie wspominała o pestycydach, o środkach chwastobójczych, o opylaniu roślin, a przepisy podatkowe, tak szczegółowo przedstawione i omówione, zdążyły się wielokrotnie zmienić. Mój brat przedzierał się przez stary, bezwartościowy podręcznik. Między kartkami książki tkwił duży arkusz papieru złożony na pół - plan naszej rodzinnej farmy. Sądząc po koślawych liniach i charakterze pisma, wyrysował go Jakub. Pokazywał usytuowanie stodoły, szopy na maszyny rolnicze i elewatora, wytyczał granice pól i łąk, pociętych siecią maleńkich, precyzyjnych strzałek, które tworzyły dokładny schemat irygacyjny całej posiadłości. Do prawego górnego rogu arkusza papieru brat przypiął fotografię naszego domu; w oknach nie było firanek, więc zrobiono ją chyba tuż przed rozbiórką budynku. Kto wie, może Jakub pojechał tam specjalnie po to, żeby zobaczyć, jak go burzą?

Trudno mi dokładnie opisać, jak się czułem, patrząc na szkic, na zdjęcie naszego domu i na księgę z odręcznymi notatkami brata. Najpierw ogarnął mnie żal, że byłem na tyle głupi i zajrzałem do kufra, miast trzymać się pierwotnego planu i znieść go do samochodu bez otwierania. Zamierzałem odwalić tę robotę szybko, z brutalną efektywnością. Czułem, że grzebanie w rzeczach Jakuba może być bardzo niebezpieczne, dlatego podszedłem do zadania z wielką ostrożnością: traktowałem jego mieszkanie jak pole usiane minami, każdy najniewinniej wyglądający przedmiot wywoływał we mnie uczucie przygnębienia i żalu. I prawie mi się udało, prawie skończyłem, lecz beztroška ciekawość obróciła plany w perzynę. Siedziałem na brzegu łóżka z oczami pełnymi łez, a puste mieszkanie rozbrzmiewało

stłumionym echem mojego płytkiego, chrapliwego oddechu, który był wstępem do przepojonego smutkiem szlochu.

Tak, smutek: to chyba najlepsze określenie tego, co wówczas odczuwałem. Miałem wrażenie, że nagle urósł mi w piersi wielki guz, że rozepchnąwszy płuca, nie pozwala mi złapać tchu, skutkiem czego muszę oddychać coraz głośniejszym, coraz łapczywiejszym. Wciąż wierzyłem, że Sara ma rację. Wierzyłem, że postąpiliśmy słusznie, że nie mieliśmy wyboru i musieliśmy się ratować, że gdybym nie zabił Sonny'ego i Jakuba, schwytano by nas i wysłano do więzienia. Jednocześnie z całego serca żałowałem, że musiało do tego wszystkiego dojść. Myślałem o bólu trawiącym naszpikowanego rurkami Jakuba, o jego straszliwie pokiereszowanym ciele, o jego planach na przyszłość, o farmie, o jego notatkach i szkicach, o tym, że w ostatnich chwilach życia pospieszył mi z pomocą i zabił swego najlepszego przyjaciela, swego drugiego brata. Myślałem o tym i ogarniała mnie coraz większa gorycz.

Zdałem sobie sprawę, że Jakub był niewinny jak dziecko. Mimo że Sara mówiła o serii wypadków, o samoobronie i o niemożności wyboru, wina za to, że skończył tak, jak skończył, ciążyła na mnie i tylko na mnie - to była moja odpowiedzialność, moja nieprawość, mój grzech.

Dziesięć, może piętnaście minut siedziałem, kryjąc twarz w dłoniach i łkając. I raptem, zupełnie nieświadomie, bo tego nie chciałem - od miesięcy nie czułem się tak dobrze, tak szlachetnie, tak spolegliwie i bezgrzesznie jak po rytualnym oczyszczeniu - przestałem płakać. Zamilkłem, uspokoiłem się jak po gwałtownym ataku mdłości. Zdecydowało za mnie moje ciało - to ono zdławiło w sobie płacz, nie ja.

Oddychałem głęboko, czekając, co będzie dalej, ale dalej nie było nic. Robiło się późno. Słyszałem, jak w mieszkaniu na górze ktoś chodzi: tam i z powrotem, tam i z powrotem - deski sufitu głośno trzeszczały. Od czasu do czasu zza okna dobiegał przytłumiony szum samochodów. W kaloryferze cicho pojękiwała para i gorąca woda.

Otarłem ręką twarz. Złożyłem szkic Jakuba na pół i wetknąłem go między karty książki. Książkę położyłem na dnie kufra i zamknąłem wieko. Starannie opuściłem rękawy koszuli, które podwinąłem, rozpoczynając pakowanie, i zapiąłem spinki.

Byłem roztrzęsiony, osłabiony, jakbym nie jadł cały dzień. Ubranie ważyło dwa razy więcej niż zwykle. Twarz wciąż miałem mokrą od łez i czułem, że skóra mi tężeje w miarę, jak wysychają.

Jeszcze zanim wstałem, wiedziałem już, jak potraktuję to, co działo się ze mną w mieszkaniu Jakuba. Uznam tę chwilę słabości za anomalie, za wydarzenie mało znaczące, zupełnie marginesowe, za wyrwę w tamie rozpaczy, w którą wpadłem, i z której zdołałem

wypełznąć. Nie, nic nie powiem Sarze - zachowam to w najgłębszej tajemnicy. I kiedy napad rozpaczy się powtórzy, a wiedziałem, że powtórzy się na pewno, zareaguję tak samo jak w mieszkaniu brata. Ponieważ nawet wtedy, kiedy płakałem, kiedy oddychałem niczym ryba wyrzucona na brzeg, nie opuszczała mnie świadomość, że szloch nic nie zmieni, że nie naprawi ani krzywd, ani zbrodni, nie odmieni mojego stosunku do tego, co zrobiłem. Powiadają, że co się stało, to się nie odstanie. Tak więc istniał tylko jeden jedyny sposób na względnie normalną egzystencję, na wytrwanie po śmierci Jakuba: musiałem się z tym wszystkim pogodzić. W przeciwnym razie ulegnę, a wtedy smutek powoli przerodzi się w żal, żal w wyrzuty sumienia, a wyrzuty sumienia w niepohamowane pragnienie poniesienia kary. Pragnienie poniesienia kary za grzechy zatrułoby mi życie. Musiałem je kontrolować, panować nad nim, trzymać je na wodzy, musiałem planować każdy krok i starannie przestrzegać planu.

Po minucie albo dwóch wstałem i nałożyłem kurtkę. W łazience umyłem ręce i twarz. Później wytaszczyłem kufer i karton z prześcieradłami na korytarz i zamknąłem drzwi na klucz.

Rzeczy brata zostawiłem w samochodzie. Wiedziałem, że jeśli wyjmę pudła z bagażnika, to tylko po to, żeby je wyrzucić, a nie chciałem tego robić. Jeszcze nie wtedy.

Wydawało się, że oprócz mnie jedyną istotą, która opłakuje śmierć Jakuba, jest Mary Beth. Od chwili zamieszkania w nowym domu pies przeszedł zdumiewającą metamorfozę. Zrobił się zły, coraz częściej szczekał. Warczał, gdy próbowaliśmy go pogłaskać, obnażał kły.

Ponieważ Sara martwiła się o bezpieczeństwo Amandy - twierdziła, że Mary Beth może ją pogryźć - postanowiłem trzymać psa na dworze. Każdego ranka przed wyjściem do pracy przywiązywałem go do drzewa sznurem do bielizny, natomiast nocą zapędzałem zwierzę do garażu. Te nowe praktyki jeszcze bardziej rozdrażniły Mary Beth. Całymi dniami siedział na śniegu przed domem, obszczekując przejeżdżające samochody, mleczarza albo dzieci czekające na szkolny autobus. Ciągłe szarpał się i rzucał, i natarł sobie skórę pod obrozą. Nocami wył w garażu, długo, bez końca, a wycie niesło się echem po całej ulicy. Dzieci sąsiadów rozpuściły plotkę, że nasz dom jest nawiedzony, że to nie pies wyje, lecz udręczony duch mojego brata.

Amanda też stała się nerwowa - to chyba zaraźliwe - głośna i płaczliwa. Grymasiła jeszcze bardziej niż przedtem, a w jej głosie coraz częściej słyszałem nową, ostrą nutkę, jakby uskarżała się na prawdziwy ból, a nie na złe samopoczucie. Przywiązała się do matki tak bardzo, że gdy tylko traciła ją z oczu, natychmiast zaczynała łkać. Co koszmarniejsze - wyglądało na to, że oprócz Sary, tylko pluszowy miś Jakuba jest w stanie ją uspokoić. Słyszac

męski głos, dobywający się z jego piersi, od razu nieruchomiła, zamierała, chłonęła go całym ciałem.

Frere Jacques, Frere Jacques,

Dormez-vous ? Dormez-vous ?

Sonnez les matines. Sonnez les matines.

Ding, dang, dong. Ding, dang, dong.

Mogłem ją uspokoić tylko nocą, kiedy było ciemno i kiedy ogarniała ją senność.

Po długich deliberacjach sprzedałem półciężarówkę Jakuba do magazynu paszowego Raikleya i w drodze do pracy często ją widywałem: stała na ulicy, uginając się pod ciężarem worów z ziarnem.

Tydzień po wysprzątaniu mieszkania brata odwiedził mnie w biurze szeryf Jenkins. Chciał wiedzieć, co zamierzam zrobić ze strzelbą Jakuba.

- Szczerze mówiąc, zupełnie o tym nie myślałem, Carl - odrzekłem. - Chyba ją sprzedam.

Siedział w fotelu naprzeciwko biurka. Przyszedł w służbowym mundurze i w ciemnozielonej policyjnej kurtce. Kapelusz trzymał na kolanach.

- Tak myślałem. Miałem nadzieję, że będę pierwszym klientem, który zaoferuje ci dobrą cenę.

- Chciałbyś ją kupić?

Kiwnął głową.

- Szukam dobrej strzelby myśliwskiej.

Na myśl, że szeryf miałby zostać właścicielem broni Jakuba, poczułem się trochę nieswojo. Strzelba brata to jakby dowód rzeczowy i nie chciałem, żeby Jenkins ją kupował, lecz nie wiedziałem, jak go zniechęcić.

- Nie chodzi o cenę, Carl - odparłem. - Daj, ile możesz, i strzelba jest twoja.

- Co byś powiedział na czterysta dolarów?

Machnąłem ręką.

- Sprzedam ci ją za trzysta.

- Kiepsko się targujesz, Hank - skonstatował z uśmiechem.

- Nie chcę cię oskubać.

- Czterysta dolarów to uczciwa cena. Znam się na broni.

- Dobra, skoro nalegasz... Ale sprzedałbym ci ją za trzysta.

Zmarszczył czoło. Po jego twarzy widziałem, że wolałby zapłacić mniej, ale nie wypadało mu się wycofać - wpadł we własne sidła.

- Jutro rano podrzucę ci ją do biura, a czek wyślesz mi, jak ją sobie dobrze obejrzysz.

Zgoda?

Po namyśle powoli kiwnął głową.

- Dobra.

Później gadaliśmy o różnych sprawach: o pogodzie, o Sarze, o dziecku. Ale kiedy wstał, żeby wyjść, wrócił do tematu strzelby.

- Na pewno chcesz ją sprzedać? Nie musisz, nie będę nalegał.

- Na nic mi się nie przyda, Carl. Nigdy w życiu nie polowałem.

Robił wrażenie zdziwionego.

- Ojciec nie zabierał cię na polowanie, kiedy byłeś mały?

- Nie. Nie tylko nie polowałem, ale nawet nie strzelałem do celu.

- Ani razu?

Pokręciłem głową.

Stał przed biurkiem i kilka sekund mierzył mnie wzrokiem. Bawił się rondem kapelusza i wyglądało na to, że zaraz usiądzie.

- Ale chyba wiedziałbyś, jak się z niej strzela, co?

Natychmiast wzmogłem czujność. Głos mu się zmienił, spoważniał. Jenkins nie zadał tego pytania ot, tak sobie, dla poatrzymania rozmowy. Nie, czekał na konkretną odpowiedź.

- Chyba tak - odrzekłem.

Nie wychodził. Stał przed biurkiem, jakby się spodziewał, że usłyszy coś jeszcze. Spuściłem oczy i wbiłem wzrok w blat, w swoje dłonie. W świetle lampy włosy na palcach i nadgarstku poszarzały. Zacisnąłem pięści.

- Dobrze znałeś Sonny'ego? - spytał ni stąd, ni zowąd.

Podniosłem głowę, serce szybciej mi zabiło.

- Sonny'ego Majora?

- Tak.

- Nie, raczej nie. Wiedziałem, kto to jest, on wiedział, że jestem bratem Jakuba, to wszystko.

- Słowem, luźna znajomość.

- Właśnie. Na ulicy mówiliśmy sobie cześć, ale nie przystawaliśmy, żeby pogadać.

Chwilę trwało, zanim to przetrawił. Potem nałożył kapelusz. Zamierzał wyjść.

- Dlaczego pytasz?

Wzruszył ramionami.

- Tak sobie. - Posłał mi słaby uśmiech.

Uwierzyłem mu, czułem, że nic nie podejrzewa, że pytał z czystej ciekawości. Znał mnie na tyle, by uznać, że nie mogłem zabić ani Jakuba, ani Sonny'ego, ani Nancy, ale znał też Lou i coś mu w mojej wersji wydarzeń nie pasowało. Tylko zupełnie nie wiedział co. Nie prowadził śledztwa, nie, po prostu dokonywał przeglądu faktów, po omacku szukał brakujących elementów układanki. Czułem, że tak jest, wiedziałem, że Jenkins nie stanowi zagrożenia. Mimo to rozmowa trochę mnie poruszyła. Po jego wyjściu przeanalizowałem każde swoje słowo, każdy gest, szukając ewentualnych błędów, zdradliwych potknięć. Oczywiście, nic takiego nie znalazłem. Pozostało tylko coś w rodzaju lekkiego zdenerwowania, doznanie mgliste, zamazane i bardzo ulotne - tym ulotniejsze, im wnikliwiej próbowałem ustalić, czym właściwie jest.

Powiedziałem Sarze, że sprzedaję strzelbę szeryfowi, ale o jego pytaniach nie wspomniałem.

Tej samej nocy Amanda długo płakała, nie dając nam zasnąć. Leżeliśmy w łóżku. Światło było zgaszone, Sara tuliła dziecko do piersi, a ja raz po raz nakręcałem pluszowego misia. Mała zasnęła dobrze po północy. Zapadła cisza. Oszołomieni, trochę przerażeni, że możemy obudzić niespokojnie drzemiące dziecko, ani drgnęliśmy. Dotykaliśmy się nogami pod kocem; na łydce czułem mały placek ciepła bijącego z ciała Sary.

- Hank? - szepnęła.

- Co?

- Czy mógłbyś zabić mnie dla pieniędzy? - Pytała żartobliwie, wesoło, lecz w jej głosie słyszałem zdradliwą nutkę, która mówiła, że chodzi o coś poważniejszego.

- Nie zabiłem ich dla pieniędzy - odrzekłem. Wyczułem, że odwróciła głowę, by na mnie spojrzeć.

- Zrobiłem to, żeby nas nie złapali, żeby nas chronić. Amanda cichutko westchnęła i Sara zaczęła ją kołysać.

- W takim razie zabiłbyś mnie, gdyby groziła ci wpadka? - Poważna nutka w jej głosie zabrzmiała zupełnie wyraźnie i wypchnęła z pytania całą wesołość i żartobliwość.

- Oczywiście, że nie. - Żeby skończyć temat, demonstracyjnie wsunąłem się głębiej pod koc i wygodniej ułożyłem głowę. Leżałem tyłem do Sary.

- A co byś zrobił, gdybyś wiedział, że morderstwo ujdzie ci na sucho i że jeśli mnie nie zabijesz, to cię sypnę?

- Nie sypnęłabyś mnie.

- Powiedzmy, że zmieniłam zdanie, że naszła mnie skrucha i postanowiłam się przyznać. Odczekałem chwilę i przewróciłem się na bok.

- Co ty pleciesz?

Na tle sufitu widziałem jej czarną sylwetkę.

- To tylko zabawa, sytuacja czysto hipotetyczna. Milczałem.

- Poszedłbyś do więzienia - szepnęła.

- Zabiłem ich dla ciebie, Saro. Dla ciebie i dla Amandy.

Poruszyła się niespokojnie. Łóżko zatrzeszczało. Zabrała nogę.

- Pedersona zabiłeś, żeby chronić Jakuba, tak mówiłeś.

Myślałem o tym sekundę. Fakt, to prawda, ale jakby nieprawda. Spróbowałem obejść problem.

- Nie mógłbym tego zrobić - odrzekłem. - Po prostu poszedłbym do więzienia, i tyle. - Chciałem jej dotknąć, ale niechcący musnąłem Amandę. Dziecko obudziło się i rozplakało.

- Ciiicho, kochanie, ciiicho - szepnęła Sara.

Leżeliśmy nieruchomo, dopóki mała nie zasnęła.

- A wiedziałeś, że mógłbyś zabić Jakuba, zanim go zabiłeś? - spytała po chwili.

- To co innego. I dobrze o tym wiesz.

- Jak to co innego?

- Tobie ufam. Jemu nie ufałem.

Nim zdążyłem zamknąć usta, zdałem sobie sprawę, jak to musiało zabrzmieć. Nie to miałem na myśli, lecz nie dopowiedziałem nic więcej. Doszedłem do wniosku, że jeśli zacznę się tłumaczyć, będzie jeszcze gorzej. Sara wpadła w zadumę.

- Chyba wiesz, o co mi chodzi - dodałem.

Było ciemno, prawie nic nie widziałem, ale czułem, że kiwnęła głową. Wyśliznęła się z łóżka, zaniósła Amandę do kołyski, wróciła i przylgnęła do mnie całym ciałem. Jej oddech parzył mi szyję. Zadrzałem.

Po chwili namysłu spytałem:

- A ty? Zabiłabyś mnie?

- Och, Hank. - Ziewnęła. - Chyba nie mogłabym zabić człowieka.

W garażu zawył pies. Zdawało się, że wyje gdzieś blisko, znacznie bliżej niż w rzeczywistości.

Duch Jakuba, pomyślałem.

Sara podniosła głowę i cmoknęła mnie w policzek.

- Dobranoc - szepnęła.

W środę po powrocie z pracy na kuchennym stole znalazłem trzy wycinki z gazet, odbitki kserograficzne artykułów z „Ostrza Toledo”. Pierwszy pochodził z 28 listopada 1987,

a jego nagłówek głosił:

Zbrodniczy duet morduje sześć osób, porywa córkę multimilionera i żąda wielkiego okupu.

W artykule opisywano tragiczną historię niejakiej Alice McMartin, siedemnastoletniej córki Byrona McMartina, multimilionera z Detroit. Wieczorem 27 listopada uprowadzono ją z posiadłości ojca w Bloomfield Hills w stanie Michigan. Porywacze byli przebrani w policyjne mundury, mieli pałki, służbowe odznaki i rewolwery. Wkroczyli na teren posiadłości kilka minut przed ósmą pod pozorem konieczności wyjaśnienia jakiejś błahszej sprawy. Kamera systemu bezpieczeństwa sfilmowała, jak zakuwają w kajdanki czterech ochroniarzy, pokojówkę i szofera, jak każą im uklęknąć pod ścianą domu z rękami na karku i jak mordują ich strzałami w głowę. Strzelali z rewolwerów ochroniarzy.

Byron McMartin był w tym czasie na przyjęciu. Wrócił do domu po dziesiątej, odkrył nieobecność córki i zwłoki sześciu pracowników. Według bliżej nie określonych źródeł porywacze zostawili list z żądaniem okupu w wysokości czterech milionów ośmiuset tysięcy dolarów.

Drugi artykuł, z 8 grudnia, też pochodził z „Ostrza Toledo”.

FBI zidentyfikowało zwłoki spadkobierczyni wielomilionowej fortuny. Ojciec traci córkę i okup.

Była to korespondencja z Sandusky w stanie Ohio. Piątego grudnia miejscowi rybacy wyłowili z jeziora Erie zwłoki zakneblowanej i skutej kajdankami Alice McMartin. Ciało musiało przebywać w wodzie od dłuższego czasu, ponieważ specjaliści z FBI zidentyfikowali je tylko dzięki dokumentacji dentystycznej lekarza nieszczęsnej dziewczyny. Patolodzy ustalili, że zabito ją strzałem w głowę i wrzucono do jeziora mniej więcej dwadzieścia cztery godziny po uprowadzeniu.

Ponieważ agenci FBI twierdzili, że zapłacenie okupu ułatwi im schwytanie porywaczy, Byron McMartin stracił nie tylko córkę, ale także prawie pięć milionów dolarów.

Ostatni artykuł pochodził z trzeciej strony „Ostrza Toledo”

„FBI identyfikuje porywaczy Alice McMartin

Detroit, 14 grudnia (AP).

Dzięki kamerze filmowej systemu bezpieczeństwa, która 27 listopada zarejestrowała przebieg porwania Alice McMartin, siedemnastoletniej córki multimilionera Byrona McMartina, byłego właściciela fabryki wytwarzającej papierowe kubki i talerze, FBI ustaliło tożsamość dwóch podejrzanych o dokonanie napadu i zamordowanie sześciu pracowników McMartina. Ogólnokrajowe poszukiwania sprawców tragedii trwają.

Porywaczami okazali się: Stephen Bokovsky, lat dwadzieścia sześć, oraz Vernon Bokovsky, lat trzydzieści pięć. Pochodzą z miejscowości Flint w stanie Michigan i są braćmi.

Agenci FBI założyli, że mordercy są byłymi pracownikami Byrona McMartina. Przejrzano tysiące akt personalnych, porównano tysiące zdjęć z niewyraźnymi, gruboziarnistymi zdjęciami wykonanymi przez kamerę systemu bezpieczeństwa. Trop okazał się właściwy: akta personalne Stephena Bokovsky'ego mówiły, że w roku 1984 pracował u McMartina jako ogrodnik.

Vernona Bokovsky'ego zidentyfikowano po rozmowie z rodzicami porywaczy, z Georginą i Cyrusem Bokovsky, zamieszkałymi w miejscowości Flint. Oboje utrzymują, że w listopadzie synowie nie wyjeżdżali z miasta. Cyrus Bokovsky powiedział nam w rozmowie telefonicznej, że od dwudziestego siódmego listopada, czyli od dnia uprowadzenia Alice McMartin, nie mieli od nich żadnej wiadomości”.

Vernon Bokovsky został warunkowo zwolniony z więzienia stanowego w Milan - skazano go w roku 1977 - po odsiedzeniu siedmiu z dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności za zabójstwo sąsiada podczas kłótni o pieniądze ze sprzedaży samochodu. Agenci FBI wyrażali pewność, że mordercy zostaną schwytani. „Zidentyfikowaliśmy ich - powiedział jeden z nich - i już się z tego nie wywiną. Mogą uciekać dokąd zechcą, wcześniej czy później ich dopadniemy. Za tydzień, za miesiąc czy za rok, dopadniemy ich na pewno. To tylko kwestia czasu”.

Na zakończenie autor artykułu przytaczał słowa tego samego agenta wyrażające oburzenie brutalnością zbrodni popełnionej przez braci.

„Zamordowano ich z zimną krwią - mówi agent Teil. - To oczywiste, że porywacze zaplanowali wszystko z niezwykłą starannością. Nie zabili w przyływie paniki. W filmie uderzyło mnie jedno: ich spokój, ich opanowanie. Doskonale wiedzieli, co robią”.

Teil przypuszczał, że mordercy zastrzelili sześciu pracowników McMartina, żeby ludzie ci nie rozpoznali Stephena Bokovsky'ego.

„Chcieli pozbyć się świadków, to oczywiste. Na szczęście zapomnieli o kamerze systemu bezpieczeństwa”.

Wróciłem do pierwszego artykułu i przeczytałem go jeszcze raz. Później po raz drugi przeczytałem dwa pozostałe. Trzeci artykuł zilustrowano trzema fotografiami. Pierwsza przedstawiała Stephena Bokovsky'ego; pochodziła z akt personalnych firmy McMartina. Był mężczyzną drobnym i ciemnowłosym; uśmiechał się na zdjęciu wąskimi ustami; oczy miał zapadnięte i zmęczone.

Druga fotografia była powiększeniem zdjęcia z kamery, która zarejestrowała przebieg

napadu. Pokazywała Stephena mierzącego z rewolweru w głowę klęczącego mężczyzny.

Rozejrzałem się. Na kuchence bulgotał garnek. Pachniało gulaszem. Sara była na górze, z dzieckiem. Słyszałem jej przytłumiony głos. Jakby coś czytała. Na stole leżała rozrzucona robótka. Długie druty sterczały z niej niczym wasy zdradliwej miny.

Przeczytałem artykuły po raz trzeci. Później poszedłem na górę.

Sara kapała się z Amandą. Gdy wszedłem do łazienki, podniosła wzrok i zerknęła na odbitki kserograficzne w moim ręku. Po jej triumfalnym uśmiechu poznałem, że jest bardzo zadowolona ze swego odkrycia.

W łazience było parno. Zamknąłem drzwi, usiadłem na klapie muszli klozetowej i rozluźniłem krawat.

Amandą leżała na plecach. Sara podtrzymywała jej ciało udami, a główkę rękami. Mała uciskała nóżką jej pierś, lekko ją zniekształcając.

Sara opowiadała córce bajkę. Gdy wszedłem, umilkła, ale zaraz podjęła przerwany wątek:

- Królowa się wściekła - mówiła, kołysząc dziecko w ciepłej wodzie. - Wypadła jak burza z sali balowej, piorunując gości spojrzeniem. Król ruszył za nią, a za królem cały dwór. „Ukochana! - krzyczał król. - Wybacz mi, ach, wybacz!” Wybiegł na ulicę, spojrzał w lewo, potem w prawo. „Ukochana! - wołał. - Ukochana!” Rozesłał po mieście żołnierzy, ale królowa zniknęła.

Amandą zachichotała, plasnęła rączką w wodę i kopnęła Sarę w pierś. Sara też zachichotała.

Nie wiedziałem, czy to już koniec bajki, więc chwilę odczekałem. Odbitki trzymałem na kolanach. W wilgotnym powietrzu wydzielały słabą chemiczną woń.

Sara podniosła uda i szybko je opuściła. Zaskoczone dziecko głośno sapnęło. Ich ciała były zaróżowione od wody, a końce włosów żony mokre i zlepione.

- Znalazłaś to w bibliotece? - spytałem. Kiwnęła głową.

- To chyba nasze pieniądze.

Znowu kiwnęła głową i pochyliła się, żeby cmoknąć Amandę w czoło.

- Rozpoznajesz tego z samolotu?

Spojrzałem na zdjęcie.

- Trudno powiedzieć. Wrony wydziobały mu oczy, poharatały twarz.

- Tak, to na pewno nasze pieniądze.

- W takim razie musiałem widzieć tego młodszego, drobniejszego. - Pokazałem jej zdjęcie. - Ten drugi to olbrzym.

Nie spojrzała na fotografię. Obserwowała Amandę.

- Bracia - skonstatowała. - Niesamowite.

- Co jest niesamowite?

- Że są braćmi. Jak ty i Jakub.

Rozważałem to chwilę, ale szybko przestałem. Nie, nie chciałem o tym myśleć.

Położyłem odbitki na umywalce.

- Jak to znalazłaś?

Wyciągnęła korek. Zaszumiało, zabulgotało i wody zaczęło ubywać. Amandą leżała nieruchomo i zaciekawiona nadśłuchiwała.

- Przejrzałam stare gazety - odrzekła Sara. - Zaczęłam od Nowego Roku, od dnia, kiedy znalazłeś wrak samolotu. Nie musiałam długo szukać. Dziwne, teraz przypominam sobie, że je czytałam.

- Ja też.

- Wtedy były to tylko artykuły. Coś odległego, zupełnie nieważnego.

- To zmienia postać rzeczy, prawda?

Spojrzeła na mnie..

- Dlaczego?

- Zatrzymaliśmy pieniądze, bo uznaliśmy, że do nikogo nie należą, że nikt ich nie szuka.

- No to co?

- Okazuje się, że ktoś ich jednak szuka. Nie możemy już twierdzić, że to nie kradzież.

Była lekko skonsternowana.

- Hank - odparła - od samego początku wiedzieliśmy, że to kradzież. Fakt, nie mieliśmy pojęcia, komu je kradniemy. Teraz już wiemy, ale to bez znaczenia.

Oczywiście miała rację. Zrozumiałem to w chwili, gdy skończyła mówić.

- W sumie to chyba dobrze, że wiemy, skąd pochodzą - spekulowała. - Już zaczynałam się martwić, że są fałszywe albo znaczone. Że to, co zrobiliśmy, było zupełnie bezsensowne, że nigdy tych pieniędzy nie będziemy mogli wydać.

- Mogą być znaczone...

Zamarłem. Rozbolało mnie serce. Bezwartościowe papierki, kupa śmieci. Zabiłem, zamordowałem tych ludzi dla torby z makulaturą. Zakręciło mi się w głowie. Walka z samym sobą, ten straszliwy wybór - wszystko na marne.

Ale Sara natychmiast tę możliwość odrzuciła.

- Zażądali nie znaczonych banknotów. Tak tam piszą.

- Może właśnie dlatego ją zastrzelili? Dostali okup, odkryli, że...

- Nie - ucięła. - Piszą, że zabili ją zaraz po uprowadzeniu. Zastrzelili ją, zanim zobaczyli pieniądze.

- Nie można tego sprawdzić? Na przykład pod ultrafioletem albo czymś w tym rodzaju?

- Nie daliby im znaczonych banknotów. Nie ryzykowaliby.

- Przecież...

- Zaufaj mi, Hank, dobrze? Pieniądze są czyste. Zamilkłem.

- Dostajesz paranoi. Szukasz powodu do zmartwień.

Na dnie wanny powstał mały wir. Obserwowaliśmy go. Otwór wsysał wodę z głośnym, cmokliwym bulgotaniem.

- Mam ochotę wrócić do samolotu - powiedziałem nagle. - Żeby stwierdzić, czy to on.

- Miał przy sobie portfel?

- Nie przyszło mi do głowy sprawdzić.

- Wyprawa do wraku byłaby ostatnia głupota, Hank. Jakbyś napraszał się o kajdanki.

Pokręciłem głową.

- Nie, nie pójdę.

Sara podniosła Amandę. Wanna była już prawie pusta.

- Podaj ręcznik.

Wstałem, sięgnąłem na półkę, wziąłem małą na ręce, owinałem ją i usiadłem na kłapie. Ledwo zacząłem wozić ją na kolanach, wybuchnęła płaczem.

Patrzyłem na wycierającą się Sarę.

- Przeraza mnie, że ktoś z miejscowych może wiedzieć o pieniądzach - wyznałem.

- To on jest przerażony, Hank, ten porywacz. Znają jego nazwisko.

- Ci z FBI twierdzą, że wcześniej czy później go złapią. Wtedy powie, że brat wszedł z forszą do samolotu i zniknął.

- No i co z tego?

- Nie widzisz związku? Przecież to jasne, natychmiast na to wpadną. Carl wie, że słyszałem warkot samolotu nad parkiem Andersa. Wie, że Jakub, Lou, Sonny i Nancy nie żyją. Gdy znajdą wrak, gdy dowiedzą się, że pilot przewoził ponad cztery miliony dolarów w gotówce, gdy stwierdzą, że pieniądze tam nie ma...

Mówiłem czując, że ogarnia mnie coraz większa panika, że drżą mi mięśnie karku. Wskazałem odbitki kserograficzne na umywalce.

- Z nami będzie tak samo. Oni zapomnieli o kamerze, my musieliśmy przeoczyć coś

innego.

Wrzuciła ręcznik do kosza z brudną bielizną. Szlafrok wisiał na drzwiach. Nałożyła go i wzięła ode mnie Amandę.

- Związek między tymi wydarzeniami jest oczywisty tylko dla nas - odparła spokojnie.

- Nikt inny go nie dostrzega.

Dziecko powoli przestawało płakać.

Zaczynałem się pocić, więc wstałem, zdjąłem marynarkę i zarzuciłem ją sobie na ramię. Koszula przywarła mi do pleców.

- Co będzie, jeśli Lou albo Nancy zostawili jakiś list czy pamiętnik albo powiedzieli o pieniądzach komuś, kogo nie znamy...

- Spokojnie, Hank. Za dużo myślisz. - Podeszła 1 bliżej i objęła mnie ramieniem. Kwiląca cichutko Amanda utkwiała między naszymi ciałami. Jej policzek przylgnął do mojego policzka. Pachniał czystością, świeżością i wilgocią. - Nie zapominaj, że ludzie widzą cię zupełnie inaczej. W ich oczach jesteś zwyczajnym facetem, miłym i uprzejmym. Nikt nie uwierzy, że jesteś zdolny do tego, co zrobiłeś.

W sobotę dwunastego marca Sara obchodziła urodziny. Chciałem, żeby były pamiętne nie tylko ze względu na to, że kończyła trzydzieści lat, ale i ze względu na pieniądze oraz dziecko, dlatego kupiłem jej dwa duże prezenty, znacznie przekraczające nasze możliwości finansowe sprzed czasów płóciennej torby z sadu Andersa.

Pierwszym był dom na Florydzie.

Pod koniec lutego znalazłem w gazecie ogłoszenie o rządowej licytacji dóbr zarekwirowanych przez władze w trakcie akcji policyjnych przeciwko handlarzom narkotykami. Zamieszczono w nim długą listę rzeczy - łodzi, samolotów, motocykli, anten satelitarnych, domów, biżuterii, nawet rancz prowadzących hodowlę koni - które można było kupić ledwie za dziesięć procent ich szacunkowej wartości. Licytacja miała odbyć się piątego marca w Toledo. Powiedziałem Sarze, że tego dnia pracuję i koło dziewiątej wyjechałem do miasta.

Szybko trafiłem pod wskazany adres i okazało się, że jest to niewielki magazyn koło portu. W środku stały rzędy składanych krzeseł zwróconych w stronę drewnianego podium przy ścianie. Żadnych przedmiotów przeznaczonych do sprzedaży tam nie było; organizatorzy sfotografowali je tylko, zaopatrzyli w długie, szczegółowe opisy i zrobili z nich katalog, który wręczali uczestnikom licytacji przed wejściem do magazynu. Gdy dotarłem na miejsce, w środku czekało już około czterdziestu ludzi, samych mężczyzn, a po mnie przyszło jeszcze kilku.

Licytacja zaczęła się z opóźnieniem, więc miałem pół godziny na przewertowanie katalogu. Chciałem kupić Sarze coś z biżuterii, ale przejrzawszy kilka błyszczących stron, zmieniłem zdanie. Zainteresowała mnie pozycja czwarta: nadmorski dom w Fort Myers na Florydzie - trzy sypialnie, basen i solarium. W katalogu widniały kolorowe zdjęcia przedstawiające obiekt od środka i z zewnątrz: białe ściany, czerwona dachówka, słowem - domek w hiszpańskim stylu. Był naprawdę piękny, luksusowy i od razu postanowiłem, że kupię go Sarze.

Dom wyceniono na trzysta trzydzieści pięć tysięcy dolarów, lecz organizatorzy mieli rozpocząć licytację od piętnastu tysięcy. W banku w Ashenville mieliśmy nieco ponad trzydzieści pięć tysięcy na wyjazd z Fort Ottowa i rozpoczęcie nowego życia, więc zupełnie spontanicznie zdecydowałem, że na kupno domu mogę przeznaczyć trzydzieści tysięcy dolarów. Tłumaczyłem sobie, że nawet gdyby miało dojść do najgorszego i musiałbym spalić pieniądze, to zawsze mógłbym sprzedać dom i jeszcze na tym zarobić. Potraktowałem to jak inwestycję, zmyślną i wyrachowaną.

Nigdy dotąd nie uczestniczyłem w licytacji, więc gdy się w końcu zaczęła, uważnie obserwowałem jej przebieg. Okazało się, że to nic nadzwyczajnego. Licytator wywoływał cenę, chętni do kupna podnosili ręce, a wygrywający, ten, kto dał najwięcej, odchodził na bok z jedną z organizatorek, która spisywała w notatniku jego dane personalne i przekazywała niezbędne informacje.

Oprócz mnie w licytacji domu na Florydzie brało udział tylko trzech klientów. Cena powoli rosła, dochodząc do dwudziestu kilku tysięcy dolarów. Gdy zbliżyła się do trzydziestu, zacząłem się trochę denerwować myśląc, że dom przejdzie mi koło nosa, lecz nagle tamci trzej odpadli i wygrałem przetarg za nędzne trzydzieści jeden tysięcy dolarów.

Kobieta z notatnikiem odprowadziła mnie na bok. Była młoda, miała szczupłą twarz i krótkie czarne włosy. Na identyfikatorze na piersi miała wypisane nazwisko: Hastings. Mówiła bardzo szybko i matowym, przyciszonym głosem wyjaśniła, co mam zrobić.

Wręczyła mi swoją wizytówkę. W ciągu najbliższego tygodnia musiałem wysłać pod wskazany adres czek na całą sumę. Transfer pieniędzy oraz przygotowanie niezbędnej dokumentacji miało trwać dziesięć dni. Po dziesięciu dniach, ale nie wcześniej, mogłem przyjechać do siedziby firmy i odebrać swoją własność, w tym wypadku świadectwo kupna domu. Gdy skończyła mówić, kazała mi wypełnić kwestionariusz informacyjny: imię, nazwisko, adres, numer telefonu. Później zajęła się następnym klientem.

Siedziałem na krześle, analizując uczucia, jakie mną miotają. Przed chwilą postanowiłem wydać trzydzieści jeden tysięcy dolarów, prawie wszystkie nasze oszczędności,

Sary i moje. Wydawało się, że to ostatnia głupota. Lecz w porównaniu z pieniędzmi spoczywającymi w płóciennej torbie pod łóżkiem trzydzieści jeden tysięcy dolarów było niczym. Poza tym, zrobiłem dobry interes, bo przecież kupiłem dom za jedną dziesiątą jego rzeczywistej wartości. Siedziałem tam i siedziałem, i ogarniało mnie coraz większe przekonanie o słuszności podjętej decyzji. Jakkolwiek na to patrzeć, byłem milionerem, w dodatku czterokrotnym, i uznałem, że powinienem zacząć zachowywać się jak na czterokrotnego milionera przystało.

Wychodziłem z magazynu krokiem żwawym i beztroskim. Pamiętam, żalowałem nawet, że nie mam laseczki, bo mógłbym nią dziarsko powywijsać.

Drugim prezentem był fortepian.

Sara już od dziecka pragnęła mieć fortepian. Nie umiała grać, ale nie o to chodziło. Myślę, że fortepian był dla niej symbolem bogactwa i statusu społecznego, dlatego uznałem, że powinienem go jej kupić.

Zacząłem wydzwaniać z pracy do sklepów muzycznych. Ceny fortepianów zdumiały mnie, nawet zaszokowały. Nie miałem pojęcia, że kosztują aż tyle. W końcu znalazłem instrument przeceniony ze względu na wadę fabryczną: lakier na klapie był odbarwiony i widniała na niej duża plama wielkości dłoni. Kosztował dwa tysiące czterysta dolarów, czyli prawie tyle, ile zostało nam na rachunku bankowym.

Dwunastego marca rano przywieźli go do domu. Sara była w pracy. Instrument miał odkręcone nogi i trzech tragarzy ugięło się pod jego ciężarem. Kazałem ustawić go w saloniku. Wyglądał tam absurdalnie, bo był koszmarnie wielki, przytłaczający - pozostałe meble przy nim nie istniały - mimo to tryskałem zadowoleniem. Kupiłem Sarze coś specjalnego, coś, o czym zawsze marzyła, ponadto wiedziałem, że w naszym nowym domu fortepian będzie wyglądał znacznie lepiej.

Przewiązałem instrument długą czerwoną wstążką, na klapie położyłem kartkę wyrwaną z katalogu, po czym usiadłem, żeby poczekać na powrót Sary.

Większe wrażenie wywarł na niej fortepian niż dom. Może dlatego, że fortepian stał w saloniku, był czymś konkretnym i niezaprzeczalnym - mogła dotknąć klawiszy, usłyszeć, jak gra - podczas gdy dom widniejący na zdjęciach stał gdzieś na Florydzie, o tysiące kilometrów stąd. Fortepian należał do namacalnej rzeczywistości, tymczasem dom zdawał się tylko mglistą obietnicą.

- Hank - szepnęła, jak tylko zobaczyła instrument - jestem taka szczęśliwa...

Dwoma palcami wybębniła „Gdy wszyscy święci”, jedyną melodię, którą potrafiła zagrać. Otworzyła klapę, zajrzała do środka, pomacała struny. Potem wcisnęła pedały i

przebiegła palcami po całej klawiaturze. Próbowwała zagrać dla Amandy „Frere Jacques”, ale nic z tego nie wyszło; niezdolnie fałszowała i dziecko zaczęło płakać.

Wieczorem, gdy już nasyciła się prezentami i gdy zjedliśmy uroczystą kolację, którą osobiście przygotowałem: faszerowany kurczak, zielony groszek, ziemniaczane puree i dwie butelki wina - kochaliśmy się na klapie fortepianu.

To był jej pomysł. Bałem się, że instrument zawali się pod naszym ciężarem, ale Sara zrzuciła ubranie, wskoczyła nago na klapę, legła na plecach, rozwarła uda i szepnęła z zachęcającym uśmiechem:

- Chodź!

Mieliśmy porządnego rausza.

Rozebrałem się i powoli, nadsluchując, czy instrument ostrzegawczo nie zatrzeszczy, położyłem się na niej.

To było niesamowite doświadczenie. Pudło rezonansowe fortepianu rozbrzmiewało naszymi jękami i westchnieniami, wzmacniając je i nasycając dźwięczną wibracją mocno napiętych strun.

- Za początek nowego życia - wydyszała mi w ucho Sara głosem podnieconym, głębokim i dziwnie odległym, jakby mówiła pod wodą.

Kiwnąłem głową, niechcący grzmotnąłem kolanem w klapę i fortepian zaczął, długo i żałośnie, a towarzyszyło mu echo tak silne, tak rozedrgane, że nasze nagie ciała zaczęły wibrować.

Kiedy skończyliśmy, Sara wyjęła z szafy butelkę płynu nablyszczającego i starła z klapy pot.

W poniedziałek, podczas przerwy na lunch, wpadłem na chwilę na cmentarz. Chodziłem od mogiły do mogiły, czytając napisy wyryte na płytach nagrobnych: Jakuba, rodziców, Pedersona, Lou, Nancy i Sonny'ego.

Dzień był pochmurny i szary, niebo zaciągnięte, ciężące ku ziemi niczym gruba brezentowa płachta. Za kościołem, za sterczącymi tu i ówdzie nagrobkami, aż po horyzont rozciągało się pustkowie, ponure i przygnębiające. Na grobie Pedersona leżał bukiet chryzantem, jaskrawoczerwonych i białych. W szarówce dnia nie przypominały symboli szczerego smutku, jakimi miały być, lecz raczej plamy po farbie rozlanej przez jakiegoś wandala. W kościele ktoś ćwiczył na organach. Przez ceglane ściany sączyły się słabe, niskie dźwięki, bezustannie powtarzana sekwencja wciąż tych samych nut.

Jeśli nie liczyć lekkiego opadu śniegu w dniu pogrzebu Jakuba, od kilku tygodni w ogóle nie padało, na skutek czego świeże groby odcinały się od cmentarnej ziemi niczym

grupka dużych, czarnych, lekko zapadniętych prostokątów.

Kiedy byłem mały, wyobrażałem sobie, że śmierć jest czymś w rodzaju żywej kałuży. Kałuży może nieco ciemniejszej, nieco głębszej niż zwykła kałuża, lecz gdy ktoś obok niej przechodził, wyciągała do niego wodniste ramiona, wsysała go i połykała. Nie mam pojęcia, skąd się to wyobrażenie wzięło, ale wierzyłem w tę kałużę bardzo długo, do chwili, gdy skończyłem dziesięć albo jedenaście lat. Może opowiadała mi o niej matka? Może w ten sposób chciała wytłumaczyć dziecku, czym jest śmierć? Jeśli tak, Jakub musiał wierzyć w to samo.

Tak, świeże groby wyglądały jak kałuże...

Zanim wyszedłem z cmentarza, dłuższą chwilę stałem przy mogile rodziców i Jakuba. Tuż pod imieniem i nazwiskiem ojca wryto w kamieniu imię i nazwisko brata. Puste miejsce w prawym dolnym rogu czekało na mnie. Wiedziałem, że na mnie czeka i z przyjemnością uzmysłowiłem sobie, że - jeśli nie umrę w ciągu kilku najbliższych miesięcy - na zawsze pozostanie puste. Tak, pochowają mnie daleko stąd, pod przybranym nazwiskiem, a gdy o tym pomyślałem, ogarnęła mnie fala szczęścia. Nie czułem się tak dobrze od dnia, kiedy zabiłem Sonny'ego, Nancy i Jakuba, nigdy nie byłem tak pewny, że obrona przez nas droga jest słuszna, bo po raz pierwszy - i chyba ostatni - uznałem, że warto było zrobić to, co zrobiłem. Uciekaliśmy od naszego życia. Ten kawał granitu był moim przeznaczeniem, a ja pokazałem przeznaczeniu figę. Za kilka miesięcy mieliśmy wyjechać w szeroki świat, wolni od okowów przeszłości. Odrodzę się, wyznaczę sobie nowe cele. Będę panem własnego losu.

We wtorek po powrocie z pracy zastałem Sarę w kuchni. Płakała.

Początkowo nie byłem tego pewny. Zauważyłem tylko, że jest spięta, sztucznie formalna, trochę rozsierdzona. Stała przy zlewie i zmywała naczynia. Nie zdjęwszy marynarki i krawata, usiadłem przy stole, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Spytałem, jak minął dzień, co słyszeć u Amandy, ale odpowiadała monosylabami, pomrukiwała i burczała. Nie patrzyła na mnie. Nisko pochylona obserwowała swoje ręce zanurzone w mydlinach.

- Źle się czujesz? - spytałem.

Nie odwracając się, pokręciła głową i jeszcze mocniej pochyliła ramiona, wyglądała, jakby wyrósł jej garb. Talerze pobrzękiwały.

- Saro?

Nie odpowiedziała, więc wstałem, podszedłem bliżej i dotknąłem jej ramienia. Zesztywniała, jakby wystraszona.

- Co się stało? - Zajrzałem jej w oczy i zobaczyłem, że płyną z nich łzy.

Sara nie należała do kobiet egzaltowanych i płaczących; chwile, kiedy płakała,

mogłem policzyć na palcach jednej ręki. Łzy widziałem w jej oczach tylko w obliczu wielkich tragedii, dlatego natychmiast pomyślałem o dziecku i ogarnięty nagłym strachem spytałem:

- Gdzie Amanda?

Nie przerwała zmywania naczyń. Odwróciła głowę, pociągnęła nosem i odrzekła:

- Na górze.

- Nic jej nie jest?

- Nie. Śpi.

Zakręciłem kran. Szum wody ustał i w kuchni zaległa martwa cisza, która sprawiła, że atmosfera stała się nie do zniesienia. To mnie przerażało.

- Co się dzieje, Saro?

Przesunąłem rękami po jej plecach, objąłem ją od tyłu i przytuliłem. Stała nieruchomo przez kilka sekund, wspierając się niezadarnie o krawędź zlewu, jakby złamała sobie ręce w nadgarstkach, i nagle przyłgnęła do mnie, a jej piersią wstrząsnął gwałtowny szloch. Przytuliłem ją jeszcze mocniej.

Plącząc odwróciła się, objęła mnie i staliśmy tak przez kilkanaście sekund. Mydliny spływające z jej rąk zmoczyły mi szyję i plecy marynarki.

- Już dobrze - szeptałem - już wszystko dobrze...

Kiedy się uspokoiła, zaprowadziłem ją do stołu.

- Nie mogę pracować w bibliotece - powiedziała.

- Wylali cię? - Nie mogłem sobie wyobrazić, że ją zwolnili.

Pokręciła głową.

- Nie chcą, żebym zabierała Amandę. Ludzie skarżą się na jej płacz. - Otarła policzki.

- Powiedzieli, że mogę wrócić, kiedy mała z tego wyrośnie.

- Wziąłem ją za rękę.

- Tak naprawdę to chyba już nie potrzebujesz pracy.

- Wiem, ale tak jakoś...

Uśmiechnąłem się.

- Pieniądzy nam wystarczy.

- Wiem - powtórzyła.

- Sama widzisz, że nie warto płakać.

- Nie, Hank, to nie dlatego.

Byłem zaskoczony.

- To dlaczego?

Znowu otarła łzy i zamknęła oczy.

- To takie skomplikowane, pogmatwane...

- Myślałaś o tym, co zrobiliśmy?

Musiałem to powiedzieć bardzo dziwnym głosem - może byłem zdenerwowany, może wystraszony - bo natychmiast otworzyła oczy, otaksowała mnie spojrzeniem i pokręciła głową.

- To nic - szepnęła. - Po prostu jestem zmęczona.

Nadeszły roztopy.

W sobotę temperatura wzrosła do dziesięciu stopni i nagle wszystko, cały świat zaczął w szybkim tempie tajać, rozpuszczać się i spływać potokami wody. Po niebie wędrowały wielkie, idealnie białe obłoki spychane na północ przez mokry, łagodny wiatr z południa. Powietrze było przesycone zwodniczym zapachem wiosny.

W niedzielę zrobiło się jeszcze cieplej; słupek rtęci w termometrze wskazywał dwanaście stopni, co jeszcze bardziej przyspieszyło topnienie śniegu. W południe spod brudnoszarej skorupy wychynęły placki ziemi - małe kwadraty, prostokąty i szczeliny wielkości ludzkiej stopy. A pod wieczór, kiedy wyszedłem z domu, żeby zamknąć psa w garażu, stwierdziłem, że Mary Beth siedzi w grząskiej, błotnistej kałuży. Ziemia zaczynała zrzucać zimowy welon.

Tamtej nocy długo nie mogłem zasnąć. Kap-kap-kap - z gałęzi drzew za oknem nieustannie kapła woda. Dom trzeszczał i pojękiwał. W powietrzu czuło się ruch. Świat wyzwalał się, wyswobadzał.

Leżałem w łóżku, próbując oszukać ciało i wmówić mu zmęczenie. Rozluźniłem mięśnie, oddychałem powoli i rytmicznie, lecz ilekroć zacisnąłem powieki, przed oczyma stawał mi obraz samolotu w parku Andersa. Spoczywał na brzuchu uwolniony spod warstwy śniegu, a metalowe poszycie jego skrzydeł i kadłuba błyszczało w słońcu niczym wielki brylant. Na coś czekał. Tak, czułem, że niecierpliwie czeka.

Czekał na swego odkrywcę.

W środę przytrafiło mi się coś dziwnego. Siedziałem w biurze, analizując rozbieżności stanu konta firmy, gdy raptem usłyszałem zza ściany głos Jakuba.

Oczywiście, to nie mógł być Jakub i doskonale o tym wiedziałem, ale sam ton głosu, jego barwa i natężenie wydały mi się znajome. Nie mogłem oprzeć się pokusie: wstałem, cicho podszedłem do drzwi i lekko je uchylilem.

W magazynie stał gruby mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widziałem. Nie należał do stałych klientów; wszedł, żeby spytać o drogę.

I wcale nie przypominał Jakuba. Był stary, łysiejący, miał gęste, opadające włosy.

Słuchałem jego głosu, obserwowałem gesty rąk, mimikę twarzy, i wrażenie, że mówi głosem brata, powoli mijało. Nie, mówił zupełnie inaczej. Chrapliwie, gardłowo, jak starzec.

Lecz gdy zamknąłem oczy, jego głos natychmiast zabrzmiał jak głos mego brata. Znieruchomiałem w drzwiach, nad słuchując z uwagą. I nagle ogarnął mnie głęboki smutek, poczucie nieodżałowanej straty, przygniatające, miazdzące, silniejsze niż kiedykolwiek przedtem, tak potężne, że wywołało fizyczną reakcję organizmu, przyprawiając o gwałtowne mdłości. Pochyliłem się, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch.

- Panie Mitchell?

Otworzyłem oczy, wyprostowałem się. To Cheryl, kasjerka. Zatraskana, stała za ladą, a gruby mężczyzna spoglądał w moją stronę, kręcąc węża.

- Źle się pan czuje? - Odniosłem wrażenie, że chce do mnie podbiec.

Próbowałem przypomnieć sobie, czy coś mówiłem - może jęknąłem albo głośno sapnąłem? - ale w głowie miałem zupełną pustkę.

- Nie, nic mi nie jest. - Odchrząknąłem, uśmiechnąłem się do grubasa, przyjacielsko skinąłem mu głową.

Gdy się lekko skłonił, zamknąłem drzwi.

Tego samego wieczoru przeczytałem w gazecie artykuł o bandzie oszustów grasujących na środkowym zachodzie kraju, którzy naciągali łatwowiernych inwestorów na wiele milionów dolarów.

Zamieszczali w lokalnej prasie ogłoszenia o licytacji przedmiotów i dóbr zarekwirowanych handlarzom narkotykami. Ludzie kupowali te rzeczy, nawet ich nie obejrzawszy, bo wierzyli, że skoro licytację prowadzą przedstawiciele rządu, hochsztaplerstwo nie wchodzi w grę. W tłumie licytujących zasiadali wspólnicy przestępców, którzy sztucznie podbijali cenę. Oszukani klienci chętnie wypisywali czek, bo uważali, że płacąc dziesięć procent rzeczywistej ceny wystawionych na sprzedaż towarów, robią dobry interes, a po dwóch tygodniach okazywało się, że nabyte przez nich przedmioty istnieją tylko na zdjęciach w błyszczącym katalogu.

Przyjąłem ten cios zdumiewająco spokojnie. Przelewu dokonano dzień wcześniej; poszedłem do banku, żeby to sprawdzić. Na moim koncie figurowała kwota tysiąca ośmiuset siedemdziesięciu dwóch dolarów i dwudziestu jeden centów. Straciliśmy trzydzieści jeden tysięcy dolarów, dosłownie wszystkie oszczędności, ale nie mogłem w to uwierzyć. Wydawało się, że to niemożliwe, by coś tak strasznego przeszło bez żadnego rozgłosu. Wydarzyła się tragedia, bez wątpienia jedna z największych w moim życiu, zadano mi potworny cios, lecz ponieważ był to cios podstępny i skrytobójczy - maleńki artykuł na

środkowej stronie gazety - nie docierało do mnie, że w ogóle go zadano. Nie, potrzebowałem czegoś więcej, choćby telefonu w środku nocy, wyjących syren, nagłego skurczu serca ogarniętego paniką.

Ku swemu zaskoczeniu stwierdziłem, że miast pogrążyć mnie w smutku czy żalu, wiadomość dodała mi otuchy. Dopóki miałem przed oczyma obraz płóciennej torby spoczywającej pod naszym łóżkiem, mogłem sprawić, że strata trzydziestu jeden tysięcy dolarów wydawała mi się czymś mało ważnym, ot, nieistotnym błędem, drobną ułomnością osądu. To dziwne, lecz myśl, że tych pieniędzy nie zgubiłem, że mi je skradziono, bardzo podniosła mnie na duchu. Gdzieś w Ameryce żyli ludzie równie źli jak ja, nawet gorsi

- podróżowali po kraju całą bandą i oskubywali biednych naiwniaków ze wszystkich oszczędności. Dzięki temu mogłem wmówić sobie, że to, co zrobiłem, jest trochę bardziej wytłumaczalne i naturalniejsze, że łatwiej to zrozumieć.

Oczywiście, nie przeczę, że pod warstewką otuchy czaił się strach, zimny dreszcz przerażenia. Sieć bezpieczeństwa, którą zawiesiłem nad dnem przepaści na wypadek, gdyby zbrodnia zepchnęła nas w otchłań - myśl, że w każdej chwili mogę spalić pieniądze - została bezpowrotnie zerwana. Wiedziałem, że bez względu na to, co przyniesie przyszłość, wyrzec się tych pieniędzy nie mogliśmy, bo bez nich nie mieliśmy już nic. Z całą wyrazistością uświadomiłem sobie, że iluzja wolności prysła, że mi ją odebrano i właśnie ta świadomość była źródłem strachu. Utkwiłem w potrzasku: od tej chwili wszystkie decyzje związane z pieniędzmi spoczywającymi w płóciennej torbie miały być dyktowane ich absolutną niezbędnością, miały być wyborem z konieczności.

Skończywszy czytać artykuł, wyrwałem go z gazety, podarłem, wrzuciłem do muszli klozetowej i spuściłem wodę. Chciałem, żeby Sara dowiedziała się o tym dopiero wtedy, gdy wyjedziemy daleko stąd, gdy będziemy zupełnie bezpieczni.

Późnym wieczorem, odwiązując Mary Beth, by zaprowadzić go na noc do garażu, zauważyłem, że stan skóry pod obrozą uległ dramatycznemu pogorszeniu. Niegroźne otarcie przekształciło się w wielką ranę, otwartą, krwawiącą i zaropiała. Otaczająca ją sierść była pokryta warstwą zaskorupiałego błota.

Ogarnięty nagłym współczuciem, ukląknę na mokrej ziemi, żeby poluznić mu obrozę, lecz gdy jej dotknąłem, odwrócił łeb i szybkim, precyzyjnym kłapnięciem szczęk, niczym szczypcami do przycinania drzew, ugryzł mnie w nadgarstek. Zaszokowany odskoczyłem do tyłu, a Mary Beth skulił się w błocie. Nigdy dotąd żaden pies mnie nie ugryzł, więc nie wiedziałem, jak zareagować. Chciałem bydlaka kopnąć i wrócić do domu, zostawiając go na noc przy drzewie, ale zmieniłem zdanie. Zdałem sobie sprawę, że tak

naprawdę to wcale nie jestem zły, że nakazywały mi tak postąpić utarte wzorce zachowań.

Uważnie obejrzałem nadgarstek. Słońce już zaszło i na podwórzu było ciemno, ale czułem, że skóra jest cała. Pies mnie po prostu uszczypnął, miał porządnie przyłożyć, dał mi lekkiego kuksańca.

Leżał w błocie i lizał łapy. Uznałem, że coś trzeba z nim zrobić. Był chory i nieszczęśliwy, jak zwierzę w zoo: za dnia uwiązane, nocą uwięzione.

Zapaliło się światło na ganku i zza drzwi wyjrzała Sara.

- Hank? - zawołała.

Spojrzałem na nią, ściskając nadgarstek.

- Co ty tam robisz?

- Pies mnie ugryzł.

Nie usłyszała.

- Co?

- Nic, nic. - Nachyliłem się i ostrożnie wziąłem Mary Beth za obrozę. Tym razem nie zareagował. - Odprowadzam psa do garażu.

W czwartek zbudziłem się późną nocą i przerażony usiadłem na łóżku, dosłownie trzęsąc się z irracjonalnego strachu. We śnie opracowałem plan, plan doskonały, i chciałem obudzić Sarę, żeby jej o tym natychmiast powiedzieć.

- Sara! - syknąłem, potrząsając ją za ramię.

Odsunęła się ode mnie.

- Przestań! - jęknęła.

Zapaliłem światło i przyciągnąłem ją do siebie.

- Sara! - szepnąłem czekając, aż otworzy oczy. Gdy je wreszcie otworzyła, oświadczyłem: - Wiem, jak pozbyć się samolotu.

- Co? - Zerknęła na kołyskę i rozeszpana, gwałtownie zamrugła.

- Wypożyczę palnik acetylenowy i butle. Zawieziemy to wszystko do lasu, potniemy samolot na kawałki...

- Palnik?

- ... i zakopimy je w lesie.

Patrzyła na mnie, próbując zrozumieć, o czym mówię.

- To ostatni dowód rzeczowy. Jak się go pozbędziemy, już nic nam nie zagrozi.

Usiadła, odgarnęła włosy z czoła.

- Chcesz pociąć samolot na kawałki?

- Musimy to zrobić, zanim go znajdą... - Urwałem zamyślony. - Może jutro?

Zadzwoń, poszukam wypożyczalni i...

- Hank.

Powiedziała to tak, że znowu urwałem. Miała przerażoną twarz. Ręce przyciskała do piersi.

- Co się stało? - spytałem.

- Posłuchaj siebie. Posłuchaj swego głosu. Zamrugalem nieprzytomnie.

- Mówisz jak obłąkany. Nie możemy zawieźć palnika do lasu i pociąć samolotu. To szaleństwo.

Gdy to powiedziała, uświadomiłem sobie, że ma rację. Nagle cały pomysł wydał mi się absurdalny, jakbym gadał przez sen, bajdurzył jak małe dziecko.

- Trzeba się uspokoić, Hank. Nie możemy pozwolić, żeby to nas dobiło.

- Chciałem tylko...

- Musisz z tym skończyć. Zrobiliśmy, co zrobiliśmy. Teraz trzeba po prostu żyć.

Chciałem wziąć ją za rękę, by dać jej do zrozumienia, że już w porządku, że nad sobą panuję, ale się odsunęła. . - Tylko tak dalej i wszystko stracimy - szepnęła.

Amanda zakwiliła i ucichła. Spojrzeliśmy w stronę kołyski.

- Dojdzie do tego, że przyznamy się do winy - dodała.

Pokręciłem głową.

- Nie, ja się nie przyznam.

- To już niedługo, Hank. Zobaczysz, jutro, pojutrze, za tydzień znajdą samolot. Będzie wielkie zamieszanie, a potem wszyscy o tym zapomną. Wtedy wyjedziemy. Weźmiemy pieniądze i wyjedziemy.

Zamknęła oczy, jakby wyobrażała sobie tę chwilę. Po kilku sekundach otworzyła je i poklepała materac.

- One są tu. Tu, pod nami. Jeśli tylko zachowamy spokój, będą nasze.

W świetle nocnej lampki jej włosy utworzyły wokół głowy żółtą chmurę, złotawą aureolę.

- I dobrze ci z tym? - spytałem.

- Z czym?

- Z tym, co zrobiliśmy.

- Oczywiście, że nie. Czuję się parszywie.

Ulżyło mi, kiedy to wyznała.

- Ale trzeba żyć, Hank. Trzeba traktować to jak każde inne zmartwienie.

- Jak zmartwienie? Saro, ja zabiłem brata...

- Nie z własnej winy. Nie miałeś wyboru. Musisz w to wierzyć. - Dotknęła mego ramienia. - Taka jest prawda.

Nie odpowiedziałem, więc zacisnęła rękę, przyszczy-pując mi skórę.

- Rozumiesz? - spytała.

Przeszywała mnie wzrokiem, ściskając ramię, dopóki nie kiwnąłem głową. Wtedy spojrzała na budzik. Musiała się trochę cofnąć, zejść ze światła i złota aureola zniknęła.

Była trzecia siedemnaście. Sen prysnął. Myślałem trzeźwo, nieustannie powtarzając sobie jej słowa: „To nie twoja wina”. To nie twoja wina, Hank, nie twoja wina...

Wyciągnęła rękę.

- Chodź do mnie.

Nachyliłem się, objęła mnie za szyję i pociągnęła na łóżko.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła - obiecuję. - Oczekwała chwilę, by upewnić się, że nie będę próbował usiąść, i zgasiła światło.

Leżąc w ciemności, usłyszeliśmy wycie Mary Beth.

- Trzeba go zastrzelić - powiedziałem. - Wybawić z niedoli...

Sara ciężko westchnęła. Już zasypiała. Fragment dzielącego nas prześcieradła robił się coraz zimniejszy.

- Dość już tego strzelania - wymamrotała.

Przed świtem wróciła zima. Z północy nadleciał wiatr i gwałtownie pochłodziło.

W piątek rano, gdy jechałem przez wieś do pracy, zaczął padać gęsty śnieg.

Rozdział 9

Minęło południe, a śnieg wciąż padał - nieustannie, wielkimi, ciężkimi płatkami, jakby ktoś wygarniał go z nieba łopata. Wraz z klientami trafiał do magazynu; strzepywali go z ramion, strząsali z butów. I topił się, tworząc małe kałuże. Wszyscy byli podnieceni, nawet oszołomieni, bo zaczął padać tak nagle, bo sypał tak gęsto, bo okrył miasto całunem niesamowitej, trochę upiornej ciszy. W głosach sączących się przez ścianę do biura też było coś dziwnego: miały świąteczny ton, biła z nich przesadna uprzejmość i nadmierna wesołość.

Oni byli podnieceni, a na mnie śnieg podział jak silny środek uspokajający. Dodał mi otuchy i pewności siebie. Zaniedbując pracę, prawie cały ranek siedziałem za biurkiem i gapiłem się w okno. Patrzyłem, jak płatki śniegu spływają na miasto, jak zacierają kontury samochodów i budynków, jak wywabiają z nich kolory, pograżając wszystko w bieli, jednostajnej i nijakiej. Patrzyłem, jak spływają na cmentarz po drugiej stronie ulicy, na czarne groby Jakuba, Lou, Nancy i Sonny'ego, a kiedy zamknąłem oczy, mogłem sobie wyobrazić, jak, wirując w powietrzu, jeden po drugim osiadają na skarłowaciałych jabłoniach w sadzie Andersa. Na jabłoniach i na samolocie.

Zaakceptowałem sposób rozumowania Sary: wcześniej czy później wrak zostanie odkryty. Musiał zostać odkryty i zapomniany, byśmy mogli wyjechać i rozpocząć nowe życie. Lecz wiedziałem też, że im dłużej to potrwa, tym będziemy bezpieczniejsi. Modliłem się w duchu słowami prywatnej modlitwy: oby nikt nie skojarzył tych zabójstw z pieniędzmi na pokładzie samolotu. Oby nikt o tym nawet nie pomyślał. Nikt, absolutnie nikt.

Obserwując śnieżycę za oknem, marzyłem o wyjeździe i o naszym przyszłym życiu. Marząc, bezwiednie rysowałem w notatniku maleńkie jachty, odrzutowego concorde'a, wypisywałem nazwy dalekich krajów. Wyobrażałem sobie, jak kochamy się z Sara na plaży pod palmami, jak przynoszę jej drogie prezenty z miejscowych bazarów: flakoniki egzotycznych perfum, maleńkie figurki z kości słoniowej i rzadkiego drewna, klejnoty wszelkich rozmiarów i kolorów.

Śnieg padał cały dzień, zasypując poranne ślady butów, otulając puchową kołdrą świeżo oczyszczone drogi.

Pół godziny przed zamknięciem magazynu zadzwonił do mnie szeryf Jenkins.

- Się masz, Hank. Jesteś zajęty?

- Nie. Robię porządki przed weekendem.

- Mógłbyś do mnie zaraz wpaść? Jest tu ktoś, kto potrzebuje twojej pomocy.

- Kto?

- Facet nazwiskiem Baxter, Neal Baxter. Agent FBI.

Szedłem przez śnieg i myślałem: To nie ma nic wspólnego z tym, co zrobiłem. Gdyby chcieli mnie aresztować, na pewno by mnie nie wzywali, tylko przyjechaliby prosto do magazynu i założyli mi kajdanki.

Biuro szeryfa mieściło się w ratuszu, w przysadzistym, jednopiętrowym budynku z cegły, z betonowymi schodami prowadzącymi do podwójnych drzwi. Przystanąłem przy aluminiowym słupie flagowym u stóp schodów i spróbowałem wziąć się w garść. Strzepałem śnieg z włosów. Rozpiąłem kurtkę i poprawiłem krawat.

W drzwiach spotkałem Carla. Jakby tam na mnie czekał. Powitał mnie z uśmiechem, jak starego przyjaciela, wziął pod ramię i poprowadził w lewo, do swego gabinetu.

Miał dwa gabinety: większy i mniejszy. Linda, jego żona, niska kobieta o ślicznej twarzy, pracowała w większym, zewnętrznym. Siedziała przy biurku i pisała na maszynie. Zobaczyła mnie, szepnęła „Dzień dobry” i uśmiechnęła się. Odpowiedziałem jej skinieniem głowy. Otwarte na przestrzeń drzwi prowadziły do gabinetu mniejszego, wewnętrznego. Widziałem przez nie mężczyznę siedzącego tyłem do mnie. Był wysoki, z włosami przyciętymi na wojskowego jeża i miał na sobie ciemnoszary garnitur.

Gdy wszedłem do środka, Carl zamknął drzwi, odcinając nas od stukotu maszyny do pisania. Pomieszczenie było maleńkie i prawie puste: drewniane biurko, trzy plastikowe krzeselka, rząd szafek przy ścianie naprzeciwko okna. Na szafkach stały dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało Linde z kotem na kolanach, drugie - cały klan Jenkinsów: dzieci, wnuki, kuzyni, siostrzeńcy, siostrzenice, krewni - stali stłoczeni na trawniku przed żółtym domem z niebieskimi okiennicami. Na biurku panował wzorowy porządek. Między metalową puszką pełną żółtych ołówków a kamiennym przyciskiem do papieru, który żadnych papierów nie przyciskał, powiewała plastikowa miniaturka amerykańskiej flagi. Przy ścianie za biurkiem stała przeszklona szafka z bronią.

- Hank, to jest agent Baxter - powiedział Carl.

Mężczyzna wstał, wytarł rękę o spodnie, pochylił się i uściśnął mi dłoń. Był szczupły, szeroki w barach, miał kwadratową twarz i rozplaszczony nos, jak bokser. Potrząsnął moją ręką krótko, silnie i zdecydowanie, cały czas świdrując mnie wzrokiem. Dziwne, ale kogoś mi przypominał, tylko nie wiedziałem kogo. Gwiazdora filmowego? Słynnego sportowca? Podobieństwo było zbyt mgliste, zbyt odległe, jak ulotny ślad w pamięci. Elegancki, nawet wytworny, był uosobieniem spokoju i kompetencji.

Usiedliśmy i Carl spytał:

- Pamiętasz, jak spotkaliśmy się koło parku Andersa?

Ścisnęło mnie w piersi.

- Pamiętam - odrzekłem.

- O ile mnie pamięć nie myli, Jakub powiedział wtedy, że kilka dni wcześniej słyszeliście warkot samolotu z uszkodzonym silnikiem.

Potwierdziłem lekkim skinieniem głowy.

- Opowiedz panu Baxterowi, co słyszeliście.

Nie było rady. Nie mogłem skłamać ani uniknąć odpowiedzi na pytanie, więc odszukałem w pamięci opowieść Jakuba i powtórzyłem ją agentowi.

- Padał śnieg - zacząłem - gęsty, jak dzisiaj.

W taką śnieżycę kiepsko słyhać, ale zdawało nam się, że gdzieś niedaleko przelatuje samolot. Silnik cały czas kichał i przerywał. Zjechaliśmy na pobocze i zaczęliśmy nadsluchiwać, ale warkot już ustał. Nie było ani wybuchu, ani nic.

Baxter i Jenkins milczeli.

Wzruszyłem ramionami.

- Pewnie ktoś przejeżdżał skuterem śnieżnym - mruknąłem.

Baxter miał na kolanach czarny notatnik i coś w nim zapisywał.

- Pamięta pan, kiedy to było? - spytał.

- Szeryfa spotkaliśmy w Nowy Rok, a przejeżdżaliśmy tamtędy kilka dni wcześniej.

- Mówiłeś, że słyszeliście ten samolot w pobliżu miejsca, gdzie się spotkaliśmy?

- Tak.

- Któreśdy wtedy jechaliście?

- Południowym skrajem parku.

- Koło farmy Pedersona?

Serce zabiło mi dwa razy szybciej, w skroniach zatętniła krew.

- Czy zechciałby pan nas tam zaprowadzić? - spytał Baxter. Spojrzałem na niego skonsternowany.

- Do parku?

- Musielibyśmy wyjechać rano - wtrącił Carl. - Kiedy tylko przestanie padać.

Moja kurtka spływała wodą z roztopionego śniegu. Chciałem ją zdjąć, ale ręce trzęsły mi się tak bardzo, że natychmiast zrezygnowałem.

- Ale o co właściwie chodzi? - zapytałem.

Zapadła cisza. Widocznie zastanawiali się, który z nich ma odpowiedzieć. Baxter wzruszył ramionami. Zrobił to bardzo delikatnie, subtelnie, prawie niezauważalnie. Carl

zrozumiał.

- FBI szuka samolotu - odrzekł.

- To wiadomość poufna, panie Mitchell - dodał agent, zakładając nogę na nogę. Miał skórzane buty, czarne i błyszczące, pokryte maleńkimi kropelkami wody. Zbadał wzrokiem moją twarz.

- W lipcu ubiegłego roku - powiedział - dokonano napadu rabunkowego na opancerzony samochód banku federalnego w Chicago. Od początku podejrzewaliśmy, że maczał w tym palce ktoś z wewnątrz, ale do grudnia nie mieliśmy na to żadnych dowodów. W grudniu aresztowano kierowcę tego samochodu. Zgwałcił przyjaciółkę i kiedy dowiedział się od adwokata, że grozi mu dwadzieścia pięć lat więzienia, czym prędzej zadzwonił do nas i oświadczył, że chce być świadkiem koronnym w sprawie rabunku.

- Sypnął kumpli - wtrąciłem.

- Otóż to. Był wściekły, bo zaraz po napadzie ulotnili się ze wszystkimi pieniędzmi, nie odpalając mu doli, więc zaczął sypać, za co sąd potraktował go łaskawiej.

- Złapaliście ich?

- I tak, i nie. Ślad zaprowadził nas aż do Detroit, skąd pochodzą. Obstawiliśmy ich mieszkanie...

- Obstawiliście mieszkanie? Dlaczego ich po prostu nie aresztowaliście?

- Chcieliśmy zgarnąć i bandziorów, i pieniądze. Wszystko wskazywało na to, że jeszcze ich nie tknęli. Obaj, było ich dwóch, mieli pracę, mieszkali w zapuszczonej norze koło stadionu, więc przypuszczaliśmy, że ukryli pieniądze i czekają, aż sprawa przycichnie. Niestety, nasi ludzie zawalili robotę i podejrzani zdołali zbiec. Następnego dnia jednego z nich złapaliśmy na granicy kanadyjskiej, ale drugi przepadł jak kamień w wodę. Już mieliśmy zrezygnować z poszukiwań, gdy mój partner dostał cynk od informatora, że kumpel zatrzymanego bandziora ma odlecieć awionetką z lotniska pod Detroit. Popędziliśmy tam na złamanie karku, ale kiedy dotarliśmy na miejsce, zobaczyliśmy tylko ogon startującego samolotu.

- Nie poleciełicie za nim? - spytałem.

- Nie musieliśmy.

- Wiedzieli, gdzie ma wylądować - wtrącił Carl, zachwycony przebiegłością kolegów po fachu. Oparł się wygodniej i wyszczerzył zęby do Baxtera.

Baxter go zignorował.

- Informator mojego partnera podał nam dokładne namiary punktu docelowego. Awionetką miała wylądować na małym lotnisku na północ od Cincinnati. - Spojrzał na mnie i

nachmurzył czoło. - Niestety, nie wylądowała.

- Może poleciał gdzie indziej?

- To niewykluczone, ale wątpliwe. Mamy podstawy uważać, że wiadomość od naszego informatora jest absolutnie wiarygodna.

- Przypuszczają, że rozbił się po drodze - wtrącił Carl. - Jeżdżą od miasta do miasta wzdłuż całej trasy.

- Pieniądze były na pokładzie samolotu? - spytałem.

- Tak przypuszczamy - odrzekł Baxter.

- Ile?

Agent zerknął na Jenkinsa, po czym spojrzał na mnie.

- Kilka milionów dolarów.

Udając zdziwienie, zagwizdałem cicho i uniosłem brwi.

- Chcemy tam pojechać koło dziewiątej rano - powiedział Carl. - Gdy tylko śnieżyca ustanie. Pasuje?

- Carl, ja nie widziałem żadnego samolotu, słyszałem tylko warkot silnika.

Patrzyli na mnie i czekali w milczeniu.

- Naprawdę nie sądzę, żebyśmy mogli coś znaleźć - dodałem.

- Panie Mitchell, zdajemy sobie sprawę, że to tylko mgliste przypuszczenia - odparł Baxter - ale śledztwo weszło w taką fazę, że oprócz mglistych przypuszczeń nie mamy absolutnie nic.

- Rozumiem, ale nic wam nie mogę pokazać. Nawet nie wysiadaliśmy z samochodu. Jedźcie skrajem parku, a zobaczycie dokładnie to samo co my.

- Mimo to bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan z nami pojechać. Zdziwi się pan, ile cennych szczegółów można przypomnieć sobie na miejscu zdarzenia.

- Dziewiąta ci nie odpowiada? - spytał Carl. - Jak chcesz, wyjedziemy wcześniej.

Odruchowo pokręciłem głową.

Carl uśmiechnął się do mnie.

- Jak wrócimy, poczęstuję cię kawą.

Gdy wstałem, żeby wyjść, Baxter powiedział:

- Panie Mitchell, jeszcze raz proszę pana o zachowanie tajemnicy. Cała sprawa jest dla FBI trochę zenująca i bylibyśmy niepokieszeni, gdyby zwiedzieli się o tym ci z prasy.

- Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo uprzedził mnie Carl.

- Mniejsza o nich. W tych lasach leży ponad cztery miliony dolców żywą gotówką. Chryste, jeśli wieść się rozniesie, będziemy mieli na karku całe tabuny poszukiwaczy

skarbów!

Zarechotał i puścił do mnie oko, jak Lou.

Baxter uśmiechnął się lodowato.

Sara czekała na mnie z kolacją.

- Rabunek? - spytała, gdy opowiedziałem jej o rozmowie w biurze Jenkinsa. -

Pokręciła głową. - Wykluczone.

Siedziałem naprzeciwko niej przy stole w kuchni i patrzyłem, jak nakłada sobie nóżkę kurczaka z rusztu. Druga nóżka leżała na moim talerzu.

- Co znaczy: wykluczone?

- To się nie trzyma kupy, Hank. W przeciwieństwie do koncepcji porwania.

- Saro, to nie jest strzał w ciemno, to nie teoria. Przed chwilą rozmawiałem z agentem FBI, który powiedział mi, skąd te pieniądze pochodzą.

Zmarszczyła czoło, zadzwoniła widelcem o talerz i zaczęła mieszać ryż z zielonym groszkiem. Dziecko leżało w podróżnej kołysce obok stołu. Wyglądało jak zawsze, jakby miało się zaraz rozpląkać.

- Saro, facet szuka samolotu wyładowanego pieniędzmi. Chyba nie chcesz powiedzieć, że w tych lasach leży ich kilka.

- W torbie są same setki, Hank. Gdyby pochodziły z napadu na opancerzony samochód przewożący pieniądze z banku do banku, nominały byłyby różne: pięćdziesiątki, dwudziestki, dziesiątki...

- Nie uważasz, Saro. Powtarzam, osobiście z tym człowiekiem rozmawiałem...

- Poza tym, to są używane banknoty. Gdyby pochodziły z banku federalnego, byłyby nowe. W banku federalnym stare banknoty palą i zastępują nowymi.

- Chcesz powiedzieć, że Baxter kłamie?

Jakby mnie nie słyszała. Zagryzła wargi i rzuciła okiem na Amandę. Nagle, wyraźnie podekscytowana, przeniosła wzrok na mnie.

- Pokazał ci odznakę?

- Po co miałby mi ją pokazywać?

Rzuciła widelec na talerz, odsunęła krzesło i wybiegła z kuchni.

Byłem zupełnie zdezorientowany.

- Saro? - zawołałem.

Dziecko się rozpląkało, ledwo zniknęła za drzwiami. Nawet na nie nie spojrzałem. Zeskrobywałem nożem mięso z kości i próbowałem opracować sposób na podrzucenie pieniędzy do samolotu bez zostawiania śladów na śniegu.

Amanda płakała coraz głośniej. Jej ciało stężało, twarzyczka spurpurowiała.

- Ciiii... - szepnąłem.

Jedzenie stygło. Doszedłem do wniosku, że będę musiał pojechać tam zaraz po kolacji, zanim przestanie padać. Po ciemku. Tak, koniecznie po ciemku. Trzy paczki zachowam - dokładnie tyle, ile straciłem kupując nie istniejący dom na Florydzie, a resztę zaniosę do samolotu...

Sara wróciła z kartką papieru. Miała zaczerwienione z podniecenia policzki i triumfalny wyraz twarzy. Wręczyła mi kartkę niczym podarunek.

Rozpoznałem ją natychmiast. Była to odbitka artykułu na temat porwania córki milionera z Detroit.

- No i? - spytałem.

Uśmiechnęła się radośnie.

- To on, prawda? - Nachyliła się, wierzchem dłoni musnęła czoło Amandy i dziecko przestało płakać.

Spojrzałem na artykuł. Przyniosła ten trzeci, ze zdjęciami. Wszystkie dokładnie przestudiowałem: najpierw fotografię młodszego z braci, potem starszego, na końcu powiększoną klatkę filmową przedstawiającą Stephena Bokovsky'ego rozstrzelującego jednego z ochroniarzy.

- Szuka brata - szepnęła Sara.

Powędrowałem wzrokiem ku środkowemu zdjęciu i przez krótką, króciutką, lecz bardzo znamioną chwilę zdawało mi się, że go rozpoznaję. Tak, w jego oczach, w lekko obwisłych policzkach, w charakterystycznym pochyleniu głowy - w tym wszystkim było coś znajomego, lecz ulotne wrażenie szybko minęło: mężczyzna na zdjęciu miał brodę, gęste włosy, marsa na czole, był krępy i masywny.

Położyłem odbitkę na stole.

- Twierdzisz, że to Vernon? - spytałem. - Ten starszy, tak?

Nie przestając się uśmiechać, kiwnęła głową.

Ani ona, ani ja nawet nie zaczęliśmy jeść. Kurczak zdążył wystygnać, sos zgęstniał. Jeszcze raz spojrzałem na fotografię, pragnąc rozpoznać w Baxterze Vernona Bokovsky'ego. Zmrużyłem oczy, skoncentrowałem się i znowu, jak przedtem, odniosłem wrażenie, że to naprawdę on, ale i tym razem trwało to ledwie sekundę. Zdjęcie było bardzo stare, niewyraźne, gruboziarniste i nie doświetlone.

Odsunąłem od siebie odbitkę.

- Nie, to nie on - oświadczyłem. - Facet, którego dzisiaj widziałem, jest szczuplejszy.

Ma włosy obcięte na jeża i nie nosi brody.

- Mógł schudnąć - zauważyła. - Mógł ściąć włosy i zgolić brodę. - Patrzyła to na mnie, to na artykuł.

- Nie wmówisz mi, że to niemożliwe.

- Po prostu stwierdzam, że nie jest do niego podobny.

- To na pewno on. Czuję to!

- Ten mój wygląda jak typowy agent FBI. Jak profesjonalista, jak gwiazdor filmowy.

Wyniosły, schludny, ubrany w idealnie dopasowany garnitur...

- Każdy może tak wyglądać - przerwała mi niecierpliwie i gwałtownie położyła rękę na odbitce artykułu.

- Podał się za policjanta, żeby porwać tę dziewczynę, tak? Dlaczego nie może podać się za agenta FBI, żeby odzyskać okup?

- Bo za bardzo by ryzykował. Musiałby odwiedzić wszystkie miasta i miasteczka stąd do Cincinnati, wszystkie posterunki policyjne, gdzie pewnie wiszą listy gończe z jego podobizną. To tak, jakby napraszał się o kajdanki.

- Postaw się w jego sytuacji - odrzekła. - Twój brat startuje samolotem ze wszystkimi pieniędzmi i znika bez śladu. Myślisz, że rozbił się po drodze, ale czekasz i czekasz, a tu nic, żadnej wiadomości. Nie pojechałbyś go szukać?

Myślałem, patrząc na zdjęcia.

- Zrezygnowałbyś? Ot tak, po prostu? Nie, przynajmniej byś spróbował.

- Jest szczuplejszy - mruknąłem.

- Pomyśl tylko, co zrobiliśmy, żeby te pieniądze zatrzymać. W porównaniu z nami twój agent Baxter nie zrobił jeszcze nic.

- Nie, Saro, chyba nie masz racji. Wyssałaś to z palca.

- Hank, czy ci z FBI próbowaliby szukać samolotu w ten sposób? Czy wysyłaliby agenta, każąc mu jeździć po całym stanie? Czy nie ogłosiliby tego w gazetach, w radiu albo w telewizji?

- Nie chcą przecieków do prasy.

- W takim razie na pewno obdzwoniliby wszystkie posterunki. Agentu by nie wysyłali.

- Porywacz też mógł to zrobić. Tak by było nawet bezpieczniej. Uniknąłby bezpośredniego kontaktu z policją i nie narażałby się na ryzyko. .

Pokręciła głową.

- Nie, on chce być na miejscu. Chce panować nad sytuacją, chce omamić ludzi swoim ubiorem, stylem działania. Z tobą mu się udało. Przez telefon nie dałby rady.

Wróciłem myślą do rozmowy z Baxterem, szukając słów czy gestów, które by go zdradzały. Zanim uściśnął mi dłoń, wytarł rękę w spodnie. Czyżby była spocona? Poza tym, dwa razy podkreślił, że wiadomość jest ściśle poufna, że ci z prasy nie powinni nic zwęsząć...

- Sam nie wiem...

- Musisz wyteńczyć wyobraźnię, Hank. Dodaj mu brodę, trochę włosów...

Westchnąłem.

- Saro, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Zaczęła grzebać widelcem w ryżu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała podejrzliwie.

- Dobrze. Załóżmy, że to jeden z porywaczy. Co wtedy? Czy ten fakt wpłynąłby na moje jutrzejsze poczynania?

Odkroiła kawałek kurczaka i włożyła go sobie do ust. Przeżuwała mięso z wahaniem, robiąc krótkie przerwy, jakby bała się, że jest zatrute.

- Oczywiście - odrzekła w końcu.

- A załóżmy, że to prawdziwy agent FBI.

- On nie jest agentem.

- To założenie czysto teoretyczne.

Znieruchomiała z ręką nad talerzem. Tylko czekała, żeby mi zaprzeczyć.

- No dobrze, powiedzmy.

- Co wtedy?

- Zaprowadziłbyś go do samolotu.

- Skoro tak, musiałbym pójść tam dziś w nocy i podrzucić pieniądze.

Brzęknęła widelcem o talerz.

- Jak to? - spytała.

- Wiedzą, że w kabinie są pieniądze, prawda? Cztery miliony dolarów, ani centa mniej. Nic nie mogło wyparować.

Patrzyła na mnie, jakby myślała, że zaraz coś dodam.

- Nie, nie możesz zwrócić pieniędzy, Hank.

- Musimy je zwrócić, Saro. Będę jedynym podejrzanym. Jak tylko wyjedziemy z miasta, natychmiast się domyśla.

- Chcesz zrezygnować? Po tym wszystkim, co zrobiłeś?

- Poprawka: co zrobiliśmy - wtrąciłem.

Nie zwróciła na to uwagi.

- Nie musisz zwracać pieniędzy, Hank. Gdybyś zaprowadził ich do samolotu, byłbyś

poza wszelkimi podejrzeniami. Na śniegu nie ma żadnych śladów, jakby nikogo tam nie było. Znaleźliby pięćset tysięcy dolarów i doszliby do wniosku, że informator się mylił, że pilot ukrył resztę gdzie indziej.

Rozważałem to chwilę. Wywód był całkiem logiczny. Owszem, pewne ryzyko istniało, ale nie większe niż to związane z nocną wyprawą do sadu Andersa.

- No dobrze. Powiedzmy, że jeśli Baxter jest prawdziwym agentem, wezmę się w garść i zaprowadzę ich do samolotu.

- Tak jest.

- A co zrobimy, jeśli to nie agent, tylko porywacz?

- To z nimi nie pojedziesz.

- Dlaczego?

- Bo to morderca. Zabił mnóstwo ludzi, tych ochroniarzy, szofera, pokojówkę, no i dziewczynę. Powiesz, że dziecko zachorowało i że musisz je zawieźć do lekarza.

- Ja też jestem mordercą, Saro. To jeszcze nic nie znaczy.

- Gdy zobaczy samolot, natychmiast was zastrzeli, ciebie i Jenkinsa. Żeby pozbyć się świadków, rozumiesz? Dlatego chce, żebyście z nim pojechali.

- Jeśli odmówię, Carl pojedzie z nim sam.

- I?

- I Baxter go zabije. Jeśli znajdą samolot.

Zamyśliła się.

- To nie byłoby takie złe - szepnęła trochę zawstydzona. - Jakakolwiek przemoc, a zwłaszcza morderstwo, zakamuflowałaby fakt, że mamy coś wspólnego z samolotem. Wykluczyłyby nas z kręgu podejrzanych.

- Ale gdybyśmy byli pewni, że to Vernon Bokovsky, wystawilibyśmy Carla na odstrzał. To tak, jakbyśmy zabili go własnymi rękami.

- Carl i ten człowiek to jedyni ludzie, którzy nam zagrażają. Tylko oni mogą sobie cokolwiek skojarzyć.

- I nie czułabyś się podle, gdyby ten facet zabił Carla?

- Przecież nie proszę cię, żebyś go zamordował. Proszę cię tylko, żebyś z nimi nie jechał.

- Ale gdybyśmy wiedzieli...

- Hank, co ty właściwie chcesz zrobić? Chcesz ostrzec Jenkinsa?

- Uważasz, że nie powinienem?

- I co mu powiesz? Jak uzasadnisz swoje podejrzenia?

Uciekłem wzrokiem w bok, potem spojrzałem na talerz. Miała rację: nie mogłem go ostrzec, jednocześnie ukrywając fakt, że wiem, co jest - a raczej co było - na pokładzie samolotu.

- Zresztą, może go wcale nie zabije - dodała.

- Przecież tylko teoretyzujemy. Równie dobrze może zabrać pieniądze i zniknąć.

Nie wierzyłem w to i nie sądzę, żeby ona w to wierzyła. Grzebaliśmy w talerzach, niewiele jedząc.

- Nie masz wyboru, Hank.

Westchnąłem. Znowu to samo, znowu wmawiamy sobie, że nie mamy wyboru.

- Pat - mruknąłem.

- Jaki pat?

- Zwyczajny. Nie dowiemy się, czy to on, dopóki nie będzie po wszystkim.

Zamyślona spojrzała na Amandę. Dziecko miało sztywno uniesione ramiona: jednym celowało we mnie,

drugim w Sarę. Jakby próbowało chwycić nas za rękę. Nagle zapragnąłem go dotknąć, ale nie dotknąłem. Wiedziałem, że jeśli to zrobię, natychmiast zacznę płakać.

- Moglibyśmy zadzwonić do Detroit, do FBI - zasugerowała. - I spytać o agenta Baxtera.

- Za późno. O tej porze nikogo tam nie ma.

- Możemy zadzwonić rano.

- Umówiłem się z nimi na dziewiątą. Przed dziewiątą nikogo tam nie zastaniesz.

- No to się trochę spóźnisz. Pójdiesz do biura, ja zadzwonię do Detroit, a ty zadzwonisz do mnie.

- A jeśli agent Baxter nie istnieje?

- To nie pojedziesz. Powiesz Carlowi, że przed chwilą telefonowałam, że dziecko zachorowało i musisz wracać do domu.

- A jeśli Baxter jest prawdziwym agentem?

- To pojedziesz i zaprowadzisz ich do samolotu. Nachmurzyłem czoło.

- Tak czy inaczej ryzykujemy.

- Ale przynajmniej coś się zacznie dziać. Koniec z czekaniem, wszystko się wyjaśni.

Amanda wydała krótki sondujący okrzyk. Sara dotknęła jej ręki. Wbiłem wzrok w talerz z kurczakiem, zimnym i nie dojedzonym.

- Niedługo wyjedziemy, Hank, zobaczysz - szepnęła, jakby pocieszała dziecko, nie mnie. - Wyjedziemy i wszystko będzie dobrze. Zabierzemy pieniądze, zmienimy nazwisko,

znikniemy i wszystko dobrze się skończy...

Kilka minut po północy obudziła mnie Amanda. Nocami też miewała ataki płaczu, lecz przedtem zawsze artykułowała całą serię charakterystycznych odgłosów przypominających gulgotanie indyka przerywane czkawką. Właśnie dlatego otworzyłem oczy, bo zagulgotała: zaczęła cicho, cichuteńko - przypominało to warkot silnika mruczącego na jałowym biegu - lecz stopniowo podkręcała regulator, sposobiąc płuca do wydania przenikliwego wrzasku, od którego drżały szyby w oknach.

Wyśliznąłem się spod koca, na bosaka podbiegłem do kołyski i wziąłem dziecko na rękę. Sara leżała na brzuchu i gdy została sama, chwyciła moja poduszkę i przytuliła ją do piersi.

Kołysałem Amandę w ramionach i szeptałem:

- Ciiiicho, ciiiicho...

Nie tak łatwo dała się uspokoić, o nie. Swój opór zapowiedziała skrzekliwym piskiem, długim i stłumionym, jakby się jej odbiło, więc żeby nie obudziła Sary, czym prędzej wyniosłem małą do gościnnego pokoju po drugiej stronie korytarza. Usiadłem na łóżku i otuliłem ją pledem.

Polubiłem te nocne czuwania z Amanda. Wtedy i tylko wtedy dochodziło między nami do kontaktu fizycznego, bo za dnia nie pozwalała się dotknąć. Tymczasem nocą mogłem trzymać ją w ramionach, gładzić po twarzy, lekko całować w czoło. Tak, tylko nocą potrafiłem ją uspokoić, obłaskawić i uspić.

Bolało mnie, że tak często płacze; ciążyło to na mnie jak poczucie winy. Ilekroć ze mną zostawała, natychmiast zaczynała łkać. Pediatra nie wiedział, kiedy dziecko z tego wyrośnie, ale twierdził, że to na pewno przejściowe, że to tylko krótki okres wzmożonej wrażliwości na nowe środowisko. Wszystko rozumiałem, wierzyłem, że ma rację, lecz mimo nieustannych wysiłków z mojej strony płacz Amandy nie pozostawał bez wpływu na uczucia, jakimi ją darzyłem. Były okrutnie ambiwalentne, tak że kiedy zostawaliśmy sami, współczucie i ojcowska troska mieszały się z lekką odrazą, jakby jej płacz stanowił zapowiedź skazy charakteru, wrodzoną drażliwość i nerwowość, jakby mnie swym łkaniem osądzała, odrzucając moją miłość. Tymczasem nocą, nie wiadomo z jakiego powodu, było zupełnie inaczej. Wszystkie przeszkody znikwały. Amanda akceptowała mnie, a ja odczuwałem gwałtowny przyływ miłości i czułości.

Przytknąłem twarz do jej twarzyczki, by chłonać delikatny, mydlany zapach jej ciała. Tuliłem ją do piersi, a ona badała rączkami mój nos, oczy i uszy.

- Ciii... - szepnąłem znowu i wypowiedziałem jej imię.

W pokoju było zimno, a w kątach czaił się mrok. Drzwi zostawiłem otwarte, tak że widziałem przez nie korytarz. Jego nagie ściany świeciły w ciemności.

Amanda zaczynała się uspokajać. Wyciągała szyję, kiwała główką, w rytm oddechu zwierala i rozwierała maleńkie piąstki, napierała nóżkami na moją pierś.

Dwa razy śniłem, że nagle zaczęła mówić. W obu snach siedziała w podróźnej kołysce przy stole w kuchni i jadła, oczywiście widelcem i nożem. Z oczami utkwionymi przed siebie, jakby mówiła do kamery telewizyjnej, gulgotała i paplała bez sensu, zadziwiająco głębokim i gardłowym głosem. Recytowała listy różnych rzeczy: kolorów - niebieski, żółty, pomarańczowy, szkarłatny, zielony, czarny; marek samochodowych - pontiac, mercedes, chevrolet, jaguar, toyota, volkswagen; drzew - jawor, śliwa, wierzba, dąb, klon, mirt. Milczeliśmy z Sara i oszołomieni słuchaliśmy, a ona siedziała uśmiechnięta i dosłownie tryskała fontanną słów. Nagle zaczęła wymieniać nazwiska: Pederson, Sonny, Nancy, Lou, Jakub... Gdy doszła do Jakuba, wstałem i trzasnąłem ją w twarz. Oba sny skończyły się w ten właśnie sposób i za każdym razem budziłem się z przekonaniem, że gdybym jej nie uderzył, recytowałaby te nazwiska dalej, jedno po drugim, że lista nie miałaby końca.

Zamilkła w moich ramionach i wtedy usłyszałem głos domu. Śnieg przestał padać, nadleciał wiatr. Ściany potrzaskiwały, jak burty statku. Gdy zawiewało mocniej, brzęczały szyby w oknach.

Zadrzałem i otuliłem się pledem, układając małą w jego fałdach.

Mogłem ją zanieść do sypialni, bo niebawem by zasnęła, lecz z jakiegoś powodu nie chciałem tego robić. Pragnąłem zostać tam jeszcze chwilę, jeszcze chwilę spokojnie potrzymać ją w ramionach.

Siedzę na łóżku Jakuba. Ta myśl przyszła niespodziewanie, zupełnie nieproszona, a tuż za nią - obraz pijanego brata: leżał dokładnie tam, gdzie siedziałem, a ja pochylałem się nad nim i całowałem go w czoło na dobranoc. Odruchowo przytknąłem pled do nosa z nadzieją, że poczuję zapach jego ciała, ale oczywiście nic nie poczułem.

Wyszeptał wtedy dwa słowa: „Judaszowy pocałunek”.

Ulicą przejechał pług śnieżny. Zadudniło, zahurkotało. Zerknąłem na Amandę. Zwiotczała w moich ramionach, jakby głęboko zasnęła, lecz oczy miała wciąż otwarte. Świeciły w ciemności niczym szklane kuleczki.

Pomyślałem o nadchodzącym ranku i ścisnęło mnie w brzuchu. Nie mogłem wyzbyć się uczucia, że cokolwiek zdecyduję, popełnię błąd.

Nagle doszedłem do wniosku, że najlepszym, choć również najbezwzględniejszym rozwiązaniem byłoby wziąć pieniądze i po prostu uciec. Tak, porzucić Sarę i Amandę i pójść

samotnie w noc. Zacząć nowe życie, zmienić nazwisko, stworzyć nową tożsamość.

Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że kupuję samochód, oczywiście sportowy, zagraniczny, bajecznie kolorowy. Nie martwię się ani o pieniądze, ani o pożyczki, ani o spłaty kredytów, tylko wyjmuję z kieszeni zwitek studolarowych banknotów, wciskam go do ręki zdumionego sprzedawcy i odjeżdżam nabytym cackiem. Żyję na walizkach, kupuję nowe ubrania, gdy stare się zabrudzą, mieszkam w hotelach - tych najdroższych, z saunami, salami do ćwiczeń gimnastycznych i wielkimi łózkami - zwiedzam cały kraj wielkim zygzakiem, bo gdy znudzi mnie jedno miejsce, natychmiast wyjeżdżam, kierując się na zachód, na południe, na wschód albo na północ: nieważne w jakim kierunku, byleby tylko zobaczyć coś nowego, byleby tylko uciec jak najdalej od domu, od Ohio, gdzie mieszkałem przez całe życie.

Dlaczego nie? Skoro mogłem zabić własnego brata, jestem zdolny do wszystkiego - jestem uosobieniem zła.

Na strychu zajączał wiatr. Z oczu Amandy biła miękka poświata.

Tak, mógłbym ją zabić. Mógłbym owinać ją pledem i udusić. Albo chwycić małą za nóżki i grzmotnąć nią o ścianę. Albo zmiażdżyć jej głowę rękami, czemu nie? Sarę też mógłbym zabić, a jakże. Wystarczyło wśliznąć się do sypialni i udusić ją poduszką. Albo zbić ją pięściami po twarzy, zatłuc na śmierć. Prosta sprawa.

Obrazy napływały szybko, jeden po drugim, i zdałem sobie sprawę, że tak, mógłbym to zrobić. Skoro byłem w stanie to sobie wyobrazić i zaplanować, na pewno potrafiłbym zmienić myśli w czyn: myśli sterowałyby umysłem, umysł rękami. I już, i po krzyku. Tak, byłem zdolny do wszystkiego.

W korytarzu coś zaszeleściło. Podniosłem wzrok i w drzwiach pokoju gościnnego zobaczyłem Sarę. Miała na sobie szlafrok. Stała w progu i wiązała na pasku luźny węzeł. Włosy upięła w kok wsuwką.

- Hank?

Patrzyłem na nią bez słowa. Powoli, niczym we śnie, krwawe obrazy ulatywały, zostawiając za sobą płytkie bajorka poczucia winy, szkliste jak kałuże po deszczu.

Oczywiście, że nie. Ta myśl przeszła mi umysł, dotarła do jego najgłębszych zakamarków i wróciła zniekształconym echem. Przecież tak bardzo je kocham.

Pochyliłem głowę i musnąłem wargami rzesy Amandy.

- Ma kłopoty z zaśnięciem - szepnąłem.

Zatrzeszczały deski podłogi. Sara weszła do pokoju i usiadła koło mnie. Opatuliłem ją pledem i objąłem w pasie. Owinięła się nogami wokół moich nóg, położyła mi głowę na ramieniu i spojrzała na córkę.

- Musisz opowiedzieć jej bajkę.

- Nie znam żadnych bajek.

- To jakąś wymyśl.

Zastanawiałem się chwilę, ale w głowie miałem zupełną pustkę.

- Pomóż mi - szepnąłem.

- Dawno, dawno temu byli sobie król i królowa. - Zawiesiła głos czekając, aż przejmę pałeczkę.

- Dawno temu - powtórzyłem - byli sobie król i królowa...

- Piękna królowa.

- Tak, piękna królowa i bardzo mądry król. Mieszkali w zamku nad rzeką pośród pól...

Urwałem, nie wiedząc, co ma być dalej.

- Byli bogaci?

- Nie. Ani bogaci, ani biedni, tacy jak wszyscy królowie i wszystkie królowe.

- Król toczył bitwy?

- Tylko wtedy, gdy musiał.

- Opowiedz o jednej z jego bitew.

Myślałem prawie minutę. I nagle, gdy tak pól siedziałem w ciemności, wpadł mi do głowy znakomity pomysł.

- Pewnego dnia - zacząłem - król wybrał się na spacer po lesie. Spacerował i spacerował, aż tu raptem patrzy: w krzakach leży drewniana skrzynia. Początkowo myślał, że to trumna. Bo skrzynia rzeczywiście wyglądała jak trumna z zabitym wiekiem, tyle że nie leżała pod ziemią, tylko na trawie. I była dużo cięższa od trumny. Król próbował ją podnieść i rozboleły go plecy.

- Co było w środku?

Zignorowałem pytanie.

- Król wrócił do domu i opowiedział pięknej królowej o swoim znalezisku.

„Królowo...”

- „Ukochana” - odpowiedziała Sara.

- Ukochana?

- Tak się w bajkach do siebie zwracają: Ukochana.

- „Ukochana, powiada król, znalazłem w lesie ciężką skrzynię. Pomóż mi przynieść ją do zamku”. Królowa mu pomogła. A gdy przydźwigali skrzynię do zamku, król wezwał dwóch księży, żeby pomogli mu podważyć wieko.

- A w skrzyni siedziała czarownica - wtrąciła Sara.

- Nie. Skrzynia była pełna złota. Pełna błyszczących sztab złota.

- Złota? - spytała.

Zwlekąłem z odpowiedzią, dochodząc do wniosku, że pomysł wcale nie jest taki dobry.

- Dużo było tego złota?

- Bardzo dużo - odrzekłem. - Więcej, niżby mogli sobie wyobrazić.

- Ucieszyli się?

- Raczej się wystraszyli, bo zdali sobie sprawę, że władcy i władczynie sąsiednich królestw będą im zazdrościć, że mogą zwołać potężną armię, zaatakować ich i odebrać skarb. Zdecydowali, że zanim powiedzą komukolwiek o złocie, otoczą zamek nową fosą, w przeciwnym razie mogliby stracić nie tylko skarb, ale i całe królestwo. Dlatego król zabronił książętom opowiadać o tym, co widzieli, a w nagrodę za milczenie obiecał im kilka drogocennych sztab.

Zamilkłem spodziewając się, że wreszcie zrozumiała. Ale nie: leżała nieruchomo, czekając na dalszy ciąg bajki.

- Mijały dni. Król zaczął już kopać nową fosę, gdy nagle doszły go słuchy, że dworzanie plotkują o złocie. Królowa również te plotki słyszała i przysłała z nim pomówić. „Ukochany, powiada, trzeba coś zrobić z tymi książętami...”

- Och, Hank... - jęknęła Sara.

- Król się z nią zgodził i postanowili ich zabić. Ale ponieważ nie mogli ich zgładzić bez wzbudzania podejrzeń, zorganizowali rycerski turniej i sfingowali wypadek, w którym obaj książęta zginęli: jeden przebity włócznią, drugi stratowany przez rumaka.

- Czy jeden z nich był królewskim bratem?

Chciałem zaprzeczyć, ale nie zaprzeczyłem,

- Tak.

- A potem? Pieniądze były już bezpieczne?

- Złoto, Saro, złoto.

- Czy złoto było już bezpieczne? Czy zbudowali fosę i wystawili potężną armię?

- Nie. Kiedy król i królowa zamordowali jedynych świadków, nadciągnęli sąsiedzi ze zbrojnymi wojskami i zaczęli oblegać ich zamek pośród pól.

Zamilkłem. Zerknąłem na Amandę i spostrzegłem, że się we mnie wpatruje, że uważnie mnie słucha. W pokoju było ciemno i zimno, lecz pod pledem panowało miłe ciepłko.

Poczułem, że ręka Sary sunie w stronę Amandy. Czubkami palców musnęła jej czoło i

spytała:

- Jak się ta bajka kończy?

Jej głowa ciążyła mi na ramieniu jak kamień.

- Król oddalił się, żeby pomyśleć w samotności. Kiedy wrócił, zastał królową na murach obronnych. Był już zmęczony swoją tajemnicą. Twarz miał bladą, wargi mu się trzęsły. Pocałował królową w rękę i rzekł: „Ukochana, myślę, że niepotrzebnie tę skrzynię otwieraliśmy. Chyba powinniśmy byli zostawić ją tam, gdzie leżała”.

- Na to królowa całuje męża - kontynuowała Sara, cmokając mnie w czoło - i takimi odzywa się słowy: „Za późno, o ukochany. Spójrz, wojsko jest gotowe do bitwy”. A za murami, jak okiem sięgnąć, wszędzie rycerskie obozy, wszędzie płonące ogniska.

- „Za późno? A kiedyż była po temu pora?”

- „Na samym początku, ukochany mężu. Zanim otworzyliśmy skrzynię”.

- „Wtedy o tym nie myśleliśmy, bo któż wiedział, co jest w środku”. Przekrzywiła głowę, chcąc zobaczyć moją twarz.

- Naprawdę byś zrezygnował? Gdyby istniało jakieś wyjście, zrezygnowałbyś?

Długo milczałem, lecz nie odpowiedziałem na pytanie. Zamiast tego szepnąłem:

- Powinienem być od razu oddać je komu trzeba. Nie skomentowała tego, tylko przysunęła się bliżej. Dziecko zasnęło wtulone w moją pierś.

- Za późno, Hank. Teraz jest już za późno...

Rozdział 10

Jeszcze przed świtem następnego dnia śnieg zaczął topnieć. Znikał w taki sam sposób, w jaki się pojawił: w dzikim, gorączkowym pośpiechu, jakby całodzienna śnieżycą była żenującą pomyłką natury, nieodżałowanym błędem, który chciała czym prędzej wymazać, by o nim jak najszybciej zapomnieć. Temperatura skoczyła prawie do dziesięciu stopni i świt zginął w tumanach gęstej mgły. Posykując, pojękując i pokapując, śnieg zmieniał się szybko w papkowatą breję, a breja - jeszcze szybciej - w wodę, tak że o ósmej, gdy wjeżdżałem do miasta, przeszkadzał mi nie tyle lód, co błoto. Carl był w biurze sam. Czytał gazetę.

- Pospieszyles się, Hank - skonstatował, ujrawszy mnie w progu. - Przed dziewiątą nie wyjedziemy.

W pustym pomieszczeniu jego głos brzmiał donośnie i wesoło. Ilekroć się spotykaliśmy, witał mnie z absurdalną radością, jakby moje towarzystwo zabijało dręczącą go samotność. Nalał mi filiżankę kawy, poczęstował pączkiem i usiedliśmy naprzeciwko siebie za wielkim drewnianym biurkiem.

- Chciałem przedtem wpaść do magazynu, ale zapomniałem klucza.

Uśmiechnął się pod pocukrzonym wąsem.

- Dali ci klucz?

- Moja twarz budzi zaufanie - odrzekłem. Oczywiście żartowałem, ale potraktował moje słowa całkiem serio i uważnie mi się przyjrzał.

- Tak - odrzekł powoli - chyba tak. - Otarł usta z cukru i spojrzał na magazyn Raikleya po drugiej stronie ulicy.

- Muszę zaczekać na Torna - łąłem. - Przyjdzie koło dziewiątej, więc mogę się kilka minut spóźnić. Zatroškany nie odrywał wzroku od okna.

- Nie szkodzi, poczekamy.

Jezdnie i chodniki były mokre i grzaskie. Zaczęło mżyć.

- Myślisz, że ten samolot gdzieś tam jest? - spytał. Przechyliłem głowę, udając głębokie zamyślenie.

- Wątpię. Słyszelibyśmy jakiś wybuch, huk albo trzask.

Powoli kiwnął głową.

- Chyba tak - mruknął.

- Szczerze mówiąc, żałuję, że w ogóle o tym meldowaliśmy. To pewnie fałszywy alarm i facet tylko traci czas.

- Nie przypuszczam, żeby miał coś przeciwko temu. Zjeździł cały stan, musi być piekielnie zdesperowany. Jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu.

- Pokazał ci odznakę? - spytałem, przerywając ciszę.

- Odznakę?

- Zawsze ciekawiło mnie, czy wyglądają jak na filmach.

- To znaczy jak?

- No wiesz, są takie srebrzyste, błyszczące, z wielkimi literami pośrodku: F-B-I.

- Zgadza się. Właśnie tak wyglądają.

- Pokazał ci swoją?

Zmarszczył czoło i pokręcił głową.

- Nie, ale sporo ich widywałem. - Puścił do mnie oko. - Poproś go, na pewno ci pokaże.

- Nie, głupio bym się czuł. Tak tylko pytam... Popijaliśmy kawę. Carl jadł pączka i przeglądał gazetę, ja patrzyłem w okno. Ulicą przejechała półciężarówka, manewrując ostrożnie w błotnistej mazi. Na skrzyni siedział pies, skulony i mokry, i natychmiast pomyślałem o Mary Beth, wyobraziłem sobie, jak zziębnięty i nieszczęśliwy miota się na krótkim sznurku przed domem.

I wtedy stała się dziwna rzecz. Siedziałem w dusznym, przegrzanym gabinecie Jenkinsa z filiżanką kawy w ręku, zerkałem na nie dojeżdżonego pączka leżącego na blacie i nagle przyszedł mi do głowy pewien plan: wiedziałem już, jak z tego wybrnąć.

Odwrociłem się i ponad głową Carla spojrzałem na szafkę z bronią stojącą za biurkiem.

- Mógłbyś mi pożyczyć pistolet? - spytałem.

Popatrzył na mnie znad gazety i szybko zamrugął. Znowu miał pocukrzone wąsy, na skutek czego wyglądał dziecinnie i niepoważnie.

- Pistolet?

- Może być rewolwer.

Sprawił wrażenie szczerze zaskoczonego.

- Po co ci rewolwer, Hank?

- Chodzi o Mary Beth. Bardzo się męczy.

- Chcesz go zastrzelić?

- Dobija go nieobecność Jakuba, nie może się przystosować. Mamy dziecko, a on robi się coraz złośliwszy. Nie mogę ryzykować... - Zawiesiłem głos i zełgałem: - Wczoraj ugryzł Sarę.

- Mocno?

- Na tyle mocno, że oboje się przestraszyliśmy. Sara każe mi trzymać go w garażu.

- Zaprowadź biedaka do weterynarza. Pete Miller.

Udawałem, że się nad tym zastanawiam. Po chwili ciężko westchnąłem i odrzekłem:

- Nie, muszę to zrobić sam. Jakub by tego chciał. Widzisz, Mary Beth był jego najlepszym przyjacielem i skoro trzeba położyć kres jego cierpieniu, innego wyjścia nie mam.

- Strzelałeś kiedyś do psa?

- Nie. W ogóle do niczego nie strzelałem.

- To straszne uczucie, Hank. Jedną z najpaskudniejszych rzeczy, jaka może ci się przydarzyć. Na twoim miejscu zaprowadziłbym go do Millera.

- Nie, to by było nie w porządku.

Nachmurzył czoło. Myślał.

- Tylko na dzisiaj, Carl. Zrobię to po południu i zwrócę ci rewolwer, zanim wyjdiesz do domu.

- Umiesz obchodzić się z bronią?

- Nie, ale pewnie trochę byś mnie poduczył.

- Wywieziesz go za miasto i zastrzelisz?

- Pomyślałem sobie, że zrobię to na naszej starej farmie. I tam go pochowam. Jakub byłby zadowolony.

Rozważał to z poważną twarzą. Wreszcie rzekł:

- Na jeden dzień mógłbym ci chyba któryś pożyczyć...

- Bardzo byś mi pomógł, Carl.

Odwrócił się i spojrzał na przeszkloną szafkę.

- Rewolwer, mówisz?

Wstałem, żeby lepiej widzieć.

- Wszystko jedno. Może ten? - Wskazałem czarny rewolwer wiszący na kołku w prawym dolnym rogu szafki. Był podobny do broni tkwiącej w kaburze Carla.

Jenkins sięgnął do kieszeni po pęk kluczy, otworzył drzwiczki i zdjął rewolwer z kołka. Potem usiadł, wysunął szufladę biurka, wyjął z niej małe pudełko z nabojami, trzasnął bębenkiem i zademonstrował, jak nabija się broń.

- Musisz tylko wycelować i pociągnąć za spust - tłumaczył. - Nie szarp, zwolnij spust powoli i spokojnie. - Wręczył mi rewolwer. - Bębenek obraca się automatycznie. Nie ma tu bezpiecznika ani nic takiego.

Ustawił na blacie dwa naboje, jeden obok drugiego.

- To mój stary gnat - dodał.

Zważyłem broń w rękę. Była zimna, pokryta cieniutką warstewką smaru, masywna i zwarta, niczym żelazna pięść.

- Teraznosisz taki sam? - spytałem.

- Identyczny, tyle że nowszy. Ten jest pewnie starszy od ciebie. Dostałem go, kiedy zacząłem pracować.

Zamilkliśmy. Położyłem rewolwer na skraju biurka, obok naboju. Naboje były mniejsze, niż oczekiwałem. Miały srebrzyste koszulki, stalowoszare stożkowate wierzchołki i zupełnie nie pasowały do rewolweru. Rewolwer wyglądał groźnie, nawet złowieszco, tymczasem naboje sprawiały wrażenie niewinnych zabaweczek. Wziąłem jeden z nich i dokładnie obejrzałem. Był tłustawy, tak samo jak rewolwer.

- Zanim to zrobię, będę musiał oddać kilka strzałów próbnych - powiedziałem.

Przeszył mnie wzrokiem.

- Mógłbyś dać mi jeszcze kilka? Ponownie otworzył szufladę i wyjął pudełko z amunicją.

- Ile? - spytał.

- Ile wchodzi do bębena?

- Sześć.

- Dasz mi jeszcze cztery?

Odliczył cztery naboje i poturlał je ku mnie po blacie. Zgarnąłem je ręką.

Spojrzałem w okno i po drugiej stronie ulicy zobaczyłem Toma Butlera w obcisłym, jasnopomarańczowym poncho. Kuląc się w deszczu, wyładowywał coś z samochodu.

- Jest Tom. - Wstałem i zerknąłem na zegarek. Za dziesięć dziewiąta. - Będę gotowy pięć po. Zaczekacie? Wzruszył ramionami.

- Nie spiesz się. Mamy czas.

Ruszyłem do drzwi, ale mnie powstrzymał.

- Chwileczkę, Hank. - Wyciągnął rękę. - Daj no tę spluwę.

Wziął papierową torbę i wysypał z niej paczki. Zostały tylko trzy: dwa obsypane cukrem pudrem, jeden oblany czekoladą. Ten z czekoladą potoczył się po biurku, ułamek sekundy balansował na krawędzi blatu, po czym z cichym piaskiem pacnął na podłogę u mych stóp. Podniosłem go, a kiedy się wyprostowałem, Carl podał mi torbę z rewolwerem.

- Broń nie może zamoknąć - mruknął.

Torba była różowo-biała, ozdobiona napisem ułożonym z niebieskich liter. Napis głosił, że są to PĄCZKI OD LIZZIE. W miejscu, gdzie tkwiła rękojeść rewolweru, papier się

trochę wybrzuszał i litery biegły na ukos.

- Będiesz uważał, Hank, prawda? - spytał Jenkins. - Miałbym wyrzuty sumienia, gdybyś postrzelił się z gnata, którego ci osobiście pożyczyłem.

- Oczywiście, Carl, będę ostrożny. Obiecuję!

Schodząc ze schodów ratusza, zauważyłem Baxtera wysiadającego z samochodu. Przystanąłem na chodniku, czekając, aż do mnie podejdzie.

Nie zważając na deszcz, szedł prosto, z wysoko uniesioną głową. Na chodniku chlupotała śniegowa breja, a on bez wahania parł naprzód, mimo że był w tych samych butach co poprzedniego dnia. Patrzyłem, jak idzie, i badałem wzrokiem jego twarz, doszukując się w niej rysów Vernona Bokovsky'ego. Wąsko rozstawione oczy, mały, rozplaszczony nos, niskie kwadratowe czoło - próbowałem doprawić mu brodę, wydłużyć włosy, nadać policzkom mięsistości, lecz miałem na to ledwie sekundę. Stał przede mną i spojrzał mi w oczy wzrokiem tak przenikliwym, że aż denerwującym. Zdeprimowany, czując się niezręcznie - pomyślałem, że zacznie coś podejrzewać - szybko odwróciłem głowę.

- Dzień dobry, panie Mitchell.

Nagle ogarnęła mnie panika. Był ubrany dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia: ciemnoszary garnitur, palto, lśniąca buty. Głowę miał odkrytą, nie nosił rękawiczek i biła z niego ta sama pewność siebie, złowieszcza i onieśmielająca. Sterczałem obok niego w starych dżinsach, we flanelowej koszuli i przydużej kurtce, czując się jak strach na wróble, jak wiejski parobek w drodze na pole.

Na szczęście panika szybko minęła. Spojrzałem na Baxtera, na jego mokre od deszczu włosy, na zaróżowioną od chłodu twarz i uświadomiłem sobie, że jego dziarski chód, sposób, w jaki ścisnął na powitanie dłoń, że ta cała wyćwiczona elegancja i wyniosłość to nic innego jak tylko sztuczna poza. Było mu zimno, niewygodnie i wiedziałem, że gdy wejdziemy do lasu, zacznie przeklinać swój los.

- Szeryf jest u siebie - powiedziałem. - Zanim pojedziemy, muszę na chwilę wpaść do pracy. - Wskazałem magazyn po drugiej stronie ulicy.

W progu stał Tom Butler z wielkim kartonowym pudłem pod pachą. Wolną ręką macał po kieszeniach w poszukiwaniu klucza. Poncho, mokre i wygniecione, spowijało go niczym całun i ograniczało ruchy.

Wszedłem na jezdnię.

- Panie Mitchell! - zawołał za mną Baxter. - Co pan tam ma w tej torbie?

Stał na chodniku z leciutkim uśmiechem na twarzy.

Zerknąłem na torbę. Przyciskałem ją do piersi, chroniąc przed deszczem, mimo to

papier zdążył już trochę namoknąć i przywrzeć do rewolweru, uwypuklając jego charakterystyczny kształt.

- W torbie?

- Zabiłbym dla świeżego pączka.

Uśmiechnąłem się czując, że zalewa mnie fala obezwładniającej ulgi.

- Szeryf pana poczęstuje - odrzekłem. - To tylko torba. Pożyczyłem ją, żeby aparat nie zamókł.

Otaksował torbę spojrzeniem.

- Aparat?

- Fotograficzny. - Łgałem jak z nut, słowa nasuwały się same. - Pożyczyłem go szeryfowi. Już miałem ruszyć do magazynu, gdy nagle zaświtał mi pewien pomysł.

- Zrobić panu zdjęcie? - spytałem.

Baxter był już na schodach.

- Nie, dziękuję.

- Na pewno? To żaden problem. - Zacząłem otwierać torbę.

Pokręcił głową, pokonując następny stopień schodów.

- Szkoda filmu, panie Mitchell.

Wzruszyłem ramionami, szczelnie zawiązałem rewolwer i przycisnąłem torbę do piersi.

- Jak pan chce.

Idąc przez jezdnię, w zapaćkanej deszczem szybie samochodu parkującego przy krawężniku dostrzegłem swoje odbicie. Tuż nad nim majaczyło odbicie Baxtera zmierzającego ku wielkim drewnianym drzwiom ratusza. Zanim zdążyłem dobrze pomyśleć, krzyknąłem:

- Vernon!

Szyba spływała wodą, odbicie było niewyraźne, zamazane, mimo to spostrzegłem, że odwrócił głowę w moją stronę. Zagadkowy gest, gest niejasny i dwuznaczny; mogłem interpretować go, jak tylko chciałem.

- Vernon! - powtórzyłem, machając ręką do Toma, który właśnie zniknął za drzwiami magazynu.

Wbiegłem na chodnik. Tom się odwrócił, przystanął z kartonowym pudłem pod pachą i zaczekał na mnie.

- Vernon?- spytał. - Do mnie krzyczałeś? Otrzeptałem kurtkę, potupałem w gumową wycieraczkę i spojrzałem na niego skonsternowany.

- Jaki Vernon? Wołałem ciebie, nie Vernona.

Zerknąłem przez ramię. Na schodach ratusza nie było już nikogo.

W gabinecie panował półmrok, gdyż żaluzje były opuszczone, ale nie zapaliłem światła. Od razu podszedłem do biurka i wyjąłem rewolwer z torby. Oblepiały go okruchy pączków.

Ścienny zegar wskazywał minutę po dziewiątej.

Wytarłem rewolwer w spodnie. Potem go nabiłem.

Gdy wskazówka zegara przeskoczyła jedną kreskę, zadzwoniłem do Sary.

Numer był zajęty. Odłożyłem słuchawkę.

Spróbowałem wcisnąć rewolwer do prawej kieszeni marynarki, ale okazał się za duży: rękojeść wystawała, a na kurtce zrobiło się pokaźne wybrzuszenie.

Zdjąłem marynarkę, rozpiąłem koszulę, wetknąłem broń za pasek i sprawdziłem, czy nie wypadnie. Z rękojeścią zwróconą w prawą stronę tkwił dokładnie pośrodku brzucha, zimny i uwierający. Jego ciężar dziwnie mnie podniecał, dawał mi poczucie władzy. Uśmiechnąłem się na myśl, że wyglądam jak rewolwerowiec z westernu. Zapiąłem koszulę, lecz nie wetknąłem jej do spodni, żeby mieć łatwiejszy dostęp do broni. I nałożyłem kurtkę.

Trzy po dziewiątej.

Zadzwoniłem jeszcze raz. Sara odebrała po pierwszym sygnale.

- To on - szepnąłem.

- On?

Opowiedziałem jej szybko o odznace, o tym, że nie chciał, bym zrobił mu zdjęcie, i o tym, jak zareagował, gdy krzyknąłem na ulicy jego imię. Słuchała spokojnie, ani razu nie próbowała podważyć moich wniosków, niemniej gdy zacząłem mówić, opuściła mnie cała pewność siebie. Zdałem sobie sprawę, że te wszystkie zdarzenia można interpretować na dziesiątki sposobów, że każda interpretacja jest równie dobra, a może nawet lepsza niż założenie, że Baxter jest fałszywym agentem.

- Dzwoniłam do FBI.

- No i?

- Powiedzieli, że jest w terenie.

Zaniemówiłem.

- Pracuje u nich Baxter? Agent Baxter?

- Tak mówią.

- Pytałaś o Neala Baxtera?

- Tak, o agenta Neala Baxtera.

Milczałem ze słuchawką przyciśniętą do policzka. Byłem zaszokowany. Tego nie

przewidziałem.

- Co to, do licha, znaczy? - spytałem.

Wyobraziłem sobie, jak wzrusza ramionami.

- Może to tylko zbieg okoliczności.

Bardzo chciałem w to wierzyć, ale nie wierzyłem.

- Jest dużo Baxterów - dodała. - To popularne nazwisko.

Pistolet uciskał mnie w brzuch. Jakby nagle ożył, jakby chciał uciec zza paska.

Wepchnąłem go głębiej.

- Mógł wiedzieć, że Neal Baxter u nich pracuje - spekulowała. - Dlatego wybrał to nazwisko.

- Chcesz powiedzieć, że to Bokovsky?

- Pomyśl sam, Hank. Pomyśl o swoich spostrzeżeniach, o tej odznace i tak dalej.

- Nie mówiłem, że nie ma odznaki. Powiedziałem tylko, że nie pokazał jej Carlowi.

Milczała. W tle rozległ się śpiew pluszowego misia.

- No, powiedz coś.

- Co?

- Myślisz, że to on?

Zawahała się.

- Tak, Hank. Myślę, że to on.

Teraz z kolei ja zamilkłem.

- A ty? - spytała.

- Początkowo tak myślałem...

Stałem przy oknie, podniosłem żaluzje i wyjrzałem na ulicę. Cały świat otulała mgła. Cmentarna brama wyglądała w niej jak czarna sieć. Nagrobki były szare, zimne i rozmazane.

- I chyba dalej tak myślę - dodałem.

- Wracasz do domu?

- Nie. Jadę z nimi.

- Przecież powiedziałeś, że...

- Mam rewolwer. Pożyczyłem od Carla.

Zapadła cisza. Sara wstrzymała oddech. Wiedziałem, że gorączkowo myśli.

- Obronię go. Dopilnuję, żeby nic mu się nie stało.

- Komu?

- Carlowi. Jeżeli to Vernon, jeżeli wyciągnie broń, zastrzelę go.

- Nie możesz tego zrobić, Hank. To szaleństwo.

- Nie. Dokładnie to sobie przemyślałem. Mam rację. Właśnie tak powinienem postąpić.

- Hank, Vernon musi uciec, to dla nas bardzo ważne. W ten sposób nikt się nie dowie, ile pieniędzy było w samolocie.

- Saro, on go zabije.

- To nie nasza sprawa. Nie mamy z tym nic wspólnego.

- Co ty pleciesz? Jak to nie mamy z tym nic wspólnego? Przecież wiemy, co Vernon chce zrobić.

- To tylko domysły, Hank. Nie wiemy tego na pewno.

- Jeśli z nimi pojedę, dam radę go powstrzymać.

- Może tak, może nie. Rewolwer to nie to samo co strzelba. Łatwiej z niego chybić. A jeśli chybisz, on cię zabije.

- Nie chybię. Cały czas będę stał tuż za nim. Wtedy nie chybię.

- To morderca, Hank. Dobrze wie, co robi. Nie masz z nim szans.

Pluszowy miś śpiewał coraz ciszej, coraz bełkotliwiej.

Wymacałem rękojeść rewolweru. Nie chciałem Sary słuchać, chciałem z nimi pojechać, ale jej słowa zapadły we mnie niczym ziarenka zwątpienia. Zacząłem się wahać. Próbowałem odzyskać pewność siebie, wyobrażając sobie, jak wyciągam zza paska broń, jak przykucam w rozkroku niczym gliniarz z telewizyjnego serialu, jak mierzę w pierś Vernona i naciskam spust. Jednak zamiast rezonu naszły mnie jeszcze większe wątpliwości. Nagle uświadomiłem sobie, że scenariusz może być zupełnie inny: rewolwer zaplątuje się w poły koszuli, w najkrytyczniejszym momencie potykam się i upadam w śnieg, rewolwer nie wypala albo wypala, lecz chybiam, a wtedy Vernon odwraca się powoli i patrzy na mnie z drewnianym uśmiechem na twarzy. Zaszokowany zdałem sobie sprawę, że się go boję.

- Pomyśl o dziecku, Hank. Pomyśl o mnie.

Ot i dylemat. Miałem dwa wyjścia: mogłem z nimi jechać albo zostać. Wiedziałem, że pierwsze wyjście wymaga odwagi, że jest szlachetniejsze, niemniej znacznie ryzykowniejsze niż drugie. Jeśli w biurze szeryfa czekał na mnie Vernon Bokovsky, to na pewno spróbuje zabić i mnie, i Carla. Natomiast powrót do domu oznaczał zwykłą ucieczkę. Carl zostałby sam, sam stawiałby czoło losowi, a ja bym ocalał.

Długo rozważałem tę alternatywę. Sara milczała czekając, aż coś powiem. Lewą rękę trzymałem w kieszeni; były w niej samochodowe kluczyki, mały scyzoryk ojca i kilka monet. Wyjąłem jedną z nich, ćwierćdolarówkę wybitą z okazji dwóchsetlecia Stanów Zjed-

noczonych.

Jeśli wypadnie orzeł - jadę, pomyślałem.

Podrzuciłem monetę, złapałem ją w powietrzu i otworzyłem dłoń.

Orzeł.

- Hank? Jesteś tam? - spytała Sara.

Gapilem się na tę ćwierćdolarówkę i czułem, że w brzuchu rośnie mi zimna gula strachu. Uświadomiłem sobie, że cały czas modliłem się, żeby wypadła reszka, że pragnąłem tego z całego serca. Może rzucić jeszcze raz, pomyślałem, może do trzech razy sztuka? Bzdura. Rzucalbym dotąd, aż wyszłoby na moje - wiedziałem, że to tylko sztuczka, którą chciałem uspokoić sumienie, zakamuflować tchórzostwo i chęć uniknięcia odpowiedzialności.

- Tak, Saro - odrzekłem.

- Nie jesteś policjantem. Nie znasz się na broni. Odwróciłem monetę reszka do góry.

- Hank? Co się stało?

- Nic - szepnąłem. - Wracam do domu.

Zadzwoiłem do Carla i powiedziałem, że Sara wpadła w panikę, bo dziecko gwałtownie wymiotuje. Bardzo się przejął.

- Jest tu Linda, Hank. Kiedyś pracowała jako pielęgniarka. Jeśli potrzebujecie pomocy, chętnie z tobą pojedzie.

- Nie, Carl, dzięki. To bardzo miło z waszej strony, ale myślę, że to nic poważnego.

- Na pewno?

- Jasne. Na wszelki wypadek zawiozę ją do lekarza.

- No to jedź. Jakoś sobie poradzimy. Zresztą i tak nic nie widziałeś, prawda?

- Nic a nic.

- Mówisz, że słyszeliście ten samolot na południowym skraju parku? Koło farmy Pedersonów?

- Kawałek dalej.

- Dobra. Jak wrócimy, zadzwonię do ciebie i opowiem, jak nam poszło.

- Świetnie!

- I mam nadzieję, że z dzieckiem wszystko w porządku.

Już miał odłożyć słuchawkę, gdy nagle powiedziałem:

- Carl?

- No?

- Uważaj na siebie!

Roześmiał się.

- Dlaczego?

Chciałem go ostrzec, lecz nie wiedziałem jak, nie mogłem znaleźć odpowiednich słów.

- Pada - odrzekłem w końcu. - Zapowiadają mróz, będzie ślisko. Znowu się roześmiał, ale był wzruszony moją troską.

- Dobrze, Hank. Będę uważał.

Z okna widziałem jego półciężarówkę - stała przed kościołem - więc przez na wpół opuszczone żaluzje mogłem obserwować ich odjazd.

Wyszli niemal natychmiast, maszerując ramię w ramię, jak żołnierze. Carl miał na głowie charakterystyczny kapelusz z szerokim rondem i policyjną kurtkę. Mżyło coraz mocniej, właściwie lało i rynsztokami spływały potoki wody. Zrobiło się jeszcze wilgotniej, zimniej, powietrze było boleśnie ostre, co czułem nawet przez szybę.

Samochód Carla wyglądał jak zwykła półciężarówka, tyle że miał na dachu czerwono-białego „koguta”, policyjny radionadajnik pod deską rozdzielczą i dwunastostrzałową strzelbę na półeczce nad tylnym oknem. Był granatowy, ozdobiony wielkim białym napisem na drzwiach. Napis głosił: POLICJA ASHENVILLE.

Patrzyłem, jak Carl siada za kierownicą, jak nachyla się, żeby otworzyć drzwi od strony pasażera. Zawarczał silnik. Carl zapiął pas i włączył wycieraczki, które zaczęły jeździć po szybie, zgarniając deszcz. Zdjął kapelusz, szybko przygładził ręką włosy i znowu okrył głowę kapeluszem.

Wyglądałem ukradkiem przez okno zaciemnionego gabinetu, dopóki nie wjechali na jezdnię i nie skierowali się w stronę farmy Pedersonów, w stronę parku Andersa, gdzie w płytkiej niecce porośniętej skarłowaciałym sadem czekał na nich samolot uwolniony przez deszcz spod śnieżnego welonu.

Półciężarówka zniknęła na drugim końcu ulicy, błysnąwszy czerwonymi światłami stopu - jak na pożegnanie. Potem otuliła ją mgła i za szybą zostało tylko miasto: szare frontony domów, zimne, opustoszałe chodniki. I deszcz, który z szumem spadał z nieba, bulgotał w kałużach i zasnuwał wszystko gęstymi strugami wody.

Jechałem do domu.

Miasteczko było ciche i spokojne, jak cmentarz: kręte alejki, opustoszałe trawniki z kopcami ziemi przypominającymi mogiły, domy niczym potężne nagrobki albo krypty. Dzieci uciekły przed deszczem. W niektórych oknach błyszczały punkciki świateł, zza storzący się poblask z telewizyjnych ekranów, niebieskawy i migotliwy. Mijałem domy

sąsiadów i wyobrażałem sobie, co się w nich dzieje: dzieci oglądają poranne kreskówki, na stołach walają się nie dokończone układanki albo pionki do gier planszowych, rodzice w szlafrokach popijają kawę z kubków, nastolatki jeszcze śpią, bo to przecież sobota. Wszystko wyglądało tak bezpiecznie, tak normalnie. Gdy dotarłem do domu, z ulgą stwierdziłem, że wygląda dokładnie tak samo jak inne - przynajmniej z zewnątrz.

Zaparkowałem na podjeździe. W saloniku paliło się światło. Mary Beth siedział pod drzewem nieruchomo jak psi Budda w skorupie mokrej sierści i mókł na deszczu.

Wysiadłem i ruszyłem prosto do garażu. Właśnie zdejmowałem z haka mały szpadel, gdy zaskoczyła mnie Sara.

- Co ty robisz, Hank?

Odwrociłem się do niej ze szpadlem w ręku. Stała tuż przed drzwiami, z Amandą w ramionach. Dziecko ssało smoczek.

- Chcę zastrzelić psa.

- Tutaj?

Pokręciłem głową.

- Wywiozę go do Ashenville, na farmę ojca.

Spojrzała na mnie z ukosa.

- To chyba nie najlepszy moment - zauważyła.

- Obiecałem Carlowi, że po południu zwrócę rewolwer.

- Może lepiej poczekać do poniedziałku? Pojedziesz do weterynarza i rewolwer nie będzie potrzebny.

- Nie chcę, żeby zrobił to weterynarz. Chcę to zrobić sam.

Przełożyła dziecko z prawego ramienia na lewe. Miała na sobie dzinsy i ciemnobrązowy sweter. Włosy związała w kucyk, jak mała dziewczynka.

- Dlaczego? - spytała.

- Jakub by tego chciał - odrzekłem niepewny, czy to prawda, czy tylko kontynuacja bajeczki, którą wcisnąłem Carlowi.

Nie wiedziała, jak zareagować. Chyba mi nie wierzyła. Otaksowała mnie uważnym spojrzeniem.

- Pies jest chory i nieszczęśliwy, a my trzymamy go na zimnie i deszczu. To nie w porządku.

Amanda usłyszała mój głos i niczym sowa powoli odwróciła okrągłą głowę, żeby na mnie popatrzeć. Zamrugła, smoczek wypadł jej z ust, pacnął na próg, odbił się i wylądował u moich stóp. Podniosłem go. Ociekał śliną.

- To nie potrwa długo. Wrócę za godzinę.

Podaliśmy smoczek Sarze. Wzięła go dwoma palcami, tak że nasze ręce się nie zetknęły.

- Ale nie jedziesz do parku, prawda? - spytała.

Pokręciłem głową.

- Przyrzeknij, że nie.

- Przyrzekam.

Obserwowała mnie z okna. Odwiązałem Mary Beth i zaprowadziłem go do samochodu. Na tylnym siedzeniu i w bagażniku wciąż leżały rzeczy Jakuba, więc kiedy wskoczył do środka, od razu zaczął głośno węszyć i merdać ogonem. Usiadłem za kierownicą. Sara podniosła Amandę wyżej, chwyciła jej maleńką rączkę i pomachała mi na pożegnanie.

Czytałem z ruchu jej ust. „Pa, pa! - mówiła. - Pa, pa!”

Mary Beth zwinął się w kłębek na tylnym siedzeniu i przespał całą drogę do farmy.

Pogoda się nie zmieniła i wciąż mgliście mżyło. Jechałem, a na poboczach majaczyły widma domów z przeciekającymi okapami, szarych przybudówek, wypłowiałych stodół, bezbarwnych silosów zbożowych i starych samochodów drzemiących w deszczu jak duchy. Miejscami spod śniegu przebijały płaty czarnej, błotnistej ziemi - pozostałości po brzdach z jesiennej orki. Wyglądały jak boksyerskie rękawice sterczące z zalanego breją ringu i na niektórych polach było ich jeszcze sporo. Ciągnęły się szeregami, jedna przy drugiej, i znikały we mgle.

Kiedy dojechałem do farmy, pies nie chciał wyjść z samochodu. Otworzyłem drzwi. Sierść zjeżyła mu się na grzbiecie, cały się skulił, zawarczał i obnażył kły. Musiałem wywlec go siłą, szarpiąc za sznurek.

Stanąwszy na ziemi, otrząsnął się, przeciągnął i potruchtął przodem na pole.

Ruszyłem za nim ze sznurkiem w jednej, ze szpadłem w drugiej ręce. Rewolwer tkwił za paskiem.

Śnieg szybko topniał, mimo to miejscami grzązłem w nim po kolana. Był mokry i ciężki, jak biała glina, tak że szedłem z niejakim trudem. Nogawki szybko przemokły i przywarły do łydek, na skutek czego spodnie wyglądały jak bryczesy zakończone długimi skarpetami. Ciągłe mżyło. Kropelki dżdżu osiadały mi na głowie i na ramionach. Wstrząsnął mną zimny dreszcz. Postawiłem kołnierz kurtki. Mary Beth biegł zygzakiem, węsząc w śniegu i merdając ogonem.

Szliśmy ku środkowi pola, gdzie kiedyś stał nasz dom. Po lewej stronie majaczył we

mgle wiatrak ze skrzydłami ociekającymi wodą.

Gdy dotarliśmy do miejsca, gdzie, jak przypuszczałem, były niegdyś schodki prowadzące na werandę, rzuciłem na ziemię sznurek i szpadel; sznurek przydeptałem, żeby pies nie uciekł. Potem wyciągnąłem zza paska rewolwer.

Mary Beth zawrócił w kierunku drogi, ale uszedł najwyżej trzy metry, bo powstrzymał go napięty sznurek. Zobaczyłem nasze ślady. Odcisnęły się w śniegu, ciemne i okrągłe, tworząc krętą linię łączącą nas z samochodem na poboczu drogi. Było w tym widoku coś złowieszczego. Przypominał obrazek z bajek dla dzieci, z bajek przesyconych ukrytą groźbą i przerażeniem. Mgła odcinała mi odwrót, więziła mnie pośrodku błotnistego pola i gdy tak rozglądałem się wokół, ogarnęło mnie dziwne i nieprzyjemne uczucie, którego nie umiałem sprecyzować. Strach?

Wiedziałem, że Carl może już nie żyć. Chciałem wierzyć, że tak nie jest, że spędziwszy rano na bezowocnej włączędze po okolicznych lasach, jedzie do miasta. Ale nie mogłem, nie potrafiłem. Wbrew swojej woli ciągle wracałem myślą do samolotu w sadzie Andersa. Śnieg na pewno już stopniał, wrak leży tam jak na patelni. Widziałem go oczyma wyobraźni, widziałem wrony, skarłowaciałe drzewa. Widziałem, jak opanowany Vernon wyciąga zza pazuchy pistolet. Robi to z kamiennym spokojem, ruchem bardzo powolnym, zupełnie niewinnym i strzela Carlowi w głowę. Widziałem, jak Carl pada na ziemię, widziałem jego krew na śniegu. I słyszałem krakanie wron wystraszonych hukiem, ich powracający echem krzyk.

Wszystko schrzańiłem. Miałbym jednym strzałem ukrócić męczarnie psa, naraziłem go na koszmarnie tortury.

Stałem za nim, wymierzyłem w kark, lecz w chwili, gdy pociągnąłem za spust, niespodziewanie odwrócił łeb. Pocisk trafił go w dolną szczękę i zmiażdżył ją, tak że zwisła pod absurdalnym kątem. Mary Beth zaskowyczał i runął na bok. Miał uszkodzony język, z pyska tryskała mu krew.

Spróbował wstać, wtedy spanikowałem i pociągnąłem za spust po raz drugi. Tym razem trafiłem w żebra, tuż poniżej karku. Przewrócił się na ziemię, łapy zadrgały mu i zeszywniały w głębokim śniegu. Ciężko dyszał, dysząc charczał, bulgotało mu w piersi. Przez chwilę myślałem, że to już koniec, że zaraz zdechnie, ale nie, bo nagle spróbował wstać, a z jego gardła dobył się przerażający odgłos: ni to szczekanie, ni to wycie, raz cichsze, raz głośniejsze.

Podszedłem bliżej i stanąłem nad nim okrakiem. Byłem zlany potem, rękojeść rewolweru ślizgała się w drżącej dłoni. Przytknąłem lufę do łba, zamknąłem oczy i

przeżony, czując, że żołądek podjeżdża mi do gardła, pociągnąłem za spust po raz trzeci.

Głośny, ostry trzask, stłumione echo, potem martwa cisza.

Deszcz przybrał na sile. Już nie mżyło. Powierzchnię mokrego śniegu siekały dorodne krople wody.

Łeb i kark Mary Beth były obrysowane dużym szkarłatnym kręgiem. Nie mogłem na to patrzeć, miałem wyrzuty sumienia. Pomyślałem o ojcu, który stawiając czoło pogardzie i szyderstwom ze strony sąsiadów, nie chciał szlachtować zwierząt. Pogwałciłem jego tabu.

Cofnąłem się o krok i otarłem rękawem spoconą twarz. Deszcz wciąż padał. Świat tonął we mgle.

Podniosłem szpadel i zacząłem kopać. Z wierzchu ziemia była miękka, mokra i błotnista, ale tylko z wierzchu. Dwadzieścia kilka centymetrów głębiej natrafiłem na warstwę tak zbitą i twardą, że równie dobrze mógłbym próbować przekopać betonową płytę. Ostrze szpadla dźwięczało, zamarznięta ziemia nie ustępowała. Pomagałem sobie butami, ale wszystko na nic: głębiej kopać nie mogłem. Ścierwo było tak zakrwawione, że za nic nie zaniósłbym go do samochodu, więc musiałem pochować psa w dwudziestoparocentymetrowym grobie. Nie miałem innego wyjścia.

Chwyciłem Mary Beth za tylne łapy, wciągnąłem go do dziury i zasypałem ziemią. Ziemi ledwo starczyło, więc dorzuciłem trochę śniegu, tak że powstał mały pagórek. Wiedziałem, że jego ciało długo tam nie poleży, że jeśli do wiosny nie wygrzebią go dzikie zwierzęta, to znajdzie je George Muller, nowy właściciel farmy. Na pewno. Zaorze pole i znajdzie. Wyobraziłem to sobie, wyobraziłem sobie Jakuba oceniającego moją nieudolność i naszyły mnie wyrzuty sumienia. Zawiodłem brata nawet w tak prostej sprawie. Nawet po jego śmierci.

W drodze do domu płakałem, po raz pierwszy od chwili, gdy sprzątałem w jego mieszkaniu. Nie jestem pewien, co mnie do tego skłoniło. Chyba wszystko i wszyscy po trochu: Carl, Jakub, Mary Beth, Sonny, Nancy, Pederson, moi rodzice, Sara, wreszcie ja sam. Próbowałem myśleć o dziecku, próbowałem wmówić sobie, że Amanda nigdy się o tym nie dowie, że dzięki korzyściom płynącym z naszych zbrodni bezboleśnie dorośnie, lecz nie mogłem w to uwierzyć, tak jak dorośli nie wierzą w bajki z happy endem. „I żyli długo i szczęśliwie”. Nie! Zdałem sobie sprawę, że widzieliśmy przyszłość w zbyt różowych kolorach, zbyt romantycznie. A to tylko pogłębiło mój smutek i wzmogło poczucie bezowocności i bezsensownej straty. Nasze życie będzie zupełnie inne, będzie ciągłą ucieczką, trudną i uciążliwą, pełną kłamstw, wykrętów i forteli, bo do śmierci nie opuści nas strach przed wpadką. A od tego, co zrobiliśmy, nie uciekniemy już nigdy. Nasze grzechy

pójdą za nami do grobu.

Przed wjazdem do miasta musiałem zjechać na pobocze i odczekać, aż płacz minie. Nie chciałem, żeby Sara widziała mnie w takim stanie.

Do domu dotarłem w południe. Powiesiłem szpadel w garażu, wszedłem na ganek, otworzyłem drzwi. Byłem przemarznięty i zabłocony. Twarz spuchła mi od płaczu, osłabione ręce drżały.

Sara była w saloniku. Zawołała mnie.

- To ja! - odkrzyknąłem. - Już wróciłem!

Usłyszałem, jak wstaje, żeby wyjść mi na powitanie, ale w tym samym momencie zadzwonił telefon, więc od razu poszła do kuchni.

Ledwo zdążyłem zdjąć buty, gdy wystawiła głowę zza drzwi.

- Do ciebie, Hank.

- Kto? - szepnąłem, stając w drzwiach.

- Nie wiem, nie przedstawił się.

Pamiętałem, że Carl obiecał zatelefonować po powrocie z wyprawy do parku, więc z ulgą spytałem:

- To Carl?

Pokręciła głową.

- Chyba nie. Spytałby o dziecko.

Miała rację, mimo to wciąż tliła się we mnie iskierka nadziei. Wszedłem do kuchni i podniosłem słuchawkę spodziewając się, że usłyszę jego głos.

- Halo?

- Pan Mitchell?

- Tak?

- Mówi szeryf McKellroy z biura szeryfa okręgowego w Fulton. Czy mógłby pan przyjechać na chwilę do Ashenville? Chcemy zadać panu kilka pytań.

- Pytań?

- Moglibyśmy wysłać po pana radiowóz, ale byłoby nam łatwiej, gdyby zechciał pan do nas przyjechać. Brakuje nam ludzi.

- Czy mogę spytać, o co właściwie chodzi? Szeryf zawahał się nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- O szeryfa Jenkinsa. O Carla Jenkinsa. Zastrzelono go.

- Zastrzelono? - tchnąłem w słuchawkę ze szczerym żalem i przerażeniem. Udałem tylko zaskoczenie.

- Tak. Zamordowanego.
- Boże, nie mogę w to uwierzyć. Przecież jeszcze dziś rano go widziałem...
- Właśnie o tym chcemy z panem porozmawiać...

Ktoś mu przerwał, bo słyszałem, jak zakrywa ręką słuchawkę. Sara obserwowała mnie z drugiej strony kuchni. W saloniku zapłakało dziecko, ale nie zwróciła na to uwagi.

- Panie Mitchell?
- Tak?
- Czy wczoraj po południu spotkał pan człowieka nazwiskiem Neal Baxter?
- Tak. To agent FBI.
- Czy okazał swoje dokumenty?
- Dokumenty?
- Odznakę? Może legitymację?
- Nie.
- Mógłby go pan opisać?
- Wysoki, metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Szerokie bary, czarne, krótko obcięte włosy.

Koloru oczu nie pamiętam.

- A pamięta pan, jak był ubrany?
- Dzisiaj?
- Tak.
- Miał na sobie płaszcz. I ciemny garnitur. Nosił skórzane buty.
- Widział pan jego samochód?
- Tak, dziś rano. Widziałem, jak z niego wysiadał.
- Pamięta pan, jak ten wóz wyglądał?
- Niebieski, czterodrzwiowy. Widywałem takie w agencjach wynajmujących samochody. Tablic nie widziałem.
- Rozpoznał pan markę?
- To był rodzaj pudełkowej limuzyny. Trochę przypominał buicka, coś w tym rodzaju. Ale nie, marki nie rozpoznałem.
- Nie szkodzi. Kiedy się spotkamy, pokażemy panu zdjęcia, może wtedy go pan rozpozna. Jesteśmy w ratuszu. Mógłby pan zaraz przyjechać?
- Ciągle nie rozumiem, co się stało.
- Najlepiej będzie, gdy wszystko wyjaśnimy na miejscu. Przysłać po pana samochód?
- Nie, nie. Przyjadę swoim.
- Zaraz?

- Tak. Już wyjeżdżam.

Rozdział 11

Przed wyjazdem ukryłem rewolwer w garażu. Uznałem, że nie jest to rzecz niezbędna podczas rozmowy z policją.

Wciąż mżył lodowaty deszcz, lecz przewidywałem, że niebawem ustanie. Niebo pojaśniało, robiło się coraz chłodniej. Przydrożne pola okrywał brązowo-biały całun.

W Ashenville wrzało. Dziennikarze z dwóch stacji telewizyjnych - Kanału 11 i Kanału 12 - rozstawiali na chodniku kamery. Przed ratuszem parkowało kilka radiowozów. Na ulicy klębił się tłum gapiów.

Zostawiłem samochód dwie ulice dalej.

Przed schodami ratusza czuwał policjant i nie chciał mnie wpuścić. Nagle jedno skrzydło drewnianych drzwi otworzyło się i wyłonił się zza nich przysadzisty grubas.

- Pan Mitchell? - krzyknął. - Hank Mitchell?

- Tak.

Wyciągnął rękę i zszedł na dół, żeby się ze mną przywitać.

- Nazywam się McKellroy. Rozmawialiśmy przez telefon.

Wprowadził mnie do środka. Był bardzo niski i idąc kiwał się jak kaczka. Miał bladą, ziemistą cerę i krótkie włosy nieokreślonego koloru, silnie pachnące tonikiem, jakby przed chwilą wyszedł od fryzjera.

W gabinecie Carla tłoczyli się policjanci. Wszyscy sprawiali wrażenie bardzo zajętych, jakby gonił ich jakiś termin. Nikt na nas nie zwrócił uwagi. Rozpoznałem jednego z zastępców szeryfa: wiejskiego chłopaczka z okrągłą twarzą, tego, który podrzucił nam Mary Beth. Siedział przy biurku Lindy i rozmawiał przez telefon.

- Collins! - wrzasnął szeryf McKellroy. - Spisz zeznania pana Mitchella!

Collins, policjant wysoki, siwawy, chyba starszy od McKellroya, z pociągłą twarzą i papierosem w kąciку ust, poprowadził mnie w głąb korytarza, gdzie było nieco ciszej.

Na myśl o składaniu zeznań trochę się zdenerwowałem, ale okazało się, że to zdumiewająco prosta sprawa: ja opowiadałem, on notował. Nie przesłuchiwał mnie, nie oskarżył o morderstwo z premedytacją i wyglądało na to, że mało go moje zeznania obchodzą.

Cofnąłem się w czasie o trzy miesiące, do końca grudnia. Powiedziałem mu, że przejeżdżaliśmy wtedy koło parku Andersa i słyszeliśmy przelatujący samolot, którego silnik podejrzanie kichał i prycał, że zameldowaliśmy o tym Carlowi, że Carl, nie mając żadnych

wiadomości na temat zaginionego samolotu, uznał to za fałszywy alarm.

- Zupełnie o tym nie myślałem. Do wczoraj, bo wczoraj po południu, kiedy wychodziłem z pracy, Carl zadzwonił do mnie i powiedział, że ma gościa z FBI, który szuka zaginionego samolotu.

- To był agent Baxter? - spytał Collins.

- Tak. Agent Neal Baxter.

Collins to zapisał.

- Powiedział panu, że szuka samolotu?

- Że ściga zbiega, który nim uciekał.

- Zbiega?

- Człowieka poszukiwanego przez FBI.

- Nie powiedział kogo?

Pokręciłem głową.

- Pytałem, ale nie chcieli powiedzieć.

- Nie chcieli? To znaczy kto?

- Oni. Agent Baxter i Carl.

- Szeryf Jenkins o tym wiedział?

- Chyba tak. Tak przypuszczam.

To też zapisał. Potem otworzył notes na czystej stronie.

- Dziś rano spotkał się pan z nimi po raz drugi?

- Tak. Koło dziewiątej mieliśmy wyjechać na poszukiwanie samolotu, ale zadzwoniła do mnie żona z wiadomością, że córka wymiotuje, więc wróciłem do domu.

- I wtedy widział ich pan po raz ostatni, tak? - Tak. Odjechali, a ja wróciłem do Fort Ottowa. Collins przebiegł wzrokiem zapiski, podkreślił coś i zamknął notatnik.

- Czy może mi pan powiedzieć, co się dzieje? - spytałem.

- Nie słyszał pan?

- Wiem tylko, że zamordowano Carla.

- Zastrzelił go człowiek, który szukał tego samolotu. - Agent Baxter?

- Zgadza się.

- Ale dlaczego?

Collins wzruszył ramionami.

- Na razie wiemy tylko tyle, ile dowiedzieliśmy się od pana i od pani Jenkins. Koło dziewiątej szeryf Jenkins wyjechał z miasta w towarzystwie Baxtera. Kilka minut po jedenastej pani Jenkins wyjrzała oknem i zobaczyła przed ratuszem radiowóz męża. Za

kierownicą siedział Baxter, był sam. Zaparkował po drugiej stronie ulicy, przesiadł się do swego samochodu i odjechał. Pani Jenkins pomyślała, że Baxter podrzucił męża do domu, więc zadzwoniła, ale nikt nie podnosił słuchawki. Wtedy postanowiła pojechać do parku Andersa, żeby sprawdzić, co się stało. W parku natknęła się na głębokie ślady w śniegu. Ciągnęły się kilkaset metrów w głąb lasu i kończyły przy wraku małego samolotu. Tam znalazła zwłoki męża.

- Chce pan powiedzieć, że Linda znalazła go sama?! - spytałem przerażony. Kiwnął głową.

- Wróciła biegiem do samochodu i zawiadomiła nas przez radio.

- Ale dlaczego go zabił?

Collins zawahał się. Wsunął ołówek do kieszeni koszuli.

- Czy Baxter wspominał panu o zaginionych pieniądzach?

- O pieniądzach? Nie.

- Szeryf Jenkins powiedział żonie, że na pokładzie samolotu są cztery miliony dolarów.

Wytrzeszczyłem oczy.

- Cztery miliony dolarów?

- Tak twierdzi pani Jenkins.

- Więc zabił Carla dla pieniędzy?

- Nie jesteśmy pewni. Niewykluczone, że Baxter kłamał. Utrzymywał, że w lipcu zeszłego roku obrabowano w Chicago samochód banku federalnego, ale nic nam na ten temat nie wiadomo. Na razie wiemy tylko tyle, że śmierć Carla Jenkinsa ma coś wspólnego z tym samolotem. Cała reszta to wyłącznie domysły.

Collins poszedł pokazać moje zeznanie McKellroyowi. Nie byłem pewien, czy mogę już iść. Szeryf powiedział, że mam zidentyfikować samochód Vernona, więc zostałem. Usiadłem przy oknie; policjanci przynieśli do gabinetu kilka składanych krzeseł. Gdy wchodziliśmy, zastępca szeryfa z twarzą wiejskiego chłopaka, ten od psa, pozdrowił mnie skinieniem głowy, ale później nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. W kącie ustawili policyjną radiostację. Radiostacja syczała i trzeszczała. Na ścianie powiesili wielką mapę. McKellroy podchodził do niej co jakiś czas, żeby wyrysować linię albo dwie.

Domyśliłem się, że trwa wielka oblawa, że polują na Vernona.

Przed ratuszem przybywało gapiów i samochodów. Dziennikarze przeprowadzali wywiady: ci z Kanału 11 dopadli funkcjonariusza policji stanowej, ci z Kanału 24 - Cyrusa Stahla, osiemdziesięciokilkuletniego burmistrza Ashenville. Pogoda była coraz lepsza i w

mieście zapanowała świąteczna atmosfera. Ludzie stali wielkimi grupami i rozmawiali. Dzieciaki wytaszczyły ze składzików rowery i ściagały się po ulicy. Mali chłopcy zaglądali do radiowozów, rozplaszczając na szybach nosy i osłaniając dłońmi oczy.

Przestało padać i od północy nadleciał zimny wiatr. Chwilami dmuchał bardzo ostro, a wtedy flaga powiewająca nad ratuszem łopotała donośnie i pobrzękiwała stalową linką o aluminiowy słupek, co brzmiało jak stłumione bicie dzwonu; na znak żałoby opuszczono ją do połowy masztu.

Siedziałem tam już prawie godzinę, wyglądając przez okno, stłamszony i lekko oszołomiony, gdy nagle w gabinecie Carla zapanował wzmożony ruch.

- Gdzie ten Mitchell? - wrzasnął McKellroy. - Pojechał do domu?

Odwrociłem się do drzwi i zobaczyłem, że jeden z szeryfów pokazuje w moją stronę.

- Siedzi przy oknie.

Collins i ten od Mary Beth nałożyli kapelusze, chwycili kurtki i ruszyli do wyjścia. Wszyscy mówili jednocześnie, więc nic z tego nie rozumiałem.

- Collins! - krzyczał McKellroy - I Sweeney! Podrzucicie pana Mitchella. Niech zidentyfikuje ciało.

- Jakie ciało? - spytałem.

- Pojedzie pan? - rzucił szeryf z drugiego końca gabinetu. - Bardzo by nam pan pomógł.

- W czym?

- Dopadliśmy faceta, który odpowiada rysopisowi Baxtera, ale musimy mieć całkowitą pewność. - Ruchem głowy wskazał Collinsa i tego drugiego, Sweeneya, którzy czekali w progu. - Oni pana zawiozą.

Wziąłem kurtkę i ruszyłem do drzwi, lecz przystanąłem w pół kroku.

- Czy mógłbym przedtem zadzwonić do żony? - spytałem McKellroya. - Chciałbym zawiadomić ją, gdzie jestem.

- Oczywiście - odrzekł ze zrozumieniem.

Podeszliśmy do biurka Lindy. Siedział tam jeden z jego zastępców, ale wystarczył lekki ruch głowy McKellroya i natychmiast ustąpił mi miejsca.

Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do Sary.

Na biurku stało zdjęcie Jenkinsów, więc uciekłem wzrokiem w stronę okna, ale nie zrobiłem tego na tyle szybko, by nie pomyśleć przedtem o Lindzie. Co teraz robi? Pewnie jest w domu. Wiedziałem, że do końca życia nie zapomni tego, co widziała rano - widoku martwego męża na śniegu. Poczulem się dziwnie zmęczony i odrętwiały.

I tym razem Sara odebrała po pierwszym sygnale.

- To ja. Dzwonię z ratusza.
- Wszystko w porządku?
- Carl nie żyje. Zabił go ten agent FBI.
- Wiem. Mówili o tym w radiu.
- Chyba go złapali. Chcą, żebyśmy faceta zidentyfikował. Jadę z nimi..
- Dokąd?
- Nie wiem. On chyba nie żyje.
- Nie żyje?
- Powiedzieli „ciało”. Mam zidentyfikować ciało.
- Zabili go?
- Nie wiem. Na to wygląda.
- Boże, Hank, to cudownie...
- Saro, jestem na posterunku.

Rozejrzałem się po gabinecie, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie podsłuchuje. Collins i policjant z twarzą wiejskiego chłopaka stali w drzwiach, miętosząc kapelusze. Obserwowali mnie czekając, aż skończę rozmawiać.

Sara zamilkła. W tle grało radio; mężczyzna o piskliwym głosie reklamował jakiś produkt czy usługi.

- Kiedy wrócisz? - spytała.
- Pewnie trochę to potrwa.
- Tak mi ulżyło, Hank, jestem taka szczęśliwa.
- Ciii...
- Uczymy to. Dziś wieczorem uczymy początek nowego życia.
- Muszę już iść, Saro. Porozmawiamy w domu. -

Odłożyłem słuchawkę.

Prowadził Sweeney. Siedziałem na fotelu pasażera, a Collins z tyłu. Pędziliśmy na południe z migającym „kogutem” na dachu.

Temperatura spadła i droga była miejscami oblodzona. Przejaśniło się, mgła zniknęła, dzięki czemu widoczność uległa znacznej poprawie. Między szybko płynącymi obłokami prześwitywały skrawki błękitu.

- Szeryf powiedział „ciało”? - spytałem Sweeneya. Kiwnął głową.
- Zgadza się.
- A więc Baxter nie żyje?

- Zimny trup - rzucił wesoło Collins. - W dodatku podziurawiony, że hej.

- Poszatkowany - dodał Sweeney.

- Jak sito.

Uśmiechali się do mnie. Byli podekscytowani, jak harcerze na podchodach.

- Oberwał koło Appleton - wyjaśnił Collins - przy wjeździe na autostradę. Natknął się na dwóch ze stanowej. Jednego postrzelił w nogę, a ten drugi go rozwalił.

- Czterema strzałami - wtrącił Sweeney.

- Trzy kule w pierś, jedna w głowę.

Sweeney spojrzał na mnie niespokojnie.

- Denerwuje się pan? - spytał poważnie.

- Czym?

- Tym, że musi pan zidentyfikować poszatkowanego trupa. No wie pan, krew i tak dalej...

- Fakt, postrzały w głowę wyglądają paskudnie - dodał Collins. - Najlepiej będzie, gdy pan tylko zerknie. Niech pan myśli o tym jak o zwyczajnym mięsie, jak o kupie ziemi albo...

- Collins - przerwał mu Sweeney - panu Mitchellowi zastrzelono brata. Collins zamilkł.

- Nie pamiętasz tej sprawy sprzed dwóch miesięcy? Tego faceta, który wrócił do domu i przydybał żonę z gachem? Tego, co mu odbiło?

- To był pański brat? - spytał Collins. - Ten hazardzista? Sweeney pokręcił głową.

- Ten drugi. Ten, co przybiegł na pomoc.

Atmosfera panująca w radiowozie natychmiast oklapła. Jakbyśmy wjechali w strefę cienia. Sweeney podkręcił ogrzewanie. W twarz uderzył mnie podmuch ciepłego powietrza.

- Przepraszam, panie Mitchell - mruknął Collins. - Nie wiedziałem.

- Nie szkodzi.

- Jak tam pies? - spytał Sweeney, zerkając w lusterko. - Brat pana Mitchella miał ładnego psa. Pan Mitchell go przygarnął.

- Psa? Jakiego? - zainteresował się Collins. Dzielnie współpracowali, próbując odzyskać dobry humor.

- To był kundel - odrzekłem - mieszaniec. Ni to owczarek niemiecki, ni to labrador. Nie żyje. Musiałem się go pozbyć.

Milczeli. Sweeney regulował radio.

- Tęsknił za bratem, nie mógł do nas przywyknąć. Był coraz agresywniejszy. Ugryzł żonę.

- Psy takie już są - skostatował Collins. - Łatwo się przywiązują. Odczuwają smutek, jak ludzie.

Resztę drogi milczeliśmy. Sweeney prowadził. Collins palił. Ja gapiłem się w okno.

Zastrzelono go na północ od Appleton, przy wjeździe na autostradę stanową. Zahamował, żeby zapłacić za przejazd, ale samochód wpadł w lekki poślizg na zamrożonej kałuży i grzmotnął w kufer wozu stojącego przed nim. Przy budce czuwało dwóch policjantów ze stanowej i kiedy doszło do stłuczki, ruszyli na pomoc. Gdyby zachował spokój, mógłby uciec. Po drodze zmienił samochód - wypatrywali niebieskiego, on jechał czerwonym - zamiast palta miał kurtkę, a na głowie wełnianą czapkę, więc nie przypominał poszukiwanego mordercy. Lecz gdy zobaczył nadbiegających policjantów, przestraszył się, wyskoczył z samochodu i zaczął strzelać.

Dotarcie do budki zajęło nam sporo czasu. Wjazd na autostradę był zablokowany, a policjanci kierowali ruch na zachód. Na małym placu stało pięć albo sześć radiowozów. Dotarliśmy na miejsce w chwili, gdy odjeżdżała stamtąd karetka pogotowia na sygnale.

Sweeney zaparkował na poboczu i ruszyliśmy w stronę budki. Samochód Vernona, wiśniowa toyota z otwartymi na oścież drzwiami, stała nieco dalej. Cały teren był odgradzony jaskrawożółtą taśmą. Wszędzie kręcili się policjanci, ale nikt nie robił nic konkretnego. Samochód staranowany przez Vernona już odholowano.

Obok toyoty leżały zwłoki przykryte srebrzystym kocem.

Przeszliśmy pod taśmą i przebiwszy się przez tłum policjantów, dotarliśmy do samochodu Vernona. Sweeney ukucnął i odrzucił koc. Collins przystanął za mną.

- To on?

Oberwał w głowę, tuż nad uchem. Ział tam otwór wlotowy, czarna dziurka nie większa od dziesięciocentówki. Wszędzie była krew: na jego twarzy, na kocu, na ziemi, nawet na jego zębach; kołnierz koszuli zmienił kolor na różowy. Trup miał otwarte oczy. Okrągłe, lekko wytrzeszczone, jakby zdumione, patrzyły prosto w niebo. Z trudem oparłem się pokusie, żeby mu ich nie zamknąć.

- Tak - odrzekłem - to on.

Sweeney zasłonił zwłoki kocem.

- Dobrze się pan czuje? - Wziął mnie za łokieć i odwrócił w drugą stronę.

- Tak, nic mi nie jest.

Ku swemu zdziwieniu stwierdziłem, że mięśnie twarzy przestają mnie słuchać, że jeszcze trochę i się uśmiechnę. Musiałem się skupić, musiałem zacisnąć zęby i szczęki i na szczęście mi przeszło. Wszystko dlatego, że nagle odczułem wielką ulgę. Zdumiała mnie

intensywność, z jaką mnie poraziła. Przesłoniła mi smutek po śmierci Carla i sprawiła, że zmieniłem zdanie: uznałem, że jego śmierć jest korzystna, że jest swego rodzaju ceną, jaką musieliśmy zapłacić za płócienną torbę ze skarbem, że skarb jest tego wart. Po raz pierwszy od chwili, gdy postanowiliśmy zatrzymać pieniądze, poczułem się zupełnie bezpieczny. Sara miała rację, sytuacja była idealna: już nikt nie mógł skojarzyć nas z pieniędzmi. Ci, co mogli, nie żyli: i Vernon, i jego brat, i Carl, i Lou, i Nancy, i Jakub, i Sonny, i Pederson.

Nie zagrażał nam nikt.

Pieniądze były nasze.

Collins poszedł do radiowozu, żeby zawiadomić McKelloya, że zidentyfikowałem zwłoki, a Sweeney zagadał się z policjantem ze stanowej. Początkowo zamierzałem wrócić do samochodu - było zimno i chciałem usiąść - ale postanowiłem zostać. Ciekawiło mnie, czy znaleźli torbę z pieniędzmi i doszedłem do wniosku, że jeśli zostanie, to na pewno czegoś się

dowiem. Przystanąłem tuż za jaskrawożółtą taśmą, koło budki na autostradzie, i z rękami w kieszeniach kurtki, nie rzucając się zbytnio w oczy, obserwowałem poczynania śledczych.

Rudy policjant zaczął robić zdjęcia. Odrzucił koc i obfotografował zwłoki Vernona, potem wiśniową toyotę, budkę, asfalt, nawet ziemię, i to pod różnymi kątami. Chociaż się przejaśniło, światło było widocznie kiepskie, bo używał flesza. Flesz błyskał raz po raz, rzucając wokół ostre refleksy niczym lustro puszczające słoneczne „zajaczki”.

Kilka minut później nadjechała żółta furgonetka z telewizji. Jej bok zdobił biegnący poprzecznie napis ułożony z wielkich czerwonych liter. KANAŁ TRZYNASTY, głosił napis, a tuż pod nim czarnymi literami dodano: NAJŚWIEŻSZE WIADOMOŚCI. Mieli przenośną kamerę i zaczęli filmować miejsce, gdzie doszło do strzelaniny. Chcieli sfilmować zwłoki Vernona, ale policjanci ich przegonili.

Niedługo potem nadjechał ciemnobrązowy samochód i wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Gdy ich zobaczyłem, od razu wiedziałem, że są z FBI. Wyglądali jak Vernon: wysocy, szczupli, krótkowłosi. Byli bez kapeluszy. Obaj mieli na sobie rozpięte palta, ciemne garnitury i stonowane krawaty, czarne skórzane buty oraz czarne skórzane rękawiczki. Ze sposobu ich poruszania się, ze sposobu, w jaki rozmawiali z policjantami, biła ta sama profesjonalność, to samo poczucie lodowatej precyzji i opanowanie, które Vernon tak znakomicie naśladował. I przerażali mnie tak samo jak on. Piers mi stężała, serce zaczęło bić szybciej, kark miałem zlany potem.

Czułem, że tkwiące we mnie ziarenko paraliżującego strachu powoli nabrzmiewa, że pęka, że wypełniają z niego oślizłe macki strasznego zwątpienia: na pewno coś przeoczyłem,

na pewno zostawiłem jakiś obciążający ślad, jednoznaczny dowód winy. Wstrząsnął mną zimny dreszcz. Uświadomiłem sobie, że jeśli kiedykolwiek wpadnę, to złapią mnie ludzie tacy jak oni.

Podeszli do zwłok Vernona, przykucnęli. Odrzucili koc, zaczęli grzebać mu po kieszeniach. Jeden z nich chwycił Vernona za policzek, obrócił mu głowę i zbadał wzrokiem jego twarz. Skończywszy, wytarł rękawiczkę w srebrzysty koc i mruknął coś do swego kolegi. Kolega pokręcił głową.

Potem obejrzelili toyotę, później konferowali chwilę z policjantem ze stanowej. Policjant przywołał Sweeneya i przedstawił go agentom. Po krótkiej rozmowie Sweeney odwrócił się i wskazał mnie ręką.

- Pan Mitchell? - Jeden z nich ruszył w moją stronę. - Pan Hank Mitchell?

- Tak? - Wyszędłem mu na spotkanie.

Wyjął z kieszeni portfel, otworzył go zgrabnym ruchem i pokazał mi odznakę. Poczulem się dziwnie, bardzo niewyraźnie, jakby za chwilę miał mnie aresztować.

- Nazywam się Renkins. Jestem agentem Federalnego Biura Śledczego. Kiwnąłem głową, nie odrywając wzroku od odznaki.

- Zastanawialiśmy się z kolegą, czy miałby pan coś przeciwko temu, żeby wrócić z nami do miasta. Po drodze spisalibyśmy pańskie zeznania.

- Spisywano je na policji, w ratuszu - odrzekłem. - Nie możecie ich po prostu przeczytać?

- Wolelibyśmy wysłuchać pana osobiście, panie Mitchell. To chyba zrozumiałe, prawda? - Obdarzył mnie jednym z lodowatych uśmiezków Vernona.

Nie odpowiedziałem. Było jasne, że nie mam wyboru. Dołączył do nas ten drugi. Pod pachą niósł plastikową torbę na śmieci.

- Chodźmy - powiedział Renkins. - Nasz samochód jest tam. - Odwrócił się i ruszył przodem.

Siedziałem z tyłu. Renkins prowadził, a jego kolega, agent Fremont, siedział na fotelu pasażera. Od tyłu wyglądali bliźniaczo: mieli takie same ramiona, tak samo uniesione głowy, nawet włosy mieli takie same: ciemnobrązowe i gęste, układające się w jednakowe pasemka, przyszyrzyżone do identycznej wysokości.

Była między nimi tylko jedna różnica, za to bardzo rzucająca się w oczy: Fremont miał za duże uszy. Nie mogłem oderwać od nich oczu. Były naprawdę wielkie, olbrzymie, skrzycone i wydłużone, sztywne i zadziwiająco białe. Wywarły na mnie bardzo pozytywne wrażenie. Doszedłem do wniosku, że Fremont musi być człowiekiem lubianym. Tak, na

pewno. Jako dziecko przeżywał katusze, myślałem, bo koledzy szydzili z mego i drwili, jak nasi koledzy z grubego Jakuba, i nagle ogarnęła mnie fala głębokiego współczucia dla biednego Fremonta.

Do Appleton jechałem policyjnym radiowozem i siedziałem z przodu. Do domu wracałem samochodem agentów FBI i siedziałem z tyłu - wrażenie było zupełnie inne. Samochód jak samochód, był całkiem zwyczajny i równie dobrze mógł należeć do jakiegoś komiwojażera - wewnątrz wykładane czarnym winylem, w drzwiach popielniczki, tani odtwarzacz magnetofonowy wmontowany w deskę rozdzielczą. Ale gdy tak sobie siedziałem, sam, na tylnym siedzeniu, miałem wrażenie, że jestem aresztantem, że mnie złapali, że mnie cały czas pilnują. W radiowozie czułem się zupełnie inaczej.

Wracaliśmy do Ashenville wiejskimi drogami, krzyżującymi się pod kątem prostym na styku kwadratowych pól i poletek - najpierw skierowaliśmy się na północ, potem na wschód, później znowu na północ - a ja opowiadałem im swoją historię. Włączyli magnetofon, mimo to nie wykazywali zbyt wielkiego zainteresowania moją opowieścią. Nie zadawali żadnych pytań, a gdy przerywałem, nie zerkali na mnie, ani nie kiwali zachęcająco głowami. Siedzieli nieporuszeni i gapili się przed siebie. Jechaliśmy tą samą trasą, którą pokonałem wcześniej z Collinsem i Sweeneyem, mijaliśmy te same domy, te same farmy, te same drzewa i pagórki. Tylko teraz już nie padało, a niebo było dużo bledsze. Słońce chyliło się ku zachodowi, złocąc dachy odległych domów.

Mówiłem i mówiłem, a oni wciąż milczeli. Ich milczenie mogło oznaczać tylko jedno: albo kupili moją opowieść i wysłuchiwali jej z czystej formalności, albo odkryli coś obciążającego, coś, co podważało moje zeznania, dowodziło, że cały czas łgałem jak najęty i po prostu czekali, aż skończę, aż pograżę się ostatecznie, by mnie zdemaskować i wykazać, kim naprawdę jestem: kłamcą, złodziejem i mordercą. Im bliżej końca opowieści, tym częściej się powtarzałem, milkłem i zwlekałem, niepewny ostatecznego wyroku.

Jednak nieuniknionego uniknąć się nie da i kiedyś musiałem skończyć.

Fremont wyłączył magnetofon.

- Jest w tym wszystkim tylko jeden szkopuł, panie Mitchell - zreasumował.

Ścisnęło mnie w żołądku. Spojrzałem w okno i przywoławszy na pomoc całą siłę woli, chwilę odczekałem. Daleko na polu zobaczyłem czarnego stracha na wróble. Głowę ozdobiono mu słomianym kapeluszem i na pierwszy rzut oka wyglądał jak człowiek.

- Szkopuł? - spytałem.

Fremont kiwnął głową, a jego słoniowate uszy podniosły się i opadły, jak wiosła łodzi.

- Człowiek, którego pan zidentyfikował, nie jest agentem FBI.

Ulga, jaką odczułem, była tak wielka, że wywarła na mnie efekt fizyczny: wszystkie pory otwały się, zalewając skórę potem. Było to wrażenie dziwne, oszalamiające, nawet przerażające, porównywalne chyba z tym, jakie ogarnia człowieka tracącego kontrolę nad pęcherzem. Mało brakowało i bym zachichotał. Zacisnąłem zęby, otarłem czoło.

- Nie rozumiem. - Głos miałem nieswój, gardłowy i zduszony. Ale Fremont tego nie zauważył.

- Nazywał się Vernon Bokovsky. W grudniu słyszał pan warkot samolotu z uszkodzonym silnikiem, prawda? Na pokładzie tego samolotu leciał jego brat. Roztrzaskał się w parku Andersa.

- A więc ten człowiek szukał brata? Fremont pokręcił głową.

- Szukał tego. - Podniósł z podłogi plastikową torbę.

Nachyliłem się, żeby lepiej widzieć i przeszedł mnie miły dreszczyk: nie ma to jak smak poznania wielkiej tajemnicy.

- Torby na śmieci? - spytałem. Fremont rozciągnął usta w uśmiechu.

- Tak jest. Pełnej bardzo drogich śmieci. - Otworzył torbę i potrząsnął nią, żebym mógł zobaczyć pieniądze.

Udając, że zaniemówiłem z wrażenia, odliczyłem w myśli do dziesięciu.

- To... to prawdziwe pieniądze? - wykrztusiłem.

- Jak najbardziej. - Ręka w czarnej skórzanej rękawiczce zagłębiła się w torbie, by wyjąć z niej paczkę pieniędzy. - To jest okup, panie Mitchell. - Trzymał pieniądze na wysokości mojej twarzy. - W listopadzie ubiegłego roku bracia Bokovsky porwali córkę McMartina.

- McMartina?

- Była spadkobierczynią olbrzymiej fortuny. Zastrzelili ją, a trupa wrzucili do jeziora. Nie odrywałem wzroku od pieniędzy.

- Mogę ich dotknąć? - spytałem. - Jestem w rękawiczkach.

Roześmiali się.

- Oczywiście - odrzekł Fremont. - Śmiało.

Wyciągnąłem rękę, a on podał mi pieniądze. Ostrożnie zważyłem je w dłoni. Renkins obserwował mnie w lusterku z przyjaznym uśmiechem na twarzy.

- Ciężkie, co? - spytał.

- Tak. Jak mała książka...

Dojeżdżaliśmy do Ashenville. Na horyzoncie wyrastały pagórkowate wyniesienia ciasno stłoczonych budynków na skrzyżowaniu dróg. Robiły wrażenie sztucznych,

iluzorycznych, jak domy bajkowego miasta Oz.

Oddałem pieniądze Fremontowi, a on wrzucił je do torby.

Podczas mojej nieobecności życie w Ashenille wróciło do normy. Ekipy telewizyjne odjechały, tłumy gapiów zniknęły i miasto wyglądało jak każdego sobotniego popołudnia: było wymarłe, senne, na skraju lekko podniszczone. Jediną oznaką tragedii była flaga powiewająca niemrawo w połowie masztu.

Renkins zatrzymał samochód przed ratuszem i wysiedliśmy, żeby się pożegnać.

- Przykro mi, że musieliśmy pana w to wszystko wciągnąć - powiedział Fremont. - Bardzo nam pan pomógł.

Staliśmy przed schodami ratusza. Na ulicy parkował tylko jeden radiowóz.

- Ciągle nie rozumiem, co się właściwie wydarzyło - odrzekłem. Na ustach Renkinsa wykwitł lekki uśmiech.

- Powiem panu, co się wydarzyło. Bracia Bokovsky uprowadzili bogatą dziewczynę z Detroit. Łącznie z nią zastrzelili siedmioro ludzi i uciekli z okupem w wysokości czterech milionów ośmiuset tysięcy dolarów. Jeden z nich rozbił się samolotem w parku Andersa. Drugi szukał go, podając się za agenta FBI. Kiedy znalazł samolot, zastrzelił szeryfa Jenkinsa.

Uśmiechnął się szeroko i dodał:

- A policjant ze stanowej zastrzelił jego.

- I w tej torbie są cztery miliony osiemset tysięcy dolarów? - spytałem udając, że jestem skłonny w to uwierzyć.

- Nie - odparł Renkins. - Tylko pięćset tysięcy.

- W takim razie gdzie jest reszta? Wzruszył ramionami i zerknął na Fremonta.

- Nie jesteśmy pewni.

W rynsztoku przed sąsiednim budynkiem walczyły o coś dwa ptaszki. Wydierały się na siebie, piskliwie skrzeczały. To jeden, to drugi próbował z tym czymś odlecieć, ale zdobycz była za duża i nie mogły jej unieść. Z tej odległości nie widziałem, co to takiego.

- To znaczy, że cztery miliony trzysta tysięcy dolarów zdążyli gdzieś utopić - skonstatowałem.

- Owszem, ale wypłyną - mruknął Fremont. Spojrzałem na niego, lecz twarz miał nieprzeniknioną. Renkins patrzył na walczące ptaki.

- Jak to? - spytałem.

- Zanim McMartin przekazał okup braciom Bokovsky, mieliśmy te pieniądze przez dwie godziny. Nie mogliśmy ich oznaczyć, bo baliśmy się, że porywacze to wykryją i zamordują dziewczynę, więc skrzyknęliśmy dwudziestu agentów i spisaliśmy tyle numerów

seryjnych, ile tylko zdołaliśmy. - Uśmiechnął się do mnie, jakby opowiadał znakomity kawał.
- Zdążyliśmy zarejestrować prawie pięć tysięcy banknotów, jeden na dziesięć.

Nie odpowiedziałem. Po prostu gapiłem się na niego jak sparaliżowany, nie będąc w stanie pojąć, co do mnie mówi.

- Wyśledzimy je - dodał. - Prędzej czy później gdzieś wypłyną, to tylko kwestia czasu. Nie można szastać setkami bez zwracania na siebie uwagi.

- A więc pieniądze są znaczone... - szepnąłem.

Zmarszczyłem brwi i wbiłem wzrok w ziemię, próbując nie okazać po sobie, jak ta wiadomość na mnie podziałała. Zachowaj spokój, powtarzałem w duchu, spokój i obojętność. Skoncentrowałem się na butach, wyteżyłem umysł i zmusiłem go do wymyślania nazw kolorów, jakimi można by je opisać, poświęcając temu zadaniu całą energię, gdyż dobrze wiedziałem, że jeśli spróbuję udźwignąć ciężar rewelacji Fremonta, to się pod nim załamie.

- Ano znaczone - potwierdził Fremont. - Do tego się to sprowadza.

- Zbrodnia nie popłaca - spointował Renkins.

Beż, pomyślałem. Kawa z mlekiem. Ciemny bursztyn, dodałem z koszmarnym trudem. Mimo to spomiędzy słów, niczym woda szczelinami, sączyła się porażająca świadomość: pieniądze są znaczone. Zna-czo-ne.

Fremont wyciągnął do mnie rękę. Jakimś cudem zdołałem unieść swoją i w miarę mocno uścisnąć mu dłoń. Ten sam rytuał powtórzyłem z Renkinsem.

- To, że znamy numery seryjne niektórych banknotów - dodał - jest wiadomością poufną, panie Mitchell. Tylko tym sposobem będziemy w stanie nakryć ewentualnych współników.

Fremont kiwnął głową.

- A więc jeśli dopadną pana dziennikarze...

- Tak, rozumiem.

- Gdybyśmy pana potrzebowali, będzie pan w mieście, prawda?

- Oczywiście. - Wskazałem magazyn po drugiej stronie ulicy. - Pracuję u Raikleya.

Obaj spojrzeli w tamtą stronę.

- Nie przypuszczam, żebyśmy musieli pana fatygować - powiedział Renkins. - Wygląda na to, że sprawa jest zamknięta.

- Chyba tak - szepnąłem.

Sepia. Jasny brąz, jak terakota. Albo cegła suszona na słońcu.

- Jeszcze raz przepraszamy, że pana w to wmieszaliśmy. To prawdziwe nieszczęście, kurewska tragedia...

Poklepał mnie po ramieniu, a potem jeden za drugim weszli na schody i zniknęli za drzwiami ratusza.

Obserwowałem swoje stopy: doszły do krawężnika, wczłapały na jezdnię i przecięły ją. Samochód zostawiłem nieco dalej. Moje buty obeszły go i przystały przed drzwiami. Ręka wychynęła z kieszeni, jak zaczarowana zabrzączała kluczykami, otworzyła drzwi i pociągnęła za klamkę. Ciało zgięło się wpół, głowa zniknęła w samochodzie, pośladki opadły na fotel.

I dopiero tam, bezpieczny za mocno zatrzaśniętymi drzwiami, uwolniłem umysł, by w pełni zrozumieć wagę słów Fremonta, by je wchłonąć, napęcznić ich znaczeniem jak gąbka.

Pieniądze były bezwartościowe.

Moją pierwszą reakcją, która zaczęła obezwładniać mnie jeszcze wtedy, gdy rozmawiałem z Fremontem i Renkinsem, była bezdenne rozpacz. Zaatakował mnie obraz czterech zakrwawionych trupów: Pedersona, Nancy, Sonny'ego i Jakuba, i pojąłem, że odebrałem życie czterem ludziom tylko po to, żeby bronić torby wypchanej paczkami bezużytecznych, kolorowych papierków.

Po fali rozpacz nadeszła fala zmęczenia, niczym ulewa z czarnej chmury. Była to reakcja organizmu na horror tego, co zrobiłem: odrętwiający bezwład, poczucie rezygnacji i pogodzenia się z losem. Opuściłem głowę, osunąłem się w fotelu. Prawie trzy miesiące żyłem pod straszliwą presją, trzy miesiące próbowałem rozwikłać węzeł, który nagle poluzowano, ba! przecięto jednym silnym cięciem. Odnalazłem w tym niejaką ulgę, bo nareszcie wszystko się skończyło. Mogłem wrócić do domu i spalić pieniądze: ostatni dowód, ostatnie ogniwo feralnego łańcucha.

Ruszaj!

Ta myśl, ten szept nadbiegł z najgłębszych zakamarków umysłu, z odległego pogranicza między czernią a półcieniem, z okolic mózgu, które jeszcze funkcjonowały, jeszcze planowały, ostrożne i czujne, które wciąż walczyły, nie rozumiejąc, że wojna już się skończyła.

Jeśli Fremont albo Renkins wyjrzą na ulicę, szeptał głos, jeśli zobaczą, że siedzisz tu otepiąły i oszołomiony, zaczną główkować. Przekręć kluczyk! Uruchom silnik! Odjedź stad!

Głos był natarczywy, nalegał i przestrzegał. Słuchałem go uważnie od trzech miesięcy i zupełnie odruchowo, jak człowiek uwarunkowany, posłuchałem go i tym razem. Dźwignąłem rękę, wetknąłem kluczyk do stacyjki.

I nagle zamarłem.

Na rogu ulicy, mniej więcej piętnaście metrów dalej, stała budka telefoniczna, połyskując złotawo w promieniach zachodzącego słońca.

Jedź, krzyczał głos, odjedź stąd! Już! Natychmiast! Zlustrowałem ulicę. Po drugiej stronie skrzyżowania szła kobieta z małą dziewczynką w wózku. Przemawiała do dziecka, a ono wykręcało szyję, żeby widzieć matkę. I kobieta, i dziecko były ubrane w żółte kurtki z kapturami. Rozpoznałem je: Carla i Lucy Drake, córka i wnuczka Alexa Freedmana, właściciela miejscowej pralni chemicznej. Chodziłem z Carłą do ogólniaka. Była w klasie Jakuba, trzy oddziały wyżej. Weszła z córką na schody kościoła i zniknęły za drzwiami.

Ruszaj! Odjedź stąd! Głos był coraz natarczywszy. Zignorowałem ostrzeżenie. Zza kierownicy widziałem okno gabinetu Carla, ale błyszczało w słońcu jak lustro. Jeśli Fremont albo Renkins wyglądali na ulicę, to i tak bym ich nie dostrzegł.

Zerknąłem na budkę telefoniczną i jeszcze raz powiodłem wzrokiem po ulicy. Nie zauważyłem nikogo. Szybko wysiadłem z samochodu.

Sara odpowiedziała po trzecim sygnale.

- Tak?

Zwlekałem długą, nabrzmiałą milczeniem chwilę. Siedząc w samochodzie, myślałem, że jak powiem jej od razu, to trochę mi ulży. Myślałem, że dzieląc się złymi wieściami, podzielę się z nią gnębiącym mnie smutkiem, że go z siebie zrzucę. Chciałem, żeby wiedziała, bo wtedy mógłbym ją pocieszyć, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, bo dodając otuchy Sarze, dodałbym otuchy sobie. Lecz gdy usłyszałem jej głos, zrozumiałem, że przez telefon zrobić tego nie mogę. Musiałem być tam, w domu, przy niej, by móc ją objąć i przytulić.

- Cześć - zacząłem.

- Dzwonisz z ratusza?

- Nie, z budki.

- Możemy swobodnie rozmawiać?

- Tak.

- Pokazywali to w dzienniku.

W jej głosie słyszałem podniecenie i ulgę. Myślała, że to już koniec, że jesteśmy wolni. Jakże pragnąłem czuć się jak ona.

- Wiem - szepnąłem.

- Już po wszystkim, Hank, prawda? Zostaliśmy tylko my, ty i ja - dodała z uniesieniem. Czuję, że zaraz się roześmieje.

- Tak.

- Wracaj do domu. Chcę to uczcić. Wszystko dokładnie zaplanowałam.

Tryskała radością. Jej radość dźgała mnie jak ostry nóż.

- Jesteśmy milionerami, Hank. Od tej chwili jesteśmy prawdziwymi milionerami.

- Saro...

Przerwała mi.

- Pewnie ci wszystko jedno, ale zrobiłam coś głupiego.

- Tak?

- Kupiłam butelkę szampana.

Zamknąłem oczy i przycisnąłem słuchawkę do policzka. Wiedziałem, co zaraz powie, wyraźnie to czułem.

- Uszczupliłam zawartość naszej torby. Wzięłam setkę.

Nie byłem ani zdziwiony, ani porażony nagłym atakiem paniki. Jakbym to przewidział, jakbym wiedział o tym już wtedy, trzy miesiące temu, w chwili, gdy wypchnąłem płócienną torbę z samolotu. Uznałem, że to sprawiedliwe, że na to zasłużyliśmy. Oparłem się czołem o pleksiglasową szybę budki. Była zimna i gładka.

- Hank? Kochanie, jesteś na mnie zły?

Chciałem odpowiedzieć, ale w gardle mi zaschło i musiałem odchrząknąć. Byłem jak znarkotyzowany, ni to śpiący, ni martwy.

- Dlaczego? - spytałem głosem tak słabym, że chyba ledwo słyszalnym.

- Dlaczego co?

- Dlaczego wzięłaś pieniądze?

Natychmiast przeszła do defensywy.

- Bo pomyślałam sobie, że to właściwy sposób na rozpoczęcie nowego życia.

- Mieliśmy ich nie ruszać. Obiecałaś.

- Przecież i tak zaczęlibyśmy je kiedyś wydawać. Chciałam być pierwsza. Zamilkłem, próbując rozpracować nową sytuację.

- Gdzie? - spytałem w końcu.

- Co gdzie?

- Gdzie kupiłaś tego szampana?

- Byłam sprytna. Nie chciałam kupować w pobliżu i pofatygowałam się aż do sklepu koło lotniska.

- Gdzie koło lotniska?

- Hank, kochanie, nie bądź wściekły.

- Nie jestem wściekły. Chcę wiedzieć, gdzie kupiłaś szampana, tylko tyle.

- „U Aleksandra”. To taki sklep samoobsługowy przy autostradzie, zaraz przed

zjazdem na lotnisko.

Znowu zamilkłem. Próbowałem zmusić umysł do pracy, ogarnąć sytuację, znaleźć jakieś wyjście, lecz myśli napływały z bolesną opieszałością.

- Uważałam, Hank, byłbyś ze mnie dumny. Powiedziałam, że ta setka to prezent urodzinowy, że z przykrością muszę ją rozmiąć, ale banki są już zamknięte, a moja siostra ma zaręczyny, więc chyba warto...

- Byłaś z Amandą?

Zawahała się.

- Tak. A bo co?

Nie odpowiedziałem.

- Poszło zupełnie gładko. Kasjer ledwo mnie zauważył. Wziął banknot, wydał resztę, i po wszystkim.

- Czy oprócz kasjera był tam ktoś jeszcze?

- To znaczy kto?

- Inni klienci, pracownicy, sprzedawcy.

Zastanowiła się.

- Nie, tylko kasjer.

- Jak wyglądał?

Tym razem milczała znacznie dłużej.

- Hank, on mnie ledwo zauważył.

- Jak wyglądał? - powtórzyłem, podnosząc głos.

- Daj spokój, kochanie. Ten człowiek mnie nie zapamiętał. Wszystko poszło jak po maśle.

- Nie twierdzę, że zapamiętał. Chcę tylko wiedzieć, jak wyglądał.

Wyraźnie rozdrażniona, ciężko westchnęła.

- Czarne włosy, broda, szerokie bary i gruby kark. Typ kulturysty.

- Wiek?

- Nie wiem. Młody. Dwadzieścia kilka lat. Dlaczego mnie o to wypytujesz?

- Czekaj na mnie. Tylko nie wydaj następnej setki - dodałem ze śmiechem, żeby przestroga zabrzmiała jak żart.

Chyba nie zabrzmiała, bo Sara była bardzo poważna.

- Wracasz do domu? - spytała

- Tak, niedługo.

- To znaczy kiedy?

- Niedługo. Najpierw muszę coś załatwić. Potem przyjadę.

- Jesteś na mnie zły?

- Nie.

- Daj słowo honoru!

Oderwałem głowę od pleksiglasu i spojrzałem na drugą stronę skrzyżowania. Carla i Lucy Drake wyszły z kościoła i nasunawszy kaptury kurtek, zmierzały w przeciwnym kierunku. Ani matka, ani córka, nie spostrzegły, że je obserwuję.

- Hank?

Westchnąłem.

- Daję słowo honoru, że nie jestem na ciebie zły - szepnąłem zmęczony.

Potem się pożegnaliśmy.

Byłem w połowie drogi do samochodu, gdy wtem przyszedł mi do głowy pierwszy zarys planu. Przystanąłem i zawróciłem do budki.

W książce telefonicznej odszukałem numer posterunku policji stanowej.

Odebrała kobieta.

- Policja stanowa, słucham.

- Halo? - zacząłem grubym głosem na wypadek, gdyby nagrywali rozmowę. - Chciałbym zameldować o spotkaniu z... z podejrzanym osobnikiem.

- Z podejrzanym osobnikiem?

- Z takim jednym autostopowiczem. Zabrałem go koło Ann Arbor, a on wyciągnął maczetę i zaczął ją przy mnie ostrzyć.

- Co wyciągnął?

- Maczetę, taki wielki nóż. Zatrzymałem samochód i kazałem mu wysiąść; nie oponował. Ale później pomyślałem sobie, cholera go wie, może facet jest niebezpieczny. No i postanowiłem do was zadzwonić, tak na wszelki wypadek.

- Czy groził panu tą maczetą?

- A skąd! Poprosiłem świrusa, żeby wysiadł, no i wysiadł. Nie, zachowywał się spokojnie, ale pomyślałem sobie, że może zechcecie go sprawdzić.

- Gdzie go pan zostawił?

- Koło lotniska w Toledo. Żartował, że chce porwać samolot.

- Na autostradzie?

- Tak, przed sklepem.

- Czy zechciałby pan go opisać?

- Młody, gdzieś koło osiemnastki. Szczupły. Trochę dziwny, wie pani, jakby śpiący

albo naćpany...

- Biały?

- Tak. Rude włosy, blady, piegowaty. Miał na sobie szarą bluzę z kapturem.

- Wzrost?

- Chyba średni. Metr osiemdziesiąt, może trochę mniej.

- Pańskie nazwisko?

- Wolałbym się nie przedstawiać. Wie pani, mieszkam na Florydzie, właśnie wracam do domu. Nie chciałbym się w to mieszać.

- Rozumiem - odrzekła krótko i oficjalnie. - Dziękujemy za informację. Centrala powiadomi patrol.

Następne dwadzieścia minut spędziłem w samochodzie. Na głównej ulicy miasta, niedaleko kościoła. Dzwon Świętego Judy wybił godzinę: najpierw zabrzmiała krótka melodyjka, potem pięć ciężkich uderzeń.

Słońce wisiało tuż nad horyzontem i zachodnia strona nieba poróżowiała. Nadchodził wieczór. Wieczór zdumiewająco piękny, bo powietrze było krystalicznie czyste, jakby nagle w ogóle zniknęło. Wszystkie przedmioty - samochody parkujące na ulicy, frontony sklepów, parkometry, wieżyca kościoła - widać było wyraźniej niż zwykle, jakby obrysowywała je cieniutka czarna linia.

Miasto sprawiało wrażenie cichego i wymarłego.

Istniało dziewięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że setka, którą Sara zapłaciła w sklepie, nie zostanie wykryta. Może powinno mi to wystarczyć, ale nie wystarczyło. Gdyby spisano numery seryjne tylko jednego banknotu, tylko dziesięciu, nawet stu, myślę, że postąpiłbym zupełnie inaczej, że bym to sobie odpuścił. Lecz zarejestrowano ich pięć tysięcy, jeden banknot na dziesięć. Nie, nie mogłem ryzykować.

Tuż po piątej wyszli z ratusza Fremont i Renkins. Nie zauważyli mnie; skręcili w prawo. Fremont perorował z ożywieniem, Renkins energicznie potakiwał. Wsiedli do samochodu i pojechali na wschód, w kierunku Toledo. Prowadził Renkins.

Odczekałem do dziesięć po piątej. Przekręciłem kluczyk w stacyjce i zerknąwszy na wielkie czerwone słońce w lusterku, powoli ruszyłem za nimi.

Rozdział 12

Prawie do samego lotniska otaczał mnie wiejski krajobraz. Nagle droga poszerzyła się do czterech pasm, na poboczach zaczęły wyrastać domy: sklepy spożywcze, pawilony ze sprzętem wideo, knajpy, tanie hoteliki, sale bilardowe, restauracje szybkiej obsługi - im dalej na wschód, tym wyższe, jaśniej oświetlone, gęściej stojące. Mrugały neony, ruch przybrał na sile, samochody to wjeżdżały na autostradę, to z niej zjeżdżały. Byłem na przedmieściach Toledo, na długim, rzęście oświetlonym bulwarze, który wypełzał z centrum miasta niczym macka.

Sklep „U Aleksandra” był obskurnym, podobnym do bunkra pawilonem o niskich betonowych ścianach i płaskim dachu. Okna miał zakratowane, nad drzwiami migał różowoniebieski neon głoszący, że można tam kupić PIWO. Na maleńkim parkingu stał tylko jeden samochód: czarny, obryzany błotem dziup.

Minąłem sklep i zawróciłem.

Trzydzieści metrów dalej zobaczyłem szklarnię. W środku było ciemno; widocznie na weekend ją zamykano. Wjechałem na wysypyany żwirem parking i ustawiłem samochód przodem do ulicy, żeby ułatwić sobie ucieczkę.

Po drugiej stronie autostrady, równoległe do jezdni biegł azurowy płot zwieńczony podwójnym zwojem drutu kolczastego. Za płotem rozciągało się lotnisko. Dostrzegłem odległą wieżę kontrolną, reflektor na jej dachu niespiesznie badający niebo, a nieco niżej zamglone, czerwono-zielone światła pasów startowych.

Wysiadłem i otworzyłem bagażnik. Stał w nim kufer Jakuba, ostatnia rzecz, jaką wyniosłem z mieszkania brata. Szybko uchyliłem wieko, wsunąłem do środka rękę i ominąwszy stertę ręczników, przybornik do robótek oraz rękawicę baseballową, wymacałem stalowe ostrze maczety.

Leżała po prawej stronie, dokładnie tam, gdzie ją wtedy wetknąłem. Oparłem maczetę o zderzak i zacząłem grzebać w pozostałych pudłach. Kominiarkę znalazłem w pierwszym, które otworzyłem, bluzę z kapturem w drugim.

Zdjąłem kurtkę, nałożyłem bluzę. Była o wiele za duża - rękawy zakrywały mi palce, a kaptur opadał na czoło, co nadawało mi wygląd mnicha. Ale właśnie o to mi chodziło: gdy wejść do sklepu, żeby sprawdzić, czy nie ma w nim klientów, nikt nie zobaczy moich włosów, nie zapamięta rysów twarzy, a gdy już sprawdzę, nałożę kominiarkę.

Maczetę wsunąłem do prawego rękawa drewnianym uchwytem naprzód.

Podtrzymałem ją zgiętą w przegubie ręką, tak że ostro zakończony czubek wbijał się boleśnie w dłoń. Kominiarkę wepchnąłem do kieszeni spodni, biodrem zamknąłem klapy bagażnika i ruszyłem do sklepu.

Była za kwadrans szósta i dopiero co zaszło słońce. Kierowcy włączali reflektory.

Gdy wszedłem na parking, powietrzem wstrząsnął potężny ryk i niecałe trzydzieści metrów nad dachem sklepu przeleciał olbrzymi samolot. Światła lądowania liznęły asfalt niczym błysk flesza i zniknęły za autostradą, a za nimi z jęklwym wyciem posunęła masa rozedrganej stali. Klapy na skrzydłach były opuszczone, podwozie wysunięte. Obserwowałem maszynę dopóty, dopóki nie wylądowała.

Gdy pchnąłem drzwi, gdzieś w górze zadzwonił dzwonek, zwracając na mnie uwagę kasjera. Siedział za ladą po lewej stronie i czytał gazetę. Na ladzie stało radio, z którego grzmiał głos protestanckiego kaznodziei:

„Musicie uważać, czego słuchacie, bo słowu Bożemu często towarzyszy słowo szatana. Oba słowa brzmią tak samo, brzmią identycznie”.

Kasjer zerknął na mnie, skinął na powitanie głową i zajął się lekturą. Wyglądał dokładnie tak, jak opisała go Sara: był brodaty, wielki i muskularny. Miał na sobie dzinsy i biały podkoszulek, a na jego ramieniu dostrzegłem tatuaż czarno-zielonego ptaka w locie.

Minąłem kasjera i wszedłem między półki pośrodku sklepu. Prawą ręką przyciskałem do boku maczetę. Pawilon był kiszkiowaty, tak że zanim dotarłem do tylnej ściany, zniknąłem brodaczowi z oczu.

Wtedy zdjąłem kaptur i rozejrzałem się. Wzdłuż tylnej ściany sklepu stał rząd wielkich przeszklonych lodówek z rozsuwanymi drzwiami, gdzie ustawiono puszkę piwa i coli, pojemniki z mrożonkami i lodami.

Szybko skręciłem w lewo, potem w prawo, żeby zlustrować przejścia między pozostałymi półkami. Ziały pustką. Byłem jedynym klientem.

Radiowy kaznodzieja odczytywał fragment Biblii:

„Dlatego powiadam wam: Nie troszczcie się zbyt o swoje życie, o to, co macie jeść i pić, ani o swoje ciało, czym się macie przyodzierać. Czyż życie nie znaczy więcej niż pokarm, a ciało więcej niż odzienie?”

Za lodówkami w prawym rogu sklepu zobaczyłem lekko uchylone drzwi. Prowadziły do ciemnego pomieszczenia, pewnie do magazynu.

„Starajcie się naprzód o królestwo Boże i o Jego sprawiedliwość, a wszystko inne będzie wam dodane”.

Na końcu środkowego przejścia wznosiła się gigantyczna piramida z wielkich butli

czerwonego wina. Sześć trzyipółlitrowych gąsiorów w dwóch rzędach, po trzy w każdym, stało na podłodze. Leżał na nich gruby karton, a na kartonie stało następnych sześć butli. Naliczyłem pięć warstw, w sumie trzydzieści gąsiorów wina, a te stojące najwyżej sięgały mi brody.

„Nakazuję wam, byście przykazań tych nie splugawili...”

Nałożyłem kominiarkę. Cuchnęła potem Jakuba tak mocno, że aż mnie dławilo - musiałem oddychać ustami.

„Tak rzecze Biblia, Słowo Boże. Kiedyś zadzwoniła do mnie jedna ze słuchaczek i pyta...”

Wysunąłem maczetę z rękawa.

„Kto napisał Biblię?”

Wszedłem między półki i ruszyłem w stronę lady. Byłem zdumiewająco opanowany. Miast wzbierającej paniki, odczuwałem przemożny spokój, który sycąc się sam sobą, z każdą chwilą narastał.

Kasjer wciąż czytał gazetę. Siedział na stołku z rękami na ladzie. Był o głowę wyższy ode mnie i pewnie co najmniej o czterdzieści kilogramów cięższy. Nagle pożałowałem, że nie zabrałem rewolweru Carla. Stałem przed nim dobrych kilka sekund, zanim oderwał się od lektury. Podniósł wzrok i spojrzał na mnie. Po prostu spojrzał, i tyle, bo nie sprawiał wrażenia ani przestraszonego, ani nawet zaskoczonego. Bardzo powoli złożył gazetę.

Machnąłem w powietrzu maczetą i ruchem głowy wskazałem kasę.

Wyciągnął rękę i ściszył radio.

- Co ty, kurwa, robisz? - spytał.

- Otwieraj szufladę - wychrypiałem nerwowo i natychmiast pomyślałem, że to on powinien tak chrypieć, nie ja.

Uśmiechnął się. Wcale nie był taki młody, jak początkowo sądziłem, przeciwnie - mógł być starszy ode mnie.

- Won z mego sklepu - rozkazał spokojnie.

Gapilem się na niego zdezorientowany i oszołomiony smrodem potu Jakuba bijącym z materiału kominiarki. Zdałem sobie sprawę, że nie pójdzie mi tak łatwo, jak myślałem. Zaczęło mi ciężać w żołądku, poczułem lekkie mdłości.

- Chcesz mnie tym poćwiartować? - spytał.

- Chcesz mnie tym zabić? - Rozsierdzony podniósł głos.

- Chcę tylko pieniędzy.

Podrapał się w tatuaż na ramieniu i zamyślony, chwycił koniuszek brody, by dotknąć

nim nosa. Wreszcie oznajmił:

- Dam ci ostatnią szansę. - Machnął ręką w stronę drzwi. - Jeśli zaraz wyjdiesz, to puszcę cię wolno.

Ani drgnąłem. Zamurowało mnie, odebrało mi mowę.

- Masz wybór - dodał. - Możesz uciec albo zostać. Wziąłem zamach i poczułem się jak idiota: wiedziałem, że nie weźmie tego na serio.

- Nie chcę zrobić panu krzywdy - sapnąłem, wymachując maczetą; chciałem mu zagrozić, tymczasem zabrzmiało to jak błagalna prośba. - Zabiłem kilkoro ludzi, jestem mordercą.

Znowu się uśmiechnął.

- Naprawdę?

- Niech pan otworzy kasę i da mi pieniądze.

Wstał i spokojnie wyszedł zza lady. Opuściłem maczetę na wysokość piersi i cofnąłem się między półki. Ruszył do wyjścia i przez chwilę myślałem, że ucieknie, lecz miast uciec, wyjął z kieszeni pęk kluczy i zamknął drzwi, przy czym odwrócił się do mnie tyłem, by podkreślić, co o mnie myśli.

- Przestań się opieprzać - warknąłem. - Dawaj forszę. Szybko!

Włożył klucze do kieszeni i zrobił krok w moją stronę. Cofnąłem się w głąb sklepu, ściskając obiema rękami ustawioną na sztorc maczetę. Próbowąłem przybrać groźny wygląd, odzyskać panowanie nad sytuacją, lecz czułem, że moje poczynania nie skutkują.

- Wszystko, co zrobię od tej chwili - oznajmił jadowicie złośliwym głosem - będzie działaniem w samoobronie. Właśnie tak zinterpretuje to policja. Wchodzisz do sklepu z tym wielkim majchrem, grozisz mi, chcesz mnie ograbić. Stałeś poza prawem, robaczku.

Szedł ku mnie powoli, z szerokim uśmiechem na twarzy, jakby dobrze się bawił. Krok po kroku rejterowałem między półki.

- Dałem ci szansę, bo to po chrześcijańsku. Nie uciekłeś, więc zanim wezwę policję, dam ci nauczkę, żebyś już nigdy w życiu nie nastawał na cudzą własność.

Był już w przejściu między półkami, podchodził mnie jak myśliwy. Chwyciłem maczetę prawą ręką i uniosłem ją nad głowę, lecz chyba tego nawet nie zauważył. Patrzył na półki po prawej stronie, czegoś szukał. Wreszcie znalazł: puszkę groszku. Zważył ją w dłoni i bardzo spokojnie, bez najmniejszego pośpiechu wziął zamach i cisnął nią we mnie. Trafił w pierś, tuż poniżej prawej sutki. Trzasnęło aż miło, aż zbrakło mi tchu, aż się zatoczyłem. W boku rwało mnie tak boleśnie, jakby złamał mi żebro.

- Doprawdy, to bardzo rzadka okazja - mówił. - Jest niewiele sytuacji, kiedy można

kogoś stłuc, jak ja stłukę ciebie, i wyjść z tego obronną ręką.

Nie wiedziałem, jak z tego wybrnąć. Miał mi tylko oddać pieniądze, nic więcej. Później kazałbym mu położyć się na podłodze i liczyć do stu, a sam zwałbym do samochodu.

- Ba! Jeszcze mi za to pogratulują - dodał. - Jeszcze na tym skorzystam, bo uznają mnie za bohatera.

Cały czas się cofałem. Musiało tam być drugie wyjście, pewnie w magazynie za uchylonymi drzwiami koło lodówek. Gdybym zdołał utrzymać go na dystans, mógłbym tamtędy czmychnąć i dopaść samochodu.

Znowu sięgnął na półkę, zdjął z niej słoik oliwek, rzucił i tym razem trafił mnie w ramię. Słoik roztrzaskał się u mych stóp. Poczulem ostry, promieniujący ból, ból tak silny, że bezwiednie rozwarłem palce i maczeta wypadła mi z dłoni, lądując na oliwkach. Podniosłem ją lewą ręką.

- Wystarczy - jęknąłem. - Pójdę sobie. Nie chcę pieniędzy.

Zarechotał, kręcąc głową.

- Za późno, bratku. Nie skorzystałeś z okazji. Drzwi były otwarte, teraz są zamknięte.

Na samym końcu przejścia między półkami zaczęłem o coś bluzać. Nie spuszczając go z oka, spróbowałem uwolnić rękaw, ale nic z tego nie wyszło. Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem wielką piramidę gąsiorów czerwonego wina. Z kartonu pod trzecią warstwą butelek sterczała stalowa klamerka. Gdy się szarpnąłem, butle zachybotwały, zabrzęczały i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zaczęły spadać. Spadały i jedna po drugiej roztrzaskiwały się z głośnym, przewlekłym hukiem - na moich oczach rozleciała się cała piramida.

W sklepie zaległa krótka cisza, którą zakłócał tylko monotony głos radiowego kaznodziei:

„Czyż jest różnica między grzechem nieświadomym a grzechem z wyboru? Czyż tego, kto grzeszy nieświadomie, czekają mniejsze męki piekielne niż tego, kto ma świadomość grzechu?”

Podłoga była czerwono-czarna od wina. Z wina, niczym skaliste wysepki z morza, sterczały ostre szklane zadziory. Stałem pod samą ścianą, obserwując wzbierające rozlewisko.

Kasjer pokręcił głową i cicho zagwizdał.

- Jak myślisz, kto mi za to zapłaci?

I on, i ja patrzyliśmy na roztrzaskane gąsiory. Z rękawa zwiślał mi kawał kartonu. Zerwałem go i rzuciłem na podłogę. W palcach wciąż czułem nieprzyjemne mrowienie, a

przy każdym oddechu bolało mnie w piersi. Chciałem stamtąd zwiać, uciec przez magazyn, ale nogi odmówiły posłuszeństwa i jak sparalizowany przywarłem plecami do zimnych drzwi lodówki.

Kasjer obszedł kałużę. Przystanął na jej skraju niecałe dwa metry ode mnie, odwrócił się i nachylił po wystrzępioną szyjkę butli. Leżała pośrodku czerwonego jeziora i musiał stanąć na palcach, żeby jej dosięgnąć.

Wiedziałem, co zamierza: chciał mnie zaszlachtować i właśnie znalazł odpowiednie narzędzie.

Zerknąłem w stronę magazynu. Byłem pewien, że jeśli tylko wyteżę siły, zdołam tam dobiec. Kasjer przykucnął, z trudem zachowując równowagę. Zaskoczę go, pomyślałem, i nim zdąży zareagować, dam nogę.

Odrywając się od drzwi lodówki, miałem szczerzy zamiar uciec. Lecz nie uciekłem. Zamiast tego, zupełnie odruchowo zrobiłem krok do przodu. Oczy spoczęły na karku pochylonego mężczyzny, ręce ścisnęły maczetę jak kij baseballowy, uniosły ją nad głowę i cięły ze wszystkich sił.

Dopiero gdy zadałem cios, gdy usłyszałem świst ostrza przecinającego powietrze, zdałem sobie sprawę, że pragnąłem to zrobić od samego początku.

Kasjer musiał coś wyczuć, bo zaczął się prostować, odchyłać w prawo. I właśnie wtedy dosięgło go ostrze maczety: uderzyło pod kątem, w prawą stronę szyi i rozplątało mu gardło. Weszło głęboko, ale nie tak głęboko, jak chciałem. Może zabrzmi to brutalnie, ale miałem nadzieję odrąbać mu głowę, żeby koniec nadszedł szybko i w miarę bezboleśnie. Nie wiem, może uderzyłem za słabo, może maczeta była tępa, w każdym razie ostrze zagłębiło się na mniej więcej trzy centymetry i utknęło. Wyszarpnąłem je z rany, gdy kasjer padał.

I znowu zaległa cisza.

Przez sklep przetoczyło się echo głosu kaznodziei:

„Wtedy Chrystus zawołał: Eli, Eli, lama sabachthani?, co znaczy: Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”

Kasjer leżał na brzuchu z rękami podwiniętymi pod siebie, jakby zamierzał zrobić kilka pompek. Wypływały z niego straszliwe ilości krwi, o wiele więcej, niż oczekiwałem; nie miałem pojęcia, że aż tyle jest jej w człowieku. Rana na szyi wypluwała ją rytmicznie, a rwący, szkarłatny strumień mieszał się z rozlanym winem.

Przeciąłem mu tętnicę.

„Tak więc, jeśli w chwili śmierci zwątpił w Boga nie kto inny jak sam Zbawiciel, czyż zwątpić w Niego nie możemy my, zwykli śmiertelnicy?”

Stałem i patrzyłem, jak krwawi. Maczetę trzymałem z daleka od siebie, żeby nie ubrudziła mi spodni. Wiedziałem, że umrze, że to tylko kwestia czasu i ta świadomość przyniosła mi ulgę. Byłem zbyt wypalony, zbyt ospały, żeby uderzyć go po raz wtóry.

„Coś się w waszym życiu psuje. Chorujecie, tracicie pracę, a wtedy powiadacie: Czyż to możliwe, żeby Bóg tak chciał?”

Wszedłem w kałużę i przełożyłem maczetę do lewej ręki. Kasjer wciąż mocno krwawił, ale leżał zupełnie nieruchomo. Czułem, że jeszcze nie umarł, lecz byłem pewien, że śmierć się do niego zbliża, że jest tuż, tuż. Wtedy pomyślałem zupełnie trzeźwo, że oglądam jego agonię.

I nagle stała się rzecz zaskakująca: bardzo powoli, jak marionetka na sznurkach, brodacz wstał na czworaki.

Byłem zbyt mocno wstrząśnięty, żeby się cofnąć. Stałem pochylony, z głową przekrzywioną na bok i patrzyłem.

Wykonując serię nie skoordynowanych ruchów, zdołał dźwignąć się na nogi. Zgięty wpół, stał z rękami na udach, a z rozplatanego gardła wciąż tryskał mu strumień pulsującej krwi. Podkoszulek zmienił kolor na szkarłatny i przywarł do ciała, tak że widziałem zarys jego sutków. Twarz brodacza była pergaminowo blada.

„Powiadacie: Albo Pan mnie opuścił, albo celowo rzuca mi kłody pod nogi. I nie widzicie powodu, dla którego mielibyście na to zasłużyć. Jesteście ludźmi prawymi, wierzącymi, oddanymi, kochacie, wystrzegacie się przemocy, mimo to Pan...”

Kasjer podniósł głowę. Cofnąłem się w stronę lodówki. Patrzył na mnie, szybko mrugając. Gdy oddychał, w piersi mu bulgotało, jakby płuca miał wypełnione krwią. Ręce zacisnął na gardle.

Cofnąłem się jeszcze dalej. Wiedziałem, że powinienem uderzyć go drugi raz, że powinienem go zabić, wiedziałem, że postąpiłbym po ludzku, jednak nie miałem siły unieść maczety. Byłem wypluty, wykończony.

Chyba chciał coś powiedzieć, ale nie zdołał i tylko zagulgotało mu w piersi. Otworzył i zamknął usta, później, bardzo powoli, jak nurek pod wodą, oderwał rękę od gardła, sięgnął na półkę, owinał palce wokół butelki z keczupem i rzucił, a raczej niezdarnie pchnął nią we mnie.

Trafił w nogę, ale nawet nie zabołało. Butelka odbiła się i pękła na trzy prawie równe części, zdobiąc podłogę jeszcze jedną plamą czerwieni.

„I pytacie: Co to znaczy, że niezbadane są wyroki Pana naszego? Czy to jakiś wykręt? Niezdarne tłumaczenie księdza, który nie wie, co powiedzieć, gdy spotka was tragedia?”

Powiadacie: Gdzie jest Odpowiedzialność? Gdzie Sprawiedliwość? Jesteście źli, uważacie, że zasługujecie na odpowiedź...”

Przytknął rękę do gardła. Krew wypływała spomiędzy palców, lecz było jej coraz mniej.

Padął powoli, na trzy tempa, z wahaniem, niczym aktor przesadnie odgrywający rolę konającego. Najpierw opadł na kolana, rozgniatając ze straszliwym zgrzytem ostry kawał szkła. Chwilę trwał bez ruchu, po czym usiadł i w tej pozycji zamarł, by sekundę później osunąć się na bok. Głowa uderzyła w podstawę półki i odbiła się od niej pod dziwnym kątem, a ręce uwolniły gardło.

Wszystko to działo się bardzo powoli, jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie.

„Załóżmy, że ktoś powiada wam tak: Bóg daje, Bóg zabiera. Co to właściwie znaczy?”

Patrzyłem na niego i liczyłem w myśli, jak przy zwłokach Pedersona na skraju parku Andersa. Doliczyłem do pięćdziesięciu, robiąc przerwy na oddech między poszczególnymi liczbami. Krwawienie zupełnie ustało.

Wetknąłem maczetę za pas, jak pirat. Dopiero wtedy zdjąłem kominiarkę. Twarz zalała mi fala chłodnego powietrza, mimo to wciąż czułem zapach ciała Jakuba; wgrzył się w nozdrza i policzki niczym smród tłustej smażeniny. Ściągnąłem bluzę. Plecy miałem złane potem. Czułem, jak małe strumyczki ściekają po kręgosłupie, by wsiąknąć w szorty.

„Albo powiadają tak: Człowiek planuje, lecz Pan nim kieruje...”

Chciałem zbadać mu puls, lecz na myśl, że miałbym ująć go za nadgarstek, poczułem mdłości, więc zrezygnowałem. Brodacz nie żył. Mogłem to stwierdzić po ilości krwi na podłodze - leżał w olbrzymiej kałuży, która sięgając tylnej ściany, spływała leniwie między półki pośrodku sklepu. Zmieszana z winem i keczupem wyglądała surrealistycznie, upiornie, jak krew z nocnego koszmaru.

„Albo powiadają: Pan stworzył wszystko celowo, nawet niegodziwców, którzy wpędzają nas w kłopoty...”

Wsluchiwałem się w głos kaznodziei. Mówił ze studia radiowego i chyba towarzyszyli mu wierni, bo od czasu do czasu wykrzykiwali: „Amen!”, „Alleluja!” albo „Chwała Mu za to!” Uzmysłowiłem sobie, że słuchają go setki, może nawet tysiące ludzi rozrzuconych po całym regionie kraju: od Ohio, Michigan, Indianę, Illinois, Kentucky, po Zachodnią Wirginie i Pensylwanię - że siedzą w domach, jadą samochodem i chłoną każde jego słowo. Łącząc ich swym głosem, wciągał do radiowej wspólnoty i mnie, bo przecież i ja go słyszałem.

A oni nic nie wiedzą, przeszło mi przez myśl. Nie wiedzą, co się tutaj dzieje.

Powoli dochodziłem do siebie. Serce biło coraz wolniej, ręce przestały drżeć. Mało brakowało i swoim przyjściem do sklepu wszystko bym zepsuł, ale jakoś z tego wybrnąłem i czułem, że od tej chwili wszystko będzie dobrze.

Podwinąłem koszulę, żeby obejrzyć pierś. Lekko spuchła, a na wysokości żebra wykwitł podbarwiony szkarłatem siniak.

„Pomówmy teraz o przeznaczeniu, bracia i siostry. Przeznaczenie. Co to słowo znaczy? Gdybym powiedział, że pewnego dnia umrzecie, że tak jest wam pisane, czy znalazłby się wśród was ktoś, kto by mi zaprzeczył? Oczywiście, że nie. Jednak gdybym powiedział, że waszym przeznaczeniem jest umrzeć określonego dnia, w określonej godzinie, w określony sposób, pokręcilibyście głowami i odrzeklibyście, że ze mnie głupiec. Mimo to twierdzą, iż tak właśnie jest, bracia i siostry, twierdzą, że...”

Otrząsnąłem się z odrętwienia, szybko podszedłem do lady i wyłączyłem radio. Na frontowych drzwiach wisiała tabliczka - PRZEPRASZAMY, ZAMKNIĘTE - więc przekreśliłem ją napisem do zewnątrz. Chciałem też pogasić światła i prawie minutę szukałem wyłącznika, by w końcu zrezygnować i wrócić do martwego kasjera.

Głos kaznodziei umilkł i w sklepie zaległa złowieszcza cisza. Każdy hałas, każdy szmer odbijał się echem od półek zawalonych żywnością, brzmiąc jak chrobotanie spłoszonego szczura.

Chwyciłem brodacza za nogi i zacząłem go wlec do ciemnego magazynu. Choć uszła z niego cała krew i był dużo lżejszy, niż przypuszczałem, zadanie okazało się trudne. Cielsko miał wielkie, bezwładne i niezdarne, a podłoga była śliska od krwi.

Przy każdym ruchu bolało mnie w piersi.

Magazyn był maleńki i kiszgowaty. Stał w nim zmywak na kiju i wiadro. Na półkach zobaczyłem zapas płynów czyszczących, a w przeciwległym kącie brudną muszlę klozetową. Cuchnęło środkiem dezynfekującym. Gdyby nie było stamtąd wyjścia, wpadłbym w pułapkę.

Chciałem wciągnąć kasjera do środka, lecz utknął w wąskich drzwiach i musiałem coś zrobić z jego rękami. Skrzyżowałem mu je na piersi, jak umarłemu w trumnie, i dopiero wtedy dał się wtaszczyć do pakamery. Oparłem go nogami o kibel, żeby mógł zamknąć drzwi, później schowałem do kieszeni jego portfel, zegarek i pęk kluczy.

Ukrywszy zwłoki, przeszedłem przez kałużę, stanąłem za ladą i otworzyłem szufladę kasy. Studolarówka leżała na samym dnie, pod tacką na banknoty - była tam tylko jedna. Złożyłem ją na pół i schowałem do przedniej kieszeni dzinsów.

Na ladzie leżał plik papierowych toreb. Otworzyłem pierwszą z wierzchu i

przesypałem do niej zawartość szuflady: banknoty, bilon, wszystko.

Gdy zamykałem kasę, rozglądając się po półkach w poszukiwaniu przedmiotów, które mogłyby skusić przygodnego włóczęgę, na parking wjechał samochód. Na jego widok dosłownie zamarłem z ręką zawieszoną nad pudłem kasy. Patrzyłem, jak świecąc w okna reflektorami, podjeżdża do frontowej ściany pawilonu.

Bluza i kominiarka leżały na ladzie. Chwyciłem bluzę, żeby ją szybko nałożyć, ale miała splątane rękawy i nie mogłem przepchnąć przez nią głowy. W końcu zrezygnowałem i zastygłem bez ruchu z bluzą przyciśniętą do piersi, jakbym chciał się kryć za kawałkiem zmiętego materiału.

Reflektory zgasty, warkot silnika umilkł. Z samochodu wysiadła kobieta.

Wyciągnąłem maczetę zza pasa i przykryłem ją gazetą kasjera.

Za przeszklonych drzwi widać było kałużę wina zmieszanego z krwią, widać było nawet lodówki przy tylnej ścianie. I ślady moich butów wiodące do lady, kształtne, wręcz idealnie odcisnięte, podobne do tych, jakie mają w szkołach tańca, świeże i jaskrawoczerwone, o lśniących wilgocią krawędziach. Gapiłem się na nie z roztrzepotanym sercem i mdlącą pustką w żołądku. Zdałem sobie sprawę, że działałem nieostrożnie, zupełnie bezmyślnie, że zostawiłem w sklepie swoją wizytówkę.

Gdy kobieta stanęła przed drzwiami, nad pawilonem przeleciał z rykiem podchodzący do lądowania samolot i cały budynek się zatrzęsł. Kobieta zadarła głowę, odruchowo się pochyliła. Była stara - dobijała siedemdziesiątki - lecz elegancko ubrana: ciemne futro, perłowe klipsy, buty na wysokim obcasie, maleńka czarna torebka. Mimo grubej warstwy szminki i różu, miała bardzo bladą twarz, jakby niedawno chorowała. Sprawiała wrażenie stanowczej i zdecydowanej: spieszyła się i chciała odrobić spóźnienie.

Przekreśliła klamkę, stwierdziła, że drzwi są zamknięte, ręką w czarnej rękawiczce osłoniła oczy i zajrzała do środka. Zobaczyła mnie natychmiast, bo stałem za ladą jak sparaliżowany. Demonstracyjnym gestem odchyliła rękaw futra, spojrzała na zegarek i pokazała mi dwa palce. Czytałem z ruchu jej warg: „Za... dwie... szósta!”

Pokręciłem głową.

- Zamknięte! - krzyknąłem.

Z zakamarków mózgu dobiegł mnie szaleńczy szept: „Pozwól jej odejść. Nie zapamięta cię. Pomyśli, że przed chwilą zamknąłeś interes, że już wychodzisz. Pozwól jej odejść”.

Oparłem się o ladę i znowu pokręciłem głową, szczerze pragnąc, żeby zawróciła, wsiadła do samochodu i odjechała.

Załomotała do drzwi.

- Chcę kupić tylko butelkę wina, nic więcej! - wrzasnęła.

Słyszałem ją jak z oddali. Jej głos kogoś mi przypominał, ale nie mogłem dociec kogo.

- Zamknięte! - odkrzyknąłem.

Postukała pięścią w szybę.

- Proszę!

Zbadałem wzrokiem swoje ręce. Obejrzałem je dokładnie, palec po palcu, by sprawdzić, czy nie są zakrwawione. Później spojrzełem na drzwi. Wciąż tam stała i wtedy uświadomiłem sobie, że nie odejdzie, że mnie do tego zmusi.

Znowu zastukała, tym razem głośniejsze.

- Młody człowieku!

Wiedziałem, że to zrobię, przeczuwałem, jak to się skończy. Doświadczenia ostatnich trzech miesięcy uwarunkowały mnie i wyszkoliły, eliminując inne możliwości, sprowadzając je do banalnych półśrodków, niefunkcjonalnych i bezowocnych, dzięki czemu wiedziałem, że w sytuacjach takich, jak ta, trzeba sięgnąć do środków ostatecznych. Niedawno spędziłem trzy godziny na rozmowach z policją. Gdyby potrafiła mnie opisać, od razu wiedzieliby, kim jestem. A wtedy bym wpadł i poszedł do więzienia. Czekał mnie koszmar - uświadomiłem sobie, że będzie to najstraszliwsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem, rzecz gorsza niż zamordowanie własnego brata, że będę tego żałował do końca życia, mimo to z nieprzymuszonej woli postanowiłem to zrobić. Byłem przerażony i zdenerwowany, niczym zwierzę w potrzasku. Przed chwilą zabiłem człowieka maczetą. Na spodniach i butach miałem jego krew, przy każdym oddechu czułem zapach Jakuba.

Wyszedłem zza lady.

- Tylko jedną butelkę wina! - krzyknęła.

Wetknąłem do zamka klucz, przekręciłem go, otworzyłem drzwi i wyjrzałem na dwór, żeby sprawdzić, czy kobieta jest sama. Nie dostrzegłem nikogo.

- Nie zajmę panu dużo czasu - wysapała lekko zdyszana. - Potrzebuję butelkę wina na prezent.

Gdy weszła do środka, zamknąłem drzwi na klucz. Klucze schowałem do kieszeni. ,

Odwróciła się do mnie.

- Chyba macie wino, prawda?

- Oczywiście - odrzekłem. - Wino, piwo, szampan...

Czekała, aż powiem coś więcej, lecz ja zamilkłem. Uśmiechałem się do niej, blokując wyjście. Już podjąłem decyzję i ogarnął mnie zdumiewający spokój. Tak samo czułem się,

strzelając do Sonny'ego: wszedłem na wytyczony szlak, odgrywałem swoją rolę.

- No więc gdzie jest to wino? - Jeszcze nie zauważyła krwawych śladów na podłodze.

- Najpierw musimy zawrzeć pewną umowę - odparłem.

- Umowę? - powtórzyła zdezorientowana. Po raz pierwszy uważnie mi się przyjrzała, badając spojrzeniem moją twarz i oczy. - Nie mam czasu na żarty, młody człowieku - dodała, unosząc władczo głowę.

- Przewróciłem półkę z czerwonym winem. - Wskazałem przed siebie.

Zerknęła w tamtą stronę i zobaczyła kałużę.

- O mój Boże...

- Szczotka jest na półce w magazynie i żeby ją zdjąć, muszę wejść na drabinę.

Problem w tym, że drabina się osuwa.

Przeszyła mnie wzrokiem.

- Prosi mnie pan, żebym przytrzymała drabinę?

- Wpuszczając panią do środka, oddałem pani przysługę.

- Przysługę? - prychnęła. - Zamknął pan za wcześniej, urwał pan kilka minut. Nie przypuszczam, żeby pański szef uznał to za wielką przysługę.

- Proszę tylko.

Postukała palcem w zegarek.

- Było za dwie szósta, młodzieńcze. Przysługa! Coś takiego!

- Proszę posłuchać. Nie mogę posprzątać bez szczotki i szmaty, a jeśli mi pani nie pomoże, to ich po prostu stamtąd nie zdejmę.

- Któż to słyszał, żeby trzymać szczotkę na półce?

- Proszę tylko o minutę pani czasu.

- Jestem ubrana do kolacji, młody człowieku. Niech pan spojrzy. W takim stroju nie mogę trzymać żadnych drabin.

- A gdybym zaproponował pani wino na koszt firmy? Którekolwiek pani wybierze. Musi pani tylko pójść ze mną do magazynu i przytrzymać drabinę.

Zawahała się i zamyślona zmarszczyła czoło. Za oknem śmigały samochody, malując na autostradzie długą smugę światła.

- Mówił pan, że macie szampana?

Kiwnąłem głową.

- Dom Perignon?

- Tak, oczywiście.

- W takim razie chcę Dom Perignon.

- Dobrze, jak pani sobie życzy.

Wróciłem do lady, owinąłem maczetę gazetą, podszedłem do kobiety i ująłem ją za łokieć.

- Przejdziemy bokiem, ominie to rozlewisko. Pozwoliła się poprowadzić. Obcasy jej bucików zastukały głośno na wyłożonej terakotą podłodze.

- Ale nie ubrudzę się, prawda? Jeśli będę musiała dotknąć czegoś brudnego, stanowczo odmawiam.

- W magazynie jest bardzo czysto - zapewniłem.

- Chodzi tylko o przytrzymanie drabiny.

Szliśmy przejściem między półkami przy ścianie. Prześlizgiwałem się wzrokiem po leżących na nich towarach, podświadomie rejestrując ich nazwy: chleb, grzanki do zupy, sos do sałatek, papier toaletowy, chusteczki higieniczne, gąbki, owoce w puszkach, ryż, krakersy, precelki, czipsy.

- Nie mam zbyt wiele czasu. - Odchyliła rękaw futra i zerknęła na zegarek. - Jestem już spóźniona.

Wciąż trzymałem ją za łokieć, a maczetę ścisnąłem w lewej ręce. Przez papier wyczuwałem zimne ostrze.

- Załatwimy to błyskawicznie, o tak. - Puściłem jej łokieć i strzeliłem palcami. - Wejdę na drabinę, zdejmę szcztokę, zejść, podam pani szampana i wróci pani do samochodu.

- To naprawdę dość niezwykła sytuacja - odrzekła.

- Pierwszy raz przydarza mi się coś takiego.

Gdy ponownie ująłem ją za łokieć, obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem.

- Już nigdy tu nie przyjadę, młody człowieku. Pierwszy i ostatni raz zaszczyliłam ten przybytek swoją obecnością. Oto do czego prowadzi stawianie klientów w niezręcznej sytuacji. To ich zniechęca i odstrasza.

Słuchałem jej jednym uchem. Nie wiadomo dlaczego nagle się zdenerwowałem. I to bardzo, bo serce zaczęło walić mi jak młotem, a krew pulsowała w skroniach, jakby żyły stały się dla niej za ciasne.

Dochodziliśmy do końca przejścia. Kałuża sięgała ściany i blokowała dostęp do drzwi. Na jej skraju widniały ślady butów i czerwone smugi, które zostawiło za sobą ciało kasjera, gdy wlokłem je do magazynu. Kobieta ujrzała to wszystko i przystanąła w pół kroku.

- Nie zamierzam przez to przechodzić!

Ścisnąłem ją za łokieć, stanąłem z tyłu i pchnąłem ją w stronę drzwi.

- Co pan, do licha, wyprawia, młodzieńcze?!

Wetknąłem maczetę pod pachę, chwyciłem staruszkę obiema rękami i na wpół przeniosłem, na wpół przepchnąłem ją przez szkarłatne rozlewisko.

Tup-tup-tup - drobiąc, podnosząc wysoko nogi, przetańczyła na drugą stronę kałuży.

- To oburzające! - wykrzyknęła piskliwie.

Namacalem klamkę i spojrzałem w dół: jej buciki były uwalane winem i krwią. Zauważyłem, że kobieta ma bardzo małe stopy, zupełnie jak dziecko.

Próbowała wyszarpnąć rękę i krzyczała:

- Nie... będę... tolerowała...!

Nie zwolniłem uchwytu. Trzymałem ją mocno. Wbiłem palce w futro i trzymałem.

- ...chamów... i... prostaków!

Wreszcie otworzyłem drzwi i pomagając sobie drugą ręką, wepchnąłem staruszkę do magazynu. Wtedy ująłem maczetę i rozwinąłem ją z gazety. Gazetę upuściłem. Wylądowała w kałuży.

Miała zadziwiający zmysł równowagi. Jakby wyczuła, że leżą przed nią zwłoki i jeszcze zanim zdała sobie sprawę, że widzi trupa, zrobiła dwa szybkie kroczki, tak że jedną nogą stanęła przy głowie, drugą przy piersi kasjera.

Zaczęła się do mnie odwracać z ustami rozwartymi do krzyku, lecz w tym samym momencie jej uwagę przykuła potworna przeszkoda zagrażająca drogę.

- Dobry Boże - szepnęła.

Zamierzałem zrobić to szybko, tak szybko i sprawnie, jak tylko zdołam. Chciałem uderzyć od tyłu, zadać jeden silny cios i wyjść, lecz powstrzymał mnie dźwięk jej głosu, bo nagle uświadomiłem sobie, kogo mi ten głos przypomina. Doznałem prawdziwego szoku. To przecież Sara - głos kobiety brzmiał identycznie, miał identyczną barwę, był może tylko nieco wyższy i piskliwszy, ale to tylko kwestia wieku; staruszka mówiła z taką samą stanowczością, z taką samą pewnością siebie, z taką samą rezolucją. Pamiętam, pomyślałem wtedy, że właśnie tak będzie brzmiał głos siedemdziesięcioletniej Sary.

Wykorzystując moje wahanie, kobieta przeszła mnie wzrokiem, a wyraz jej twarzy - mieszanina strachu, wstrętu i konsternacji - sprawił, że znieruchomiałem.

- Nie rozumiem... - urwała, kręcąc głową.

W magazynie było ciemno; wpadało tam tylko światło bijące zza drzwi, w których stałem. Rzuciłem cień. Cień sięgał jej pasa. Maczetę trzymałem w wyciągniętych przed siebie rękach, jakbym chciał staruszki bronić.

- Co to jest? - spytała drżącym głosem, cały czas zachowując zdumiewający spokój i opanowanie. Ostrożnie przestąpiła z nogi na nogę i stanęła okrakiem nad trupem kasjera.

Skraj futra leżał na jego brzuchu i trochę się podgiął. Spojrzała na mnie.

Wiedziałem, że powinienem ją zabić, że im dłużej tam zostanę, tym gorzej dla mnie, lecz całe lata szlifowania ogłady i towarzyskiego obycia usunęły tę świadomość w cień i zmusiły mnie do odpowiedzi. I odpowiedziałem. Automatycznie, bez namysłu.

- Zabiłem go.

Zerknęła na twarz kasjera, potem przeniosła wzrok na mnie i wskazała maczetę.

- Tym?

Kiwnąłem głową.

- Tak, tym.

Patrzyliśmy na siebie dziesięć, może piętnaście sekund, chociaż zdawało się, że trwa to znacznie dłużej. Czekaliśmy, aż któreś z nas wykona pierwszy ruch.

Ścisnąłem rękojęść. Mózg wysłał do ramienia polecenie, jednoznaczne, dokładne i bezpośrednie: uderz ją! Lecz ramię ani drgnęło.

- Co z pana za człowiek?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem. Sondowałem wzrokiem jej twarz i myślałem. Nie wiadomo dlaczego uznałem, że muszę jej odpowiedzieć, że to bardzo ważne.

- Normalny. Przeciętny - odrzekłem w końcu.

- Normalny? Tylko potwór byłby zdolny do...

- Mam pracę. Żonę, córeczkę.

Gdy wspomniałem o żonie i córeczce, uciekła wzrokiem w bok, jakby nie chciała tego słyszeć. Zauważyła, że skraj futra opiera się o brzuch trupa i próbowała je unieść, ale było za długie. Znowu popatrzyła na mnie.

- Jak pan mógł coś takiego zrobić?

- Musiałem.

- Musiał pan? - spytała, jakbym powiedział coś absurdalnego. Otaksowała spojrzeniem maczetę. - Musiał pan zabić go... tym? - dodała z obrzydzeniem.

- Ukradłem pieniądze.

- Jestem pewna, że nie musiał pan przy okazji zabijać. Mógł pan...

Pokręciłem głową.

- Nie jemu. Znalazłem je w samolocie.

- W samolocie?

- Tak. Cztery miliony dolarów.

Była zbita z tropu. Straciłem z nią kontakt.

- Cztery miliony dolarów? - powtórzyła niepewnie.

- Okup. Za uprowadzoną dziewczynę. Nachmurzyła czoło. Myślała, że kłamię.

- Co to ma wspólnego z nim? - spytała rozsierdzona, wskazując martwego kasjera. - Albo ze mną? Próbowałem jej to wytłumaczyć.

- Zabiliśmy z bratem pewnego człowieka, żeby nie dowiedział się o pieniądzach. Potem mój brat zastrzelił swego przyjaciela, żeby mnie bronić, a ja zastrzeliłem jego przyjaciółkę i właściciela domu, w którym mieszkali, żeby chronić brata, ale brat się załamał, więc musiałem go zabić, żeby nie wpaść w ręce policji, a później porywa...

Była tak przerażona, że urwałem w pół słowa - nagle zdałem sobie sprawę, że muszę sprawiać wrażenie psychopaty, człowieka chorego umysłowo.

- Nie, nie jestem wariatem - dodałem, starając się mówić spokojnie i rozsądnie. - To wszystko ma sens. Jak w reakcji łańcuchowej.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Przerwał ją ryk samolotu przelatującego nad dachem pawilonu. Przez sklep przetoczyło się jęgliwe echo gwizdu silników.

- Chciałem, żeby pani odeszła, ale pani wciąż waliła do drzwi. Nie posłuchała mnie pani.

Zdjęła klipsy i jeden po drugim wrzuciła je do otwartej torebki.

- Proszę - powiedziała.

Gapiłem się na nią, nie rozumiejąc, czego ode mnie chce.

- Niech pan to weźmie.

Wyciągnąłem lewą rękę i ostrożnie ująłem torebkę.

- Nie zrobiłem tego dla pieniędzy. Nie chciałem.

Milczała. Nie wiedziała, o czym mówię.

- Było jak w tych starych bajkach o ludziach zaprzędających duszę diabłu. Jeden zły uczynek pociąga za sobą jeszcze gorszy, a ten gorszy zmusza człowieka do popełnienia czynu jeszcze straszniejszego. I tak dalej, i tak dalej. Dotarłem aż tutaj, na samo dno. - Wskazałem maczetą trupa. - Głębiej pogрузić się nie można.

- Nie - szepnęła kobieta, chwytając się ostatniej deski ratunku. - Nie można.

Wyprostowała się, wyciągnęła do mnie rękę. Przesząpiłem z nogi na nogę i zrobiłem krok do tyłu.

- Na tym poprzestaniemy, prawda?

Chciała spojrzeć mi w oczy, ale szybko odwróciłem głowę i popatrzyłem na martwego brodacza. Gapił się w sufit.

- Już dość, już wystarczy. - Ostrożnie, z wahaniem, jakby stała na zamrożonym stawie i badała nogą śliskość lodu, ruszyła w moją stronę.

Wciąż słyszałem głos Sary. Czaił się pod otoczką wypowiedzianych przez kobietę słów i mimo rozpaczyliwych prób, nie mogłem go stamtąd wyrugować. Torebkę ścisnąłem w lewej, maczetę w prawej ręce.

- Pomogę panu - szepnęła.

Stanęliśmy ramię w ramię. Powoli, ostrożnie, jakbym był małym dzikim zwierzątkiem, które bała się sprowokować do obrony, zaczęła mnie obchodzić, zmierzając do drzwi.

- Wszystko będzie dobrze.

Postąpiła jeszcze jeden krok i minęła próg. Śledziłem ją wzrokiem.

Przez moment miałem szczerą ochotę pozwolić jej odejść. Chciałem, żeby to za mnie skończyła, pragnąłem złożyć swój los w jej ręce.

Lecz sekundę później odwróciła się do mnie plecami - przechodziła na palcach przez kałużę - i powstrzymujące mnie hamulce puściły. Zrobiłem krok do przodu, uniosłem maczetę nad głowę i ciąłem ją w szyję.

Tak samo jak kasjer, wyczuła, że uderzyłem, zanim ostrze ją ugodziło. Zaczęła się odwracać i podnosić rękę, skrzekliwie zapiszczała, jakby - co absurdalne - chciała zdławić w sobie śmiech, a potem maczeta rozplatała jej szyję. Siła ciosu odrzuciła staruszkę w lewo, na półki. Upadła na podłogę, zrzucając z nich kilka puszek zupy.

Umarła inaczej niż kasjer, bez żadnych melodramatycznych gestów. Po prostu upadła w kałużę i krwawiąc skonała. Puszki poturlały się po podłodze z cichutkim metalicznym brzękiem, a gdy znieruchomiały, w sklepie zapadła głucha cisza.

Cały świat zamarł.

Do domu dotarłem tuż przed siódmą. Zaparkowałem na podjeździe i pamiętając, że okna sąsiadów są bardzo blisko, maczetę i futro staruszki zostawiłem w samochodzie.

Stanąwszy na ganku, poczułem swąd palonego drewna, ostry i kojący. Sara rozpałała w kominku.

Zdjąłem buty i wniosłem je do środka.

W korytarzu panowała ciemność, a drzwi do saloniku były zamknięte. Sara krzątała się w kuchni. Usłyszałem cichy odgłos otwieranej lodówki i brzęk kieliszków. Mignęła mi w progu. Była w szlafroku, miała rozpuszczone włosy.

- Zaczekaj! - krzyknęła. - Nie wchodź, dopóki cię nie poproszę.

Światło w kuchni zgasło i usłyszałem, jak Sara wchodzi do saloniku. Znieruchomiałem w ciemnym korytarzu z butami w jednej, z papierową torebką wypchaną pieniędzmi w drugiej ręce. Po jej głosie poznałem, że jest podekscytowana, szczęśliwa. Myś-

łała, że nareszcie jesteśmy wolni, wolni i bogaci, i chciała to oblać. Nie wyobrażałem sobie, jak jej to powiem.

- Już! - krzyknęła. - Chodź!

Byłem tylko w skarpetkach, więc bezszelestnie przeciąłem korytarz i wetknąwszy torebkę pod pachę, rozsunąłem drzwi.

- Voila! - zawołała triumfalnie.

Leżała na podłodze, podpierając się łokciem. Zrzuciła szlafrok i owinęła się skórą niedźwiedzia sprzed kominka. Pod spodem była naga. Uwodzicielsko rozpuszczone włosy zasłaniały jej twarz, ale po sposobie, w jaki trzymała głowę, poznałem, że się do mnie uśmiecha. Tuż przy łokciu stała butelka szampana. Obok niej - dwa kieliszki.

Światło było zgaszone; salonik tonął w miękkiej poświacie bijącej od ognia, który migocząc w lustrze naprzeciwko, wprawiał pokój w pozorne drżenie, jakby ktoś stojący na dworze walił pięścią w ścianę. Okna były szczelnie zasłonięte.

Najpierw zobaczyłem płócienną torbę. Stała w drzwiach do kuchni, pusta i sflaczała. Pieniądze leżały na podłodze, paczka przy paczce. Starannie ułożone, tworzyły jednolity zielonkawy dywan. Na dywanie spoczywała Sara.

- Oto plan wieczoru - rzekła matowym głosem przez kurtynę z włosów. Podniosła butelkę. - Lekko się wstawimy, a później przelecę cię na materacu za cztery miliony dolarów.

Kusicielski alt zawiódł ją, gdy wypowiadała ostatnie słowa, i nagle onieśmielona, zachichotała jak mała dziewczynka.

- Powiadają, że jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.

Ani drgnąłem. Nie zdążyłem nawet zdjąć czapki i kurtki. Zapadła cisza. Sara czekała. Odrętwiały milczałem, bo dosłownie sparaliżowało mi umysł,

- Chcesz najpierw coś zjeść? - spytała zatroskana. - Jadłeś kolację?

Usiadła. Niedźwiedzia skóra zsunęła się jej z ramienia, odsłaniając pierś.

- W lodówce jest kurczak.

Zamknąłem drzwi. Nie wiedziałem, jak zacząć, szukałem słów. Czułem się dziwnie, jakbym zaraz miał zrobić coś brutalnego.

- Gdzie Amanda? - wydukałem, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Sara odgarnęła włosy.

- Na gorze, śpi. - Chwilę milczała. - Dlaczego pytasz?

Wzruszyłem ramionami.

Oparła się na wyciągniętej ręce i otaksowała mnie uważnym spojrzeniem.

- Hank? Co się stało?

Ostrożnie obszedłem rozłożone pieniądze i usiadłem na taborecie przy fortepianie. Nachyliłem się, żeby postawić buty, ale zmieniłem zamiar i ustawiłem je na kolanach, na papierowej torbie z drobnymi ze sklepu. Zatrzeszczała pod ich ciężarem. Na podszewkach śmierdzących winem butów dostrzegłem czarne plamy.

- Piłeś? - Musiała się odwrócić, żeby mnie zobaczyć. Skrzyżowała nogi i usiadła całkiem prosto.

Powoli pokręciłem głowę.

- Pieniądze są znaczone - wychrypiałem.

Nie zareagowała. Po prostu na mnie patrzyła.

- Jesteś pijany, Hank. Cuchniesz. - Narzuciła skórę na ramiona, zakrywając pierś. Lewe kolano trochę wystawało i w blasku płomieni nabrało barwy białego, twardego marmuru.

- Są znaczone - powtórzyłem.

- Gdzieś ty był? W barze?

- Wpadniemy, jeśli zaczniemy je wydawać.

- Jedzie od ciebie wińskim, Hank. Śmierdzisz jak dorożkarz. - Wypowiadając ostatnie zdanie, podniosła głos. Była zła, bo zepsułem jej uroczystość.

- Nic nie piłem, Saro. Jestem zupełnie trzeźwy.

- Przecież czuję.

- To moje spodnie i to. - Pokazałem jej buty. - Są przesiąknięte winem.

Popatrzyła na buty, później obrzuciła wzrokiem moje poplamione dżinsy. Nie wierzyła mi.

- Gdzieś ty polazł, że się tak ubrudziłeś? - spytała z powątpiewaniem.

- Byłem koło lotniska.

- Koło lotniska? - Wciąż myślała, że kłamię. Jeszcze nic nie rozumiała.

- Pieniądze są znaczone - powtórzyłem. - Jeśli zaczniemy je wydawać, wpadniemy.

Nie spuszczała mnie z oka, ale złość powoli jej przechodziła. Widziałem, że gorączkowo myśli, że układa w głowie fragmenty układanki, że jeden po drugim trafiają na swoje miejsce.

- Pieniądze nie są znaczone, Hank.

Nie odpowiedziałem; wiedziałem, że już nie muszę. Nareszcie pojęła.

- Jakim cudem? - szepnęła.

Prześledziłem myślą wszystko, co zrobiłem w sklepie po zamordowaniu staruszki. Byłem zmęczony, czułem się głupio, jakbym zapomniał o jakimś niezwykle istotnym

szczegóły.

- Odbija ci. Gdyby były znaczone, pisałiby o tym w gazetach.

- Rozmawiałem z agentami FBI. Sami mi o tym powiedzieli.

- Może podejrzewają, że je wzięłeś. Może próbują cię nastraszyć. Uśmiechnąłem się smutno i pokręciłem głową.

- Jestem pewna, że pisałiby o tym w prasie.

- Nie, Saro. Widzisz, ci z FBI zastawili pułapkę i chcą w nią złapać tych, którzy te pieniądze wzięli. Zanim przekazano okup, spisali numery seryjne banknotów. Banki będą miały na nie oko.

- Przecież nie mogli tego zrobić. Tu jest czterdzieści tysięcy banknotów, Hank. Spisywaliby je sto lat.

- Spisali tylko pięć tysięcy sztuk.

- Pięć tysięcy?

- Pięć tysięcy.

- W takim razie reszta jest czysta, tak? Wiedziałem, dokąd zmierza i pokręciłem głową.

- Nie odróżnisz spisanego od nie spisanego, nie ma na to sposobu. Jedna na dziesięć wydanych przez nas setek byłaby trefna. Nie możemy ryzykować.

Na jej twarzy igrał migotliwy blask ognia. Sara myślała.

- Mogłabym postarać się o pracę w banku i wykraść tę listę.

- W normalnym banku ich nie mają. Listy są tylko w bankach federalnych.

- Mogłabym spróbować w federalnym, na przykład w Detroit.

Westchnąłem.

- Przestań, Saro. To już koniec. Wszystko utrudniasz.

Powiodła wzrokiem po dywanie z pieniędzy.

- Jedną setkę już wydałam - szepnęła. - Dziś po południu.

Wyjąłem z kieszeni studolarówkę. Rozłożyłem ją i pokazałem Sarze.

Patrzyła na nią kilka sekund, potem spojrzała na moje buty.

- Zabiłeś go?

- To już koniec, o Ukochana...

- Jak?

Opowiedziałem jej wszystko po kolei: o tym, jak zadzwoniłem na policję i zameldowałem o autostopowiczu z maczetą, o tym, jak kasjer chciał mnie zaatakować i jak go zamordowałem. Pokazałem jej nawet siniak na piersi, ale chyba go nie widziała, bo światło

było kiepskie. Przerwała mi, nim zacząłem mówić o staruszcze.

- Boże, Hank, jak mogłeś to zrobić?

- Nie miałem wyboru. Musiałem odzyskać banknot.

- Powinieneś być to sobie odpuścić.

- Zapamiętałby cię, Saro. Zapamiętałby dziecko i tę historyjkę o zaręczynach siostry.

- Nie wiedział, kim jestem i...

- Byłaś na pogrzebie Jakuba, pokazywali cię w telewizji. Opisałby cię, ktoś by sobie o tym przypomniał i poskładaliby wszystko do kupy.

Zamyśliła się. Niedźwiedzia skóra znowu zsunęła się jej z ramienia, ale nie zwracała na to uwagi.

- Mogłeś zabrać do sklepu pięć dwudziestek i poprosić kasjera, żeby zwrócił ci tę setkę. Powiedziałbyś, że jesteś sentymentalny, a żona...

Traciłem cierpliwość.

- Saro, nie miałem czasu na szukanie dwudziestek. Musiałbym przyjechać po nie do domu i zanimbym obrócił, sklep byłby już zamknięty.

- Mogłeś pójść do banku.

- Było za późno.

Chciała coś powiedzieć, ale nie dałem jej dojść do słowa.

- Wszystko jedno. Stało się.

Patrzyła na mnie z otwartymi ustami. Zamknęła je i kiwnęła głową.

- Fakt - szepnęła.

Zamilkliśmy. Oboje zastanawialiśmy się, dokąd zabrnęliśmy i jaki będzie nasz następny krok. W kominku trzasnęło przepalone polano. Buchnął snop iskier i w twarz uderzyła mnie leciutka, ledwo wyczuwalna fala ciepła. Cicho tykał zegar.

Sara podniosła paczkę pieniędzy i zważyła ją w ręku.

- Przynajmniej nas nie złapali - skostatowała. Nie odpowiedziałem.

- To jeszcze nie koniec świata. - Uśmiechnęła się do mnie wymuszonym uśmiechem. - Jesteśmy w punkcie wyjścia. Możemy sprzedać dom na Florydzie, fortepian...

Na wspomnienie domu na Florydzie poczułem w piersi ostry ból, jakby ugodziła mnie strzała. Czubkami palców dotknąłem mostka. Zdażyłem o tym zapomnieć, zdażyłem usunąć to z pamięci, a ona...

- Wyrządziliśmy wiele zła - kontynuowała - ale tylko dlatego, że musieliśmy. Wpadliśmy w całą serię pułapek.

Pokręciłem głową, ale nie patrzyła na mnie.

- Najważniejsze - mówiła - najistotniejsze jest to, że nie wpadliśmy.

Próbowała obejść sedno problemu, usiłowała przedstawić sytuację w jak najkorzystniejszym świetle. Natychmiast to wyczułem - podchodziła w ten sposób do wszystkich życiowych tragedii. Zwykle podziwiałem ją za to, bo dzięki temu łatwiej je znosiłem, lecz tym razem wszystko upraszczała, brała rzecz zbyt lekko, zapominając, co zrobiliśmy. Zamordowano dziewięcioro ludzi.

Sześcioro z nich zabiłem własnymi rękami. Wydawało się, że to niemożliwe, lecz taka była prawda. Sara próbowała od niej uciec, próbowała zbagatelizować fakt, że ludzie ci zginęli przez nas, przez nasze plany, przez naszą chciwość i strach. Chciała uchylić się od wynikających z tego implikacji, uniknąć szkód, jakie - o czym dobrze wiedzieliśmy - kiedyś nam one wyrządzą. Ale uciec od tego nie byliśmy w stanie; zrozumiałem to już wtedy.

- Nie możemy sprzedać fortepianu. Spojrzała na mnie zdziwiona, że w ogóle się odzywam.

- Kupiłem go na wyprzedazy. - Dotknąłem klawiatury i wcisnąłem klawisz z prawej strony. Rozległ się wysoki dźwięk, jak kłaskanie ptaszka. - Nie przyjmą go z powrotem.

Wzruszyła ramionami.

- Zawsze można dać ogłoszenie w gazecie - zasugerowała. Zamknąłem oczy i powiedziałem:

- Nie kupiłem tego domu. - Gdy je otworzyłem, patrzyła na mnie skonsternowana. - To była lipna licytacja. Nabili mnie w butelkę. Ukradli pieniądze.

- O czym... - wyjąkała - o czym ty mówisz?

- Orznęli mnie, zrealizowali czek. Dom na Florydzie nie istnieje.

Pokręciła głową, otworzyła usta, zamknęła je, po czym znowu otworzyła.

W końcu spytała:

- Jak to możliwe?

Poprawiłem buty na kolanach, ustawiając je równiutko. Krew zdążyła już wyschnąć i trochę zeszywniały.

- Nie wiem.

- Zameldowałeś o tym policji?

Uśmiechnąłem się.

- Daj spokój.

- Dałeś się tak po prostu ograbić?

Zrobiłem nieokreślony gest ręką.

- Ze wszystkich oszczędności?

- Tak - odrzekłem - ze wszystkich.

Dotknęła czoła wierzchem dłoni. Wciąż trzymała paczkę pieniędzy.

- Utknęliśmy tu na zawsze, prawda? - szepnęła.

- Już nigdy nie wyjedziemy.

Pokręciłem głową.

- Mamy pracę. Zaczniemy oszczędzać.

Próbowałem Sarę pocieszyć, ale już wówczas pojąłem wagę jej słów. Jednego dnia z milionerów staliśmy się żebrakami. Na koncie zostało nam tysiąc osiemset siedemdziesiąt osiem dolarów, czyli nic. Wiedziałem, że lada chwila będziemy musieli naruszyć i tę resztkę; potrzebowaliśmy pieniędzy na spłatę miesięcznych rat za dom i samochód, na uregulowanie rachunków za telefon, za prąd, wodę i gaz. Będziemy musieli wykupić karty kredytowe, będziemy musieli kupować jedzenie i ubranie. Od tej chwili życie stanie się walką o byt, nieustannym bojem o związanie końca z końcem. Całe dorosłe życie przysięgałem sobie, że nie będziemy ludźmi, jakimi od tego momentu mieliśmy być: biedakami, jak moi rodzice.

Wiedziałem też, że Fort Ottowa na zawsze pozostanie naszym domem; nim zaoszczędzimy pieniądze na wyjazd, trzeba będzie zatroszczyć się o wykształcenie Amandy, o nowy samochód, o emeryturę. Tak, pomrzemy tu i do końca życia nie oczyścimy domu ze śladów naszych zbrodni. Salonik, sypialnie, kuchnia - pułapki straszliwych wspomnień - będą na nas wiecznie czyhać i wiecznie nas oskarżać. Podłoga pod łóżkiem na zawsze pozostanie miejscem, gdzie ukryliśmy płócienną torbę z czterema milionami dolarów, pokój gościnny - miejscem, gdzie Jakub spędził ostatnią noc swego życia, kuchnia - miejscem, gdzie upychaliśmy pieniądze do dziecięcego nosidełka, fortepian - miejscem pijanego obrządku miłosnego, którym chcieliśmy ochrzcić świetlaną przyszłość.

Sara nie miała racji - nie wracaliśmy do punktu wyjścia. Straciliśmy wszystko, ze wszystkiego sami zrezygnowaliśmy i to już wtedy, pierwszego dnia, z czego zupełnie nie zdawaliśmy sobie sprawy. I bez względu na to, jak długo dane nam będzie żyć, już nigdy tego nie odzyskamy.

Wyciągnęła do mnie rękę, w której ścisnęła paczkę pieniędzy.

- Mamy to - powiedziała.

- To tylko plik bezwartościowych papierków, Saro.

- To nasze pieniądze.

- Musimy je spalić.

- Spalić? - spytała zaskoczona. Opuściła rękę i poprawiła niedźwiedzią skórę na ramionach. - Nie możemy ich spalić. Większość banknotów jest dobra.

- Butów też muszę się pozbyć. - Podniosłem je do światła i obróciłem w powietrzu. - Tylko jak?

- Nie pozwolę spalić pieniędzy, Hank.

- I tej butelki szampana, i portfela, i zegarka, i kluczy...

Chyba mnie nie słuchała.

- Możemy uciec - mówiła. - Możemy podróżować i wydawać pieniądze w drodze. Możemy wyjechać do Ameryki Południowej, do Australii, gdzieś daleko stąd. Możemy żyć jak banicy, jak Bonnie i Clyde... - Urwała i potoczyła wzrokiem po rozłożonych przed kominkiem pieniądzech. Lśniły w blasku płomieni. - Przecież niektóre są dobre - szepnęła.

- I jeszcze torebki - dodałem. - No i futra...

- Może kiedy odczekamy kilka lat, zapomną o tych numerach. Moglibyśmy przetrzymać pieniądze aż do starości...

- Co zrobić z futrem? Jak się go pozbyć?

Drgnęła, przeszła mnie wzrokiem.

- Z futrem?

Miałem zawroty głowy. Od rana nic nie jadłem. Byłem tak bardzo zmęczony i głodny, że bolało mnie całe ciało. Wymacałem opuchnięte żebro, próbując zbadać, czy nie jest złamane.

- Skąd wzięłeś futro?

- Miała je pewna staruszka. Zaskoczyła mnie w sklepie.

- O mój Boże, o Boże, Hank...

- Byłem bez kominiarki. Nie chciałem jej wpuścić, ale się uparła.

Na górze, dokładnie nad naszymi głowami, zapłakało dziecko.

Patrzyłem w ogień. Nie potrafiłem się skupić, nie umiałem wyłowić z chaosu ani jednej konkretnej myśli. Umysł odmawiał posłuszeństwa, niczym okręt z zerwaną kotwicą; nie mogłem na nim polegać. Nie wiadomo dlaczego zacząłem myśleć o pilocie awionetki w parku Andersa, o bracie Vernona, i przypomniałem sobie ten nagły i niewytłumaczalny impuls, który nakazywał mi dotknąć trupa. Później wróciłem myślą do sklepu, do chwili, gdy tuż przed wyjściem zacierałem szmatą ślady moich butów: rozsmarowywałem krew, a ona, stopniowo tracąc czarny odcień, robiła się coraz czerwiejsza, by w końcu poróżowieć. Potem stanął mi przed oczyma obraz Jakuba w jaskrawoczerwonej kurtce, Jakuba z rozkrwawionym nosem, Jakuba płaczącego nad ciałem Dwighta Pedersona. A gdy obraz się rozplynał, przeszedł mnie złowróżbny dreszcz. Zrozumiałem, że długi finansowe, które przyjdzie nam zaciągnąć, to jeszcze nie wszystko. Pojąłem, że będę musiał rozliczyć się z samym sobą, że

będę musiał racjonalnie wytłumaczyć sobie sprawy, przy których strata czterech milionów dolarów jest kwestią bez znaczenia.

W głowie zaświtała mi nie proszona myśl: nic nam nie zostało. Nic nam nie zostało.

- O mój Boże - powtórzyła szeptem Sara.

Postawiłem buty na fortepianowym taborecie, wstałem, ostrożnie obszedłem rozłożone pieniądze i stanąłem przy kominku.

Sara śledziła mnie wzrokiem.

- Hank?

Zdjąłem druciany ekran ochronny i szybkim ruchem rzuciłem w ogień papierową torbę z utargiem brodatego kasjera.

- Zatrzymajmy je - prosiła Sara. - Zobaczmy, co się będzie działo.

Torba buchnęła jasnym płomieniem, skurczyła się, zwinęła jak zaciśnięta pięść i zaczęły wypadać z niej monety. Brzdęk-brzdęk-brzdęk - jedna po drugiej spadały z cichym brzękiem na cementowe dno paleniska. Osmolona dwudziestopięciocentówka wytoczyła się leniwie na podłogę. Kopnąłem ją i wpadła w popiół.

- Hank, nie pozwolę ich spalić.

Amanda płakała coraz głośniej, coraz głośniej krzyczała. Krzyk niósł się echem po całym korytarzu. Ani Sara, ani ja nie zwracaliśmy na to uwagi.

- Musimy - odrzekłem. - To ostatni dowód.

- Nie - błagała drżącym głosem, bliska płaczu. - Hank, nie rób tego!

Przykucnąłem. W twarz uderzył mnie podmuch gorąca, otwierając wszystkie pory.

- Obiecałem ci, że jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli, spalę je w tym kominku.

Prawda?

Nie odpowiedziała.

Sięgnąłem za siebie i wymacałem paczkę pieniędzy. Podniosłem ją i uciekając wzrokiem w bok, cisnąłem w ogień dziesięć tysięcy dolarów. Długo trwało, zanim się spaliły; banknoty były ciasno ułożone, więc najpierw tylko kopciły, potem farba szcerniała i buchnęły zielonkawym płomieniem.

Sięgnąłem po drugą paczkę i rzuciłem ją na tę płonąca. Uświadomiłem sobie, że zajmie mi to bardzo dużo czasu, że później muszę pozbyć się popiołu, że trzeba zakopać go w ogródku albo spuścić z wodą w ubikacji. I jeszcze buty, i kominiarka, i bluza, i torebka, i futro, i maczeta, i klipsy staruszki, i zegarek kasjera, jego portfel i klucze.

Nagle usłyszałem szelest. To Sara. Podnosiła pieniądze z podłogi.

Amanda wciąż płakała, lecz jej płacz dochodził jakby z oddali, stanowił tylko tło

ciszy, jak szum samochodów za oknem.

Obejrzałem się. Sara siedziała zgięta w pół i pod niedźwiedzią skórą wyglądała jak stara indiańska squaw. Patrzyła w ogień.

- Proszę! - szepnęła.

Pokręciłem głową.

- Musimy, Saro. Nie mamy wyboru.

Podniosła oczy i dopiero wtedy zobaczyłem, że płacze, że ma mokre policzki; do lewego przywarł kosmyk włosów. Skóra, którą udrapowała na ramionach, nagle opadła, odsłaniając nagie kolana. Ułożyła na nich co najmniej dwadzieścia paczek z nadzieją, że uratuje je od ognia.

- Co my bez nich zrobimy? - Pierwsze cztery słowa wypowiedziała wyraźnie, ostatnie wyszlochała.

Nie odpowiedziałem. Pochyliłem się tylko i bardzo powoli rozsunąłem jej rękę. Potem brałem pieniądze i paczka po paczce wrzucałem je w płomień.

- Damy sobie radę - skłamałem, żeby dodać jej otuchy. - Zobaczysz. Będzie jak dawniej.

Spalenie pieniędzy zajęło mi cztery godziny.

Pierwszą stroną niedzielnego „Ostrza Toledo” zdominował artykuł poświęcony śmierci Carla. Zamieścili zdjęcia samolotu, torby z pieniędzmi, zwłok Vernona. O sklepie jeszcze nie pisali; ciała kasjera i staruszki odkryto dopiero o piątej rano, więc sensacja musiała poczekać do wieczornego wydania gazety.

Staruszka nazywała się Diana Baker. Odwiozła syna na lotnisko i była w drodze na przyjęcie w Perrys-burgu. Gdy się tam nie pojawiła, gospodarze zadzwonili do niej do domu, a ponieważ nikt nie podnosił słuchawki, zatelefonowali na policję. Przejeżdżający koło sklepu patrol zauważył na parkingu jej samochód. Zatrzymali się, zajrzeli przez okno i zobaczyli krwawe smugi, które zostawiłem na podłodze, zacierając ślady butów.

Oprócz syna-prawnika w Bostonie staruszka miała córkę i czworo wnuków. Jej mąż zmarł przed siedmiu laty, lecz z klepsydry zamieszczonej w gazecie nie wynikało, co było powodem śmierci.

Kasjer nazywał się Michael Morton. Jego rodzice mieszkali w Cincinnati. Był jednakim, nie miał ani żony, ani dzieci.

Według rysopisu, który podałem przez telefon, policja stanowa sporządziła portret pamięciowy domniemanego mordercy. Mężczyzna z portretu wyglądał tak, jak się można było tego spodziewać: przypominał młodego narkomana, włóczkę i wyrzutka. Syn staruszki

zamieszczał w prasie liczne ogłoszenia - drukowały je wszystkie większe gazety na Florydzie - w których błagał informatora o ponowne skontaktowanie się z policją. Zgłosiło się wielu ludzi, co jeszcze bardziej zagmatwało śledztwo. Po pogrzebach staruszki i kasjera cała historia straciła posmak sensacji.

Spaliwszy pieniądze, wrzuciłem popiół do muszli klozetowej i spuściłem wodę. Pozostałych rzeczy nie spaliłem i nadal je mam: płócienną torbę, maczetę, kominiarkę, bluzę, torebkę staruszki, zegarek, portfel i klucze kasjera. Zamierzałem wywieźć to wszystko do lasu, gdy ziemia odmarznie, zakopać w głębokim dole i zalać ługiem, ale od tamtego czasu minęło pięć i pół roku i jeszcze tego nie zrobiłem, dlatego wątpię, czy kiedykolwiek to uczynię. Trzymam te rzeczy na strychu, w kufrze Jakuba. To niebezpieczne, wiem, i głupie, lecz jeśli kiedyś załomoczą do naszych drzwi policjanci z nakazem rewizji, chciałbym ułatwić im znalezienie czegoś konkretnego, żeby jak najszybciej mieć to za sobą.

Kilka miesięcy później przeczytałem w gazecie, że Byron McMartin oskarżył Federalne Biuro Śledcze o zaniedbanie dochodzenia w sprawie morderstwa córki, ale nie wiem, jak się to skończyło.

Dwa lata później urodziło się nam drugie dziecko, synek. W akcie masochistycznej pokuty zaproponowałem, żeby ochrzcić go imieniem mojego brata, a Sara, wciąż oszołomiona bólami porodowymi, ku memu zaskoczeniu wyraziła na to zgodę. Czasami tego żałuję, lecz nie tak często, jak można by się tego spodziewać; zresztą wolimy nazywać go „Jack”.

Półtora miesiąca po narodzinach braciszka Amanda miała wypadek. Poszedłem do ubikacji i zanim wróciłem, wpadła do plastikowego baseniku kąpielowego, który ustawiliśmy dla niej na podwórzu. Wpadła twarzą do wody, nie mogła wstać i gdy ją znalazłem, rączki i usta miała sine, ciało zimne. Krzyknąłem do Sary, żeby wezwała karetkę i zacząłem robić małej sztuczne oddychanie, jak na filmach w telewizji: uciskałem pierś, wdmuchiwałem powietrze do płuc i zanim przyjechał lekarz, zdołałem ją ocucić.

Spędziła w szpitalu dwa tygodnie. Stwierdzono uszkodzenie mózgu wywołane niedotlenieniem; lekarze nie byli pewni jak znaczne. Zalecali pobyt w klinice w Columbus pod opieką specjalistów od urazów głowy. Zapewniali, że kuracja przyspieszyłaby powrót do zdrowia, lecz nasze ubezpieczenie nie pokrywało kosztów tego rodzaju leczenia. Gdy ludzie się o tym dowiedzieli, księża z kościoła Świętego Judy rozpoczęli zbiórkę pieniędzy, żeby nam pomóc. Zebrali sześć tysięcy dolarów, kwotę wystarczającą na pokrycie kosztów miesięcznego pobytu w klinice. Wszyscy ofiarodawcy wpisali się na wielką ozdobną listę, którą wręczono nam wraz z czekiem. Figurowały na niej nazwiska zarówno Ruth Pederson, jak i

Lindy Jenkins.

Specjaliści byli zadowoleni z rezultatów leczenia, ale trudno powiedzieć, czy kuracja cokolwiek pomogła. Jesteśmy przekonani, że Amanda pozostanie kaleką do końca życia, mimo że lekarze wciąż mówią o niespożytych siłach witalnych drzemiących w młodym organizmie, o przypadkach nagłego, niemal cudownego ozdrowienia. Twierdzą, że nie powinniśmy tracić nadziei. Tymczasem fizyczny rozwój Amandy zupełnie ustał; wciąż wygląda jak dwuipółletnie dziecko, które tamtego dnia wyciągnąłem z baseniku, wciąż ma chude ramionka i nóżki, i tę samą główkę, wielką i okrągłą; wciąż czeka, aż jej ciało rozkwitnie. Zatrzymał się też rozwój mowy i zdolności ruchowych. Córka nie potrafi kontrolować czynności fizjologicznych i nie rozstaje się ze swoim misiem. Czasami budzi się w środku nocy, nakreca go, tak że wynurzywszy się z otchłani snu, słyszę, jak z ciemnego korytarza sączy się do sypialni ciche echo „Frere Jacques”. Amanda śpi w dawnym pokoju gościnnym, w starym łóżku Jakuba.

Sara potraktowała wypadek z zadziwiającym fatalizmem. Kilka razy wspomniała, że kalectwo córki jest dla niej rodzajem kary, zapłaty za nasze zbrodnie, a po przesadnej trosce, jaką otacza Jacka, domyślałam się, że wyrobiła w sobie przekonanie, iż jemu też coś zagraża, że jeśli nie zachowamy czujności, to go stracimy.

Nadal pracuję w magazynie paszowym, na tym samym stanowisku. Od tamtego czasu dostałem kilka podwyżek, ale pieniądze ledwo pokryły inflację. Sara pracuje w bibliotece, gdzie wzięła pełny etat, bo nasza sytuacja finansowa jest bardzo marna; kuracja Amandy pochłonęła wszystkie oszczędności.

Pewnie chcecie wiedzieć, jak mijają nam dni, jak żyjemy ze świadomością tego, co zrobiliśmy. Otóż nigdy nie rozmawiamy ani o pieniądzach, ani o ludziach, których zamordowaliśmy; nawet gdy jesteśmy sami, udajemy, że nic takiego się nie zdarzyło. Oczywiście, czasami mam ochotę o tym porozmawiać, ale nigdy z Sara. Chciałbym pogadać z obcymi, z ludźmi, którzy oceniliby mnie obiektywnie. Nie, nie jest to chęć wyspowiadania się - nic takiego nie odczuwam - lecz raczej pragnienie omówienia tych spraw z kimś postronnym, przeanalizowania ich krok po kroku, żebym sobie uświadomił, w którym momencie po raz pierwszy zblądziłem, żebym mógł ustalić, od kiedy wszystko zaczęło zmierzać ku nieuniknionemu.

Dzieci nigdy się o tym nie dowiedzą i jest w tym jakaś pociecha.

Są takie dni, kiedy potrafię zapomnieć o naszych zbrodniach, lecz jest ich niewiele i zdarzają się bardzo rzadko. Czasami gdy wspominam, jak stoję w sklepie z maczetą nad głową albo w drzwiach domu Lou ze strzelbą w rękę, wydaje mi się, że chwil tych nigdy nie

było. Ale w głębi serca wiem, że były, dobrze wiem, do czego jestem zdolny, wiem o tym wszystkim dużo lepiej niż wy, bo to nie wy to przeżywaliście, to nie wy musieliście dokonywać tragicznego wyboru.

Przez jakiś czas nawiedzały mnie sny, w których pozwalałem tej staruszce odejść, uciec ze sklepu, dopaść samochodu i odjechać. Ale już przestały.

Ponieważ nigdy o tym nie rozmawiamy, nie mam pojęcia, co odczuwa Sara. Dostrzegam tylko drobne oznaki dręczących ją koszmarów, choćby takie jak to, że zgodziła się ochrzcić syna imieniem mojego brata, że zaskoczyłem ją kiedyś na strychu, gdy pogrążona w myślach siedziała na kufrze Jakuba z futrem staruszki na kolanach, czarnym od zaschniętej krwi. Myślę, że czuje się tak samo jak ja: wie, że już nie żyjemy, że tylko egzystujemy, wegetujemy w pustce i chaosie, na próżno próbując zapomnieć o tym, co zrobiliśmy.

Gdy jestem w bardzo złej formie, zaczynam myśleć o Jakubie. Wyobrażam go sobie takim, jakim był tamtego dnia, gdy zawiózł mnie na farmę ojca. Ma na sobie szare spodnie, skórzane buty i jaskrawoczerwoną kurtkę. Jest bez czapki i chyba zimno mu w łysinę, ale nie zwraca na to uwagi. Wiruje na pięcie to w lewo, to w prawo, pokazuje, gdzie stała szopa na traktor, stodoła, pojemniki na ziarno. Gdy zawieje wiatr, z oddali słychać skrzypienie wiatraka.

Wracam do tej chwili bardzo często, bo zawsze wtedy chce mi się płakać. A kiedy płacę, czuję - wbrew temu, co zrobiłem - że jestem człowiekiem, takim samym jak inni.